



BARBARA ERSKINE

NA PROGU CIEMNOŚCI

Symbol zawsze coś ukrywa albo ujawnia.

Thomas Carlyle

Glendower: Z głębin otchłani duchy mogą wołać.

Hotspur: I ja to mogę, i lada kto może,

Ale czy przyjdą na twoje wołanie?

William Szekspir, „Henryk IV”, Część I Przekład Leona Ulricha

Ta powieść jest w całości fikcją. Przedstawione w niej imiona, postacie i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki.

Jakiegokolwiek podobieństwo do konkretnych osób, żywych lub umarłych, wydarzeń i miejscowości jest całkowicie przypadkowe.

Prolog

Czas, zauważył chłopiec ospale, kręci się leniwie, tworząc gigantyczne spirale, niby wielki wir na niebie. Leżąc na wznak w niskiej, pachnącej walijskiej trawie, na pół przymkniętymi oczami wpatrywał się w intensywny błękit i wydawało mu się, że pieśń skowronka unosi go ku górze. Tam, gdzie doświadczenie nabiera znaczenia i przenosi poza teraźniejszość, tam, gdzie przeszłość i przyszłość stają się nierozdzielne.

Pewnego dnia, gdy będzie starszy, wybierze się w te strony poza czasem i przestrzenią, aby badać tajemnice, które, wiedział to instynktownie, są jego ukrytym dziedzictwem. Wtedy dobrem zwycięży zło, a światłem rozproszy ciemność...

- Meryn!

Głos matki, dochodzący z chaty w dolinie osłoniętej górą, na której leżał, poderwał go na nogi. Uśmiechnął się do siebie. Później, po kolacji, kiedy długi letni zmierzch obejmie w posiadanie wzgórze, a jedynym dźwiękiem będzie rozlegające się od czasu do czasu gdzieś w oddali beczenie jakiejś samotnej owcy, poszukującej swych towarzyszek, albo wibrujące w powietrzu pohukiwanie sowy, bezgłośnie zlatującej ze wzgórza, on wymknie się z domu i przybiegnie tutaj, żeby oddawać się marzeniom i przygotowywać do wielkiej bitwy, którą pewnego dnia, wiedział to na pewno, stoczy samotnie na progu ciemności...

CZEŚĆ PIERWSZA

ADAM

1935 - 1944

Rozdział pierwszy

Dlaczego nie weźmiesz noża i nie zabijesz mnie, Thomas? Byłoby szybciej i uczciwiej. - Susan Craig teraz już krzyczała głosem chrapliwym z rozpacz. - Boże drogi, to ty doprowadzasz mnie do tego! Ty i to twoje świętoszkowate okrucieństwo. - Stała przy oknie, łzy spływały jej po twarzy.

Adam, szczupły, nawet chudy, wysoki jak na swoje czternaście lat, stał na zewnątrz, pod oknem ojcowskiego gabinetu, mocno obejmował się ramionami i z drżącymi z rozpacz ustami starał się pohamować, żeby nie zacząć krzyczeć w obronie matki. Klótnia była coraz głośniejsza, wydawało mu się, że trwa już od wielu godzin i że on także od wielu godzin tu stoi i słucha. Co ona zrobiła? Cóż jego matka mogła zrobić, by przyprawić ojca o taką złość? Nie pojmował.

- Teraz na próżno wzywasz imienia Pana Boga! Czy nigdy nie skończy się ta twoja niegodziwość, ty głupia, bezrozumna kobieto? - Thomas także mówił głosem chrapliwym, urywanymi słowami.

- Nie jestem niegodziwa, Thomas. Jestem zwykłą ludzką istotą. Czy to takie złe? Dlaczego nie chcesz mnie wysłuchać? Nie obchodzę cię! Nigdy cię nie obchodziłam. Niech cię diabli! - Głos matki był piskliwy, nie panowała już nad

sobą, ojca zaś głęboki i dudniący: tym grzmiącym potokiem słów chciał ją poniżyć i unicestwić.

Łzy przesłaniały chłopcu widok, zakrył uszy rękami, żeby nie słyszeć tego wrzasku, ale na próżno. Krzyk niósł się echem po pokojach wielkiej, starej, zbudowanej z kamieni plebanii, wylewał się przez okna i drzwi, zdawał się wypełniać ogród i całą okolicę wsi Pittenross, lasy, a nawet niebo. Nagle Adam poczuł, że nie zniesie tego dłużej. Potykając się z pośpiechu, niezdolny widzieć przez łzy, dokąd idzie, odwrócił się i ruszył biegiem w kierunku bramy.

Plebania znajdowała się przy końcu spokojnej wiejskiej uliczki, ukryta za wysokim murem, który otaczał dom i ogród, z wyjątkiem odcinka, gdzie w odległym końcu warzywnika rzeka Tay płynęła z szumem po kamykach i skałach.

Na lewo od domu, wśród drzew, stał stary kościół, otoczony wysokim ozdobnym ogrodzeniem z okazałą bramą. Na widocznych za nią trawnikach i ścieżkach było pusto. Biegąca z prawej strony ulica, przy której stały domy z szarego kamienia, była o tej porze cicha i wyludniona.

Adam pobiegł tą ulicą, przeciął Fisher's Wynd, małą alejkę między wysokimi, ślepyimi ścianami, okrążył jakiś wyboisty kawałek gruntu, bez przekonania uprawiany przez żonę jednego ze znaczniejszych parafian ojca. Przebiegł po lśniących kamieniach i skałach i przeszedłszy przez drucziany płot, ruszył dalej przez gęsty las, który przylegał do góry. Biegł do utraty tchu, był pewien, że gdyby się zatrzymał, usłyszałby odgłosy kłótni rodziców.

Te kłótnie stawały się w ciągu ostatnich kilku tygodni coraz ostrzejsze. Nie miał braci ani sióstr, z którymi mógłby dźwigać wspólnie swój ciężar, ani żadnych bliskich, którym mógłby się zwierzyć. Nie było we wsi nikogo, z kim mógłby porozmawiać. Uważał, że musi być bezwzględnie lojalny wobec rodziców i że jego kłopoty są jego prywatną sprawą i nikt poza nim nie powinien o nich wiedzieć. Ale nie miał pojęcia, co robić, i nie potrafił sobie poradzić z tym, co się stało. Jego piękna, młoda, szczęśliwa matka, szczęśliwa przynajmniej wtedy, kiedy byli sami, matka, którą uwielbiał, zmieniała się w bladą, zapalczywą kobietę, stała się cieniem tej dawnej istoty, podczas gdy ojciec, zawsze wielki, krzepki, rumiany na twarzy,

stał się jeszcze większy i jeszcze bardziej rumiany. Czasami Adam przyglądał się jego dłoniom, dużym, mocnym dłoniom, podobnym raczej do rąk robotnika niż sługi Bożego, i przeszywał go dreszcz. Wiedział, jak ciężką rękę ma ojciec. Thomas był przekonany, że bicie syna za najdrobniejsze nawet przewinienie wyjdzie na dobre jego duszy. Adam nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do tego, że jest bity. Już się przyzwyczał. Prawie. Ale ogarniało go przerażenie na myśl, że ojciec może uderzyć matkę.

Nigdy nie wiedział, dlaczego się kłóca. Czasami nocą, leżąc w ciemnym pokoju, słyszał od czasu do czasu jakieś słowa przez ścianę, ale nie miały one sensu. Matka uwielbiała góry, rzekę, wieś, życie żony pastora, i miała mnóstwo - setki - przyjaciół (albo tylko tak się wydawało jej synowi), więc dlaczego płakała i skarżyła się na samotność? Dlaczego mówiła, że jest taka nieszczęśliwa?

Nie zastanawiając się, dokąd zmierza, ruszył ulubioną ścieżką między drzewami, wzdłuż płynącego po skałach potoku, w stronę zbocza góry. Widział lśnienie białej, spienionej wody skalnych jezior i wodospadów, gdy wspinał się między brzoźami, jarzębinami i ostrokrzewem, wśród modrzewi i świerków, aż dotarł tam, gdzie las się przerzedzał i dalej już nie rosły żadne drzewa.

Teraz zwolnił kroku; brakowało mu tchu, ale brnął dalej, trzymając się śladów owiec w trawie i w kłujących wrzosach, okrążając skalne odkrywki, odsłonięte przed wiekami przez ruchy wulkaniczne i lodowcowe. Zmierzał ku kamieniowi z rzeźbą w kształcie krzyża, pozostawionemu tu, jak głosiła tradycja, przez Piktów, lud, który zamieszkiwał te góry jeszcze przed przybyciem Szkotów, aby pełnił wartę, wysoko ponad wsią i rzeką. Zawsze tam chodził, kiedy był nieszczęśliwy. Kamień ten stał w pobliżu kępy starych szkockich sosen i stanowił część Lasu Szkockiego, który rósł wokół tej góry przed wiekami. Było to bardzo szczególne, prywatne miejsce Adama.

Stał tutaj, na płaskim wierzchołku grzbietu, w połowie osłonięty starymi drzewami, przez ponad tysiąc czterysta lat, odchylony pod niewielkim kątem od pionu, a w bezchmurny dzień widok stąd roztaczał się może na trzydzieści mil na południe, a na północ jedynie na dwie albo trzy mile, tylko do wysokich gór, które zasłaniały niebo. Na tej stronie kamienia, którą skierowany był ku słońcu, znajdował

się ogromny krzyż wpisany w koło na wzór celtycki, ozdobiony zawitym koronkowym wzorem, nieśmiertelnym wzorem, przedstawiającym wieczne życie. Z tyłu wyrzeźbiono jakieś dziwne totemy pogańskie: węża, wyszczerbione, złamane berło, lustro i półksiężyc - te symbole cała wieś, a jego ojciec w szczególności, ostro potępiała. Thomas Craig powiedział Adamowi, że zostały one wyrzeźbione na tym kamieniu, wysoko na odludnym zboczu, przez czcicieli szatana i miały przekazywać sekretne przesłanie wszystkim, którzy przyjdą po nich. Czasami Adam myślał, że to istny cud, iż ten kamień nie został strącony na dół, potłuczony i całkowicie zniszczony. Może nie stało się tak dlatego, że znajdował się daleko od wsi i dotarcie tutaj wymagałoby zbyt wielkiego wysiłku, albo może ludzie w głębi ducha bali się go tknąć. On się nie bał, ale czuł jego moc, jakąś szczególną, niezwykłą magię. Dotarłszy do kamienia, rzucił się koło niego na ziemię i pewien, że nikt nie może go zobaczyć oprócz zataczającego kręgi w oddali myszołowa, w końcu dał upust łzom.

Dziewczynka widziała jednak, że nadchodzi. Już dawniej często widywała tego chłopca, mniej więcej w swoim wieku, przechadzającego się po wrzosowisku, ale się ukrywała za kamieniem albo wśród drzew, albo w wilgotnych mgłach, które tak często napływały na to miejsce. Ostatnio trzy razy słyszała, że płacze. Bardzo ją to zakłopotało. Chciała się dowiedzieć, dlaczego jest taki nieszczęśliwy, pragnęła, żeby się śmiał i skakał z radości tak jak wtedy, kiedy przyprowadził ze sobą białobrazowego kuczka. Nigdy się do tego chłopca nie zbliżyła. Nie chciała, żeby ktoś wiedział, że tu przychodzi. Jej brat wpadłby we wściekłość, gdyby się dowiedział, że ona błąka się gdzieś z dala od niego, ale ją już znudziło ciągle przypatrywanie się, jak on rzeźbi w tym kamieniu. Dłuta, mały młotek, sztance, narzędzia jego pracy, leżały porządnie ułożone na wrzosie wraz ze zwiniętym welinowym szablonem, który przymocowywał do kamienia, aby odwzorować rysunek.

Pies zobaczył ją i zaszczekał, sierść zjeżyła mu się na karku. Dziwne. Psy zazwyczaj ją lubiły. Ale nie podeszła bliżej. Nie chciała, żeby chłopiec ją zobaczył.

Łzy w końcu przestały płynąć. Usiadł, pociągnął nosem i ocierając twarz rękawem swetra, zaczął się rozglądać dookoła. Wysoko nad sobą usłyszał krzyk samotnego orła; spojrział w błękit nieba, ale blask bijący spoza chmur tak go oślepił,

że odwrócił głowę i zamknął oczy. Kiedy je otworzył, przez ułamek sekundy widział dziewczynkę zerkającą na niego spoza drzew. Zaskoczony, zerwał się na nogi.

- Hej! Halo! - Echo jego wołania poniósł wiatr. - Gdzie jesteś? Pobiegł kilka kroków w kierunku drzew. Ani śladu.

- No chodź. Widziałem cię! Pokaż się!

Miał nadzieję, że nie dostrzegła, iż płakał. Zaczerwienił się na, tę myśl i nadal wypatrywał jej między miękkimi, czerwonymi, odartymi z kory pniami drzew. Ale nigdzie jej nie dostrzegł.

Zapadał zmierzch, kiedy skierował kroki z powrotem w stronę plebanii. Ze ścieżki biegnącej między gęsto rosnącymi drzewami na stromym brzegu potoku dostrzegł w oddali zapaloną już lampę w gabinecie ojca. Zwykle o tej porze z komina nad kuchnią snuła się smużka błękitnego dymu, ale nie mógł jej teraz dojrzeć na tle Ciemniejącego nieba. Zastanawiał się nerwowo, czy pani Barron została, by przygotować kolację, jak to często czyniła, czy też matka, w fartuchu na sukni, przestawia wielkie żelazne rondle na kuchni.

Na palcach podszedł do tylnych drzwi, wychodzących na podwórze z boku plebanii. W kuchni nie było nikogo. Na zimnym piecu nie stał żaden rondel. Słabo mu się zrobiło, gdy stąpając bezszelestnie, dotarł do holu i zaczął nasłuchiwać, przerażony, że kłótnia jeszcze trwa. Ale w całym domu panowała cisza. Odetchnął z ulgą, na palcach przeszedł do części frontowej domu i ośmielił się na długą chwilę zatrzymać przed gabinetem ojca, po czym odwrócił się i uciekł na górę.

Z okna sypialni rodziców widać było ponad murem kościoła. W tym urządzonym po spartańsku pokoju stało żelazne łóżko, nakryte spłowiałą kapą, ciężkich drewnianych mebli nie zdobiły kwiaty, na ścianach nie wisały obrazy. Na toalecie matki nie było żadnych kosmetyków, perfum ani pudru, za to leżały równiutko ułożone szczotki, do włosów i do ubrania, oraz grzebień, wszystko w oprawie z kości słoniowej. Nic poza tym. Thomas Craig nie pozwalał żonie się malować.

Adam, pełen obaw, zajrzał do tego pokoju, chociaż czuł, że jest pusty. Był to północny, zimny pokój, w którym się urodził. Nienawidził go.

Najbardziej lubił kuchnię, z ciepłem rozchodzącym się z pieca, z zapachami gotujących się potraw i wesołym, niefrasobliwym przekomarzaniem się matki z Jeannie Barron. Uważał to miejsce za najweselsze w domu. Gdy nie było ojca. Kiedy bowiem ojciec przebywał w domu, jego surowość i nieprzychylność przytłaczały wszystkich. Matka Adama bała się odezwać, a chłopcu się wydawało, że nawet ptaki w ogrodzie nie mają odwagi śpiewać.

Stanąwszy w drzwiach, już chciał odejść, ale się zatrzymał ze zmarszczonym czołem. Jak małe zwierzątko, czujne i podejrzliwe, poczuł, że coś jest nie tak. Rozejrzał się, tym razem uważniej, po schludnym, ponurym pokoju, ale nic nie wskazywało na to, że coś jest nie w porządku.

Adam miał dwie sypialnie. Ta oficjalna przylegała do sypialni rodziców na półpiętrze i była równie surowa i uporządkowana. Miał też drugą, wysoko na poddaszu, o której wiedziała tylko matka i pani Barron, ale - tego był prawie pewien - nie ojciec, który nigdy tam nie zachodził. Adam miał tam jasny dywanik ze ścinków, kilka starych skrzynek na swoje skarby i okazy, które stanowiły jego muzeum, oraz książki i mapy. To właśnie tam, na górze, w samotności, kiedy uważano, że odrabia lekcje w swojej oficjalnej sypialni, toczyło się jego prywatne życie: tutaj robił notatki, przepisywał wykresy i studiował stare, zmurszałe podręczniki, które znalazł w antykwariacie w Perth, a wszystko to miało doprowadzić do spełnienia jego ambitnych planów - chciał zostać lekarzem. To właśnie tutaj rysował ptaki, które obserwował w górach, i tutaj spróbował zrobić sekcję, potem wysuszyć i wypchać zwłoki lisa, którego znalazł w sidłach. Jeannie Barron szybko położyła kres temu eksperymentowi, ale na ogół obie kobiety zostawiały go w spokoju i pozwalały realizować pomysły, na które wpadał u siebie, na górze. Dzisiaj jednak to miejsce nie zapewniało mu azylu, którego się spodziewał. Był niespokojny i czuł się nieszczęśliwy. Musiało się stać coś bardzo złego.

Po pięciu zaledwie minutach kartkowania bez entuzjazmu książki o pająkach rzucił ją na stół i wyszedł na podest. Nasłuchiwał przez chwilę, po czyta zbiegł na dół po węższych schodach wyższej kondygnacji, potem niżej, po szerszych, i poszedł raz jeszcze zajrzeć do kuchni. Była pusta i ponura, tak jak przedtem.

Upłynęło wiele czasu, zanim zebrał w sobie dość odwagi, żeby zapukać do gabinetu ojca.

Thomas Craig siedział przy biurku z rękami opartymi na bibularzu. Był to wysoki, szczupły mężczyzna z czupryną ciemnych włosów przetykanych siwizną, o dużych, wytrzeszczonych jasnoniebieskich oczach. Jego twarz, zazwyczaj rumiana, dziś była niezwykle blada.

- Ojczy? - zapytał Adam nieśmiało. Nie było odpowiedzi,
- Ojczy, gdzie jest mama?

Ojciec w końcu podniósł wzrok. Pod wystającymi kośćmi policzkowymi, tam, gdzie jego twarz dotykała splecionych palców, chłopiec dostrzegł dziwny trójkąt sinej skóry. Ojciec ze znużeniem oparł się łokciami na biurku i odchrząknął, jak gdyby przez chwilę trudno mu było mówić.

- Odeszła - powiedział w końcu apatycznie.
- Odeszła? - powtórzył Adam, nie rozumiejąc tej odpowiedzi.
- Odeszła. - Thomas znów opuścił głowę na dłonie.

Jego syn przestępował niespokojnie z nogi na nogę. Gdzieś nisko w żołądku poczuł niepojęty ból. Nie miał odwagi spojrzeć znów na twarz ojca, utkwiał więc wzrok w swoich zniszczonych tenisówkach.

Thomas westchnął głęboko i podniósł wzrok.

- Pani Barron uważała za stosowne zrezygnować z pracy - powiedział w końcu. - Tak więc zdaje się, że zostaliśmy sami.

Adam przełknął ślinę. Odezwał się bardzo cicho.

- Dokąd mama odeszła?

- Nie wiem. I nie chcę wiedzieć. - Thomas wstał nagle. Odsunął krzesło, podszedł do okna i stanął przy nim, wpatrując się w ogród. - Twoja matka, Adamie, popełniła ciężki grzech. W oczach Boga i w moich oczach przestała być częścią naszej rodziny. Nie życzę sobie, żeby w tym domu wspomiano jej imię. Wracaj do swojego pokoju i módl się, żeby jej nieczne postęпки nie sprawiły, że i ty zejdziesz na złą drogę. Wieczór bez kolacji wcale ci nie zaszkodzi - dodał, nie odwracając się od okna.

Adam wpatrywał się w ojca, ledwie pojmując, co przed chwilą usłyszał.

- Ale dokąd ona poszła, ojczy? - Drobne fale niepokoju zaczynały napływać do jego serca. Matka naprawdę była mu bardzo potrzebna.

- Wracaj do swojego pokoju! - Głos Thomasa, przytłumiony smutkiem, złością i niepokojem, tylko na chwilę zdradził, jak głęboko pastor odczuł to, co się stało.

Adam nie próbował zadawać mu więcej pytań. Odwrócił się i wybiegł do holu, a potem, przez kuchnię, do ogrodu. Zaczynało się ściemniać, ale się nie wahał. Wielkimi susami okrążył dom i znowu pobiegł pogrążoną w ciszy ulicą w kierunku rzeki. Ślizgając się w ciemności na kamieniach, czuł, jak jego stopy osuwają się do lodowatej wody, ale bez wahania zagłębił się w las i tak szybko, jak tylko mógł, zaczął się wspinać po zboczu.

Raz się zatrzymał i obejrzał. Cała plebania tonęła w ciemności. Tylko w jednym miejscu dostrzegł światło, paliła się lampa w gabinecie ojca. Z miejsca, gdzie stał, widział kościół i drzewa ciemniejące wokół niego, i całą wieś, w której, w jednym domu po drugim, zapalały się światła, a wieczorne powietrze było zamglone od aromatycznego niebieskiego dymu unoszącego się z kominów. Wieś była przyjazna, tętniąca życiem, ciepła. Znał wszystkich mieszkańców tych domów. Z dziećmi wielu z nich chodził do szkoły, a z pięcioma nawet do tej samej klasy.

Przez kilka minut tak stał, patrząc na wieś u stóp wzgórza. Poczł wiatr, teraz już chłodny, z tyłu na karku i przeniknął go dreszcz. Na jego szczupłych rękach, poniżej rękawów swetra, pojawiła się gęsia skórka. Zbierało mu się na wymioty. Dokąd matka poszła? Co jej się stało? Dlaczego mu nie powiedziała, dokąd chce pójść? Dlaczego nie zabrała go ze sobą? Dlaczego nie zostawiła mu choćby kilku słów?

Lepiej iść dalej. Posuwał się niemal w zupełnej ciemności między drzewami, koncentrując całą uwagę na połyskującej z prawej strony wodzie. Gdy szedł, nie mógł myśleć. Nie chciał myśleć. Skręcił i szedł dalej, jego mokre tenisówki ślizgały się po ścieżce, i aby nie upaść, chwycił się zwisających nad nim cienkich gałązek modrzewi. Kierował się ku kamieniowi.

Było zupełnie ciemno, kiedy dotarł w końcu do kamiennej płyty. Pochylił się, dysząc ciężko. Zdawał sobie sprawę, że kiedy się zatrzyma, lodowaty wiatr przeniknie go do kości i w ciągu paru sekund zrobi mu się zimno. Nie zważał na to. Od chwili, kiedy dotarł na miejsce, nie mógł już dłużej odsuwać od siebie myśli o nieszczęściu, które go spotkało. Jego matka. Jego uwielbiana, urocza, inteligentna, śliczna matka odeszła. Przypomnił sobie słowa ojca i przeniknął go dreszcz. Co ona takiego zrobiła? Co takiego mogła zrobić? Pochylił się, objął ramionami. Nigdy nie czuł się taki samotny i nigdy nie był taki przerażony.

Jeszcze dotąd nie widziała, żeby ten chłopiec przyszedł tu w ciemności. Za górami, na wschodzie, srebrzysta poświata zwiastowała miejsce, w którym wkrótce ponad skałami pojawi się sierp księżyca i zaleje swym blaskiem całą okolicę. Wtedy będzie mogła przyjrzeć mu się lepiej. Czekala więc spokojnie.

Za nią jej brat Gartnait, pięć lat od niej starszy, pakował swoje narzędzia i co chwila wyciągał ręce ponad głowę, aż trzeszczały w stawach. W pewnej chwili po ziemi u jego stóp przesunął się promień księżyca. Światło wydobyło blask żelaznego dłuta, więc Gartnait pochylił się, żeby podnieść narzędzie.

Brid podkradła się trochę bliżej. Chłopiec miał szczupłą, sympatyczną twarz, z ciągle jeszcze dziecięcym noskiem, ale jego ramiona i kolana zaczynały już nabierać tego żrebięcego kształtu, który pojawia się, zanim chłopak dojrzeje. Przyjrzała się dokładnie jego ubraniu, bezbarwnemu w nikłym księżycowym świetle, i przysunęła bliżej. Zawsze miała wrażenie, że chłopiec nic nie robi, kiedy przychodzi tu, na to wzgórze. Czasem siedział godzinami, obejmując rękami nogi, z brodą opartą na kolanach, zapatrzony w przestrzeń. Kilka razy podszedł do kamienia i dotknął rzeźb, wodząc palcem wzdłuż ich konturów. Dwa razy w czasie upalnych miesięcy wyciągnął się na rozgrzanej ziemi i zasnął. Właśnie kiedyś przy takiej okazji podeszła tak blisko, że zatrzymała się tuż nad nim, a cień jej smukłej sylwetki padł na jego twarz. Wtedy chłopiec zmarszczył brwi, potarł nos i zasłonił czoło przedramieniem. Ale nie otworzył oczu. Wyczuwała, że jest nieszczęśliwy. To jego nieszczęście wysysało z niej energię, kłębiło się wokół niego jak zasłona czarnych fal, które odpływały w ciemność, i czuła na sobie ich zimny dotyk.

Może to jej współczucie było tak wielkie, że stało się niemal dotykalne? Jakikolwiek był powód, chłopiec nagle spojrzął ku górze, zaskoczony, jak gdyby coś usłyszał, i zobaczył ją. Widziała, jak rozszerzają się ze zdziwienia jego źrenice. Instyktownie potarł policzek i wyprostował ramiona, żeby ukryć, jak bardzo przytłacza go nieszczęście. Jego chwilowy lęk na widok jakiejś postaci, która wyszła z cienia, ustąpił miejsca uldze, kiedy zdał sobie sprawę, że to dziewczynka, którą już widział wcześniej, i zdobył się nawet na odwagę, żeby się uśmiechnąć.

- Cześć.

Zmarszczyła czoło. Nie rozumiała tego słowa, ale towarzyszący mu uśmiech był przyjazny. Zrobiła krok do przodu.

Przemówiła w języku, którego używała od urodzenia, języku starożytnych Piktów.

Serce chłopca uspokoiło się nieco. Wyczerpanie wspinaczką po stromym zboczu, już po raz drugi tego dnia, a potem nagle wyłonienie się dziewczynki z cienia pod drzewami sprawiły, że z trudem łapał oddech. Wpatrywał się w nią bardziej zaintrygowany niż przestraszony. Powiedziała coś do niego, ale użyła słów, których nie rozumiał. Przypuszczał, że to po szkocku, a więc w języku, który jego ojciec uważał za język barbarzyńców. Wzruszył ramionami.

- Nie rozumiem.

Nawet w tym nikłym świetle dostrzegał blask jej oczu, zuchwale zadarty nosek i podbródek. Miała na sobie sukienkę z grubej, szorstkiej tkaniny, która wyglądała tak, jakby była uszyta ze skóry.

Ona też wzruszyła ramionami, naśladując go, i zachichotała. On także się roześmiał, a wtedy, nagle ośmielona jego zachowaniem, podeszła bliżej i dotknęła palcem jego policzka, jak gdyby ścierała urojone łzy. Gest był wyraźny. Czemu jesteś smutny? Uśmiechnij się. Potem jej ręce opadły ku jego dłoniom i jak dobra aktorka udała, że drży. Miała rację. Było mu bardzo zimno.

Nie był całkiem pewien, jak to się stało, że ruszył za nią. Czuł się nieszczęśliwy, był głodny, zziębnięty, i wszystko to sprawiło, że nie trzeba go było namawiać. Kiedy chwyciła jego rękę i pociągnęła, udając, że przeżuwa coś w

ustach, przytaknął ochoczo i ruszył za nią.

Szli w kierunku kamienia. Kiedy go mijali, jego palce otarły się o dobrze mu znane, wyrzeźbione na nim kształty. Ponad ścieżką snuły się opary mgły, więc się zawahał, ale gdy dziewczynka pociągnęła go za rękę, ruszył dalej. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy spostrzegł jej brata. Wysoki młody człowiek schował już swe rzeźbiarskie narzędzia do skórzanego worka, który miał przewieszony przez ramię, i wyglądał na tak zaskoczonego, jakim był w istocie. Zwrócił się spokojnie, lecz natarczywie do dziewczynki, ona zaś odcięła się zuchwale. To właśnie wtedy tmi się przedstawiła. Wskazując na siebie, powiedziała zdecydowanie:

- Brid.

Wymawiała to „Briiid.

- Gartnait - powiedział młody człowiek, klepnąwszy Adama w ramię. Adam się uśmiechnął i wskazując na siebie, rzekł:

- Adam.

- A-dam - powtórzyła miękko dziewczynka. I znowu się roześmiała. Szli około dwudziestu minut wokół grzbietu góry ledwie widoczną

ścieżką przez wrzosowisko, którą chadzają jelenie, i dopiero wtedy Adam zobaczył w oddali poniżej błyskające światełko ogniska. Gdy zeszli w dół, ku niemu, poczuł zapach gotowanego mięsa. Dziczynna - rozpoznał, i ślinka napłynęła mu do ust. Nic nie jadł od lunchu. Nie chciał myśleć o pustej, zimnej kuchni w domu, koncentrował się na swych nowych przyjaciółach.

Na widok miejsca, do którego zmierzali, zmarszczył lekko czoło. Był to tylko okrągły, zrzuwany szalas pokryty sitowiem, ledwie widoczny, stojący w zagłębieniu terenu, obok rwącego potoku. Kiedy podeszli bliżej, spostrzegł, że ognia pilnuje jakaś kobieta, sądząc z wyglądu, matka Brid i Gartnaita, którzy, jak się Adam już domyślił, byli rodzeństwem. Kobieta, wysoka i smukła, trzymała się bardzo prosto, co zauważył, kiedy przestała grzebać w płonących polanach pod garnkami, w których gotowała się strawa. Miała takie same ciemne włosy jak córka i takie same jak ona bystre szare oczy. Odrzuciwszy na bok swój prowizoryczny pogrzebacz, powitała chłopca trochę onieśmielona i wskazując futrzany dywanik,

rozłożony w pobliżu ognia, zaprosiła, żeby usiadł. Brid powiedziała mu, że kobiecie na imię Gemma. Gartnait poszedł do strumyka obmyć ręce z kamiennego pyłu. Brid także zniknęła w szalasię. Wróciła po paru minutach, niosąc cztery talerze i bochenek chleba, który rozłamała na cztery części i położyła na talerzach w pobliżu ogniska.

Adam uznał, że posiłek, który mu podano, jest najlepszy ze wszystkich, jakie jadł przez całe życie. Chleb, upieczony z grubo zmielonej mąki, posmarowany hojnie śmietankowym masłem, pachniał smakowicie. Do tego jedli - palcami - dziczyznę pokrojoną przez Gartnaita w plastry cienkie jak wafle nożem ostrym jak brzytwa, pstraga z górskiego strumyka, upieczonego na cienkich gałązkach nad ogniem, i trójkątne kawałki kruchego białego sera. Na koniec wytarli chlebem z talerzy pozostały z mięsiwa tłuszcz. Do picia podano coś, co, jak podejrzewał Adam, który nigdy w życiu nie tknął alkoholu, było rodzajem wrzosowego piwa. Zamoczony ogniem i jedzeniem oraz widokiem uśmiechających się, choć milczących współtowarzyszy, pił szybko, a po kilku minutach oparł się o jakiś kłoc drewna i mocno zasnął.

Obudził się, kiedy Brid położyła mu rękę na kolanie. Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest, ale zdał sobie sprawę, że znajduje się na dworze. Ze zdziwieniem stwierdził, że leży ciepło opatulony grubym, wełnianym kocem. Kiedy usiadł i zaczął odwijać puszyste okrycie, poczuł, że jest przesiąknięte rosą, ale wewnątrz było sucho i ciepło.

- A-dam. - Bardzo mu się podobał sposób, w jaki wymawiała jego imię, starannie, rytmicznie, trochę tak, jakby to było słowo francuskie. Brid wskazała palcem niebo i wtedy z przerażeniem spostrzegł ponad wzgórzem jasne smugi zwiastujące rychłe nadejście świtu. Nie było go w domu przez całą noc. Ojciec go zabije, jeśli to się wyda. Ogarnął go lęk i zaczął się gramolić na nogi.

Z tyłu, za Brid, jej matka pochylała się nad jasno płonącym ogniem. Coś się gotowało w garnku zawieszonym nad paleniskiem. Pociągnął nosem, a Brid klasnęła w ręce. Pokiwała głową i biorąc z rąk matki miskę, nałożyła do niej łyżką jakiejś rzadkiej owsianki. Wziął naczynie z rąk Brid, powąchał, spróbował i oparzył sobie

język. Owsianka była dosyć mdła, ani trochę nie przypominała smacznego posiłku z wczorajszego wieczora, ale wypełniła jego pusty żołądek i kiedy w końcu Brid powiodła go tą samą drogą, którą przyszli, był nawet dosyć pogodny.

Kiedy przechodzili koło kamiennej płyty w kształcie krzyża, spowijała ją mgła. Adam wszedł na stok i stał tam chwilę, patrząc na swoją dolinę, nadal pogrążoną w ciemności. Brid wskazała ją palcem z lekkim uśmiechem i Adam odszedł kilka kroków.

- Do widzenia - powiedział jeszcze - i dziękuję.

- Do widzenia i dziękuję - powtórzyła miękko. Pomachała mu dłonią i zniknęła we mgle.

Plebania sprawiała ponure wrażenie w zimnym świetle poranka. Z kominów nie unosił się dym, a frontowe drzwi były zaryglowane. Zagryzając nerwowo wargi, Adam okrążył bezszelestnie budynek, modląc się w duchu, żeby udało mu się wejść przez drzwi kuchenne. Niestety. Stał przed nimi przez chwilę niezdecydowany, wpatrując się w ciemne okna na tylnej stronie domu. Znów czuł się nieszczęśliwy. Przełknął gorycz, odwrócił się i skierował kroki na ulicę.

Plebania była jeszcze pogrążona we śnie, ale we wsi panował już ruch. Kiedy dotarł do Bridge Street, przyjemny zapach dymu już wypełniał powietrze. Wszedł w bramę domku, w którym mieszkała Jeannie Barron, i niepewnie zapukał do drzwi. Odpowiedziało mu dzikie, zajadłe szczekanie psa.

Po chwili drzwi otworzył tęgi mąż Jeannie, Ken. Śliczny owczarek szetlandzki zaczął skakać koło nóg chłopca, najwyraźniej zachwycony jego widokiem. Adam pochylił się, żeby go pogłaskać i przytulić. Pies należał kiedyś do niego, ale z jakiegoś powodu, którego Adam nigdy nie zrozumiał, ojcu nie podobało się, że syn ma ulubione zwierzątko, i szczeniak został oddany Jeannie.

Ken ze zdziwieniem popatrzył na Adama, po czym odwrócił się i krzyknął:

- Jeannie, to chłopak pastora.

Zza pleców Kena wyjrzała dobrotliwa zaróżowiona twarz Jeannie. Miała przywiązany w pasie fartuch, tak jak zawsze w kuchni na plebanii.

- Dzień dobry, pani Barron - powitał ją Adam. Był bardzo zakłopotany, bo

oczy napełniły mu się łzami.

- Adam... - Jeannie odepchnęła męża i objęła chłopca mocno swymi potężnymi pulchnymi ramionami. - O, mój biedny, maleńki chłopczyk.

Adam prawie dorównywał jej wzrostem; ale w tej chwili był znów małym dzieckiem, szukającym w jej ramionach pocieszenia, ciepła i miłości.

Wypchnęła męża za drzwi, a Adama zaprowadziła do kuchni i posadziła przy stole. Postawiła przed nim dzbanek herbaty z mlekiem i dała grubą pajdę chleba z dżemem, a potem stanęła i zaczęła mu się przypatrywać. Błada twarz chłopca nabrała kolorów i lży obeschły, ale nic nie mogło ukryć nieszczęścia wyzierającego z jego twarzy. Pies usiadł przytulony do jego nóg.

- Czy rozumiesz, co się stało? - Jeannie usiadła naprzeciw niego i sięgnęła po duży brązowy imbryk do herbaty.

Wzruszył ramionami.

- Ojciec powiedział, że mama odeszła. - Znów poczuł lży tuż pod powiekami. - Powiedział, że zgrzeszyła.

- Nie zgrzeszyła! - Siła, z jaką wypowiedziała te słowa, pomogła mu opanować szloch, który go dławził w gardle. - Twoja matka jest uczciwą, piękną, dobrą kobietą. Ale została doprowadzona przez tego człowieka do kresu drogi.

Adam zmarszczył czoło. Nie rozumiejąc tej metafory, wyobraził sobie samochód prowadzony przez obcego człowieka.

Jeannie Barron rzucała gniewne spojrzenia. Jej jasne, skręcone w spirale włosy podrygiwały wokół twarzy, kiedy brała do ręki dzbanek i znowu napełniała herbatą ich kubki.

- Jak ona z nim wytrzymała tak długo? Nigdy tego nie zrozumiem. Mam nadzieję, że znajdzie szczęście tam, dokąd się udała.

- Dokąd ona poszła? - Chłopiec patrzył na nią z rozpaczą. Potrząsnęła głową.

- Nie wiem, Adamie. Naprawdę nie wiem.

- Ale pani powiedziała? - Adam zagryzł wargę. Jeannie znów potrząsnęła głową.

- Nie powiedziała nikomu. Żadnej ze znanych mi osób.
- Ale dlaczego mnie zostawiła? - Był to okrzyk małego, oszołomionego dziecka. - Dlaczego nie zabrała mnie ze sobą?

Jeannie zacisnęła usta.

- Nie wiem - westchnęła. Była równie nieszczęśliwa jak on. - Na pewno nie dlatego, że cię nie kocha. Musisz w to wierzyć. Może sama nie wiedziała, dokąd pójdzie? Może przyśle po ciebie trochę później?

- Tak myślisz? - Jego wielkie piwne oczy patrzyły błagalnie. Napotkawszy to jego spojrzenie, nie potrafiła kłamać i dać gwarancji, której oczekiwał. Mogła jedynie powiedzieć:

- Mam nadzieję, Adam. Mam taką nadzieję.

Susan Craig była jej przyjaciółką, ale nie zwierzała jej się. Mówienie o sobie zbyt wiele drugiej osobie nie leżało w jej naturze. Wystarczała jej pewność, że Jeannie pozostanie w domu dla Adama,

Gdy wstawał, zbierając się już do odejścia, przypominał sobie, dlaczego siedzi tu, w jej kuchni, a nie na plebanii.

- Czy ty naprawdę już u nas nie pracujesz? Potrząsnęła przecząco głową.

- Przykro mi, Adamie. Twój ojciec już mnie nie potrzebuje. Nigdy nie powtórzy nikomu, nawet temu chłopcu, tych podłych,

pełnych wściekłości słów, które doprowadzony do szału mężczyzna rzucił jej w twarz, kiedy próbowała bronić jego żony, a potem usprawiedliwić jej decyzję opuszczenia go. Oparła ręce na ramionach Adama; serce jej pękało na myśl o sytuacji chłopca. Własna rodzina już dawno ją opuściła i rozproszyła się po całej Szkocji, a jeden krewny przebywał nawet w Kanadzie. Dlatego zawsze myślała o Adamie jak o swoim dziecku, które pojawiło się w jej życiu już w wieku dojrzałym.

- Posłuchaj, Adamie. Chcę, żebyś zapamiętał sobie, że gdybyś mnie potrzebował, zawsze mnie tu znajdziesz. Możesz zawsze do mnie przyjść. - Nie spuściła wzroku, gdy na nią spojrzał. - Zawsze, Adamie.

Domyślała się, dokąd chłopiec wróci, i nie zazdrościła mu. Ale był odważny i za to zawsze go podziwiała.

Kiedy minął bramę i zbliżył się do domu, zastał drzwi frontowe otwarte. W holu zawahał się. Drzwi do gabinetu ojca były zamknięte. Spojrzał na schody, zastanawiając się, czy zdąży dobiec do nich w tenisówkach na gumowych podszwach. Niemal mu się to udało, kiedy usłyszał, że drzwi za nim się otwierają. Przerazenie ścisnęło mu gardło. Przez chwilę obawiał się, że gdy stanie przed ojcem twarzą w twarz, zwymiotuje.

Thomas Craig cofnął się, wzywając Adama szybkim ruchem głowy do swego gabinetu. Twarz miał szarą, był nieogolony. Zamknął drzwi za synem, sięgnął do haka wiszącego po ich wewnętrznej stronie i zdjął z niego szeroki skórzany pas.

Adam wydał jęk przypominający kwilenie dziecka. Poczł przepływający od ramion przez plecy lodowaty strumień lęku. Jego skóra już napięła się z przerażenia przed czekającą go chłostą.

- Ojczy...

- Gdzie byłeś wczorajszej nocy?

- Na wzgórzu, ojczy. Przepraszam. Zabłądziłem we mgle.

- Nie posłuchałeś mnie. Powiedziałem ci, żebyś poszedł do swojego pokoju. Musiałem cię szukać. Przetrasnąłem całą wieś. I brzeg rzeki. Nie wiedziałem, co się z tobą stało!

- Wybacz mi, ojczy. - Wstydział się swego lęku, ale nic nie mógł na to poradzić. - Byłem zdenerwowany - mówił bardzo spokojnie.

- Zdenerwowany? - Ojciec powtórzył jak echo jego słowa. Przeciął pasek przez zaciśniętą dłoń, złożył go podwójnie i ujął w garść. - Uważasz, że to tłumaczy twoje nieposłuszeństwo?

- Nie, ojczy. - Adam ścisnął kurczowo trzymane razem ręce, żeby przestały drżeć.

- Przyjmujesz do wiadomości, że Bóg pragnie, żebyś został ukarany?

Nie! - krzyczał w nim jakiś głos. - Nie! Mama mówi, że Bóg jest miłością. On przebacza. On nie chciałby, żebyś mnie zbił.

- No cóż... - Głos Thomasa zabrzmiał jak syk.

- Tak, ojczy - szepnął Adam.

Ojciec stał przez chwilę w milczeniu, przyglądając mu się, po czym przysunął proste drewniane krzesło stojące pod ścianą i postawiwszy je przed biurkiem, wskazał na nie palcem.

Adam drżał.

- Ojczy, proszę...

- Ani słowa więcej!

- Ojczy...

- Bóg czeka, Adamie! - Głos pastora zabrzmiał jak ryk ponad wypowiedzianą szeptem prośbą syna.

Adam się poddał. Nogi drżały mu tak bardzo, że z trudem się na nich poruszał. Podeszedł do krzesła i pochylił się nad nim, wepchnąwszy jedną pięść do ust.

Thomas Craig był według własnego mniemania sprawiedliwym człowiekiem, żyjącym zgodnie z regułami religii, którą głosił. Część jego istoty zdawała sobie sprawę, że rozpacz chłopca po stracie matki musi być równie wielka, a może nawet jeszcze większa niż jego po stracie żony, ale gdy zaczął okładać skórzanym pasem plecy tego bezbronnego dziecka, coś w nim pękło. Chłostał syna raz po raz i widział przed sobą nie wąskie biodra, lichą koszulinę i spodenki czternastoletniego chłopca, ale postać swej pięknej, wyzywającej i nieposłusznej żony. Dopiero gdy chłopiec ześliznął się bezwładnie do jego stóp, przerwał chłostę zatrwożony, wpatrując się z niedowierzaniem w leżącego na podłodze syna.

- Adam? - Opuścił pasek. Ukląkł obok chłopca i wpatrywał się przerażony w podchodzące krwią pręgi, które zaczynały się pojawiać na udach syna. Krew zaczynała się przesączać przez szorty.

- Adam? - Wyciągnął rękę ku dziwnie skrzyconej głowie chłopca, ale jej nie dotknął. - Co ja zrobiłem?

Z trudem przelękając ślinę, zrobił krok do tyłu, na oślep podeszedł do biurka, usiadł przy nim i wziął do ręki Biblię. Przycisnął ją do piersi i długo siedział bez ruchu. Przed nim, na bibularzu, leżały podarte kartki, które Susan pozostawiła dla syna, list, którego Adam nigdy nie zobaczy.

Za drzwiami, w holu, wolno tykał stojący zegar. Wybił pół godziny, potem pełną godzinę, i gdy te długie, donośne dźwięki przerwały ciszę, Thomas wreszcie się poruszył. Podniósł nieprzytomnego chłopca, zaniósł na górę i z czułością ułożył na łóżku. Dopiero wtedy znalazł w sobie dość siły, żeby udać się do własnej sypialni po raz pierwszy od chwili, gdy Susan go opuściła. Zatrzymał się i rozglądał dokoła, Szczotki do włosów i grzebień żony leżały nadal na stoliku przy oknie. Poza tym nie było tu żadnego śladu jej obecności. Ale nigdy ich nie było. Pastor zawsze był przeciwny ozdobom i świecidełkom. Nie pozwalał, żeby dom zdożyły kwiaty.

Po chwili wahania podszedł do ogromnej, starej mahoniowej szafy. Za drzwiami z prawej strony wisiały jego skromne czarne garnitury, za drzwiami z lewej strony - jej rzeczy. Więcej niż jego, ale niewiele więcej: dwa kostiumy, jeden w kolorze granatowym i jeden czarny, a na półce nad nimi dwa czarne kapelusze. Trzy bawełniane sukienki, bez przerwy prane i prasowane, zapinane wysoko pod szyją, z długimi rękawami, w spokojnych, stonowanych kolorach jesieni, które uważał za stosowne do noszenia w lecie. Miała dwie pary czarnych sznurowanych bucików. Otworzył drzwi szafy. Liczył się z tym, że stwierdzi brak rzeczy żony. Ale one wisiały na swoim miejscu. Wszystkie. Nie był przygotowany na to, że je zobaczy, nie był przygotowany na to, że tak na ich widok zareaguje. Wstrząsnęła nim fala smutku, miłości i poczucia straty. Niezdolny się powstrzymać, ściągnął jedną z sukien z drewnianego wieszaka i tuląc ją w ramionach, zanurzył w niej twarz i zapłakał.

Wiele czasu upłynęło, zanim łzy przestały płynąć.

Z obrzydzeniem popatrzył na suknię, którą tulił do siebie. Pachniała kobietą, jej potem, jej żądzą. Cisnął sukienkę na podłogę, ściągnął z wieszaków w szafie resztę rzeczy żony i rzucił na stos na podłodze. Potem ściągnął z łóżka jedno z grubych lnianych prześcieradeł i zawinął w nie ubrania żony, buty, nawet te dwa kapelusze. Wyciągnął z szuflady skromną pocerowaną bieliznę i ją także rzucił na stos. Wyniósł to wszystko z pokoju. Z ukochanego pianina żony została tylko gmatwanina zardzewiałych drutów i żelazna rama. Wszystko to leżało nadal w ogrodzie za równiutkimi grządkami warzyw. Thomas rzucił to na to samo

miejsce, oblał naftą i podpalił. Zaczekał do chwili, gdy ostatnia gruba fildekosowa pończocha zamieniła się w popiół. Wtedy wrócił do domu.

Nie udał się po schodach na górę, żeby zobaczyć, jak się czuje Adam. Wszedł do swego gabinetu i stanął nad krzesłem, nad którym kazał chłopcu się pochylić. Patrząc teraz na nie, poczuł wstręt do siebie. Złość, rozpacz, miłość, którą mylił z pożądaniem, a które czuł do swojej żony, były przejawem zła. To były grzechy. Najstraszniejsze grzechy. Jak mógł się opiekować swoją trzodą, karcieć ludzi za ich schodzenie na złą drogę, skoro nie panował nad swoimi własnymi słabościami? Posuwając się po omacku do swego biurka, wziął do ręki pasek, który tu zostawił po sprawieniu synowi łania, i stał tak, patrząc na niego. Wiedział, co musi zrobić.

Zamknął za sobą na klucz drzwi starego kościoła i wszedł do ciemnej nawy. Rozglądał się dookoła, patrzył na szary kamień, z którego zbudowany był budynek, na porządnie ustawione w rzędy krzesła i pusty ołtarz w głębi. Wierzono, że kościół ten stał w tym miejscu ponad tysiąc lat albo coś koło tego, i czasami, kiedy pastor był tu sam, tak jak teraz, czuł wyjątkową świętość tego miejsca. Był wstrząśnięty, gdy odkrył w sobie ten przesąd, ale nie potrafił zrobić nic, żeby się go pozbyć. Wystarczająca ilość światła przenikała przez okna, żeby widział dobrze, posuwając się boczną nawą; gdy doszedł do połowy drogi, wolno usiadł. W prawej ręce trzymał pasek, którym wychłostał syna.

Długo tak siedział wyprostowany, sztywny, z zaciśniętymi pięściami i zamkniętymi oczami, pogrążony w modlitwie do Pana. Ale wiedział, że ten jego Pan żąda od niego czegoś więcej niż modlitwa, żąda, żeby Thomas poniósł karę za swą słabość. Kiedy na niebie zgasły ostatnie promienie, światła, rzucające przez okna blade smugi na stare kamienne ściany i podłogę, Thomas Craig wstał. Doszedł do pierwszego rzędu krzeseł, stanął przed nim i zaczął się rozbierać. Zdjął marynarkę, potem krawat i koszulę. Poskładał wszystko starannie, choć drżał, kiedy zimne powietrze owiewało jego blade ramiona. Chwilę się zawahał, po czym rozbierał się dalej: zdjął buty, skarpetki, spodnie, wszystko skrupulatnie układając w stos. Przez chwilę się zastanawiał, czy powinien zdjąć długie, wełniane kalesony, ale nagie męskie ciało, tak jak kobiece, budziło obrzydzenie w Panu.

Wziął do ręki skórzany pasek.

Ból, jaki sprawiło pierwsze uderzenie, zaparł mu dech w piersiach. Zawahał się, ale tylko na chwilę. Raz za razem unosił do góry ramię i czuł, jak pasek bezlitośnie owija się wokół jego żeber. Po chwili stracił rachubę, przestał liczyć razy, zapamiętał się w bólu, czuł, jak on go oczyszcza, zmywa wszystkie ślady jego nikczemnego grzechu.

Z wolna uderzenia stawały się coraz słabsze. W końcu Thomas padł na kolana na kamienną podłogę i pasek wypadł mu z ręki. Usłyszał szloch i zdał sobie sprawę, że wydobywa się on z jego własnego gardła. Zrozpaczony osunął się na posadzkę i leżał tak na niej wyciągnięty na całą długość, z głową wtuloną w ramiona.

Kiedy Adam się obudził, leżał z twarzą wciśniętą w poduszkę na swoim własnym łóżku. Spróbował się poruszyć, ale krzyknął z bólu, ściskając prześcieradło pod brodą.

- Mamusiu!

Zapomniał, co się stało. Dawniej, kiedy ojciec go zbił, ona zakradała się cichutko na górę po schodach, jodynowała krwawe ślady uderzeń i przynosiła jakieś słodczyce na pocieszenie. Ale nie było jej tutaj, a ból był tym razem dotkliwszy niż kiedykolwiek przedtem. Chłopiec próbował się poruszyć, ale szybko zrezygnował z tych prób i tylko płakał cichutko w poduszkę.

W domu było bardzo cicho. Adam długo leżał spokojnie, aż krew zakrzepła i wyschła, a ubranie przyklepiło mu się do pleców. Potem się zdrzemnął. Raz obudził się nagle, kiedy trzasnęły drzwi gdzieś na dole. Wstrzymał oddech w obawie, że nagle ukaze się ojciec. Kiedy to się nie stało, odprężył się i jeszcze raz sen zagłuszył jego ból.

Potrzeba oddania moczu kazała mu w końcu wstać z łóżka. Poruszając się sztywno, zagryzając wargi, żeby powstrzymać głośny płacz, skierował się do ubikacji. Zamknął drzwi i odpiął spodenki. Był zbyt zeszywniały, żeby się obrócić i obejrzeć pośladki, ale widział siniaki na nogach i krew na bawełnianej bieliźnie. Ten widok przeraził go. Nie wiedział, co począć.

Powlókł się z powrotem do swojej sypialni, wczołgał na łóżko i zasnął. Kiedy

się obudził, było prawie ciemno. Otrzeźwiał, podkraśl się na palcach do szczytu schodów i spojrział w dół. Na dole nie paliła się żadna lampa. Zesztywniały zszedł na palcach na dół. Gabinet ojca stał otworem, ale wewnątrz nie było nikogo. Adam stał przez chwilę na progu, wpatrując się w pusty pokój.

W sieni ściągnął z haka płaszcz przeciwdeszczowy i otulił nim ramiona. Bał się, że może kogoś spotkać, bał się, że ktoś mógłby zobaczyć, co ojciec zrobił, a także lękał się, że ludzie się dowiedzą, jaki był niedobry.

Nie śmiał prawie zapukać znowu do drzwi Jeannie, ale nie wiedział, co innego mógłby zrobić. Kiedy kulejąc zbliżał się ścieżką do jej domu, kręciło mu się w głowie, czuł się tak, jak gdyby jego stopy należały do kogoś innego, bardzo odeń oddalonego. Podniósł rękę do kołatki przy drzwiach, ale chwycił tylko powietrze i upadł do przodu, drapiąc palcami po deskach drzwi. Usłyszał go pies.

- Tego człowieka powinno się zamknąć! - Ken Barron wlewał wodę z rondli ustawionych rzędem na ogniu do wanienki stojącej przy piecu. - Powinien siedzieć w więzieniu.

Jeannie potrząsnęła głową. Wargi miała zaciśnięte.

- Nie, Ken. Niech będzie, jak jest. Sama się tym zajmę. - Kiedy zobaczyła, w jakim chłopiec jest stanie, musiała zwalczyć napływające do oczu łzy.

Kąpiel była jedynym sposobem złagodzenia bólu, więc kazała mu uklęknąć w ubraniu i zaczęła wylewać dzbany wody na jego szczupłe ramiona. Powoli, najpierw z koszuli, potem ze spodenek znikła zakrzepła krew.

Kiedy w końcu rany zostały oczyszczone i Jeannie posmarowała je gencjaną, włożyła chłopcu jedną z czystych koszul swego męża, przeklinając szorstkość płótna, kiedy zauważyła, że Adam krzywi się z bólu. Potem dała mu trochę rosołu i położyła na składanym łóżku w kącie pokoju.

Z tym, co miała do powiedzenia pastorowi, poczeka do rana. Tym razem nie upiecze mu się to, co zrobił swemu synowi.

- Nie bądź niemądra, Jeannie.

Ken nie był do końca przekonany, czy powinien wyperswadować żonie odwiedzenie parafii następnego ranka. Miał ogromny szacunek dla gwałtownych

ataków wściekłości swojej żony.

Jej niebieskie oczy płonęły gniewem.

- Tylko spróbuj mnie powstrzymać! - Stała przed nim z rękami opartymi na biodrach, więc cofnął się pośpiesznie i stanął w drzwiach, obserwując żonę, która trzymając Adama za rękę, pobiegła co sił ulicą.

Frontowe drzwi plebanii były otwarte. Jeannie pociągnęła chłopca za sobą do środka i zatrzymała się w holu, rozglądając się dokoła. W tym domu czuło się zapach nieszczęścia. Brakowało świeżego powietrza i kwiatów. Przeniknął ją dreszcz, kiedy pomyślała o pięknej młodej Angielce, którą Thomasowi udało się jakoś zdobyć, kiedy sposobił się do stanu duchownego, i przywiózł ją tutaj przed piętnastu laty. Susan kochała życie. Miała jasne włosy, śliczne stroje i z początku wysokie pokoje tego dwa wieki liczącego domu rozbrzmiewały jej śpiewem, dźwiękami pianina, na którym pięknie grała. Ale powoli, krok po kroku, on ją zniszczył. Zakazał śpiewać, marszczył z niezadowoleniem czoło, kiedy się śmiała. Pewnego dnia, kiedy żona pojechała autobusem do Perth, kazał komuś wynieść pianino do ogrodu i spalił je, uważając, że w oczach Boga jest to coś obrzydliwego, bo czyż cała ta muzyka nie jest frywolną i niestosowną, jeśli nie gra się jej w kościele? Susan płakała tego wieczora jak dziecko, a Jeannie, wtedy także jeszcze młoda, położyła rękę na jej jasnych włosach, teraz związanych mocno w niekształtny kok, i bezskutecznie próbowała ją pocieszyć.

Adam urodził się dziesięć miesięcy po tym, jak Thomas Craig przywiózł Susan na plebanie. Nie mieli więcej dzieci.

Całe jej życie było związane z tym małym chłopcem, ale Thomas miał także własne poglądy na temat metod wychowawczych: dzieci powinno się widzieć, ale nie powinno się ich słyszeć. Rózczką Duch Święty dziecieczki bić radzi.

Adam był inteligentnym dzieckiem. Z początku chodził do miejscowej szkoły, a teraz do szkoły średniej w Perth. Łatwo się zaprzyjaźniał, ale był zbyt lękliwy i nieśmiały, żeby zaprosić przyjaciół do domu, więc stawał się coraz bardziej samotny i pochłaniały go całkowicie książki i ulubione zajęcia. Jedyne chwile, w których doświadczał w domu szczęścia i miłości, spędzał w kuchni, kiedy udało mu się do

niej wymknąć. Tam właśnie, za zamkniętymi drzwiami, gdy nie widział tego ojciec, matka i serdeczna gospodyni, prowadząca gospodarstwo na plebanii, starały się uczynić życie chłopca szczęśliwym.

Jak wyglądało życie prywatne pastora i jego żony, Jeannie mogła się tylko domyślać. Prychała pogardliwie, kiedy o tym myślała. Człowiek, który potrafił kazać zastrzelić psa za to, że pokrył suczkę na wiejskiej dróżce, tylko dlatego, że zdarzyło się to w niedzielę koło kościoła, człowiek, który kazał wiejskim dziewczętom nosić długie do przegubów dłoni rękawy nawet w lecie, nie był na pewno mężczyzną folgującym swoim seksualnym potrzebom.

Thomas obserwował ich z okna zimnej, pustej jadalni, jak szli przez podwórze. Kiedy stanął na progu twarzą w twarz z nimi, jego wygląd był nieskazitelny: koszula biała i wykrochmalona, twarz bez żadnych oznak bólu, którego doświadczył. Przenosił wzrok z twarzy Jeannie, na której malowała się wojowniczość, napięcie i opanowanie, na bladą twarz syna, który był przerażony i wyczerpany. Pastor nie pozwolił sobie choćby na chwilę słabości.

- Adam, możesz iść do swojego pokoju. Chcę porozmawiać sam z panią Barron.

Szttywno ruszył przodem do swego gabinetu i od razu się odwrócił, zanim Jeannie miała szansę otworzyć usta.

- Chcę, żeby pani podjęła swoją dawną pracę. Muszę mieć kogoś, kto dopilnuje chłopca.

Kiedy usłyszała te słowa, zabrakło jej tchu. Była gotowa stoczyć walkę. Zacisnęła pięści.

- Niewiele brakowało, żebym wezwała do niego wczoraj wieczorem lekarza
- powiedziała wyzywająco.

Szczęki pastora się zacisnęły. Poza tym jego twarz pozostała niewzruszona.

- To się nigdy więcej nie powtórzy, pani Barron.

Na chwilę zapadła cisza, po czym Jeannie uniosła lekko ramiona.

- Rozumiem. - Jeszcze jedna pauza. - A więc pani Craig nie wróci.

- Nie, pani Craig nie wróci. - Kiedy pochylił się do przodu, żeby ukryć swój

ból, kostki palców jego dłoni opartych na biurku zbieleły.

Kawałki podartego listu Susan zniknęły, Jeannie skinęła głową na znak zgody.

- A więc dobrze, pastorze. Podejmę znów swoje dawne obowiązki. Chyba pan rozumie, że robię to dla dobra tego chłopca. Ale to się nie może powtórzyć. Nigdy.

Ich oczy się spotkały i pastor pochylił głowę.

- Dziękuję - powiedział z pokorą.

Długo patrzyła na niego w milczeniu, po czym odwróciła się w stronę drzwi.

- Lepiej pójdę napalić w piecu.

Rozdział drugi

Dni, które teraz nastąpiły, były dla Adama zupełnie inne niż dawniej. Ojciec rzadko się do niego odzywał, a kiedy się odezwał, zachowywał taki dystans, jak gdyby byli uprzejmie się do siebie odnoszącymi, ale obcymi ludźmi. Śniadanie i południowy posiłek chłopiec jadał w kuchni z panią Barron. Kolacje, zawsze zimne, Adam i ojciec spożywali w jadalni, w milczeniu siedząc naprzeciw siebie. Kiedy Thomasa nie było w domu, Adam pakował kolację do jakiejś torby, ładował do plecaka i uciekał na wzgórze.

Wakacje zbliżały się ku końcowi. Za kilka dni znów zacznie się szkoła. Cieszyło go to. Ale coś się zmieniło między nim i jego kolegami, czego nie rozumiał. Pojawiło się jakieś skrępowanie, jakieś lekkie zakłopotanie, chłopcy odnosili się do niego niemal z rezerwą. Nie wiedział, że po całym okręgu rozeszła się wieść, iż pani Craig, żona pastora, uciekła do Edynburga z - domysły były różne - jakimś komiwojażerem, wykładowcą uniwersyteckim (zatrzymał się w Bridge Hotel na dwa tygodnie tego lata) albo francuskim importerem win, który odwiedzał hotel Forest Road nad rzeką i który wyjechał na dwa dni przed zniknięciem pani

Craig. Nic nie zostało wyraźnie powiedziane, ale kiedy Adam spostrzegł, jak Euan i Wee Mikey szepczą za sklepem, i usłyszał ich chichoty, szybko przerwane, kiedy się zbliżył, poczuł, że się czerwieni, i szybko się odwrócił. Zdradzili go. Jego najlepszy przyjaciel Robbie pewnie by go zrozumiał (Robbie był jednym z niewielu przyjaciół, których domy mógł odwiedzać), ale Robbiego przez całe lato nie było w domu, a przed rokiem, po śmierci matki, wyjechał do szkoły z internatem. Tak więc zamiast spotykać się ze swymi przyjaciółmi w ciągu tych ostatnich cennych dni wakacji, Adam sam się bawił i koncentrował myśli na szkole.

Zawsze lubił szkołę i lubił się uczyć. Nie powiedział jeszcze ojcu o swej ambicji, żeby zostać lekarzem, chociaż nie miał powodu, by przypuszczać, że pastor się sprzeciwi. Prawdopodobnie byłby nawet zadowolony. Medycyna to zawód cieszący się szacunkiem. Jednego Adam był absolutnie pewien. Nie chciał wiązać swego życia z Kościołem. Nienawidził niedziel. Nienawidził Biblii, a także straszego poczucia winy, że tak bardzo tego wszystkiego nienawidzi. Tylko jedna część jego obowiązków jako dziecka pastora zawsze mu się podobała, a mianowicie odwiedzanie wraz z matką biednych i chorych parafian. To było coś, co matka robiła niezwykle dobrze, i mimo jej brytyjskich korzeni, wszyscy bardzo ją lubili. Nie zachowywała się protekcyjnie i nie dawała im odczuć, że robi to z łaski. Była wesola, pomocna i nie bała się czasem zakasać rękawów. Ludzie szanowali ją i Adam szybko zrozumiał, że pół godziny spędzone w towarzystwie jego matki znaczy więcej dla chorej kobiety albo zdradzonego męża niż wiele godzin modłów jego ojca. Czasami spotykali podczas tych swoich objazdów doktora Grogana i Adam mógł, kiedy mu na to pozwolono albo gdy siedział niezauważony w kącie pokoju, przyglądać się jego pracy. Miał zaledwie dziesięć lat, kiedy jego zainteresowanie medycyną zaczęło się kształtować.

Nazajutrz po tym, kiedy jego świat zmienił się tak raptownie, Adam z zapakowanym do torby lunchem, a także kolacją, ponieważ pani Barron pojechała autobusem do Perth, żeby zobaczyć się z siostrą, co czyniła co tydzień, ruszył na wzgórze w kierunku rzeźbionego kamienia.

Często myślał o Brid, jej bracie i matce, a także o ich uprzejmości, ale nikomu

o nich nie wspominał. Jego wrodzona naturalność, entuzjazm i radość życia - wszystko to zniknęło. Chłosta i strata matki zmieniły go. Jeannie Barron dostrzegła to i serce jej krwawiło, kiedy obserwowała chłopca. Matkowała mu na tyle, na ile mogła, ale on odsuwał się od niej delikatnie, kiedy go przytulała. Tolerował jej miłość przez grzeczność, nic więcej. Czuł się tak, jak gdyby zamknął jakąś część swej osoby i osłonił ją ochronną muszlą. Ten nowy Adam stał się tajemniczy. O swoich nowych przyjaciółach mógłby powiedzieć matce. A skoro jej nie ma, nie powie nikomu.

To był paskudny, niezwykle wietrzny dzień. Oprócz jedzenia i lornetki, zawieszanej na pasku na szyi, Adam miał ze sobą pudełko ze swymi skarbami, żeby móc zbierać nowe, interesujące okazy do swego muzeum, książkę o ptakach, notes i ołówek. Ze spiżarni ukradł cztery kawałki czekoladowego ciasta. Te trzy dodatkowe porcje były przeznaczone dla Brid i jej rodziny. Wiedział, że pani Barron zauważy, ale wiedział też, że nic nie powie. Ojciec nie wiedział o tym cieście. On niemal na pewno nie pochwaliby takiego luksusu.

Adam zdyszany dotarł do kamiennego krzyża i zdjął torbę z ramienia. Zauważył po drodze trzy ptaki, które chciał opisać w swoim notesie: oczywiście szkocką kuropatkę, skowronka i czyżyka. Wyciągnął zniszczony tom, Odpiawszy szczupłymi palcami klamerkę, na którą zapięta była zewnętrzna kieszeń zielonego brezentowego plecaka, i śliniąc ołówek, żeby pismo było wyraźniejsze, zaczął robić notatki.

Miał zamiar zjeść lunch, obserwować ptaki, a potem, po południu, zejść na dół po odległym stoku wzgórza do chaty Brid.

Z pierwszą częścią planu poszło mu dobrze. Usiadł na kamiennej płycie, oparł się o kamień. Był zwrócony twarzą w kierunku wzgórza porośniętego wrzosem, który miejscami zaczynał już brązowieć. Płował wibrujący fiolet tych kwiatów sprzed kilku tygodni. Adam usłyszał krzyk jakiegoś samotnego orła, więc odłożył na bok trójkątną kanapkę z wieprzowiną, podniósł do oczu lornetkę i popatrzył w kierunku odległych, jakby zawieszonych nad chmurami szczytów gór.

Dopiero gdy zjadł wszystko i wypił połowę imbirowego piwa, schował

porządnie złożony pergamin do plecaka wraz z pozostałymi kawałkami czekoladowego ciasta, wstał i postanowił wyruszyć na poszukiwanie Brid.

Słońce zachodziło. Jego blask padał na wrzosa z dziwnie bezchmurnego nieba. Adam pociągnął nosem. Mieszkał w tej części świata przez całe życie i potrafił bezbłędnie przepowiadać pogodę. Wiatr ustał. Pozostała mu godzina, może dwie, potem dostrzeże mgłę zaczynającą się zbierać w załomach skał i płynącą ponad odległymi szczytami gór, które najpierw staną się ledwo widoczne, a potem znikną zupełnie.

Stał przez chwilę, rozglądając się dookoła, potem opuścił lornetkę i zaczął systematycznie przepatrywać teren u stóp starych szkockich sosen, szukając szlaku prowadzącego do potoku, nad którym mieszkała Brid.

Dostrzegłszy w końcu szlak, którego szukał, ruszył biegiem po zwróconym ku północy stoku wzgórza, pozostawiając za sobą kamienną płytę z wyrzeźbionym na niej krzyżem. Kiedy dotarł do drzew, zatrzymał się na chwilę. Cień, który, jak przypuszczał, powinien być poszukiwanym szlakiem, okazał się tylko cieniem rzucanym przez lekko zmienione ukształtowanie terenu. Zafrasowany, zmarszczył czoło, żałując, że nie zwracał baczniejszej uwagi, którądy idzie, kiedy szedł z Brid.

- Brid! - krzyknął, przyłożywszy stulone dłonie do ust. Krzyk zabrzmiał prawie nieprzyzwoicie w to spokojne popołudnie. Gdzieś w pobliżu jakaś kuropatwa podfrunęła do góry, ostrzegając go skrzekliwie: „Wracaj!”. Stanął bez ruchu. Na horyzoncie punkty orientacyjne znikły jeden po drugim, kiedy przesłaniały je opary mgły.

- Brid! - ponowił próbę. Echo poniosło cicho głos przez dolinę. Rozczarowanie krążyło gdzieś na obrzeżach jego umysłu. Nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak bardzo czekał na to, by znów zobaczyć tę dziewczynkę i jej brata.

Przedzierając się przez ogromne paprocie, zwane orlicą, zaczął się oddalać od szkockich sosen i schodzić na dół. Jakiś załomek skalny wydał mu się znajomy. Jeśli się nie myli, to zaraz znajdzie potok płynący między stromymi brzegami. Przedzierał się teraz przez gęste podszycie, czuł, jak twarde gałązki wrzosa i pióropusze orlicy drapią mu nogi. Nie mógł złapać tchu ze zmęczenia, kiedy w końcu przedarł się

przez ten gąszcz i wy dostał na płaską odkrywkę skalną, gdzie potok, tworząc małe wodospady, płynął po stromych pochyłościach do jeziora na dole, do tego jeziora, w którym Gartnait złapał pstrąga. Zmarszczył czoło. Był pewien, że rozpoznaje to miejsce, a jednak okazało się, że się mylił. Nigdzie nie dostrzegł małej prymitywnej chatki, w której mieszkali i gdzie on spędził tę fatalną noc. Gramolił się po śliskich skałach. To tutaj. Był pewien, że to było tutaj. Rozglądał się dookoła zakłopotany. Trawa była wysoka, rosła bujnie, zraszana przez wodę z wodospadów, ale nie dostrzegł nigdzie śladów ognia.

To oczywiście nie było to miejsce, ale jeśli pójdzie dalej wzdłuż strumyka, znajdzie właściwe. Szukał i szukał, aż zaczęło się robić ciemno. Był coraz bardziej zły na siebie, kiedy tak chodził tam i z powrotem po szczycie wzgórza i wracał wciąż na to samo miejsce.

W końcu musiał zrezygnować. Usiadł i zjadł sam wszystkie kawałki ciasta, po czym stwierdziwszy, że nie ma tu już nic do roboty, ruszył z powrotem ku plebanii, zmęczony, zawiedziony i przygnębiony.

Gdy wszedł do ogrodu, zawahał się nagle. W gabinecie ojca paliło się światło. Okienne były zamknięte, więc nie mógł zajrzeć do środka. Obszedł na palcach dom i dotarłszy do drzwi kuchennych, przekręcił gałkę u drzwi. Z ulgą stwierdził, że drzwi się otworzyły, więc wszedł cicho. Nie zatrzymując się w holu, wbiegł, jak mógł najszybciej, po schodach, a na górze minął swoją oficjalną sypialnię, z której nie korzystał od dnia, kiedy odeszła matka, i wspiał się po węższych schodach na poddasze. Tam zrobił sobie legowisko z ułożonych rzędem starych poduszek, które nakrył jakimś kocem. W ubraniu i w butach rzucił się na to zaimprovizowane posłanie i naciągnąwszy koc na głowę, płakał tak długo, aż zasnął.

Dwie godziny później usłyszał kroki na podeście pod stryżkiem. Obudził się nagle i przez chwilę zastanawiał, co się stało. Nadal był całkowicie ubrany. I wtedy sobie przypomniał.

Nasłuchiwał w napięciu. Znowu jakiś hałas. Odgłos ciężkich kroków. To ojciec. Adam spokojnie wygramolił się z posłania i ruszył w kierunku drzwi. Serce mu waliło. Kroki stawały się coraz głośniejsze i przez chwilę myślał, że ojciec

wchodzi na poddasze. Potem znów się oddaliły i w głowie Adama zaświtała myśl, że ojciec chodzi po sypialni znajdującej się pod nim. Długo się przysłuchiwał, aż w końcu, ostrożnie, żeby nie wywołać najmniejszego hałasu, wśliznął się pod koce i nakrył głowę poduszką.

Nie spał długo. O pierwszym brzasku obudził go śpiew kosa. Wyczołgał się z posłania i podszedł do okna. Dziedziniec kościelny za żywoplotem był pogrążony w mroku. Na wschodzie, ponad wzgórzem, ani jedna jaśniejsza smuga nie zapowiadała zbliżającego się świtu. Powłókł się do okna po drugiej stronie strychu. Z miejsca, w którym stał, mógł niemal dostrzec wysoki stok góry, gdzie stał kamień z wyrzeźbionym krzyżem.

Szybko się zdecydował. Wciągnął gruby sweter na pogniecione podczas snu ubranie i wyszedł z pokoju.

Na podeście przed pokojem rodziców przystanął, wstrzymując oddech. Zza drzwi dochodził ochryply, przerywany szloch. Wsłuchiwał się przez chwilę przerażony, po czym odwrócił się i zbiegł ze schodów.

W kuchni zgarnął resztę czekoladowego ciasta i pudełko herbatników. Wziął też jeszcze jedną butelkę imbirowego piwa, stojącą na zimnej podłodze w spiżarni. Wepchnąwszy to wszystko do plecaka, zatrzymał się na chwilę, chwycił notes pani Barron, w którym robiła listę zakupów, i nagryzmolił w nim: „Poszedłem obserwować ptaki. Proszę się nie martwić”. Oparł tę notatkę o czajnik do herbaty, otworzył kluczem drzwi i wybiegł do ogrodu.

Było bardzo zimno. W ciągu kilku sekund buty przemokły mu od rosy i nogi skostniały z zimna. Wepchnął ręce do kieszeni i pobiegł szybko w kierunku ulicy. Dotarł już na drugą stronę rzeki, do stóp wzgórza, kiedy pierwszy promień słońca prześliznął się między odległymi szczytami górskimi i skąpał rzekę Tay w olśniewającym, zimnym świetle.

Tym razem nie potrzebował szukać Brid. To ona go znalazła, gdy siedział oparty o kamień i jadł na śniadanie ostatni kawałek ciasta.

- A-dam? - Głos dochodzący z tyłu był łagodny, a mimo to Adam omal nie wyskoczył zę skóry.

- Brid!

Patrzyli na siebie bezradnie. Oboje tak bardzo chcieli powiedzieć coś więcej, ale wiedzieli, że to niemożliwe. Dopóki nie znajdą jakiegoś sposobu porozumiewania się, byli bezsilni. W końcu w jakimś natchnieniu, kierowany intuicją, Adam sięgnął ręką do torby i przeklinając się za to, że zjadł całe ciasto, wyjął herbatniki. Wziął do ręki jeden i nieśmiało podał go dziewczynce. Wzięła, powąchała ostrożnie i ugryzła kawałek.

- Herbatnik - powiedział Adam wyraźnie.

Spojrzała na niego z głową lekko przechyloną w jedną stronę i z błyszczącymi oczami potaknęła entuzjastycznie, powtarzając za nim:

- Herbatnik.

- Dobrze? - zapytał, próbując zrobić to na migi. Zachichotała i powtórzyła pytanie:

- Dobrze?

- Gartnait? - zapytał. Miał jeszcze herbatniki dla brata. Wskazała na kamienną płytę.

- Gartnait - powiedziała. Zabrzmiało to jak potwierdzenie. Podskoczyła i pociągnęła Adama za rękę.

Ruszył za nią świadomy, że wraz ze wschodem słońca pojawiła się mgła; snuła się między drzewami i unosiła do góry. Dosięła już kamienia. Adama przeszył dreszcz. Odczuł tę mgłę jak cios fizyczny. Nagle Brid zerknęła przez ramię i dostrzegł niepewność w jej oczach, ale już po chwili to minęło. Mgłę wessało ciepło słońca, a tam, na górze, czekał Gartnait. Siedział przy kamieniu. W jednej ręce trzymał młotek, a w drugiej sztancę.

- Och, słuchaj, nie możesz tego robić! - Adam był wstrząśnięty. Gartnait podniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Powiedz mu, że on nie może tego robić. To jest niezwykle krzyż, ma setki, tysiące lat. Nie wolno go dotykać! On stanowi część historii. - Adam przemawiał do dziewczynki, ale ona go ignorowała. Podawała bratu na dłoni herbatnik.

- Herbatnik - powtórzyła płynnie.

Adam wpatrywał się w tylną stronę krzyża. Zamiast sekwencji wyblakłych wzorów, na które zwykł patrzeć, teraz miał przed sobą wyryte kręgi, złamany miecz w kształcie litery Z, węża, lustro i półksiężyc. Lico kamienia wyglądało jak nowe. Było nietknięte, z wyjątkiem niewielkiej części jednego wzoru, zaczynającego się w rogu, nosiło ślady sztancy, świeże i ostre.

Adam przebiegł palcami po świeżych, czystych krawędziach i usłyszał, że Brid wciąga szybko powietrze. Potrząsnęła głową i odsunęła jego rękę. Znaczenie tego gestu było wyraźne: Nie dotykaj. Zerknęła przez ramię, jakby się bała.

Przez chwilę Adam stał zakłopotany. Krzyż - ten właściwy, stary krzyż - musi być gdzieś tutaj, w tej mgle, i Gartnait go kopiuje. Spojrzał jeszcze raz na pracę młodego człowieka. Zrobiła na nim wrażenie.

Usiedli na chwilę razem i jedli herbatniki, a potem Gartnait znów wziął do ręki dłuto. Pracował teraz nad zawiłym kształtem półksiężyca. Brid chichotała, bo Adam uczył ją nazw roślin i drzew rosnących dokoła. Wtedy właśnie Gartnait przerwał pracę i zaczął nasłuchiwać. Brid umilkła natychmiast. Rozglądała się dookoła przestraszona.

- O co chodzi? - Adam przesunął spojrzenie z jednego na drugie. Brid położyła palec na ustach z oczami utkwionymi w twarzy brata. Adam wyteżył słuch. Nie słyszał nic poza cichym szeptem wiatru w suchych gałązkach wrzosu.

Raptem Gartnait wydał Brid jakiś rozkaz, który pobudził ją do działania. Zerwała się na nogi i chwyciła Adama za przegub dłoni.

- Chodź. Szybko. - Były to słowa, których już ją nauczył.

- Dlaczego? Co się stało? - Był oszołomiony.

- Chodź. - Odciągała go od swego brata w kierunku drzew.

- Brid! - krzyknął za nią Gartnait. Wymamrotał szybko kilka wskazówek, a ona skinęła głową, nadal trzymając kurczowo rękę Adama. Mgła spłynęła z powrotem ze wzgórza, więc zanurzyli się w nią, gdy Adam dostrzegł jakieś dwie postacie zbliżające się z oddali. Najwyraźniej Brid nie chciała, żeby on się z nimi spotkał. W ciągu kilku sekund oboje ukryli się we mgle, a intruzi zniknęli z pola

widzenia. Brid prowadziła pewnie, rozpoznając punkty orientacyjne, których on nie dostrzegał, i niemal natychmiast wyłonili się w pobliżu miejsca, gdzie po raz pierwszy ją zobaczył.

Nerwowo rozglądał się dookoła. Czy na pewno Gartnait i ci dwaj nieznajomi byli tylko kilka kroków od kamienia? Obejrzał się, widział jego kształt wyłaniający się z mroku, muskany teraz promieniami wczesnego porannego słońca. Ani śladu Gartnaita i jego niemile widzianych gości.

- Co to za ludzie? - zapytał Adam na migi.

Brid wzruszyła ramionami. Wyjaśnienie byłoby zbyt skomplikowane, to jasne, poza tym nadal się bała. Pociągnęła go za rękę, przyłożywszy palec do ust, i pobiegli w dół po stoku. Gartnaita nadal nie było nigdzie widać.

Dzień był zmarnowany. Najwyraźniej Brid się bała i chociaż usiadła blisko Adama, kiedy na nią skinął, by podeszła do osłoniętej skały, skąd mogli obserwować nadal skapaną w słońcu dolinę, zaledwie po pięciu minutach zerwała się na nogi.

- Do widzenia, A-dam. - Wzięła go za rękę i lekko nią szarpnęła.

- Czy mogę przyjść tu znów jutro? - Nie potrafił ukryć nuty niepokoju w głosie.

Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Jutro?

Jak powiedzieć na migi „jutro”? On także wzruszył ramionami, pokonany.

Potrząsnęła głową i lekko pomachawszy mu ręką, odwróciła się i cicho pobiegła na wzgórze. Rozczarowany, osunął się z powrotem na ziemię i oparł o skałę.

Nie zjawiała się ani nazajutrz, ani następnego dnia. Znowu dwukrotnie wspinał się na wzgórze i dwa razy szukał przez cały dzień ich chaty i kamienia Gartnaita, ale nie znalazł ani jednego, ani drugiego. Za każdym razem wracał do domu zawiedziony i zaintrygowany.

- Gdzie byłeś cały dzień? - Ojciec siedział naprzeciwko niego w zimnej jadalni.

- Spacerowałem, ojczu. - Chłopiec zacisnął nerwowo ręce na nożu i widelcu

i odłożył sztucę na talerz.

- Spotkałem dzisiaj na poczcie panią Gillespie. Powiedziała, że nie przyszedłeś się pobawić z chłopcami.

- Nie, ojczec. Jak mógł wytłumaczyć te ukośne spojrzenia, chichoty? Z niezwykłym skupieniem przyglądał się szlaczkowi na talerzu, jak gdyby chciał, żeby delikatny wzór z liści bluszczu na jego brzegu na zawsze pozostał na siatkówce jego oka.

- Czy masz zamiar znów zacząć chodzić do szkoły? - dopytywał się nieustępliwie pastor. Miał oczy w czerwonych obwódkach, nabiegłe krwią, a ręce lekko mu drżały. Zjadł z talerza zaledwie połowę i odsunął go na bok, rezygnując z kolacji. Adam nie mógł oderwać oczu od resztek pozostawionych przez ojca. Gdyby on zostawił cokolwiek, pastor wygłosiłby mu wykład na temat marnotrawstwa i kazałby mu pozostać przy stole tak długo, aż wszystko zje. Oburzony, żałował, że nie ma odwagi nic powiedzieć. Atmosfera w pokoju była napięta. Nienawidził tego i w końcu zdał sobie sprawę, że nienawidzi własnego ojca.

Kiedy ojciec zaproponował mu kawałek biszkoptu z kremem, pozostawiony na kredensie, podziękował i siedział nieszczęśliwy, ze spuszczoną głową, pastor zaś najwyraźniej odetchnął z ulgą, że posiłek się skończył, odmówił szybką modlitwę dziękczynną i wstał od stołu.

- Muszę napisać kazanie - powiedział tonem niemal przeprasającym. Adam podniósł wzrok. Kiedy napotkał spojrzenie ojca, na krótko

ogarnęła go nieoczekiwana fala współczucia. Ale już w następnej chwili odwrócił obojętnie wzrok. W końcu to z winy ojca byli tacy nieszczęśliwi.

- A-dam. - Podkraśla się cicho do niego, gdy leżał na trawie, zasłoniwszy ramieniem oczy, żeby nie raził go blask słońca. Odsunął ramię i uśmiechnął się, ale nie usiadł.

- Gdzie byłaś?

- Cześć, A-dam. - Ukłękła obok niego i obsypała mu twarz garścią nasion jakiejś trawy. - A-dam, herbatnik? - wskazała na plecak, który leżał obok niego.

Roześmiał się.

- Jesteś żarłoczna, moja panno, ot, co. - Otworzył plecak i wyjął z niego pudełko z herbatnikami. Ucieszył się, że zapamiętała to słowo. Rozejrzał się dookoła. - Gartnait?

Pokręciła przecząco głową.

Kiedy rozglądał się wokół kamiennego krzyża, żeby się upewnić, czy jej brata nie ma gdzieś w pobliżu, Brid pogroziła mu palcem.

- Nie, A-dam. Nie chodzić tam.

- Czemu nie? Gdzie byłaś? Dlaczego nie mogłem cię znaleźć? Był coraz bardziej zawiedziony, że nie może się z nią porozumieć.

Usiadła obok niego i zaczęła otwierać pudełko z herbatnikami. Odnosił wrażenie, że nie interesuje jej dalsza rozmowa. Oparła się na łokciach i zula miękkie, maślane herbatniki, oblizując wargi. Zamknęła oczy. Przyglądał jej się przez chwilę. Miała ciemne włosy i wyraziste, regularne rysy. Kiedy jej jasne, szare oczy, lekko skośne, były zamknięte, tak jak teraz, na twarzy Brid malował się spokój, ale i stanowczość, kiedy zaś były otwarte, stawała się pełna życia, energii, ciekawa wszystkiego. Srebrne iskierki tańczyły w jej źrenicach, a zaciśnięte, kapryśne usta drgały, kiedy ją coś śmieszyło. Zerkała na niego spod długich, ciemnych rzęs, świadoma, że ją bacznie obserwuje, reagując z instynktowną kokieterią, której nie zauważył z początku. Nagle usiadła.

- A-dam. - Wymawiała teraz jego imię bardziej płynnie, bardziej miękko, ale z tą samą intonacją, która go tak oczarowała.

Raptownie przestał ją obserwować, czując, że się czerwieni.

- Już czas, żebyśmy się nauczyli naszych języków - powiedział stanowczo.
- Wtedy będziemy mogli o wszystkim rozmawiać.

Poruszyła z wdziękiem biodrami, uklękła i wskazała palcem na dolinę i drogę, którą przyszedł.

- A-dam, dużo herbatników - powiedziała przymilnie. Wybuchnął śmiechem.

- Dobrze, będzie więcej herbatników. Jak przyjdę następnym razem.

Nie miał zamiaru iść za nią, ale po prostu nie mógł się powstrzymać. Całe

popołudnie uczył ją nowych słów, zdziwiony jej fenomenalną pamięcią, która utrzymywała bezbłędnie wszystko, co powiedział. Nauczył ją nowych nazw drzew, kwiatów i ptaków. Powiedział, jak się nazywają różne części ubrania, a także ramiona i nogi, głowa i oczy, i włosy, i wszystkie części plecaka. Nauczył ją słów chodzić, siadać i biegać. Powiedział jak się nazywa niebo i słońce, a także jakim słowem określa się śmiech i płacz. I tak sobie „rozmawiali” i chichotali, i zjedli wszystkie herbatniki. W końcu Brid spojrzała do góry, na słońce. Zmarszczyła brwi, wyraźnie zdając sobie sprawę, jak jest późno. Wstała.

- Pa, A-dam.

- Ale pozostało jeszcze wiele godzin do zmroku. Czy musisz iść? Nie potrafił jej zatrzymać. Wzruszyła ramionami, odwróciła się i pomachawszy ręką, zniknęła za kamienną płytą i już jej nie widział.

Zerwał się na nogi.

- Brid, zaczekaj. Kiedy cię zobaczę? Kiedy mam tu znów przyjść?

Nie odpowiedziała. Pobiegł za nią kilka kroków i zatrzymał się zakłopotany. Zniknęła bez śladu. Wrócił do miejsca, gdzie stał, a potem ruszył dokładnie jej śladami. Po południu znów pojawiła się mgła. Stanął z ręką opartą na kamieniu i uważnie patrzył przed siebie. I nagle ją zobaczył. W nikłym blasku słońca zbiegała ze wzgórza. Ruszył biegiem za nią, nie wołając tym razem; celowo śledził ją z pewnej odległości, starając się zapamiętać drogę, którą biegli.

Brid podążała wyraźnym szlakiem; nie pamiętał, żeby widział go przedtem. Zmarszczył brwi, spoglądając na las pod sobą, z prawej strony. To tutaj powinny rosnąć szkockie sosny. Istotnie, dostrzegł je, ale było ich zbyt wiele, dużo więcej, niż zapamiętał, może niezauważone przesunęły się tutaj z innej doliny. To całkiem możliwe. Często nie dostrzega się szczytów i dolin aż do chwili, kiedy się człowiek na nich znajdzie. Nagle zdał sobie sprawę, że Brid szybko znika mu w oddali, więc przyspieszył kroku. Czuł ostry zapach wrzosu, rozgrzanej ziemi i skał. Nad jego głową pisał myszołów i ten pisk stawał się coraz słabszy, w miarę jak ptak unosił się coraz wyżej i wyżej, aż stał się tylko punkcikiem na błękitnie.

Pierwszą rzeczą, jaką Adam zauważył we wsi, była cienka spirala białego

dymu, prawie niewidoczna na tle nieba. Zwolnił trochę, starając się uspokoić oddech. Postanowił być teraz ostrożniejszy. Brid biegła przed nim w podskokach, zupełnie niezażenowana, w odległości około stu metrów, kiedy on dał nura za jakieś niskie krzaki kolcolistu. Nagle się zatrzymała i wydawało mu się, że zrywa jakieś kwiaty, po czym ruszyła dalej, trzymając je w rękę. Wyglądała teraz bardzo ładnie. Zobaczył, że otrzepuje kurz z sukienki, a po chwili ukradkiem przesuwiała palcami po włosach.

Adam wahał się przez chwilę, po czym wynurzył się ze swej kryjówki i przebiegł kilka kroków, i znów się ukrył, tym razem padając na ziemię za jakąś skałą. Stąd zaczął znów obserwować Brid. Jakieś dwie postacie pojawiły się na zakurzonej drodze i Adam widział teraz wieś wyraźniej. Było to zaledwie kilka małych okrągłych domków, stojących dookoła jednego większego, wybudowanego pośrodku. W wyższym mężczyźnie rozpoznał Gartnaita. Młody człowiek zatrzymał się na widok Brid i zaczął na nią. Z jego gestykulacji, a także z wyraźnie przygnębionej miny Brid można było wywnioskować, że jest zły. Adam, który już chciał zerwać się na nogi i ujawnić swoją obecność, nagle zmienił zamiar. Pozostał nadal w pozycji leżącej, z podbródkiem opartym na dłoniach, i patrzył. Ze swego punktu obserwacyjnego widział dokładnie trzy postacie - tej trzeciej nie znał - wolno wracające do wsi. Raz tylko się zatrzymali i przez kilka minut rozprawiali o czymś żywo, zanim w końcu zniknęli mu z oczu w niskich drzwiach jednego z domków.

Długo stał w miejscu, mając nadzieję, że ktoś się znowu pokaże. Kiedy zaś stało się jasne, że nie mają zamiaru wychodzić, zaczął się powoli czołgać, korzystając z tego, że kryją go kępy wysokich, suchych traw, stanowiące jedyną przyzwoitą osłonę, za którą mógł się schować. Raz usłyszał szczekanie psa. Spłaszczyl się, przyciskając nos do suchej ziemi, wdychając jej gorący, słodki zapach, przypominający zapach pieprzu. Po chwili pies przestał szczekać, uciszony krótką komendą. Adam nie rozpoznał, w jakim języku ją wydano.

Czekał, wstrzymując oddech. Nie słyszał żadnego dźwięku, więc uniósł głowę i wtedy zobaczył przed oczami parę sandałów z miękkiej skóry. Przerażony, skoczył na nogi i nagle poczuł, że wisi w powietrzu, trzymany za kołnierz, twarzą w twarz z

wysokim, siwowłosym mężczyzną o ciemnych, dziko patrzących oczach, pięknej orlej twarzy i wąskich ustach. Mężczyzna burkliwym głosem zadał mu jakieś pytanie; Adam wił się rozpaczliwie, na pół zły, na pół przerażony.

- Puść mnie! Nie robię nic złego! Puść mnie! Jestem przyjacielem Brid.

Wymachiwał bezskutecznie pięściami i mężczyzna postawił go na ziemi, przenosząc swój żelazny uścisk na przegub jego ręki. Odwrócił się i ruszył wielkimi krokami w kierunku wsi, ciągnąc Adama za sobą. Chłopiec wyrwał się z całej siły, jego początkowa obawa przekształciła się w prawdziwe przerażenie. Spojrzenie tego człowieka było bezlitosne. Adam dobrze znał takie spojrzenie.

Kiedy szli zakurzonym traktem, który służył za wiejską ulicę, Adam dostrzegał twarze ludzi stojących w drzwiach. Mieszkańcy jeden po drugim wyglądali ze swoich domostw. Smagli, kudłaci mężczyźni, odziani w dziwne, jaskrawe, wełniane lub skórzane bryczesy, wpatrywali się w niego agresywnie. Z tyłu za nimi widział kobiety, przeważnie zakutane w szale, na pół ukryte w ciemnych czeluściach chat. I nagle pojął, kim oni są. To musi być obóz wędrownych druciarzy, naprawiaczy garnków, albo może prawdziwych Cyganów przybyłych skądś z daleka. Widział oczywiście druciarzy we wsi, w domu. Dwa albo trzy razy w roku kilku z nich pojawiała się, koczując nad brzegiem rzeki; lutowali rondle i garnki gospodyniom, ostrzyli noże, a potem, kiedy rządcą stwierdzał, że zbyt wiele łośosi ubyło z rzeki, znikali pewnej nocy wraz ze swymi wozami i kucykami. Adam słyszał, że mają swoje obozy gdzieś na wzgórzach, dokąd przenosili się na zimę, i to właśnie musi być jedno z takich miejsc. Uświadomienie sobie tego faktu pocieszyło go. Gdzieś w zakamarkach umysłu czaiło się niejasne pytanie, skąd Brid pochodzi - jakiś lekki dreszcz obawy, nic poza tym, coś, czego nie potrafił określić. Stwierdzenie, że jest Cyganką, uspokoiło go. Druciarze zawsze byli przyjaźnie nastawieni, lubili dzieci i wszyscy ludzie darzyli ich sympatią. Wszyscy, z wyjątkiem rządcy oczywiście i *ghillies* *.

Rozglądał się dookoła, starając się odnaleźć Brid i Gartnaita, i w końcu ich zauważył gdzieś w tłumie. Odetchnął z ulgą.

* Chłopcy lub mężczyźni, towarzyszący wyprawie na połów ryb lub polowanie (przyp, tłum.).

- Brid! - krzyknął. - Powiedz mu, żeby mnie puścił! - Wił się, próbował ugryźć trzymającą go rękę, ale dostał tylko szturchańca w ucho. Wysoki mężczyzna powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem i przyjrzał się Brid, Wskazał na nią palcem i wydał jakiś rozkaz. Mężczyźni i kobiety stojący wokół niej odstępili do tyłu. Brid była wyraźnie przerażona. Powoli wystąpiła naprzód, przed milczący, obserwujący to wszystko tłum i stanęła przed Adamem.

- Brid, powiedz mu! Powiedz mu, że jestem twoim przyjacielem - błagał Adam. Ucisk ręki mężczyzny na jego ramieniu nie rozluźnił się. Jego głowa, Adam zauważył to po raz pierwszy, była do połowy ogolona, a na czole, pod wiankiem białych włosów, widniały ciemne tatuaże.

Brid pokręciła głową. Zakryła twarz dłońmi i upadła na kolana. Adam widział łzy spływające pomiędzy jej palcami.

- Brid? - Przestał się wrywać pod wrażeniem jej panicznego strachu.

Wtedy Gartnait stanął za nią. Lekko oparł dłonie na ramionach siostry i przemówił spokojnie do wysokiego mężczyzny.

Adam przenosił wzrok z jednego na drugiego. Zauważył, że obaj mają na rękach srebrne bransolety. Gartnait miał poza tym na szyi jakiś wisiołek, a spod płaszcza widać było krótkie rękawy jego tuniki odsłaniające zawile kolorowe tatuaże oraz misternej roboty złotą obręcz ponad łokciem. Dzięki tym ozdobom wyglądał egzotycznie, jak jakiś cudzoziemiec. Niezwykle fascynujące. Adam nadal przesuwiał wzrokiem, od jednego mężczyzny do drugiego. Jego ojciec nie uznawał biżuterii. Myślał o niej z obrzydzeniem, tak jak o wielu rzeczach miłych, zabawnych, pięknych. Matka nie miała nic oprócz ślubnej obrączki. Adam nigdy nie widział mężczyzny, który nosiłby jakąś biżuterię, z wyjątkiem druciarzy we wsi, którzy mieli czasami kolczyki w uszach, i lorda Pittenrossa, właściciela majątku, który chlubił się złotym herbowym sygnetem na małym palcu lewej dłoni. Na Adamie, mimo ogarniającego go lęku, obaj mężczyźni zrobili duże wrażenie.

Prześladowca Adama, słuchając, co mówi Gartnait, zwolnił nieco chwyt i chłopiec skwapliwie skorzystał ze sposobności, żeby uwolnić rękę. Pocierał ją z buntem malującym się na twarzy, rozprostowując ramiona. Czuł się teraz odważniejszy. Uśmiechnął się do Brid, ale ona nadal klęczała, zakrywając dłońmi oczy.

Wysoki mężczyzna wykonał jakiś gest ręką, obrzucając chłopca miażdżącym spojrzeniem, które objęło rozpiętą pod szyją koszulę, szorty, opalone na brąz nogi i zakurzone sandały; i wyciągnął nóż.

Adamowi zaparło dech. Jedna z obserwujących to wszystko kobiet jęknęła. Gartnait nadal przemawiał spokojnie, jak gdyby nic się nie stało, ale zacisnął tak mocno palce na ramionach siostry, że zbieleły mu kostki.

Brid odjęła dłonie od oczu. Była bardzo blada.

Nagle krzyknęła:

- Uciekaj, Adam! Uciekaj!

Adam usłuchał.

Wywinął się jak węgorz z zasięgu ramion prześladowcy, który młócił rękami w powietrzu, i dał nura w tłum. Pędził co sił w nogach, tą samą drogą, którą przyszedł. Jego nagła ucieczka zaskoczyła wszystkich. Stary mężczyzna rozpoczął pościg, ale niemal natychmiast z niego zrezygnował. Poza nim nikt się nie ruszył.

Adam nie czekał, żeby zobaczyć, co się stanie. Ciężko dysząc, pobiegł drogą po kamieniach i kępach wrzосу, skacząc ze skały na skałę nad potokiem, i ześliznął się do wąwozu tak, aby go nie było widać ze wsi. Na dnie wąwozu położył się i leżał spokojnie, starając się wyrównać oddech. Czuł gdzieś w gardle, jak wali mu serce, a nogi mu drżały ze zmęczenia i przeżytego szoku.

Kiedy w końcu podniósł głowę i rozejrzał się dookoła, spodziewał się prawie, że znów ujrzy stojącego nad nim wysokiego mężczyznę. Alenie zobaczył nikogo. Wąwóz był pusty. Gdzieś niedaleko wyśpiewywał kamieńczyk. Jego metaliczny głos powtarzało dziwne, pełne grozy echo, przypominające uderzenia młotka Gartnaita. Adam słyszał też odległą kaskadę żwiru osypującego się po skałach po jego przejściu. Nic poza tym. Wstał i rozejrzał się dokładnie, po czym wspiał się po

skałach na sam wierzchołek i obejrzał za siebie. Nie widział już wsi. Leżała poza zasięgiem jego wzroku, za występem skalnym, a na rozległych łąkach wrzosu i na skałach nie dostrzegł ani śladu pogoni. Nie rozpoznawał też żadnych punktów orientacyjnych.

Wiedział, że aby odnaleźć drogę do domu, musi się kierować na południowy wschód. Spojrzał na słońce, choć po kształcie odległych szczytów gór zorientował się już, którądy powinien iść.

Dopiero gdy słońce skryło się za górę Ben Dearg, musiał się przyznać, że zablądził. Czuł lęk pełzający gdzieś nisko w żołądku. Zbocze wydawało mu się znajome, ale nie mógł dojrzeć kamienia i nie widział niczego znajomego. Szukając oparcia dla stóp wśród krzewów jeżyn i ślizgając się po osypisku, cicho wpełznął na brzeg wąwozu i wyjrzał poza jego krawędź. Zarys wierzchołków odległych gór był taki sam jak zawsze, podobnie jak kontury doliny poniżej, ale nie mógł dojrzeć kamiennej tablicy. W oddali wypatrzył nagle na tle nieba wijącą się wstążkę dymu, co by wskazywało, że tam jest wioska Brid. Wysiłkiem woli nakazał sobie spokój. W końcu penetrował te wzgórza z przyjaciółmi od czasu, gdy był dość duży, żeby się wymykać samemu ze wsi. Co zrobiliby w tej sytuacji jego bohaterowie? Tacy ludzie jak Richard Hannay albo Sexton Blake, Alan Breck albo Scarlet Pimpernel? Nie miał kompasu, ale mógł się posłużyć zegarkiem i orientować po słońcu. Zdecydowanie ruszył przed siebie w kierunku, który, przypuszczał, okaże się właściwy, a przeciwnym do tego, w którym znajdowała się wieś Brid. Miał nadzieję, że cokolwiek tam się wydarzy, ona nie wpadnie w dalsze tarapaty z jego powodu.

Mgła jak widmo snuła się wśród drzew, ale w końcu znalazł kamienny krzyż. To była kopia, nad którą pracował Gartnait. Adam oparł na kamieniu rękę, dotykając palcami ostrych krawędzi rzeźby, spletanego, zawilego wzoru. Gartnait przerwał w połowie rzeźbienie złamanego miecza. Adam wyczuwał palcami płytkie, wybite sztancą kontury rysunku.

Na wschodzie głęboki odcień ametystowego zmierzchu zaczynał się unosić nad doliną. Zamazywał odległości, otulając mrokiem całą okolicę. Adam odszedł parę kroków od kamienia, rozglądając się dookoła za oryginałem krzyża, tym

punktem orientacyjnym, który stał na wzgórzu od tysiąca czterystu lat. Nie pozostał po nim żaden ślad. Powietrze było nieruchome.

Zawiedziony, zrobił kilka kroków do przodu i poczuł nagle dziwny zawrót głowy. Pewnie biegł zbyt szybko. Potknął się, pochylając głowę to w jedną, to w drugą stronę, próbował się uwolnić od lekkiego dzwonienia w uszach. Po chwili dzwonienie ustało i znowu w głowie mu się rozjaśniło. Niżej, u jego stóp, mgła odpłynęła i w oddali zobaczył szare kamienne dachy kuźni i poczty, latarnie oświetlające główną ulicę i tę część stoku nad wodospadami, która ukrywała przed jego wzrokiem plebanię, podczas gdy z tyłu, za nim, na stary kamienny krzyż padł ostatni ukośny promień słońca, ześlizgującego się za horyzont.

Rozdział trzeci

A-dam? - Dotyk ręki na jego ramieniu był lekki jak puch. Wzdrygnął się i usiadł.

- Brid?

Była wiosna. Rozpoczęły się ferie wielkanocne. Miał przed sobą wiele wolnych dni. Adam przyjeżdżał kilka razy do domu jesienią, ale nie natrafił na żadne dowody obecności Brid i Gartnaita. Ani śladu, chociaż szukał uważnie, nędznej chaty ani owej wioski. Zawiedziony, ślęczał w bibliotece nad mapami i różnymi książkami, szukając jakichś informacji na ten temat, ale daremnie, a kiedy śnieg okrył góry, zrezygnował z poszukiwań i skupił się, ku satysfakcji ojca, na podręcznikach szkolnych.

Przestał także mieć nadzieję na jakąś wiadomość od matki. Nie spieszył już na spotkanie listonosza ani nie czekał na niego na schodach, wypatrując go między słupkami poręczy. Jego serce nie biło nadzieją, kiedy rozlegało się pukanie do drzwi.

Czasami nocą płakał z tęsknoty za nią, nakrywając głowę poduszką, by

stłumić szloch. Ojciec nigdy jej nie wspominał, a on nie śmiał zapytać. Nie wiedział, że przysły listy od niej, cztery. Oficjalne listy do męża zawierały prośby o przebaczenie i zrozumienie, a także zapewnienia samotnej, przerażonej i zrozpaczonej kobiety o jej miłości do syna. Wszystko to, nieczytane, łądowało w koszu na śmieci. Powoli rozpacz matki, oddalonej o wiele mil na południe, jej przerażenie, że nigdy już nie zobaczy syna, stawały się coraz większe. Pewnego razu przyjechała autobusem i stała ukryta za żywopłotem, mając nadzieję, że uda jej się go zobaczyć w przelocie. Ale tak się bała, że spostrzeże ją ktoś ze wsi albo, co gorsza, mąż, że z oczami pełnymi łez złapała następny autobus do Perth, a potem wsiadła do pociągu jadącego na południe. Nie wiedziała, że tego dnia Adam wędrował daleko po wzgórzach, zatopiony w marzeniach.

Jeannie Barron wiedziała nie więcej niż Adam. Serce jej pękało, kiedy patrzyła rankami na bladą twarz chłopca i świadczące o rozpaczach okolone czerwonymi obwódkami oczy. Kiedy rozpoczęła się szkoła, wyjeżdżał na rowerze, zanim się rozwidniło, do przystanku autobusowego w Dunkeld, oddalonego o pięć mil, i tam łapał autobus do Perth, pozostawiając rower ukryty za żywopłotem. Kiedy wracał po długim dniu spędzonym w szkole z książkami w tornistrze, znowu po ciemku, nie było mowy o tym, żeby gdzieś pójść. Jadł kolację i udawał się do swojego pokoju.

Pierwszy śnieg zmusił go do pozostania w Perth przez cały tydzień. Mieszkał wtedy u Elli, kuzynki Jeannie Barron, jak zawsze od pierwszego roku, kiedy zaczął chodzić do szkoły.

- Brid! - uśmiechnął się uradowany. - Myślałem, że cię już nigdy nie zobaczę. - Strasznie się o nią bał od chwili, kiedy uciekł z jej wioski. Wspomnienie wysokiego mężczyzny i błyszczącego ostrza jego noża nawiedzało go w koszmarnych snach.

- A-dam, herbatniki. - Usiadła obok niego i sięgnąwszy po jego plecak, grzebała w nim z nadzieją. Była tam jednak tylko książka o ptakach, lornetka, notes i jabłko.

Wzruszył ramionami.

- Nie ma herbatników. Przepraszam.
- Nie ma herbatników. Przepraszam - powtórzyła.
- Zjedz jabłko. - Wyjął je z plecaka i podał jej. Popatrzyła niepewnie na owoc.
- Przecież na pewno wiesz, co to jest. - Wziął od niej jabłko i ugryzł duży kawałek.

Roześmiała się, odebrała mu jabłko i zrobiła to samo: zatopiła w owocu swoje małe ząbki. Tak jak on urosła przez te miesiące, które upłynęły od ich pierwszego spotkania.

- Jabłko dobre - pokiwała głową.
- Brid, dlaczego ten człowiek był taki zły, kiedy przyjechałem do waszej wioski? Kto to był? - starał się dowiedzieć, próbując wyrazić to pytanie na migi.

Spojrzała na niego i przez chwilę wydawało mu się, że zrozumiała. Krótki błysk zrozumienia w jej oczach, nagle napięcie ramion zdradziły ją, ale szybko potrząsnęła głową i z uśmiechem powtórzyła:

- Jabłko dobre.
- Zniechęcony wzruszył ramionami, I wtedy wpadł na pewien pomysł.
- Będę cię uczył angielskiego - oświadczył nagle. - Jak poznasz więcej słów, będziemy mogli swobodnie rozmawiać.

Lekcje trwały całe lato. Adam z plecakiem wyładowanym herbatnikami albo kawałkami czekoladowego ciasta, które natychmiast zdobyło uznanie Brid, spotykał się z nią w długie wieczory i w Weekendy, a potem podczas wakacji. Większość czasu spędzali na południowych stokach wzgórza i wcale nie mieli ochoty pójść do jej wioski. Starał się nakłonić Brid, żeby mu coś powiedziała o owym mężczyźnie, ale wzruszyła tylko ramionami i zmieniła temat. Jednego był pewien: kimkolwiek był, Brid bardzo się go bała. Kilka razy odwiedzili matkę Brid w jej chatce, gdzie, jak odkrył Adam, mieszkała tylko w lecie. Więc Gartnait mógł być gdzieś w pobliżu rzeźby, bo rzeźbienie w tym kamieniu zajmowało mu cały czas. Okazało się, że zimą pracował w warsztacie i miał ludzi do pomocy, ale widać było coś szczególnego w tym rzeźbieniu, coś szczególnego w tym kamieniu, że musiał tak

pracować. Czasami siedzieli całymi godzinami i obserwowali, jak rzeźbi, a on przyłączał się do lekcji języka angielskiego, dłuta, młotki, sztance i pumeks do polerowania odkładając w rzędzie obok siebie.

Brid uczyła się bardzo szybko i była gadatliwa. Prędko pogodziła się z tym, że nie potrafi się porozumieć z przyjacielem we własnym języku. Adam zaś zdążył się już przekonać, sądząc po swoich oplakanych notach z łaciny i francuskiego w szkole, że nauka obcych słów nie należy do jego mocnych stron. Kiedy próbowała go nauczyć czegoś nowego, wydawało mu się, że język ma zawiązany na supeł, i potrafił zapamiętać bardzo niewiele, ale uwielbiał, jak się zaśmiewała do łez, kiedy bezskutecznie ponawiał próby. Brid swą gadatliwością udaremniała mu zadawanie pytań i w końcu Adam przestał ją wypytywać o wioskę i jej mieszkańców. Przypuszczał, że Cyganie są z natury tajemniczy, i tą konkluzją musiał się zadowolić.

Jeannie Barron odkryła, że pieczenie ciasta czekoladowego jest jednym ze sposobów, żeby uszczęśliwić Adama, i piekła je teraz coraz częściej, a dwoje dzieciaków opalało się razem na słońcu, urządając sobie pikniki, i taplało się w strumieniach w okresie upałów. Adam nie podejmował żadnych starań, żeby się spotykać z chłopcami, którzy kiedyś byli jego przyjaciółmi. Nie wiedział i nie obchodziło go to, czy i oni go unikają. Rzadko widywał ojca, który też częściej przebywał teraz do późna poza domem. Gdyby wiedział, że Thomas, pogrążony w bólu, spędza coraz więcej czasu na modlitwach, zamknięty sam w kościele, być może miałby dla niego odrobinę współczucia, może zrozumiałby zagubienie i rozterkę ojca, ale Adam nie dopuszczał do tego, żeby myśli o ojcu zaprzętały w ogóle jego umysł. Teraz w jego życiu były tylko trzy dorosłe osoby, którym ufał: Donald Ferguson, jeden z nauczycieli w szkole, Jeannie Barron i matka Brid, Gemma.

- A-dam, dziś idziemy zobaczyć orły. - Brid uwielbiała oglądać jego książkę o ptakach. Przyglądała się rysunkom na kolejnych stronach i podawała nazwy ptaków w swoim języku. Nazwy, których nie potrafił zapamiętać. Ze zdziwieniem stwierdził, że ona nie umie pisać, więc włączył jeszcze ten przedmiot do lekcji. Uspokajał ją, kiedy niezdarnie trzymała ołówek, chwalił zaś, kiedy ze

zdziwieniem spostrzegł, że umie rysować.

Orły miały gniazdo wysoko na stoku Ben Dearg. Żeby tam dotrzeć, musieli iść kilka godzin, wspinać się po niewiarygodnie stromej skale, brnąć po wrzosowisku, zanim się zatrzymali i ześliznęli do pierwszej z głębokich górskich dolin, która ciągnęła się ze wschodu na zachód przez torfowisko. W połowie drogi, niedaleko podnóża skalnej ściany, potok brązowej wody spadał kaskadą nad urwiskiem do okrągłego jeziora, po czym spływał w dół po zboczu. Kiedy dotarli na skraj urwiska, kilka wystraszonych jeleni podniosło głowy i przyglądało im się przez chwilę; w końcu uciekły i znikły im z oczu.

Adam uśmiechnął się do Brid. Miała na sobie, tak jak zwykle, prostą tunikę, tym razem ufarbowaną na kolor błękitny i zielony, przewiazaną w talii skórzanym paskiem, przy którym nosiła przydający się czasem nóż. Na nogach miała sandały nie zapinane na klamerki, tak jak jego, ale przymocowane w kostkach długimi, podobnymi do tasiemek rzemykami. Długie włosy upięła z tyłu i przymocowała srebrną klamrą.

- Przestraszyliśmy ich.

Przytaknęła. Pierwsza dotarła do jeziora, zatrzymała się przy nim i czekała na niego. Adam ukląkł i pochylił się nad wodą. Spryskał sobie twarz.

- Możemy tutaj popływać - uśmiechnął się. - Jest głęboko. Zobacz.

Popatrzyła niepewnie najpierw na niego, a potem na ciemną wodę.

- Tutaj nie wolno pływać.

- Dlaczego? Taplasz się przecież w tym strumyku. Tutaj nie jest tak głęboko. Pokażę ci.

Zanim zdążyła go powstrzymać, zdjął przez głowę koszulę i ściągnął spodenki. W samych kąpielówkach zanurzył się w brązowej wodzie. Była lodowato zimna i dużo głębsza. Przepłynął kawałek pod wodą, dotarł do pionowej skały w odległym końcu, odwrócił się, zanurkował i wypłynął sapiąc na powierzchnię.

- A-dam! - Brid klęczała na skale na brzegu jeziora. Była teraz wściekła. Wyciągnęła do niego ręce.

- Wychodź. Nie wolno ci tu pływać.

- Dlaczego? - Potrząsnął głową, bo włosy zasłaniały mu oczy, i podpłynął do niej przez jeziorko. - Hej, co się stało?

Ciągnęła go za ramię.

- Wychodź! Wychodź! Wychodź szybko! - Tupnęła nogą.

- O co chodzi, Brid? Co się stało? - Podciągnął się na brzeg tuż koło niej. - Nie boisz się chyba?

- A-dam. Nie zapłaciłeś Pani tego Jeziora - szeptała ze złością.

- Pani? - Popatrzył na nią bacznie. - O czym ty mówisz?

- O Pani tego Jeziora. Ona w nim mieszka. Pilnuje go.

Adam patrzył na nią przez chwilę zaintrygowany, po czym coś mu zaświtało w głowie.

- Tak jak *cailleach*. O to ci chodzi? O tę starą wiedźmę. Ducha. Brid, chyba w to nie wierzysz? To grzech. Biblia tego zabrania. - Adam był wstrząśnięty.

Potrząsnęła głową. Nie rozumiała go. Podeszła do plecaka, który leżał na ziemi w cieniu skały. Grzebała w nim, aż znalazła owinięte w pergamin ciasto. Rozwinęła papier, wyciągnęła nóż i starannie przekroiła ciasto na trzy części.

- Dla A-dama i dla Brid. Dla Pani Jeziora - wskazywała palcem po kolei wszystkie kawałki. Wzięła jeden do ręki, podeszła do brzegu jeziora, wspięła się po skałach, które były śliskie od rozpylonej na nich wody, aż dotarła w pobliże wodospadu. Krusząc ciasto w palcach, powoli wrzucała je do wody poniżej kaskady, nucąc coś szeptem.

Skończywszy, stała przez chwilę bez ruchu, rozglądając się niespokojnie dookoła, jak gdyby czekała na jakiś znak, że jej ofiara została przyjęta.

- Brid! - Adam był przerażony.

Uciszyła go nagłym gestem, nadal badawczo obserwując wodę. I nagle wskazała coś palcem. Dostrzegł niewielki cień, który błysnął nagle w wodzie i znikł.

- To był pstrąg - powiedział oburzony.

Pokręciła przecząco głową. Jej nastrój błyskawicznie się zmienił. Klasnęła w ręce i roześmiała się radośnie.

- Pstrąg, posłaniec Pani Jeziora - zawołała. Skoczyła z powrotem na brzeg.

- Pani Jeziora jest zadowolona. Teraz popływamy. - Usiadła i zaczęła rozwiązywać rzemyki u sandałów.

Pod tuniką Brid była naga. Stała przez chwilę na skale. Jej jasne ciało stanowiło wyraźny kontrast z opalonymi ramionami i nogami. Skoczyła do wody i krzyknęła zachwycona.

Adam stał bez ruchu. Wstrzymał oddech. Widywał czasami maleńkie siostry swych kolegów bez ubrania, kiedy matki kąpały je przed ogniem. Zawsze wtedy odwracał oczy, żeby nie patrzeć na szokującą nagą szczelinę między ich nogami. Nadal poważnie zamierzał zostać lekarzem, ale nigdy przedtem nie widział starszej dziewczynki czy kobiety bez ubrania. A teraz ta smukła dziewczyna, właściwie już kobieta, stała całkiem nieskrępowana naga na skale. Zanim skoczyła do wody, dostrzegł jej małe jędrne piersi, ciemny puch włosów między nogami, prowokacyjnie zaokrąglone biodra i pośladki.

Nigdy się dotąd nie zastanawiał, ile Brid może mieć lat. Przypuszczał, że tyle mniej więcej co on, ale była jego przyjaciółką, jego kumpelką. Nigdy nawet przez chwilę nie myślał, że jest taka sama jak te chichoczące dziewczynki z Pittenross albo Dunkeld; ale ciało, ku jego wielkiemu zakłopotaniu, samo zareagowało.

Stał bez ruchu, upokorzony, woda z niego ściekała, tworząc kałuże wokół stóp. Brid odrzuciła do tyłu włosy, uwolnione ze srebrnej klamry, i dreptała po wodzie wokół niego.

- Chodź, A-dam - zawołała. - Wejdz do wody. Przyjemnie.

Uśmiechnął się niepewnie, z oczami utkwionymi w jej piersiach i wodzie spływającej z ramion. Ciemne kosmyki włosów przylepiły się do białych pleców.

- Chodź. - Nagle zdała sobie sprawę, jakie na nim robi wrażenie, i jej uśmiech stał się prowokujący. Przeciągnęła palcami po swym ciele, zatrzymując je na chwilę na zuchwale sterczących brodawkach, po czym przesunęła je w dół do bioder. - A-dam, chodź. - Jej głos nabrał głębszych, rozkazujących tonów. Chłopak wahał się tylko chwilę.

Zimna woda otrzeźwiła go natychmiast. Prychając płynął ku odległemu krańcowi jeziora. Okrążył Brid i dał nurka pod samym wodospadem. Hałas był

ogłuszający, Adama spowijał lodowaty prąd, opływał, ogłuszał. Chłopiec posuwał się po głębokiej wodzie, dotykając nogami dna pod wodospadem. Uniósł do góry twarz, czując nad sobą grzmiącą potęgę. Dławiła go, dusiła, zatapiała. Nagle opuścił głowę, zanurzył ją na chwilę, a potem wychylił nad wodę i chwycił powietrze, próbując uspokoić oddech.

Brid podплыnęła do niego zaniepokojona.

- A-dam? Nic ci się nie stało? - Zimnymi palcami dotknęła jego ramienia, przyciągając do siebie z całych sił, poczuł jej nagie uda tuż przy swoich pod wodą. Zareagował tak, jakby go to oparzyło. Krzyknął głośno, odwrócił się i wymachując rękami, popłynął ku brzegowi jeziora. Wciągnął się na skałę i leżał tam przez chwilę na wznak, łapiąc oddech.

Przypłynęła za nim, uklękła obok, woda kapiała jej z piersi.

- A-dam, co się stało? Napileś się wody? - Jedną rękę opierała na jego ramieniu, drugą na brzuchu, delikatnie, z troską. - Biedny A-dam. Dostałeś się pod wodospad. Tylko Pani Jeziora może tam wchodzić. Ona się gniewała na ciebie.

Adam otworzył oczy.

- Nie istnieje żadna Pani Jeziora, Brid - szepnął. - To niedobrze mówić coś takiego. To grzech. Pójdiesz do piekła, jak będziesz wierzyć w takie rzeczy.

- Do piekła? - Klęczała obok niego, zaintrygowana. Długie włosy skromnie zasłaniały jej piersi.

- Piekło. Hades. Inferno - wyliczał Adam z rosnącą rozpaczą. - Brid, czy ty słyszałaś o naszym Panu, o Jezusie?

- Och, Jezus - uśmiechnęła się. - Columcille mówiła o Jezusie.

Broichanowi to się nie podobało. Brude, król, on lubi Jezusa.

- Król? - Adam był oszołomiony zalewem tych obcych imion. Słońce świeciło mu prosto w oczy, kiedy leżał na tej rozgrzanej skałe. Ciemna sylwetka Brid pochylała się nad nim. - Masz na myśli króla Jerzego?

- Króla Brude - powiedziała stanowczo. - Pani Jeziora ukarała cię, A-dam. Ona sprawiła, że nałykałeś się wody. Musisz dać jej prezent. Powiedzieć: przepraszam.

- Nie mam zamiaru przeproszać pogańskiego ducha - powiedział gniewnie.

Chciał usiąść, ale z zadziwiającą siłą pchnęła go z powrotem na skałę.

- A-dam, przeproś ją, bo każe cię zabić.

Poznała słowo „zabić”, kiedy znaleźli u stóp skalnego urwiska jelenia ze skreconym karkiem. Zdziwiło go, że Brid rozplakała się i delikatnie głaszcząc szorstką, rudobrazową sierść na nosie umierającego zwierzęcia, trzymając jego głowę w ramionach.

- Ona nie może mnie zabić. - Przeszył go dreszcz, na ciele pojawiła się gęsia skórka.

Pokiwała głową. Na jej twarzy malowała się taka wściekłość, że Adam niemal zdrętwiał z przerażenia.

- Może. Ja służę Pani Jeziora. Znam ją. Ja cię zabiję, jeśli mnie poprosi, żebym to zrobiła. Ona jest bardzo zagniewana. Wtargnąłeś do jej bardzo szczególnego miejsca. Musisz jej oddać swój kawałek ciasta.

- Brid, jesteś szalona! - Powiedziawszy to, zastanawiał się przez ułamek sekundy, czy to prawda. Przerażała go. W jej oczach było coś dziwnie nieustępliwego, coś, czego nie spostrzegł nigdy przedtem. Kawałek ciasta nie uspokoi jakiegoś ducha w wodzie, nawet jeśli on istnieje, a przecież nie istnieje. Spróbował znów usiąść i tym razem Brid mu na to pozwoliła. Z wdziękiem się podniosła i stanęła przed nim.

- A-dam, proszę. Daj jej jakiś prezent. - W jej głosie pojawił się nowy, głęboki ton. - Cokolwiek. Daj jej swój zegarek. - Brid nigdy dotąd nie widziała zegarka i była nim zachwycona.

- Nie dam. - Spróbował się uśmiechnąć. - Wolę jej dać ciasto.

- Więc daj jej ciasto - powiedziała stanowczo, krzyżując ramiona na piersiach.

Spojrzenie Adama przesunęło się na nie, z trudem je oderwał i spojrzał dziewczynie w twarz.

- Dobrze, jeśli to cię uszczęśliwi, wyrzucę ten mój kawałek ciasta.

- Nie wyrzucaj, A-dam. Daj go Pani Jeziora. - Była nieugięta.

- Brid...
- Daj jej, A-dam, albo pozwolę, żeby cię zabiła.

Powiedziała to z taką powagą, że popatrzył na nią ze zgrozą. W ciągu kilku chwil przeistoczyła się z prowokacyjnej kobiety - dziecka w oszalałą z wściekłości megierę, w kogoś z autorytetem równym autorytetowi jego szkolnych nauczycieli. Kręcąc głową, wstrząśnięty i zaniepokojony, pochylił się i potulnie sięgnął do plecaka. Wyjął dwa pozostałe kawałki ciasta i z jednym z nich w ręku podszedł do brzegu jeziora. Brid obserwowała w milczeniu, jak stojąc koło niej, uroczyście pokruszył ciasto i wrzucił do jeziora.

- No, masz. Zadowolona? - Czuł się oszukany, cieszył się na to ciasto, a jednocześnie uważał, że i on jest winien, i był przerażony. To przez Brid złożył ofiarę jakiejś pogańskiej, cygańskiej bogini, a robiąc to naraził na niebezpieczeństwo swoją nieśmiertelną duszę. Usiadł na skałach na brzegu jeziora i obejmując ramionami wrzecionowate golenie, oparł brodę na kolanach.

Brid zerknęła na niego.

- A-dam? - W jej głosie nie było już gniewu. Teraz spytała łagodnie i niepewnie: - A-dam, dlaczego jesteś zły?

- Nie jestem zły. - Nie chciał na nią patrzeć.

- Pani Jeziora teraz szczęśliwa. Ona zje swoje ciasto. Przesunął się trochę tak, że był teraz odwrócony do niej plecami. Usłyszał ciche westchnienie, a potem delikatny szelest papieru. Obejrzał się.

- A-dam zje ciasto Brid - powiedziała, podając mu ostatni kawałek.

- Nie chcę. - Zagniewany, znowu odwrócił się do niej tyłem.

- Proszę, A-dam. - Zabrzmiało to tak smutnie, że nagle zrobiło mu się jej żal. Odwrócił się.

- No więc zjem malutki kawałeczek - powiedział takim tonem, jakby jej robił łaskę. Wyciągnął rękę i odłamał kawałek ciasta leżącego na papierze na jej dłoni.

- Podzielimy się. - Z uśmiechem usiadła koło niego na skale i przełamała na pół pozostały kawałek. Wepchnęła do ust swoją porcję i zjadała ze smakiem.

Promienie słońca igrały na jej skórze, ogrzewały, wygładzały gęsią skórę w miejscach, gdzie wiatr musnął ją swymi zimnymi palcami. Adam odwrócił wzrok i starał się skoncentrować z całych sił na cieście w swoich ustach, przyciskając zębami do języka słodki przysmak, delektując się maślaną kruszonką.

- Dobrze? - Brid uśmiechnęła się do niego. Końce jej włosów wyschły i wiły się na ramionach.

- Dobrze - przytaknął. Leżał na plecach na skale, osłaniając oczy przed słońcem. - Lepiej ubierzmy się i ruszajmy, jeśli chcemy zobaczyć orły. - Mimo że powiedział te słowa, nie chciało mu się nigdzie iść, pragnął pozostać tutaj na zawsze z tą piękną nagą dziewczyną.

Siedziała zamyślona, wpatrzona w wodę.

- Jutro zobaczymy orły - odezwała się w końcu. Bardzo trudno ją było nauczyć, co znaczy słowo „jutro”. I „wczoraj”. - Zostajemy tu i pływamy.

Potaknął sennie.

- Dobrze.

Patrzyła teraz na niego z lekkim uśmiechem. Opalił się. Blizny na plecach po laniu, jakie dostał od ojca, znikły. Był smukłym, zgrabnym, przystojnym chłopcem. Jego ramiona, w miarę dojrzewania, stawały się coraz szersze. Brid pochyliła się nad nim i położyła mu lekko rękę na piersi. Zesztywniał; pochylała się coraz niżej, jej włosy, nadal zimne i wilgotne, muskały brodawki jego piersi; a potem przesunęła rękę niżej, w kierunku brzucha.

- A-dam? - powiedziała cicho. Delikatnie odsunęła jego ramię zakrywające oczy i wtedy spojrzał wstrząśnięty prosto w twarz dziewczyny, oddaloną tylko o kilka cali od jego twarzy. Nadal się uśmiechała i dotykała jego ramion, potem piersi, a w końcu przesunęła dłonie niżej, aż do podbrzusza. Chwycił ją za przegub.

- Brid, przestań.

- A-dam - Szepnęła. Uwolniła dłoń. - A-dam zamyka oczy.

Wpatrywał się w nią znieruchomiały, zatopił wzrok w głębi jej srebrzyście połyskujących oczu. Powinien się ruszyć, powinien wstać i wrócić do domu.

Mignęła mu na moment rozwścieczona twarz ojca i poczuł, jak przeszywa go, niby

strzała, paniczny lęk. Ale pragnął zostać. Bardziej niż cokolwiek pragnął zostać dokładnie tu, gdzie był.

- A-dam zamyka oczy - szepnęła znowu. Uśmiechnęła się i jej szare tęczówki pociemniały, a oczy stały się głębokie i tajemnicze. Przyłożyła palec do ust. Niezdolny się poruszyć, zamknął oczy i wstrzymał oddech.

Jej pocałunek był lekki jak puch. Miał smak chłodnej czystej wody i czekolady i sprawił, że ciało chłopca przeszył intensywny spazm rozkoszy.

- Przyjemnie, A-dam? - spytała cicho. Dotykała teraz jego piersi, bawiąc się brodawkami. Jego zmysły zaczynały reagować. Nie wiedział, czy ma się skoncentrować na ustach, czy na piersiach, czy też na innych częściach ciała, czuł bowiem, że ona pochyla się coraz niżej, jej skóra, zimna i czysta po kąpielu w jeziorze, dotyka jego skóry i parzy jak ogień. Ręce dziewczynki przesunęły się jeszcze niżej, delikatnie ściągały slipki. Chciał zaprotestować i wtedy jej usta znalazły się na jego ustach, a język zaczął się prowokacyjnie poruszać między zębami. Nie potrafił jej odepchnąć. Nagle zalała go fala uczucia i przestał nad sobą panować. Z jękiem przyciągnął twarz Brid bliżej do swojej, odpowiadając na jej pocałunki, i próbował wydostać się spod niej, aby móc przykryć ją wreszcie swym ciałem i wśliznąć między jej rozchylone uda.

- Brid! - jęknął.

Dotykał jej piersi, a Brid ciężko oddychała, gdy uciskał je coraz mocniej.

- Brid!

Ekstaza, którą przeżył, kiedy w nią wszedł, wyczerpała go i leżał teraz, z trudem łapiąc oddech. Przez chwilę Brid także leżała spokojnie, patrząc gdzieś w bok, na błyszczący błękit nieba, a potem nagle jednym szybkim ruchem wysunęła się spod niego i z wdziękiem stanęła na nogi. Stała tak, zamyślona, a on położył się na boku i patrzył na nią sennym wzrokiem. Przez chwilę, kiedy przytrzymała na sobie jego wzrok, poczuł nagłą falę lęku. Płynąca od tej dziewczyny siła była jak prawdziwe uderzenie.

- Dobrze było, A-dam. Przyjemnie. Teraz A-dam jest mój. Na zawsze. - Ich oczy wydawały się połączone ze sobą i Adam bał się, że jego lęk przekształci się w

panikę. Czuł, jak wali mu puls, a płuca rozsadza powstrzymywany oddech. Ale po chwili to minęło. Brid uciekła spojrzeniem i roześmiała się.

- A-dam zmęczony!

Podeszła do brzegu jeziora i skoczyła do wody.

Adam zamknął oczy. Serce waliło mu w piersi, był zupełnie wyczerpany.

Ocknął się, kiedy lodowato zimną wodą spryskała mu twarz.

- A-dam śpi - powiedziała z szelmowskim uśmiechem. Stała nad nim ociekająca wodą, z dłońmi wciąż złożonymi w łódkę. Widział za nią zachodzące słońce, którego blask tworzył wokół dziewczyny błyszczącą, czerwonożłotą aureolę. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak długo tu są., Usiadł powoli, a Brid osunęła się na kolana obok niego.

- A-dam szczęśliwy? - Była tak pełna życia, taka podniecona. Widział w niej pewną dzikość, a jednocześnie spokój, coś niewytłumaczalnie przerażającego.

Skinął głową, oniemiały ze zdumienia. Schyliła się ponad nim i sięgnęła po plecak.

- Brid głodna. - Szperała w plecaku, szukała między notesem, książką o ptakach i lornetką. W końcu potrząsnęła głową i powiedziała płacząco: - Nie ma ciasta.

Roześmiał się i czar wreszcie prysnął.

- Nie ma ciasta. To twoja wina. Wrzuciłaś je do wodospadu.

Zerwał się na nogi, pobiegł do jeziora i rzucił się do wody. Była cudownie chłodna i czysta, splukiwała przerażenie i obrzydzenie, które czaiły się gdzieś na obrzeżach umysłu. Przeplłynął całą długość jeziora tak szybko, jak tylko potrafił, a kiedy zawrócił, zauważył, że Brid już się ubrała. Wyjęła dłońmi włosy i upięła je srebrną klamrą na czubku głowy. Kiedy dopłynął do brzegu, dokonała się w niej już gwałtowna przemiana: z gwałtownej, wymagającej kobiety w głodne dziecko.

- Idziemy do mamy. Ona da nam chleba. Adam skinął głową.

- Lepiej się pospieszmy. Robi się ciemno.

Teraz, kiedy Brid była już całkowicie ubrana, jego lęk ustąpił, a wzmógł się wstyd i zakłopotanie. Nie chciał, żeby widziała go nagiego. Chciał, żeby się

odwróciła, gdy będzie wychodził z wody, ale ona stała nieporuszona, przyglądając mu się.

- Pospiesz się, A-dam.

- Już idę. - Zaczął wychodzić z wody.

Ale ona już na niego nie patrzyła. Jej oczy utkwione były w odległej górskiej dolinie, gdzie mgła pięła się ku górze wśród drzew.

- Pospiesz się, A-dam. Idziemy.

Nie miał zamiaru pozostać całą noc. Chciał odnaleźć w ciemności drogę do domu. Ale piec matki Brid był taki ciepły, a on był taki zmęczony. Kilka razy się zdrzemnął oparty o szorstką ścianę domu i w końcu zasnął na dobre. Brid uśmiechnęła się do matki, potem wzruszyła ramionami i roześmiała głośno. Okryły go kocem i pozostawiły, a same skuliły się na posłaniu z pociętego wrzosu, nakrytego owczym runem, odwróciły tyłem do drzwi i też zapadły w zdrowy sen.

Adam obudził się raptownie. W chacie było zimno, ogień przygasł pod kostkami torfu, kamienna ściana za jego plecami była mokra od skroplonej wody. Brid i matka nadal spały, ale jego coś obudziło. Ostrożnie zsunął wełniany koc, którym go okryły, i wstał. Trafił jakoś do drzwi, odgarnął na bok skórzaną zasłonę, stanowiącą o tej porze roku jedyne zabezpieczenie, i wyszedł w zimny, zasnuty białą mgłą brzask.

Przeszedł na palcach na przełaj do strumyka, ukląkł i właśnie spryskiwał wodą twarz, kiedy usłyszał za sobą pobrzękiwanie metalu na kamieniu. Odwrócił się, odgarnął z twarzy ociekające wodą włosy i rozejrzał się dookoła. Po paru sekundach jakieś szare ludzkie postacie pojawiły się w zasięgu jego wzroku i zobaczył dwóch mężczyzn prowadzących konie w kierunku chaty. Pozostał nad strumykiem i nagle poczuł lęk. Jedną z tych postaci był Gartnait, na pewno. W drugim zaś - pochylił się do przodu, mrużąc oczy, i wtedy niemal dech mu zapało - w drugim rozpoznał wysokiego, chudego mężczyznę, który to groził w wiosce Brid. Rozejrzał się dookoła, rozpaczliwie szukając jakiejś kryjówki, ale nie dostrzegł niczego, co mogłoby nią być, z wyjątkiem mgły.

- Brid? Matko? Nie śpicie już? - Głos Gartnaita zabrzmiał szokująco głośno

w tej ciszy. Choć Adam nie potrafił mówić w ich języku, rozumiał go na tyle dobrze, żeby śledzić z uwagą, co mówią.

- Mamy gościa. Nie widział chaty, ale w chwilę potem usłyszał szuranie stóp i podniecony głos matki Brid, która wykrzykiwała słowa powitania, niemal identyczne z tymi, jakich użyła kiedyś, witając Adama.

- Szanowny bracie, witaj w naszym domu i sercu. Siadaj. Tutaj. Przyniosę stawę.

„Brat” to było szczególne słowo, które Adam znał. Zmarszczył brwi. Czy był to zwyczajowy zwrot, czy istotnie znaczył, że ten mężczyzna jest wujem Brid? Jeśli tak, dlaczego, u licha, mu nie powiedziała?

- Broichan przybył, żeby zobaczyć moje rzeźby, matko. - Głos Gartnaita, jak zwykle donośny, łatwo do niego docierał. - Gdzie moja siostra?

- Zaraz przyjdzie. Poszła po chleb i piwo dla naszego gościa. Adam potrafił sobie wyobrazić ich zdziwienie. Zastanawiał się, co by się stało, gdyby tu pozostał, i jaką odczuliby ulgę, kiedy by sobie zdali sprawę, że odszedł.

Musi iść. Lada chwila mgła może zniknąć, może ją porwać na strzępy poranny wiatr albo zostanie wessana przez słońce, gdy tylko wzejdzie ono ponad górami. Jakaś postać ukazała się i znów znikła; to Gartnait prowadził konie, żeby je przywiązać do drzewa, które nazywali „punktem obserwacyjnym”.

Adam wstał ostrożnie. Odstąpił o krok od strumyka i stanął na świeżej trawie, która rosła tu bujnie, spryskiwana wodą płynącą po skałach. Gdyby zdołał dotrzeć do drzew, stanowiłyby one wspaniałe schronienie; mógłby zniknąć w dolinie górskiej i odejść, zanim nastanie dzień.

Zrobił jeszcze jeden krok. I zamarł z przerażenia. Jakiś głos, silny i głęboki, zabrzmiał tak blisko, że pomyślał, iż ten człowiek stoi obok niego.

- Król wciąż przyjmuje chrześcijan w Craig Phadraig. Rozkazał, żebyśmy ustawiali takie krzyże w całym królestwie, żeby uspokoić Jezusa Boga. On wierzy, że Columcille posiada moc pokonania mojej rodziny.

- Ależ on się na pewno myli, wuju - zaprotestował Gartnait załamującym się głosem. Opary białej mgły przesunęły się nieco i przez chwilę Adam widział

dwóch mężczyzn stojących przed chatą. Na widok odwróconego plecami Broichana zapragnął gorąco stać się niewidzialny.

- Rzeczywiście, myli się. Rozpętywałem burze, żeby rozszczeplić drzewa u jego stóp, pragnąłem zatopić jego łódź, zabić jego konia. - Broichan wciągnął powietrze przez zęby. - On wzywa swojego boga, żeby konkurował z moim i z królem, chce go ugłaskać w imię gościnności, powstrzymuje moją rękę. Niech tak będzie. Na razie. Nadejdzie dzień, kiedy nie ośmieli się pozostać dłużej pod królewskim dachem. Zabiję go jak muchę. - Walnął się dłonią w udo, aż Adam podskoczył. Wystarczyłoby, żeby Broichan przesunął się odrobinę, i zobaczyłby go.

Jakiś zbłąkany kłęb mgły nadpłynął ku mężczyznom i to wystarczyło Adamowi. Wstrzymując oddech, zrobił dwa, potem trzy szybkie kroki w kierunku drzew. W pobliżu dostrzegł bryłę twardej skały magnezowej. Dopadł do niej i przykucnął z ulgą. Głosy znów przyplęły do niego.

- Musisz wyciąć ten krzyż po drugiej stronie tego świętego kamienia, Gartnait. Pokaż mi swoje wzory, ja wybiorę. Nie zaszkodzi to nikomu, a spodoba się królowi i jego gościom. Później będziemy służyć naszym bogom i pokażemy, że są silniejsi, kiedy ja rozszczeplę góry siłą mojego gniewu. A mała Brid mi pomoże. - Broichan wyciągnął rękę, żeby dotknąć policzka Brid.

Adam widział ją teraz ze swej kryjówki. Wstrzymał oddech i skóra mu ścierpła, kiedy zobaczył, jak ręka mężczyzny nie może się oderwać od twarzy Brid i dotyka jej długimi, zakrzywionymi palcami. Ona trzymała jeden ze srebrnych talerzy, które Gartnait wygrawerował dla swojej matki, i częstowała czymś gościa. Mężczyzna przyjął poczęstunek i Adam zobaczył, jak wkłada coś do ust. Przez chwilę stał zapatrzony w tę rozgrywającą się przed nim w milczeniu scenkę, potem jednak mgła znów przyplęła i już nic nie widział. Nie wahając się dłużej, cicho skoczył ku drzewom, ukrył między nimi i szybko ruszył pod górę.

Na kamień padły pierwsze promienie słońca. Kiedy Adam dotarł do niego zdyszany, zdał sobie nagle sprawę, że zostawił w chacie plecak ze swymi cennymi książkami i lornetką. Przeklinał siebie, ale wiedział, że te rzeczy będą tam musiały na niego poczekać. Brid się nimi zaopiekuje. Spacerując wolno dookoła kamienia,

czuł na ramionach ciepłe promienie słońca. W pewnej chwili zatrzymał się, żeby dotknąć palcem skomplikowanego wzoru. To był jego kamień. Z jednej strony zdobiły go dziwne symbole i postacie ze świata starożytnych Piktów, z drugiej zaś krata I ażurowy Celtycki krzyż. Po świeżo wyrzeźbionym przez Gartnaita kamieniu bez krzyża nie pozostał żaden ślad.

Brid ukryła plecak pod kocami na łóżku, gdy tylko go zauważyła. Spokojnie i dokładnie przeszukała całą chatę, sprawdzając, czy nie pozostały jakieś drobiazgi wskazujące na obecność Adama. Gdyby tak było, wuj natychmiast by je dostrzegł. Miał wzrok bystrzejszy niż zwykli ludzie. Modliła się żarliwie, żeby Adam odszedł - nie tylko skrył się we mgle, ale by zniknął całkowicie z ich krainy. Wiedziała, że wuj jest podejrzliwy. Jeszcze nie ufał Gartnaitowi i okazywał to często, przyjeżdżając z wizytą. Gartnait był zbyt młody. Funkcję rzeźbiarza w kamieniu i stróża strzegącego bramy uważano za świętą. Było to powołanie równie wyjątkowe jak w przypadku kapłana czy barda. Rodzina miała nadzieję, że Gartnait odziedziczył je po swoim ojcu, który zmarł przed dwoma laty. Wiązało się to z wiedzą, przekazywaną dziedzicznie, która dotyczyła sposobów podróżowania do królestwa wiecznej młodości, jeśli tylko człowiek się ośmieli. Podróż ta była zabroniona dla wszystkich, z wyjątkiem wtajemniczonych, ale czasami ludzie, nie zdając sobie z tego sprawy, prześlizgiwali się przez bramę, tak jak Adam.

Wiedziała od pierwszej chwili, gdy go zobaczyła, że przyszedł spoza kamienia. Dziwne ubranie i sposób wyrażania się jakoś go wyróżniały. Obserwowała bacznie, jak przebywał drogę, która, uważano, groziła śmiercią wszystkim, z wyjątkiem drobnej garstki tych, którzy ją znali. To był właściwy człowiek, nie żaden duch ani widmo, stwierdziła z satysfakcją. Ale był zbyt młody, by mógł zostać wtajemniczony. Fascynował ją od pierwszej chwili, kiedy spoczął na nim jej wzrok. A teraz sprawiła, że należał do niej. Tajemniczy uśmiech pojawił się na jej ustach i szybko zniknął. Jakakolwiek jest jego moc, ona ją zdobędzie.

- Brid! - Niecierpliwy okrzyk na zewnątrz sprawiła że podskoczyła zaskoczona. Jeszcze raz rozejrzała się dookoła, wyszła z domu we mgłę i napotkała surowe spojrzenie wuja.

- Wyglądasz na przestraszoną, moje dziecko. - Chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. - Niepotrzebnie. - Ujął ją pod brodę i podniósł jej głowę do góry, by móc dokładnie przyjrzeć się jej twarzy. Napotkawszy jego spojrzenie, Brid szybko odwróciła wzrok, obawiając się, że mógłby dostrzec jej nową kobiecą siłę, której soki jeszcze krążyły w jej żyłach, siłę, którą dał jej dotyk mężczyzny. Czując, jak wzrok Broichana przenika do jej duszy, ale już po chwili mężczyzna uciekł spojrzeniem od jej twarzy i odwrócił się do siostry.

- Ona tutaj dziczeje, Gemmo - powiedział surowo. - Powinna się uczyć. Wiele się musi nauczyć, jeśli ma pełnić służbę w świętych miejscach. - Wolno, ruchem niemal lubieżnym, przesunął dłoń po policzku Brid.

Odstąpiła krok do tyłu, żeby nie mógł jej dotykać, i wyprostowała ramiona.

- Pragnę postępować wedle twych słów, wuju. - Patrzyła na niego poważnie. Jej lęk zniknął, na jego miejscu pojawiła się chłodna stanowczość. - Wiele się już nauczyłam od Drusta, barda z Abernethy. Zgodził się przekazać mi wszystko, co sam umie.

Widząc, że twarz wuja nabiegła krwią, natychmiast pożałowała swoich śmiałych słów.

- Uważasz, że możesz decydować o swoim życiu! - krzyknął grzmiącym głosem.

- Mam do tego prawo, wuju, skoro posiadam dar pamięci i słów.

Miała do tego prawo jako córka dwóch starożytnych rodów bardów. Matka jej pochodziła z królewskiej rodziny, a Broichan, jej wuj, był wychowawcą króla i jego najwyższym druidem.

Zapadła długa cisza. Gemma stała w pobliżu, w drzwiach, z dzbanem w ręce. Już miała napełnić ponownie piwem szklanice brata, ale tak jak dwójka jej dzieci, stała z oczami utkwionymi w jego twarzy. Wstrzymała oddech.

- Czy zachęcaliście ją do tego? - Broichan najpierw popatrzył na Gemmę, potem na Gartnaita.

Ten ostatni przemówił pierwszy.

- Jeżeli to jest jej powołanie, wuju, to z pewnością bogowie ją zachęcili.

Gdyby nie ich wola, nie byłaby zdolna zrozumieć nauk Drusta - powiedział to z dumą i godnością.

Brid z trudem powstrzymała się od triumfalnego uśmiechu. Miała ochotę uściskać brata, ale się nie poruszyła.

Nagle wuj odwrócił się. Podeszedł do jednego z pni ustawionych w pobliżu ognia, owinał się szczelnie płaszczem i usiadł.

- Odpowiadaj.

Brid nabrała powietrza i zerknęła na Gartnaita. Z powagą skinął głową. Broichan potrafił pohamować i bezpiecznie wykorzystywać samowolę jego siostry, nieustępliwość, wściekłość i tę dziką wrodzoną siłę, które go przestraszyły.

Brid zrobiła krok do przodu. Z początku była zanadto zdenerwowana, żeby mówić, ale po chwili, niemal jakimś cudem, jej trema zniknęła. Wyprostowała się, podniosła głowę i zaczęła.

Jej nauczyciel był sumienny. Podczas długich zimowych wieczorów przy ognisku zauważył Brid wśród swoich słuchaczy. Wiedział, jak ją wychowywano, i że jest zdolna, toteż pracowicie powtarzał poematy i opowieści, które były ich dziedzictwem, tak długo, aż nauczyła się je recytować bezbłędnie. Adam też odkrył, że Brid ma nadzwyczaj dobrą pamięć. Miała już podstawy tego, czego uczono w szkole bardów.

W końcu Broichan podniósł rękę. Skinął głową.

- Istotnie, twego języka musiała dotknąć bogini. To dobrze. Będziesz się uczyć dalej. - Patrzył na nią przez chwilę i widział wyraźnie jej rodzącą się moc, jej dziką, nieopanowaną więź z Panią. Zasepił się na chwilę, cień przemknął przez jego twarz. Była w tej dziewczynie odwaga, upór, nieustępliwość, uczciwość i niezależność ducha, które aż do chwili, gdy nadejdzie odpowiednia pora, muszą być starannie pielęgnowane.

Odwrócił się z powrotem do siostry.

- Twoje dzieci są utalentowane, Gemmo. To dobrze. Jak tylko ten mnich, ten Columcille, wróci na zachód, skąd przybył, będziemy musieli wypędzić Jezusa Boga z tego kraju. One nam pomogą to uczynić.

W ten sposób będzie można ją wykorzystać. I pohamować.

A jej krew, jako dziecka królów, osłodzi i oczyści tę ziemię, zbezczeszczoną przez człowieka, którego przysłał Jezus Bóg.

Rozdział czwarty

Adamie, gdzie byłeś? Thomas Craig spędził całą noc na przeszukiwaniu wzgórze. Nieogolony i wyczerpany, przystanął, opierając się na lasce i łapiąc oddech.

- Ojczy! - Adam siedział na rozgrzanej od słońca skale, senny, zbyt zmęczony, żeby podjąć długą drogę do plebanii. - Przepraszam. - Wstawał z niemałym trudem, nagle przestraszony. - Ja... - zawahał się. - Zabłądziłem we mgle, więc pomyślałem, że lepiej będzie, jak zostanę...

- Myślałeś, że będzie lepiej. - Lęk i wyczerpanie Thomasa szybko przekształcały się w złość - Ty głupi, bezmyślny, arogancki chłopaku! Czy nigdy nie przemknęło ci przez myśl, że ja się o ciebie martwię? Nie przyszło ci do głowy, że spędziłem bezsenność noc i cały czas cię szukałem? - Poczucie winy i pragnienie odpokutowania za swój czyn, którymi się zadreślał bez końca, z każdym dniem odbierały mu coraz więcej sił.

- Nie myślałem, że zauważysz, ojczy. - Adam cofnął się o krok, chociaż w jego głosie czuło się bunt.

- Ty... ty nie myślałeś, że zauważę?

- Tak, ojczy. Przez wiele miesięcy nie wiedziałeś, czy jestem, czy mnie nie ma. - Adamowi zebrało się jakoś na odwagę. - W ogóle mnie nie dostrzegałeś.

Wytrzymał spojrzenie ojca. Nad nimi wysoko myszołów kwilił żałośnie, wzlatując coraz wyżej i wyżej. Żaden z nich nie spojrzał ku górze.

Milczenie przeciągało się. Upłynęła cała minuta, potem jeszcze jedna. Adam wstrzymywał oddech. Nagle ramiona ojca opadły dziwnie. Usiadł na skale i rzucił laskę na ziemię u swoich stóp. Pocierając dłońmi policzki, westchnął i pokręcił głową.

- Przepraszam, masz oczywiście rację. Zachowywałem się w sposób niewybaczalny.

Adam siedział w odległości niecałych dwóch metrów od niego. Nic nie powiedział. Utkwił wzrok w twarzy ojca. Jego chłopięcy lęk i bunt zmieniły się w dziwnie dojrzałe współczucie dla tego udręczonego człowieka.

W końcu Thomas spojrzał w górę.

- Powinieneś wrócić do domu. Zjeść coś.

Adam skinął głową. Zesztywniały i zmęczony, nagle poczuł, że umiera z głodu.

Obudził go krzyk; to on sam krzyczał. Przykrył usta poduszką i spojrzał przez okno na gałązki bluszczu, które tańczyły na wietrze wokół framugi, smagając szybę zielonymi i kremowymi serpentynami w silnych południowo - wschodnich podmuchach.

Zjadł obfite śniadanie pod czujnym okiem Jeannie Barron, a potem zgodnie z jej poleceniem poszedł na górę. Miał zamiar położyć się na łóżku tylko na minutę z książką o motylach w rękę, ale wyczerpany i przytłoczony swoim zmartwieniem, natychmiast zasnął.

Miał przerażający sen. Śniło mu się, że pływa pod wodą. Z początku było to zabawne. Jego członki poruszały się z łatwością, rozglądał się dookoła, obserwując szeroko otwartymi oczami falujące zielone morskie wodorosty i szybko poruszającego się w ciemnej wodzie brązowego pstrąga. I nagle pojawiła się przed nim ona. Wiedźma. Miała najbrzydszą twarz, jaką kiedykolwiek widział, groteskową, bezzębną, z workami pod oczami, pryszczatą, z nosem szerokim i mięsistym i włosami, które były skłębioną masą węży. Otworzył usta do krzyku, jego ręce i nogi młóciły rozpaczliwie wodę. Zanurzał się, tonął, a ona przez cały czas zbliżała się coraz bardziej i śmiała się. I nagle okazało się, że to nie jest

wiedźma. Miała twarz Brid, włosy Brid, a on wpatrywał się w jej nagie ciało i chciał dotknąć jej piersi, nawet kiedy tonął.

Usiadł na łóżku, przyciskając do siebie poduszkę. Nadal oddychał z trudem i nagle, zażenowany i nieszczęśliwy, zdał sobie sprawę ze swej potężnej erekcji. Zerwał się z łóżka, podbiegł do okna i zwymiotował. Wychyliwszy głowę, łapczywie chwycił powietrze. Pozostał w takiej pozycji, dopóki oddech mu się nie uspokoił i nie poczuł się lepiej. Wtedy odwrócił się w stronę pokoju. Zastanawiał się, czy ojciec coś słyszał. Adam nigdy się nie dowiedział, że ojciec był głuchy na pełne rozpachy krzyki chłopca; siedział przy biurku w swoim gabinecie na parterze i gorące łzy spływały mu po policzkach.

Nazajutrz była niedziela. Adam nie chciał iść do kościoła. Pozostał w tyle, na ścieżce, gdy parafianie weszli rzędem do starego kamiennego budynku, i zastanawiał się, czy wystarczy mu odwagi, by zniknąć z widoku koło drzew i pobiec przez dziedziniec ku szerokiej, wolno płynącej rzece. I wtedy właśnie podeszli do niego Jeannie i Ken. Jakoś wbrew sobie wszedł z nimi do kościoła i usiadł w ławce. Adam siedział nieruchomo z oczami utkwionymi w śnieżnobiałą komżę ojca, który stał na ambonie. Chłopiec drżał. Nawet jeśli ojciec nie wiedział, co się dzieje w jego duszy, to Bóg wiedział na pewno. Adam był przerażony. Czuł się winny. Pocił się, ręce trzymał między kolanami, a skóra na głowie cierpła mu, kiedy myślał o Brid, o swoich marzeniach i o tym, co zrobił. I powoli, gdzieś w zakamarkach jego umysłu zaczęło się pojawiać pytanie, czy to, co zrobiła matka, było tak samo złe i czy ona tak jak on pójdzie za to do piekła.

Kiedy wstali do hymnu, poczuł suchość w ustach. Jego głos przypominał cienki pisk. Msza dobiegła końca. Adam był taki blady, że mógł się bez trudu wymknąć, skarżąc się na ból głowy, i nawet bardzo spostrzegawcza Jeannie nie kwestionowała jego wymówki.

Myśli o Brid wypełniały każdą jego chwilę, kiedy nie spał. Poczucie winy, lęk i natrętna tęsknota nocami, w łóżku, przemieniały się w lubieżne sny i, podobnie jak obrzydzenie do siebie samego, nie odstępowały go nigdy. Powracał raz po raz do kamienia, ale nie mógł odnaleźć drogi do chaty ani do wioski, w której mieszkała

Brid. Zniechęcony i zniecierpliwiony szlochał głośno, biegając tam i z powrotem między drzewami. Ale za każdym razem zastawał zbocze puste, jedynie od czasu do czasu stado jeleni skubało trawę na niżej położonych partiach, i zawiedziony musiał wracać do domu na samotną kolację i do zimnego łóżka, gdzie znów o niej marzył i ze wstydem wycierał chusteczką kompromitujące ślady ze swej pidżamy, żeby Jeannie ich nie zauważyła, kiedy będzie ją prała.

Broichan długo siedział, wpatrując się w popiół na palenisku. Obok niego Gemma i Brid patrzyły, jak obserwuje z uwagą przepływające chmury, różowe i złote w świetle zachodzącego słońca, a potem ogląda pałeczki wróżebne, które trzymał w torbie przytroczonej do pasa. W końcu popatrzył rias oprawny w złoto ciemnoczerwony kamień, wiszący na sznurku na jego szyi. Stwierdziwszy, że wróżby są pomyślne, podniósł głowę.

- Brid!

Obie kobiety podskoczyły. Gartnaita nie było z nimi, wyszedł wcześniej z łukiem na polowanie.

Uniesiony władcym ruchem palec ozdobiony pierścieniem z rzeźbionym agatem poderwał Brid na nogi.

- Podjąłem decyzję. Wrócisz ze mną do Craig Phadraig. Wyruszamy o świcie.

- Nie! - Pełen bólu okrzyk Brid echo poniosło ponad szumem wody w strumyku i trzeszczeniem dopalającego się ognia aż do chmur.

Broichan wstał. Był sporo od niej wyższy, a jego oczy przypominały głazy.

- Będziesz posłuszna, siostrzenico. Spakuj swoje rzeczy, zanim się położymy spać.

- Mamo - Brid spojrzała błagalnie na matkę, ale ta odwróciła wzrok.

- Musisz zrobić to, co ci każe mój brat, Brid. - Głos Gemmy drżał, gdy się w końcu odezwała.

- Nie pojedę! - Na twarzy Brid odbijały się żywe kolory zachodzącego słońca. - Nie możecie mnie zmusić. Ja też mam moc. - Wyprostowała się na całą wysokość i wytrzymała wzrok Broichana. - Potrafię uciszać burze, stawiać czoło

wiatrowi, potrafię polować ze żbikiem i biegać z jeleniem. Potrafię zdobyć i utrzymać przy sobie mężczyznę. - Spiesznie odwróciła wzrok po tych słowach. Nie może pozwolić, żeby odczytał jej myśli, nie może pozwolić, żeby się dowiedział o Adamie.

Broichan przyglądał jej się zamyślony. W jego oczach dostrzegła coś w rodzaju sardonicznego grymasu, kiedy wyciągnął rękę i nie ruszając się z miejsca, chwycił ją za przegub dłoni.

- No, mała kocico, myślisz, że możesz mi się sprzeciwiać? - szepnął. - Co za śmiałość! Co za głupota! - Chwycił ją za brodę drugą ręką i przyciągnął blisko. - Spokojnie, mała dzikusko. Jesteś moją służką i będziesz mnie słuchać. - Sięgnął po półprzezroczysty czerwony kamień w złotej oprawie i trzymał go przez chwilę przed jej oczami. W ciągu kilku sekund jej powieki zaczęły opadać i uspokoiła się.

- No tak. - Broichan pchnął ją w kierunku matki. - Połóż ją do łóżka, a potem spakuj jej torbę. Zabiorę ją stąd jutro rano, o pierwszym brzasku. Będzie jechała we śnie, przerzucona przez siodło jak worek owsa, a w Craig, jeśli nie będzie mi posłuszna, przywiąże ją łańcuchem jak niewolnika. - Utkwił swój władczy wzrok w przerażonej twarzy Gemmy. - Nie toleruję, siostrzo, nieposłuszeństwa ze strony żadnego z członków mojej rodziny. Nigdy.

Adam stracił w końcu całkowicie nadzieję, że znów zobaczy Brid, i nagle spotkał na górze Gartnaita. Szedł za bratem Brid i zatrzymał się widząc, że i on się zatrzymuje, bierze do ręki dłuto, kuca u stóp kamienia i zaczyna pracować nad zawiłym wzorem. Adam rozpoznał nagle rzeźbę: był to pełen wdzięku, bardzo realistycznie wykuty wąż.

- Musisz wracać - powiedział Gartnait, nie podnosząc głowy. Oboje, on i Gemma, zapamiętali kilka angielskich słów.

- Dlaczego? - Adam oniemiał ze zdumienia.

- To nie jest bezpieczne. Zobaczą cię. Brid była nieostrożna.

- Dlaczego przebywanie tutaj z tobą jest takie niebezpieczne? Gartnait podniósł na niego wzrok. Jego brązowa, ogorzała twarz była obsypana kamiennym pyłem, silne, stwardniałe dłonie delikatnie trzymały

narzędzia. Pochylił się, dmuchnął na wyrzeźbiony wzór i potarł go kciukiem.

- Twój ojciec służy bogom. Dlatego odnalazłeś tę drogę. Adam zmarszczył czoło.

- Jest tylko jeden Bóg, Gartnaicie.

Młody człowiek popatrzył z ukosa na niego, a potem na swoją pracę.

- Ten Jezus? Jego wyznawcy twierdzą, że jest tylko jeden bóg. Czy to jemu służy twój ojciec?

- Tak. Jezusowi. - Adam czuł się nieswojo. Jezus i Brid albo brat Brid - wykluczali się nawzajem.

- Jak możesz w to wierzyć, gdy wszędzie dookoła ciebie są bogowie? Brid powiedziała mi, że widzieliście koło wodospadu Panią Jeziora.

Adam zaczerwienił się po cebulki włosów. Z pewnością Brid nie powiedziała bratu, do czego między nimi doszło.

- Tego nas uczą. Jest tylko jeden Bóg - powtórzył nieustępliwie.

- A jednak uczono was także, w jaki sposób się poruszać między naszym światem i waszym. - Gartnait pochylił się znów nad kamieniem. Wysunął koniuszek języka, skupiony na jakimś zawiłym szczególe, i drażył twardy kamień zaostrzonym dłutem, jakby to była miękka glina. - Nikt mi nie wskazywał drogi tutaj. - Adam zmarszczył brwi.

- Sam ją znalazłem. Chociaż czasami nie potrafię jej odnaleźć, nie wiem dlaczego. - Czuł się coraz bardziej nieswojo.

Gartnait przykucnął. Wpatrywał się w Adama w zamyśleniu.

- To dlatego, że ta droga nie zawsze jest otwarta - powiedział w końcu. - Trzeba z niej korzystać w odpowiednim czasie. Księżyc, gwiazdy, północny wiatr. Wszystko to musi być na swoim miejscu. - Uśmiechnął się i nagle zmienił temat. - Brid cię lubi.

Adam znowu się zaczerwienił.

- Ja też ją lubię. - Odwrócił się nieznacznie i popatrzył na wzgórze. - Gdzie ona jest? - zapytał tak zdawkowo, jak tylko potrafił.

- Pojechała pracować ze swoim wujem. On ją uczy. Adam poczuł ostry ból

rozczarowania i ogarnął go lęk.

- Miałem nadzieję, że ją spotkam. Jak długo będzie dla niego pracowała?

- Wiele lat. Dziewiętnaście. - Twarz Gartnaita rozjaśnił znów powoli jeden z jego charakterystycznych uśmiechów. - Ale powiem jej, że przyszedłeś. - Znów podniósł głowę i spojrzał na niego. - Adam, nie szukaj jej. Ona pojechała do Craig Phadraig. Nie znajdziesz jej. Nie próbuj. Jej także nie wolno próbować się z tobą spotkać. To nie jest dozwolone. Broichan zabiłby ją, gdyby się dowiedział, że była z tobą. On nie pozwoli nikomu wędrować pomiędzy naszymi światami, tak jak ty to zrobiłeś. To jest dostępne tylko dla nielicznych. Ona nie jest dla ciebie, Adam. - Zawahał się, jakby się zastanawiał, czy ma mówić dalej.

- Brid jest niebezpieczna, Adam. Ja ci to mówię, ja, który ją kocham. Nie pozwól, żeby cię skrzywdziła. - Starał się znaleźć odpowiednie słowa. - Ona się uczy sposobów żbika. Jej pazury mogą rozszarpać. Jeśli się znów z nią zobaczysz, na pewno w końcu przyniesie ci śmierć. Zabije ciebie, mnie i Gemmę.

- Nie rozumiem. - Gorzkie rozczarowanie Adama graniczyło z lękiem. - Dlaczego nie mogę jej zobaczyć? Dlaczego nie mogę tu przyjeżdżać? Co w tym złego? - Skoncentrował myśli na jednym fragmencie wypowiedzi Gartnaita, który naprawdę rozumiał. - Założę się, że byłeś w tym miasteczku, gdzie mieszkam.

Gartnait prychnął. Jego oczy wyglądały zabawnie, jak srebrne szparki, i przez chwilę był bardzo podobny do siostry.

- Raz tam poszedłem. Tylko na wzgórze. Nie jestem taki odważny jak ty. Nie zszedłem na dół. - No dobrze, a czy mogę przynajmniej przyjść, by zobaczyć się z twoją matką? - Adam chciał jakoś przezwyciężyć ból, który, czuł to, zaraz go przepełni. - Potrzebny mi jest mój plecak.

Gartnait znów się zasepił, a potem skinął głową.

- Brid schowała twoje rzeczy, kiedy przyszedł wuj. Pokażę ci, gdzie. - Odłożył narzędzia i wstał, otrzepując ręce z pyłu. Spojrzał na płócienną torbę na ramieniu Adama i uśmiechnął się figlarnie. - Masz ciasto czekoladowe?

Starając się powstrzymać łzy, Adam też się uśmiechnął i skinął głową.

- I dla Gemmy także.

Poszli do chaty. Kiedy się posilali, popijając słabe wrzosowe piwo ze srebrnego dzbana, Adam w końcu zapytał:

- Czego Brid się uczy? - Drogocenny plecak leżał u jego stóp.

- Poezji i muzyki, prorokowania i wróżenia, historii i genealogii - odpowiedział Gartnait, jękając się i pomagając sobie gestykulacją. Adamowi przypomniało się, że on i Brid robili tak samo przez wiele miesięcy. - Zajmie jej to wiele lat.

- Musi być zdolna. - Wiedział już o tym.

- Jest. Bardzo. - Gartnait znowu zmarszczył brwi. Jaka zdolna, tego Adam nie potrafi zrozumieć.

- Kiedy wróci do domu? Gemma uśmiechnęła się.

- On jest taki smutny. Tak tęskni za przyjaciółką., - Mówiła to w przestrzeń, spoglądając gdzieś ponad ogniem.

Adam znów się zaczerwienił.

- Ona nie wróci do ciebie, Adamie - powiedział Gartnait stanowczo. - Musi teraz służyć swoim ludziom. Nie jest już dzieckiem. Tak będzie najlepiej.

- Ale wróci, żeby się zobaczyć z wami. - Adam czuł zimne, twarde ziarno nieszczęścia kielkujące w jego wnętrzu; stawało się coraz większe. Spoglądał z rozpaczą to na jedno z nich, to na drugie.

W końcu Gemma pochyliła się do przodu i zerknąwszy szybko na Gartnaita, uśmiechnęła się.

- Biedy Adam. Może ona przyjedzie, żeby się z tobą zobaczyć. Gdy nadejdą długie dni, po Lughnasadh. Powiedziałam mojemu bratu, że musi ją wtedy przywieźć, żeby się ze mną zobaczyła.

I tym, nie widząc, że Gartnait marszczy brwi i potrząsa głową, Adam musiał się zadowolić. Najpierw stwierdził, że potrafi o niej zapomnieć, skupiając się na nauce, przynajmniej w ciągu tygodnia. Całe dni spędzał w szkole, a wieczory, po długiej podróży i pedałowaniu na rowerze do domu, na odrabianiu lekcji. Teraz ojciec często był w domu wieczorami i starał się go jakoś rozerwać, opowiadając o parafii, kupował mu w Perth jakieś książki, a parę razy zaprosił go na spotkanie i

wspólny posiłek z parafianami w górskiej dolinie.

W każdy weekend Adam wspinał się na górę do kamienia i zawsze czekało go rozczarowanie. Nie było tam Gartnaita. Nie było Brid. Siadywał samotnie na zboczu, czując, jak wiatr targa mu włosy. Książka o ptakach i lornetka leżały obok niego, blok rysunkowy na kolanach. Samotnie zjadał ciasto, które za każdym razem przynosił dla Brid.

- A więc, Brid, twoja moc jest coraz większa. - Broichan stał za nią na szczycie niewielkiego wzgórza nad wielkim jeziorem, z którego wypływała rzeka Ness. Obserwował dziewczynkę, słuchał dźwięcznych zaklęć, a jednocześnie przyglądał się brzuchatej chmurze, która płynąc w jej kierunku, szybko rozdzielała się na dwie części: jedna odpływała na północ, a druga na południe, pozostawiając czarne skały na wzgórzu skąpane w złocistym blasku słońca.

Brid wzdrygnęła się i wypadła z transu, a chmury zmieniły kierunek i znów płynęły tak jak dawniej. Nagle błysnęło się i rozległ się głuchy trzask grzmotu. Broichan się roześmiał.

- Nadal rzucam na ciebie czary, siostrzenico. Nigdy o tym nie zapominaj.

- Ale nie rzucasz czarów na Columcille'a, jak słyszę. - Brid odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się. Burza naładowała ją energią, była silna, niezwycięzona. — On wypędził bestię, którą umieściłeś w górskim jeziorze, żeby go zniszczyła. Cały dwór słyszał, jak doprowadził cię niemal do śmierci za to, jak traktowałeś jedną ze swoich niewolnic, i ocalił cię tylko ów magiczny kamień, który zyskał moc uzdrawiania, kiedy dałeś go jej.

Zaczęło padać. Brid uniosła twarz i tak się rozkoszowała ukłuciami lodowatych igiełek wody na skórze, że nie dostrzegła wściekłości na twarzy wuja.

- Jak śmiesz wspominać przy mnie Columcille'a?

- Śmiem! - O mało nie splunęła mu w twarz. - Dobrze mnie nauczyłeś, wuju. Moja siła rzeczywiście rośnie. - I wkrótce, kiedy się nauczę dostatecznie dużo, pojedę do domu, do Adama - pomyślała. Ale starannie ukryła swe myśli przed wujem. Widywała Adama w snach i wróżąc z kryształowej kuli, i wiedziała, że złapała go w swoje sidła. Będzie na nią czekał, zawsze, jeśli zajdzie taka

potrzeba.

- Biedna mała kocico. Taka ufna. Taka nierozsądna. - Głos Broichana był łagodny, aksamitny. Jego groźba sprawiła, że natychmiast oprzytomniała. - Nigdy mnie nie oszukuj, mała. - Wyciągnął ku niej rękę i mimo oporu przyciągnął ją do siebie. - Jeśli to zrobisz, będę zmuszony zademonstrować swoją siłę. - Uśmiechnął się. - Myślę o twoim bracie... Strażniku mojej bramy. Już prawie zakończył swoją pracę...

- Nie zrobisz mi krzywdy! - syknęła.

- Oczywiście, że zrobię. Moje piekielne moce są nieograniczone, co Columcille odkryje, gdy przywołam z powrotem potwora, którego tam umieściłem, żeby go pożarł. - Broichan znowu się uśmiechnął. - Strzeż się, mała kocico. Bądź posłuszna. I ostrożna.

Spojrzał do góry, na burzowe chmury, puścił Brid i odwrócił się, pozostawiając ją tak, jak stała, w długiej białej tunice i wełnianym płaszczu, przemoczone do suchej nitki. Kiedy Broichan zniknął, niebo zadrżało, przecięła ją błyskawica, a nowy piorun, który po niej uderzył, zgasł w gotujących się z sykiem wodach jeziora.

W końcu nadeszły letnie wakacje. Adam opalił się, zmęźniał i raz jeszcze się pokusił, żeby odnowić przyjaźń z Mikeyem i Euanem, chłopcami z miasteczka.

Wybrał się na boisko za dziedzińcem kościelnym, żeby kopać z chłopcami piłkę, i wracał właśnie późnym wieczorem ulicą. Nad wzgórzami wisiała jeszcze poświata zmierzchu, a w oddali, na zachodniej stronie góry, słońce oświetlało ciemne urwiska, barwiąc je na bladoróżowy kolor. Dookoła niego wszystko już pograżyło się w cieniu. Była to posepna pora dnia, czas, który zawsze budził w nim melancholię. Kopiąc kamyki na ścieżce, szedł ociągając się, kiedy nagle, gdy był już przy bramie, usłyszał, że ktoś na niego gwizdże. Zatrzymał się.

- A-dam! Tutaj! Czekam na ciebie. - Szept był tak przenikliwy, że serce podskoczyło w nim z podniecenia. Rozejrzał się dookoła, zakłopotany.

- Brid?

- Tutaj, tutaj.

Teraz ją zobaczył, skuloną za kamienną ścianą. Oślaniała ją kępa rododendronów.

- Czekałam na ciebie koło kamienia Gartnaita, ale ty nie przyszedłeś.

Była wyższa niż rok temu, włosy miała zaplecione w warkocz, sylwetkę pełniejszą. Ubrana była, jak zawsze, w tunikę, ale ta była bardziej kosztowna, haftowana, sięgająca kostek. Jej szczupłe ramiona zdobiły złote bransolety.

- Chodź. - Położyła palec na ustach i uśmiechnęła się do niego. Był to ten sam szelmowski uśmiech, który, zapamiętał, chociaż twarz Brid była bardziej dojrzała, oczy mniej niefrasobliwe.

Zerknąwszy na ślepe okna plebanii, dała nura za krzaki, a on przykucnął obok niej w ciemności pod lśniącoymi liśćmi. Przycisnęła usta do jego policzka.

- Cześć, A-dam.

- Cześć. - Zawahał się, zakłopotany, czując jej dłonie na swej piersi.

- Czy twój ojciec tam jest? - Mówiła szeptem. Jej włosy łaskotały mu twarz.

- Nie wiem. - W żadnym z okien, które mógł dostrzec, nie paliło się światło.

Odnalazła w ciemności jego rękę. Chwyliła ją i pociągnęła. Wstali oboje i obserwowali trawnik.

- Chodź - ścisnęła lekko przegub jego dłoni.

Bramę można było zobaczyć z gabinetu ojca. Obrzucił jeszcze jednym spojrzeniem ciemne, kwadratowe okna.

- Tędy - szepnął. - Wejdziemy od tyłu.

Trzymając się za ręce, zanurzyli się w cień pod jabłoniami i pobiegli dookoła domu w kierunku zagonów kartofli i cebuli, a potem skrajem grządek warzyw.

Adam poprowadził ją ku stosowi pociętych okrągłaków, opartych o ścianę. Było to miejsce niewidoczne z żadnego okna w domu, z wyjątkiem tego w pustej kuchni.

Pociągnął Brid za sobą, wygramolili się po stosie kamieni i zeskoczyli na miękką, sprężystą trawę na skraju drogi.

Gdy dotarli przez las do stromeego zbocza nad potokiem, oboje byli zdyszani. Zaśmiewali się.

- Szybko, szybko, moja mama będzie miała jedzenie. - Włosy Brid

wymykały się, z warkoczy. Wysoko ponad nimi kamień nadal lśnił w słońcu. Czuli się dziwnie: stali w zacienionej alejce i widzieli przed sobą odległe światło jak jakiś reflektor. Adam zatrzymał się, spojrzął do góry i przebiegł go dreszcz.

- Nie znoszę, kiedy w dolinie górskiej ściemnia się szybciej niż na szczycie. Zawsze wtedy pragnę być tam, na górze, skąd mogę widzieć zachodzące słońce. -
Idziemy na górę. - Przyjrzała mu się z bliska, przechylając na bok głowę. - Jesteś coraz wyższy, A-dam.

- Ty też.

Oboje się uśmiechnęli. Nagle Brid odwróciła się i pobiegła. Dogonił ją, zanim zdążyła przebiec kilkanaście metrów. Znajdowali się w małej porosłej mchem dolince górskiej, osłoniętej kępą srebrnych świerków. Adam usłyszał wodę sączącą się w niewidocznym strumyku.

To ona przylgnęła do niego, wtulając usta w jego szyję, to ona, gmerając przy jego guzikach, rozpięła mu koszulę i ściągnęła ją z ramion, to ona pieściła i głaskała jego piersi, aż oddech uwiązł mu w krtani. Podniecony, wyciągnął rękę i dotykał jej ciała przez haftowaną szatę, Śmiejąc się chrapliwie, rozwiązała pasek w talii i pozwoliła tunice opaść do swych stóp. Naga w jego ramionach, mocowała się z paskiem, który przytrzymywał jego spodenki.

Tym razem nie spieszyli się, wdychali zapach swoich ciał, dotykali się nawzajem delikatnie, badawczo, potem coraz bardziej natarczywie, i w końcu Adam pchnął ją delikatnie, a gdy opadła na wznak, nakrył jej ciało swoim, czując, jak cała jego istota topnieje między jej gibkimi, uległymi udami.

Już po wszystkim leżeli przez chwilę senni, zaspokojeni, a potem ona wysliznęła się spod niego, wstała i zaczęła strząsać z siebie drobiny mchu i paproci. Zupełnie nie zakłopotana, przeszła przez polankę i odnalazła strumyk płynący po skałach. Nabierając wody w złożone dłonie, umyła się, a potem się odwróciła i powiedziała:

- Teraz ty, A-dam.

Wyczerpany, leżał na wznak na trawie.

- Jeszcze nie teraz. Chcę odpocząć.

- Teraz, A-dam.

Przypomniął sobie w porę ten surowy ton.

Podwójna porcja lodowatej wody, zebranej w złączone dłonie, spadła prosto na jego twarz.

Dogonił ją dopiero, gdy dotarli do kamienia. Ze śmiechem oparł dłonie na kamieniu po obu stronach jej ramion. Nie pozwolił, by się wysliznęła.

- Pocałunek jako zastaw.

- Nie, A-dam. - Znow próbowała się uwolnić. - Nie tutaj. - Zobaczą nas.

- Była zła. Zmrużyła oczy. Adama zdziwiła nagła zmiana w wyrazie jej twarzy.

- Zobaczą? - Nie puszczał jej. - Kto? Gartnait?

- Nie, bóg. - Powiedziała to z wyzywającą miną.

- Och, Brid. - Zirytowany, puścił ją i odstąpił krok do tyłu. - Myślisz, że wszędzie są bogowie. Powiedziałem ci, że to nieprawda. Jest tylko jeden prawdziwy Bóg.

- Wiem. - Odsunęła się od kamienia i z wściekłością otrzepywała się z pyłu.

- To ty tak mówisz. Bóg Jezus.

Bóg Jezus był wszechmocny. Jego sługa Columcille kilka razy do tej pory przechytrył Broichana tak, że ten wpadł we wściekłość. Ale siła Broichana ponownie wzrosła... Brid pospiesznie wykreśliła z pamięci swego wuja. Na pewno to niemożliwe, żeby odgadł jej myśli i odkrył, że Adam jest tutaj. Broichan sam przywiózł ją tu, na południe, żeby odwiedziła matkę, podczas gdy on pojechał do Abernethy. Upłynie kilka błogich, długich dni, zanim powróci, dni, które ona zamierza spędzić z A-damem.

- Jezus nie będzie miał nic przeciwko temu, że się tu pocałujemy. Krzyże są bałwochwalstwem.

Adam wsunął ręce do kieszeni. Nagle twarz zaczęła go palić. Przypomniął sobie kościół i szarą, wymizerowaną twarz ojca i jego przenikliwe spojrzenie, utkwione w nim z ambony. Drgnął, gdy Brid sięgnęła po jego rękę.

Chata była pusta. Brid nie wydawała się zaniepokojona nieobecnością Gemmy. Wręcz przeciwnie. Będą mieli więcej czasu dla siebie. Adam usiadł przy

ogniu i czekał, aż Brid przyniesie mu trochę wrzosowego piwa. Potem przyciągnął ją, żeby usiadła koło niego.

- No to opowiedz mi teraz o swojej nauce. Pokręciła głową.
- Nie wolno tego robić.
- Dlaczego? - Wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami.
- Bo to jest tajemnica. Nie wolno mi o tym mówić.

- To głupota. - Pochylił się do przodu, podniósł z ziemi jakiś patyk i pogrzebał nim w ogniu. Język ognia wystrzelił spomiędzy kostek torfu. Na kamieniu obok paleniska stał jeden z żeliwnych garnków Gemmy. Znajomy esencjonalny zapach gulaszu z dziczyzny unosił się spod pokrywy.

- Gdzie jest twoja matka? - Adam raptownie zmienił temat.
- Przyjdzie. - Spojrzała przez ramię i zmarszczyła czoło. - Ona i Gartnait są w pobliżu.

Podążając za jej spojrzeniem, Adam wpatrywał się w stare sosny. Konary o czerwonej korze przyciągały wieczorne światło i świeciły silnym, ciepłym blaskiem, ale za nimi cień był chłodny i ponury. Nie widział nic w głębi lasu.

Brid wstała. Rozglądała się niespokojnie. Jej ręce ścisnęły i puszczały skraj tuniki.

- Stało się coś złego.

Adam obserwował ją, próbując zrozumieć powód jej niepokoju.

- Czy powinniśmy się ukryć?

Pokręciła głową, starając się skupić, i umilkła.

- Mój wuj - szepnęła nagle. - On jest tutaj, w mojej głowie. Widzę krew.

Ktoś jest ranny. Gartnait! - Zbladła bardzo.

Nie zapytał, skąd o tym wie. Zdenerwowany ruszył za nią.

- Co zrobimy? - spytał szeptem.
- Zaczekaj. - Podniosła rękę, dając mu znak, żeby wrócił, a potem stanęła naprzeciw niego.

- Tędy! - krzyknęła nagle, ruszając biegiem w stronę drzew.

Znaleźli Gartnaita. Leżał pod jedną ze starych sosen, z głową opartą na

kolanach matki. Twarz miał bladą jak kreda, oczy zamknięte. Jego tunika była na ramieniu przesiąknięta krwią.

Gemma uniosła głowę.

- Brid! - To jedno słowo zawierało pełną rozpacz wymówkę. Brid uklękła koło brata. Przesuwała ręce po całym jego ciele, dotykała, obmacywała, jak gdyby szukając ran.

- Jak on się czuje? - Adam ukląkł obok niej. Uśmiechnął się niepewnie do Gemmy i nieśmiało wyciągnął rękę, żeby ją poklepać po dłoni.

- A-dam, dobry chłopiec. - Na twarzy Gemmy widać było zmęczenie, ale udało jej się odwzajemnić jego uśmiech.

- Co się stało? Pokręciła głową.

- Złamało się drzewo. Gartnait powinien był o tym wiedzieć i nie podchodzić. - Wskazała gestem na gałąź, spróchniałą i poszarpaną w miejscu złamania. W pobliżu leżała siekiera, którą Gartnait musiał trzymać w rękach, kiedy został uderzony.

Brid ściągnęła z brata nasiąkniętą krwią koszulę.

- To Broichan. On to zrobił, żeby mnie ukarać - powiedziała z zaciśniętymi ustami.

- Broichan? - Gemma spojrzała na nią wstrząśnięta. Brid popatrzyła na nią surowo.

- Broichan. Wystarczy. Złagodzę jego ból. On cierpi. Uśpię mojego brata i wtedy oczyścimy tę ranę. Adam nie zapytał, w jaki sposób.

- Przyniosę trochę wody - zaproponował. Skinęła głową.

- Dobrze. I mchu. Z tego drewnianego pudełka pod lampą.

- Mchu? - Zawahał się, słysząc to słowo, ale Brid już przecinała koszulę brata małym nożem, który zawsze nosiła za paskiem.

Adam nappełnił skórzane wiadro zimną wodą ze strumienia i znalazł mech, tak jak powiedziała, w chacie, w małej skrzynce pod świecznikiem z brązu. W pudełku było kilka małych słoików z różnymi maściami. Powąchał ostrożnie ich zawartość i postanowił wziąć wszystkie.

Brid skinęła głową z aprobatą, kiedy postawił przed nią to, co znalazł. Gartnait leżał z twarzą spokojną i zamkniętymi oczami. Adam obserwował, jak Brid czystymi, zwinnymi palcami oczyszcza głęboką ranę nad obojczykiem Gartnaita i smaruje jedną z maści, które przyniósł. Zadowolona, że rana została dobrze oczyszczona, obłożyła ją mchem i podczas gdy Adam przytrzymywał go na ranie, zrećnie zabandażowała swoim paskiem.

Spojrzała na Adama z wyrazem troski na twarzy, ale zaraz obdarzyła go uśmiechem.

- Przyniosłeś dobre lekarstwo. Odwzajemnił uśmiech.
- Chcę być lekarzem, jak dorosnę.
- Lekarzem?
- Uzdrowicielem. Pokiwała głową.
- Dobrze. A teraz Gartnait musi wrócić. - Położyła płasko dłoń na czole

nieprzytomnego młodzieńca i usiadła obok spokojnie, z zamkniętymi oczami.

Adam obserwował ją, zaintrygowany.

- Co robisz? - zapytał w końcu. Popatrzyła na niego zdziwiona.
- Uśpiłam go, żeby oddalić od niego ból, a wtedy robiliśmy wszystko, żeby poczuł się lepiej. Teraz powiem mu, że może wrócić. Ból nie jest już taki niedobry i lepiej będzie, jak wróci do domu i zrobimy mu lekarstwo na zatrzymanie gorąca, które przyjdzie.

- My to nazywamy gorączką - poprawił ją Adam. Zrobiło na nim wrażenie, gdy zobaczył, jak powieki Gartnaita poruszają się pod władczą dłonią Brid.

Adamowi się wydawało, że to tylko kwestia sekund i ranny usiądzie, rozejrzy się dookoła półprzytomnym wzrokiem, a wkrótce potem ruszy z powrotem do chaty. Brid i Adam będą mu pomagać, każde będzie go z jednej strony podtrzymywało, a Gemma pospieszy przodem, żeby rozniecić ogień i postawić na nim garnek z wodą.

Brid miała najwyraźniej wiele medykamentów przydatnych w takich sytuacjach. Przyniosła płócienny worek i wyjęła z niego wiele małych zawiniątek. Były w nich różne leki, ale większość stanowiły suszone zioła.

Garść tego i szczyptę tamtego wrzucała do gotującej się wody. Silny

gorzkawy zapach zaczął wypełniać powietrze. Gartnait pochwycił spojrzenie Adama, uśmiechnął się i skrzywił.

- Nie będzie smakowało jak czekoladowe ciasto.

Adam się roześmiał. Skoro Gartnaitowi powróciło poczucie humoru, to zacznie powracać do zdrowia mimo strasznej bladości twarzy i czerwonej pręgi, która zaczęła się rozlewać na policzku.

Adam stwierdził z ulgą, że na ogniu z powrotem postawiono gulasz z dziczyzny. Gartnait też poczuł głód, co świadczyło o tym, że naprawdę wraca do zdrowia. Wkrótce jedli z misek wspaniałe mięsiwo, maczając w sosie kawałki chleba z grubo mielonego ziarna.

- Brid? - zwróciła się Gemma do córki, gdy tylko jej syn usiadł wygodnie z ramieniem obandażowanym szorstkim płótnem i umieszczonym na temblaku. - Co ma z tym wspólnego Broichan? - Patrzyła surowo na Brid.

Córka rzuciła jej gniewne spojrzenie.

- Groził, że zrobi krzywdę Gartnaitowi.

- Dlaczego?

- On mi nie ufa. Mam zbyt wielką moc.

Gemma wpatrywała się w nią przez chwilę, a potem potrząsnęła głową.

- To nie jest żadna odpowiedź, córko.

- Wiem. - Brid dumnie wysunęła do przodu brodę. - Moja moc pochodzi od ciebie i od mojego ojca...

- Twój ojciec nie żyje - powiedziała Gemma surowo. - Jego moc była niewystarczająca, Brid. Został zabity przez nieprzyjaciół naszego ludu, choć myślał, że jest niezwyciężony. Nie ma w tym żadnej magii. Pchnięcie w ciemności mieczem przez jeźdźca na koniu wystarczyło, żeby zginął. - Nie potrafiła ukryć pogardy. Po chwili pochyliła się i położyła dłoń na czole Gartnaita. - Narazisz nas na niebezpieczeństwo, kpiąc z Broichana. Mój brat to najpotężniejszy druid w tym kraju i dobrze zrobisz, jeśli nie będziesz o tym zapominać. Jesteś zarozumiała i głupia, że się mu sprzeciwiasz. I samolubna. Narządaś życie swego brata, przywożąc go tutaj, do miejsc dla nas zakazanych.

Adam z dużą trudnością śledził tę rozmowę, ale gdy wszyscy nagle spojrzeli na niego badawczo, odwrócił wzrok, zakłopotany i przestraszony.

- A-dam ma swoją własną moc! - oświadczyła Brid stanowczo. - Podróżuje między naszymi dwoma światami i jest uzdrowicielem...

- On nie pochodzi z naszego świata - powiedziała Gemma z mocą. - Damy mu jeść, a potem musi odejść. Zanim powróci Broichan. A ty musisz uspokoić swego wuja. Widziałas, jaka jest siła jego magii.

- Moja magia jest równie silna...

- Niewystarczająco silna.

Adam nigdy dotąd nie widział Gemmy rozzłoszczonej. Siedział przy ogniu, ściskając kolana, i patrzył niepewnie na dwie sprzeczące się kobiety. Kłóciły się coraz zacieklej. Nagle zapadła całkowita cisza.

I w tej ciszy nikt nie zauważył ciemnej postaci Broichana, która wyłoniła się z mroku nocy. Wszedł tak bezszelestnie i tak nagle, że ucieczka była niemożliwa. Stał nad nimi, zanim którekolwiek zdało sobie sprawę z jego obecności. Gdy Adam podniósł wzrok i napotkał pełne wściekłości spojrzenie bladoniebieskich oczu wuja Brid kilka stóp od siebie, jego żołądek przemienił się w zimną bryłę. Poczuł, że przerażenie paraliżuje go całkowicie.

Przez kilka sekund nikt się nie odzywał, aż w końcu Gartnait odstawił swoją szklanicę piwa i choć sprawiało mu to ból, pochylił się do stóp Broichana.

- Witam cię, wuju - powiedział z szacunkiem.

Adam zrozumiał słowa Gartnaita. Dalsza wymiana zdań była dlań całkowicie niepojęta, ale śledził ich gesty, jakby rozumiał każde słowo. Nie wróżyły one nic dobrego ani jemu, ani Brid.

Brid i Gemma były bardzo blade. Siedziały ze spuszczonej oczami . i mimo że Brid jeszcze przed chwilą buntowała się przeciwka żądaniom wuja, Adam widział, że jej ręce, nadal zaciśnięte na pięknie zdobionym kielichu, wyraźnie drżą. Broichan mówił coraz głośniejszym głosem. Najwyraźniej narastał w nim wściekły gniew.

Gartnait dumnie podniósł do góry brodę. Potulność młodego człowieka znikła, zastąpił ją huragan słów pełnych złości. Gdy jego ciemne oczy miotające błyskawice

spotkały wzrok wuja, zaczął żywo gestykulować, wskazując najpierw na Brid, a potem na Adama. Kłótnia zakończyła się tak raptownie, że cisza, która po niej zapadła, była aż szokująca. Adam, przerażony, spoglądał to na jedną, to na drugą kobietę. Twarze Brid i jej matki były zupełnie białe. Gartnait, mimo swego buntu, także wyglądał na przestraszonego. Adamowi krew zlodowaciała w żyłach. Na chwilę wszyscy zamarli w bezruchu, a potem Broichan zrobił krok do przodu. Przez długą chwilę stał nad Adamem, jego oczy zdawały się sondować umysł chłopca. Adam cofnął się. Czuł siłę myśli tego człowieka w swoim mózgu. Sprawiało mu to fizyczny ból, jak dotknięcie rozpalonego do czerwoności żelaza. I nagle wszystko minęło. Broichan splunął na ziemię tuż przed nim, a potem pochylił się i chwycił Brid za nadgarstek, zmuszając ją, żeby wstała. Kielich wysunął jej się z dłoni. Krzyknęła cicho i próbowała się uwolnić, ale Broichan mocniej ścisnął jej rękę i odciągnął ją od ognia.

Adam przenosił spojrzenie z Gemmy na Gartnaita i z powrotem. Na ich twarzach nie drgnął ani jeden mięsień. Oczy Gemmy były pełne łez.

- Co tu się dzieje? - krzyknął nagle Adam. - Zróbcie coś. Nie pozwólcie, żeby on ją zabrał.

Gartnait pokręcił głową. Gestem dał surowo znak Adamowi, żeby pozostał tam, gdzie jest.

- Ma do tego prawo.

- Nie ma. Co on robi? - Adam był przerażony.

- Zabiera ją z powrotem do Craig Phadraig. - Gartnait pokręcił głową. -

Takie jest jej przeznaczenie. Nie pozwoli jej powrócić.

- Ależ on nie może tego zrobić! - Adam szalał z rozpacz. - Nie możecie ot tak, po prostu, pozwolić mu ją zabrać.

- Nie mogę go powstrzymać, Adam - powiedział spokojnie Gartnait. - Takie życie sama wybrała. A ty musisz odejść. Zaraz. Nie wolno ci wrócić do tej krainy poza północnym wiatrem. Nigdy.

- O czym ty mówisz? Dlaczego? Co ja takiego zrobiłem? Czy coś ze mną jest nie tak? - Oszołomiony chłopiec czuł łzy pod powiekami.

- Ty żyjesz w innym świecie, Adam. W tym świecie poza kamieniem. Za mgłą. - Spojrzenie Gartnaita spoczęło na oddalających się postaciach Brid i Broichana. - Nikt nie powinien tam iść ani stamtąd wracać. Wuj powiedział mi o tym i dlatego mogłem rzeźbić w tym kamieniu. Brid przyszła za mną. Dzięki mnie poznała drogę. Będzie się uczyć o tym, ale to tajemnica. Tajemnica, której żadnemu człowiekowi nie może zdradzić. Mój wuj jest przekonany, że to my powiedzieliśmy ci o tej drodze. Mówiłem mu, że twój ojciec jest wszechmocnym kapłanem po twojej stronie kamienia i że ty poznałeś tę drogę dzięki niemu, ale on jest nadal zły. - Mój ojciec nie powiedział mi o tej drodze. Sam ją znalazłem. - Adam był zakłopotany. - Brid mi ją pokazała. Cóż w tym nadzwyczajnego? Nie rozumiem. Dlaczego droga przez las miałaby być okryta taką tajemnicą?

Gartnait zmarszczył czoło.

- Ona prowadzi na tyły północnego wiatru, dokąd żaden człowiek nie ma prawa się udać. Nawet sam Broichan. Nawet Brid. Nawet ja. - Westchnął. - Powiedziałem ci: strzeż się mojej siostry, Adam. Ona jest córką ognia i jej siła zabija. Zapomnij o niej, Adam. Ona nie jest częścią twojego przeznaczenia. Chodź, mój młody przyjacielu. Pójdę z tobą.

Adam potrząsnął głową. Był zakłopotany i bardzo nieszczęśliwy.

- Nie, zostań. Nie powinieneś chodzić po tym swoim wypadku. A poza tym powinieneś zostać z matką... - Przez chwilę patrzył na Gemmę.

Ale ona pokręciła głową.

- Idź, A-dam. Przynosisz nam kłopoty, mój synu. - Uśmiechnęła się ze smutkiem i znikła w chacie.

Adam strapiony wahał się chwilę.

- Czy mogę wrócić? - Twarz miał czerwoną ze wstydu.

Siedzący przy ogniu Gartnait potrząsnął ze smutkiem głową i odwrócił w kierunku płomieni. Miał nadzieję, że Adam nigdy się nie dowie, jak bliski był śmierci tego popołudniem że tylko jego, Gartnaita, elokwencja, odwaga oraz fakt, że przekonał Broichana, iż ojciec Adama także posiada moc, ocaliły go od śmierci, bo ostrze brzytwy ukrytej w rękawie starego człowieka miało poderżnąć Adamowi

gardło.

- Gemma? - Głos Adama był ochryply od bólu. Nagle ujrzał oczami wyobraźni swoją matkę płaczącą i kłójącą się z ojcem. Czy jego przeznaczeniem było przysparzanie kłopotów ludziom, których kochał?

Gemma znów ukazała się na progu, więc wyciągnął ku niej rękę. Podbiegł, a ona przytuliła go do siebie i pocałowała w policzek.

- Nie, A-damie, nigdy nie wracaj. - Chcąc złagodzić te słowa, delikatnie dotknęła dłonią jego policzka, odwróciła się i zniknęła w chacie.

Rozdział piąty

Kilka dni później Adam zdziwił się i ucieszył, widząc swego szkolnego kolegę, Robbiego Andrewsa, czekającego na niego przy bramie plebanii. Twarz chłopca rozjaśnił szeroki uśmiech i walnął Adama w ramię.

- Gdzie ty byłeś? Włóczę się tutaj całe popołudnie. Adam potrząsnął głową.
- Na wzgórzu.

Wałęsał się bez celu koło kamienia. Daremnie. Nie natrafił na żaden ślad Gartnaita ani Gemmy, ani chaty. Przygnębiony, odwzajemnił uśmiech Robbiego. Robbie, syn rządcy w majątku Glen Rose, był kiedyś jego najlepszym przyjacielem, ale kiedy umarła mu matka, przeniósł się do szkoły z internatem i zamieszkał z dziadkami w Edynburgu. Okazało się, że Robbie przyjechał do ojca, żeby spędzić lato w jego domku na terenie majątku.

- Mam dla ciebie wiadomość - powiedział.

Konspiracyjnie rozejrzał się dookoła. Był to wysoki, szczupły chłopiec o przerażająco rudych włosach. Miał siedemnaście lat i był kilka miesięcy starszy od Adama.

- Chodź.

Cofnął się tak, żeby nie widziano ich z okna gabinetu na plebanii, i ruszył z

Adamem ulicą, a potem zboczył w kierunku rzeki. Dopiero kiedy znaleźli się w lesie nad strumykiem, zatrzymał się i znalazł jakiś leżący pień drzewa, na którym usiedli, z dala od rozpryskującej się wody wodospadu. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej pogniecioną kopertę.

- Masz. To od twojej matki. Adam wlepił w niego wzrok. Otworzył usta i musiał siłą powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Upłynęły dokładnie dwa lata, odkąd matka opuściła dom, więc dawno już stracił nadzieję, że kiedykolwiek cokolwiek o niej usłyszy.

Wziął kopertę i siedział, wpatrując się w nią. Było to z pewnością jej pismo. Wszystkie myśli o Brid i Gartnaicie wyleciały mu z głowy, kiedy obracał w rękę otrzymany list.

- Nie masz zamiaru go otworzyć? - Robbie miał wielką ochotę dowiedzieć się, co jest w tym liście.

Adam potrząsnął głową. Schował kopertę do kieszeni i pochylony do przodu, z łokciami opartymi na kolanach, podniósł z ziemi jakiś kamyk i rzucił go w kierunku potoku.

- Przyszła do mojej babci - wyjaśniał Robbie. - Powiedziała, że pisała do ciebie, ale ty nie zadałeś sobie nigdy trudu, żeby odpowiedzieć. Powiedziała, że rozumie, i że musisz być na nią bardzo zły.

- Nigdy nie napisała - zaprzeczył Adam zdławionym głosem. - Ani razu. Robbie zmarszczył czoło.

- Powiedziała, że pisała.

Zapadła długa cisza. Adam starał się powstrzymać łzy. Kiedy wreszcie zdołał wydobyć z siebie głos, zabrzmiało to jak żabi rechot.

- Jak ona się czuje?

- Dobrze. Wygląda bardzo ładnie.

- Ładnie? - Adam uczeplił się tego słowa. Robbie skinął potakująco.

- Miała na sobie niebieską sukienkę i sznur pereł na szyi. A włosy długie, falujące. Nie takie, jakie zwykle się tutaj spotykać.

Adam zagryzł wargi. Ten opis nie pasował do zamkniętej w sobie, - potulnej

żony pastora, jaką była jego matka. Może ojciec miał rację. Stała się dziwką.

Przygnębiony wpatrywał się w wąski, połyskujący strumień wodospadu. Nic nie powiedział.

- Nadal masz zamiar zostać lekarzem? - Robbie rzucił swój kamyk do strumienia pod takim kątem, że odbił się kilka razy od powierzchni, wzbijając po drodze bryzgi, aż zniknął w brązowym wirze.

Adam przytaknął posepnie.

- Za rok pojedziesz studiować medycynę. W Aberdeen czy w Edynburgu? Moglibyśmy się pierwszorzędnie bawić. Tam jest wspaniale, Adam. Ja mam zamiar studiować filologię klasyczną. - Twarz chłopca promieniała entuzjazmem. - I będę latać. Wszyscy mówią, że będzie wojna. Jeśli do tego dojdzie, chcę być w RAF - ie.

Adam potrząsnął głową. W szkole także ciągle mówiono o wojnie.

- Więc mam nadzieję, że cię tam zobaczę. Ale o ile pamiętam, to ty nie umiesz nawet jeździć na rowerze bez trzymanki.

- To dawne dzieje, Adam. Teraz już umiem prowadzić samochód. Dziadek mnie nauczył. Ma Morrisa Cowleya. Zrobiłem prawo jazdy na motocykl. Mogę cię wozić na siodełku z tyłu.

Entuzjazm przyjaciela zaczynał bawić Adama.

- A co mówi twój ojciec na to wszystko? - Adam zawsze lubił rządcę, który zabierał go wraz z Robbiem obserwować ptaki na wzgórzach, kiedy byli za mali, żeby tam chodzić bez opieki.

- Ach, on jest fajny, jeśli chodzi o te sprawy. Nie obchodzi go, co będę robił.
- Zabrzmiało to trochę nazbyt wymijająco.

- A co słyhać u ciebie, Adam? I u pastora?

Adam skrzywił się.

- Nie mogę czekać na otrzymanie szkockiego dyplomu drugiego stopnia, żeby wyjechać. - Nagle zdał sobie sprawę, że nie ma po co tu zostawać, skoro nie ma tu Brid i jej rodziny.

Było już prawie ciemno, kiedy Adam usiadł na parapecie w swoim pokoju na strychu i wyjął z kieszeni list od matki. Kilka razy obracał w dłoni kopertę i

przyglądał jej się uważnie. Napisała na niej tylko jedno słowo: Adam. Na widok pisma matki poczuł się dziwnie. Najpierw myślał, że zaraz się rozplacze, a potem ogarnęła go złość. Zgniół list i wrzucił go do kosza na śmieci, gdyż poczuł się zdradzony, ale kiedy pomyślał, że ma okazję dowiedzieć się, dlaczego go zdradziła, szybko wyłowił list z kosza i rozerwał kopertę.

Drogi Adamie,

pisalam do ciebie kilka razy, ale nie wiem, czy w ogóle dostałeś te moje listy.

Być może, twój ojciec ci ich nie przekazał.

Proszę, spróbuj zrozumieć. Nie mogłam dłużej żyć z twoim ojcem. Nie musisz wiedzieć, dlaczego. Uwierz mi tylko, proszę, nie miałam wyboru. Musiałam odejść. Wiem, jaki czujesz się zraniony i jaki jesteś na mnie zły. Pozwól mi wytłumaczyć. Twój ojciec nie chce zezwolić, żebyś teraz do mnie przyjechał, ale przyjeźdź, proszę, jak skończysz szkołę, jeśli będziesz miał ochotę. Tak bardzo cię kocham i tak strasznie za tobą tęsknię.

Twoja kochająca matka.

Adam odłożył list. Miał oczy pełne łez. No tak, oczywiście, ojciec nie oddał mu jej listów. Jeszcze raz spojrział na kartkę w swoim ręku. Nie napisała, czy jest sama i co robi. Był tylko adres, w Edynburgu, i tych kilka żarliwych słów.

W gabinecie ojca paliło się światło. Adam, nie pukając, jednym pchnięciem otworzył drzwi i rzucił list na biurko.

- Czy to prawda? Czy ona do mnie pisała?

Thomas popatrzył na list. Kiedy podniósł wzrok na Adama, na jego twarzy nie malował się gniew, tylko straszny, niepojęty smutek.

- I cóż to był za grzech, który, jak mówiłeś, popełniła? - Adam sam nie wiedział, skąd się bierze jego odwaga, pozwalająca mu w ten sposób się odzywać do ojca.

Twarz Thomasa pociemniała.

- To nie twoja sprawa, chłopcze.

- Czy był inny mężczyzna? Wee Mikey powiedział, że uciekła z jakimś Francuzem. - Pytanie, które chciał zadać od tak dawna, samo wyrwało mu się z ust.

- Czy to prawda? Nie byliśmy dla niej dość dobrzy? - Nagle łzy zaczęły mu spływać po twarzy.

Ojciec przez chwilę patrzył na niego obojętnie, a w końcu potrząsnął głową.

- Nie wiem, Adamie. I nie chcę wiedzieć.

I to było wszystko, co miał do powiedzenia.

Kamień srebrzył się w świetle księżyca. Stare symbole widać było wyraźnie. Głębokie nacięcia zarosły mchem, ale pozostały tak wyraźne jak w dniu, kiedy je wyrzeźbiono. Adam wpatrywał się w nie przygnębiony. Wąż, półksiężyc i złamany miecz, a na dole lustro i grzebień. Zmarszczył czoło. Gartnait nigdy nie skopiował tego lustra na swoim kamieniu. Zakończył pracę, kiedy Adam widział go po raz ostatni, ale jeden mały trójkąt w rogu był pusty. Adam pochylił się teraz i dotknął palcami konturów. Lusterko na toalecie matki, szczotki i grzebień ojciec spalił wraz ze wszystkimi innymi jej rzeczami na ognisku. Adam znalazł tam pocerniałą kość słoniową i odłamki lusterka obok kilku strzępów brązowej tkaniny, które były kiedyś najlepszą sukienką matki.

Znów ją zobaczy. Cokolwiek zrobiła, była nadal jego matką. Nie odeszłaby, gdyby jej ojciec nie wypędził. Nawet jeśli znalazła sobie kogoś innego - jego myśli prześlizgiwały się jakoś po obrzeżach tej myśli, niezdolny był stawić jej czoło - nadal go kochała. Wyznała to w swoim liście. I tęskniła za nim. Kiedy o tym pomyślał, uśmiechnął się w świetle księżyca. Za rok pojedzie do Edynburga studiować medycynę, tak jak zaplanował, i zobaczy się z matką. A tymczasem napisze do niej i opowie, co u niego słyhać.

Utemperowana i posłuszna Brid знаła już na pamięć imiona trzydziestu trzech królów. Poznała rytuały ognia i wody. Nauczyła się wróżenia z lotu ptaków, z chmur, gwiazd i drzew, i posługiwania się różdżką szczęścia. Uczyła się czarów, zaklęć i uzdrawiania, zaczęła poznawać charakterystyki bogów i boginek i wiedziała, jak wstawiać się u nich za kimś lub za czymś, jak spryskiwać krwią, uczyła się o duszy, która mieszka w ciele, ale może ulatywać wolna jak ptak, oraz o tym, jak się przemieszczać i ukrywać, i o tym, że ona także, dzięki tej nauce, w czasie snu i używając świętego dymu może wejść do świata marzeń i podróżować przez wieki do światów

istniejących poza czasem.

Szczególnie interesował ją żbik. Od czasu do czasu wychodziła ze szkoły, tak jak to robiły inne kobiety, zupełnie sama, i śledziła sekretne ślady zwierząt na wzgórzach. Obserwowała, jak zwierzęta polują i jak zabijają, jak śpią i jak leniwie wylizują się na ukrytym, opromienionym słońcem występie skalnym na kamieniach, koło skalnych urwisk. Przyglądała się, jak zwierzęta łączą się w pary, tropiła ich kryjówki i sekretne miejsca, gdzie samica wychowywała swoje miauczące kocięta. Nauczyła się czytać w myślach żbika, a także chodzić po jego śladach i czuć jego skórę, jakby to była jej skóra, rozszarpywać zdobycz, jeść słodkawe surowe mięso zająca albo myszki polnej, albo dziczyznę, i zlizywać pożywną krew ze swoich łap.

A wieczorem, po powrocie do szkoły, marzyła czasami i śniła o Adamie. Wspominała jego silne ramiona, pamiętne pocałunki, miękkie chłopięce policzki ponad szorstkimi wąsikami i silny napór jego męskości. I uciekała od tych swoich wspomnień tam, gdzie nie istnieje pojęcie czasu i miejsca, i wszystko stanowi jedność, i podczołgiwać się do niego blisko, aby, gdy spał, dotknąć jego ust swoimi.

Adam znów zobaczył Brid następnego lata, kilka dni po zdaniu ostatniego egzaminu. Czekala, tak jak kiedyś, koło jego domu, i rzuciła się ku niemu, kiedy zsiadał z roweru po wizycie u Robbiego, gdzie celebrowali rozpoczęcie wakacji.

- A-dam! A-dam! Gdzie byłeś? Przyjechałam na trzy dni. - Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w usta. Potem lekko odepchnęła go od siebie i uderzyła pięścią w żołądek. - Zapomniałeś o Brid?

- Nie. - Gdy otrzeźwiał po szoku, jakiego doznał na jej widok, twarz rozjaśnił mu szeroki uśmiech. - Nie, ja nigdy nie zapomnę o Brid. Jak to się stało, że wróciłaś? Co z twoim wujem?

Uśmiechnęła się i przyłożyła palec do ust.

- Przekonałam go, że powinien być miły. Później ci powiem. - Rozejrzała się dookoła. - Jestem tu bezpieczna? - Popatrzyła nerwowo w głąb ulicy. Nie przyznała mu się nigdy, jaki ogarnął ją lęk, kiedy zobaczyła pierwszy samochód, należący do Jamesa Fergusona z Birnau czarnego alvisasa, który z rykiem przejechał wąską drogą, pozostawiając za sobą smugę niebieskiego dymu.

Adam powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem, a potem znów zerknął na dom. Plebania była pusta. Jeannie Barron pojechała autobusem do Perth, jak zwykle w każdą środę, a ojciec odwiedzał wiejski szpital. Skinął potakująco głową.

- Nikt nas nie zobaczy. - Uśmiechnął się do niej, nadal trzymając ją za rękę.
- Wiesz co? Przyniosę trochę ciasta.
- Czekoladowego ciasta? Popatrzył na nią figlarnie.
- Może.

Szła za nim niespokojnie na tyły domu i jeszcze bardziej się zawahała przy kuchennych drzwiach.

- W porządku. Nie ma tu nikogo. Weszli do sionki, prowadzącej do kuchni.
- Jest duży. Jak zamek. - Przeszła zalekniona na palcach po kamiennych płytach.

- Nie jest duży. - Pchnął kuchenne drzwi i zatrzymał się, zdziwiony. Przy stole stała Jeannie Barron z rękami po łokcie unurzany w mące. Wałkowała jakieś ciasto.

Za późno było, żeby zawrócić. Podniosła głowę i zobaczyła go.

- No i co, młody człowieku, udała ci się wizyta u Robbiego? Pamiętałeś, żeby mu powiedzieć, że pozdrawiam serdecznie jego babcię?... - Przerwała raptownie, dostrzegłszy wylaniającą się zza Adama Brid.

- A któż to taki?

Adam patrzył, jak Jeannie taksuje szybkim spojrzeniem Brid od góry do dołu. Przyglądała się jej długim włosom, haftowanej tunice, miękkiej skórzanej spódnicy i sandałom przytrzymywanym w kostkach rzemykami. Mars na jej czole zniknął tak szybko, że Adam się zastanawiał, czy sobie tego tylko nie wyobraził.

- No, panienczko, wejdź, niech no ci się przyjrę.

Brid zawahała się, ale Adam się odwrócił i wziął ją za rękę z uspokajającym uśmiechem.

- To jest Brid. Brid, to jest Jeannie, która piecze czekoladowe ciasto. Twarz Brid rozświetlił uśmiech.

- Lubię czekoladowe ciasto. Jeannie pokiwała głową.

- Tak myślałam. Adam nie mógł zjeść sam wszystkiego. Jeżeli zajrzycie do spiżarni, znajdziecie tam świeże, które upiekłam specjalnie dla niego. - Odwróciła się z powrotem do stolnicy. - A cóż to za imię, Brid, jeśli wolno zapytać? - Podobnie jak Adam wymawiała je Briiid.

- To skrót od Bridget - pospieszył Adam z wyjaśnieniem. - Takie przezwisko.

- Rozumiem. A skąd pochodzisz, panienczko? Nie widziałam cię chyba do tej pory.

- Ona mieszka we wsi po drugiej stronie rzeki Ben Dearg - odpowiedział Adam w zastępstwie Brid. - Jej brat jest tam kamieniarzem.

- Rozumiem. A ty nie masz języka w buzi? - Jeszcze jedno szybkie spojrzenie i Jeannie Barron od razu oceniła Brid. Ładne dziecko druciarza albo cudzoziemka. Bardziej prawdopodobne to drugie z uwagi na jej milczenie. I najwyraźniej ogłupiała z miłości do Adama.

Adam wyłonił się ze spiżarni z talerzem w ręku.

- Pergamin jest tam. - Jeannie umączoną dłonią machnęła w kierunku kredensu. - No i zejźcie mi z oczu, jeśli można prosić. Jestem tu dzisiaj, żeby mieć wolne w piątek i zostać u siostry przez cały weekend, a mam jeszcze sporo roboty przed wyjazdem.

Już za drzwiami Brid napadła na Adama.

- Powiedziałeś, że tu będzie bezpiecznie. To nie jest twoja matka?

- Nie. Mówiłem ci przecież. Moja matka odeszła.

Adam był całkowicie pewien, że Jeannie nie wspomni ojcu o tej wizycie.

- A więc jest to kobieta, która troszczy się o kapłana.

- Chciałbym, żebyś nie nazywała go kapłanem - powiedział Adam. - To brzmi tak po papistowsku. Mówiłem ci, że on jest pastorem.

- Przepraszam, A-dam. - Brid sprawiała wrażenie skruszonej. - Ona piecze dobre ciasto. - A potem, jak to często robiła, zmieniła temat. Nagle i bez namysłu uznała, że Jeannie nie jest warta dalszego zainteresowania. - Chodź, pójdziemy poszukać Gartnaita.

Poszli, ale przedtem zaciągnęła Adama do osłoniętego miejsca w odludnej dolince po północnej stronie wodospadu i ze śmiechem zaczęła ściągać z niego ubranie.

- A-dam! Jesteś taki wysoki, taki duży. - Obrzuciła go celowo prowokacyjnym spojrzeniem. Stanęła przed nim i obciągnęła swą tunikę, by uwydatnić piersi. - Ja też jestem już duża.

- Rzeczywiście. - Uśmiechnął się. W ciągu dwunastu miesięcy, które upłynęły od chwili, kiedy ją widział po raz ostatni, jej piersi i biodra zaokrągliły się, a szczupłe dziecięce nogi stały bardziej kształtne.

Kochali się raz po raz, a potem, wrzuciwszy okazałą garść ciasta do wodospadu dla Pani Jeziora, pływali pod lodowatą kaskadą. Wreszcie znaleźli osłonięty skrawek nagrany słońcem, gdzie wiatr nie mógł ich chłodzić, i położyli się na gładkich skałach, żeby wyschnąć.

- Sprawdzalam, co mówią wróżby. - Brid wpatrywała się w niebo. - Ty i ja będziemy zawsze razem. Zbadałam wnętrzości łani, zanim zjadłam jej mięso jako kotka. Ona mi to powiedziała.

- Brid! - Adam usiadł. - Chyba żartujesz? To obrzydliwe!

- Ależ nie! - Uśmiechnęła się, przewróciła go na plecy i zakrzywionymi jak szpony palcami zaczęła delikatnie drapać go po piersi. - Nie żartuję.

Spojrzał jej głęboko w oczy i przez chwilę był przerażony tym, co tam zobaczył. - Brid...

- Uspokój się, A-dam. - Usta dziewczyny odnalazły jego usta i przez chwilę milczał, gdyż jej dłonie wprowadzały zamęt w jego myśli.

Kiedy w końcu, zaspokojona, położyła się na wznak obok niego, odwrócił ku niej głowę i powiedział sennie:

- Wydawało mi się, że mówiłaś, iż nie wolno ci rozmawiać o swoich naukach?

- Nie rozmawiam - zaprzeczyła wyzywająco.

- Więc wymyśliłaś te wszystkie bzdury? O tych wnętrzościach?

- Nie wymyśliłam. - Usiadła po turecku i spojrzała na niego. - Chcesz,

żeby ci pokazała?

Popatrzył na nią i znów obleciał go strach. Okrucieństwo, które czasem dostrzegał w jej oczach, pozostawało w takiej sprzeczności z jej namiętnością. Był zakłopotany.

- Nie! - krzyknął. - One ci nie powiedziały, że będę z tobą zawsze.

- Powiedziały. - Uśmiechnęła się i przesunęła koniuszkiem różowego języka po wargach. - Ty i ja będziemy się zawsze kochać.

Zasepił się. Nie kojarzył Brid ze swoją przyszłością. Jego przyszłość mieściła w sobie dwa pojęcia: uniwersytet i studia medyczne oraz mnóstwo nowych, wspaniałych możliwości. Nie był jeszcze wcale pewien, jak Brid by do tego pasowała, gdyby w ogóle pasowała. Poruszył się zaniepokojony, obserwując ją zmrużonymi oczami. Jej sylwetka rysowała się wyraźnie na tle jasnego nieba.

„Powiedziałem ci, strzeż się mojej siostry, Adam. Ona jest córką ognia i jej moc cię zabije. Zapomnij o niej, Adam. Ona nie jest częścią twojego przeznaczenia”.

Echo słów Gartnaita rozległo się nagle w jego głowie i przebiegł go dreszcz.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, dlaczego wuj pozwolił ci wrócić?

- Przyjechał odwiedzić mojego brata i zobaczyć kamień. Jest prawie ukończony.

Adam usiadł.

- Chcesz powiedzieć, że on jest tu także?

- Nie. Dzisiaj pojechał odwiedzić stryja, brata mojego ojca... - Pokazała na migi to drugie pokrewieństwo. - Więc powróci z Abernethy za dwa, trzy dni. Pozostanę tutaj z Gemmą, aż spadnie pierwszy śnieg. Będziemy się mogli widywać przez cały czas.

Pochyliła się i znowu pocałowała go w usta. Adam spoważniał. Jakiś cień nasunął się na słońce.

- Nie przez cały czas, Brid. - Oparł się na łokciu. - Pamiętasz? Mam zamiar zostać lekarzem. Wyjeżdżam w październiku, żeby studiować na uniwersytecie.

- Na uniwersytecie? Co to jest uniwersytet? - Usiadła i patrzyła na niego

spode łba.

- To jest miejsce, gdzie się studiuje. Tak jak w szkole, tylko tam jest dużo trudniej. - W jego głosie narastał entuzjazm. - To jest coś takiego, co ty robisz ze swoim wujem.

- Ale będę cię widywała, jak skończysz te swoje studia. Wieczorami.

- Jej oczy spoglądały na niego intensywnie, zatrzymywały jego wzrok.

Poczuł się nieswojo.

- Nie, Brid. Nie będziemy mogli się widywać - powiedział łagodnie.

- Wyjeżdżam do Edynburga. To jest daleko stąd. Będę tam mieszkał.

- Ale wrócisz, żeby się zobaczyć z ojcem. Tak jak ja wróciłam, żeby się zobaczyć z matką i Gartniaitem.

- Tak. Wrócę.

Zastanawiał się, czy kłamie. Nie miał zamiaru nigdy wracać na plebanię. Jeśli mu się uda. Ale jeśli wtedy już nigdy nie zobaczy Brid? Znow na nią spojrzął i uśmiechnął się uspokajająco.

- Mamy mnóstwo czasu, Brid. Nie wyjeżdżam na długo. - Ale wciąż wydawało mu się, że na zawsze. Wziął ją za rękę i pociągnął mocno, tak że padła w jego ramiona.

- Cieszymy się tym, co mamy teraz. Przyszłość sama zadba o siebie. Nigdy nie dotarli do kamienia, ani tego dnia, ani nazajutrz. Adam

wrócił na plebanię i przygotował swój sprzęt kempingowy. Wiedział, iż Jeannie prawdopodobnie podejrzewa, że nie będzie spał w swym namiocie sam, ale nic nie powiedziała, tylko dała mu na drogę ogromną torbę jedzenia. Z trudem szedł, dźwigając namiot, śpiwór, maszynkę spirytusową, patelnię, prowiant, książkę o ptakach i lornetkę. Kierował się ku wzgórzu. Ciężar bagażu nie miał znaczenia, Brid na niego czekała, zresztą nie wybierali się daleko.

Rozłożyli obóz w odległości tylko stu metrów od wodospadu. Tam właśnie Brid dała mu misternie wykonany srebrny wisiołek na łańcuszku. Sama mu go zawiesiła na szyi.

- To dla ciebie, Adam.

- Brid! Mężczyźni nie noszą takich rzeczy. - Poczul się nieswojo z tą ozdobą na piersi.

Brid roześmiała się.

- Mężczyźni w moim świecie noszą to z dumą, A-dam. To jest dowód miłości. - Naciągnęła końce kołnierzyka tak, żeby zakrył wisiorek, i pocałowała Adama mocno w usta. Nieprędko miał zapomnieć, że to się stało tutaj.

Dwa dni później, kiedy wieczorem na ciemnoniebieskim aksamicie nieba rozsypały się blade gwiazdy, znalazł ich Gartnait.

- Jak długo tu jesteście? - Był wściekły.

- Niedługo. - Brid rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

- Szukałem was wszędzie. Wszędzie! - powtórzył. - Broichan jest w domu naszej matki. Strasznie zły. - Nacisk, z jakim wypowiedział ostatnie słowo, wymownie świadczył o tym, że sytuacja jest poważna.

- Mam wakacje - rzuciła Brid buntowniczo.

- Wakacje? - Gartnait powtórzył to słowo zakłopotany, po czym, nie czekając na wyjaśnienie, chwycił ją za rękę i pociągnął. Brid wstała.

- Byłaś tutaj z Adamem? - Jego twarz wyrażała kolejno różne uczucia: złość, lęk, podejrzenie. - Brid, przebywałaś tutaj? Tutaj? Po drugiej stronie?

Podbródek Brid uniósł się trochę wyżej. Ale policzki miała lekko zaczerwienione.

- Podoba mi się tutaj. Widziałam wieś, w której mieszka A-dam. Widziałam jego dom - powiedziała wyzywająco.

- I co powiesz naszemu wujowi?

- Nic mu nie powiem. Przyszłam odwiedzić naszą matkę.

Adam nie miał odwagi spojrzeć Gartnaitowi w oczy. Wiedział, że postąpili źle. To była jego wina. On tu był mężczyzną. Powinien był powiedzieć nie. Powinien był ją odesłać. Ale oboje wiedzieli, że to było niemożliwe. Nawet teraz, kiedy patrzył na Brid i widział jej coraz bardziej płonące policzki, jedwabisty połysk włosów, ciągle jeszcze rozwichrzonych po tym, jak się kochali w namiocie dziesięć minut przed przybyciem Gartnaita, jej długie, smukłe opalone uda, czuł w całym cie-

le gwałtowne pożądanie. Zacisnął pięści i starał się na nią nie patrzeć.

- Nie możesz powiedzieć, że nie udało ci się jej znaleźć? - zapytał Gartnaita.

- Chcesz, żebym skłamał wujowi? - Gartnait popatrzył na niego po-
tępiająco.

- Nie kłam. - Teraz z kolei Adam się zaczerwienił. - Po prostu powiedz, że
wszędzie szukałeś.

- On wie, że wszędzie szukałem - powiedział Gartnait z goryczą. - Wie też,
że nie trzeba było szukać nigdzie indziej.

- Nie może wiedzieć, że tutaj przyszedłeś - Brid była zaniepokojona.

- Ani że ty tu przyszłaś, siostrzyczko - potrząsnął głową Gartnait.

- Bo zabije nas oboje.

Na chwilę zapadła cisza. Adam poczuł nagle, jak krótkie Włoski jeżą mu się
na karku.

Brid utkwiała swe wielkie szare oczy w oczach brata. Oboje sprawiali
wrażenie, jakby zapomnieli, że Adam jest z nimi.

On zaś z trudem przełknął ślinę.

- Słuchajcie, wiem, że Broichan będzie zły, ale ja mu wytłumaczę...

- Mówił coraz bardziej niepewnie. Przypomniawszy sobie poprzednie spotkania.

Brid była bardzo blada.

- A-dam zostanie tutaj, w swoim namiocie. Ja pójdę się zobaczyć z wujem.
Potem wrócę. - Powiedziała to bardzo pewna siebie.

- Powiniennem pójść z tobą. - Nie. Wiesz, że to jest niemożliwe. Lepiej, żeby
on nie wiedział, że się z tobą znów spotkałam, mój A-damie.

- Jej głos nagle złagodniał, kiedy spostrzegła jego smutną twarz. Szybko się
pochyliła i pocałowała go w czoło. - Wkrótce wrócę. Widzisz... - Przerwała
raptownie i jej spojrzenie powędrowało na skraj polany.

Adam obrócił się, nagle zdjęty przerażeniem, ale z ogromną ulgą zobaczył
znajomą twarz wpatrującą się w nich znad brzegu skarpy. Jego przyjaciel Robbie
gramolił się ku nim, uśmiechając się szeroko, ale nagle zatrzymał się raptownie i

jego pogodna twarz zmieniła wyraz - odmalował się na niej lodowaty lęk. Adam obejrzał się i zobaczył, że Gartnait wyciągnął nóż, który nosił zazwyczaj za pasem.

- Gartnait! - krzyknął zatrwożony. - To jest mój przyjaciel. Wszystko w porządku. - Całe to popołudnie zaczynało się przemieniać w ohydny koszmar. - Odłóż ten nóż, to jest mój przyjaciel.

Gartnait niechętnie schował nóż, ale jego twarz pozostała nadal posępna i wroga, kiedy Robbie, po chwili wahania, podszedł bliżej.

- Adam, ty stary diable, nie wiedziałem, że zamierzasz biwakować. - Rozpoznał namiot. Miał taki sam i kiedyś obaj obozowali obok siebie. Wpatrywał się kolejno w Brid i w Gartnaita.

- Kim są twoi przyjaciele?

Adam zmarszczył czoło. Nie kwapił się, by ich przedstawić. Gartnait i Brid byli częścią jego własnego, prywatnego, tajemnego świata, który nie miał nic wspólnego z domem. Bez entuzjazmu powtórzył ich imiona.

- Właśnie mieli odejść - dodał, kiedy dwaj młodzi ludzie ukłonili się sobie sztywno,

Brid wspięła się na palce i zupełnie niezażenowana pocałowała Adama w policzek.

- Wkrótce się zobaczymy. - Uśmiechnęła się do niego i dotknęła dłonią jego twarzy. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że drapie go pazurami i że słyszy ciche mruczenie kota. Potem oboje, ona i Gartnait, odeszli.

Robbie gwizdnął.

- Kto to był, u licha? - Usiadł obok Adama i popatrzył na niego surowo. - Oni nie są stąd. Co za dziwne stroje!

Adam drżał. Nie po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że coś w zachowaniu Brid ogromnie go przeraża.

- Spotkałem ich po drugiej stronie wzgórza - powiedział wolno. - Gartnait rzeźbi w kamieniu. Podróżuje po tej okolicy.

- A ta piękna młoda dama? - Oczy Robbiego rozblęły ciekawością. Adam zmusił się do uśmiechu.

- Jest jego siostrą. Robbie walnął go w ramię.

- Ty stary lubieżny diable! Jak ci się udało zdobyć taką dziewczynę? Adam zaczerwienił się aż do bólu i poczuł nagle złość i lęk. Mimo woli rozejrzał się dookoła. Ale byli sami i znajdowali się w samym środku wielkiej czaszy otoczonej górami.

- Nie bądź głupi. To nikt szczególny. Po prostu ktoś, kogo spotkałem.

Mówiąc to czuł, że ją zdradza, ale Brid i Gartnait oraz Robbie pochodzili z dwóch różnych światów. I miał zamiar tak ich pozostawić. Nagle poczuł chłodny ciężar srebra na swych piersiach. Poruszył ramionami, żeby zmniejszyć rozchylenie kołnierzyka, i ukradkiem zapiał guzik pod szyją. Nie zamierzał pokazywać Robbiemu wisiorka. Jak tylko zostanie sam, od razu go zdejmie.

Czekał w namiocie tej nocy, ale Brid nie wróciła. Nie wróciła również i następnej, więc w sobotę spakował rzeczy i wrócił na plebanie.

Z uczuciem zbliżonym do ulgi wykreślił ją z pamięci. W następnym tygodniu trzy razy jeździł do Robbiego i razem snuli plany, co będą robili, kiedy pojedą do Edynburga. W końcu w głowie Adama zaczęło świtać, że właściwie jest na wakacjach, i jego myśli wracały do Brid coraz rzadziej. Właściwie jedynie nocą, w snach. Swoją srebrny amulet schował do pudełka i ukrył na dnie jednej z szuflad.

Przysłano wyniki egzaminów: stopnie miał doskonale i dostał się na medycynę. Odebrał tę wiadomość w gabinecie ojca. Oniemiały z podniecenia stał, patrząc na list, który pastor trzymał w ręku.

- Gratuluję, Adamie. - Thomas uśmiechnął się do niego. - Jestem z ciebie bardzo dumny.

Adam na chwilę zaniemówił. Przeczytał list ponownie. Nie było wątpliwości, stało to czarno na białym.

- To wielki krok - ciągnął ojciec. - Pewnego dnia będziesz świetnym lekarzem.

- Dziękuję, ojcze. - W końcu Adam odzyskał głos.

W ciągu pół godziny dotarło to do niego z oszołamiającą siłą. Wyruszał w drogę. Jechał do miasta. Opuszczał plebanie na zawsze. Nie miał zamiaru tu wracać,

nawet na wakacje. Będzie lekarzem.

Nie pomyślał nawet o Brid. Kiedy Brid wróciła z Gartnaitem do chaty, Broichan czekał na nią, siedząc przy ogniu. Gemmy nie było nigdzie widać.

- A więc przekroczyłaś granicę naszego świata. Skłamałaś, oszukałaś i zламаłaś śluby.

- Nie! - Brid spojrzała mu prosto w oczy, policzki jej płonęły. - Nie zdradziłam nikogo.

- Zdradziłaś mnie. Zdradziłaś naszych bogów. - Broichan nie podniósł głosu. - Wsiadaj na swojego konia. Jedziemy teraz na północ.

- Ja zostaję tutaj...

- Nigdzie nie zostajesz! - Broichan wstał. Górował nad nią. - Zdradziłaś swego brata i swoją matkę. Zdradziłaś krew, która płynie w twoich żyłach. Zdradziłaś swoje powołanie...

- Nie masz na to wszystko dowodu. To tylko domysły...

- Mam wystarczające dowody. Obserwowałem cię w ogniu i wodzie.

Widziałem cię, leżącą jak ladacznica z tym chłopakiem, synem kapłana Jezusowego.

- Ruszył w jej kierunku i Brid się cofnęła. - Zbieraj swoje rzeczy i chodź, bo cię przywiąże jak niewolnicę i będę ciągnął za swoim koniem.

Nie miała wyboru. Drżąc pozbierała swoje rzeczy, pocałowała Gemmę, która czekała milcząca i wylęknięta w chacie, i wsiadła na swojego konika. Zdołała jakoś trzymać głowę wysoko, ale policzki nadal jej płonęły, kiedy Broichan prowadził ją do drogi, przy której czekali na niego słudzy i eskorta.

Słońce przesunęło się zaledwie o szerokość dłoni na niebie, kiedy jeźdźcy minęli następną górską dolinę i zniknęli z pola widzenia.

Wróciwszy do Craig Phadraig, Brid dostosowała się do zwyczajów szkoły. Unikała Broichana, jak tylko mogła. Bunt, tajemnica i z trudem opanowywany gniew podnosiły ją na duchu w samotne wieczory, bo wiedziała, że Broichan jest zazdrosny o jej moc. Obserwowała Adama z daleka. Kiedy wraz z Robbiem wybierał się na wycieczki rowerowe albo wędrowali po wzgórzach, mogła go śledzić, przybierając postać skowronka, który zawisnął w powietrzu nad polami;

kiedy leżał nocą w łóżku, marząc o niej, wiedziała o tym, podkradała się, siadała na parapecie okiennym pod postacią wiejskiego kota i mruczała z rozkoszy, a kiedy pływał w potoku wysoko na wzgórzu, rozkoszując się ostatnimi resztkami letniego ciepła, przemieniała się w smukłego brunatnego górskiego pstrąga i śmigała w wodzie, ocierając się o jego uda. Pewnej burzliwej jesiennej nocy, kiedy obserwowała Adama ze swojej spokojnej celi, nagle wszedł Broichan i przyłapał ją na tym.

- A więc to tak, mała kocico? Nauczyłaś się szpiegować swego kochanka? - Głos Broichana przypominał aksamitny szept.

Brid podskoczyła z przerażenia. Małeńki pokoik, oświetlony jedynie dymiącym płomykiem lampki oliwnej, był pełen ruchliwych cieni. Broichan obserwował ją z uśmiechem.

- Taka strata. Posiadałaś wielkie dary, moja siostrzenico. Mogłaś zostać kapłanką, prorokinią, kto wie, może nawet królową. - Skrzyżował ręce pod płaszczem. - Ale ty wybrałaś zdradę. Zdradziłaś mnie. Nie można ci ufać. Marnujesz swoje zdolności dla wiejskiego chłopaka i łamiesz swoje śluby. Tylko w jeden sposób możesz odpokutować za swoje winy, mała Brid. Twoja krew zostanie oddana bogom razem z krwią twojego brata, kiedy nadejdzie czas poświęcenia kamienia, i dzięki temu twoja dusza będzie mogła narodzić się na nowo w świeżym szczerym ciele...

- Nie! - Chciała wstać, twarz miała alabastrowo białą, ale Broichan podniósł rękę i zatrzymał ją przed jej twarzą.

Między jego palcami kołysał się na końcu pięknego złotego łańcucha oszlifowany czerwony kamień w kształcie jajka. Był półprzezroczysty i lśnił w świetle płomienia.

- Nie ruszaj się, mała Brid. Nie mrugaj nawet oczami. Widzisz, mogę cię zaczarować tak, że zapadniesz w magiczny sen, i utrzymać cię w nim do czasu, aż będziesz mi potrzebna. - Roześmiał się łagodnie. - Biedna mała siostrzeniczko. Taka zdolna, ale nie dosyć zdolna. - Sięgnął w fałdy swoich szat i wyjął nóż o długim ostrzu. Trzymał go przez chwilę przed jej nieruchomymi oczami,

pozwalając, by światło migotliwego płomienia igrało na jego ostrzu. Delikatnie przycisnął nóż do jej policzka. Nawet nie drgnęła. Wtedy Broichan zaśmiał się cicho.

- Gdy się obudzisz, nie będziesz nic pamiętać, mała Brid. Kompletnie nic. Będziesz mi posłuszna i będziesz spokojnie czekała na swój los.

Schował nóż, pochylił się i pstryknął palcami pod nosem dziewczyny. Podskoczyła i spojrzała na niego, mrugając oczami.

- Wuju...

- Pracujesz zbyt ciężko, siostrzenico. - Broichan roześmiał się z okrucieństwem. - A teraz śpij. Mam w związku z tobą wielkie plany, moja droga.

Wyszedł z pokoju. Za nim migotał płomyk lampki. W przeddzień wyjazdu do Edynburga Adam po raz ostatni wybrał się wieczorem do kamienia. Jego walizka, spakowana i spięta rzemieniami, stała w holu. Jutro woźnica zawiezie ją na stację.

Czuł się trochę winny, kiedy się wspinał na wzgórze. Zaabsorbowany i podniecony myślami o przyszłości, właściwie przez ostatni miesiąc wcale nie myślał o Brid i Gartnaitce. W plecaku miał czekoladowe ciasto. Miała to być ofiara pojednawcza, a może i pożegnalna.

Kamień stał w cieniu. Adam, trochę zdyszany, stanął przy nim, jak to często robił, i przesunął palcami po zawiłym wzorze wyrzeźbionym na płycie. Zbocza zaczynała spowijać aksamitna czerń nocy. Wysoko w górze zaś, na stoku od strony zachodniej, słońce nadal odbijało się różowo w czerniejących już wrzosach i na skałach. Wieczór był bardzo spokojny. Nie śpiewały żadne ptaki, nawet wiatr ucichł w rzadko rozsianych kępach traw. Adam zsunął plecak z ramion i położył na ziemi, a potem odstepił kilka kroków od kamienia. Nacięcie w kształcie litery Z - on nazywał je świetlistym piorunem, chociaż Gartnaitowi przypominało złamany miecz - rzucało wąski, ostry cień na wygładzoną powierzchnię granitu. Obok wił się wyrzeźbiony wąż, niedokończony, z ogonem tylko do połowy zarysowanym. Była to jedyna niedokończona rzeźba na tym kamieniu. Pod nią lusterko wyglądało tak, jakby ktoś je potłukł. Po mchu nie zostało ani śladu. Adam zmarszczył brwi. To dziwne. O ile wiedział, był jedyną osobą na całym świecie, oprócz Brid i Gartnaita,

która kiedykolwiek odwiedzała to odludzie.

Chodził powoli dookoła, starając się utrwalić w pamięci każdy szczegół tego miejsca, które tak wiele dla niego znaczyło, wiedział bowiem, że nigdy tu nie powróci. Miał zamiar zostawić ciasto, całkowicie pewien, że Brid go nie znajdzie, ale ptaki i zwierzęta z wysokich osypisk na pewno.

O mało nie wyskoczył ze skóry, kiedy usłyszał za sobą głos Brid.

- A-dam! Wiedziałaś, że przyjdiesz. Wysłałam w myślach polecenie, postanowiłam cię tu sprowadzić. - Nagle zaczęła szlochać. Zarzuciła mu ramiona na szyję, po czym nagle odsunęła się od niego, co było tak do niej niepodobne.

- Muszę z tobą wyjechać. Mój wuj zamierza mnie zabić. - Powiedziała to tak stanowczo i spokojnie, że zaniemówił. - Za pomocą swej, magii uspił mnie i powiedział, co ma zamiar zrobić. Aleja mam większą moc niż on! - wybuchnęła dzikim śmiechem. - Udawałam tylko, że śpię, i słyszałam, co mówił. Ale nie dałam tego poznać po sobie. Nie drgnął ani jeden mięsień na mojej twarzy. Ale kiedy odszedł, opracowałam plan. Wyprowadziłam jednego z jego najlepszych koników i w środku nocy wyruszyłam na nim w drogę. I przyjechałam do domu. - Uśmiechnęła się, zmęczona, i ten niewesoły, chłodny uśmiech zmroził Adama. - On ma zamiar zabić także mojego brata, kiedy skończy rzeźbić w tym kamieniu. Teraz zdaje sobie sprawę, że Gartnait i ja wiemy, do czego ten kamień ma służyć: będzie stał przy bramie prowadzącej w inne czasy, ku wiedzy, która jest zakazana dla wszystkich, z wyjątkiem tych najbardziej wtajemniczonych, więc my oboje musimy umrzeć. Widzisz to lustro? To jest znak, że stąd możesz wejrzeć dzięki niemu w odbijające się w nim światy. To dlatego przyjechałam do ciebie. Nie wrócę tam. Przy tym kamieniu pozostało niewiele do zrobienia. Kiedy wąż zostanie ukończony, Broichan wyda rozkaz i zostaniemy spaleni w tym miejscu. Będzie to ofiara dla bogów. - Jej surowość znikła nagle, teraz Brid pocierała piąstkami oczy jak małe dziecko. - Gartnait uciekł. Wyjechał trzy dni temu z matką na południe. Chciał, żebym pojechała z nimi, ale zostałam. Czekałam na ciebie.

Adama ogarnęło dziwne uczucie, czuł jakiś chłód na dnie żołądka.

- Brid, o czym ty mówisz? Twoja matka i Gartnait nigdy by cię nie zostawili.

Twój wuj nigdy by cię nie zabił. To absurd. To wszystko, co mówisz, nie ma sensu.

- Absurd? - powtórzyła jak echo z dziką zawziętością. - Broichan jest najwyższym kapłanem w tym kraju. Jego słowo stanowi prawo. Nawet król mu się nie przeciwstawi, jeśli to będzie sprawa bogów. - Jej wzrok znów stał się surowy i Adam cofnął się trochę. - A-dam, czy ty nie rozumiesz, że musisz mnie ocalić? Muszę żyć teraz w twoim świecie. Wyjadę z tobą. Do twojej szkoły w Edynburgu!

- Nie! - Adam cofnął się jeszcze bardziej. - Nie, Brid. Przykro mi, ale nie możesz. To niemożliwe.

- Dlaczego nie mogę? - Utkwiła wzrok w jego twarzy.

- Bo nie możesz. - Na samą myśl o tym ogarniało go przerażenie.

- Nie możesz mnie powstrzymać, A-dam. Nie mam dokąd pójść.

- Wyjedź z Gartnaitem i Gemmą. Do nich należysz.

- Nie mogę. Oni pojechali na południe.

- Więc musisz pojechać za nimi. To nonsens, Brid. Ja nie mogę cię zabrać do Edynburga! Przykro mi.

- Ale ty mnie kochasz, A-dam.

- Tak. - Przerwał na chwilę. - Tak, kocham cię, Brid.

To była prawda, ale jednocześnie zdał sobie nagle sprawę, że jakaś część jego istoty byłaby całkiem zadowolona, gdyby jej nigdy więcej nie zobaczył. Te wybuchy złości, zaborczości i dzikie deklaracje stały się przerażające. Ale jakaś jej część zaczęła się oddzielać od Pittenross i wszystkiego, co było z tym związane.

Powiedział nieco łagodniejszym tonem:

- Nasza miłość może istnieć tylko tutaj. To miłość wakacyjna. W Edynburgu nie ma dla ciebie miejsca. Zupełnie. - Zawahał się. - Brid, tam, dokąd jadę, kobiety nie mają wstępu. - Nie lubił kłamać, ale w jakimś sensie to była prawda. Robbie znalazł dla nich jakieś mieszkanie za High Street i jednym z warunków gospodyni było: żadnych młodych kobiet. Robbie, szperając w mieszkanku, znalazł szkielet, specjalnie dla Adama, przyszłego lekarza. Historia tego szkieletu była następująca: był on kiedyś znany pod nazwą Knox; został pozbawiony skóry i ciała przez pewnego młodego człowieka, studenta medycyny, który teraz udał się na

południe, do Londynu, żeby zostać dermatologiem.

- Brid. - Adam nabrał głęboko powietrza i łagodnie ujął jej dłonie.

- Musisz wracać. Przykro mi. Wiesz, że tak naprawdę nic ci nie grozi. -

Celowo nie dopuszczał do swej wyobraźni postaci Broichana z jego! okrutnymi oczami, zmierzwionymi włosami i dzikim wyrazem twarzy o zaciśniętych ustach. - To wszystko jest tylko wytworem twojej cudownej fantazji. Jakaś zabawa z naszego dzieciństwa. - Zmarszczył czoło. - Brid, niedługo ma wybuchnąć wojna. Chcę być lekarzem. Zrozum to, proszę. - Delikatnie dotknął jej twarzy. - To jest po prostu niemożliwe.

- A-dam... - Jej twarz była szara jak popiół. - Wojna nie ma dla mnie znaczenia. Będę ci pomagała przy rannych. Proszę. Kocham cię.

- Chwyliła go za sweter. - Jeśli tam wrócę, umrę.

- Nie, Brid.

- A-dam. Ty nic nie rozumiesz. - Tulila się do niego z twarzą pełną rozpacz.

- Nie, Brid. Rozumiem. Posłuchaj. Musisz wrócić, odnaleźć Gartnaita i Gemmę, a za rok, w czasie wakacji, spotkamy się i porównamy swoje postępy w nauce, dobrze? Musisz mnie zrozumieć. Nie możesz ze mną jechać.

Nagle odepchnęła go tak, że się zatoczył do tyłu. Oczy jej błyszczały przez łzy.

- A-dam, nigdy ci nie pozwolę odejść. Nigdy! - zawołała niemal z nienawiścią.

Adam patrzył na nią wstrząśnięty. Skóra na karku nagle mu ścierpła, ale udało mu się zachować spokój.

- Nie, Brid. Przykro mi. - Odsunął się od niej. - Proszę, spróbuj mnie zrozumieć. - Nie mógł dłużej znieść wyrazu jej oczu.

Odwrócił się i co sił w nogach zaczął zbiegać ze wzgórza. Chciał być od niej jak najdalej.

Rozdział szósty

Do mieszkania, znajdującego się w wąskiej uliczce szarych domów z kroksztynami na końcu High Street, wchodziło się po krętych schodkach. Początkowo na widok wnętrza, które odtąd miało mu być domem, Adam poczuł przyływ intensywnej klaustrofobii: wąskie, twarde łóżko, pusta półka na książki i kiwający się stolik, ale potem, gdy spojrzał na to wszystko nie dumnym wzrokiem Robbiego, ale ocenił sam, zmienił zdanie i uznał swoje nowe lokum za przystań niezależności.

Rzucił bagaże na łóżko, obok którego leżał już jego plecak, podniósł ręce do góry i w poczuciu wolności wydał z siebie okrzyk triumfu. Znajdowali się, jak zakomunikował mu uradowany Robbie, tylko dziesięć metrów od najbliższego pubu. W kącie pokoju przyjaźnie szczyrzył zęby szkielet Knoxa. W ciągu kilku minut chłopcy ubrali go w kapelusz i uniwersytecki krawat. Pudełko zawierające maskę gazową Adama powiesili bez odrobiny szacunku na jego ramionach. Było to zaledwie w kilka dni po powrocie Chamberlaina z Monachium; groźba wojny raz jeszcze została oddalona. Z tej racji dwaj młodzi ludzie pognali w dół schodkami, żeby wychylić pół kwarty. Wtedy to właśnie Adam po raz pierwszy w życiu był w barze.

Drogę tę mieli przemierzać wiele razy przez następnych kilka miesięcy między wyczerpującymi seriami wykładów. W przypadku Robbiego odbywały się one w Old Quad, a w przypadku Adama w nowych budynkach na Teviot Place, gdzie mieściła się katedra chemii i anatomii oraz prosektorium. W Ogrodzie Botanicznym odbywały się wykłady z botaniki, a w King's Buildings z zoologii. Z początku życie uniwersyteckie wydawało się Adamowi dziwne i czuł się oszołomiony, że ma tyle wolnego czasu i znajduje się z dala od monotonnej atmosfery plebanii. Kusiło go to nowe życie jak woda kaczkę, chciwie sycił się każdym przedmiotem swych studiów i niewiele czasu pozostawało mu na wy-

poczynek. Raz w tygodniu z poczucia obowiązku pisał list do ojca, no i w końcu pojechał zobaczyć się z matką.

Zmieniła się nie do poznania. Zniknęły mocno związane, ściągnięte do tyłu włosy, skromne sukienki, zmęczona twarz. Kiedy wszedł z wahaniem do herbaciarni na Princes Street, gdzie postanowili się spotkać, stał przez chwilę, rozglądając się dookoła, a jego spojrzenie przesuwano się ponad ożywioną, śliczną kobietą o falujących włosach, w modnym kapeluszu, która siedziała nieopodal. Na stoliku stał już imbryk z herbatą i patera ciastek. Dopiero kiedy kobieta wstała i wyciągnęła do niego rękę, spojrzał jej w oczy i zobaczył w nich miłość i lęk, i współczucie. Ze wzruszenia łzy nabiegły mu do oczu.

- Pisałam, Adam. Pisałam często, kochanie. - Trzymała dłoń opartą na stole i poruszała palcami, jak gdyby chciała je policzyć. - Musisz mi uwierzyć. Czy ty rozumiesz? To nie jest wina twojego ojca. To taki dobry człowiek. Na pewno uważał, że najlepiej będzie, jak nie będziesz dostawał listów ode mnie. - Nagle odwróciła wzrok i ujrzał w jej oczach ból, a na rękach łzy. - Nie byłam dla niego dość dobra. Jestem słaba. Potrzebowałam wielu różnych rzeczy... - Przez chwilę nie mogła mówić i zajęła się dolewaniem herbaty do jego filiżanki. Ręka drżała jej lekko. - Dusiałam się, Adam. Myślałam, że umrę.

Nie wiedział, co powiedzieć. Uśmiechając się w milczeniu, uściśnął jej rękę i pochylił się nad swoją filiżanką.

Wytarta nos w obszytą koronką chusteczkę. Po chwili spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Łzy przestały płynąć.

- A więc masz zamiar zostać lekarzem? Skrzywił się.

- Mam nadzieję. - Cofnął rękę, aby zamieszać cukier w filiżance. - Jeśli nim zostanę, to dlatego, że wiele się nauczyłem od ciebie... Gdy odwiedzaliśmy tych biednych ludzi w parafii i nie mogliśmy patrzeć, jak cierpią, i pragnęliśmy im pomagać.

Utkwił wzrok w filiżance z herbatą i nagle naszło go wspomnienie leżącego pod drzewem rannego młodzieńca i Brid, która swymi małymi rączkami opatrywała jego rany. Jakie to dziwne. Nie pomyślał o niej ani razu od chwili swego przyjazdu

do Edynburga.

Znów spojrzał na matkę. Twarz miała bardzo poważną. - Nienawidziłam tego wszystkiego. Tych odwiedzin. Nie miałam pojęcia, kiedy wychodziłam za mąż, co za sobą pociąga życie żony pastora. - Przerwała, nie dostrzegając zakłopotania i rozczarowania w oczach syna.

- Spotkałam kogoś, Adam. Dobrego, miłego, szlachetnego, wyrozumiałego człowieka.

Adam słuchał w napięciu. Nie chciał tego słuchać.

- Miałam nadzieję, że twój ojciec się ze mną rozwiedzie. Ja byłam stroną, która zawiniła. - Zerknęła na Adama i znowu odwróciła wzrok. - Wtedy mogłabym ponownie wyjść za mąż. - Unikała jego oczu. - On oczywiście nie może się ponownie ożenić jako osoba duchowna, więc ja... no, cóż, musiałam udawać. - Wpatrywała się w swoje dłonie. Adam, chcąc nie chcąc, też na nie spojrzał i zobaczył, że z jej palca zniknęła cienka złota obrączka. Zamiast niej nosiła grawerowany pierścionek ze srebra.

- Przykro mi, Adam. Zrozumiem, jeżeli znienawidzisz mnie za to - mówiła błagalnie, nadal na niego nie patrząc.

Zagryzł wargę. Nie był pewien, co czuje. Gniew? Urazę? Odrzucenie? I... tak, nienawiść, ale nie do niej, lecz do tego nieznanego mężczyzny, który mu ją ukraść. Odchrząknął nerwowo.

- Czy jesteś teraz szczęśliwa? Przytaknęła.

Znowu odwrócił wzrok. Była szczęśliwa! Czy kiedykolwiek zastanowiła się nad tym, jak on się czuje, czy wyobrażała sobie jego samotność, jego żal i pustkę, kiedy odeszła? Poczul, że sam jest bliski łez, kiedy przypomniał sobie docinki Wee Mikey'a. Chłopcy z miasteczka mieli świętą rację. Ona uciekła z innym mężczyzną. Była, jak powiedział ojciec, dziwką.

Wstał raptownie.

- Muszę iść. Niestety. - Starł się zapanować nad swym głosem.

- Adam - wreszcie spojrzała na niego zdruzgotana.

- Przykro mi, mamó. - Nagle zdał sobie sprawę, że nie wie, jak się do niej

zwracać. Nie „mamusiu”. Nigdy. Nigdy więcej.

- Spotkamy się znowu, Adam? Wkrótce? - W jej oczach znowu zabłyśły łzy.

- Może.

Nagle poczuł, że nie wytrzyma ani chwili dłużej. Odwrócił się, niemal po omacku przeszedł między stolikami i prawie wybiegł na ulicę. Jeannie Barron rzadziej piekła teraz ciasto. Zgodziła się pozostać w domu pastora po wyjeździe Adama; potrzeby pastora były bardzo skromne i w domu panował spokój. Praca nie zabierała jej zbyt wiele czasu, ale smutno było bez Adama. Toteż z przyjemnością podniosła głowę, gdy usłyszała pukanie do drzwi kuchennych i zobaczyła śliczną twarzączkę okoloną długimi czarnymi włosami. Dziewczyna zaglądała ciekawie do środka i przyglądała się jej.

- Brid, moja panienczka. Jak to miło znowu cię zobaczyć. - Uśmiechnęła się i zaprosiła dziewczynkę do środka. Ale to nie była już mała dziewczynka. Kiedy Brid usiadła przy kuchennym stole i utkwiała w Jeannie zimne spojrzenie, kobieta poczuła ciarki na plecach, przebiegł ją lekki dreszcz lęku. - Jak się czujesz? Tęsknisz za Adamem, tak jak my wszyscy - powiedziała wolno. Odwróciła wyrabiane właśnie ciasto i uderzyła w nie pięścią.

- Pani mi powie, gdzie on jest. - Brid utkwiała w Jeannie surowe spojrzenie; Jeannie zerknęła na nią.

- Nie powiedział ci, dokąd jedzie? - W jej głowie zadzwonił na alarm jakiś dzwonek.

- Powiedział, że jedzie do Edynburga studiować leczenie.

- Ano tak. Racja. - Jeannie uśmiechnęła się z ulgą. - Jest bardzo zdolny ten nasz Adam.

- Ja też pojedę. - Brid zdecydowanym ruchem założyła ręce na piersi. - Pani mi powie jak.

- Jak się jedzie do Edynburga? To trudne. - Jeannie chciała zyskać na czasie. Jeśli Adam nie podał dziewczynie adresu, żeby mogła do niego napisać, to musiał mieć jakiś powód. - To kosztuje sporo pieniędzy, panienczko. Trzeba

jechać autobusem albo pociągiem.

Brid miała zakłopotaną minę.

- Dlaczego nie zaczekasz, aż przyjedzie na wakacje? To niedługo. Wróci, zanim się spostrzeżesz. Poza tym nie napisał nam, gdzie mieszka. - Miała nadzieję, że będzie jej wybaczone to kłamstwo. - Edynburg jest bardzo duży, panienczko. Większy, niż możesz sobie wyobrazić. Nie znalazłabyś go tam.

- Zapytam. Ludzie będą wiedzieli, gdzie jest szkoła uzdrawiania. Pani mi da pieniądze.

Jeannie pokręciła przecząco głową.

- Nie, Brid. Przykro mi. Nie mogę sobie na to pozwolić. Nie stać mnie na wydawanie pieniędzy, panienczko. Musisz je zdobyć samą. - Pani mi da swoje. - Brid spostrzegła torebkę Jeannie na kredensie. Odsunęła swoje krzesło, podeszła do kredensu i wyciągnęła po nią rękę.

- Nie! - Jeannie widząc, na co się zanosi, podeszła i chwyciła torebkę, obsypując ją mąką, którą miała na dłoniach. - Mam przecucie, że wcale nie jesteś taka dobra, za jaką cię uważałam. Wynoś się stąd. W tej chwili. Bo zawołam pastora. Jak chcesz jechać do Edynburga, to musisz znaleźć na to sposób, ale ostrzegam cię, nie znajdziesz Adama. Gdyby chciał, żebyś wiedziała, gdzie on jest, to by ci powiedział. A więc skończmy już z tym, słyszysz?

Przez chwilę w pokoju panowała całkowita cisza. Brid wpatrywała się w nią oczami zimnymi jak głazy i Jeannie, wstrząśnięta, naprawdę poczuła lęk. Z trudem przełknęła ślinę. Pastora nie było teraz w gabinecie. Nie miała pewności, gdzie jest. Może odwiedzał któregoś z parafian, a może był w kościele. Wyprostowała ramiona. Brid jest taka drobniutka. Dlaczego więc ona tak się boi?

Jeannie wyczytała śmiertelne zagrożenie w oczach Brid zaledwie na sekundę przed tym, jak dziewczyna spokojnie wyciągnęła zza paska nóż. Jeannie próbowała uciec, ale było na to za późno. Lśniące kute żelazo utkwilo jej między łopatkami, zanim zrobiła jeden krok, i osunęła się niezgrabnie na ziemię, przyciskając do piersi torebkę. Krew spływała powoli po jej jasnoniebieskim swetrze, a jedynym dźwiękiem, jaki jeszcze wydała, było lekkie westchnienie.

Brid stała spokojnie, zdumiona niewiarygodnym przyływem energii i podniecenia. Potem z obojętnym wyrazem twarzy wyjęła torebkę z zaciśniętej dłoni zamordowanej kobiety. Otworzyła ją i wysypała na podłogę. Z zainteresowaniem obejrzała różne przedmioty. Była tam mała puderniczka z masy perłowej, którą Jeannie dostała od matki Adama, kiedy ta zdała sobie sprawę, że pastor nie pozwoli jej trzymać takich drobiazgów. Grzebień. Chusteczka do nosa. Mały notesik, portmonetka i portfel. Zignorowała portfel, który zawierał duży pięcioletni banknot, nie uważając tego za pieniądze. Puderniczkę wzięła do ręki i dokładnie jej się przyjrzała. Nacisnęła mały guziczek znajdujący się z boku i otworzyła usta ze zdziwienia, kiedy puderniczka się rozchyliła, ukazując małe lusteczko. Przez chwilę Brid wpatrywała się zachwycona w swoje odbicie, po czym pospiesznie wsunęła dziwny przedmiot do kieszeni w fałdach spódnicy. Następnie sięgnęła po portmonetkę. Było w niej dziewięć szylingów, trzy sześciopensówki, cztery pensy i jedna półpensówka. Miała nadzieję, że to wystarczy na opłacenie podróży do Edynburga. Adam poznał Lizę, kiedy rysowała zwłoki, nad którymi pracował. Przeprowadzanie sekcji fascynowało go. Wymagało precyzji i delikatności, a badanie struktury skóry, mięśni i różnych organów było wspanialsze niż wszystko, co sobie kiedykolwiek wyobrażał. Młodzi ludzie z jego grupy żartowali, uskarżali się na nieprzyjemny zapach formaliny i plechki głupstwa, żeby ukryć obrzydzenie. Adam zaś był zachwycony. Myśleli, że jest wariatem, „kujonem”. Tylko Liza to rozumiała. Zjawiła się pewnego ranka z dużym blokiem pod pachą, w jasnej sukience i długim, ognistoczerwonym szalu na ramionach. Ten jej strój stanowił szokujący kontrast z ciemnymi ścianami i surowymi kitlami młodych ludzi.

Uśmiechnęła się do nich swymi ogromnymi oczami w kolorze bursztynu i odrzuciła przez ramię na plecy swe długie, kasztanowate włosy.

- Pozwoli pan, że sobie naszkicuję pańskie zwłoki? - I już ustawiała sztalugi tuż za łokciem Adama. Kierownik nadzorujący pracę studentów ostentacyjnie patrzył w innym kierunku. - Nie będę przeszkadzała, obiecuję.

Adam był zdziwiony. Salę prosektorium, w której pracowały kobiety, oddzielał od męskiej sali korytarz. Zdziwienie Adama przemieniło się w irytację.

Musiała przekupić woźnego albo któregoś z wykładowców, żeby się tu dostać, bo rozpraszała uwagę studentów. W jej obecności koledzy, nigdy niezachowujący się poważnie, wygłupiali się jeszcze bardziej niż zazwyczaj. Ona jednak traktowała swoją pracę równie poważnie jak on. W skupieniu temperowała ołówki i rysowała niezwykle dokładnie budowę ludzkiej twarzy pod skórą.

To ona zaproponowała Adamowi kawę po zajęciach.

- Traktujesz poważnie swoją pracę. O wiele poważniej niż inni chłopcy - uśmiechnęła się do niego życzliwie. - Czy masz zamiar zostać chirurgiem? - Mówiła z lekkim obcym akcentem, przyjemnym, śpiewnym głosem.

- Zawsze myślałem o tym, żeby zostać lekarzem domowym. Lubię ludzi. A kiedy się jest chirurgiem, obcuje się z nimi tylko wtedy, gdy są uśpieni. Przynajmniej ma się taką nadzieję. - Jego twarz powoli rozjaśnił uśmiech. Bardzo urósł w ciągu tych pierwszych miesięcy swego nowego życia.

- W jakimś sensie to szkoda. Masz cudowne ręce. - Sięgnęła przez stół po jego dłoń, odwróciła wewnętrzną stronę do góry i przyglądała jej się zmrużonymi oczami. - Masz bardzo silną, wyraźną linię życia. - Wodziła po niej czubkiem palca. - I patrz, w twoim życiu będą trzy kobiety. - Roześmiała się i spojrzała na niego spod rzęs. - Szczęściarz. Adam zakłopotany cofnął rękę. Poczuł, że się czerwieni.

- Gdzie się nauczyłaś czytać z ręki?

- Od mojej matki, a zdolności artystyczne odziedziczyłam po ojcu.

- Przynęła do siebie cukierniczkę i łyżeczką rysowała wzory w kryształkach cukru. - Studiuję malarstwo. Chcę zostać portrecistką. Ale muszę wiedzieć, jak funkcjonuje cały organizm ludzki. Choćbyś jednak najdłużej studiował i opisywał kolor i budowę skóry, jeśli nie będziesz nic wiedział o muskulaturze i kośćcu, które znajdują się pod nią, nie uzyskasz dość wyraźnego obrazu. - Przerwała i cień przebiegł po jej twarzy.

- To wciąż jest trudne dla kobiet. Wiesz, było wiele zamieszania, kiedy się dowiedzieli, że chcę tu przyjść i rysować twojego umarlaka.

- Naprawdę? - Zaczynał ulegać jej urokowi. - Sądzę, iż uważali, że

będziesz nas rozpraszać. - Uśmiechnął się. - Dlaczego nie poszłaś do grupy kobiecej?

Uśmiechnęła się.

- Próbowałam. Ale tam o wiele surowiej przestrzegają przepisów. Żadnych obcych... Ciebie jednak nie rozpraszałam. Ty poważnie traktujesz swoje studia.

- Myślę, że jestem poważnym człowiekiem. - Wzruszył lekceważąco ramionami. - Ale mam kilku kumpli, którzy ciężko pracują nad tym, żeby mnie sprowadzić na właściwą drogę.

- Dobrze. Pozwolisz, że im pomogę? Chcesz przyjść do mnie zobaczyć moją pracownię?

Skinął głową. Zaczynał się czuć niezwykle szczęśliwy.

Nie zjawiała się ponownie w sali prosektorium, ale ustalili, że Adam odwiedzi ją w następną sobotę.

Poprzedniego dnia otrzymał list od ojca, który donosił mu o śmierci Jeannie Barron.

Policja nie może się doszukać żadnych motywów. To jest zupełnie bezsensowne. Jej torebka została przetrząśnięta, ale morderca zostawił portfel. Jak można się domyślać, zabrał portmonetkę i puderniczkę. Z tego, co mówi Ken, miała je w torebce. Nie znaleźli broni. Nikt nic nie widział ani nic nie słyszał.

Z listu pastora przebijał ból i gniew; Adam nie mógł czytać dalej. Płakał jak dziecko.

Był prawie zdecydowany nie pójść do Lizy, ale nie mógł w inny sposób się z nią skontaktować i w końcu był rad, że może wyjść z pokoju. Robbie też był wstrząśnięty tym, co się stało - on także znał Jeannie od czasu, gdy był małym chłopcem - ale Adamowi nie odpowiadał sposób, w jaki chciał sobie z tym poradzić - a mianowicie pójść gdzieś i się upić.

Pracownia Lizy znajdowała się na starym strychu naprzeciwko Water of Leith. Adam wszedł na górę po wąskich, ciemnych schodach i zapukał do drzwi. Zupełnie nie był przygotowany na widok, jaki ukazał się jego oczom. Ogromny pokój, w którym Liza mieszkała i pracowała, był skąpany w słońcu wpadającym

przez dwa okna sięgające od podłogi do sufitu. Ponad trzy czwarte podłogi zajmowała pracownia, gołe deski spryskane farbą, dwie sztalugi; na jednej jakiś obraz zasłonięty tkaniną, na drugiej w połowie wykończony portret starego mężczyzny. Błat dużego stołu był prawie niewidoczny pod mnóstwem farb, ołówków, palet, noży i szczotek, a na talerzu stojącym w jednym rogu Adam nie mógł nie zauważyć z lekkim dreszczem kanapki porośniętej dość gustowną zieloną pleśnią.

Kącik mieszkalny, dla kontrastu, wcale nie był urządzonej po spartańsku. Stał tu tapczan pokryty szkarłatną narzutą, a na nim mnóstwo poduszek i wiktoriańskich jedwabnych szali, leżały jaskrawe dywaniki ze skrawków materiału, a na starym wieszaku wisiały długie „cygańskie” spódnice, bluzki i swetry. Po drugiej stronie stała mała kuchenka gazowa, a obok niej Adam dostrzegł duży, wyszczerbiony emaliowany zlew.

- Witaj! - Liza przyjęła go z otwartymi ramionami. - Co o tym myślisz?

Adam był oszołomiony. Zaniemówił. Nigdy dotąd nie widział czegoś takiego, nigdy nie spotkał kogoś takiego jak Liza. Stał zaniepokojony i zachwycony. Wstrząsnęło to nim do samych korzeni jego prezbiteriańskiej duszy. Liza uraczyła go gorącą grzanką z masłem i dżemem, dużymi kawałkami kruchego sera i garnuszkiem mocnej herbaty. Potem pokazała mu swoje obrazy, które także okazały się szokujące. Były to portrety ludzi o niezwykłych osobowościach, brzydkie w swym realizmie, nie miłe do oglądania, ale pomyślał, że na pewno dlatego robią wrażenie i są rzeczywiście dobre. Wędrował dookoła z grzanką ociekającą dżemem w rękę, bez słowa odwracając płótno po płótnie. Były tam także pejzaże - surowe, ponure krajobrazy, których nie rozpoznawał, ale najbardziej mu się podobały portrety.

Spojrzał przez ramię na ciemny pejzaż: skaliste góry i poszarpane, burzowe chmury.

- Walia - powiedziała Liza. - Jestem Walijska. Raczej w połowie. Mój tata był Włochem, ale wcale go nie znałam. - Zaczęła nakręcać gramofon. - Lubisz muzykę? Ja uwielbiam. Zwłaszcza operę. - Wyjęła płytę z koperty i położyła na

tarczy. - Posłuchaj.

Był to kolejny szok. Nie słyszał nigdy czegoś podobnego - głośnego, podniecającego, przeraźliwie ostrego, wręcz dzikiego. Czuł, jak krew zaczyna mu szybciej krążyć w żyłach. Wzruszenie, jakiego nigdy nie doświadczył, sprawiało, że drżał. Potem muzyka zwolniła tempo, stała się spokojna, smutniejsza, i Adam, przytłoczony tym wszystkim, poczuł łzy w oczach. Nie mógł ich powstrzymać, więc szybko odwrócił się od Lizy i zaczął wyglądać przez okno. Wzrok jego pobiegł ponad skalistym potokiem, ku gęsto stłoczonym budynkom na drugim brzegu.

Liza zauważyła to. Podeszła cicho i wzięła go za rękę.

- O co chodzi, Adam? Co się stało?

Wszystko ożyło w jego pamięci. Jeannie. Plebania. Matka. Mężczyzna, z którym żyła w grzechu, ale który uczynił ją bardzo, bardzo szczęśliwą.

Liza była przerażona. Spokojnie przytuliła go do swego ramienia, jakby był dzieckiem, i pozwoliła mu się wypłakać. Płyta się skończyła i syczała cichutko na tarczy, czekając, aż ktoś podniesie igłę. Nie zwracali na to uwagi. Adam był spokojny. Czuł się bezpieczny, powoli ustępował jego ból, a także zażenowanie. Liza w końcu odsunęła go od siebie i położyła na tarczy nową płytę, tym razem Szopena, i słuchali jej, oboje zamyśleni. Siedzieli odprężeni blisko siebie, ale się nie dotykali. Światło płynące z nieba dogasało powoli. Potem poszli do pubu na Leith Walk na tłuczone ziemniaki i pasztet, śmiali się, paplali o tym i owym, i Liza opowiedziała Adamowi o swojej rodzinie: o ekscentrycznej matce, miłych, pełnych ciepła ukochanych dziadkach, gospodarujących na farmie. Ale niczego się nie dowiedział o jej egzotycznym ojcu. Jeszcze zanim wsiadł do tramwaju na High Street, ujrzał w wyobraźni jej dom, a kiedy powrócił do swego mieszkania, pomyślał: chyba jestem zakochany.

Brid nie użyła pieniędzy z portmonetki Jeannie na podróż do Edynburga. Kiedy w strumieniach deszczu szła na południe drogą z Pittenross, zatrzymał się przy niej jakiś samochód.

- Podwieźć cię? - Przy kierownicy siedziała kobieta.

Kiedy wysadziła ją przy Princes Street, zaczynało się ściemniać. Brid gapła

się na tłum ludzi, samochody, tramwaje, rozglądała się dookoła, przerażona i zagubiona.

- A-dam? - szepnęła dość głośno, by przekrzyczeć gazeciarza, który sprzedawał wieczorne wydanie gazety przy kiosku. - A-dam, gdzie jesteś?

Była spokojna. Musi go odnaleźć. Może przecież użyć swoich sztuczek. Dopóki Adam nosi na szyi otrzymany od niej amulet, będzie to łatwe.

Adam nie pojechał na święta Bożego Narodzenia na plebanię. Razem z Robbiem spakowali plecaki i pojechali na ferie zimowe z jednym z kolegów do Newcastle. Pili mnóstwo piwa, spacerowali wzdłuż Murów Hadriana i rozmawiali o prawdopodobieństwie wybuchu wojny.

Po powrocie do Edynburga Adam widywał się z Lizą tak często, jak tylko mógł, chociaż oboje ciężko pracowali. Lizę pochłaniało bez reszty jej malarstwo, on zaś uczył się i nauka miała pierwszeństwo przed wszystkim. Był z tego rad, bo przecież to jego własna, przez niego samego wybrana kariera naukowa nie pozostawiała mu wiele czasu na życie towarzyskie. Ku wielkiemu oburzeniu Robbiego Adam spędzał coraz więcej i więcej czasu na nauce, tylko od czasu do czasu pozwalając sobie na chwilę wytchnienia.

Pewnego dnia spotkał się z Lizą. Były to jej urodziny. Jak zwykle odczuwał brak gotówki, więc zadreślał się i długo zastanawiał nad tym, co jej dać w prezencie. I nagle opatrność wskazała mu wyjście. Szperał w kilku pudłach w swoim niesprzątanym pokoju i nagle pod książkami i notatnikami znalazł stary karton po papierosach. Potrząsnął nim z nadzieją i usłyszał, że coś w środku grzechocze. Wisiorek, który otrzymał od Brid, wysunął się z bibułki i leżał teraz na jego dłoni zmatowiały, lecz nadal bardzo piękny. Adam patrzył na misterny wzór, cienkie ogniwa łańcuszka i tylko na chwilę ogarnęło go bolesne poczucie winy na myśl, która przemknęła mu przez głowę, bo od razu ją od siebie odsunął. Brid nigdy się nie dowie, zresztą wątpił, czy jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy. Powiedział jej przecież wyraźnie, że mężczyźni nie noszą takich rzeczy. A piękny, kunsztownie wykonany wisiorek ogromnie się spodoba Lizie. Uśmiechając się do siebie, zaczął go polerować.

Liza długo trzymała prezent w dłoniach, przypatrując mu się dokładnie. W końcu spojrzała na Adama i uśmiechnęła się.

- To piękne - powiedziała. - Dziękuję. - Pochyliła się i pocałowała go w usta, a potem pozwoliła, żeby zawiesił go jej na szyi.

Nazajutrz, po szybkim lunchu zjedzonym z Lizą między wykładami, Adamowi wydało się, że widział Brid. Trzymając się za ręce, Szli z Lizą ulicą Mound koło National Gallery. Liza miała na szyi wisiołek. Nagle Adam spojrzał na drugą stronę drogi prowadzącej do Zamku. Grupa ludzi szła szybko chodnikiem, śmiejąc się, niektórzy mężczyźni byli w mundurach. Ulica była zatłoczona, pełna pojazdów. Nie udało mu się przyjrzeć dokładnie dziewczynie idącej za tą grupą, ale postać ta przyciągnęła jego wzrok.

Zatrzymał się wstrząśnięty. Ciemne włosy, jasna cera, coś w sposobie chodzenia, pochylenie głowy...

- O co chodzi, Adam? Co jest? - Liza chwyciła go za ramię, - Jesteś błądy jak płótno. Co się stało?

- Nic. - Nabrał głęboko powietrza, zdziwiony, że tak to nim wstrząsnęło. - Wydawało mi się, że zobaczyłem kogoś, kogo znałem, będąc jeszcze w domu. To wszystko. Ale to niemożliwe.

- Jesteś pewien? - Liza przyglądała mu się bacznie przez chwilę, a on poczuł się nieswojo. Dlaczego czasami miał uczucie, że ona czyta w jego najskrytszych myślach?

- Tak, to niemożliwe. - Na chodniku nie było już nikogo. Tłum pospieszył dalej. Pojazdy przesuwały się wolno ulicą, zjeżdżały ze wzgórza, i kimkolwiek była ta kobieta, już jej nie widział.

Tej samej nocy Brid mu się przyśniła. Najpierw w tym śnie się kochali, a potem ona próbowała go utopić w czarodziejskim jeziorze. Obudził się z krzykiem i długo leżał oblany potem i czekał, aż przyjdzie Robbie, żeby mógł przysięgać, że to on go obudził. Ale Robbiego nie było. Przed miesiącem zaciągnął się do RAF - u. Oddalony od przyjaciela o trzy mile, spał mocno w ramionach jakiejś studentki - pielęgniarki, z którą Adam poznał go zaledwie poprzedniego dnia.

Adam przeleżał resztę nocy, wpatrując się w sufit i czekając, aż nikły szary brzask wypełni na dziedziniec szkolny, a potem utworzy sobie drogę i przez okno dotrze do niego. Wtedy w końcu wstanie i zacznie się golić, zagotowawszy przedtem czajnik wody.

Tego dnia po raz pierwszy był świadkiem czyjejs śmierci. Odwiedzał studenta, który po wypiciu kilku kwart spadł z kręconych schodków prowadzących do mieszkania i złamał nogę. Na końcu sali leżał młody człowiek przywieziony do szpitala po wypadku w fabryce, gdzie pracował. Dostał się w tryby niezabezpieczonej maszyny, która obcięła mu nogę poniżej biodra. Kiedy Adam opuszczał już salę, zatrzymał się na chwilę, żeby popatrzeć na bladą twarz na białej poduszce, a młody człowiek otworzył oczy i spojrzał wprost na niego. Widząc ból, przerażenie i samotność wyzierające z jasnoniebieskich oczu, Adam podszedł do jego łóżka i położył delikatnie dłoń na ramieniu chłopca. I nagle zdał sobie sprawę, że on nie żyje. O dziwo jeszcze chwilę potem, jak uszło z niego życie, jego oczy nadal błyszczały. Adam stał i patrzył, i nie mógł uwierzyć w to, czego przed chwilą był świadkiem. Siostra oddziałowa, która towarzyszyła lekarzowi w asyście studentów trzeciego roku, odwróciła się i zobaczyła go. Dotknęła jego ramienia.

- Dobrze się pan czuje? - uśmiechnęła się życzliwie. - To miłe, że pan został przy nim. - Z profesjonalnym spokojem naciągnęła prześcieradło na zmarłego. - Idź już, młody człowieku. I zapomnij o tym, co widziałeś.

- Widziałem, jak umarł. - Adam siedział na podłodze w pracowni Lizy z ramionami oplecionymi wokół nóg i podbródkiem opartym na kolanach. - A jednak przez chwilę nie dostrzegałem w nim żadnej zmiany. Był blady, ale tak samo blady był, zanim umarł. Po prostu przestał oddychać. To wszystko.

Liza podeszła i usiadła obok niego. Słuchali Mozarta.

- Może jego duch był tam nadal. Nie chciał odejść. Postąpiłeś słusznie, Adamie, że przy nim zostałeś. Umieranie w samotności musi być przerażające.

Adam pokręcił głową.

- To dziwne i trudne do wytłumaczenia, ale zawsze widziałem siebie w roli lekarza ocalającego życie. Przybywającego i czyniącego cuda. Nie myślałem o tych,

których nie możemy ocalić. - Przez kilka minut milczeli. - Wojna się zbliża, Lizo. Ja zostanę na uczelni, ponieważ będą potrzebowali lekarzy. Robbie będzie w RAF - ie. Co ty będziesz robiła?

Wzruszyła ramionami.

- Chcę nadal malować. Zamierzam to robić tak długo, jak będę mogła. To jest całe moje życie. Nie chcę robić nic innego. Moi bliscy będą chcieli, być może, żebym wróciła do domu i pomagała na farmie.

- Do Walii? Skinęła głową.

- To się jeszcze nie stało, Adamie. I może się nie stanie. Może Hitler zmieni plany. - Gwałtownie pokręciła głową. - Nie mogę znieść myśli, że on może ingerować w całe nasze życie. Chcę, żeby wszystko pozostało po staremu. Chcę malować zachody słońca, kwiaty i szczęście. Nie potrafię myśleć o wojnie. I nie chcę.

Adam uśmiechnął się uspokajająco.

- Nie będziemy mieli żadnego wyboru. To wisi w powietrzu. Wszędzie. Poza tym - skinął głową przez ramię w kierunku osłoniętego płótna - ty nigdy nie malujesz zachodów słońca, kwiatów i szczęścia. Nie wiedziałabyś, jak to robić. Roześmiała się głośno.

- Może masz rację.

Po raz pierwszy kochali się po koncercie, na który poszli razem do Usher Hall. Kiedy szli zaciemnionymi ulicami, objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Lizo...

Położyła mu palec na ustach, żeby nic nie mówił, a potem go delikatnie pocałowała. Weszli po schodach do pracowni i w ciemności poprowadziła go do łóżka.

Lato spędzili razem i kiedy rozpoczynał się nowy rok akademicki, byli już nierozłączni. Liza pod żadnym względem nie przypominała Brid. Jej miłość była pełna ciepła. Mimo czasem ujawniającej się zgryźliwości czuł się przy niej bezpieczny, spokojny i pożądanym. Wszystkie myśli o plebanii, wszystkie zmartwienia zniknęły. Znalazł kogoś, komu mógł się zwierzyć ze swych obaw i

nadziei.

Ze wszystkich obaw prócz jednej.

Znowu zobaczył Brid któregoś czwartku na początku nowego roku akademickiego na South Bridge i tym razem nie miał wątpliwości, że to ona.

Pożegnawszy Lizę szybkim machnięciem ręki, wyskoczył z tramwaju i ruszył szybkim krokiem wraz z trzema studentami medycyny, ze stosem książek pod pachą i białym płaszczem przewieszonym przez ramię. Spieszył się na wykład z fizyki. Młodzi ludzie śmiali się i głośno rozmawiali, wymijając samochody i tramwaje, schylając głowy pod zimnymi, bezlitosnymi strugami deszczu. Potrząsając głową, by odrzucić mokre włosy z oczu, podniósł wzrok i zobaczył, jak Brid wpatruje się w niego, stojąc po drugiej stronie ulicy.

- A-dam. - Poznał, że wymawia jego imię z układu jej ust, ale tak jak poprzednio, ruch był duży, a ulica zatłoczona, i kiedy spojrzał po raz drugi, już jej nie było.

Nie był wcale dumny z tego, co zrobił. Zamiast przejść na drugą stronę i odszukać ją, zgubił się w tłumie i pobiegł za kolegami do Old Quad, by oddalić się jak najbardziej od miejsca, w którym ją widział.

Kiedy wszedł na salę wykładową i wśliznął się na swoje miejsce, stwierdził, że drżą mu ręce. Popatrzył na nie i mocno zacisnął pięści. Co się z nim dzieje? Dlaczego tak się boi? Czy dlatego, że to spotkanie przywołało wspomnienia z plebanii, o których chciał zapomnieć? A może to poczucie winy, że opuszczenie tej dziewczyny i zapomnienie przyszło mu tak łatwo? Cokolwiek to było, nie chciał jej znowu zobaczyć. Zresztą, jej obecność w Edynburgu byłaby zbyt wielkim zbiegiem okoliczności. To prawdopodobnie tylko gra jego wyobraźni. Uspokojony usiadł wygodnie i całą uwagę poświęcił profesorowi prowadzącemu wykład.

Liza odsunęła się od sztalug i w zamyśleniu gryzła koniec pędzla. Zerknęła na zegarek i uśmiechnęła się zadowolona. Czas na przerwę.

Pukanie do drzwi rozległo się w samą porę. Miała zamiar wybrać się z Adamem rowerem na piknik do Royal Botanical Gardens w ciepłym jesiennym słońcu. Był to pomysł zapożyczony od jej przyjaciół, którzy się dorobili

trójkolowego morgana.

- Wejdz. Nie jest zamknięte!

Płukała właśnie pędzel w słoiku z terpentyną, więc się nie odwróciła.

- Przyjdę do ciebie za dwie sekundy, Adamie. Odwaliłam dziś rano mnóstwo roboty. Co o tym sądzisz? - Odwróciła się, wskazując ruchem ręki płótno, i nagle urwała. W drzwiach stała jakaś obca kobieta o długich włosach.

- Przepraszam. - Liza zmarszczyła czoło, zaskoczona. - Myślałam, że to kto inny.

- Myślała pani, że to A-dam. - Dziewczyna weszła do pracowni i zamknęła za sobą drzwi. Ubrana była w długą do kostek brunatną suknię i miękki wełniany płaszcz, też do kostek. Na ramieniu miała tkaną torbę. Spojrzenie jej oczu było twarde jak kamień.

- Kim pani jest? - Liza odłożyła pędzel i szmatę. Skóra na karku zaczynała jej cierpnąć. Było coś takiego w tej obcej młodej kobiecie, że poczuła się nieswojo. Przesunęła się nieznacznie bliżej stołu i sięgnęła za siebie po nóż, którym zeskrobywała farby z palety.

- To nie ma znaczenia, kim jestem. - Głos kobiety był dziwnie monotony.

- Myślę, że ma. Jest pani w moim domu. Chciałabym wiedzieć, czego pani chce.

- Jest pani przyjaciółką Adama. - Ten głos, chociaż obojętny, miał w sobie jakąś Jadowitość.

Palce Lizy znalazły to, czego szukały, i spokojnie podniosła do góry nóż do czyszczenia palety. Znowu się cofnęła, tak żeby od jej gościa dzielił ją stół. Modliła się, żeby Adam przyszedł. Nerwy zaczynały ją zawodzić.

- Jestem rzeczywiście jego przyjaciółką - powiedziała ostrożnie. - Jeśli pani go szuka, będzie tu wkrótce.

Młoda kobieta nie rozglądała się dookoła. Skupiła wzrok na twarzy Lizy.

- Nie jest mi pani potrzebna - powiedziała spokojnie. - A-dam także pani nie potrzebuje. - Mówiąc to, sięgnęła do swojego worka.

Liza wstrzymała oddech i gdy tylko rozpoznała błysk noża, bez chwili

namysłu padła na podłogę za stołem. W tym samym momencie usłyszała wesoły okrzyk z dołu.

- Adam! - wrzasnęła. - Uważaj!

Zastał ją szlochającą na kolanach, nóż do czyszczenia palet nadal zaciskała w dłoni. Jej palce pokryte były grubą warstwą żółtej farby.

- Liza! Liza, co ci jest? Co się stało? - Ukląkł obok niej. - Powiedz mi. Co się stało?

- Gdzie ona jest? - Lizie, choć jeszcze drżała, udało się wstać. - Na litość boską, Adam, kto to był? - Półprzytomnie rozglądała się po pokoju. Ale w pracowni nie było nikogo.

- Kto? Co? Co się stało?

- Ta kobieta. Ta dziewczyna. Musiałeś ją widzieć. - Nie zdając sobie sprawy, że ma rękę poplamioną farbą, odgarnęła włosy z twarzy, pozostawiając na czole żółtą smugę. - Ona próbowała mnie zabić.

Adam zamknął oczy. Nabrał głęboko powietrza. Dlaczego pomyślał natychmiast o Brid?

- Opisz ją - powiedział. Podprowadził Lizę do łóżka i posadził. Potem podszedł do drzwi i spojrzał w dół schodów. Kiedy wchodził po ciemku na górę, ciesząc się, że jest już poza zasięgiem przejmującego wiatru, i był już w połowie drogi, przebiegł obok niego jakiś kot. Zdążył tylko dostrzec ciemny kształt, dzięki zielone oczy, a w nich taką samą furję, z jaką jego pazury drapały zniszczone stopnie. I uciekł. - Czy tu nie ma drugiego wyjścia?

Potrząsnęła przecząco głową. - Nie.

- Więc ona nadal musi tu być. - Obszedł wolno całą pracownię, przeszukał każdy kąt, każdą szafę, zbadał każdy cień. Nikogo nie było.

- Była drobna, ciemnowłosa, miała na sobie coś czerwonego i płaszcz.

Mówiła ze śmiesznym obcym akcentem.

Brid.

- Co to znaczy, że chciała cię zabić? - Adam usiadł obok Lizy.

- Wyciągnęła nóż i rzuciła nim we mnie.

- Jesteś pewna, Lizo? - zapytał łagodnie. - Gdzie to było? Gdzie ona jest? Nie rozumiem, jak ktoś mógł tu przyjść. Widziałbym ją. - Przypomniał sobie oczy kota, który przemknął szybko obok niego w dół po schodach.

- Chcesz powiedzieć, że zmyślam? - Liza wpatrywała się w niego z wściekłością. - Adam, na litość boską. Ja wiem, że ktoś próbował mnie zabić.

- Więc powinniśmy wezwać policję. - Ręce mu drżały. Zdecydowanym ruchem wepchnął je do kieszeni.

- Oczywiście, że powinniśmy wezwać policję. Kręci się tu potencjalna morderczyni. Poszukaj. Ten nóż musi tu gdzieś być. Widziałam, jak cisnęła nim we mnie, kiedy padałam na podłogę. Nie mogła go poszukać. Nie miała na to czasu.

Ale noża nie było. Szukali przez pół godziny, przeczesując każdy cal pracowni.

- A więc kto to jest? - Liza zmyła farbę z palców i trochę się uspokoiła.

Adam wzruszył ramionami. Przez chwilę zastanawiał się, czy powinien zaprzeczyć i powiedzieć, że jej, podejrzenia są nieuzasadnione, ale Liza знаła go zbyt dobrze, odczytała już rodzące się przerażenie w jego oczach. Usiadła na tapczanie i sięgnęła do kieszeni po papierosy. Wisiorek, który jej dał, wisiorek od Brid, leżał tam, gdzie go Liza zostawiła, na bocznym stoliku pod lampą. Z miejsca, gdzie siedziała, dostrzegła łagodny blask srebra.

- To mi wygląda na Brid. To ktoś, kogo spotkałem kiedyś, dość dawno, w domu - powiedział w końcu Adam. Nie chciał spojrzeć jej w oczy. - Łaziliśmy po wzgórzach w czasie wakacji. Jej brat był... jest kamieniarzem. Świetnie rzeźbi. Myślę, że ta rodzina ma dosyć egzotyczne korzenie. Są bardzo pobudliwi. - Powiedział to w taki sposób, żeby zabrzmiało trochę nieprzyjemnie. - Brid jest ogromnie impulsywna. Narzucała mi się już dawniej. - Roześmiał się krótko. Czuł się trochę skrępowany.

- Ale co ona robi w Edynburgu?

- Musiała przyjechać za mną. - Potrząsnął głową. - Powiedziałem jej, że wszystko skończone. Byliśmy razem jako dzieci. Potem ona wyjechała do college'u na północy, a ja przyjechałem tutaj. Nie było dla nas przyszłości. Żadnej. -

Przerwał na chwilę, po czym ciągnął dalej: - Ale jej się to nie podobało. Chciała przyjechać tutaj ze mną. Powiedziałem: nie. Nigdy się nie spodziewałem, że ona za mną tutaj przyjedzie.

- Widziałeś ją tutaj już przedtem?

Potrząsnął przecząco głową, ale dostrzegła zakłopotanie w jego oczach.

- Adam.

Znowu potrząsnął głową.

- Zastanawiam się, czy widziałem ją przed paru dniami, z daleka. Ale już po chwili zniknęła mi z oczu. - Wzruszył ramionami.

- Najwyraźniej jest dobra w sztuce znikania.

- Tak. - Wzdrygnął się. - To prawda.

- I jest zdolna kogoś zabić?

Adam przygnębiony wpatrywał się w podłogę.

- Myślę, że byłaby do tego zdolna.

W końcu nie zawiadomili policji; wydawało im się, że to nie ma sensu.

Susan Craig siedziała w kącie herbaciarni, oparta o ścianę. Adam widział ją tylko raz od tamtego pierwszego spotkania.

- Przepraszam, nie mam zbyt wiele czasu. - Usiadł naprzeciw. - Mamy w tej chwili mnóstwo pracy.

- Oczywiście, kochanie. Jestem z ciebie taka dumna. - Zamówiła już herbatę. Nalała ją do dwóch filiżanek i jedną przesunęła w jego kierunku. - Adamie, muszę ci coś powiedzieć. - Siedziała niewygodnie na skrawku krzesła. - Ja... my... to znaczy, mój przyjaciel i ja zdecydowaliśmy się wyjechać. - Mówiła szybko, nie patrząc na niego. - Do Ameryki.

Adam wpatrywał się w nią. Zaczerwieniła się, zakłopotana.

- Nikt nas tam nie będzie znał. Możemy zacząć wszystko od nowa. A ponieważ mówią, że wybuchnie wojna i w ogóle... - Mówiła znowu ciszej i wpatrywała się w swoją filiżankę.

Adam milczał przez chwilę. Różne uczucia kłębiły mu się w głowie: niepokój, świadomość straty czegoś drogiego, pogarda. Co to za człowiek, który ucieka ze

swojej ojczyzny, kiedy zanosi się na wojnę?

- Adam? - Wpatrywała się w niego z niepokojem. Zmusił się do uśmiechu.

- Mam nadzieję, że będziecie oboje bardzo szczęśliwi. Cóż więcej można było powiedzieć?

Dwa dni później Chamberlain obwieścił, że Hitler nie odpowiedział na jego ultimatum, a więc Wielka Brytania przystępuje do wojny. Kilka tygodni później Robbie został zmobilizowany. Czy to była jego decyzja, czy rządu Jego Królewskiej Mości, Adam nie był pewien, ale podniecenie przyjaciela związane z tym, że przerywa studia nad cywilizacją grecką i rzymską, żeby patrolować niebo w szeregach bojowej eskadry wojsk pomocniczych Edynburga, wydawało mu się całkiem szczere. Aby to uczcić, Robbie zorganizował wypad do Crammond Inn wraz ze swoją nową przyjaciółką, Jane. Adam i Liza zostali także zaproszeni.

Jane Smith-Newland studiowała filologię klasyczną, należała do grupy Robbiego. Był nią urzeczony. Wysoka, szczupła, miała duże piwne oczy i gęste, miękkie włosy w kolorze miodu, które, jak uczennica, zaplatała w warkocz. Rodzice byli Anglikami. Ojciec, w wysokim stopniu, służył w armii, matka zaś mieszkała na południu w ich dużym domu w pobliżu Londynu. Kiedy Adam spotkał ją po raz pierwszy, przyzwyczajony do kapryśnych zazwyczaj i lekkomyślnych przyjaciółek Robbiego, był zafascynowany jej akcentem, jej pochodzeniem, powściągliwością i pewnością siebie, którą dają pieniądze. Miała piękne stroje, własny samochód - starego Wolseya horneta, którego kupili jej rodzice, i wprost niewyobrażalną słabość do ubożego studenta. Miała śliczną biżuterię i jakby na przekór temu bogactwu cechowało ją głębokie zainteresowanie łaciną, greką i historią starożytnych cywilizacji, co zaprowadziło ją na uniwersytet, a nie, o czym marzyli jej rodzice, do londyńskiej socjety. Była niepodobna do żadnej z dziewczyn, które Adam znał dotąd, i nie spuszczał z niej oka.

Kiedy z przyciemnionymi reflektorami wlekli się wąskimi drogami do Crammond, Liza, siedząca z Adamem na tylnym siedzeniu, sięgnęła po omacku po jego rękę.

- Przynajmniej tutaj nie może nas ścigać - szepnęła dość głośno, by ją

usłyszał ponad warkotem motoru. Uważała, że Brid nadal ją śledzi. Adam nie był tego taki pewny. Nie natrafił na żaden jej ślad, i przecież nie miało dla niej żadnego sensu śledzenie Lizy. Jeśli chce się z nim zobaczyć, dlaczego nie odnajdzie pokoju, w którym mieszka, i nie spotka się z nim osobiście? Jeśli za nimi chodzi, prawdopodobnie zna jego adres. Z początku ta myśl nappełniała go obawą, ale wkrótce niepokój minął i Adam przekonywał sam siebie, że Liza musiała sobie wymyślić cały ten epizod.

- Któż to taki ma za tobą chodzić? - Jane spojrzała w lusterko kierowcy i pochwyciła w mroku spojrzenie Adama: Najwyraźniej miała bardzo dobry słuch.

- Po prostu jakaś dawna przyjaciółka Adama - odparła Liza. - Nie chce mu pozwolić, żeby odszedł.

- Popularny człowiek z tego Adama - zachichotał Robbie - zawsze musiał odpierać ataki pań!

- Bzdury pleciesz, Rob. - Adam poczuł, że się czerwieni. Zerknął na Lizę i pokręcił głową. Nie miał ochoty rozmawiać o Brid. Nie chciał też, żeby Robbie wiedział, iż Brid mogła przyjechać za nim do Edynburga.

Ale Jane uczepiła się tego tematu.

- Kto by pomyślał, że silny, milczący Adam miał cały sznur przyjaciółek. Będziesz musiała dobrze go strzec, Lizo, bo go stracisz.

Słowa te zawisły na chwilę w zupełnej ciszy, bo Jane zmieniała biegi i skręcała w Crammond Road. To Robbie pospieszył przyjacielowi na ratunek. Przystojny w swoim wojskowym mundurze, siedział pochylony w jedną stronę, obejmując ramieniem Jane i pieszcząc palcami jej kark.

- Mam nadzieję, że nie masz zamiaru zostać jedną z tych pań. Bardzo by mi się to nie podobało. Wiem, że tym doktorkom nie można się oprzeć, ale na pewno nie potrafią oczarować kobiety tak jak facet z RAF - u.

- Oczywiście, że nie. - Jane roześmiała się lekceważąco. - Dopóki nie usłyszę, że wodzi cię na pokuszenie któraś z tych wspaniałych WAAF - ek.

Ręka Lizy zacisnęła się lekko na palcach Adama. Spojrzeli na siebie w ciemności.

- Robbie wodzony na pokuszenie przez jakąś WAAF - kę! - powiedział Adam lekko. - Jak możesz w ogóle sobie wyobrażać coś takiego! - Pochylił się do przodu i klepnął lekko przyjaciela w ramię. - Nasz Robbie nie ma czasu na takie głupstwa. W końcu zamierza w pojedynkę wygrać tę wojnę!

Robbie uśmiechnął się skromnie. Popatrzył na Jane i położył jej uspokajająco dłoń na ramieniu.

Szesnastego października niemieckie bombowce latały nisko nad Forth i dywizjony 602 i 603 zostały przetrzebione. Wojna Robbiego się rozpoczęła.

Brid nie spodziewała się, że to będzie tak.

Podróż do Edynburga okazała się łatwa. Korzystając z szóstego zmysłu, którym dysponował jej umysł, odnalazła Lizę stosunkowo ła - two, jak tylko przyjechała, a potem, co trudno wytłumaczyć, znowu straciła ją z oczu. Była coraz bardziej oszołomiona i smutna. Włóczyła się, zagubiona i zalekniona, po mieście, rozglądając się nieprzytomnym wzrokiem. Nie wiedziała, co robić, dokąd iść. Czasami zasypiała na jakimś progu albo w jakiejś kryjówce, czasami zastanawiała się, czy nie wrócić do domu i na wzgórze, gdzie krzyż Gartnaita oznaczał punkt przejściowy do jej świata. Ale zawsze Broichan czaił się gdzieś w pobliżu i Brid przerażona wracała do miejsca, gdzie jej biedna zmarznięta postać, zwinięta w kłębek, była dla niego niewidoczna. W wielu miejscach, po których się włóczyła, zasłona czasu była cienka. Kiedy spała w ruinach Abbey przy Holy Road, przenikał ją chłód mgły, i wtedy wiedziała, że to jest jedno z nich. W wielkiej katedrze na High Street, gdzie sypiała niezauważona w jej zakamarkach, czuła to także. Głęboko pod fundamentami tego kościoła znajdowało się święte miejsce, gdzie bogini będzie na nią czekała, gdyby Brid jej szukała. Ale nie była przygotowana na unicestwienie przepełniających ją uczuć. Czas był pojęciem, które w ciszy jej snów nie istniało, urodziła się, by przekraczać jego granice - była to genetyczna cecha, nabyta jeszcze w łonie matki - i jej pierwszym nauczycielem był bóg. Aby rozpoznać jej wrodzone zdolności, uczyli ją szybko i nieostrożnie, bez wstępnego wtajemniczenia. Nie rozumieli, że zdolności nieoparte latami studiów mogą być niebezpieczne. Nie rozumieli, że myśli tej kobiety mogą się unosić poza naturalne granice i szukać w

gwiazdach. Nie pamiętali o tym, że tęsknota młodego, spragnionego ciała może się okazać silniejsza od tęsknoty za kamieniem filozoficznym, za wszelką wiedzą, silniejsza od lęku przed groźbą zemsty za złamanie podstawowych praw. Kiedy Broichan dostrzegł niebezpieczeństwo i poznał jej moc, było już za późno, i Brid, nie wiedząc, że pogwałciła granice czasu i znalazła się w rozległych przestrzeniach nicości między słońcami, była zgubiona. Nie wiedziała, że powietrze, którym oddycha w dwudziestym wieku, nie jest tym samym powietrzem; nie wiedziała, że ciało, w którym mieszka jej dusza, podlega napięciom i cierpieniom, o jakich jej się nie śniło. W tej udreće i bólu, niezdolna dostosować się do tego świata, schroniła się w jakimś zamkniętym ogrodzie i tam zasnęła.

Kiedy się obudziła, tylko jedną myśl miała w głowie: odnaleźć Adama, i to szybko. Użyje znowu swoich starożytnych sztuczek i określi miejsce, gdzie on jest, dzięki kobiecie, która, Brid o tym wiedziała, ma jej amulet. - Nie!

Liza waliła w coś przez sen, odrzucając okrywające ją koce. Nad głową słyszała warkot samolotów. Czasami Luftwaffe dokonywała lotów zwiadowczych nad jednostkami Royal Navy w Rosyth, innym znów razem samoloty przelatywały tędy w drodze do Glasgow. Był to wszawy czas. Nabrała głęboko powietrza i drżącą ręką po omacku szukała papierosów i zapalek. Dzięki Bogu, jak dotąd, Edynburg oszczędzono. Ale kiedy usiadła na łóżku z popielniczką na kolanach, zaczęła się zastanawiać, co ją obudziło.

Potarła oczy i ziewnęła szeroko. Coś nieprzyjemnego czaiło się gdzieś na obrzeżach jej umysłu i nie miało nic wspólnego z warkotem śmigieł samolotów ani myślą o śmiertelnym ładunku, który te samoloty zrzucały w czerń szkockiej nocy. Leżała wsparta o poduszki, zaciągając się głęboko papierosem.

A-dam.

Słowo to zostało wypowiedziane gdzieś w jej głowie z wyraźnym obcym akcentem. Doskonale pamiętała ten akcent. Otworzyła szeroko oczy i wpatrywała się w ciemne kształty majaczące w pracowni. Przy zasłoniętych oknach, bez żadnego światła z wyjątkiem nikłego ogieńka jarzącego się papierosa, w pokoju było całkiem ciemno. Ten głos był w jej własnej głowie, a mimo to w jakiś dziwny

sposób zdawał się dochodzić z zewnątrz. Pospiesznie zgasiła papierosa, opuściła stopy na podłogę i usiadła spokojnie, nasłuchując. Buczenie maszyn zanikło, panowała cisza i Liza nie słyszała nic poza cichym szeptem wiatru w kominie.

Wszystkie jej zmysły były w pogotowiu.

Czuła teraz wyraźniej, że coś sonduje, jej umysł niby palec zagłębiający się w mózg.

A-dam!

- Nie, ty jędzo! - Ześliznęła się z łóżka, potrząsając gwałtownie głową. Opadła na krzesło, klnąc głośno i rozcierając sobie goleń. - Nie znajdziesz go dzięki mnie. Jestem dla ciebie za mądra, dziewczyno. Co z ciebie za podstępna czarownica. - Z całej siły pocierała dłońmi skronie.

Zapaliła lampę, po czym przytknęła zapalną do palnika kuchenki gazowej i postawiła na niej czajnik, ciesząc się przyjaznym syczeniem płomyka. W pokoju było bardzo zimno. Ściągnęła z łóżka swój czerwony szal i otuliła nim ramiona. Drżała. Czuła ten nóż, sondował jej umysł, jego małe ostrze wykopywało z jej głowy tajemnice jej życia.

- Dlaczego ja? Czego ty ode mnie chcesz? - Chodziła tam i z powrotem po pracowni, starając się uciec przed strasznym koszmarem, który tkwił w jej mózgu. - Musisz wiedzieć, gdzie on jest, więc czego chcesz ode mnie? - Już po raz trzeci to się zdarzyło. I tym razem było najgorsze. Wydawało jej się, że ktoś puka gdzieś daleko. Z początku to pukanie nie przerażało jej, nawet nie było irytujące. Potem stało się bardzo natrętne i powoli jej ciało zaczynało reagować. Czuła suchość w ustach, chłód w skurczonym żołądku. Klucie z tyłu, na karku. Lodowate drżenie opanowywało jej płuca tak, że w końcu z trudem oddychała, a ciężar cudzego umysłu powoli czynił ją coraz słabszą.

I nagle pomyślała: Tego już za wiele! Pusty budynek był zbyt spokojny. W pracowni powtarzającej echem głos czuła się zbyt samotna.

Ściągnęła szal i szlafrok, sięgnęła po sweter, zakiet i wełniane spodnie marynarskie. W ciągu dwóch minut wyszła z domu i biegła ku miastu ścieżką, którą dzieliło od rzeki stare, pocięte, żelazne ogrodzenie.

Adama obudziło walenie w drzwi. Walcząc ze snem, sięgnął po zegarek, ale nie mógł nic dojrzeć. Rolety zasłaniające szczelnie okno w związku z obowiązującym zaciemnieniem były nadal opuszczone. Nie miał pojęcia, która jest godzina. Szukając po omacku kontaktu, posuwał się do drzwi.

- Musisz mnie wpuścić. Prześladuje mnie ta jędza, ta Cyganka, ta twoja przyjaciółka. Stosuje jakąś okultystyczną technikę, żeby się dostać do mojej głowy. Musisz z tym coś zrobić. - Liza odepchnęła go i usiadła na jego łóżku. Drżała.

Zerknął poza nią, na ciemną klatkę schodową, zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

- Co się stało? - W świetle jedynej żarówki wiszącej pod sufitem ustalił, że jest wpół do piątej rano. Przesunął palcami po czaszce. Uczył się psychologii ze swoich notatek do godziny pierwszej i jego głowa przypominała garnek z tłuczonymi ziemniakami. - Jak się tu dostałaś, Lizo?

- Przybiegłam. - Szczękała zębami. - Wiem, że to głupie. Nie chciałam jej tu do ciebie przyprowadzać, ale tak strasznie się bałam. Ona była w pracowni. W mojej głowie. Ona jest szalona, Adam. Zupełnie szalona.

Usiadł obok i objął ją ramieniem.

- Opowiedz mi, co się wydarzyło. Powoli.

Niewiele miała do powiedzenia. Jak można wytłumaczyć intuicję? Świadomość, że coś jest w nas, bardzo głęboko. Instynkt. A ból spowodowany wbiciem noża?

- Kiedy ją ostatni raz widziałeś?

Już trochę spokojniejsza, Liza wstała, ściągnęła jeden koc z łóżka Adama i otuliła nim ramiona. Wciąż była w płaszczu, a na rękach miała rękawiczki.

Zrozumiał w lot jej zachowanie i podniósł się, żeby zapalić gaz na małej kuchence.

- Nie widziałem. Nie dokładnie. Kilka razy wydawało mi się, że ją widzę na ulicy, potem ty powiedziałaś, że widziałaś ją u siebie w pracowni. I potem już nic. Kompletnie nic. - Spojrzał na nią znad kuchenki gazowej. - Ona umie robić dziwne rzeczy, z dziedziny magii, można by powiedzieć. Mówiła mi, że się tego

uczyła. Ale Cyganki też się na czymś takim znają, prawda? Posiadają dar jasnowidzenia.

- Ja także mam dar jasnowidzenia, Adamie. - Mówiła tak wolno, że przez chwilę nie mógł zrozumieć sensu jej słów. - I dlatego może do mnie dotrzeć. I dlatego rozumiem to, co się dzieje.

Wpatrywał się w nią bacznie.

- Nie mówisz poważnie. To śmieszne. I złe.

- I to mówi syn pastora. Wiedziała, że zareagujesz w ten sposób, jeśli ci to powiem. - W jej głosie była teraz gorycz. - Adam, na litość boską, myślałam, że zdołałeś do tej pory zrozumieć, w jakim fanatyzmie i kołtunerii się wychowałeś. To, że ludzie nie stosują się do tego, na co twój ojciec pozwala w swoim ograniczonym umyśle, wcale nie znaczy, że są źli.

- Nie, oczywiście, że nie. - Zaczerwienił się. - Nie myślałem...

- Owszem, myślałeś.

- Liza... - Wstał, podszedł do niej i wziął ją za rękę. - Nie kłóćmy się, proszę. Cokolwiek myślisz o mnie i o mojej przeszłości, nie pozwólmy, żeby nas to rozdzieliło. - W zamyśleniu wessał na chwilę policzek, po czym spojrzał na nią. - Nie sędzę, że Brid jest zła. W każdym razie nie była zła, ale ma inne zalety niż my. Niż ty, niż ja. Jeżeli czegoś pragnie... - Przerwał, wrzucił ramionami, a potem westchnął głęboko. - Wciąż nie rozumiem, jak ona się tu dostała. Nie wie nic o naszym trybie życia, o naszych czasach...

Przerwał raptownie.

- O naszych czasach? - Liza wpatrywała się w niego. Uśmiechnął się nieznacznie, przepaszając.

- Ja wiem, że to szaleństwo, ale czasami... - Znów przerwał i cisza trwała teraz dłużej.

- Czasami? - powtórzyła pytająco. - Czasami wyobrażałem sobie, że idąc, by się z nią zobaczyć, i mijając ten wielki kamień na wzgórzu, gdzie zwykliśmy się spotykać, wkraczam w przeszłość. Dosłownie. Jej świat był taki inny. Mówiła o takich dziwnych rzeczach... O królu Brude i świętym Columbie, jak gdyby byli

postaciami żyjącymi. A jej tryb życia był pod pewnymi względami taki prymitywny. Ale potem, kiedy wróciłem do domu, podszedłem do tego racjonalnie. Ona żyła we wspólnocie druciarzy i dla niektórych z tych ludzi czas się zatrzymał. Jej rodzice to wędrowni rzemieślnicy. - Przerwał znowu. Już chciał powiedzieć: kapłani. - Uczyłem ją angielskiego. Nie wiedziałem, jakim językiem mówiła. Nie sędzę, żeby to był język celtycki. Nie wiem, w jakim języku rozmawiają druciarze między sobą. Przypuszczam, że po cygańsku. Uczyła się bardzo szybko. Jej matka i brat powiedzieli, że jest wyjątkowo zdolna. - Potrząsnął głową. Usiadł przy biurku i oparł głowę na dłoniach. - Chciała przyjechać ze mną do Edynburga. Myślała, że grozi jej jakieś niebezpieczeństwo ze strony rodziny, bo chciała odrzucić ich sposób życia i zacząć żyć tak jak ja. Ale nasz wspólny czas dobiegł kresu. Ona sama była już w college'u gdzieś na północy. Nie mogłem jej tutaj zabrać ze sobą. Po prostu chciałem z tym skończyć.

I zaczęła mnie straszyć - pomyślał. Ale nie powiedział tego głośno.

- Czy zostaliście kochankami? - Liza spojrzała na niego poblądła. Jej oczy były podkrążone z wyczerpania.

Potaknął. .

- I ona była... nadal jest w tobie zakochana?

Najpierw wzruszył ramionami, a potem znowu skinął potakująco głową.

- Być może.

- Dlaczego więc cię nie odnajdzie? Potrząsnął głową, przygnębiony.

- Jestem pewien, że ona wie, gdzie jestem.

- Więc czemu przychodzi do mnie?

- Nie wiem, Lizo. Chciałbym wiedzieć.

Kiedy Brid znalazła się znów na wzgórzu, nie mogła zrozumieć, dlaczego tak jej trudno dotrzeć do głowy Adama. Może dlatego, że jego ojciec był duchownym? Nauczył się sposobów, o których jej nie powiedział, jak trzymać się od niej z daleka. Z Lizą było łatwo. Wrażliwa, szczera, otwarta, przynajmniej na początku. Brid wpatrywała się w zimną, ciemną wodę w studni. Było to jedno z miejsc, gdzie zasłona była cienka; zakłopotana potrząsała głową. Obrazy, z początku tak czyste i

jasne, stały się mętne. Jej umysł był zmęczony. Usiadła z powrotem na piętach i przetarła oczy, drżąc w chłodzie porannego brzasku. Ponad nią garb Arthur's Seat wznosił się na tle surowego, szarego nieba, niżej, w mieście, ruch zaczynał się ożywiać. Rzuciła ukośne spojrzenie na chmury. Kiedy po raz pierwszy zobaczyła samoloty, obudziły w niej przerażenie. Leciały w szyku, jak gęsi powracające zimą zza morza, były coraz bliżej i bliżej, warkot ich motorów dudnił jej w uszach. W końcu upadła twarzą w trawę i zaczęła krzyczeć, zatykając dłońmi uszy. Potem przeleciały, kierując się na zachód. Powoli przyzwyczaiła się do nich. Wydawało jej się, że w ogóle nie przestaną latać. Nigdy się nie dowiedziała, jakich spustoszeń dokonały w środkowej, przemysłowej części Szkocji, rzucając tam bomby.

Czasami sypiała na dworze, opatulona w koce, które ukradła, czasami nocowała w domu pewnej kobiety o imieniu Maggie, z którą się zaprzyjaźniła, kiedy siedziały obok siebie na ławce w parku. Jedzenie kradła. Ubrania, które też kradła, ułatwiały jej teraz ukrywanie się w kręgu magii. Nie wiedziała, a gdyby nawet wiedziała, i tak by jej nie obchodziło, że została odnotowana i sklasyfikowana przez tych, którzy się tym zajmowali, jako umysłowo niedorozwinięta, ale nieszkodliwa. Kiedy wojna przeszła w następną fazę, pojawiło się wiele innych, ważniejszych spraw, o które trzeba się było martwić, niż piękna młoda kobieta o nieprzytomnych oczach, która przemierzała ulice Edynburga, czasami w pobliżu Dean Village, czasami na Grassmarket, szukając, bez przerwy szukając kogoś, kto nigdy nie przyjdzie.

Spróbowała jeszcze raz, wpatrując się w torfowe wody.

- A-dam! A-dam, gdzie jesteś?

Ale nie było go. Daleko, na drugim końcu Edynburga, w szpitalu, Adam, teraz student trzeciego roku, patrzył na leżącego przed nim mężczyznę, któremu szrapnel urwał ramię, i starał się nie zwymiotować.

Rozdział siódmy

No, co o tym myślisz? Liza ściągnęła tkaninę okrywającą obraz i odsunęła się z triumfującą miną. Adam osłupiał. Widział twarz, poszczególne części ciała, duże, ciemne, zamyślane oczy, brzydkie, mocne dłonie, burzliwe, niepokojące tło, ale nie mógł zupełnie rozpoznać siebie. Liza przyglądała mu się z bliska i jej spojrzenie przygasło.

- Nie podoba ci się.

- To cudowny obraz, Lizo. - Starał się, żeby to wypadło entuzjastycznie. - Ale dla mnie to troszeczkę zbyt nowoczesne. - Wzruszył ramionami, przygnębiony.
- Czy ja naprawdę tak wyglądam?

- Och, ty! - Tupnęła nogą, zawiedziona. - Jesteś niemożliwy! Ależ oczywiście, że tak wyglądasz. To obraz przedstawiający ciebie jako lekarza. Jako człowieka. Ty jako kwintesencja samego siebie.

- Rozumiem. - Adam przyjrzał się obrazowi. Niektóre fragmenty ciała były półprzezroczyste i miały odcień zielony, wyglądały na chore. - Przepraszam, Lizo. Wiesz, jaki ze mnie ignorant.

- Rzeczywiście. - Westchnęła głośno. - No i co ja mam z tobą zrobić?

- Naucz mnie oceniać dzieła sztuki. - Przybrał ponurą minę skarconego ucznia, co zirytowało ją jeszcze bardziej.

- Chyba nie będę sobie tobą zawracać głowy. Jest mnóstwo ludzi na tym świecie, którzy znają się na sztuce. Więc idź sobie obserwować te swoje ptaki albo obcinaj komuś nogi, albo coś innego. - Założyła ręce, odwróciła się i zaczęła wyglądać przez okno. Deszcz zaczął o szyby, które brzęczały smagane porywistym wiatrem. - Idź sobie. Idź. Nie rozmawiam z tobą. Wpatrywał się w nią, starając się zdecydować, czy mówi serio. I nagle zrezygnował. Mógł o wiele lepiej wykorzystać swój wolny czas, niż wdając się z nią w te głupie słowne gierki.

Usłyszała trzaśnięcie drzwi i odwróciła się z niedowierzaniem.

Adam?

Wyszedł.

Westchnęła. Zbyt często się to ostatnio zdarzało. Czasami się zastanawiała,

czy w ogóle byliby zdolni zgodzić się w jakiejś sprawie.

A-dam?

Podniosła wzrok, wstrząśnięta. Zapomniała o kłótni z Adamem. Wiele miesięcy upłynęło od czasu, gdy słyszała ten głos w swojej głowie. Był odległy, poszukujący.

- Nie! - Zatkąła uszy dłońmi. - *A-dam? Pomóż mi, proszę.*

- Idź precz! - Liza rozejrzała się dookoła, wpatrując się we wszystkie kąty pracowni, jak gdyby mogła dojrzeć tam właścicielkę tego głosu. - Czy nie możesz zrozumieć, że nie jesteś tu potrzebna? Zostaw mnie w spokoju.

- Liza? - Głos, który teraz usłyszała, był silny, męski i jego właściciel musiał się poczuć bardzo dotknięty. To nie był głos Adama. - Mam nadzieję, że nie mówisz tego poważnie, kochanie.

- Philip? - Jej lęk pierzchnął, ustępując miejsca nagłej fali ulgi. - Wejdz!

- Czy to tego twojego młodego doktora spotkałem na ścieżce? Gonił, jakby go ściagała sfora piekielnych psów. - Philip Stevenson, jakieś dwadzieścia lat starszy od Lizy, był jej opiekunem na akademii w ciągu ostatnich dwóch lat. Wysoki, niezwykle przystojny mężczyzna o stalowoszarych włosach i czarującym uśmiechu, był celem westchnień wszystkich studentek malarstwa. Liza była świadoma, że jako na obiekt jego sporadycznego zainteresowania, patrzono na nią z pewną dozą urazy i zazdrości.

- Tak.

- Kłótnia?

- Można by tak powiedzieć. Nie podobał mu się jego portret.

- Ciemniak. - Philip stanął przed sztalugami i przez kilka sekund wpatrywał się w milczeniu w obraz. - Bardzo dobrze go uchwyciłaś. Ale być może nie pochlebia to ego tego młodego człowieka. Czy on naprawdę jest taki stuknięty?

- Myślę, że tak. - Z roztargnieniem dotknęła czoła. W głowie nadal dźwięczał jej ten głos: „A-dam, gdzie jesteś”. Był smutny, zagubiony. Philip zauważył wyraz jej twarzy.

- Co ci jest, kochanie? Boli cię ucho?

- Nie uwierzyłbyś mi.
- Niech spróbuje. - Nadal stał przed sztalugą z rękami założonymi na piersi.
- No dobrze. Oto jak to wygląda. - Nagle poczuła, że ma po uszy Adama i tego nieodstępującego go ducha. - Jeszcze w Perthshire Adam miał przyjaciółkę - Cyganek. Kiedy wyjeżdżał do Edynburga, powiedział jej, że nie może z nim jechać. Więc zgadnij, co ona zrobiła. Rzuciła na niego czar. Jego czaruje, a mnie straszy. Bez przerwy słyszę jej głos w głowie i to mnie śmiertelnie przeraża.

Głos jej drżał trochę, ale zdołała się skupić. Philip odwrócił się tyłem do obrazu i przyjrzał się jej badawczo.

- Mam nadzieję, że żartujesz...
- Nie.
- No, daj spokój, Liza, to tylko wytwór twojej wyobraźni.
- Skoro tak, to powinnam być w domu wariatów.
- Ale takie rzeczy się nie zdarzają.
- Zdarzają. Ale to już nie potrwa długo. Czuję, że gdybym się rozstała z Adamem, piękna Brid znikłaby także.

- A chcesz się z nim rozstać? - Philip popatrzył na nią zamyślony spod swoich krzaczastych brwi. - Jesteś zadurzona w tym młodym człowieku od dnia, kiedy go po raz pierwszy spotkałaś.

Skrzywiła się.

- Czy to było takie widoczne? - Przez chwilę mu się przyglądała. W porównaniu z Adamem wyglądał na solidnego, godnego zaufania, więc mogła się czuć przy nim bezpieczna. - Phil - brnęła dalej. - Jest coś jeszcze. Coś strasznego wydarzyło się w domu Adama po jego wyjeździe. Została zamordowana kobieta, która była gospodynią jego ojca. - Odwróciła się. - Zamordowana w okrutny sposób. Pchnięto ją nożem. Nigdy nie wykryli, kto to zrobił. - Wpatrywała się w obraz, jakby tam mogła znaleźć odpowiedź.

Stał teraz przed nią.

- I myślisz, że to zrobiła ta jego przyjaciółka? Wzruszyła ramionami.
- Ona próbowała mnie zabić, Phil. Rzuciła we mnie nożem. Adam w to nie

wierzy. Nie było tu nikogo, kiedy przyszedł, a nie minęła go na schodach. Nie mogliśmy znaleźć tego noża, ale... - Przerwała.

- Lizo... - Philip postąpił kilka kroków do przodu i wziął ją delikatnie za ramiona, zmuszając, żeby na niego spojrzała. - Czy zameldowałaś o tym policji?

Pokręciła przecząco głową.

- Dlaczego?

- Nie było sensu. To były tylko moje słowa. Wydawało mi się, że Adam sądzi, iż ja to wszystko wymyśliłam. Ale to nieprawda. Ja tego nie wymyśliłam, jestem tego pewna.

- A rozmawiałaś z nim o tym, że ta jego przyjaciółka może być odpowiedzialna za śmierć tamtej kobiety?

Znowu potrząsnęła głową.

- Lizo, kochanie, wydaje mi się, że jeśli naprawdę myślisz, że istnieje taka kompletnie pomyłona młoda kobieta, która biega po całej Szkocji z nożem w rękę i morduje ludzi na prawo i lewo, powinnaś była o tym komuś powiedzieć. Powinnaś była powiedzieć Adamowi. Powinnaś była zawiadomić policję. Powinnaś była powiedzieć o tym mnie, wcześniej. - Przyciągnął ją do siebie i trzymał teraz w ramionach.

Przez chwilę była spięta, ale odprężyła się. Dziwny pytający głos w jej głowie kompletnie zanikł.

Phil stał przez chwilę, wpatrując się ponad głowę Lizy w obraz; chciał zachować spokój, nie zacieśniał uścisku, żeby jej nie przerażać jeszcze bardziej. W końcu delikatnie pocałował ją we włosy.

- Chodź, dziewczyno. Myślę, że powinniśmy coś zjeść. Proponuję, żebyśmy zostawili twój obraz i twoją pracownię oraz tego nieszczęsnego ducha ich własnemu losowi, wyszli stąd i wydali nasze statutowe pięć szylingów na głowę na coś najlepszego, co znajdziemy w The Aperitif.

Kiedy Adam znalazł kartkę od Jane, w której prosiła go, żeby się z nią spotkał w North British na herbacie, z początku chciał odmówić. Gdyby był zajęty, zrobiłby to, ale miał dwie wolne godziny, a Liza powiedziała, że jest zbyt pochłonięta swym

malowaniem, żeby tracić dwie godziny na spotkanie z nim. Rozgoryczony, wydzwonił Jane ze Związku Studentów. Siedzieli teraz obok siebie w głębokich fotelach przy talerzu ciastek i placuszków z jęczmiennej mąki oraz dzbanku gorącej herbaty i Jane opowiadała mu o swoim związku z Robbiem. Rozmawiali spokojnie, świadomi obecności innych par, które, tak jak oni, pochłonięte były rozmową. Często wybuchali śmiechem i Adam stwierdził z nagłym poczuciem winy, że zachowuje się nielojalnie, porównując łagodność, uprzejmość i urok Jane ze zgryźliwością Lizy i jej wariackim talentem. - Robbie został wysłany do Anglii. - Jane naląła Adamowi herbaty i podała mu placuszek. Zmęczony, skinął tylko głową; z trudem udawało mu się trzymać oczy otwarte. Prawie całą noc się uczył. - To straszne - ciągnęła Jane. - Nie wiem, jak on się czuje. Nie wiem, co się z nim dzieje. Nie może mi nawet powiedzieć, gdzie jest.

Adam współczująco pokiwał głową.

- Dlaczego nie pojedziesz do domu? Chyba można coś zrobić, żeby mu pomóc, a twój ojciec może się czegoś o nim dowiedzieć.

Zagryzła wargę.

- Część mojej osoby pragnie tego. Nie pomagam w żaden sposób w działaniach wojennych, studiując filologię klasyczną.

Roześmiał się.

- Ktoś musi żyć normalnie, Jane. Dlaczego właśnie nie ty? Jesteś zbyt młoda i zbyt piękna, żeby się mieszać do wojny. Zresztą kazaliby ci zwijać szarpie i bandaże.

- Dwóch naszych wykładowców odeszło. Pewnie niedługo zamkną wydział.

- Chyba czas się zbierać. - Adam skrzywił się ze smutkiem. - Będzie mi cię okropnie brakowało.

- Naprawdę? - Spojrzała na niego spod rzęs. - Myślałam, że nie spuszczasz oka z Lizy.

Milczał. Jak wytłumaczyć, co czuje do Lizy? Sam nie był pewny swych uczuć. Kruszył suchy placuszek na talerz, bawiąc się nożem; masła nie było.

Uniosła brew.

- No cóż, ona jest w tobie zakochana - powiedziała łagodnie. Przytaknął.

- Ale nie byłoby fair z mojej strony, gdybym się związał z kimś, nie traktując tego poważnie. Będę miał coraz mniej czasu. Wykorzystuję każdą godzinę, jaką Bóg nam zsyła. Lekarze będą tak bardzo potrzebni - obowiązków będzie coraz więcej. - Czy to jest usprawiedliwienie? - zastanowił się nagle. Nikt nigdy przedtem nie prosił go, żeby zanalizował swoje prawdziwe uczucia do Lizy. Kochał ją naprawdę. Był nią zafascynowany. Ale coś gdzieś w środku go powstrzymywało. Może był to lęk, ponieważ widział, ile zła wyrządziły jego rodzicom namiętność i zaangażowanie skierowane w niewłaściwym kierunku. A może powodem była wciąż pamięć i poczucie winy w stosunku do Brid i wspomnienie jej zatroskanej twarzy, kiedy ją ostatni raz widział? Nie wiedział.

- W lecie wyjeżdżam do Glasgow na sześciotygodniową praktykę i jeśli nie zostanę zmobilizowany zaraz po dyplomie, pojedę prawdopodobnie do Londynu albo wrócę do Glasgow, albo jeszcze gdzie indziej, gdzie naprawdę potrzebują ludzi. Nie będę miał czasu myśleć o ożenku ani o czymkolwiek innym.

- Więc powinienes jej to powiedzieć. - Jane jeszcze raz dołała mu herbaty.
- Nie postępujesz fair, Adam. - Uśmiechnęła się do niego smutno, a on po chwili odwzajemnił ten uśmiech.

Brid uderzyła płaską dłonią w wodę i zaklęła. Gdzie są obrazy? Gdzie jest A-dam i ta kobieta? Ta rudowłosa kobieta, która malowała obrazy. Nie widziała ich. Nic nie widziała. Kręciło jej się w głowie i było jej przeraźliwie zimno. Popatrzyła na swoje dłonie; były sine i drżały. Powoli wypełzła ze swej kryjówki i spróbowała wstać. Niebo stało się czarne. Słyszała dziwne dzwonienie w uszach. Słyszała, że ktoś gdzieś ją woła, wykrzykuje jej imię. Pokręciła głową. To głos Broichana. Broichana, który przysiągł, że ją zabije. Ale nie wolno mu tu za nią przyjść. Nie do czasu A-dama. Nie do miasta A-dama. Z trudem się podniosła i odwróciła od wody. Dobrze by było, gdyby udało się jej odnaleźć drogę do mieszkania Maggie. W worku miała jedzenie. Zawsze mogła przekupić Maggie jedzeniem albo butelką piwa, a jeszcze lepiej odrobiną dzinu, w najgorszym zaś wypadku denaturatu. Ta starucha miała niewyparzoną gębę, była zawszona, a w jej pokoju było brudno jak w

chlewie. Śmierdziało tam i było zimno, ale nie tak zimno jak w te rozkoszne, pogodne noce, które spędzała na wzgórzu, kiedy wiatr przenikał ją do kości i kiedy myślała, że umrze. Powoli, stawiając nogę za nogą, ruszyła w kierunku miasta.

Nie zdawała sobie sprawy, co się dzieje, kiedy upadła, a potem czuła, jak jej ciało układają na noszach. Nie wiedziała, że ją zabierają do szpitala. Jej duch wędrował po wzgórzu zakłopotany i przerażony, słyszała tylko pełne złości okrzyki Broichana w podmuchach wiatru i echo kopyt jego konia w czarnej nieskończoności przestrzeni.

Zaniepokojony lekarz stał nad nią i patrzył na nieruchomy kształt na szpitalnym łóżku. Potrząsnął głową.

- Ona musi być w szoku. Trzymajcie ją w cieple i miejcie na nią oko. To wszystko, co możemy zrobić. Czy ktoś wie, kto to jest? Dlaczego nie ma dowodu osobistego? - Miał stu innych pacjentów do doglądania, z widocznymi obrażeniami ciała.

Brid poruszyła się. Przesuwała niespokojnie głowę na poduszce. Przez przymknięte powieki widziała jak przez mgłę salę szpitalną i wysokiego, rudego mężczyznę w białym fartuchu, ze stetoskopem na szyi. Widziała, że są na tej sali inne łóżka ustawione w rzędy i leżą na nich kobiety; jedne cicho płaczą, inne milczą, a ich twarze są tak samo białe jak prześcieradła, na których leżą. Ale na nic nie reagowała. Wydawało jej się, że zawieszono jakąś zasłonę między nią i pozostałym światem, zasłonę z mgły, która tłumiała dźwięki i przenosiła ją w jakąś otchłań, w której teraz widziała poza sobą wzgórze i swój dom, i brata, który wyciągał do niej rękę, żeby ująć jej dłoń. A z tyłu widziała popleczników Broichana zbliżających się coraz bardziej.

Kiedy pielęgniarka ułożyła ją wygodniej na poduszkach i karmiła czymś łyżeczką, połykała posłusznie jedzenie. Nie sprzeciwiała się, kiedy myli gąbką jej szczupłe ciało i zmieniali jej koszulę, nie reagowała, kiedy ktoś przyszedł i wyszczotkował jej włosy ani kiedy kapłan modlił się nad nią do chrześcijańskiego Boga. Nic do niej nie docierało. W szafce obok łóżka jej worek leżał nietknięty. Nie znaleźli nazwiska ani adresu w małej skórzanej portmonetce. Na ślicznej

pudding nie było inicjałów. Malutki zardzewiały sztylecik z żelaznym ostrzem wzbudził zainteresowanie i zaczęto snuć jakieś domysły, ale wkrótce wylądował z powrotem w worku i zapomniano o nim.

- Nie masz nic przeciwko temu, żeby pójść ze mną? - Liza siedziała naprzeciwko Adama w The Aperitif na Frederick Street. - Jesteś pewien, że możesz mi poświęcić ten czas? - W jej głosie była odrobina sarkazmu, którego nigdy przedtem nie słyszał.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się do niej, starając się nie myśleć o rachunku, o który za chwilę będzie musiał poprosić.

Odwzajemniła uśmiech, odczytując jego myśli, i zakłopotany zauważył, że wciska mu do ręki dziesięcioszylingowy banknot.

- Bierz. Jestem ci winna. Sprzedałam dwa obrazy. Jak będziesz w Londynie i zamieszkaż na Harley Street, zaprosisz mnie do Ritza. - Zgoda?

Oddechnął z ulgą.

- Zgoda.

Ulice Morningside były wyludnione i spokojne w porównaniu z tłumami, krzątającymi się w centrum miasta. Dom był szary, solidny, budzący szacunek, z siatkowymi firankami, a po dwóch stronach ścieżki prowadzącej do wejścia rosły róże. Weszli, starannie zamknęli za sobą bramę, po czym ruszyli w kierunku frontowych drzwi. Drozd śpiewał na gruszy rosnącej na trawniku przed domem, jego gardziołko wydymało się i drżało w ekstazie. Kobieta, która otworzyła im drzwi, była po czterdziestce, wyglądała schludnie w bliźniaku ozdobionym sznurkiem perełek. Na nogach miała brązowe pantofle z niewyprawionej skóry. Jedyne egzotyczne pierścionki na jej palcach - z bursztynem i lapis lazuli - przypominały o wykonywanym przez nią zawodzie. Wprowadziła ich do frontowego pokoju umeblowanego solidnymi meblami. Była tu sofa i dwa pasujące do niej klubowe fotele oraz niski stolik. Na stoliku stało coś owiniętego w jakąś czarną tkaninę. Adam poczuł, jak żołądek kurczy mu się z obrzydzenia. Kobieta miała kryształową kulę.

- Siadajcie państwo, proszę. - Uśmiechnęła się i wzięła ze stołu kopertę,

którą Liza przesunęła w jej stronę. Najwyraźniej płaciło się z góry. Nie otwierając, wsunęła kopertę do kieszeni, usiadła naprzeciw i przyglądała im się zadziwiająco przenikliwym wzrokiem.

- Więc, jak rozumiem, macie państwo kłopot z pewną cygańską kłatwą.

Liza skinęła głową.

- Tak jak tłumaczyłam przez telefon, pani Gardiner, nie rozumiem tego.

Czuję jej obecność wszędzie, gdziekolwiek jestem. Idę do, akademii, idę do domu, do swojej pracowni, na zakupy, do opiekuna roku...

- Nie zauważyła wściekłego spojrzenia Adama, kiedy to powiedziała,

- Dokądkolwiek pójde, ona tam jest, obserwuje mnie. Jest obecna w mojej głowie. To mnie doprowadza do szału.

- A pana, panie Craig, także prześladowe w ten sam sposób? Wzrok kobiety zdawał się drażyć w głąb jego duszy. Wzruszył ramionami, bo poczuł się nieswojo.

- Prawie wcale. Wydawało mi się, że widziałem ją parę razy. Raz stała w pobliżu mego mieszkania na High Street. Nie rozumiem, dlaczego nie daje spokoju Lizie.

- No cóż, to proste. - Pani Gardiner elegancko założyła nogę na nogę i Adam usłyszał lekkie syknięcie ocierających się o siebie ud. - Panna Vaughan jest urodzonym medium. Tej dziewczynie łatwo do niej dotrzeć.

- Medium? - Adam popatrzył na nią zdziwiony. Liza skrzywiła się.

- Mówiłam ci, że mam dar jasnowidzenia.

- Tej kobiecie, panie Craig, najwyraźniej trudno jest skontaktować się z panem, więc trzyma się kurczowo jedynej osoby, z którą może być pewna, że nawiąże kontakt. Ten rodzaj telepatycznej więzi jest bardzo delikatny. To prawdopodobnie sprzężenie zwrotne. Czy mogę zapytać, dlaczego pan nie skontaktuje się z nią osobiście i nie poprosi, żeby przestała?

- Bo nie mogę jej znaleźć - powiedział Adam zrozpaczony. - Kiedy mi się zdawało, że ją widzę, poszedłem za nią, ale znikła mi z oczu. Nie mam pojęcia, gdzie ona mieszka. - Na jego twarzy pojawiła się dziwna zawziętość. Nie miał zamiaru mówić im, że wcale nie próbował jej znaleźć, że Brid jest ostatnią osobą,

którą chciałby zobaczyć. - Liza mówi, że pani może jednak jakoś się z nią skontaktować. Powiedzieć jej, żeby odeszła. Dlatego właśnie przyszliśmy do pani.

- Oczywiście. - Pani Gardiner uśmiechnęła się zagadkowo. - Ale muszę pana o coś zapytać. - Wzięła głęboki oddech i przez chwilę milczała, jak gdyby nagle poczuła się zakłopotana. - Panie Craig, proszę mi wybaczyć, że o to pytam, ale muszę wiedzieć. Panna Vaughan mówi, że ta młoda dama, Brid, jest dziewczyną należącą do druciarzy, Cyganką. Czy tak?

Adam skinął głową.

- Czy ma pan coś, co do niej należy? Dała panu jakiś upominek? Jakaś pamiątkę? Jakaś maskotkę? Cokolwiek, co mógł pan przekazać z kolei w podarunku pani Vaughan?

Adam był spięty. Wisiołek. Ale jak mógł się przyznać Lizie, że prezent, który jej dał, należał do Brid? Nabrał głęboko powietrza i pokręcił przecząco głową.

- Nic.

- Pytam dlatego, że jeśli pan ma taką rzecz, to być może ona używa tego, żeby zapewnić sobie więź z panem. To jest powszechna praktyka stosowana wśród Cyganów. Jak rozumiem, chcą w ten sposób utrzymać władzę nad innymi. Czy mogła dać panu coś, choć pan nie zdawał sobie z tego sprawy? Może ukryła to między pana rzeczami?

Zagryzł wargę, świadom tego, że obie kobiety wpatrują się w niego \ surowo, i na moment przeniósł się na to wzgórze latem i do tego namiotu nad strumieniem.

- Niczego mi nie dała. Jestem tego pewien.

- Rozumiem. - Pani Gardiner sprawiała wrażenie zawiedzionej. Wzruszyła ramionami i pochyliła się nad stołem. - Wszystko, co mogę zrobić, to poradzić się mojej kuli i zobaczyć, co ona mówi. - Ściągnęła czarną tkaninę i Adam zobaczył przed sobą mętną, ale błyszczącą kryształową kulę. Pani Gardiner długo milczała. Adama ogarnęło nagle przerażenie. Zastanawiał się, czy ona może dostrzec w niej prawdę. Uczucie to jednak zostało zastąpione prawie natychmiast kpina z własnej łatwowierności i dziką chęcią wybuchnięcia śmiechem. Podniósł głowę, próbując pochwycić spojrzenie Lizy. Ale ona wpatrywała się w kryształową kulę z takim

samym napięciem jak pani Gardiner. Westchnął głośno i usiadł z powrotem na sofie ze skrzyżowanymi ramionami, dystansując się od tego, co wyczyniają obie kobiety. Cokolwiek to było, nie uda im się dostać Brid.

- O, widzę ją teraz. - Pani Gardiner milczała tak długo, że Adam podskoczył, gdy się odezwała. - Śliczna dziewczyną z długimi ciemnymi włosami. Stoi przy dużym głazie. Widzę na nim jakieś rzeźby. Zwierzęta, błyszczący złamany miecz, półksiężyc. To właśnie stamtąd musi czerpać swoją siłę, żeby do pana dotrzeć. Dotykał pan może tego wraz z nią. Pan sam stworzył tę więź między wami.

Adam wpatrywał się w nią i czuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Liza musiała powiedzieć o tym tej kobiecie przez telefon. Ale on przecież nigdy o tym Lizie nie mówił.

- Tak - ciągnęła pani Gardiner. Zaczynała wczuwać się całkowicie w swoją rolę. - Widzę ją w obłokach mgły. Jest zagubiona. Rodzina jej szuka. Grozi jej wielkie niebezpieczeństwo. Widzę je wyraźnie, czyhające koło kamienia. Widzę niebezpieczeństwo. Lęk. Słyszę krzyki. To obcy język. Nie rozumiem. - Małe krople potu ukazały się na pokrytej grubą warstwą pudru na górnej wardze kobiety. - Oni polują na pana, panie Craig. - Nagle odwróciła wzrok od kuli, spojrzała prosto na Adama i dostrzegł przerażenie w jej oczach. - Polują na pana - powtórzyła. - I będą polować tak długo, jak będzie trzeba, a gdy pana odnajdą, zabiją.

Myślał, że zwymiotuje. Wpatrywał się w nią, zdając sobie sprawę z tego, że siedząca przy nim Liza wstrzymała oddech, jakby coś ją dusiło. Ręce kobiety drżały, gdy znów usiadła prosto i spojrzała w kryształową kulę. Powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem, teraz nie potrafił już odwrócić oczu, ale okazało się, że kryształowa kula ściemniała. Tęczowe barwy i bijące z niej światło, które tańczyło wewnątrz kwarcu, gdy padało na nią słońce przez siatkowe firanki, znikły. W pokoju robiło się coraz ciemniej.

Powoli pokręcił głową.

- Nic więcej nie widzę. - Pani Gardiner usiadła prosto i potarła twarz dłońmi. - Muszę wam powiedzieć coś jeszcze. Przykro mi, panie Craig, ale pańska Brid nie żyje. Może kiedyś była Cyganką, ale ta młoda dama, która prześladowuje was

oboje, umarła bardzo, bardzo dawno temu.

- Kłamałeś, prawda? - napadła na niego Liza, gdy tylko wyszli. W jej oczach był lodowaty chłód. - Dałeś mi coś, co należało do niej. Ten wisiorek.

Adam wpatrywał się w nią.

- Skąd wiesz, że to było to?

- Pomijam fakt, że to jest jedyny prezent, jaki kiedykolwiek od ciebie dostałam. - Zauważyła rumieniec na jego twarzy i od razu zrobiło jej się przykro. Był w końcu studentem i nie miał pieniędzy. Ale nalegała:

- Dlaczego, Adam? Dlaczego mi to dałeś?

- Chciałem ci coś dać - powiedział zakłopotany. - Nie miałem zamiaru się z nią spotykać. To było takie piękne. - Przerwał. Stał z rękami w kieszeniach, zapatrzony w przestrzeń. - Czy uwierzyłaś w to, co ona mówiła: że Brid nie żyje?

Liza nie odpowiedziała od razu.

- Nie wiem.

- Biedna Brid. - Przeszedł kilka kroków i znów się zatrzymał. - Była taka pełna życia.

Liza szła za nim.

- To nie jest biedna Brid, Adamie. Ona jest niebezpieczna. To uosobienie zła. Nawet jeśli jest duchem, nadal czujemy tu jej obecność, na litość boską. Możesz otrzymać z powrotem ten swój wisiorek. Teraz. Dzisiaj.

Kiedy wrócili do pracowni, Liza podeszła prosto do nocnego stolika, gdzie leżał srebrny amulet. Podała go Adamowi.

- Żadnych prezentów, proszę. Nigdy.

- Lizo...

- Nie, Adamie. - Zacisnęła usta. - Przepraszam, ale dziewczyna nie chce słyszeć, że prezent, który otrzymała, należał kiedyś do kogoś innego. Nie chce też wiedzieć, że została okłamana. Nawet gdybym nie wiedziała, że prześladowuje mnie duch, który należy do ciebie. Bardzo cię lubię, Adamie, i zawsze będę cię lubiła, ale co za dużo, to za mało. - Odwróciła się raptownie, by nie mógł zobaczyć jej łez i złości. - Proszę, idź już.

- Lizo, nie mówisz poważnie. Tyle przeżyliśmy razem...
- Właśnie! Tyle przeżyliśmy, i to z winy Brid, Zajmij się nią. To nie moja sprawa.

Na miejsce Robbiego wprowadził się Andrew Thomson, jeszcze jeden student czwartego roku, który miał zamiar specjalizować się w chirurgii. Podobnie jak wszyscy studenci medycyny, miał w czerwcu egzaminy, które powinien był złożyć wcześniej. Odroczenie to zależało od ocen, czy były dostateczne, i ewentualnych zastrzeżeń do nich. Zarówno on, jak Adam radzili sobie całkiem nieźle, ale obaj pracowali teraz tak ciężko, że mieli niewiele czasu. Wystarczało go jedynie na wspólne wypicie jakiegoś drinka na Lothian Road. Kiedy Adam wrócił któregoś dnia wyczerpany po obchodzie sal szpitalnych i wykładach klinicznych i zastał Andrewa stojącego w oknie małego saloniku, uznał to za miłą niespodziankę.

Andrew patrzył na wąski pas ziemi, gdzie mały brzdąc w cienkim ubranku, drżący z zimna, dokuczał jakiemuś parszywemu psiakowi. Odwrócił się, kiedy Adam wszedł.

- Tak sobie myślałem, że mniej więcej o tej porze wrócisz, stary. - Zawahał się. - Niestety, mam kilka złych wiadomości. Chodzi o Robbiego. Został zestrzelony.

Adam nabrał głęboko powietrza. Spotkało to już kilku młodych ludzi, których znał. Ale nikogo bliskiego. Jeszcze nie.

- Jest ciężko ranny? - zapytał ochrypłym głosem.
- Niestety, nie żyje. Tak mi przykro, stary, naprawdę.

Adam leżał z głową wtuloną w poduszkę długo jeszcze po wyjściu Andrewa. W pokoju robiło się coraz ciemniej. Czuł pustkę w głowie. Nie pozwalał sobie na wspomnianie dobrych czasów. Nie chciał myśleć o ojcu Robbiego, jego dziadku i babci, ani o Jane. W pamięci pozostał mu młody, roześmiany oficer RAF - u w błękitnym mundurze, podkreślającym błękit jego oczu, pełen życia, zapału i entuzjazmu, traktujący wojnę jak wyzwanie, a nawet jak zabawę. Przeżył oddelegowanie na wschód i bitwę o Anglię. Napisał, że przyjeżdża na urlop i za dwa tygodnie zobaczy się z nimi wszystkimi. A teraz już go nie ma.

Zrobiło się już całkiem ciemno, kiedy Andrew otworzył drzwi i przeszedł

przez pokój, żeby spuścić rolety, zanim zapali lampę.

- Dobrze się czujesz?

Adam położył się na boku i zasłonił oczy, żeby nie raziło go światło.

- Myślę, że powinienem pójść do Jane - powiedział ochryplym głosem, ale nie płakał. Ból umiejscowił się gdzieś w jego piersiach. Andrew zapalił papierosa i stanął odwrócony tyłem do okna. Patrzył na Adama.

- Mogę pożyczyć od mojego kumpla starego riley'a. Zawiozę cię do niej, jeśli chcesz.

Adam opuścił stopy na podłogę i potarł twarz dłonią.

- Daj mi papierosa. Biedna Jane. Jak ona sobie z tym poradzi?

Samochód jechał skrajem bocznej alei, starając się trzymać drogi w ciemności, aż w końcu dojechali do wielkiej bramy, która prowadziła do starej wieży wieńczącej basztę strażniczą. Robbie i Adam często żartowali, że Jane jest jak królewna Rapunzel, tylko że ona jest więźniem nie wiemy, ale niegodziwego wuja. Rodzina Kennedych, z którą zamieszkała, kiedy porzuciła studia na uniwersytecie, to byli jej dalecy kuzynowie. Ale wcale się nie czuła więźniem w wysokiej wieży. Pomagała im na farmie, co sprawiało jej ogromną radość.

Adam siedział na przednim siedzeniu riley'a, przyglądając się ciemnemu masywowi wieży.

- Przypomina to scenerię z „Makbeta”. Andrew przytaknął.

- Słuchaj, lepiej będę już wracał. Znajdziesz jutro sam drogę?

- Oczywiście. - Adam otworzył drzwiczki samochodu i wysiadł. - Życz mi szczęścia.

Pociągnął za dzwonek i czekał w podmuchach zimnego wiatru, patrząc, jak mały samochód oddala się w ciemności. Drzwi otworzyła Jane.

- Adam? - Wciągnęła go do środka, zamknęła za nim drzwi i wybuchnęła płaczem. - Nie spodziewałam się ciebie - powiedziała, prowadząc go do kuchni, jedyne ciepłe pomieszczenia w całym domu. - Powinnam była wiedzieć, że przyjedziesz. Jesteś taki miły, Adam. Pilnuję dzieci. Wszyscy pojechali do Edynburga, zobaczyć rewię „Half Past Eight” w King's Theatre. Zostaną tam na noc

i wrócą jutro rano. Chcieli zrezygnować, zostać ze mną, ale wolałam być sama. -
Milczała przez chwilę. - Potem zapragnęłam nie być sama. Tak się cieszę, że
przyszedłeś.

Długo siedzieli razem w kuchni. Jane jeszcze trochę popłakała, a potem w
milczeniu wpatrywała się w kubek kakao, który sobie przygotowała, bujając się w
przód i w tył na fotelu.

- Wiesz, Robbie zawsze mi mówił, żebyśmy się zaręczyli - powiedziała w
końcu, patrząc na niego zaczerwienionymi oczami.

- Naprawdę? - Zdziwił się, czując ukłucie zazdrości, i natychmiast gorzko
się tego zawstydził.

Potaknęła.

- Nie chciałam. Myślę... - Przerwała. - Myślę, że wiedziałam, że coś się
stanie. - Odstawiła kubek i pochyliła się, żeby wziąć na rękę czarnego kota
krążącego koło jej nóg, był bowiem przyzwyczajony siedzieć na tym fotelu.
Przytuliła go do siebie. - Wiesz, moi rodzice go nie aprobowali. Och, dosyć go
lubili, ale sądzili, że nie jest dla mnie odpowiedni. Nie na męża. - Łza spłynęła jej
po policzku. Wytarła ją. - To zabawne, że umarł w Anglii. Jeśli już musiało się to
stać, pewnie chciałby umrzeć tutaj, broniąc Szkocji.

- Jesteśmy wszyscy po tej samej stronie, Jane. - Adam poczuł nagle
napływające łzy. Ześliznął się ze swojego fotela, podszedł do Jane i objął ją.

- Cieszę się, że nie został okropnie zraniony i okaleczony. Robbie nie
potrafiłby z tym żyć. Widziałem takie straszne przypadki, Janie. Nie uwierzyłybyś.
Wiem, że to niewielka pociecha, ale myślę, że jeśli musiał zostać zabity, to chciałby
zginąć w taki właśnie sposób. - Oparł głowę na ramieniu Jane. Nagle uświadomił
sobie ciepło jej ciała przy sobie i cytrynowy zapach czystej skóry.

Po dłuższym czasie Jane się poruszyła. Zasnął bowiem wtulony w jej ramiona
i spał przez blisko pół godziny, a ona przez ten czas patrzyła na niego, delikatnie
głaszcząc go po włosach.

- Adam? - szepnęła. - Muszę iść sprawdzić, co u dzieci. Chodź ze mną.

W domu było dwoje dzieci w wieku czterech i pięciu lat. Uwielbiały Jane, a

ona je.

Wzięła go za rękę i powiodła na górę po pełnych przeciagów, wąskich, spiralnych schodkach, które prowadziły z kuchni na trzecie piętro, gdzie spały dzieci skulone pod kocami. Przez chwilę patrzyli na nie w świetle lampy, którą Jane trzymała przed sobą, a potem wyszli, zamykając drzwi.

- Chodź - poprowadziła go podestem do swojego pokoju. Zawahał się, kiedy zapaliła światło.

- Janie...

- Proszę, Adamie. Nie znoszę być sama. Tylko mnie przytul, nic więcej.

Na zewnątrz, za wąskimi, wysokimi oknami, wiatr smagał szyby i jęczał w wysokich kominach. Dzieci, przyzwyczajone do takich hałasów, spały zdrowo. Adam leżał, całkiem ubrany, obok Jane na wąskim łóżku pod kocami. Drzemał, budząc się co chwila, i nagle, zupełnie rozbudzony, zaczął się wpatrywać po ciemku w sufit. Jane wymknęła się do łazienki, żeby się rozebrać, i wróciła w długiej do kostek bawełnianej koszuli nocnej, zapiętej pod szyję. Koszula była dziewiczo biała, ozdobiona angielskim haftem, i Adam z ogromnym wstydem poczuł na ten widok przyływ pożądania. Wyciągnął się obok Jane, starając się opanować. Wyobrażał sobie Robbiego leżącego gdzieś w drewnianej trumnie i to pomagało mu zachować zdrowy rozsądek. Wiele czasu upłynęło, zanim poczuł, jak Jane odprężyła się, zapadając w sen. Leżał, słuchając jej spokojnego równego oddechu. Wiatr coraz mocniej łomotał oknem.

Zasnął w końcu wczesnym rankiem i śniło mu się, że biega po lesie z Robbiem, bawiąc się łukiem i strzałami, własnoręcznie wykonanymi w domu, kiedy byli dziećmi. Nagle coś go obudziło. Wpatrywał się w ciemność i wsłuchiwał uważnie. Jane nadal spała. W domu nie było nic słyszeć oprócz tykania dużego starego zegara, stojącego na podeście schodów. Wstrzymał oddech, zastanawiając się, czy powinien wstać i pójść na górę, zajrzeć do dzieci. A może państwo Kennedy zmienili zdanie i postanowili wrócić, zamiast pozostawać na noc w Edynburgu, a to, co słyszał, to tylko odgłos hamującego samochodu na żwirze przed domem?

Jane poruszyła się i coś zamamrotała przez sen. Objął ją opiekuńczo

ramieniem, czując falowanie jej piersi pod kocem.

A-dam?

To znów wiatr w kominie. W palenisku nie było ognia. To niewielkie drobiny starego popiołu wzdychają na kamieniu. Gdzieś zatrzeszczała deska. Adam poczuł suchość w ustach.

Gdzie jesteś, A-dam?

Wstrzymał oddech. To jakiś koszmar. Nie ma tutaj nikogo. To wiatr go obudził.

Jane odwróciła się do niego na pół rozbudzona, wtulając się w stary materac.

- Co się dzieje?

- Nic. Śpij dalej.

Jego dłoń spoczywała nadal na jej piersiach. Delikatnie pieścił je przez koc. Nie odwróciła się. Z zamkniętymi oczami przytuliła się do niego mocniej. Ustami dotknął w ciemności jej włosów.

- Janie? Nie śpisz?

Nie odpowiedziała, ale jej ręka znalazła się na jego ramieniu, potem na przodzie koszuli. Powoli zaczęła rozpinać guziki.

- Janie...

- Ciiii...

Była ciepła, odprężona i spokojna. Pachnąca przystań. Prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zdjął spodnie i położył się obok niej, naciągając koc na głowę. Był bardzo delikatny, świadom, że to bardzo wyjątkowa miłość, miłość niosąca pocieszenie i podnosząca na duchu, miłość, która ma uciszyć ich ból. Pieścił delikatnie jej uda pod nocną koszulą, rozwiązał wstążki, by dotknąć ustami piersi, zaskoczony i zachwycony skromnością dziewczyny, połączeniem pożądania i oporu.

- Jane! - Wtulił twarz między jej piersi. - Moja kochana!

Przez chwilę myślał, że go odepchnie, kiedy wziął ją w ramiona i wsunął nogę między jej uda. Teraz była już podniecona, spragniona. Zapomniała o Robbiem. Zapomniała o dzieciach w pokoju na górze.

A jego pamięć przywołała widok gibkiego, prężnego ciała, leżącego w słońcu

na skałach z prowokacyjnie rozsuniętymi nogami, roześmianych, złośliwych oczu i lodowatej pachnącej torfem wody, wysychającej na białej, gładkiej skórze.

- Brid!

Był przerażony, bo krzyknął to głośno, zagłębiając się w miękkie ciało Jane, i zdał sobie sprawę, ale za późno, co oznacza opór, jaki tam wyczuł. Opadł, dysząc ciężko, na jej piersi; całował jedwabistą skórę, triumfujący po ukojeniu własnej namiętności, nieświadomy, że Jane leży bardzo spokojnie, a po jej policzkach spływają łzy.

- Jane? Janie? Co się stało?

Usiadł i sięgnął do przełącznika przy lampce nocnej. Zacisnęła dłonie na kocu i naciągnęła go aż po samą brodę.

- Nic. Nic się nie stało.

- Ależ stało się. O mój Boże! To był twój pierwszy raz. Pociągnęła nosem.

- Każdy musi mieć swój pierwszy raz.

- A ja myślałem, że ty i Robbie... O Chryste! - Przerzucił nogi przez brzeg łóżka i sięgnął po spodnie.

Ubrał się, odwrócony do niej tyłem, a potem zapalił papierosa i usiadł na skraju łóżka.

- Janie. Tak mi przykro.

- Czemu? - uśmiechnęła się blado. - Właśnie tego pragnęłam.

- Ale...

- Robbie i ja czekaliśmy. On nie chciał czekać. To był mój pomysł.

Czekaliśmy, żeby to się odbyło we właściwym czasie, to znaczy w noc poślubną. Jeśli będziemy mieli noc poślubną. Ale nie będzie jej. Gdybyśmy to zrobili, wiedziałabym, jak to wygląda. Wiedziałabym, jaki on jest. - Szlochała, nie mogła się powstrzymać od płaczu. - Pozostałoby mi wspomnienie. I jemu także.

Adam wpatrywał się w nią przerażony. Doświadczał mnóstwa sprzecznych uczuć: czuł się zraniony, że wykorzystała go tak cynicznie. Przerażało go, że ból Jane był tak wielki, iż zdobyła się na coś tak niezgodnego z jej charakterem, czuł obrzydzenie do samego siebie za to, że bez skrupułów wykorzystał chwilę, kiedy

czuła się nieszczęśliwa. I gnębiło go jeszcze coś: świadomość, że w jakiś sposób zdradził zarówno Lizę, nawet jeśli dała mu jasno do zrozumienia, że go już nie chce, jak i tę dziewczynę, o której starał się zapomnieć, dziewczynę, której imię wykrzyczał, trzymając w ramionach Jane. Wstał i podszedł do kominka, żeby wrzucić tam papierosa. Przez chwilę niedopalek żarzył się jeszcze czerwono w podmuchu powietrza w dawno wygasłym popiele. Adam czuł wstręt do samego siebie.

- Adamie, przestań. - Jane usiadła. Oczy miała jeszcze zaczerwienione, ale była spokojna. - Chodź tutaj - poklepała dłonią koc obok siebie.

Wahał się przez chwilę, ale usiadł obok niej. Sięgnął po jej rękę i ścisnął ją delikatnie.

- Oboje go kochaliśmy, Adamie. Nie pozwólmy, żeby nas poróżnił. To, co zrobiliśmy, było dla Robbiego. I dla nas samych. To był swego rodzaju egzorcyzm, mający oddalić smutek. - Uśmiechnęła się blado. - Nie bądź zły. Nikt nie musi wiedzieć, co się wydarzyło dzisiejszej nocy.

Patrzył na nią z takim skupieniem, że poczuła się zażenowana.

- Adam, proszę. To nie ma znaczenia.

- Ma znaczenie. Dla mnie. Ogromne. Wyciągnęła rękę, chcąc dotknąć jego twarzy.

- Błogosławię cię.

Cofnął się odruchowo, żeby go nie dotknęła. - Przestań.

- Adamie.

- Nie. Przykro mi, Jane. To miało dla mnie ogromne znaczenie. Nie mam zwyczaju sypiać z dziewczętami na prawo i lewo, a zwłaszcza z dziewczętami moich zmarłych przyjaciół! - Podszedł znów do kominka, starając się opanować złość.

A-dam. Gdzie jesteś?

Głos w jego głowie stał się nagle tak głośny, że nie mógł go ignorować. Zakrył dłońmi twarz. - Nie! - W krzyku tym było tyle udręki, że Jane wygramoliła się z łóżka i podbiegła do niego.

- Adam, Adam. Proszę. Co się stało?

- Nic. - Odwrócił się tyłem. - Boli mnie głowa, to wszystko. - Z wysiłkiem wziął się w garść i spojrzał jej w twarz. - Przepraszam, Janie. Myślę, że oboje powinniśmy się trochę przespać. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zejść na dół i prześpię się na sofie. Jak tylko zrobi się jasno, pożyczę motor od Sama i wrócę do miasta. O ósmej mam obchód.

Szybko, by nie próbowała go od tego odwieść, wyszedł z pokoju, zbiegł na dół po spiralnych schodkach i wszedł do zimnego salonu. Drżąc z zimna, usiadł na skraju szerokiego kamiennego parapetu, odciągnął na bok zasłony, a potem rolety od zaciemniania i popatrzył na pograżony w ciemności ogród. Gdzieś z oddali dochodziło pohukiwanie sowy, musiała polować w żywopłocie. Nie potrafił się zmusić do myślenia o Jane, czuł się zbyt winny. Tylko jedno zmartwienie drażyło jego mózg: Brid go znalazła tutaj w Pentland Hills, bo nadal miał w kieszeni płaszcz wisiołek, który zwróciła mu Liza. Stłumił nagły impuls, żeby go wyrzucić przez okno do ogrodu, bo wówczas sprowadziłby Brid tutaj, do Jane, a na to nie mógł pozwolić. Nagle poczuł przemożną chęć pomówienia z Lizą, ale nie był pewien, czy potrafi z nią w ogóle jeszcze rozmawiać.

- Będzie musiał być odwrócony twarzą do ściany, na wypadek gdyby cię naszła ochota znowu go zobaczyć! - uśmiechnęła się Liza do Adama, kiedy kilka dni później wszedł do jej pracowni i rozglądał się zakłopotany dookoła. - Nie będę ci się narzucać ze swoim dziełem, jeśli ci to sprawia taką przykrość.

Adam pokręcił głową.

- Nigdy mi to nie przeszło przez myśl. Właściwie pochlebia mi, że mnie namalowałaś. Kiedy staniesz się bardzo sławna, ten portret będzie wart miliony funtów i moja podobizna ozdobi kolekcję jakiegoś bardzo bogatego człowieka. Będą mówili: to jest ten słynny doktor Craig, który tak inspirował tę artystkę.

Roześmiała się i chwyciła go za ramię.

- Cieszę się, że zaczynamy patrzeć na to rozsądnie. Co słyhać? Zawahał się, przygnębiony.

- Słyszałaś o Robbiem? Przytaknęła.

- Przykro mi. Adam westchnął.
- Taka strata. To wszystko jest taką stratą.

Na chwilę zapadła cisza. Nagle przypomniał sobie, po co przyszedł.

- Lizo, słyszałem Brid.

Stała bardzo spokojnie, wpatrując się w niego.

- Czy to dlatego, że oddałam ci ten wisiołek? Kiwnął głową.
- Miałem go w kieszeni. Zapomniałem o nim.

- Musisz zrobić to, co ci powiedziała pani Gardiner, Adamie. Chronić się przed nią. Wyobrażaj sobie siebie otoczonego światłem. Rób znak krzyża. Noś kryształową kulę, żeby pomogła ci się chronić. Bądź silny. Nie pozwól, żeby czuła, że się jej boisz. Nie pozwól jej wnikać do twojej głowy. I pozbądź się tego wisiora.

- Już to zrobiłem.

Zawstydzony i zły na siebie, że ulega przesądowi, przed kilkoma dniami pojechał do Queensferry, Stał przez chwilę na molo, obserwując przeładunek towarów. Kolejka samochodów czekała, by załatwiwszy wszystkie formalności, wyruszyć do Forth. Wyciągnął z kieszeni srebrny amulet. Szybko zerknął dookoła, żeby się upewnić, czy nie jest obserwowany, i rzucił wisiołek najdalej jak mógł do szarej, spienionej wody. Przez chwilę zastanawiał się, czy amulet nie będzie się unosił na powierzchni, nie tonąc, czy on nie usłyszy w swej głowie okrzyku protestu, czy Brid nie zmaterializuje się w jakiś sposób obok niego, ale nic takiego się nie stało. Fale nadal pluskały spokojnie o inkrustowane zielonymi wodorostami kamienie mola, a wisiołek znikł na zawsze.

Teraz, czując przebiegający po skórze dreszcz, zerknął za siebie na drzwi, jak gdyby się spodziewał, że zaraz się otworzą i stanie w nich Brid. Liza potrząsnęła głową.

- Cieszę się, że się go pozbyłeś. Ale musisz być nadal ostrożny. Myślałam, że to zrozumiałeś. Ona ma moc przenikania do ludzkich umysłów, Adamie. Pani Gardiner wszystko to wytłumaczyła. A może nie słuchałeś? - Roześmiała się nagle i ten śmiech zaczął w niej musować, kiedy zobaczyła wyraz twarzy Adama. - O Boże, prezbiteriański chłopczyk znowu się buntuje. Adam, kochany, czy ty nie

rozumiesz? Ta dziewczyna, ta twoja Brid, jest... była... medium, wiedźmą, jeśli wolisz. Ma wielką moc. Nie potrafisz się przed nią zabezpieczyć, dopóki nie będziesz wiedział jak. Może cię napastować wszędzie, o każdej porze. - Przerwała znów, dostrzegłszy wyraz jego twarzy. - O Boże, widzę, że tak jest. - Przez chwilę w jej oczach mignął niepokój. Zagryzła wargę.

- Liza...

- Nie. To nieważne. Ważne jest, że wiesz, co robić. Wiesz, jak się przed nią ocalić. Ona była... jest... biegła w tym, co robi. Mówiłeś, że poszła do jakiegoś college'u, gdzie uczą tych rzeczy?

- Nie wiem, czego się tam uczyła. Między innymi recytowania poezji i takich tam rzeczy...

- To była magia.

- Lizo! To nonsens!

- To nie jest nonsens. Jak możesz być taki ślepy! Ruszże głową!

- Ruszam! Szkolę się na lekarza. Jestem naukowcem, Lizo, a ty mi mówisz, że ta dziewczyna studiowała magię. Potem mi powiesz, że potrafi latać.

- To czemu przyszedłeś, żeby mi powiedzieć, że słyszałeś jej głos?

- Ponieważ... - zawahał się. - Ponieważ potrzebuję twojej pomocy. Nie sądzę, że Brid umarła. Myślałem o tym. Dlaczego mamy wierzyć tej kobiecie? Ona jest ulicznym medium. Nikt nie traktuje jej poważnie.

Liza zaczerwieniła się ze złości.

- Ja traktuję ją poważnie. Wzruszył ramionami.

- Jesteś zbyt łatwowierna - ciągnął szybko dalej. - Myślę, że Brid posługuje się telepatią albo czymś w tym rodzaju.

- Telepatią? A to nie jest magia?

- Nie, nie jest.

Liza uśmiechnęła się.

- Ale lekarze nie uznają jej również, prawda? No, dobrze. Czy wiesz, jak się bronić przed telepatią?

Potrząsnął głową.

- Chcesz, żebym ci pokazała? Zawahał się.
- Nie chcę się zajmować wirującymi stolikami i tym podobnymi głupstwami,

Lizo.

Zagryzła wargi.

- Dobrze, zostawmy to. - Przerwała. - Powiedz więc, co takiego robiłeś, co pozwoliło jej tak dalece ingerować w twoją prywatność?

- Lizo...

- Bez przerwy to powtarzasz. Wiesz, że to nie ma znaczenia. Nie ma znaczenia, chociaż nie jesteśmy już ze sobą. Ale myślę, że pozostaliśmy nadal przyjaciółmi. Szkoda, że Brid nie zdaje sobie sprawy, że to nie o mnie powinna być zazdrosna. - Odwróciła się od niego i stanęła przy oknie. Robiła to często, kiedy tu bywałem - pomyślał nagle.

- Lizo, przestań. Posłuchaj. Nie muszę wracać przed drugą. Wyjdźmy i zjedźmy gdzieś lunch.

- Chyba nie, Adamie. - Zrobiła długą pauzę. - Myślę, że powinieneś wiedzieć. Widuję się z kimś innym. Z Philem Stevensonem. Dochodziło do tego tak stopniowo, że niemal nie zauważyłam z początku, że przekształca się to w coś poważniejszego. Sądziłam, że się domyślasz...

- Wyjdiesz za mnie? - Adam wciąż trzymał w ręce bukiet czerwonych róż, które przyniósł ze sobą. Spleceni ramionami, siedzieli razem na parapecie okiennym. Sam i Elsie zniknęli razem z dziećmi i bawili się z zapałem w ogrodników za narożnikiem wieży, starając się, żeby ich nie było widać.

Jane popatrzyła na niego czule. Roześmiała się.

- Adamie, nie musisz o to pytać.

- Muszę. - Popatrzył na róże tak, jak gdyby nie widział ich nigdy przedtem, i wcisnął jej kwiaty do rąk. Od razu o tym pomyślał, jak tylko się dowiedział o zaręczynach Lizy z Philipem. Zapytaj Jane. Ożeń się z Jane. Pokaż Lizie, że cię nie obchodzi.

- Masz, weź je. Mam jeszcze coś dla ciebie. - Szukał po omacku w kieszeni małego pudełeczka zawierającego pierścionek, który wybierał tak długo na George

Street. Była to maleńka gwiazdka z rubinów na wąskiej złotej obrączce. - Mam nadzieję, że pasuje.

Wpatrywała się w pierścionek, mrugając powiekami, żeby powstrzymać napływające łzy.

- Adam...

- Kocham cię, Jane. Wyjdź za mnie, proszę. Jeszcze nie mam dyplomu, ale niedługo będę miał. - Zapomniał o swoich niedawnych zapewnieniach, że małżeństwo byłoby dla niego rzeczą niemożliwą. Nagle nie, wydawało mu się to już ważne. - Wiem, że nie będę na razie dużo zarabiał, ale jestem ambitny i będę ciężko pracował. - Uśmiechnął się skromnie. - Mam nadzieję, że będzie mi się dobrze wiodło. Mogę zapewnić twojego ojca, że potrafię o ciebie zadbać. Może gdy się pobierzemy i zrobię dyplom...

- Tak...

- Będziemy mogli poszukać jakiegoś małego mieszkanca, jeśli będę pracował w Royal Infirmary...

- Powiedziałam: tak. Przerwał w pół zdania.

- Co?

- Powiedziałam: tak, Adamie. Tak. Bardzo pragnę wyjść za ciebie.

- Naprawdę? Roześmiała się, zachwycona.

- Jeszcze chwila i pomyślę, że nie mówiłeś tego poważnie.

- Och, mówię poważnie! - Pogrzebał w małym wyłożonym aksamitem pudełeczku i wyjął z niego pierścionek. Z ulgą stwierdził, że pasuje.

- Och, Janie, taki jestem zaszczycony! - Pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta.

- Nie zaszczycony. Proszę. Szczęśliwy - poprawiła go łagodnie. Stanowczo odsunęła od siebie lekki szmer wątpliwości, które pukały gdzieś w kącie jej umysłu.

To dziwne. Jak mogli jej nie zauważyć? Brid szła szybko, z opuszczoną głową, trzymając się ścian korytarzy, unikając spojrzeń ludzi. Ten szpital dziwnie pachniał. Była tu śmierć i lęk, a ponad wszystkim unosił się silny zapach, którego

nie potrafiła określić. Byli tu lekarze, uzdrowiciele. Więc Adam także musi tu gdzieś być. Ale gdzie? Korytarze są takie długie. Słysząc takie dziwne odgłosy: brzęk metalu, turkotanie małych kółek na kamiennych płytach, szelest wykrochmalonych fartuchów kobiet, które zajmują się chorymi. Były dosyć miłe. Pielęgnowały ją, a mimo to nie wydaje jej się, żeby to było takie miejsce, do którego ludzie idą, żeby się lepiej poczuć. Nie było tu żadnych ciemnych miejsc, żeby poradzić się bogów. Nie było pomieszczeń do destylacji ziół. Nie było muzyki. Nie było spokoju.

Zobaczyła dwóch zbliżających się młodych ludzi, więc przyłgnęła do ściany. Białe rozpięte fartuchy powiewały, kiedy szli, i obaj mieli jakieś dziwne tubki z metalowymi zakończeniami zawieszane na szyi. Jej doktor zdejmował tę swoją tubkę i jeden jej koniec przykładał do jej piersi, a drugi do swego ucha. Przypuszczała, że jest to jakieś godło wykonywanego zawodu. Lekarze minęli ją, nie zauważywszy jej wcale, zajęci rozmową. Jednym z nich, jak się wcześniej dowiedziała, był Andrew Thomson.

Za nią, na sali, jakiś doktor stał zakłopotany nad jej pustym łóżkiem.

- Kiedy się zorientowaliście, że ona wyszła?

- Jakies dziesięć minut temu, doktorze. Spała. Nie reagowała. Pan przecież wie, jaka ona była. - Oszołomiona pielęgniarka załamywała ręce. - Nikt nie mógł jej zmusić do posłuszeństwa. Nagle usiadła, wyglądała tak, jakby czegoś słuchała, jakby usłyszała coś dochodzącego z bardzo daleka. Poszłam po siostrę przełożoną i ona przyszła, i rozmawiała z nią. Dziewczyna słuchała. Jej twarz wyglądała niemal inteligentnie. To dziwne bezmyślne spojrzenie zniknęło. Siostra rozmawiała z nią bardzo uprzejmie i dziewczyna sprawiała wrażenie, że rozumie. Potem przyszła po siostrę przełożoną siostra Standish. Kiedy ja zajrzałam po chwili zobaczyć, co się dzieje, dziewczyny już nie było. Zabrała swój plecak, ubranie i odzież, którą dostała z instytucji charytatywnej. Wszystko zniknęło.

Doktor potrząsnął głową i wzruszył ramionami.

- No cóż. Myślę, że powinniśmy dziękować Bogu, że zwolniło się łóżko dla kogoś, kto naprawdę potrzebuje pomocy. Proszę dopilnować, siostrze, żeby zostało przygotowane. I proszę powiedzieć siostrze przełożonej, żeby do mnie przyszła, jak

będzie mogła. Chcę z nią zamienić parę słów. - Przypadek dziwnej, milczącej młodej kobiety o zielonych oczach i posepnym spojrzeniu doktor już wykreślił z pamięci. Miał wiele ważniejszych spraw na głowie.

Kiedy Brid zmęczyła się wędrowaniem po szpitalnych korytarzach, wyszła na zewnątrz, na kapryśne tego dnia słońce. Musiała odnaleźć drogę do starej Maggie, zanim zacznie się ściemniać, zdobyć trochę jedzenia, a także jakąś butelczynę, żeby się wkupić i móc znów znaleźć schronienie w tym cuchnącym pokoju. Nadal była zdezorientowana, nadal czuła się wyobcowana w tym świecie tętniącym życiem, z przepychającym się tłumem, głośnymi samochodami i tyloma ludźmi w mundurach.

Zawsze gdzieś za plecami czuła ten inny świat, ten świat, z którego przyszła i do którego wciąż wracała myślami. Istniał między nią i wszystkim innym, rozpraszał uwagę, osłabiał jej moc. Starła się odsunąć go od siebie i czasami myślała, że już jej się to udało. Na wzgórzu, na otwartej przestrzeni, pod błyszczącym mroźnym niebem oddychała głęboko kryształowo czystym powietrzem i wracało jej dawne ożywienie i entuzjazm. Wyciągała ręce ponad głowę, potrząsała włosami, aż trzaskały w nich iskry, a potem zbiegała ze wzgórza, przeskakując kępy traw, omijając odkrywki skalne. I nagle przypominała sobie Adama, jego poważne piwne, głęboko osadzone oczy, silne, opalone dłonie dotykające jej piersi, jego senny uśmiech. I znów czuła gdzieś na dnie żołądka powracające podniecenie i znów rozpierała ją niezwykła energia. A potem w jednej chwili wszystko mijało, a ona wracała w kłębiącą się mgłę i walczyła z niewidzialnymi demonami, które usiłowały ją przyciągnąć z powrotem do siebie.

_ A-dam! - Odrzuciła do tyłu głowę i krzyknęła w ciemność:

- A-dam, gdzie jesteś? Proszę. Czekaj na mnie! Kocham cię!

CZĘŚĆ DRUGA

JANE

1945 - 1960

Rozdział ósmy

W ciągu ostatniego roku Adam często się zastanawiał, czy nie zwariował. Zaproponowanie małżeństwa kobiecie, której prawie nie znał, nie było czynem zdrowego na umyśle człowieka. Ale czas nieubłaganie posuwał się naprzód. On i Jane stali się sobie bliscy i połączyła ich prawdziwa przyjaźń. Zrealizował swoje plany: przystąpił do egzaminów i zdał je, a jego praktyka w Royal Infirmary dobiega końca. Przeraziła go myśl, że państwo Smith-Newland zostaną jego teściami. Na wiadomość o zaręczynach natychmiast przyjechali z południa, ale ojciec Jane chyba Adama polubił, gdyż przez swoje znajomości znalazł mu dobrą, pewną praktykę. Adam miał być młodszym wspólnikiem w zespole składającym się z trzech osób i praktykującym w hrabstwie Hertford, z dochodem, o jakim nie śmiał marzyć. Przyszły teść znalazł też dom, który miał być gotowy, gdy młodzi będą się przeprowadzać. Adam obserwował to, co się działo wokół niego, oszołomiony, prawie nie zdając sobie sprawy, że to wszystko dotyczy jego, a do tego oznacza, że opuści Edynburg. Kiedy Jane ośmieliła się zakwestionować te plany i przypomniała Adamowi, że jej rodzice kochają Szkocję i chcieliby tu żyć do końca, wzruszył tylko ramionami i pokręcił głową.

- To miło z ich strony, że nam pomagają. Ja sam nigdy nie miałbym takich możliwości, przez wieki całe.

Nie widział zakłopotanej miny Jane i nie dodał oczywiście, że ważniejsze jest to, iż w Anglii Brid nigdy go nie znajdzie.

Latem, wbrew zdrowemu rozsądkowi, zgodził się być świadkiem na ślubie Lizy z Philem. Patrzył, jak ślubują sobie wierność, i czuł głęboki ból, w jego sytuacji wręcz niewybaczalny. Tak samo jak nagłe osamotnienie, które poczuł, odprowadzając ich, kiedy wyjeżdżali do Walii. Przy pożegnaniu Lizą pochyliła się i szepnęła mu do ucha:

- Żadnego znaku od Brid? Potrząsnął głową.

- Ani słowa.

- To dobrze. - Objęła go i przytuliła. A potem wsiadła za Philem do pociągu.

Jesienią Adam otrzymał wiadomość o śmierci matki. Nadszedł krótki, oficjalny list od ojca. Okazało się, że matka zginęła w wypadku samochodowym w Chicago. Nie było żadnej wzmianki o mężczyźnie, z którym wyjechała ze Szkocji, ani o miejscu, gdzie została pochowana. Adam długo wpatrywał się w list; odżyły po kolei wszystkie dawne uczucia: smutek i złość, poczucie straty i żal. Jane pocieszała go, a on podarł list i w końcu pojechał do Pittenross, żeby zobaczyć się z ojcem. Thomas nie wiedział o okolicznościach śmierci i o życiu Susan Craig nic więcej poza tym, co napisał w liście do syna. Jeśli czuł jakiś smutek, to skrzętnie go skrywał. Uścisnęli więc sobie dłonie i rozstali się bez słowa. Następne ich spotkanie miało nastąpić dopiero w przeddzień ślubu Adama. Adam nie wybrał się na wzgórze, żeby zobaczyć kamień. Nie spędził nocy pod dachem ojca.

Meryn Jones mieszkał w małej, kamiennej chacie, pobielonej wapnem, u stóp Black Mountains, z widokiem na dolinę Wye, tworzącą panoramę jasnych, zmieniających się kolorów. Domek znajdował się w odległości zaledwie jednej mili od Peny - Ffordd, dokąd Liza i Phil przyjechali, aby zamieszkać w jej dawnym domu rodzinnym, ponieważ matka wyjechała na stałe do swojej siostry w Kent.

Liza stała przez chwilę, wpatrując się w dom, a potem, po chwili wahania, podeszła do drzwi i zastukała. Meryn mieszkał tu, odkąd pamiętała, z pewnością od czasów jej dzieciństwa, i cieszył się opinią czarodzieja i magika. Gdy była mała, nazywała go Merlinem. Pytany o swoje sztuczki, przyznawał się jedynie do tego, że umie usuwać kurzajki i przepowiadać pogodę, co potrafi każdy farmer, a czasami może udzielić rady, kiedy są kłopoty z duchami w najbliższej okolicy. Czym się zajmował, kiedy pozostawał sam w swojej chacie, nikt nie wiedział. Gdy tylko Liza usiadła przy kominku, a Meryn uśmiechnął się do niej, zniknęło całe jej zdenerwowanie. On też usiadł wygodnie, żeby wysłuchać jej opowieści.

Polana na kominku syczały i trzaskały, i cały pokój wypełniał aromat płonących gałęzi jabłoni i dębu.

- A więc chcesz, żebym ci zrobił amulet, który chroniłby twego przyjaciela Adama przed kobietą, która go prześladowa - odezwał się Meryn. - Czujesz bowiem, że chociaż od dłuższego czasu jej nie słyszał, ona jednak nie odeszła.

Liza skinęła głową.

- On się żeni. Myślę, że może jej się to nie podobać. Meryn z powagą pokiwał głową.

- Po tym, co mi powiedziałaś, zgodziłbym się z tym.

- Możesz to dla mnie zrobić? Proszę.

- Przypuszczam, że tak. - Uśmiechnął się łagodnie. - Zostaw to już mnie, Lizo, kochanie. Zastanowię się i wymyślę coś odpowiedniego. Coś, co zapewni jemu i jego żonie ochronę przed tą dziewczyną, a jednocześnie nie przyniesie wstydu ich eleganckiemu domowi. - Teraz uśmiech Meryna stał się wyraźnie złośliwy. - I żadne z nas nie musi dodawać, że nie będzie w tym nic nadprzyrodzonego. - Ujął dłoń Lizy i przytrzymał ją przez chwilę. - Przyjdź za tydzień. Zobaczę, co będę mógł dla ciebie zrobić.

Kiedy Liza wyszła, Meryn długo siedział, wpatrując się w ogień. Zaniepokojony zmarszczył czoło, kiedy pojawiły się obrazy. Najpierw niejasne i dziwne, potem coraz wyraźniejsze. Widział dziewczynę o długich ciemnych włosach i dzikie spojrzenie jej przerażonych oczu, widział jeszcze wielki kamień na wzgórzu. Za dziewczyną, w cieniu, kryła się moc, która nadała migotliwemu płomieniowi jabłoniowych drzew kolor krwi; W kominie coś zawyło niby porywisty wiatr. Meryna przeniknął dreszcz i odsunął od siebie tę wizję. Wystarczyło mu to jednak, by zrozumieć, że Adamowi Craigowi i jego młodej żonie grozi niewyobrażalne niebezpieczeństwo. Wstał i podszedł do stołu, który stał na środku pokoju. Leżały na nim w nieładzie różne przedmioty, wśród nich mały, intensywnie błyszczący kryształ, który Meryn dostał w czasie swej podróży do stanu Nowy Jork; pojechał tam, żeby poznać zwyczaje Irokezów. Diamentowy blask kryształu cieszył oko, a jego siła ochronna była ogromna.

- Wyglądasz ślicznie, kochanie.

Patrycja Smith-Newland klęczała na różowym chińskim dywanie, unosząc w

palcach dół białej jedwabnej sukni, uszytej z materiału zakupionego na uskładane kartki odzieżowe, połączonego z białą jedwabną kapą na łóżko. Jane siedziała przed lustrem w swojej sypialni.

- Nie mogę w to uwierzyć! - Matce łzy znów zaczęły spływać po policzkach, tworząc brzydkie strumyczki w grubej warstwie różowego pudru. - Jeszcze nie jest za późno na zmianę decyzji. Tatuś to jakoś załatwi, jeśli nie chcesz tego ślubu.

- Mamusiu! - Jane obróciła się dookoła na stołeczku i obrzuciła matkę wściekłym spojrzeniem. - Przestań, proszę! Wychodzę za Adama, bo tego chcę, Kocham go. On kocha mnie. Powinnaś się bardzo cieszyć, że znalazłam kogoś tak godnego szacunku.

- Cieszę się, kochanie - Tylko że... - Pani Smith-Newland bezradnie wzruszyła ramionami, podnosząc się z trudem z klęczek. - Tylko że on jest taki szkocki!

Jane spojrzała na matkę z lekką pogardą.

- Najlepsi lekarze to Szkoci, mamusiu. I wszyscy o tym wiedzą.

- A ten jego ojciec! - Matka zrobiła wymowny gest ręką. - Thomas.

Wygląda jak upiór w operze. - Wzdrygnęła się ostentacyjnie.

Obiekt jej niechęci był gościem domu i właśnie w tym momencie poprawiał śnieżnobiały kołnierz przy sutannie. Zaraz wsiądzie do auta i pojedzie do anglikańskiego kościoła, gdzie wbrew sobie będzie asystować przy ślubie swego syna z angielską dziewczyną o blond włosach, tak, bardzo podobną do tej, która urzekła jego wiele lat temu.

- Mamusiu, pozwolisz, że przez kilka minut zostanę sama? - Jane uśmiechnęła się do matki pojednawczo, w nadziei, że ją udobrucha. - Chciałabym się uspokoić.

Patrycję coś ścisnęło w gardle.

- Oczywiście, kochanie. Poczekam na dole razem z druhnami. Jest ich sześć. Za pięć minut przyślę do ciebie tatusia, dobrze?

Mały dwunastowieczny kościółek był wypełniony po brzegi. Liczni goście

panny młodej stali po jednej stronie nawy. Znajomych pana młodego przybyło mniej, ale przyjaciele Adama postarali się przybyć jak najliczniej. Byli wśród nich Liza i Philip Stevensonowie. Andrew Thomson, družba, siedział teraz obok niego. Obaj wyglądali olśniewająco w kiltach. Była to jedyna rzecz, która, Adam to czuł, chociaż w niewielkim stopniu ułagodzi jego przyszłą teściową i zmniejszy jej niechęć do wszystkiego, co szkockie.

Wysiadając ze starego bentleya, który przez całą wojnę stał w stodole na końcu pola, Jane wzięła ojca pod ramię. Poklepał ją po ręce.

- Wszystko w porządku, kochanie? Potaknęła nerwowo. Gdyby tylko mogła była porozmawiać z nim sam na sam, gdyby poszedł z nią na długi spacer, co mu zaproponowała poprzedniego wieczora. Po prostu chciała z nim być po raz ostatni jako jego córka, zanim stanie się czyjąś żoną. Nie chodzi o to, że nie kocha Adama. Kocha go. Rozpaczliwie. A jednak się boi. Czuje się tak, jak gdyby skądś padał jakiś cień, ale skąd, nie potrafi dokładnie określić. Jakiś cień, który ją przeraża. Czy każdy, tak jak ona, ma w ostatniej chwili wątpliwości? Czy każdy potrzebuje od kogoś kilku słów, które dodałyby mu otuchy, jakiegoś znaku, że postępuje słusznie? Ale właśnie wtedy wkroczyła matka, tak jak to zawsze czyniła, i zniweczyła krótki moment czułości między ojcem i córką swym przytłaczającym despotyzmem.

- Nie bądź niemądra, Jane. Spacer to ostatnia rzecz, jakiej w tej chwili potrzebujesz. Masz przed sobą długą noc. Zachowaj siły! Bóg jeden wie, że będą ci potrzebne. Zostaw w spokoju to biedne dziecko, James.

Tak więc szansa została zaprzepaszczona. Matka obciągała na niej sukienkę i układając ją zastanawiała się poważnie, gdzie są druhny. A wtedy James odwrócił córkę ku sobie, żeby spojrzała mu prosto w oczy.

- Pamiętaj, Janie. To jest twoje życie. Bądź szczęśliwa.

Druhny się znalazły. Sześć małych dziewczynek w pianie różowości i bieli, i pączków różanych, siedziało jak pasące się gąski wzdłuż ścieżki.

- Adam jest uczciwy. To świetny młody człowiek. I myślę, że wybrałaś właściwie. Nie słuchaj nikogo, kto twierdzi inaczej. - Tak spokojnie wypowiadając swoje zdanie, wyrażał jednocześnie bunt przeciw panującym w jego domu

poglądom. Uśmiechnął się do niej z taką miłością i zrozumieniem, że poczuła łzy napływające do oczu. - Pozbierajmy te dzieciaki i naprzód marsz!

Nabożeństwo było dla Jane niby sen o szczęściu. Kiedy tak stała obok ubranego w kilt męża, wpatrując się w stare witraże, nadal jeszcze pozaklejane na krzyż szarym papierem, żeby nie wypadły przy jakiejś eksplozji, wydawało jej się, że nikt nie może być szczęśliwszy niż ona. Wszystkie wątpliwości znikły. Popatrzyła na Adama, a on, czując na sobie jej spojrzenie, uśmiechnął się i uściśnął jej rękę.

Pani Adamowa Craig. Przebierając się w pastelowy wrzosowy kostium i wkładając kapelusz w sypialni, która od dziś nie będzie już tylko jej sypialnią, Jane głośno wymówiła swoje nowe nazwisko. Doktorostwo Craig. Adam i Jane. Kiedy zapukano do drzwi, odwróciła się zdziwiona. Była to Liza.

- Chciałam ci tutaj przynieść mój prezent. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Małżeństwo nie zmieniło Lizy. Nadal nosiła długie, niesforne loki, ubierała się niekonwencjonalnie, w jaskrawe kolory. Jej sposób bycia był nadal swobodny i pełen ciepła.

Przez chwilę Jane czuła się niezręcznie, jak zawsze w obecności Lizy, i zachowywała jak naiwne młode dziewczątko, ale zaraz sobie przypomniała o nowej sytuacji. Teraz ona też jest mężatką. Panią Adamową Craig. I pomyślała w głębi duszy, że jest teraz kimś, kim Liza kiedyś pragnęła zostać. Uśmiechnęła się i posunęła jeszcze dalej: pocałowała Lizę w policzek.

- Tak się ucieszyłam, że przyszliście z Philipem. Naprawdę. Wydawało mi się, że Adam wspominał, iż Philip jest chory.

- Był. - Błysk w oczach Lizy przygasł na chwilę. - Ale już się dobrze czuje. Musiał tylko przestać pracować na uniwersytecie i trochę odpocząć. Zbyt ciężko harował. Profesorowie wiedą niezwykle stresujące życie.

Jane odwróciła się od niej i znów usiadła przed lustrem. Sięgnęła po pomadkę.

- Przyjedziesz odwiedzić nas w St Albans, prawda? Jak się już urządzimy i Adam rozpocznie praktykę. Dostaliśmy śliczny stary dom. Adam jest ogromnie

szczęśliwy, że został współnikiem. Tak bardzo chciał wyjechać z Edynburga. Nie mogłam zupełnie tego zrozumieć. - . Patrząc na odbicie Lizy w lustrze, stwierdziła, że ta nie odrywa od niej wzroku. - Kiedy skończył praktykę w szpitalu, od razu zaproponowali mu pracę, bardzo dobrą posadę. Ale nie przyjął tej propozycji. Powiedział, że chce opuścić Szkocję. - Jane podkreśliła usta cynobrową szminką i osuszyła je, zaciskając wargi na płatku kleenexu. - To zabawne, że oboje tak bardzo pragniecie wyjechać ze Szkocji. Pamiętam, jak przysięgaliście, że nigdzie się stąd nie ruszycie.

- Zbieg okoliczności. - Liza roześmiała się zażenowana. A więc Adam nie powiedział Jane o Brid. Usiadła na łóżku, a potem się położyła na błyszczącej atlasowej kapie. - Może wszyscy pozostaliśmy tutaj zbyt długo. Mnie były potrzebne nowe pomysły, Philipowi zaś całkowita zmiana miejsca. Może teraz, kiedy wojna się skończyła, będziemy mogli wyjechać za granicę. Strasznie bym chciała odwiedzić Włochy. Rodzina mojego ojca pochodzi skądś z Toskanii. Edynburg pozostanie na miejscu, będzie tu zawsze, gdybyśmy chcieli wrócić. - Zdaje się, że coś za mocno protestujesz. - Jane schowała pomadkę do torebki. Odwróciła się i popatrzyła na Lizę. - Czy jesteście szczęśliwi... ty i Phil?

Ich oczy się spotkały.

- Tak - uśmiechnęła się Liza. - Tak, jesteśmy szczęśliwi. I mam nadzieję, że ty i Adam będziecie także szczęśliwi. Nie pozwól tylko... - Przerwała.

- Nie pozwól? - Jane poczuła, jak maleńki robaczek niepokoju poruszył się w jej żołądku. Wiedziała, że Liza przyszła tutaj, żeby jej coś powiedzieć.

- Nie pozwól, żeby się stał zbyt poważny. - Śmiech Lizy był beztroski i niewymuszony. - Widziałaś już papę Thomasa Craiga? Nie wolno igrać z gniewem szkockiego Boga.

Jane uśmiechnęła się. Wstała i sprawdziła szwy swoich nylonów.

- Adam jest zupełnie niepodobny do ojca.

- Nie! - Liza usiadła raptownie. Spuściła nogi na podłogę i zmarszczyła czoło. - Nigdy tam nie wracaj, Jane. Mówię poważnie. Nie wracaj do Edynburga. Nie pytaj mnie, dlaczego.

- To wszystko, co mówisz, nie ma najmniejszego sensu. - Jane na pół odwróciła się do drzwi, słysząc wołanie z dołu.

- Janie! Zejdź, proszę. Goście czekają, żeby się z tobą pożegnać! - To był głos ojca.

- Lizo?

Liza wzruszyła ramionami.

- To tylko przeczucie. Intuicja. Złóż to na karb mojego przesadnego walijskiego wychowania. Po prostu myślę, że nie przyniosłoby ci to szczęścia, gdybyś pozostała tutaj. - Wyciągnęła do niej rękę z malutką paczuszką owiniętą w białą bibułę. - To dla was. Żeby wam obojgu przyniosło szczęście.

Jane wzięła paczuszkę i obracała ją w dłoniach. Była zaskakująco ciężka.

- Czy mam czekać z jej rozpakowaniem na Adama?

- Jak chcesz. Dopóki będziesz to miała przy sobie... - Liza była o pół głowy wyższa od Jane. Nagle wyciągnęła ramię i przyciągnęła Jane do siebie. - Proszę, bądźcie szczęśliwi - szepnęła. - Oboje.

Jane przypomniała sobie o paczuszce dopiero wieczorem, w sypialni hotelu w New Forest. Wyjęła ją z torebki i pomachała do Adama. - Spójrz, co Liza mi dała. Tuż przed wyjazdem przyszła do mnie pogadać.

- Dlaczego jej nie otworzyłaś? - Adam uśmiechnął się do niej. Śliczna jest ta jego nowa żona. Uwielbiał ją i najbardziej pragnął znaleźć się z nią teraz w łóżku, ale w tej chwili Jane sprawiała wrażenie zupełnie wykończonej. Rozstanie z matką było wyczerpujące i Adam stracił swój prawie już legendarny spokój, kiedy ciągnął Jane do auta, przy którym obowiązkowo przywiązany był do zderzaka stary but, a Patrycję pozostawił szlochającą w ramionach męża w otoczeniu zakłopotanych weselnych gości i przemęczonych druhenek.

- Szampana? - zapytał spokojnie. James zapakował dwie starannie przechowywane butelki do bagażnika obok starych skórzanych walizek.

Skinęła głową i zaczęła rozplątywać wstążkę, którą obwiązana była paczuszka, podczas gdy Adam otworzył butelkę i napełnił dwa kieliszki stojące na komodzie koło okna. Na zewnątrz las tonął w ciemności. Na ruszcie kominka ktoś

rozpalił ogień, płonęły polana jabłoni i w pokoju było ciepło i przytulnie.

Adam trącił się z żoną kieliszkiem.

- Za nas oboje, kochanie.

- Za nas - uśmiechnęła się. Upiła łyżeczek i odstawiła kieliszek, wracając do rozwiązywania wstążeczki. Przyglądał jej się czule przez chwilę, jak się mocuje z zaciśniętym węzłem, a potem odwrócił się i stanął przy oknie, wpatrując się w ciemność.

- Czy to nie cudowne, że nie trzeba się już martwić o zaciemnianie okien?

Spójrz na te potoki światła pośród drzew. Wydaje się to niemal rozrzutne, prawda? - Nie usłyszał odpowiedzi, więc się odwrócił. - No, co...

- Nie jestem pewna. - Jane przyglądała się uważnie czemuś, co trzymała w ręku. - Jest ciężkie i śliczne... To jakaś ozdoba.

Odstawił kieliszek i podszedł do niej.

- Tu jest jakaś kartka. „Od upiorów i duchów... Dzięki temu będziecie oboje bezpieczni. Zatrzymajcie to na zawsze. Kocham was i błogosławię. Liza”.

Adam spoważniał. Wyciągnął rękę. Jane położyła mu na dłoni mały, błyszczący kryształ górski, oprawiony w coś, co wyglądało jak gałązkie srebrnego drzewa.

- Postaw to na nocnym stoliku. Spójrz, to jest urocze. Klasnęła w ręce jak mała dziewczynka. Adama przeniknął dreszcz.

Wiedział dokładnie, co to jest. *Będziecie musieli się chronić. Użyjcie talizmanu przeciwko cygańskiej magii. Przeciwstawcie jej mocy swoją moc.*

Przypłynął do niego głos pani Gardiner. Przypomniawszy sobie tamto popołudnie w Morningside, kiedy wraz z Lizą siedział naprzeciw kobiecie wpatrującej się w kryształową kulę. Liza myślała, że on nie słucha, ale on słuchał.

Użyj kryształów górskich. Od dawna są uważane przez Szkotów za szczęśliwe amulety. Użyj starożytnych mocy jarzębiny. Walcz z tą dziewczyną. Pokaż jej, że dręczenie ciebie nie ma sensu. Biedactwo. Ona nie pochodzi z tego świata co ty. Musisz jej pokazać, że potrafisz się od niej uwolnić.

Kryształ błyszczał w świetle nocnej lampki. Do srebrnych gałązek tuliły się

małeńkie listki jarzębiny, gdzieś tam czerwieniło się gronko drobniutkich błyszczących jagódek.

- Ona musiała to zamówić specjalnie. - Adam potrząsnął głową. - Przypuszczam, że zrobił to któryś z ich zaprzyjaźnionych artystów plastyków, wykonujących srebrną biżuterię, ale nawet jeśli tak jest, musiało to drogo kosztować.

Miał ściśnięte gardło. Pomyślał, że Liza kazała tak kunsztownie oprawić kryształ, żeby się spodobał Jane. W przeciwnym razie nie chciałyby go trzymać w domu. To były zabobonne bzdury. Idiotyczne nonsensy. Tak jak ten wisiołek.

Postawił talizman na stole, podszedł do okna i zaciągnął zasłony. Drżał. Brid była ostatnią osobą, o której chciał myśleć w swoją noc poślubną.

Jane postawiła prezent od Lizy na obramowaniu kominka w salonie ich nowego domu w St Albans. Był śliczny, ale wydawał się jakoś nie na miejscu między surowym pozłacanym zegarem, który jej wuj Frederick podarował im w prezencie ślubnym, i statuetką, przedstawiającą trójkę białych galopujących koni, którą zabrała ze swojej sypialni. Na półce wiszącej na ścianie stało trochę jej książek. Jane zawsze dużo czytała i w ciągu pierwszych miesięcy w St Albans jedynie książki ocaliły ją przed zanudzeniem się na śmierć.

Nie bardzo sobie wyobrażała życie żony lekarza, ale z pewnością nie jako niekończącą się nudę i samotność. Praktyka lekarska zajmowała Adamowi wiele czasu. Miał sekretarkę i pomagała mu jeszcze Sara Harding, żona starszego wspólnika. Ubierała się w nieskazitelnie skrojone spódnice i kaszmirowe bliźniaki albo szyte na miarę jedwabne bluzki i nosiła dyskretną biżuterię. Jednym słowem, była ulepiona z tej samej gliny co Patrycja Smith-Newland. Ona także ciężko pracowała i gorliwie strzegła swego męża. Dawno już zrozumiała, czym może grozić to, że mąż strzela oczami na boki, i zdecydowanie usuwała każde, realne lub potencjalne, zagrożenie dla swego małżeństwa. Mogła uczynić życie Jane cudownym lub nieszczęśliwym. Wybrała tę drugą możliwość. Nie prosiła jej nigdy o pomoc, nie zrobiła nic, żeby Jane poznała nowych ludzi, nie zaprosiła do współpracy w organizacjach kobiecych, związku matek czy innych stowarzyszeniach.

Zniechęcała ją do każdej pracy społecznej.

- Może jak poznasz nas troszeczkę lepiej, kochanie.

Kiedy Jane nieśmiało zapytała Adama, co ma w tej sytuacji zrobić, wzruszył tylko ramionami i odparł, że powinna być zadowolona, bo dzięki temu będzie mogła zajmować się swoimi własnymi sprawami. Nie miał pojęcia, co się naprawdę dzieje.

Podczas jednego ze spotkań dotyczących pracy Robert Harding przeprowadził z nim spokojną rozmowę.

- Oczywiście, stary, dopiero kiedy będzie gotowa. Ale byłoby miło, gdyby Jane czasem do nas dołączyła. Bo wygląda troszeczkę tak, jakby trzymała się od nas z daleka.

- Ja chcę pracować, Adamie! Nienawidzę spędzać całych dni sama w domu.

- Wstrząsnęła nim jej udręka, kiedy poruszył ten temat. - Sara bez przerwy powtarza, że nie jestem potrzebna.

- Jej chodzi tylko o to, żebyś nie czuła się onieśmielona.

- Och, nie, Adamie, nie sądzę - zawołała Jane z taką nietypową dla niej gwałtownością, że cofnął się zaskoczony. - Ta kobieta mnie nienawidzi. Nie mam pojęcia, co takiego zrobiłam, że darzy mnie taką antypatią, ale tak jest. Ona nie chce, żebym cokolwiek robiła.

Żadne z nich nie wiedziało, że po wstępnym spotkaniu z Adamem i Jane, Robert Harding, opowiadając Sarze o nowym wspólniku i jego żonie, powiedział:

- Cóż za niezwykle miła młoda kobieta. I do tego śliczna. Powinna wnieść trochę życia do tej miejsciny. Nauczy was, starsze kobiety, cieszyć się swoimi pieniędzmi, co? - Nie zauważył wyrazu twarzy żony, nie spostrzegł, jak ją rozzłościł i zranił, nie widział też, jak surowo zaciska szczęki.

Odkrycie, że jest w ciąży, wprowadziło Jane w oszalamiający zachwyt.

Podejrzewała to od pewnego czasu, ale kiedy wspomniała o tym Adamowi, a on to potwierdził, nie mogła opanować radości. Pierwszą osobą, której musiała to powiedzieć, była jej matka.

Odpowiedź Patrycji była łatwa do przewidzenia. Dawała córce do zrozumienia, że nie potrafi pod żadnym względem dać sobie rady z ciążą i z

dzieckiem, jeżeli nie będzie miała przy sobie matki. Natomiast ojciec, który usłyszał koniec tej rozmowy, wyrwał żonie słuchawkę, wołając radośnie:

- Hura! Janie! Znakomicie! Tak się cieszę, kochanie. Cudownie. Kiedy?

W kilku krótkich słowach przywrócił córce otuchę, szczęście i cały jej optymizm. A w tej całej radości, którą z dumą piastowała, była jeszcze jedna drobna, radosna myśl: państwo Hardingowie byli bezdzietni.

Calum James Craig urodził się we wrześniu 1946 roku. Miał włosy w kolorze miodu, tak jak jego mama, błyszczące niebieskie oczy i masę wdzięku. Adam był nieprzytomny ze szczęścia.

- On ma twoje rysy, chłopcze. - James Smith-Newland zaglądał do drewnianego łóżeczka i dawał dziecku mały palec do potrzymania. Jego żonie wyperswadowane właśnie udzielanie całkiem zbędnych rad i zaproponowano, by zeszła na dół i dopilnowała pracy w kuchni. Jane była śpiąca, zmęczona odwiedzinami przyjaciół, którzy przyszlizłożyć im życzenia. Tylko Sara Harding okazała się wyjątkiem. Nie przyszła.

Adam uśmiechnął się, z uwielbieniem patrząc na śpiącą żonę, po czym dołączył do teścia stojącego przy łóżeczku syna.

- Mam nadzieję, że będzie podobny do Janie.

- Jest podobny. Ma takie same rumieńce jak ona.

Adam dosyć się postarzał przez te pięć miesięcy, jakie upłynęły od czasu, gdy James widział go po raz ostatni. Przybrał też trochę na wadze, ale to dobrze, korzystnie z tym wyglądał, dodawało mu to powagi, tak pożytecznej w przypadku młodego lekarza. Był popularny wśród pacjentów, tak w każdym razie twierdziła Jane, i żyło im się, jeśli nie komfortowo, to przynajmniej całkiem dostatnio.

- Co tam szepczecie na mój temat? - Jane otworzyła oczy i spoglądała na nich sennym wzrokiem.

Adam z uśmiechem podszedł do niej i pocałował ją w czoło.

- Co ci przychodzi do głowy, kochanie?

- Bo z was jest para starych plotkarzy.

- Jesteśmy zaślepionymi ojcem i dziadkiem. - James podszedł do jej łóżka i

usiadł na skraju. - Zazdrościsz nam tego, młoda damo? Na dole czeka na ciebie jeszcze jeden gość. Twoja przyjaciółka Liza z Walii. Czy mam ją przysłać tu na górę? My z Adamem pójdziemy poszukać odrobiny sherry, żeby uspokoić twoją matkę.

- Liza? - Jane zerknęła na Adama. - Wiedziałeś, że ma przyjechać? Adam wzruszył ramionami.

- Powiedziała, że być może wpadnie po drodze do Londynu. Nie masz chyba nic przeciwko temu? Powinienem był ci powiedzieć.

- Owszem, powinienes. - Jane na chwilę zmarszczyła z niezadowoleniem czoło, ale zaraz się odprężyła. Nie potrzebuje już być zazdrosna o Lizę. Kiwnęła głową i uśmiechnęła się pogodnie. - Cieszę się, że tu jest.

- Dobrze. Powiem jej, żeby przyszła zobaczyć naszego syna i wnuka. - James wstał. Poklepał córkę po ramieniu. - Nie pozwól, żeby cię zadreczyła na śmierć, kochanie.

Liza wyjęła Caluma z łóżeczka, żeby go móc przytulić.

- On jest wspaniały! Wspaniały! Och, Jane, przysięgałam, że nie chcę mieć dzieci, ale chyba zmienię zdanie. - Pocałowała małego w policzek i przytuliła go mocniej, po czym pochyliła się i podała go Jane.

- No, weź go. Jak możesz go zostawiać samego w łóżeczku? On potrzebuje swojej mamusi.

Jane objęła synka.

- Moja matka powiedziała, że powinien się przyzwyczajać radzić sobie sam, że mam go karmić co cztery godziny i między karmieniami nie wyjmować z łóżeczka.

Liza wlepiała w nią wzrok.

- A co się stanie, jak będzie głodny? Jest taki maleńki! Och, Janie. Nie możesz tego robić - Nie zwracaj uwagi na to, co mówi matka. Jestem pewna, że Adam przyzna mi rację.

Jane przytuliła twarz synka do swego ramienia, a on zakwilił, szukając jej piersi.

- Chyba jeszcze nie pora. - Była spięta, niepewna.

- Nigdy, w całym moim życiu, nie słyszałam takich bzdur. - Liza zeskoczyła z łóżka, pobiegła do drzwi i przekręciła klucz w zamku. - Powinnaś odesłać swoją matkę do domu!

- Jesteś taka dobra dla Jane.

Adam spacerował z Lizą. Doszli do końca ogrodzonego murem długiego ogrodu za domem. Powietrze było łagodne, nagrzane jesiennym słońcem. - Ona zatraciła własną wolę. Matka zniszczyła w niej zdolność wyrażania jakiegokolwiek sprzeciwu. Myślę, że Sara też odgrywa tu dużą rolę. Zanadto przypomina Patrycję i Jane zamiast bronić swego zdania, spogląda z obawą, czy Sara na nią nie patrzy. Teraz już wiem, dlaczego Jane przyjechała studiować do Edynburga.

- Chciała być jak najdalej od domu.

- Musiała się zdobyć na nie lada odwagę, żeby powiedzieć rodzicom o swym zamiarze wyjazdu na studia na tamtejszym uniwersytecie.

- James był po jej stronie. To prawdziwa opoka, na nim zawsze mogła polegać.

Liza się uśmiechnęła.

- No, a jak się dobremu lekarzowi podoba praca w pobliżu Londynu?

Adam się zawahał.

- Mówiąc uczciwie, nie jestem pewien, czy tu pasuję. Tęsknię za górami. Tęsknię za wsią. Ten ogród to jedyny dar matki natury, jaki oglądam od wielu dni. Czasami wyjeżdżam z wizytą do pacjenta na wieś, ale przeważnie pracuję w mieście. Robert i John, nasz trzeci wspólnik, zatrzymują dobrze sytuowanych pacjentów dla siebie. Mnie przyjęli, żebym się zajmował mniej lukratywną częścią praktyki.

- To świństwo!

- Musiałem gdzieś zacząć. Nie zapominaj, że to James pomógł mi zdobyć tę praktykę. Nie załatwiłbym tego sam. Gdybym mógł decydować, osiedliłbym się w odległości miliona mil od Patrycji. St Albans leży przynajmniej kawałek drogi od niej. Jak wiesz, Jane chciała pozostać w Edynburgu. Zanim jej matka zaczęła

organizować nam życie! - Zatrzymał się z rękami w kieszeniach, zapatrzony w jasnoróżową różę. - Wiesz dobrze, dlaczego nie mogłem tam pozostać. Bo ona tam była. Nawet jeżeli jej nie widziałem ani nie słyszałem, ona tam była.

Żadne z nich nie potrzebowało wyjaśniać, kim jest „ona”.

- Tak się bałem, że dopadnie Jane. Była zazdrosna o to, że odwiedzam ciebie. Wyobrażasz sobie, co by zrobiła, gdyby się dowiedziała, że mam zamiar się ożenić?

- Ale nie wspomniałeś o niej Jane? Potrząsnął głową.

- Po co ją niepokoić?

- Nie widziałeś nigdy Brid od czasu, gdy przyjechałeś do Anglii?

- Nie. Może zadziałał twój magiczny talizman? - Wiedział, że Liza go zauważyła. Patrycja także. - Dlaczego nie wyrzucisz tego paskudztwa? - spojrzała z obrzydzeniem na kryształ górski. - Zupełnie nie pasuje do tego pokoju. Jane, kochanie, wiem, że dostałaś to od swej przyjaciółki plastyczki, ale doprawdy...

- Jesteś bezpieczna, Lizo? - Adam zerwał różę i podał ją towarzysze. - Zastanawiałem się nawet w pewnym momencie, czy ona mogła pojechać za tobą do Walii.

Potrząsnęła głową.

- Jestem pewna, że moja osoba już dawno przestała ją interesować. W końcu wyszłam za męża za kogoś innego. Prawie cię nie widuję. Jakiż mogłaby mieć powód, żeby mnie nadal nienawidzić?

Oboje w milczeniu przyglądali się płatkom róży, którą Liza trzymała w ręku.

- Żadnego - powiedział Adam po chwili.

Brid kilka razy widziała Adama, jak wpatrywał się w jezioro na wzgórzu. Wyglądał na starszego, wyższego, solidniejszego. I była z nim jakaś kobieta. Nie Liza. Inna kobieta, delikatna, śliczna, o włosach w kolorze miodu i niebieskich oczach. Kobieta, która nie była dla niego odpowiednia. Kiedy widziała ją ostatnim razem, miała duży brzusek. Była bliska rozwiązania. To było dziecko A-dama. Weszła po schodach do pracowni, ale zastała kłódkę na drzwiach. Mieszkanie było puste. A więc ta kobieta, ta Liza, także wyjechała. Brid stała, patrząc na wąskie

schody. W szczelinie jednego ze starych stopni leżał szylkretowy grzebień. Niektóre zęby były wyłamane, ale dostrzegła między nimi kilka długich rudych włosów. Podniosła grzebień i uśmiechnęła się. Ta kobieta, Liza, nosiła go we włosach. Brid owinęła starannie grzebień szalem i schowała do torby.

W dzień świętego Jana Brid wróciła na Grassmarket, gdzie wraz z Maggie znalazły mieszkanie. Zastała starą leżącą bez przytomności na podłodze. Patrzyła na nią przez chwilę wstrząśnięta i zła, że Maggie nie ma przy niej, kiedy ona tak jej potrzebuje. I nagle przypomniała sobie, że posiada moc uzdrawiania. Trzeba koniecznie przywrócić Maggie zdrowie, i ona, Brid, zrobi wszystko, co w jej mocy. Obojętnie, ale troskliwie pielęgnowała starą przez cztery dni, dopóki nie znalazła wetkniętej w jej brudne łachy kartki z adresem córki, o której często rozmawiały, ale której Brid nigdy nie widziała. Ona mogła pomóc matce wrócić do zdrowia. Brid postanowiła wybrać się na poszukiwanie owej córki.

Catriona już dawno miała dość Maggie i jej alkoholizmu, ale westchnąwszy głęboko, dała jednak Brid pieniądze, żeby kupiła mleko, chleb i żarówki.

To Brid postarała się o ciepłe koce, czuwała jak jastrząb, i stara kobieta stawała się coraz silniejsza, silniejsza, niż była przez wiele lat. Brid poszła jeszcze raz do Catriony, tym razem po odzież, i dostała trochę dla siebie i trochę dla Maggie. Przyniosła też kilka książek i płyt do starego gramofonu, znalezione przez Maggie w jakimś pustym pokoju wysokiego domu, w którym mieszkały. Stara godzinami przesiadywała w fotelu, bujając się w przód i w tył i słuchając ze łzami wzruszenia nokturnów Szopena. Błagała Brid o pieniądze na butelczynę. Ale Brid była nieugięta. Kiedy pewnego wieczora, powróciwszy z wyprawy na wzgórze po zioła, zastała Maggie martwą, nie mogła uwierzyć własnym oczom. Dotknęła jej twarzy, wzięła za rękę, próbując nakłonić biednego utrudzonego ducha, by powrócił do tego zimnego, zniszczonego ciała. Wreszcie usiadła i rozplakała się.

Kiedy dwa dni po pogrzebie Catriona wróciła do domu po dniu spędzonym w banku, gdzie pracowała, znalazła Brid leżącą na progu swoich drzwi w jakimś transie, z którego nie mogła jej dobudzić. Wezwała swojego lekarza i w ciągu kilku godzin Brid została przyjęta do Craighouse w Morningside.

Na owych peryferiach świata, do którego się wycofała, Brid przemykała w ukryciu, świadoma, że Broichan, trawiony złością, krąży ukradkiem wokół kamienia. Jego siła wzrosła. Brid czuła wyciągające się macki jego energii: dotykały jej duszy, ciągnęły, więc uciekała z powrotem w ciemność. Teraz pojawiła się jeszcze jedna postać, której nie rozpoznawała, kusząca, badająca; postać, która stanowiła wyzwanie dla Broichana. Brid czuła, że ta postać szuka czegoś w jej głowie, wnika do niej. Zalękniona opuszczała zasłonę na swoje myśli i wycofywała się w ciszę.

Widziała swoje ciało leżące w szpitalu w małym pokoiku, wsparte na poduszkach. Sprawiało wrażenie, że uszło zeń życie. Od czasu do czasu wchodziła pielęgniarka i robiła przy niej różne rzeczy, poza nią nikt nie przychodził, więc Brid czuła się dość osamotniona. Catriona odwiedzała ją raz w tygodniu, ale Brid wiedziała, że telefonuje codziennie, żeby się dowiedzieć o jej zdrowie. A ona czuła się znowu zagubiona między dwoma światami, siły życiowe uszły z niej przez szok spowodowany odejściem Maggie.

Córeczka Lizy urodziła się trzydziestego pierwszego października 1947 roku. W wigilię Wszystkich Świętych. Adam i Jane przyjechali do Hayon - Wye na chrzciny, które odbyły się w kościele St Mary. Trzymali malutką do chrztu, podczas gdy Calum spał sobie spokojnie w wózekczku.

Peny - Efordd, stary dom mieszkalny przy farmie położonej wysoko w Black Mountains, dokąd wszyscy się potem udali, żeby uczcić ceremonię, miał grube kamienne ściany i małe kwadratowe okienka, przez które wpadała do wnętrza zdumiewająca ilość światła, odkąd ściany pokoiów zostały pomalowane na białe. Za domem stały dwie duże stare stodoły, w których Liza i Philip mieli swoje pracownie; każde pracowało oddzielnie, u siebie. Porzuciwszy nauczanie, Philip powrócił do tego, co zawsze było jego pierwszą miłością: do malowania pejzaży, w czym odnosił ogromne sukcesy; portrety malowane przez Lizę były teraz naturalnej wielkości albo jeszcze większe, ceny zaś, jakie za nie uzyskiwała, odpowiadały, jak twierdził jej mąż, rozmiarom tych prac.

- Nie musimy mieszkać tutaj - wyznał Jane. - Moglibyśmy się przenieść

do większego domu. Ale tak bardzo kochamy te góry. Poza tym Liza czuje się tutaj bezpieczna. Brid nigdy jej tu nie znajdzie, nawet gdyby chciała ją odszukać.

- Brid? - Jane odwróciła się od wózek Caluma i spojrzała na niego. -

Kto to jest Brid?

Philip otworzył usta ze zdziwienia.

- Nie wiesz?

Jane pokręciła przecząco głową.

- A powinnam?

- Lepiej spytaj o to Lizę.

Zapytała. Parę minut później, w kuchni. Trzymając na ręku Caluma.

Liza odwróciła się od zlewu, przy którym myła kubeczki, i patrzyła na Jane przez chwilę, po czym wzruszyła ramionami. Sięgnęła po ścierkę.

- Nie mogę uwierzyć, że Adam ci nie powiedział - zdziwiła się. Jane słuchała w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w twarzy Lizy.

Kiedy ta skończyła opowiadać, pokręciła głową.

- Nie - powiedziała stanowczo. - Nie spodziewasz się chyba, że uwierzę w to wszystko. Och, nie, Lizo. To przesada. Zmyślasz to wszystko. Po co? Dlaczego chcesz mnie przestraszyć tego rodzaju historyjką? Czy dlatego, że Adam i ja...? Tak? Czyżbyś była zazdrosna albo coś w tym rodzaju? - Przytuliła dziecko mocniej do siebie.

- Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj Adama - powiedziała Liza, zaciskając usta. Odwróciła się raptownie do Jane. - Nie, Jane, nie jestem zazdrosna. Ani trochę. Mam tutaj wszystko, czego pragnę.

Na chwilę zapadła niezręczna cisza, po czym Jane wyciągnęła rękę i dotknęła Lizy.

- Przepraszam, nie mówiłam tego poważnie. Wiem, że nie jesteś zazdrosna.

- To dobrze. - Liza wróciła do zlewu, odkręciła kurki na cały regulator i obserwowała rozbryzgującą się wodę. - Jeśli chodzi o Brid, możesz mi nie wierzyć, jeśli nie chcesz. Mam tylko nadzieję, że odkrycie prawdy o niej nie będzie dla ciebie zbyt bolesne.

Catriona przypatrywała się bacznie twarzy Brid. Dostrzegła w niej jakąś zmianę. Na chwilę skupiła wzrok na jej oczach: tak, była tego pewna. Dziwna obojętność, malująca się we wzroku dziewczyny od wielu tygodni, ustąpiła. Doktor Freemantle, psychiatra, odwiedzał Brid kilka razy. Pamiętał ją z czasu jej poprzedniego pobytu w szpitalu i był zafascynowany relacją Catriony, która uważała, że Brid jest pełną życia, inteligentną młodą kobietą.

- To musi być rozstrój nerwowy. Może dał znać o sobie jakiś uraz z dzieciństwa. Ten stan może być efektem przeżytego szoku.

Siły żywotne powracały do Brid falami, maleńkimi strumyczkami zaczynały płynąć przez jej żyły, ścieżkami światła przenikały mgłę, która oddzielała ją od otoczenia, kiedy udawało jej się skupić uwagę na własnym ciele.

Catriona przywiozła ją do domu po dwóch tygodniach od chwili, gdy po raz pierwszy dostrzegła jakiś przeblysk życia w jej oczach. Brid zrozumiała, że może pozostać w mieszkaniu na Royal Circus, dopóki całkiem nie wyzdrowieje.

Liza malowała w swojej stodole. Stojąc przed sztalugami, przyglądała się portretowi Aneurin Bevan, nad którym pracowała dla galerii w Cardiff. Była ogromnie dumna z tego zlecenia, gdyż zdawała sobie sprawę, że rozsławi ją ono jako portrecistkę. Mimo opieki nad dzieckiem, które miało już prawie roczek, udawało jej się spędzać codziennie przy sztalugach po kilka godzin i praca systematycznie posuwała się naprzód.

Kiedy malowała przez długi czas, często czuła się wyczerpana, bo jej myśli bez reszty absorbował obraz. Teraz też cofnęła się kilka kroków od obrazu, pozwalając odpocząć ręce. Nagle jakiś ruch przy drzwiach przyciągnął jej uwagę, więc się odwróciła.

- Phil? Czy to ty?

To było tylko złudzenie, nic więcej, ale owa smukła sylwetka, długie, ciemne włosy, owa dziwna obecność była łatwa do rozpoznania. Lizie serce zaczęło walić głucho w piersiach, pobiegła do drzwi, otworzyła je gwałtownym ruchem i wyjrzała. Ścieżka prowadząca przez sad do drzwi była pusta. Ani żywej duszy. Na porośniętej mchem gałęzi starej jabłoni, rosnącej w pobliżu, siedział drozd i śpiewał. Nic nie za-

kłócało jego treli. Przecież gdyby ktoś przechodził blisko niego, na pewno by odleciał.

Liza nie wspomniała Philipowi o tym incydencie i po chwili sama o nim zapomniała. Do następnego razu. Bawiła się właśnie z Juliettą na łóżku w podłużnej, niskiej sypialni na poddaszu, którą dzieliła z Philipem. Na dworze lało jak z cebra. Kiedy skończyła karmić małą, przyniosła ją na górę, żeby ją przebrać. Pozostała chwilę, śpiewając córeczce kołysanki. Ociągała się z położeniem dziecka do łóżeczka w malutkiej sypialni. W pokoju było ciepło i wesoło, jak zawsze. Na łóżku leżała ta sama jedwabna narzuta, której Liza używała kiedyś w swojej pracowni w Dean Village. Nagle przestała śpiewać i zaczęła się uważnie przysłuchiwać; czuła koło siebie czyjąś obecność. Po karku przebiegł jej nagły chłód. Julietta przestała na nią patrzeć bacznie tymi swoimi kochającymi, ciemnoniebieskimi oczami. Zwróciła spojrzenie na coś, co znajdowało się tuż za matką. Liza poczuła suchość w ustach. Wstrzymała oddech, a potem wolno się odwróciła.

Nie było tam nic.

Porwała dziecko w ramiona i przytuliła do siebie. Serce biło jej tak mocno, że była pewna, iż Julietta to czuje. Wypadła z pokoju na podest, a potem zbiegła po schodach na dół. Kiedy znalazła się w kuchni, zaczęła się śmiać. Jakaż ona głupia! Nie ma szansy, żeby Brid ją znalazła. Dopiero po jakimś czasie spostrzegła, że szylkretowy grzebień leży na dywanie koło toaletki, chociaż pamiętała, że odłożyła go na miejsce. Jeszcze tego samego dnia wybrała się na wzgórze, żeby odwiedzić Merlina. Jego dom był pusty, a drzwi zamknięte. Skrzywiła się, niezadowolona, i wróciła do domu.

Noc była ciemna. Czuł wiatr wiejący między drzewami. U jego stóp woda płynęła po skałach i wsiąkała w opadłe martwe liście i zielone chwasty. Ona tam była. Czekala. Adam zatrzymał się z sercem w gardle i spojrzał w dół. Wiedział, że będzie musiał zejść z góry. Tam gdzieś leżał wisiołek, ukryty w skalnej szczelinie, strzeżony przez tę wiedźmę z małym, ostrym nożem. Czuł, jak palce ześlizgują mu się z mokrej skały, czuł dziwny elektryzujący zapach wody, która płynęła wokół niego. Nie miał dokąd uciec. Coś go nieubłaganie ciągnęło w kierunku wiru w tej

wodzie. Czuł, że tonie, że dosięgły go już i zaciskają się na jego ciele zimne palce kobiety, która tu na niego czekała.

- Brid! Nie!

Krzyknął tak głośno, że się obudził, i leżał wpatrując się w sufit. Drżał, pościel była wilgotna od potu.

Obok niego leżała Jane z oczami mocno zaciśniętymi. Była przerażona. To już po raz trzeci w ciągu ostatnich trzech tygodni budził ją, wykrzykując imię Brid. Brid, jak jej tłumaczył, kiedy go spytała przed miesiącami, po chrzcinach, to dawna przyjaciółka, która stała się dręczącym go nocami koszmarem.

Adam nie był pewien, kiedy zaczął się tak bać. Stało się to po chrzcinach Julietty. Zupełnie jakby wspomnianie Brid wyczarowywało ją znowu w jakiś cudowny sposób. Gdy wracał kiedyś do domu, owładnęło nim nagle dziwne przeczucie, że Brid tam jest, że na niego czeka. Ogarnęło go przerażenie. Zatrzymał się na chwilę, całkowicie sparaliżowany, niezdolny oddychać, poruszać się, czuł, że spod sztywnego kołnierzyka zaczyna mu spływać pot. Potem otrzeźwiał. Paraliżujące uczucie minęło równie szybko, jak nadeszło. Wszedł do salonu, z westchnieniem ulgi rzucił klucze na stół. Dopiero wtedy odważył się podejść do kryształu i dotknąć na sekundę czubkiem palca zimnej, błyszczącej powierzchni. Tego samego dnia przeniósł kryształ do sypialni i opowiedział Jane całą historię.

Liza posadziła swego gościa przy stole i postawiła przed nią dużą filiżankę kawy z mlekiem, podczas gdy Calum, nie zdając sobie sprawy, że dotarł na miejsce przeznaczenia i został wyniesiony z samochodu, spał sobie nadal spokojnie. Jane rozejrzała się po kuchni. Bielone wapnem ściany i niski belkowany sufit z ciężkimi, żeliwnymi rondlami wiszącymi na hakach wzdłuż belek od czasu, gdy była tu ostatnim razem, zostały niemal całkowicie zakryte wieloma obrazami i kolażami oraz gustownymi, ręcznie malowanymi ceramicznymi garnkami ustawionymi na półkach. Na ogromnym, wyszorowanym stole w kremowym dzbanku bez ucha, z porcelany Worcester, stało kilka wczesnych żonkili, zerwanych tego ranka w sadzie; ich ciasno stulone jeszcze pączki dopiero zaczynały się rozwijać.

- Dlaczegoż to Adam nie przyjechał z wami? Jane się uśmiechnęła.

- Pracuje, oczywiście. Zdaje się, że ci jego współpracownicy nigdy nie pozwolą mu odpocząć od praktyki lekarskiej. Nie wiem, czy kiedykolwiek dostanie urlop.

- A więc musisz nalegać. - Liza zerknęła na nią. - Czy wszystko się między wami dobrze układa, Janie? - Nastąpiła niezręczna pauza. Nie widziały się blisko rok, kiedy to niemal się pokłóciły na temat Brid. Tyle się od tego czasu wydarzyło. - Tak mi było przykro, kiedy usłyszałam o dziecku,

Przed trzema miesiącami ku swej ogromnej rozpaczy Jane straciła dziecko w czwartym miesiącu ciąży. Kiedy Adam zadzwonił do Lizy, żeby jej o tym powiedzieć, był tak załamany, że wybuchnął płaczem.

Jane pokiwała głową, nie podnosząc wzroku.

- Jest świetnie - powiedziała z ironią. - On jest ciągle zmęczony, a ja mam po uszy tej sytuacji. Wiesz, że nie jest wcale lepiej. Ta krowa nadal zamienia moje życie w koszmar. - Otwarta wrogość Sary Harding po poronieniu Jane została zastąpiona nieustannym strumieniem współczucia. Sara bez przerwy oferowała swoją pomoc przy Cammie, prawie codziennie pojawiała się osobiście w domu albo dzwoniła, udzielając rad i wtrącając się do wszystkiego na taką skalę, że usuwało to w cień wszystko, co kiedykolwiek robiła Patrycja. Doprowadzało to Jane do szaleństwa.

- Adam powinien coś powiedzieć.

- Albo ja - westchnęła Jane. - Cały kłopot polega na tym, że nie chcę utrudniać Adamowi sytuacji. Poza tym myślę, że jeden ze współpracowników rozważa możliwość odejścia, co stworzyłoby Adamowi równą szansę awansu, że się tak wyrażę. On nie chce tego stracić. I jest coś jeszcze. - Wzięła do ręki łyżeczkę leżącą na spodeczku i przez chwilę bawiła się nią bezmyślnie. Po chwili podniosła wzrok. - Pamiętasz, podczas chrzcin Julietty powiedziałaś mi o Brid. Nie uwierzyłam ci i byłam bardzo nieuprzejma. - Odwróciła wzrok; poczuła się zakłopotana, wspominając swoje zachowanie. - Wiesz, jego męczą w nocy koszmary na temat Brid. Przyniósł do naszej sypialni amulet, który mu dałaś.

- Myślisz, że ją widział? - Liza poczuła, że skóra cierpnie jej na karku. - Jak go znalazła?

A jak znalazła ją?

- Musi mieć mnóstwo sposobów, żeby się dowiedzieć, gdzie on jest. W końcu jest lekarzem. Może go odnaleźć przez uczelnie medyczne. Tam znają miejsce jego pobytu. Mogła wynająć prywatnego detektywa albo kogoś w tym rodzaju.

- Jane... - Liza przygryzła wargę. Już miała powiedzieć: „Ona nie zrobiłaby czegoś takiego. Ona nie istnieje naprawdę”. Ale to nie była prawda. Brid istniała... i istnieje... naprawdę.

Jane podniosła wzrok i na jej twarzy pojawił się wyraz, świadczący o tym, jak ogromnie jest nieszczęśliwa.

- Czy on ją bardzo kochał, Lizo? Liza popatrzyła na nią osłupiała.

- Nie! Jeśli cokolwiek czuł kiedyś do niej, było to na długo przedtem, zanim poznał ciebie. Zanim poznał mnie. Zapewniam cię, że Brid jest ostatnią osobą na świecie, z którą chciałby się zobaczyć.

Wzdrygnęła się. A więc to był powód, dla którego Jane postanowiła nagle, lekceważąc zimne marcowe wiatry, przejechać cały kraj aż do granic Walii. Liza wstała, obeszła stół i objęła ją ramieniem.

- Adam wolałby się spotkać z samym diabłem niż z Brid. - Uśmiechnęła się z zadumą. - Sądząc z tego, co mi kiedyś powiedział, miał czasem wrażenie, że ona jest córką szatana. Chyba nigdy nie był tak całkiem pewien, skąd Brid przychodzi, ale naprawdę go przerażała. I naprawdę przerażała mnie. - Przerwała. Była taka pewna, że są bezpieczni. Taka ufna. Ale teraz... - Jestem pewna, że nie zdoła odnaleźć żadnej z nas. Może sobie szukać, ale jej się to nie uda. No, teraz pójdę nakryć do stołu, bo czas na lunch. Potem ściągniemy Philipa z jego pracowni, zobaczymy, czy Julietta się obudziła, i nie będziemy myśleć o Brid.

Odwróciła się, wysunęła szufladę kredensu i grzebała w niej, szukając noży i widelców. Czowała, że Jane uważnie jej się przygląda. Miała nadzieję, że nie zdradzi jej niepokój na twarzy.

Adam zakończył koło południa ostatnią z domowych wizyt i już był przy drzwiach frontowych, kiedy zadzwonił telefon. Westchnął. Już się cieszył na

szklaneczkę whisky przed zimnym lunchem, która czekała na niego w kuchni.

Podnosząc słuchawkę, zerknął w okno.

- Tu doktor Craig.

Wreszcie przestało padać, ale nadal wiał piekielny wschodni wiatr. Połowa jego pacjentów źle się czuła i skarżyła na bóle w piersiach, a drugą połowę dręczyły bóle reumatyczne.

- Adam? Tu Jane. Właśnie sobie pomyślałam, że zadzwonię, żeby się zapytać, jak się czujesz.

Rysy twarzy Adama złagodniały. Uśmiechnął się pogodnie.

- Czuję się dobrze. A jak ty się czujesz? I Calum? I Liza? I Phil?

- Wszyscy czujemy się świetnie. Tu jest ślicznie. Och, Adamie, czy nie mógłbyś przyjechać? Tylko na weekend. Proszę.

Adam westchnął. Tak za nią tęsknił. W domu było bardzo spokojnie bez niej i bez małego i chociaż nieustanny niepokój o ich bezpieczeństwo przestał go dręczyć, zastąpiła go troska spowodowana tym, że są tak daleko.

- Adam, jesteś tam?

Głos Jane budził w nim tęsknotę.

Nagle podjął decyzję. Są mu winni wystarczająco dużo wolnych dni. Może sobie darować dzień lub dwa praktyki lekarskiej. Jakoś to załatwi.

- Zobaczą, czy nie uda mi się przyjechać, kochanie. Postaram się naprawdę, obiecuję - zapewnił ją pełen optymizmu. - Powiedz Lizie, żeby przygotowała trochę tego wspaniałego gulaszu, który jedliśmy w zeszłym roku na chrzcinach. Umieram tutaj z głodu bez mojej żony. Nie ma mnie kto karmić. Przyjadę w sobotę. Obiecuję.

Dotrzymał obietnicy. Wyjechał wczesnym rankiem i dotarł na farmę akurat w porze śniadania.

Calum rzucił się ku ojcu, piszcząc z podniecenia.

- Tatuś przyjechał zobaczyć jagniątko!

- A więc to tak? Myślałem, że jest to farma malarzy? - Adam pocałował Jane, a potem Lizę. Philowi uściśnął dłoń, wręczając mu butelkę słodowej whisky.

- Skąd macie te owieczki?
- Przychodzą od sąsiadów. Dokazują sobie na słoneczku. Idź z nim, Adam.

Czekał cały tydzień, żeby ci je pokazać.

Adam wziął synka na ręce.

- Dobrze, młody człowieku. Prowadź. Jane wyszła za nimi.
- Jak ci się udało spacyfikować wszechmocnych?
- Przypomniałem im, że nie miałem urlopu od chwili rozpoczęcia praktyki.
- I to im wystarczyło?
- Wątpię. - Adam wzruszył ramionami. - Ale nie mówmy o tym. Jak Liza i

Phil?

- Świetnie.

Dopiero następnego dnia Adam miał okazję porozmawiać z Lizą sam na sam. Wymknął się z domu i poszedł za nią do jej stodoły. Zamknął za sobą dokładnie drzwi.

- Co jest? Układa wam się jakoś z Jane? Widzę, że coś cię okropnie martwi. Co się stało?

- Ona wróciła. Jest w mojej głowie. - Liza odłożyła pędzel i odwróciła się do niego. - A sądząc po tym, co mówi Jane, ciebie też dręczą związane z nią koszmary. Nie wiem, co robić.

Adam przerażony wlepił w nią wzrok. Nie potrzebowała mu mówić, o kogo chodzi.

- Boże drogi! - Usiadł nagle na starym trzcinowym krześle przy stole. - Powiedz mi, co się stało.

Opowiedziała mu o przypadkach, kiedy jej się wydawało, że widziała Brid, a potem o grzebieniu.

- To był wyjątkowo piękny grzebień. Jeden z dwóch, które stanowiły komplet. Drugi zgubiłam. Ale ten zmieniał miejsce. Wędrował dookoła stołu. Odłożyłam go do szuflady w toaletce. - Pogładziła bezmyślnie swoje długie, ciemne włosy. - A rano leżał znowu na moim nocnym stoliku. Myślałam z początku, że sama go tam położyłam. Oczywiście musiałam to zrobić. Ale to się

powtórzyło. Następnego dnia, kiedy trzymałam ten grzebień w ręku, zaczął się robić gorący. - Pokręciła wolno głową. - Nie mogłam w to uwierzyć. Upuściłam go. Kiedy go podniosłam, był oczywiście znowu zupełnie zimny. Więc odłożyłam go znowu do szuflady.

Adam zdał sobie nagle sprawę, że Liza ma we włosach wstążkę.

- A dziś rano znalazłam ten grzebień u siebie pod poduszką. - Westchnęła głęboko. - Widziałam ją, Adamie. Tutaj. Stała w drzwiach, na progu kuchni. Właściwie to nie była wyraźnie ona. Jakiś duch. Widmo. Nie wiem. To był tylko cień. Potem zniknęła. Ale to wystarczyło. Odnalazła mnie. Obserwowała. Nie wiem czemu. Przecież nie jesteśmy już razem, więc czemu mnie prześladowuje?

Adam przygryzł wargę. Twarz mu zbladła. - Czy chcesz, żebym ci oddał ten kryształ? Potrząsnęła głową.

- Mamy tu sąsiada. Nazywa się Meryn Jones. On się zna na tych rzeczach. - Uśmiechnęła się nieznacznie. - Tutejsi ludzie uważają, że jest czarownikiem. To on zrobił dla was to kryształowe drzewko. Mówi, że ona chodzi za mną, bo jestem lepszym medium niż ty. Uważa, że łatwo jest dostać się do mojej głowy. Jestem jedyną osobą, przez którą ona może mieć kontakt z tobą.

- I pozwoliłaś, żeby Jane i Calum przyjechali tutaj! - Adam wstał. Nagle ogarnęła go wściekłość. - Wiedząc, że ta dziewczyna odkryła, gdzie mieszkasz, zaprosiłaś Jane i Caluma pod swój dach?

- Ja ich nie zapraszałam, Adamie! Jane sama zapytała, czy może przyjechać. I przyjechała, bo niepokoiła się także, czy Brid się nie pojawi. Cóż miałam zrobić? - Liza spojrzała mu prosto w oczy. - Czy ta kobieta będzie mnie prześladować przez resztę życia dlatego tylko, że cię kiedyś kochałam? Przepraszam. To było nietaktowne. Zapomnij o tym. Zresztą oboje jesteśmy szczęśliwi w swoich związkach małżeńskich. Ale Brid chyba nie zrozumiała, że musieliśmy jakoś żyć dalej. - Dalej mówiła już spokojniej. - Ona nie powinna stanowić dla mnie problemu, Adamie. Ani dla Phila. Ani dla Jane, jeśli już o tym mówimy.

- Jezu Chryste! - Adam znowu usiadł. Oparł głowę na dłoniach. - Co według tego twojego przyjaciela Meryna powinniśmy zrobić?

- Długo go nie było. Wrócił dopiero wczoraj w nocy. Dzwoniłam do niego i wszystko mu wytłumaczyłam. Będziemy musieli, ty i ja, pójść do niego jutro.

- Bez Jane?

- Bez Jane. Jeszcze nie teraz. Spróbujmy się z tym jakoś uporać sami.

Następnego dnia rano pojechali drogą wiodącą pod górę, kierując się ku wąskiemu szczytowi, gdzie żywopłoty spotykały się w górze, przemieniając drogę w tunel z głogu, jak z czarnej koronki, na którym pokazywały się dopiero malutkie zielone pędy i perłowe pączki leszczynowych bazi, sypiących na dach samochodu Adama złocisty pył.

Adam stał przez chwilę przed domem Meryna, wpatrując się w góry widoczne ponad lasami i polami.

- Ten widok uprzytamnia ci, jak bardzo tęsknisz za Szkocją? - Liza wsunęła mu rękę pod ramię. Drżała od przejmującego wiatru.

Skinął głową. - Góry wchodzą w krew.

- Wrócisz tam pewnego dnia.

Ruszył za nią w kierunku niskich drzwi, które były już otwarte. Zupełnie nie tak Adam wyobrażał sobie mężczyznę, który czekał za progiem. Był wysoki, ciemnowłosy, mógł mieć około czterdziestu paru lat. Szczupła, opalona twarz nie przypominała twarzy starca, jak Adam się spodziewał, a oczy wcale nie były błędne czy nieprzytomne. Cofnął się, żeby ich wpuścić do środka, i znaleźli się w pokoju zajmującym cały parter domku. W jednej części była tu kuchnia, a w drugiej salonik. Adam rozejrzał się dookoła i przeniknął go dreszcz wstrętu. U sufitu wisiały pęki ziół, wypełniając pomieszczenie silnymi, egzotycznymi zapachami, które nie przypominały wcale woni przypraw kuchennych. Na półkach w pobliżu okna dostrzegł rzędy kamieni i kryształów. Stało tu też kilka regałów wypełnionych książkami i czasopismami. Na ciemnej półce w pobliżu blatu kuchennego Adam zauważył czaszkę owcy wciśniętą za jakieś szklane brązowe słoje. Panowała tu jakaś dziwna atmosfera, jakiś niezwykły spokój;

Jednakże Adam odniósł wrażenie, że Lizy nie zniechęca to wszystko. Ku jego zdumieniu objęła gospodarza i ucałowała w oba policzki.

- Merynie, to jest mój przyjaciel Adam.

Meryn odwrócił się do niego i z powagą podał mu rękę.

- Witam, doktorze Craig.

W niebieskich oczach Meryna pojawił się jakiś błysk, ale natychmiast znikł. Adam czuł, że pan Jones ocenił go w ciągu kilku sekund, i wyobraził sobie nagle siebie takim, jaki się musiał wydać temu obcemu człowiekowi. Zamknięty w sobie, rozmiłowany w nauce prezbiteriański lekarz, sceptyczny wobec walijskich dziwactw i przesądów. Zastanawiał się, co też Liza o nim opowiedziała. Jak gdyby czytając w jego myślach, odwróciła się do niego i wzięła go za rękę.

- Adamie, opowiedziałam Merynowi wszystko o tobie i o Brid, kiedy robił dla ciebie ten amulet. On wie, że nie lubisz tego rodzaju rzeczy. - Wyciągnęła rękę, aby dać do zrozumienia, że ma na myśli ten pokój i wszystko, co się w nim znajduje. Adam nie był pewien, czy zrobiła to celowo, czy też nie.

Poczuł się zakłopotany i zaczerwienił się lekko.

- Przykro mi, jeśli mój sceptycyzm jest tu niemile widziany. Ja się dopiero uczę. - Przerwał. - Wiem, że najistotniejsze są w tej chwili problemy, z jakimi boryka się Liza, ale ja też miałem ostatnio złe sny, prześladowały mnie koszmary. - Przeniknął go dreszcz i zerknął na Meryna, który obserwował go w milczeniu. - Boję się o Lizę. - Płatał się skrepowany, próbując jakoś wszystko wyjaśnić.. - Niepokoję się o swoją żonę i syna. Nie wiem, dlaczego to się dzieje.

Meryn ciągle milczał. Nadal obserwował Adama bez zmrużenia oczu.

Adam wsunął ręce głęboko do kieszeni spodni. Czuł się coraz bardziej nieswojo przez uporczywe milczenie tego człowieka.

- Ona wydaje się duchem, ale nie wiem, czy żyje, czy umarła.

- Proszę usiąść, doktorze Craig - powiedział w końcu Meryn, jak gdyby nie usłyszał nic z tego, co powiedział Adam. Podszedł do okna i stanął przed nim, podczas gdy Adam zajął miejsce na starej sofie obok Lizy. Zerknął na nią z boku, ale ona zdawała się patrzeć gdzieś w przestrzeń. Spuścił więc oczy i z nieporadną miną utkwiał wzrok w swoich stopach; czuł się jak mały chłopiec wezwany do gabinetu dyrektora. A Meryn, odwrócony tyłem, spoglądał ku odległej dolinie Wye.

- Ta dziewczyna, którą dla naszych celów będziemy uważali za istotę żyjącą, użyła przedmiotu należącego do Lizy, żeby nawiązać kontakt

- odezwał się łagodnym, śpiewnym tonem mieszkańców walijskich gór.

- Liza uważa, że mógł to być grzebień, który zgubiła w Edynburgu. Ten drugi, od pary, który przywiozła tutaj, porusza się samoistnie, a być może pod wpływem jakiejś siły magicznej, To jest bardzo możliwe. I tu chodzi nie tyle o sam grzebień, ile o włosy, które na nim pozostały i które zostały użyte do nawiązania kontaktu. To bardzo prosty sposób. Jeden z tych, które stosują adepci magii na całym świecie.

Adam czuł suchość w ustach.

- Niestety, fakt, że ta dziewczyna nawiązała kontakt w ten sposób, oznacza, że Liza będzie miała nieustanne kłopoty, dopóki nie zdołamy tego kontaktu zerwać.

Czy ma pan, doktorze - odwrócił się i popatrzył na Adama swym świdrującym wzrokiem - jakiś powód, by przypuszczać, że ta dziewczyna ma coś należącego do pana? - Czekał tylko chwilę i odpowiedział za Adama, nie dając mu czasu do namysłu. - Przypuszczam, że nie, bo gdyby miała, potrafiłaby do pana dotrzeć.

- Jeżeli moje koszmary nocne mają jakiś związek z nią, to myślę, że ona mnie odnalazła. - Głos Adama stał się chrapliwy. Odchrząknął głośno, próbując przerwać głuchą ciszę, która zawisła nad pokojem niby całun. - Nigdy nie byłem, jak pan to nazywa, dobrym medium. Jestem naukowcem. - Uśmiechnął się przepraszająco. - Od samego początku wydawało mi się, że to z Lizą łatwo nawiązać kontakt. Dotrzeć do niej. Nie wiem, jak ona to robi. - Nagle zaczął szukać dla siebie usprawiedliwienia. - Brid jest uzdrowicielką. Tak jak pan. - Uśmiechnął się z nadzieją, że nie zabrzmiało to zbyt protekcjonalnie. - Wiem, że tacy ludzie mają pewne zdolności.

- Wszyscy mamy takie zdolności, doktorze Craig - potwierdził Meryn poważnie. - Nawet pan, choć pan o tym nie wie. - Przeszedł przez pokój do pustego kominka i stanąwszy tyłem do niego, przyglądał się Adamowi z ogromnym skupieniem. - Liza powiedziała mi, że pan użył tego amuletu, że pan go umieścił w swojej sypialni. Czy zrobił to pan dlatego, że czuł pan, iż stanowi on dla pana i

pańskiej żony dodatkową ochronę, czy też był to gest podyktowany głupim zabobnem, którego pan żałował, ale uczynił go jednak z przyczyn, których nie potrafi pan do końca pojąć? - Jego spojrzenie przyciągnęło wzrok Adama i w końcu Meryn się uśmiechnął. - Widzę, że powodem było to drugie. Nieważne. Rytuał nawet bez treści może jednak działać i nawet takie uczucie stanowi jakiś początek. Proszę zrozumieć, że nie będę mógł panu pomóc, dopóki nie zastosuje się pan do mojej rady.

- Zastosuje się do twojej rady - powiedziała Liza. - Już ja tego dopilnuję.

- Trzeba czegoś więcej niż to, dziewczyno. On nie tylko musi chcieć. Musi być silny. Musi wierzyć.

- A co będzie, jeśli nie potrafię? - zapytał Adam.

- Nie wiem, czy wtedy będę mógł pomóc.

Adam przełknął ślinę. Poczul zimny dreszcz na plecach.

- Nie rozumiem, dlaczego wszyscy nadal się tak jej boimy.

- Bo już raz próbowała mnie zabić. Oto dlaczego. - Liza wstała i zaczęła przemierzać pokój tam i z powrotem małymi, nerwowymi kroczkami. - Ponieważ ty się boisz, że ona będzie próbowała zabić Jane. I jeszcze dlatego, że nie możesz być pewien, czy już przedtem nie zabijała. Ja zawsze podejrzewałam, że to ona zabiła gospodynię twojego ojca. To jest Cyganka, na litość boską. A Cyganie są mściwi. Wendeta jest u nich czymś normalnym. Rzucają przekleństwa na ludzi. Adam przygryzł wargę. Starł się uporządkować myśli.

- Słuchaj, Lizo, ja naprawdę wierzę, że ona ma moc wnikania do naszych głów. Działa na zasadzie telepatii. Ma moc niepokojenia mnie. Straszenia, jeśli wolisz. Więc powinienem umieć uwierzyć, że masz tak wielki dar jak ona. I że pan Jones będzie mógł mi powiedzieć, co mam robić. I pozwól, że będę mówił za siebie.

Liza popatrzyła na sufit, jakby wzywała boskiej pomocy.

- W porządku. Dobrze. Niech ci będzie. Meryn uśmiechnął się niewesoło. - Jeśli będziecie walczyć ze sobą dość zaciekle, może ona to wyczuje i wtedy przestanie dręczyć Lizę.

- Przepraszam. My nie walczymy. - Liza znowu usiadła obok Adama. -

Chyba to wszystko trochę mną wstrząsnęło.

- Słusznie. To najważniejsze. Nie denerwujcie się. Musicie się nauczyć zachowywać spokój. Skupienie. Musicie się nauczyć panować nad swoimi myślami i być panami swego umysłu. Musicie się nauczyć nie poddawać zewnętrznym wpływom. Musicie się nauczyć chronić siebie samych. Ty wiesz o tym wszystkim, Lizo. Odziedziczyłaś odporność psychiczną po swojej matce. Z pewnością musiała cię czegoś na ten temat nauczyć, gdy byłaś dzieckiem. Ona wiedziała, jak tworzyć pancierz ochronny wokół siebie.

- Próbowałam. - Liza przygryzła wargę. - Zdaje się, że w przypadku Brid to nie skutkuje.

- To dlatego, że po raz pierwszy przeciwstawiłaś się czemuś takiemu. Uległaś panice. Zachowaj spokój. To wszystko, co ci jest potrzebne. Otocz się ścianą światła. Ta Brid jest tworem ciemności. Widziałem ją podczas swoich medytacji. Ją i człowieka, który ją ściga.

- Raz mi powiedziała, że pochodzi z ludu, który żył za północnym wiatrem - rzekł Adam wolno. - Taką siebie widziała. Dziką. Nieokiełznaną. Wolną.

Meryn wpatrywał się w niego.

- Czy to wszystko ma dla ciebie jakieś znaczenie? - zapytała Liza szybko.

Meryn powoli pokręcił głową.

- Pewnie nie - powiedział zamyślony. - To prawdopodobnie tylko zbieg okoliczności. Proszę posłuchać, doktorze Craig. Spróbujmy to wszystko poskładać razem. Będzie pan musiał się nauczyć wykorzystywać swoją wyobraźnię. Będzie pan musiał wyobrażać sobie różne rzeczy za pomocą oka pańskiego umysłu tak wyraźnie i tak dokładnie, aż staną się realne. I będzie pan musiał to robić zarówno dla dobra pańskiej żony, jak i syna. Będzie pan musiał nauczyć się budować mury ochronne wokół siebie i swojej rodziny. A żeby trzymać tę dziewczynę z daleka, te mury muszą być tak mocne, by mimo wysiłków ona nie mogła się przez nie przedostać.

Dopiero kiedy Adam i Liza wyszli, Meryn podszedł do swojej szafy z książkami i zaczął przerzucać stosy woluminów. Stary egzemplarz Herodota leżał z

boku. Strony wysunęły się z oprawy i zblakły ze starości. Meryn wziął książkę do ręki i odwracał kartki, szukając ustępu, który był mu potrzebny. Lud północnego wiatru. Jakaś wzmianka o tym musi być gdzieś tutaj, zapamiętał to.

Po jakimś czasie usiadł przy ogniu i przygotował się do medytacji. Wiele rzeczy będzie musiał zapamiętać, wiele się nauczyć, zanim zajmie się Brid i tą tajemniczą postacią, która ją ściga.

Rozdział dziewiąty

Brid stała na szczycie góry Arthur's Seat, spoglądając w kierunku południowym, ku Pentland Hills. W kieszeni miała bawełniany szal, w który owinęła grzebień opleciony kilkoma drogocennymi włosami. Gdzie oni są, Adam i Liza? Wiedziała, że nie są razem, ale dlaczego nie może już do nich dotrzeć? Siły ją opuszczały, a wraz z nimi zdrowie. Była chuda i słaba, włosy miała zmierzwione i bez połysku, a oczy podkrążone i nieobecne.

- On jest tutaj. Na południu. Gdzieś na południu.

A także ten drugi mężczyzna, ten z czasów Adama, którego dociekliwy umysł staczał potyczki z jej myślami w ciemności snów.

Dwóch mężczyzn stojących w pobliżu na wierzchołku góry odwróciło się ku niej, ale widząc, że dziewczyna mówi do siebie, a jej oczy rzucają dzikie spojrzenia, odeszli dalej i zaczęli schodzić w kierunku Salisbury Craggs, pozostawiając ją na szczycie całkiem samą.

- A-dam, mój A-dam! Potrzebuję cię!

Powoli obracała się dookoła, wykrzykując raz po raz jego imię. Ale nikt jej nie odpowiedział.

Czasami przystawała u stóp schodów, które prowadziły do dawnego mieszkanka Adama, po prostu po to, by się poczuć w jakiś sposób bliżej niego.

Wejście było ciemne i obskurne i trochę tam śmierdziało, ale nie zwracała na to uwagi. To tutaj kiedyś mieszkał. Te oszalamiające momenty zdarzały się coraz częściej i czasami jej drugie życie, życie po odległej drugiej stronie kamienia, przedzierało się przez zasłonę, która oddzielała ją od przeszłości. Broichan i jego ludzie czekali na nią tutaj. Czekali, żeby ją zabić.

Oparła się plecami o szare kamienne mury budynku i na chwilę zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, zobaczyła stojącego przed nią młodego mężczyznę. Wydawał się zatroskany.

- Halo! Dobrze się pani czuje? Uśmiechnęła się, jakby była pijana.
- Chyba tak. Jestem tylko trochę zmęczona.
- Widziałem tu już panią przedtem, prawda? Czy pani kogoś szuka? Skinęła głową.
- Adama Craiga. Mieszkał tu kiedyś, ale wyjechał.

- Adam Craig? - Młody człowiek uśmiechnął się, zadowolony. - O, wyjechał już dawno temu. Mój brat dzielił z nim pokój. To dzięki temu dostałem to mieszkanie. Adam ma teraz praktykę lekarską w Anglii. Pewnie będę mógł dla pani znaleźć jego adres, jeśli pani chce.

- Wie pan, gdzie to jest? - Przemiana, jaka nastąpiła w wyrazie jej twarzy, graniczyła z cudem. Nagle zdawała się tryskać szczęściem.

- Oczywiście. Proszę wejść ze mną na górę, to poszukam. - Jimmie Thomson poprowadził ją po wąskich schodach i zaczął szukać klucza. Pokoje były ciemne i pełne ciężkich starych mebli. Nie zmieniły się ani trochę od czasu, gdy mieszkał tu Adam. Jimmy podszedł do biurka i szperał na nim, szukając zniszczonej książki z adresami. W końcu ją znalazł i zaczął przerzucać kartki, z których połowa była powyrywana. - O, mam. To jest St Albans. Rozpoczął tam praktykę, kiedy się ożenił, więc jest szansa, że jeszcze tam mieszka. - Uśmiechnął się do niej. - Chce pani, żebym to pani zapisał?

Pokręciła przecząco głową.

- Nie ma potrzeby. Zapamiętam. - Umilkła, rozglądając się po pokoju.

Nadal były tu rzeczy należące do Adama, wyczuwała ich obecność: jakaś książka,

obrazek na ścianie i coś na wąskiej półce nad kominkiem. Wyczuła jakieś wewnętrzne napięcie i przesunęła się w tym kierunku. - To. To należy do A-dama.
- Mała miedziana spinka do mankietu leżała na pół ukryta za lichtarzem.

- Ma pani rację. - Jimmie zastanawiał się, jak, u licha, zdołała ją dostrzec. Musi mieć sokoli wzrok. - Po jego wyjeździe znalazłem ją na podłodze, za oparciem starego fotela. Chciałem mu ją odesłać, ale jakoś nigdy do tego nie doszło.

- Nie szkodzi. Wezmę ją. - Już ją chowała do torebki. Odwróciła się ku drzwiom, ale na progu przystanąła na chwilę, przyglądając mu się uważnie.

- Co to znaczy ożenił? Zmarszczył czoło.

- Co to znaczy ożenił? - powtórzył zakłopotany. - Wie pani, to jak się bierze żonę. Jak się z kimś żyje. On ma już też teraz chyba dzieci. Przynajmniej jedno, drugie jest w drodze.

- Rozumiem. - Twarz jej jakoś przygasła. Wpatrywała się jeszcze w niego przez dłuższą chwilę, po czym zbiegła ze schodów i znikła na ulicy.

Jimmie stał przez chwilę w milczeniu i przygryzając wargę, patrzył na drzwi. Na chwilę ogarnął go niepokój. Może nie powinien był dawać jej tego adresu? Podeszedł do drzwi i nie bardzo wiedząc, dlaczego to robi, przekreślił klucz. Nie, to niemądre. Poza tym jest szansa, że Adam już się dawno stamtąd wyprowadził.

- Muszę tam iść. - Brid zapisała adres swoim starannym, ozdobnym pismem i pokazała go Catrionie.

Catriona poczuła niepokój. Była zmęczona swoim niespodziewanym i tak bardzo zależnym od niej gościem. Zapytała surowo:

- St Albans jest chyba w pobliżu Londynu. Po co, u licha, chcesz tam jechać?

- Bo tam jest A-dam. - Nawet bez tej spinki od mankietu będzie go mogła teraz odnaleźć, Ale może ze spinką będzie to łatwiejsze.

- Adam? - Brid nigdy dotąd o nim nie wspominała. Catriona badawczo przyjrzała się twarzy dziewczyny i zobaczyła na niej przelotne wzruszenie, tęsknotę, gniew, lęk i cierpienie. - Czy to ktoś bardzo bliski?

Brid potaknęła.

- Mój przyjaciel.

- Rozumiem. - Catriona wzruszyła ramionami. - Po kolacji zerknę na mapę i zobaczę, czy uda mi się znaleźć tę miejscowość.

- Teraz. Muszę to wiedzieć teraz.

- Czemu? Jeśli chcesz do niego napisać...

- Pojadę tam.

- Brid, to jest bardzo daleko. Musisz pojechać pociągiem do Londynu, setki mil stąd, a potem przesiąść się w drugi pociąg. I nie możesz przecież pojechać do kogoś bez uprzedniego zawiadomienia go, że przyjeżdżasz. Znasz numer jego telefonu? Brid potrząsnęła głową. Adam będzie wiedział, że ona do niego przyjedzie.

- Więc zadzwonimy do informacji i zapytamy. Skoro znasz adres, podadzą nam numer telefonu i będziesz mogła do niego zadzwonić. To proste. - Catriona z uśmiechem wzięła kartkę z ręki Brid, podeszła do biurka i podniosła słuchawkę. - Więc jak brzmi jego nazwisko?

- Nazwisko?

- Tak. Musi się jakoś nazywać. Adam i co dalej?

- Adam Craig. Jest lekarzem.

- Rozumiem. - Przez chwilę patrzyła na Brid, po czym pokiwała głową. - W porządku. Zaraz poszukamy.

Brid czekała. Dawno już przyzwyczała się do telefonu Catriony, a raz czy dwa, kiedy była sama w mieszkaniu, odważyła się nawet sama podnieść słuchawkę. Nie wydawało jej się wcale dziwne, że można rozmawiać z kimś, kto jest oddalony o wiele mil; było to pewne usprawnienie, ale czasami okazywało się nieskuteczne i wyjaśniało, dlaczego ludzie ze świata Adama zdają się nie rozumieć, czemu ludzie z jej świata mogą się dosięgnąć nawzajem po prostu myślą. Ludzie z jej świata wymyślili lepszy sposób. Już po kilku minutach Catriona podała jej słuchawkę.

Brid wzięła ją od niej drżącą ręką i słuchała dźwięku sygnału. Potem rozległ się trzask, brzęk i usłyszała kobiecy głos.

- Halo. Tu Jane Craig. Słucham. Brid zmarszczyła czoło.

- A-dam? - powiedziała cicho. - Chcę mówić z A-damem.

- Przykro mi. Adam został wezwany do chorego. W czym mogę pomóc? -

Głos był miły i przyjazny. - Czy pani jest jego pacjentką?

- Chcę mówić z A-damem.

Usłyszała westchnienie i wyczuła z trudem wstrzymywane zniecierpliwienie.

- Przykro mi. Jeśli chce pani z nim mówić, musi pani zadzwonić jutro.

Wyjechał do porodu i nie mam pojęcia, kiedy wróci.

- Nie ma go. - Brid ostrożnie odłożyła słuchawkę na widełki. - Pojadę tam.

Catriona westchnęła.

- Dowiemy się jutro o pociągi. To bardzo długa podróż, Brid. Zajmie ci cały dzień.

- Nie szkodzi. Pojadę. Zaraz.

- Nie możesz jechać zaraz. Nie ma pociągu w środku nocy. - Catriona nie wiedziała, czy to prawda, ale musiała jakoś osłabić gorączkową determinację Brid. Przerazało ją to. - Jutro pójde z tobą na stację, żeby się upewnić, czy kupiłaś właściwy bilet, i pomogę ci wsiąść do pociągu, dobrze? - Nakryła lekko dłonią rękę Brid. - Czeka cię nie lada przeżycie, moja droga. To bardzo długa podróż. Musisz ją odbyć bez przygód. - Napotkała spojrzenie Brid i przez chwilę czuła lęk.

We wzroku dziewczyny był jad. Ale zaraz wyraz jej twarzy się zmienił.

Złagodniał.

- Dobrze. Jutro. Jutro pojadę do A-dama.

Tej nocy Catriona, leżąc już w łóżku i próbując zasnąć, usłyszała, że Brid szuka czegoś w salonie. Cicho wysliznęła się z pościeli i podeszła do drzwi. Zamiast zagadnąć Brid, zapytać ją, co robi, cicho przekreśliła klucz w zamku i stała oparta o futrynę, drżąc ze strachu.

Nazajutrz odprowadziła Brid na dworzec w Waverly, zapłaciła za jej bilet, dała pięć funtów na opłacenie dalszego etapu podróży, dokądkolwiek by prowadziła, i wsadziła dziewczynę do pociągu. Na chwilę ogarnęło ją współczucie, kiedy ujrzała przerażenie na twarzy Brid, gdy podeszła bliżej do wielkiej, buchającej parą lokomotywy, i potem, po raz drugi, na widok dziewczyny wciśniętej w kąt ławki w wagonie drugiej klasy. Ale stojąc na peronie i machając ręką do Brid, gdy pociąg ruszał, poczuła wyraźną ulgę.

Dopiero po trzech dniach zauważyła, że srebrny nóż do papieru, który powinien leżeć pod stosem papierów na jej biurku, zniknął.

Adam wszedł do riley'a. Czarną torbę postawił koło siebie, a notes z listą pacjentów, do których został wezwany, rzucił obok torby. Zerknął do niego, naciskając stopą pedał gazu, by rozgrzać silnik. A-dam, powiedziała Jane.

Naśladowała dokładnie sposób, w jaki wymawiała jego imię Brid, i na dźwięk tego słowa przejął go lęk. Jeśli Brid zna numer jego telefonu, pewnie zna także adres. Nie potrzebuje już korzystać ze swych zdolności telepatycznych. Odnalazła go. Poczł, że jego dłonie na kierownicy stały się nagle lepkie, siedział więc przez chwilę z głową odchyloną na oparcie fotela, oddychając wolno i głęboko.

- Co ona właściwie powiedziała? - zapytał ogarnięty paniką.

- Nic. Tylko: „Chcę rozmawiać z A-damem”. Powiedziałam jej, że będzie musiała zadzwonić później.

- Jak zadzwoni, powiedz jej, że mnie nie ma. Że wyjechałem.

- A-dam - Jane, obdarzyła go swoim miłym, łagodnym uśmiechem. W końcu znowu zaszła w ciążę i dobrze ją znosiła. Nigdy przedtem nie była taka rozpromieniona, nigdy nie była taka pogodna. - Nie mogę tego zrobić. Na litość boską! Kto to był? Nabrał głęboko powietrza.

- Wygląda na to, że to mogła być Brid - powiedział wolno. - Ona jest jedyną osobą, która w ten sposób wymawia moje imię. A-dam.

- Och, Adam, kochany. Myślałam, że to wszystko jest już skończone.

Niewiele jej powiedział o swojej wyprawie z Lizą do Meryna, zdecydowany ją chronić, nie wiedział bowiem, do jakiego stopnia uwierzy w to, co usłyszy.

- To nie mogła być ona. A nawet jeśli tak, to co, u licha, zamierza zrobić? Ożeniłeś się. Da Bóg, zostaniesz po raz drugi ojcem. Oby wszystko skończyło się dobrze tym razem. Jesteś lekarzem, a nie uczniakiem. - Położyła mu dłonie na ramionach i pocałowała go w policzek. - Och, kochanie, nie martw się. Nie pozwolę, żeby rzuciła na ciebie jakiś zły urok. Obiecuję. Jeżeli znowu zadzwoni, powiem jej, że wyjechałeś leczyć Eskimosów. Jak ci się to podoba?

Roześmiał się mimo woli.

- Świetnie. Doskonale. Dobry pomysł.

Wtedy przestał myśleć o Brid. Ale teraz, tego ranka, poczuł nagle, że wcale nie jest taki pewien, czy Brid przestanie go szukać. Zerkał w boczne lustro i zobaczył w nim spokojną ulicę. Skąpaną w słońcu. Pustą. Z westchnieniem ulgi włączył bieg i zwolnił ręczny hamulec.

W pociągu zapadła w drzemkę. Stukot kół o szyny uspokajał ją. Z początku wyglądała przez okno. Obserwowała krajobraz. Wpatrywała się w przepiękny błękit morza, kiedy mknęli na południe. Zesztywniała z lęku, słysząc, że stukot kół uległ zmianie, kiedy wjeżdżali na wznoszący się wysoko Berwick Bridge, a potem przekroczyli granicę Anglii. Zasnęła znowu spokojnie, uświadomiwszy sobie, że jest coraz bliżej Adama. Nic nie jadła i nie wstawiała z ławki, w przedziale była sama. Nie myślała o przyszłości. Nie miała pojęcia, jak do niego dotrze. Catriona wspominała coś o drugim pociągu, o innym dworcu. Ale nie myślała o tym teraz. W głowie zaczynało jej się rozjaśniać. Tutaj, w tym pociągu, z dala od swego kraju, zrozumiała, że zasłona staje się coraz cieńsza, i całą siłą woli trzymała się tej nowej rzeczywistości, nie dając dostępu do siebie demonom. Kiedy wjechali na King's Cross, zrozumiała, że jest zgubiona. Siedziała ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt, nie czuła prawie uderzeń pulsu, skórę miała lodowato zimną. Słyszała gwar panujący na stacji, ale się nie poruszyła. Wpatrywała się z przerażeniem w oczy Broichana, swego wuja.

Patrycja rozglądała się po salonie i kiwała z zadowoleniem głową. Jane urządziła go bardzo ładnie. Teraz można tu było mieszkać wygodnie, po bałaganie nie było ani śladu. Zabawki Caluma zostały usunięte, a dzień wcześniej ona sama wyniosła porzucane czasopisma medyczne do gabinetu Adama. Poprawiła jakąś poduszkę i podeszła do okna, żeby jeszcze o cal rozsunać zasłonę. Nowy dom, usytuowany na ślicznej podmiejskiej uliczce, był otoczony większym ogrodem niż ten w starym domu. Został zbudowany w latach dwudziestych i bardzo różnił się od tego, w którym młodzi Craigowie mieszkali przedtem, ale wiedziała, że Jane już go pokochała, bo należał do nich, był ich własnością. Patrycja uśmiechnęła się. Nie był oczywiście tak elegancki jak ten stary i niestety nie odcisnęła na nim swego piętna

stara georgiańska ulica, ale przynajmniej stanowił ich własność.

Jane przygotowywała w kuchni herbatę, a Calum spał. W domu wreszcie panował spokój. Patrycja westchnęła. Chłopczyk był ostatnio naprawdę niesforny. Może by się tak położyć? Szkoda, że nie może zostać dłużej, żeby pomóc Jane w czasie tych ostatnich miesięcy przed urodzeniem dziecka, ale pobyt tutaj był taki wyczerpujący...

Wchodząc po schodach, zatrzymała się na chwilę, żeby odsapnąć, i zajrzała przez otwarte drzwi do sypialni Jane i Adama. Była pełna słońca. Ten śliczny pokój zdobiły ładne obrazy i różne eleganckie drobiazgi. Weszła na chwilę; rozglądała się i kiwała głową z aprobatą. Jedną z rzeczy, którą wszczepiła swojej córce, był dobry gust. Niemal w tej samej chwili, kiedy o tym pomyślała, jej wzrok padł na małe, emaliowane i zdobione srebrem drzewko stojące na stoliku przy łóżku. Umieszczony na nim lśniący kryształ przyciągał promienie słońca, rzucając tęczyowy odblask na ścianę po przeciwnej stronie. Był to prymitywny drobiazg, zupełnie niepasujący do reszty wystroju. Patrycja zmarszczyła czoło. Dostali to od tej okropnej, rozczochranej malarki, która kiedyś chodziła z Adamem. Podeszła do łóżka, wzięła do ręki talizman w kształcie drzewka i przyglądała mu się przez chwilę. Nie był nawet starannie wykonany.

- Mamo, co ty robisz? - Patrycja aż się wzdrygnęła na głos Jane, która stanęła w progu.

- Nic, kochanie. Myślałam sobie tylko, że ten pokój wyglądałby o wiele ładniej bez tej... rzeczy... obok łóżka. To zupełnie tu nie pasuje. - Zostaw to, mamó, proszę. To maskotka przynosząca szczęście. - Jane była zmęczona. Patrycja przyjechała, żeby pomóc córce, żeby Jane mogła odpocząć, a w rzeczywistości przez nią było dwa razy tyle roboty. Tak jak teraz. Calum spał, więc chętnie by się gdzieś wyciągnęła, żeby odpocząć, a musiała przygotować herbatę i zanieść ją do pokoju matki.

- Nonsensowne przesady! Czy nie mogłabyś się tego pozbyć, kochanie? Oddaj na jakąś wyprzedaż albo wentę dobroczynną. Jestem pewna, że komuś się spodoba...

- Mnie się podoba, mamó. - Jane odstawiła filiżankę na toaletkę i wyciągnęła rękę. - Oddaj mi to, proszę.

- Nie musisz być taka agresywna, kochanie. Jestem pewna, że Adam nawet by nie zauważył, że tego nie ma... - Patrycja właśnie się odwracała, żeby odstawić talizman na stolik przy łóżku, kiedy drzewko wysunęło jej się z rąk. Wykonała gwałtowny ruch, żeby pochwycić je w locie, ale za późno. Małeńkie drzewko leżało teraz pogięte na dywanie u jej stóp, a dwie gałązki się odłamały.

- Mamó! - Jane patrzyła na nią przerażona. - Coś ty zrobiła?

- Przepraszam. Wyśliznęło mi się z ręki.

- No, tak. Wyśliznęło ci się. - Jane zamrugowała powiekami, żeby powstrzymać napływające łzy. Była wściekła i wyczerpana. Ukłękła i pozbierała drobne kawałeczki, przyglądając im się ze smutkiem.

- To drzewko miało wielkie znaczenie dla Adama.

- Więc najwyższy czas, żeby mu się poprawił gust - powiedziała Patrycja opryskliwie. Zupełnie nie okazywała skruchy. - Powinnaś wyrzucić te kawałki, kochanie. Adam nigdy nie zauważy. No, to teraz chyba sobie odpocznę, w przeciwnym razie będę nadal zmęczona, jak kochany Calum się obudzi.

Jane popatrzyła na matkę, nie wierząc własnym uszom, po czym wzruszyła ramionami. Już powzięła decyzję. Zaniesie te kawałeczki do jubilera, żeby to drzewko posklejał.

Szpital dla umysłowo chorych skontaktował się z Catrioną na podstawie adresu, który znaleźli w torbie Brid. Kręcąc głową z poczuciem winy, usiadła w swym mieszkaniu przy Royal Circus.

„Była w skrajnej nędzy, kiedy moja matka przyszła jej z pomocą, a ja zabrałam ją do siebie na jakiś czas, kiedy matka zmarła. Ale ona nie była normalna. Prawdę powiedziawszy, trochę się jej bałam. Ucieszyłam się, kiedy wyjechała. Nie, nie znam jej nazwiska. Powiedziała, że nazywa się Brid. Tylko tyle. Tak o sobie mówiła. Myślałam, że może jest z rodziny druciarzy, skądś z północy. Ale nie wiem nic o jej rodzinie ani czy ma w ogóle jakąś rodzinę”.

Spojrzała na numer telefonu nagryzmołony na skrawku papieru, który leżał na

bibularzu na biurku. Brid nie zwracała sobie głowy tą kartką i nie zabrała jej ze sobą. Doktor Adam Craig. „Nie, nie podam im tego nazwiska ani nie wspomnę o nożu - pomyślała Catriona. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego”.

Kuracja poskutkowała w pewnym stopniu, pamięć jej trochę wróciła, ale nadal pozostały w niej ogromne czarne dziury tam, gdzie powinny być wspomnienia. Brid siedziała teraz w wielkiej wspólnej sali szpitala psychiatrycznego przy stole zarzuconym kłębkami wełny do robótek ręcznych. Miała je posortować, ale bez przerwy gdzieś uciekały i tylko czasami udawało jej się ułożyć jednakowe w jednym miejscu; przeważnie nie pasowały do tych, które już były w koszyczkach. Rozglądała się dookoła nieprzytomnymi oczami, obejmując wzrokiem jasne, wzorzyste firanki w oknach oraz inne pensjonariuszki, siedzące tu tak jak ona. Niektóre były pod wpływem narkotyków, inne w stanie katalepsji. Siedziały na krzesłach o metalowych ramach, ze zwisającymi brezentowymi siedzeniami. Niebieska bawełniana sukienka Brid była za ciasna i niewygodna, sztywna od częstego prania, włosy, matowe i rozczochrane, podtrzymywała elastyczna opaska, żeby nie opadały na twarz. Jak się tu znalazła? Nic nie rozumiała.

Wydawało jej się, że miły lekarz w białym fartuchu i okularach w drucianej oprawce chce być jej przyjacielem. Lubiła z nim rozmawiać, kiedy miał na to czas. Był inteligentny i traktował ją tak, jakby była rozumną, wykształconą, zdrową kobietą. Nauczyła się już tego słowa: zdrowa. „Musisz być zdrowa, jeśli chcesz się wydostać z tego miejsca, w którym się teraz znajdujesz”. Ale ona nie wiedziała, skąd przyszła ani dokąd szła. I to, jak się zdawało, był problem, od którego nie było ucieczki. „Gdybyśmy tylko wiedzieli, że masz kogoś, kto mógłby cię do siebie zabrać, Brid, moja droga”. Uśmiechał się do niej, a ona wpatrywała się w fascynujący blask złota, który bił z jego zęba w kąciку uśmiechniętych ust. „Ale jeśli nie masz nikogo, musimy być pewni, że potrafisz zadbać o siebie, prawda?”

Czas mijał tak szybko tutaj, w tym uporządkowanym świecie. Ale jej to było obojętne. Jedną rzecz dziwiła lekarza w jej zachowaniu: Brid nie miała poczucia czasu. Czasami nocą, kiedy podczas obchodu zaglądali do niej, żeby zobaczyć, czy śpi, widzieli, że wyjmuje z torby śliczną puderniczkę, która należała kiedyś do

Jeannie Barron, otwiera ją i wpatrując się w małe lusterko, usiłuje opanować lekkie drżenie rąk - aż odbite w nim promienie światła przestaną się kołysać i tańczyć. Jej oczy w zagadkowo uśmiechniętej twarzy wpatrywały się w nieskończoną głębię mroku. Z początku nie dostrzegała niczego i zastanawiała się, dlaczego tak jest, aż pewnego dnia zamajaczyła przed nią na chwilę jakaś niewyraźna postać, nic więcej, i Brid zaczęła sobie coś przypominać. W jakiś niewytłumaczony sposób zrozumiała, że nie może pozwolić, żeby ktoś zobaczył, jak ona to robi. Nie wolno jej wspominać o tym doktorowi Sadlerowi. Gdyby to zrobiła, powiedziała by, że go zawiodła, i jej sytuacja znowu by się pogorszyła. Tak więc eksperymentowała w tajemnicy i powoli uzyskiwany obraz stawał się coraz wyraźniejszy.

Z początku myślała, że jej się to śni. Była kotem. Pięknym pręgowanym kotem o lśniącej sierści i wielkich złocistych oczach. Mogła do woli włóczyć się po ogrodach, przeskakiwać mury i płoty, wdrapywać się na drzewa i kraty, żeby zaglądać ludziom do okien. Aż pewnego dnia, kiedy obudziła się rano, zauważyła, że ma ziemię pod paznokciami. Leżała więc spokojnie w łóżku, przyciskając do piersi płaską, twardą szpitalną poduszkę, i wpatrywała się w sufit z triumfalnym uśmiechem na ustach. Odnalazła Adama. W swym śnie widziała go w jego ogrodzie. W swym śnie wyszła z cienia, jak kotka, ocierała się o jego nogi, i w tym śnie on się zatrzymał, dotknął dłonią jej głowy, pogłaskał po ramionach i potem przesunął rękę niżej, do miękkiej, jedwabistej sierści w pachwinie.

Usiadła i opuściła nogi na podłogę. W szafce trzymała swoją starą tkaną torbę. Wyciągnęła ją i otworzyła. Wewnątrz, ukryty pod podszewką, znajdował się jej własny, zardzewiały żelazny nóż i o wiele ładniejszy srebrny nóż do papieru, który ukradła Catrionie. Poza tym w torbie była tylko puderniczka i kilka innych drobiazgów, a wśród nich szylkretowy grzebień. Wyjęła go, usiadła na łóżku i przyjrzała mu się uważnie. Jej włosy, chociaż spłowiałe i potargane, były nadal czarne jak smoła. Te zaś, na grzebieniu, były rudozłote. A na samym dnie torby leżała, owinięta w chusteczkę do nosa, małeńka miedziana spinka od mankietu.

Jane zatrzymała się zmęczona, żeby wyjąć jedną z koszul Adama z koszyka z upraną bielizną. Jej matka, dzięki Bogu, w końcu wyjechała. W przeciwnym razie

byłaby teraz tutaj i krzyczałaby, żeby Jane uważała na siebie i nie przemęczała się, nie oferując właściwie swej pomocy, jak to się zdarzało codziennie podczas jej wizyty. Był pogodny, zimny, wietrzny dzień. Strzepując mokrą koszulę, Jane rozejrzała się dookoła. Jej wzrok objął gruszę, grządki róż i piaskownicę, którą Adam zrobił dla Caluma. Uśmiechnęła się z zadowoleniem i wyciągnęła rękę, żeby przymocować koszulę na sznurku. Nagle czysta, biała, bawełniana koszula wydeła się i zatańczyła na wietrze, więc Jane pochyliła się, żeby wziąć jeszcze jedną klamerkę do bielizny.

Kot pojawił się nagle, nie wiadomo skąd. Jane spokojnie wieszala koszule męża i nagle upadła. Jakieś ciepłe, pokryte futerkiem stworzenie owinięło się wokół jej nóg, a potem skoczyło i wpiło się pazurami w ramiona. I uciekło. Potrzebowała kilku minut, żeby otrząsnąć się z szoku. Klęczała na trawie, z trudem łapiąc powietrze, zdyszana i przerażona.

Kiedy w końcu stanęła na nogi i odwróciła się, żeby wejść do domu, poczuła nagle ostry ból w brzuchu.

Ten ból chwycił ją nagle znowu w środku nocy. Obudziła się, ciężko oddychając. Leżący obok niej Adam jęknął:

- Jane? Co się stało? Która godzina?
- Adamie, pomóż mi.

Był to dopiero piąty miesiąc ciąży. Pięciomiesięczna ciąża po ostatnim poronieniu; teraz Jane znów czuła, jak zaczyna z niej wypływać ciepła krew.

- Adam!

Jej pełen przerażenia krzyk poderwał go w ciągu kilku sekund na nogi. Ze ściśniętym sercem, pewien, że jest to ostatnia szansa urodzenia jeszcze jednego dziecka, zajął się żoną.

Świtało już, kiedy Jane w końcu zasnęła w ślicznej sypialni na tyłach domu, którą urządzili tylko dla siebie. Adam zmęczony wszedł do swojego nowego gabinetu, zaciągnął zasłony i otworzył drzwi balkonowe. W ten wczesny wiosenny poranek, świeży i zimny, trawa na klombie przed domem była ciężka od rosy. Gdzieś blisko ze wszystkich sił śpiewał kos na tle porannego chóru

rozbrzmiewającego w sąsiednich ogrodach. Adam słuchał tych treli ze łzami w oczach. Biedna Jane. I biedne dziecko. Dlaczego to się stało? Przystudiował wszystkie podręczniki, żeby miała zapewnioną najlepszą opiekę. Konsultował się z najbardziej doświadczonymi ginekologami. Powierzył ją opiece doktora Rogera Cohena, który należał do czołówki specjalistów od przedwczesnych porodów i napisał wiele prac na temat opieki nad kobietami skłonny do poronień, Cohen stwierdził, że wszystko idzie dobrze, kiedy byli u niego zaledwie przed tygodniem na wizycie kontrolnej. Więc co się stało?

Podszedł do szafki za biurkiem i wyjął z niej opróżnioną w trzech czwartych butelkę Laphroaig. Nalał do szklaneczki na dwa palce i wypił nie rozcieńczając. Poczul przyjemne palenie w gardle, więc nalał sobie jeszcze jedną porcję.

Zdenerwował się, kiedy usłyszał krzyk dziecka, i zdał sobie sprawę, że dobiega on z okna na górze.

Jak tylko Adam zrozumiał, co się dzieje, zadzwonił po Roberta Hardinga. Ten przyjechał natychmiast razem z Sarą, która wbrew wszystkim protestom Adama nalegała, żeby ubrać zdenerwowanego, niespokojnego Caluma, to go zabierze do siebie na noc. Jane nadal nie wiedziała, że Calum wyjechał. Robert jeszcze pozostał i wrócił do domu, kiedy było już po wszystkim. Okazał się prawdziwą opoką.

- Weź zwolnienie, stary, żeby przy niej być. O nic się nie martw. Zastąpię cię. Weź tyle urlopu, ile będziesz potrzebował.

Adam usiadł na krytej skórą sofie pod ścianą i spoglądał przez otwarte okno, głuchy na śpiew ptaków. W duchu przeklinał Boga swego ojca. Dlaczego? Dlaczego On pozwolił, żeby to się stało? Dlaczego, skoro tyle się rodzi na świecie niechcianych dzieci, On pozwolił, żeby Jane straciła dziecko, którego tak bardzo pragnęła? Tę tak bardzo oczekiwaną dziewczynkę. Łzy spływały mu po twarzy i trzymając w zdrtwiałych palcach szklaneczkę między kolanami, pozwalał im płynąć nie powstrzymanie. Na dworze robiło się coraz widniej i coraz cieplej.

Dopiero gdy wypił wszystko z butelki, niepewnie stanął na nogi i wszedł po schodach na górę, żeby zobaczyć, jak się czuje żona. Leżała na boku z twarzą bardzo bladą i z zamkniętymi oczami.

- Jane? - szepnął. - Nie śpisz?

Nie poruszyła się. Usiadł ciężko na skraju łóżka i patrzył na nią zrozpaczony.

- Jane, kochanie. Tak mi przykro. Próbowaliśmy wszystkiego, wiesz przecież...

Jego spojrzenie padło na nocny stolik i zmarszczył czoło. Talizman, który dostał od Lizy, nie stał na swoim zwykłym miejscu, obok lampy. Rozejrzał się po pokoju. Nie było go na toaletce ani na półeczce z chińskimi bibelotami, nie było na półce z książkami ani na stoliku koło drzwi, gdzie jeszcze wczoraj Jane postawiła wazon z żonkilami.

- Jane - odezwał się spokojnie. Całym jego ciałem wstrząsnął dreszcz, jakby ktoś przejechał paznokciami po szybie. - Jane, kochanie, gdzie jest ten talizman od Lizy?

Jęknęła cicho i wtuliła twarz głębiej w poduszkę.

- Jane! - powtórzył głośniejszym głosem. Wstał i obszedł łóżko dookoła, na stronę, gdzie leżała. - Przepraszam, kochanie, ale muszę wiedzieć. Gdzie jest talizman od Lizy?

- Co? - Błada twarz, którą zwróciła ku niemu, była teraz zaczerwieniona, jeden policzek rozgrzany od poduszki. Oczy miała podpuchnięte, załzawione od lekarstw, które podali jej z Robertem.

- Kochana moja, tak mi przykro. - Ukłękł koło łóżka i pocałował ją w policzek. - Powiedz mi tylko, gdzie on jest, i pozwolę ci dalej spać.

- Liza? - Zmarszczyła czoło. - Gdzie jest Liza?

- Gdzie jest ten talizman od niej, Jane? - powtórzył głośniejszym głosem. - Proszę. Muszę wiedzieć. - Drżał gwałtownie.

- Adamie, nasze dziecko... - Nagle łzy zaszkliły się w jej oczach.

- Wiem, kochanie, i tak mi przykro. - Nagle uderzył pięścią w narzutę. - Jane, powiedz mi, proszę. Gdzie to jest?

- Oddałam do naprawy. Upadł i te małe srebrne gałązki się odłamały. A kryształ wypadł z oprawy,

- Niech to diabli! - Adam zerwał się na nogi i uderzył dłonią w czoło. - Ona to zrobiła! Brid! To ona zamordowała nasze dziecko - jęknął głośno. - Och,

Jane! Dlaczego? Dlaczego mi nie powiedziałaś? Dlaczego pozwoliłaś, żeby to zniknęło z naszego domu? Wiedziałaś, jakie to ważne, żeby to tutaj było.

- Mama powiedziała, że to bzdurny przesąd. - Jane zaczęła płakać. - Ona je upuściła. Myślę, że zrobiła to umyślnie. Nigdy tego nie lubiła. Och, Adamie. - Szlochając gorzko, opadła na poduszki. - Nie myślałam, że to ma jakieś znaczenie, jeśli zabierze się to stąd na krótko, tylko na czas naprawy. Tak dawno nie wspominałeś Brid. To nie mogła być ona. To niemożliwe. To był wypadek. To ten kot. Nikt by czegoś takiego komuś nie zrobił. Och, Adamie, proszę.

W końcu znowu odwrócił się do niej, podszedł do łóżka i ukląkł. Ujął jej dłoń i przycisnął do ust.

- Przepraszam, kochanie. Nie powinienem cię tak denerwować. Nie. Oczywiście, to nie była ona. Postaraj się zasnąć. To nie mogła być ona, na pewno. Mamy wspaniałego, ślicznego chłopca, mamy wspaniałą rodzinę.

Później, w ogrodzie, zapalił papierosa i stanął, przyglądając się grządce jasnoniebieskich cebulek morskich. Widok tych małych kwiatków pocieszył go. Były takie wytrzymałe, odporne na podmuchy lodowatego wiatru i zacinający deszcz ze śniegiem, które zniweczyły piękno tego wiosennego poranka.

A-dam?

Pokręcił lekko głową i zaciągnął się głęboko papierosem.

A-dam, gdzie jesteś?

Wyprostował się i rozejrzał dookoła. Żołądek zacisnął mu się w nagłym proteście. Zgasił papierosa i rzucił go na trawę. Oddychał powoli i głęboko. *Uspokój się i nakreśl w myślach kolo wokół siebie. Ustaw w wyobraźni lustro między sobą i tą dziewczyną, i rzuć jej myśli z powrotem w twarz. Jeśli jesteś w kuchni, użyj soli, by naznaczyć krąg na podłodze...* Słyszał słowa wypowiedane twardym walijskim akcentem głęboko w mózgu i nagle ujrzał twarz Lizy, obserwującej z lekkim uśmiechem na ustach, jak on stara się zwalczyć swój sceptycyzm.

- Ty jędzo! - zawołał nagle głośno. - Ty małostkowa, złośliwa cygańska jędzo z tymi swoimi klątwami, urokami i czarami! Wynoś się z naszego życia! Słyszysz mnie? Wynoś się!

Kocham cię, A-dam!

Teraz głos docierał do niego z większej odległości, urywał się jak dźwięk radia, gdy w pobliżu szaleje burza z piorunami.

- Nie! - krzyknął Adam tak głośno, że musiano go usłyszeć dwa ogrody dalej, gdzie sąsiad ścinał biały wrzos do ozdobnej misy stojącej w holu. Podniósł wzrok, ale dyskretnie udał, że nie rozpoznaje głosu swego sąsiada, statecznego, eleganckiego lekarza.

Adam odwrócił się plecami do ogrodu i wszedł do domu. Zamknął drzwi balkonowe, zaryglował je i zasunął kotary, które wydały charakterystyczny klekot. Potem poszedł do kuchni i postawił czajnik na gazie. Zaniesie Jane filiżankę herbaty, a potem pójdzie do Hardingów po Caluma.

Jane siedziała na łóżku otulona szlafrokiem.

- Na kogo krzyczałeś? - Uśmiechnęła się do niego. Twarz miała mizerną i bladą.

- Na nikogo. Oparzyłem się o czajnik. - Ostrożnie postawił tacę.

- Och, Adamie, powinieneś uważać. Gdzie jest Calum? Nabrał głęboko powietrza.

- Wczoraj wieczorem Sara zabrała go do siebie. Pomyśleliśmy, że tak będzie najlepiej. Zaczynało go to wszystko przerażać. Biedny chłopiec.

- Rozumiem. - Zaciśnęła usta. - Kiedy Sara przyprowadzi go z powrotem?

- Właśnie miałem zamiar do nich pójść i przyprowadzić go. To znaczy, jeśli chcesz, żeby wrócił do domu. Jestem pewien, że go zatrzymają, jeżeli...

- Nie! Chcę, żeby tu był. Z nami. - Nagle znowu zaczęła płakać.

- Dobrze, kochanie. Ale będę musiał zostawić cię samą. - Postawił filiżankę z herbatą na nocnym stoliku. - No, kładź się, będzie ci ciepło i będziesz bezpieczna. Wrócę za niecałe pół godziny.

Skinęła głową.

- Nic mi się nie stanie. Tylko przyprowadź go, Adamie, proszę.

Wyszedłszy na ulicę, popatrzył w obie strony. Była pusta, jak zwykle po południu w dzień powszedni. Zrobiło się zimno. Dzieci przestały się bawić na

dworze i wróciły do domów na podwieczorek i żeby odrabiać lekcje. Zerwał się silny wiatr, zginał drzewa i szarpał żywopłoty, odgradzające przydomowe ogródki od ulicy, rozhuśtał elegancki szyld z kutego żelaza, wiszący nad sąsiednim domem. Adama przeszył dreszcz. Pobiegnął do swojego riley'a, zaparkowanego przy krawężniku. Gmerając w kieszeni w poszukiwaniu kluczyków od samochodu, obejrzał się przez ramię.

Jakaś postać pojawiła się w oddali, na rogu ulicy. Adam wyprostował się i przyglądał jej przez chwilę. Była to kobieta, i chyba miała długie włosy. Zacisnął tak mocno rękę na kluczykach, że mu otarły do krwi skórę, ale nie zwrócił na to uwagi. Przez chwilę nie był zdolny się poruszyć, potem szybko otworzył drzwiczki auta i wsiadł. Kiedy je zatrzasnął za sobą, od razu poczuł uspokajający zapach skóry, benzyny i papierosów. Drżącą dłonią włożył kluczyk do stacyjki i zerknął w boczne lusterko. Kobieta zniknęła. Odjechał od krawężnika, skręcił w pustą ulicę i dodał gazu.

Jednak po kilku metrach zahamował z piskiem opon. Nie może teraz zostawić Jane samej. Musi wrócić. Obrócił się na siedzeniu i zaczął się powoli cofać, aż zatrzymał się przed frontowymi drzwiami. Cóż takiego w końcu Brid może mu zrobić? Takie dziewczątko. Szczupłe. Delikatne. Nie przypominał sobie teraz dokładnie, jak ona wygląda, ale przecież nie mogłaby mu wyrządzić krzywdy. Wykręcił samochód i otworzył drzwiczki. Wsiadł, rozprostował ramiona i spojrzał ku końcowi ulicy, gdzie widział tę kobietę. Nie było po niej ani śladu. Popatrzył uważnie w jedną stronę, w drugą, badając dokładnie wzrokiem żywopłoty, ogródki przed frontami domów i kilka zaparkowanych samochodów, a także szeroki, obsadzony drzewami chodnik. Nie zauważył nic. Ulica była pusta. Może kobieta weszła do innego domu? Po raz ostatni przyjrzał się dokładnie wszystkiemu dookoła i wrócił do samochodu. Nie będzie go przecież najwyżej pół godziny, a drzwi domu są zamknięte na klucz.

W domu Jane nadal spała. Przytłoczona nieszczęściem, przyciskała do piersi poduszkę. Czuła ból w sercu i piekącą pustkę w brzuchu, a jej cierpienia powiększały jeszcze męczące sny. Widziała w nich Adama stojącego w ogrodzie.

Było ciemno i światło księżyca zapowiadające burzę sączyło się przez drzewa. Obok niego było jakieś zwierzątko. Zesztywniała w tym swoim śnie, obserwowała go, chciała go zawołać, ale się bała, że ściągnie na siebie uwagę. Może to zwierzątko go nie widzi. Może sobie pójdzie. Odsunęło się trochę od krzaków i wtedy zobaczyła, co to jest. Kot. Ogromny, pręgowany kot z nisko osadzonymi dzikimi oczami. Kiedy się odwrócił i spojrzał prosto na nią, zobaczyła, że z jego zębów ścieka krew.

- Adam! - Krzyk zamarł jej w gardle. Wiedziała, że to tylko sen, starała się obudzić, ale nie mogła. - Adamie, uważaj! Wejdz do domu! Szybko! - Ale głos odmówił jej posłuszeństwa. Nie mogła wydać z siebie żadnego dźwięku.

Potem kot ukazał jej się w pełnym blasku księżyca. Podeszedł do Adama i mruczając ocierał się o jego nogi. Stał krew z zębów miękkimi srebrzystymi łapkami, a Adam spojrzał na niego i pochylił się z uśmiechem, żeby go pogłaskać. I wtedy Jane się obudziła. Drżała gwałtownie. Wiedziała, że zaraz zwymiotuje. Wstała z łóżka i slaniając się przeszła do łazienki. Ukłękła na zimnym linoleum i pochyliła nad muszlą klozetową. Raz po raz chwytaly ją torsje. Kiedy ustąpiły, była zlana potem i drżała. Podeszła do drzwi.

- Adam?

Ale on oczywiście już wyszedł. Pojechał odebrać Caluma od Hardingów. Otuliła się szlafrokiem, podeszła do okna i wyjrzała. Słońce już nie świeciło. Silny, porywisty wiatr kołysał gałęziami starej gruszy rosnącej na trawniku za domem, szeleścił suchymi zeszłorocznymi liśćmi, leżącymi pod starym murem. Jane czuła się nadal bardzo słaba, więc na chwilę oparła się o parapet. Zimna szyba chłodziła jej czoło.

Kot obserwował ją, siedząc w cieniu, pod murem. Zaskoczona wstrzymała oddech, kiedy jej wzrok spotkał się ze spojrzeniem złocistych oczu zwierzęcia. Przez chwilę ona i kot wpatrywali się w siebie bez ruchu. Był to pręgowany kocur o śnieżnobiałych łapkach. Są większe niż zwykłe kocie łapy - pomyślała przerażona. Stała zahipnotyzowana spojrzeniem tych kocich oczu, sparaliżowana niezwykle silnym uczuciem nienawiści, którym zwierzę zdawało się emanować. Żadne z nich nie poruszyło się przez kilka sekund i w końcu to Jane oderwała od kota wzrok.

Powinna czymś w niego rzucić. Wstrętny zwierzak. Jej sadzonki były w niebezpieczeństwie. Zniszczy je i podepcze. Może to przez niego straciła dziecko? Powstrzymując łzy, rozejrzała się dookoła, szukając czegoś, czym mogłaby rzucić w kocura. Ale kiedy się obejrzała, już go nie było.

- Ona sobie nie poradzi, Lizo.

Adam siedział przy swoim biurku ze słuchawką w dłoni, przed nim stała filiżanka szybko stygnącej kawy. Z roztargnieniem przeczesywał palcami włosy.

- Nie chce słyszeć o tym, żeby zaopiekowali się nim Hardingowie albo jej matka, ale on ją wykańcza.

Jane była nadal bardzo słaba. Wyczerpały ją wydarzenia ostatnich kilku tygodni, ale do tej pory powinna już się poczuć lepiej. Adam miał wrażenie, że emocjonalnie Jane znosi stratę dziecka lepiej, niż przewidywał. Była wprawdzie smutna i czasami sobie popłakiwała, ale tego należało się spodziewać. Czerpała pociechę z towarzystwa synka, bała się jednak, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo. Prześladowała ją myśl, że coś złego mu się stanie, miała obsesję na punkcie kota, który ją zaatakował. Zabraniała Adamowi zostawiać otwarte okna. Wpadała w panikę, kiedy otwierał drzwi balkonowe w swoim gabinecie, i nalegała, żeby zaciągać kotary, czego nie robili nigdy, od czasu kiedy zamieszkali razem. Talizman został odebrany od jubilera i wrócił na swoje miejsce obok ich łóżka.

- Pozwól Calumowi przyjechać do mnie, Adamie. - Głos Lizy po drugiej stronie świadczył o tym, jak bardzo pragnie wziąć Caluma. - Tak bardzo bym chciała mieć go u siebie, wiesz przecież. Ona nie miałaby nic przeciwko temu, prawda? Mógłby się bawić z Juliettą i znów zobaczyć jagniątko. I byłby tu bezpieczny, obiecuję. Pilnowałabym go.

„I trzymała z dala od Brid". To niewypowiedziane zdanie zawisło w powietrzu.

Zapadła długa cisza.

- Jesteś tego pewna? Ona potrzebuje tylko trochę czasu, żeby wrócić do zdrowia. Nie sądzę, żeby miała coś przeciwko temu, by spędził jakiś czas u ciebie. - Adam z ulgą zamknął oczy. U Lizy Calum byłby daleko od tego domu. I blisko

Meryna. - Święta z ciebie kobieta, Lizo. Czy jesteś pewna, że Phil się zgodzi? - Przez kilka chwil słuchał zapewnień Lizy, wreszcie uśmiechnął się, odłożył słuchawkę i głośno odetchnął.

Liza przyjechała po Caluma nowiutkim morrisem travellerem. Swoje wspaniałe długie włosy obcięła krótko, według ostatniej mody. Miała na sobie oszałamiająco elegancką sukienkę.

- Lizo, co się stało? - Adam był naprawdę pod wrażeniem. To nie była jego Liza. To jakaś obca kobieta.

- Trzeba iść z duchem czasu. Moje siostry oczekują ode mnie, żebym wyglądała modnie. - Zachichotała swoim gardłowym śmiechem. - Nie zapominaj, że one nie odwiedzają mnie w domu. Zwykle ja jeżdżę do nich. Do Rzymu i do Paryża. Powinieneś mnie zobaczyć. - Obróciła się dookoła, demonstrując szerokość kloszowej spódnicy. - Potem wracam do Walii. To wszystko ładuje w szafie, a ja wskakuję w stare spodnie i grube, długie wełniane swetry, i maluję, maluję, maluję w stodole, aż przychodzi pora, żeby znowu wyjść, gdzieś pojechać i znaleźć sobie nową ofiarę. - Przytuliła Juliette i ucałowała jej złocistą główkę. - Phil i Julie nie chcą ze mną rozmawiać, kiedy jestem taka wyelegantowana. Nie poznają mnie. Prawda, kochanie? - Pogłaskała małą po nosku i kazała jej pójść się bawić z zachwyconym Calumem.

Adam się uśmiechnął. Obserwował twarz Jane, kiedy się przyglądała ślicznej sukience Lizy, i dostrzegł na niej tęsknotę. Przynajmniej to może dla niej zrobić. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Zabierze ją do Paryża albo do Londynu. I wyda na nią trochę pieniędzy. Przeklinał siebie, że nie pomyślał o tym wcześniej. To Jane zawsze miała jakieś pomysły, to Jane planowała urlopy tam, gdzie było dużo piasku i morze dla Caluma. I nigdy nie przyszło mu do głowy, kiedy spał na leżaku, wyczerpany swoją pracą, albo budował zamki z piasku, albo baraszkował z Calumem w morzu, że ona może być znudzona i zniecierpliwiona, i tęskni do blasku światła wielkiego miasta. Otóż to! Zrobią sobie wakacje, podczas gdy Calum i Julietta będą się bawić razem, bezpieczni wśród wzgórz Walii. Wtedy może zapomną o pręgowanym kocie ze skośnymi oczami i chronieni przez talizman,

pozostawią niewypowiedziane myśli za sobą. Na zawsze.

Brid siedziała spokojnie w szpitalu, z oczami utkwionymi w bezkresnej dali. Z początku toczyła wojnę z personelem oddziału psychiatrycznego, ale dali jej jakieś lekarstwa i zgubiła ślad wśród długich, zawiłych meandrów czasu, które przewijały się przez jej głowę. Znowu walczyła z mężczyznami i kobietami, którzy ją pielęgowali, przywiązywali do łóżka i wkłuwali igły w ramię. Czas stanął w miejscu. Tygodnie. Miesiące. Lata. Nie wiedziała, ile ich minęło, i nie obchodziło jej to. Jej zdolności osłabły, zmalowały, więdła jak kwiat na mrozie. Ale w końcu się ocknęła. Pamięć jej wróciła. Skoncentrowała myśli na Adamie i ujrzała go. Tym razem będzie ostrożniejsza.

Zdenerwowała Adama. Wiedział, że przestraszyła tę kobietę i że to ona jest odpowiedzialna za śmierć jego dziecka. Głupi. Dziecko było słabe i umierało już w łonie matki. Gdyby było silne, trzymałoby się kurczowo życia. Wracała do tego myślami raz po raz. Jeśli postanowi pewnego dnia zniszczyć Jane, będzie musiała być o wiele sprytniejsza. Bardziej wyrafinowana. Adam nie może się dowiedzieć o jej planie. A tymczasem musi się do niego jakoś zbliżyć. Zmusić go, żeby ją znowu pokochał. Żeby nie mógł się oprzeć kotce. Powoli, między przerwami w narkotycznym śnie po zażyciu lekarstw w szpitalu, który chciał uwięzić jej ducha i przykuć ją do łóżka, uwolniła się od swego ciała i poszła do ogrodu. Była pewna, że potrafi zmusić Adama, żeby zapomniał o Jane i tym cherlawym zmarłym dziecku i zwrócił się znowu do niej - po pomoc i po miłość.

Rozdział dziesiąty

Wizyty u Lizy, Phila i małej Julietty stały się zwyczajem. Trwały od przeszło dziesięciu lat w czasie letnich wakacji. Czasami Adam także się wybierał, ale bywało i tak, że Calum jechał sam pociągiem. Częściej jednak Jane ładowała synka

do samochodu i razem ruszali na zachód.

Adam z przyjemnością zostawał sam w domu. Kiedy Jane wyjeżdżała, odprężał się. Mógł odpoczywać, palić swoją dziwną starą fajkę, wpaść czasem do pubu, spokojny o to, że żona nie będzie na niego patrzyła z wyrzutem. A gdy wracała, pozostawiwszy syna w Walii na czas letnich wakacji, czasem wybierali się gdzieś razem, po czym Adam znów się zabierał do pracy. Latem, kiedy wszyscy wyjeżdżali i zostawiali go samego, ośmielał się wpuścić kota do domu.

Calum i Jane traktowali swą podróż przez Anglię jak przygodę. Żadne z nich się do tego nie przyznawało, ale uważali, że Adam ich krępuje. Był zbyt surowy, miał zbyt wielkie ambicje wobec Caluma. W miarę upływu czasu zmuszał chłopca do coraz intensywniejszej nauki w szkole.

- Pewnego dnia zostaniesz lekarzem tak jak ja, mój synu - mawiał z uśmiechem, a Calum potakiwał, aprobował plany ojca. Z początku obaj traktowali to jako żart. Żaden z nich nie wiedział i nie zastanawiał się nad tym, do czego Calum ma zdolności. To nie miało znaczenia. Chłopiec był zdolny, egzaminy zdawał z dobrymi wynikami. Ale powoli ta gra stawała się coraz bardziej serio, zmieniała się. Ojciec żądał, by Calum był wzorem. Nacisk w sposób ledwo dostrzegalny wzrastał, zmienił się w poważne wymagania; prawdziwych zainteresowań Caluma, jak to czasem dostrzegała jego matka, zupełnie nie brano pod uwagę w rozmowach na ten temat. Chłopiec zbyt dobrze wiedział, jakie ambicje wiąże z nim ojciec, żeby się odważyć wystąpić z własnym zdaniem. Jane próbowała z nim o tym porozmawiać, ale wtedy tylko się miło uśmiechał i mówił, odgarniając włosy, opadające mu na oczy:

- Nie martw się, mamó, nie pozwolę, żeby on mnie zmusił do czegoś, czego nie będę miał ochoty robić.

I matka musiała się tym zadowolić, choć miała zamiar wystąpić stanowczo, jeśli jej syn poczuje się naprawdę nieszczęśliwy. Był niepodobny do Adama. I na tyle, na ile mogła się zorientować, był także niepodobny do niej. Dostrzegała w nim jakieś ślady cech swego ukochanego ojca, który zmarł przed czterema laty, ale tylko ślady. Gdzie miała swe źródło cała reszta: spokojny, pełen ufności urok i nieśmiałość

zachowanie, nie wiedziała.

Nie zaszła już nigdy w ciążę. Kiedy miesiące mijały i przemieniały się w lata, przestała wierzyć w cud, że zdoła dać Calumowi braciszka lub siostrzyczkę. Coraz więcej uwagi poświęcała więc synowi. Tego przełomowego lata, kiedy Calum musiał zdecydować, co ma zamiar studiować, Jane postanowiła przeprowadzić z synem poważną rozmowę.

Spotkanie z nim sam na sam okazało się trudniejsze, niż przewidywała. Od pierwszej chwili, kiedy przyjechali do Peny - Ffordd, Calum i Julietta byli cały czas poza domem. Szaleli na dwóch zardzewiałych rowerach, które ocalały w czasie porządków robionych w stodole sąsiada; zostały naoliwione i uruchomione; Calum i Julietta jeździli na nich do Hay albo hen, na wzgórze.

- Calum? - Jane oparła dłonie na kierownicy jego roweru, w chwili gdy pakował paczki z kanapkami do koszyka przymocowanego na bagażniku Julietty. - Nie widziałam cię przez całe te wakacje. - Uplęły właśnie dwa tygodnie z ich zaplanowanego na sześć tygodni pobytu.

- Och, mamusiu. - Obdarzył ją tym swoim ujmującym uśmiechem, na którego widok zawsze miękło jej serce. - Daj spokój. Widujesz mnie codziennie przez cały rok. Teraz mam labę. Z Julią widujemy się tylko przez te kilka tygodni...

Wzruszyła ramionami i cofnęła się.

- Dobrze. Ale czy możemy porozmawiać dziś wieczorem? Proszę.
Zmarszczył czoło.

- Chyba nie stało się nic złego? - Nie. Nic się nie stało. Chcę tylko coś z tobą przedyskutować. Kiedy nie ma ojca. Poza domem. - Czy musi mu to wszystko przeliterować? Uśmiechnęła się. - Jedźcie sobie teraz. Oboje. Miłego dnia. Zobaczymy się wieczorem.

- Ale, ciociu Jane, my idziemy na przyjęcie. - Julietta przerzuciła swoje długie złociste włosy przez ramię. Miała na sobie jasnoniebieską koszulową bluzkę i obcisłe dzinsy z paskiem.

- Więc pójdziecie. Słyszałam, jak twój tatuś mówił, Julietto, że was odwiezie. - Jane udało się jakoś powstrzymać westchnienie. - Wszystko, czego

potrzebuję, to pół godziny rozmowy z Calumem. Potem cały już będzie należał do ciebie. - Obserwowała, jak jadą pod górę, i słyszała ich dźwięczny śmiech, kiedy minęli zakręt i zniknęli pod zielonym baldachimem żywopłotów.

Idąc wolno w kierunku domu, zatrzymała się na chwilę i oparła na bramce do sadu. Czy jakaś część tego ciężaru, który czuje w sercu, pochodzi stąd, że jest trochę zazdrosna? Te dzisiejsze dzieciaki są takie beztroskie. Kiedy ona była w ich wieku, na horyzoncie majaczyły już czarne cienie grożącej wojny. Jej nie powstrzymywało to bynajmniej od chodzenia na przyjęcia. To dzieciństwo Adama wydawało jej się bardzo ponure i samotne. Nigdy o tym wiele nie mówił, ale zawsze w jego opowiadaniach majaczyła ponura plebania i surowy, pozbawiony poczucia humoru ojciec.

Staruszek, trochę po siedemdziesiątce, nadal mieszkał na plebanii, ciągle sam. Kiedy została zamordowana jego gospodyni, nie zatrudnił nikogo na jej miejsce. Adam i Jane nie odwiedzili pastora ani razu od swego ślubu, mimo że Jane wymyślała różne preteksty, a Calum był ciekaw, jak wygląda rodzinny dom jego ojca i chciał poznać swego dziadka. Od ślubu widzieli staruszkę tylko raz, kiedy odbył podróż na południe, na chrzciny wnuka. Pozostał na jedną noc. Śmiertelna powaga i ponury sposób bycia nie zyskały mu sympatii gości. Poprosił więc Adama, żeby go odwiózł na stację. Poza zasięgiem wzroku Jane ojciec - i syn zamienili zaledwie jedno słowo, uścisnęli sobie ręce na peronie i Adam nie zaczekał nawet, aż ojciec wsiądzie do pociągu.

Liza, spacerując w słońcu, podeszła do stojącej przy furtce Jane.

Jane wzdrygnęła się.

- Myślami byłam wiele mil stąd.

- Martwisz się o swego staruszkę?

- Nie - zaprzeczyła Jane z uśmiechem. - To jedyne, czym nie muszę się martwić, dzięki Bogu. Martwię się o Caluma.

- Wydaje mi się, że wygląda świetnie.

- Tak. Tylko się zastanawiam, czy Adam nie jest dla niego zbyt surowy.

Wiesz, to dziwne. Tak bardzo nienawidził swego ojca za jego surowość, a przejął jej

od niego wcale nie mało.

- Naprawdę? - Liza zamruwała powiekami. - No to musiał się bardzo zmienić.

Jane skrzywiła się, niezadowolona. Nadal nie lubiła aluzji do wspólnej przeszłości Lizy i Adama.

- Tylko pod pewnymi względami. Adam jest święcie przekonany, że Calum zostanie lekarzem.

- A on nie chce?

- No właśnie nie wiem. Mam głębokie przeczucie, że tylko tak mówi, żeby sprawić ojcu przyjemność, a w rzeczywistości chciałby robić, zupełnie co innego, ale nie wiem co. Nie zwierza mi się ze swych planów na przyszłość.

- Jest jeszcze taki młody, Jane. Czy musi się już teraz zdecydować?

- Wiesz przecież, że tak. Teraz należy wybrać przedmioty, których będzie się musiał uczyć. - Jane, wcale nie przekonana, potrząsnęła głową. Nie lubiła, kiedy jej wytykano, że jest taka zrzędliva.

- Zapomnij o tym na czas, wakacji. Pozwól dzieciakom się bawić i nie myśleć o przyszłości.

Zabłąkany powiew lekkiego wiatru dotarł na dół z zacienionego zbocza góry i wpadł do sadu, poruszając liśćmi drzew. Lizę przeszył dreszcz.

- Wejźmy do domu i napijmy się kawy. A potem poszukamy Phila i dowiemy się, czy zechce pojechać z nami do Brecon.

Calum i Julietta ukryli rowery w wysokich paprociach w pobliżu drogi i ruszyli pieszo na wzgórze. Kanapki niósł Calum w torbie przewieszanej przez ramię. Słońce prażyło, więc instynktownie kierowali się ku odległym drzewom, gdzie wąska dolina wcinała się we wzgórze. Ponad jej stromym brzegiem płynął strumyk z lodowato zimną górską wodą.

- Czego mama chciała od ciebie? - Julietta odwróciła się do Caluma, podskakując tanecznym krokiem jak rozdokazywane dziecko.

Wzruszył ramionami i wzniosł oczy do nieba.

- Martwi się, jak zwykle. Wbiła sobie do głowy, że tak naprawdę, to ja wcale

nie chcę być lekarzem. Że tylko tak mówię, żeby zrobić przyjemność tacie.

- A chcesz? - odwróciła się i popatrzyła na niego błękitnymi jak chabry oczami, mrużąc je w blasku słońca.

Znowu wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem. Może. Muszę kimś zostać.

- Nie zależy ci?

- Chyba tak. Nie chcę jeszcze o tym myśleć. Tata jest zawsze taki poważny.

On nigdy nie złagodnieje. Czy myślisz, że znajdziesz czas, żeby przyjechać tu do nas latem na tydzień albo chociaż na parę dni? Nie. Woli siedzieć w domu. Oto, ile go obchodzimy. - Kopnął ze złością jakiś kamyk na wąskiej dróżce, wydeptanej w trawie przez owce.

- On cię bardzo kocha, Calum. - Julietta mówiła poważnie, wyczuwając, że za jego słowami kryje się rozgoryczenie. - To nie dlatego tu nie przyjeżdża. Pewnie musi pracować tak ciężko, bo jest lekarzem. Oni chyba nie mają wiele urlopów i wolnych dni. Nasz lekarz w Hay jest zawsze na miejscu. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek wyjeżdżał. Założę się, że wujek Adam wolałby być tutaj, z tobą, gdyby mógł.

- Może. - Calum odął wargi i zrobił kwaśną minę. - Więc może dlatego nie chcę być lekarzem. Nie chcę pracować bez przerwy i nie mieć ani jednego dnia wolnego. To nie jest zabawne.

- Pewnie, że nie. - Wzięła go za rękę. - Chodź, dosyć poważnych rozmów. Zapomnij o ojcu. Zapomnij o wszystkim. Ścigajmy się, kto pierwszy dotrze do jeziora, a potem zjemy sobie w cieniu kanapki.

Mieli swoje ulubione miejsce w pobliżu małego jeziora, gdzie orze - chowobrzazowa woda gromadziła się u stóp wodospadu. Skały w pobliżu były pokryte rozgrzanym od słońca mchem i tam właśnie usiedli, spuściwszy nogi do lodowato zimnej wody.

- Popływasz? - Julietta odwróciła się do Caluma, kiedy wpatrywali się w swoje odbicia w wodzie.

Skinął głową. - A ty? Uśmiechnęła się.

- To najlepszy sposób, żeby nabrać apetytu. - Pod dzinsami i koszulową bluzką miała skąpy nylonowy biustonosz i takie same majteczki. Jej szczupłe jasne ciało stanowiło kontrast z opalonymi dłońmi, ramionami i twarzą. Calum się uśmiechnął.

- Lubię kostiumy bikini. - To nie jest bikini.

- Ale prawie.

Przewidując taką sytuację, włożył pod dzinsy kąpielówki. Ostrożnie wśliznął się do wody. Była tak zimna, że dech mu zapało.

- Wchodź.

- Nie będziesz mnie ochlapował? - uśmiechnęła się zalotnie.

- Tylko trochę. - Miał oczy podobne do oczu ojca, ocienione długimi, ciemnymi rzęsami. - I tylko wtedy, gdy będziesz się ociągała z wejściem do wody dłużej niż dwie minuty. - Przeplłynął przez jezioro kilkoma wyrzutami ramion i jego stopy natychmiast wyczuły skaliste dno. Balansując na śliskich wodorostach, odwrócił się twarzą do dziewczyny.

- Liczę: raz!

- Nie! - krzyknęła i zanurzyła w wodzie duży palec. - Dwa!

- Jest taka zimna.

- Trzy! - Zrobił ruch ręką, jakby zamierzał zaczerpnąć wody.

- Nie, Calum, nie! Już wchodzę. - Julietta wstrzymała oddech i ześliznęła się z omszałej skały. Woda była tak lodowato zimna, że nie mogła złapać tchu. Chwytała z trudem powietrze, posuwając się po dnie, a potem popłynęła ku chłopcu.

- Doskonale! - Oczy mu błyszczały. - Czy wiesz, że w wodzie twój biustonosz staje się przezroczysty?

Przykryła piersi dłońmi.

- Calum, ty bestio!

- Zdejmij go. No, dalej. Możesz przecież to zrobić. - Wyciągnął rękę, żeby odsunąć pasmo jej długich włosów z ramienia. - Dlaczego nie? Nikt nie zobaczy.

- Ty zobaczysz - odparła z oburzeniem, nie całkiem poważnym tonem.

- Widziałem cię już nagą.

- Kiedy? - Była oburzona.
- Mnóstwo razy. W kąpielni, kiedy byłaś malutka.
- Kapaliśmy się razem, więc ja także cię widziałam.
- W piaskownicy za stodołą.
- Miałam tylko trzy latka.
- Latem w zeszłym roku, kiedy wszedłem do łazienki, a ty malowałaś sobie

paznokcie u nóg...

- Dobrze, dobrze! - Zaczerwieniła się. - Ale teraz go nie zdejmę. - Rzuciła się do wody i młóciła nogami, opryskując go strumieniem wody. - Przestań! - Zanurkował, żeby chwycić ją za nogi.

- Mogę ci go teraz zdjąć.
- Nie wolno!

Nagle krzyknęła, bo się poślizgnęła, próbując znaleźć oparcie dla stóp. Upadła i znalazła się pod wodą. Wstała zachłystując się. Calum był zaniepokojony.

Kiedy ona kaszlała i wypluwała wodę, jego palce błędziły wokół zapięcia biustonosza. Zanim zdążyła się zorientować, co on robi, było już za późno. Z okrzykiem triumfu wyrwał biustonosz spod jej przyciskających go do piersi dłoni i odbiegł, żeby nie mogła go dogonić.

Przez chwilę jej twarz wyrażała konsternację, ale zaraz się rozpogodziła i Julietta zaczęła się śmiać. Wyciągnęła ręce ponad głowę i wyprężyła się, wysuwając do przodu swe maleńkie, ociekające wodą piersi. Potem wolno sięgnęła do majteczek i zaczęła je ściągać.

- No, dalej. Jeśli ja to robię, ty musisz także.
- Ja? - Przez chwilę się wahał, świadom, co sięgająca pasa woda ukrywa.
- No, dalej! - Była teraz całkiem naga i wciąż się śmiała.

Jednym ruchem ściągnął kąpielówki i zakręciwszy nimi ponad głowę, cisnął je na skały. Zaczął wolno zbliżać się do niej ze wzrokiem utkwionym w jej oczach. Łagodnie przyciągnął ją do siebie i ich ciała się zetknęły; kiedy spotkały się usta, poczuli, że skóra im płonie. Bez słowa wyszli na brzeg i tam Calum pociągnął ją za sobą na trawę. Jego ręce obejmowały jej ramiona, potem zsunęły się na piersi, a usta

błądziły po całym ciele. Ona tuliła go do siebie.

Po drugiej stronie jeziora poruszały się jakieś cienie. Kobieca postać ukazała się jak gdyby ponad wodą i po chwili zniknęła.

Pół godziny później siedzieli na kamieniach nad jeziorkiem. Oboje byli zmarznięci, mieli gęsią skórę od zimnej wody, więc tulili się do siebie, żeby się rozgrzać, ale żadne nie miało ochoty pójść i przynieść ubrania. Calum objął Juliette i wtulił twarz we włosy. Szczękał zębami.

- To było fantastyczne.
- Wiedziałam, że tak będzie.
- Wiedziałaś? - Odsunął się trochę, żeby widzieć jej twarz.
- Często o tym myślałam. A ty? Roześmiał się cicho.
- Ja chyba też. Tak.
- Ty i ja. Musiało się tak stać, Wiedziałam od zawsze, że wyjdę za ciebie.

Objął ją.

- Ja także. - Przez chwilę milczał. Wpatrywał się w głębię jeziora, którego powierzchnia falowała lekko pod wpływem wody ściekającej po czarnych skałach ze zbocza ponad nimi. - Z wyjątkiem tych chwil, kiedy myślałem o tobie jak o siostrze.

Zachichotała.

- Kazirodztwo. I dlatego jeszcze bardziej grzeszne.

- A ty lubisz grzeszyć? Odrzuciła nagle głowę do tyłu.

- Musisz pytać? - Zakryła dłonią oczy i westchnęła głęboko z jakimś zwierzęcym zadowoleniem. - Nie wolno nam oczywiście nic mówić starym. To będzie nasz sekret, dopóki nie zdasz egzaminów. Potrafisz czekać do wakacji za każdym razem?

Popatrzył na jej nagie ciało. Było pokryte gęsią skórą, wargi jej posiniały. Nagle się roześmiał.

- Poczekam. Ale nie będzie żadnych wakacji, jeśli dostaniesz zapalenia płuc i umrzesz. Chodź, ubierzmy się i pobiegnijmy, żeby się rozgrzać. Pamiętaj o tym, że wiele tygodni pozostało jeszcze do końca tych wakacji i będziemy musieli myśleć o

następnych.

Jane zerknęła na syna, kiedy szli razem przez sad. Przebrał się już przed przyjęciem. Przyglądała się z aprobatą jego smukłej sylwetce, czystym džinsom i białej koszuli. Coś się w nim zmieniło. Był bardziej pewny siebie, bardziej dorosły, niż myślała.

- Nie chcę ci psuć wakacji, niepokojąc cię całymi tygodniami. - Była zdenerwowana i nagle poczuła się niezręcznie. - Chciałam tylko porozmawiać przez kilka minut o twojej przyszłości, a potem zapomniamy o tym aż do chwili, gdy wrócimy do domu.

Zdała sobie sprawę, że syn dorównuje jej już wzrostem. Właściwie był nawet może o pół cala wyższy.

Przystanął obok; wytrzymał jej spojrzenie i gdzieś w jego oczach pojawił się wyraz rozbawienia.

- Chodzi mi o twoje egzaminy, Calum - brnęła dalej. - Nie chcę, żebyś uważał, że ojciec zmusza cię do czegoś, czego naprawdę nie chcesz robić. Gdy chodzi o ciebie, miał zawsze tylko jedno w głowie. Podejrzewam, że czasami nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi. Jest tak głęboko przekonany o słuszności tego, czego sam pragnie... - Przerwała, bo Calum objął ją ramieniem. - Mamusiu, nie pozwolę na to, żeby mnie skazał na coś, czego nie chcę robić. - Obdarzył ją tym swoim pięknym uśmiechem, który zawsze sprawiał, że nagle czuła dziwną słabość w kolanach. Tak bardzo go kochała i chciała go przed wszystkim chronić.

- Zaufaj trochę sile mojego charakteru, dobrze? Wybieram nauki przyrodnicze, ponieważ w tej chwili naprawdę chcę iść na medycynę. Nie sądzę, abym pragnął się poświęcić medycynie ogólnej, tak jak tata, bez specjalizacji. Myślę, że chciałbym przeprowadzać jakieś badania, specjalizować się w jednym kierunku, ale na razie wiedza ogólna to jest to, czego pragnę. A teraz zapomnij o tym, dobrze? Nie martw się. Spędzaj przyjemnie czas z Lizą i nie zanudzaj mnie i Julietty. Pozwól nam wędrować po górach i chodzić na przyjęcia, tak żebyśmy wszyscy we wrześniu mogli wrócić pełni świeżych sił do pracy. - Musnął jej twarz szybkim pocałunkiem i odwrócił się. Obserwowała, jak biegnie wielkimi susami

przez sad, i zobaczyła w oddali jasną plamę włosów Julietty, która wyłoniła się zza domu. Czekala na niego, a Liza już zapaliła silnik w samochodzie, żeby ich zawieźć do miasta. Jane wolno pokręciła głową. Bardzo dobrze sobie z nią poradził, naprawdę. Powinna być z niego dumna. Więc czemu nadal czuje taki niepokój?

Adam z westchnieniem zamknął notes i kalendarzyk i usiadł na swoim krytym skórą fotelu. Jego gabinet był duszny i pełen kurzu. Minęły już dwa tygodnie od wyjazdu Jane i Caluma i początkowa euforia, że będzie miał cały dom dla siebie, minęła, a zastąpiła ją nuda, którą bardzo źle znosił. Pochylił się do przodu i oparł łokcie na czystym, pedantycznie ułożonym bibularzu, delikatnie masując palcami skronie.

List od ojca wsunął do górnej szuflady biurka. Thomas Craig pisał tylko raz do roku, na urodziny syna, załączając do listu dziesięcioszylingowy banknot, „żeby sobie coś kupił” - bezsensowny i niestosowny prezent. Adam zawsze myślał z kwaśną miną, kręcąc głową: od jednego nieźle sytuowanego dorosłego mężczyzny dla drugiego, który liczy już sobie teraz, spójrzmy prawdzie w oczy, przeszło czterdzieści lat. Dzięki temu jednak zachowywali między sobą dystans i stosunki były oficjalne. Dziesięć szylingów na każde urodziny. Nic na Gwiazdkę.

Adam doznał wstrząsu, kiedy tego ranka przyszedł dodatkowy list. Przez cały dzień nosił go w kieszeni i nie miał ochoty otworzyć. Wiedział już w duchu, co może zawierać. W końcu wieczorem, kiedy zasiadł przy biurku, żeby uporządkować bieżące dokumenty, co robił systematycznie każdego dnia, wyjął z kieszeni białą kopertę i przyjrzał jej się uważnie. Pismo ojca, który stale używał niebieskiego atramentu, było zdecydowane jak zawsze, ale treść, tak jak przypuszczał Adam, wskazywała na to, że staruszek opada z sił.

Pomyślałem sobie, że najlepiej będzie, jeśli zaraz podzielę się z Tobą wiadomością, którą właśnie otrzymałem. Mam raka, którego nie warto już operować. Nie potrzebujecie z Jane zawracać sobie mną głowy. Moje sprawy są w porządku, a moja ostatnia wola, zgodnie z którą jesteś jedynym spadkobiercą, jest złożoną u Jamesa i Donaldsona w Perth. Niech Bóg błogosławi, mój Synu, Ciebie, Twoją Żonę i Caluma.

Twój kochający ojciec Thomas Craig

Adam przygryzł wargę. Nie był pewien, co czuje. Przeczytał list dwukrotnie i schował do szuflady. Zamknął ją na klucz, ale, jak zawsze, zostawił go w zamku i wrócił do pracy. Dopiero po dwóch godzinach zamknął książki i usiadł, żeby pomyśleć. Czy powinien pojechać do Szkocji? Ojciec nie napisał, jaki to rodzaj raka. Jak bardzo choroba jest zaawansowana. Jak zamierza zorganizować sobie opiekę. Czy ma zamiar pozostać na plebanii, czy chce przejść na emeryturę. Tyle rzeczy nie zostało dopowiedzianych w tym liście. Westchnął, zirytowany. Był zły na ojca za to, że zachorował. Że niedługo umrze. Że uświadomił mu, iż nie potrzebuje jego opieki, przez co Adam poczuł się zimny jak ryba, taki sam, jaki ojciec był dla niego. Nagle zapragnął, żeby Jane była przy nim. Ona by wiedziała, co zrobić. Objęłaby go i przytuliła do siebie czule, po matczynemu, i od razu poczułby się silny i bezpieczny, wiedząc, że ktoś się o niego troszczy. Dość silny, by stawić czoło wszystkiemu, co świat mu rzuca pod nogi, nawet ojcu.

Znowu westchnął, oparł się na biurku i przysuwał właśnie telefon, gdy usłyszał delikatne drapanie w szybę okienną. Odłożył słuchawkę, obrócił się z krzesłem i z uśmiechem spojrział w ogród.

- A, jesteś, kiciuniu. Myślałem, że mnie opuściłeś.

Wstał, przeszedł przez pokój do drzwi balkonowych i otworzył je. Bury kot przemknął obok, ocierając się o jego nogi, i wskoczył na krzesło. Adam się uśmiechnął.

- No, kiciuniu, gdzie byłeś?

Zawsze przychodził wtedy, gdy nie było Jane. Wydawało się, że wyczuwa jej wrogość, i nigdy się nie pokazywał, kiedy ona była w domu. Adam pytał żonę kilka razy, czy mogliby trzymać kota albo psa. Ciągle wspominał tęsknie małego szczeniaczka, którego miał krótki czas jako chłopiec i którego przygarnęła Jeannie Barron. Ale Jane kręciła przecząco głową.

Pochylił się i pogładził kota po łebku. Kot spojrział na niego, a potem stanął na tylnych łapach i uczeplił się jego piersi, ocierając się pyszczkiem o jego brodę. Adam uśmiechnął się, wziął go na ręce i przytulił.

- No i co, kochanie, powiedz mi, co ja mam zrobić z tym moim starym ojcem? Czy powinienem pojechać do Pittenross? - Zaniósł kota z powrotem do drzwi balkonowych i stał, patrząc na trawnik przed domem. Kot nagle zeszywniał. Okazało się, że go słucha. - Tak dawno nie byłem w Szkocji - ciągnął Adam spokojnie. - Chciałem to wszystko zostawić poza sobą. Plebanię. Kościół. Ale przypuszczam, że pewnego dnia będę musiał stawić temu czoło. Może tak będzie najlepiej. Stawić czoło koszmarom. - Przesuwał palcami po ciepłym, jedwabistym grzbiecie. Kot zaczął mruczeć. - Przypuszczam, że to właśnie powiedzieliby moi przyjaciele psychiatrzy: Kop głęboko i zobacz, jakie ukryte urazy są w twoim życiu! Podejrzewam, że doktor Freud miałby mnóstwo do powiedzenia na temat moich stosunków z matką i ojcem. - Pogładził kota za uszami, a potem podrapał delikatnie pod szyją. W końcu pochylił się, żeby go pocałować w czubek głowy. - Chodź! Lepiej będzie, jak zadzwonię do mojej Janie. Hej, dlaczego mi to zrobiłeś? - Oderwał kota od siebie, bo ten nagle rzucił się na niego i przejechał mu po twarzy ostrymi jak brzytwa pazurami. Adam dotknął ręką policzka i poczuł pod palcami krew. - Ach, ty mały diable! Psik! Wynoś się! Zmykaj! Miałem zamiar przynieść ci trochę mleka, jak skończę rozmawiać. - Odwrócił się od drzwi, z wściekłością przykładając chusteczkę do twarzy, bo krew spływała mu po policzkach, plamiąc sztywny biały kołnierzyk i niebieską koszulę w paski.

- Jasna cholera!

Wypadł z gabinetu i ruszył po schodach na górę, próbując zatamować krew, zanim zniszczy mu całkiem koszulę. Ściągnął ją, wrzucił do umywalki i odkręcił kurek z zimną wodą. Zanim zalepił podrapaną twarz plastrem, przebrał się w zwykłą koszulę i sweter i nalał sobie mocnej whisky, zaczęło się już ściemniać. Wrócił do gabinetu i stał przez chwilę w otwartych drzwiach balkonu, spoglądając na ogród, wdychając mocne zapachy róż i lewkonii. Potem odwrócił się do biurka i podniósł słuchawkę telefonu.

Jane wjechała w opustoszałą ulicę i wyłączyła silnik. Miała zeszywniałe mięśnie i była wyczerpana po długiej podróży. Przez chwilę nie ruszała się z fotela, patrząc na dom. W oknach było ciemno. Zastanawiała się długo po telefonie Adama

przed dwoma dniami, a potem podjęła decyzję.

- Nie mogę pozwolić, żeby pojechał do Szkocji sam. Czy jeśli wrócę teraz do domu, będę mogła zostawić u ciebie Caluma?

- Oczywiście. - Liza uściskała ją. - Wiesz przecież, że nie potrzebowałaś nawet o to pytać. Zostaw go na tak długo, jak chcesz. Nawet na całe wakacje. Wiem, że dzieci to uwielbiają. Zawsze czują się świetnie ze sobą i przecież często robiłaś to przedtem. Dzięki temu będziecie mieli z Adamem trochę czasu tylko dla siebie. Zasłużyliście na to.

Dwa razy Jane dzwoniła do Adama, żeby powiadomić go o swojej decyzji, ale go nie zastawała, więc w końcu postanowiła zrobić mu niespodziankę. Jechała nocą, żeby uniknąć dużego ruchu, i dotarła do domu o wpół do piątej rano. Wolno wysiadła z auta, przeciągnęła się, wdychając rozkoszny zapach podmiejskich ogrodów, tak różniący się od chłodnego powietrza wzgórz Walii, a potem znów wsiadła do auta i wyciągnęła walizkę i torbę. Zatrzaskała drzwiczki, zamknęła je na klucz i ruszyła ścieżką ku domowi. Sięgnęła do kieszeni po klucze.

W całym domu było ciemno. Zamykając za sobą cicho drzwi, wyciągnęła rękę do kontaktu.

Schody trzeszczały pod jej krokami, kiedy wchodziła na palcach na górę. Drzwi do sypialni były otwarte, więc weszła do środka i wyciągnęła rękę, żeby zapalić małą lampkę stojącą na wysokiej komodzie pod ścianą tuż za progiem. Adam spał mocno, ale kiedy oczy Jane oswoiły się z nagłym światłem, zdała sobie sprawę, że na poduszce obok jego głowy jest jeszcze jedna głowa, kobieca. Jej długie czarne włosy ułożyły się w wachlarz.

- Adam! - Pełen bólu okrzyk obudził go natychmiast. Usiadł nie całkiem przytomny.

Jane drżąc chwyciła się oparcia krzesła, przy którym stała. Zrobiło jej się słabo. Ale teraz nie było już obok Adama żadnej kobiety.

- Co ty, na Boga, wyprawiasz! Tak mnie przestraszyłaś! - Adam przerzucił nogi przez krawędź łóżka i sięgnął po szlafrok. Był nagi. Nigdy nie spał nago, kiedy ona była obok, w sąsiednim łóżku. Kupili te łóżka po poronieniu Jane, gdy na jakiś

czas rozdzieliły ich jej ból, niepokój i cierpienie, i jakoś nigdy nie przenieśli się z powrotem do małżeńskiego łóżka. Jane często tego żałowała. Patrzyła teraz, jak mąż wkłada szlafrok i zawiązuje pasek. Przez jego policzek biegła jasnoczerwona szrama, ślad po zadrapaniu, a włosy miał rozczochrane jak Calum.

- Co ty, u licha, robisz tutaj w środku nocy? Czy coś się stało?

- Pomyślałam sobie, że zrobię ci niespodziankę. - Skrzywiła się, zrzucając kopnięciem pantofle z nóg. - Myślałam, że się ucieszysz na mój widok. Nie chcę, żebyś jechał sam do Szkocji.

- Cieszę się, że cię widzę. - Podeszedł, objął ją i pocałował w policzek, dziękując w duchu Bogu za to, że nigdy się nie dowie, iż, bardzo senny, z przyjemnością pozwolił kotu przyjść do swego łóżka, nie zastanawiając się, w jaki sposób dostał się z powrotem do jego domu i czy nie zaatakuje go znowu. Głaskał miękkie futerko, kiedy kot wśliznął się pod kołdrę i przytulił do jego biodra. Jane nigdy się też nie dowie o niezwykle podniecającym erotycznym śnie, z którego go obudziła. A śniła mu się Brid.

Brid usiadła nagle na łóżku. Drżała z zimna. A-dam. Była u niego. W jego łóżku. Zamknęła oczy i nabrała głęboko powietrza, starając się uspokoić walące w piersi serce i przyspieszony puls. Dookoła niej, na sali, spały inne kobiety, zamieszkujące to miejsce wraz z nią. Słyszała, jak oddychają, wsłuchiwała się w ciszę, jęki i szlochanie. Nie wróciła zbyt szybko do swego ciała i boleśnie ją to osłabiło.

Usiadła, odgarnęła włosy z twarzy i podciągnęła kolana. Czowała się taka nieszczęśliwa. A było jej tak dobrze. Tak dobrze jak we wspomnieniach. Kiedy pozwolił jej przyjść do siebie, zdołała przezwyciężyć dziwne fluidy emanujące z talizmanu stojącego obok łóżka, który tak długo trzymał ją z dala od niego w jej snach i nie pozwalał zbliżyć się do domu, w którym mieszkał. A-dam trzymał ją w objęciach, głaskał jej ramiona, a ona mruczała ze szczęścia, kiedy jego usta szukały jej ust.

A potem przyszła ta jędza. Nie ta o złocistorudych włosach, ta jego Liza. Ta druga, Jane. Kobieta o włosach w kolorze suchego siana, pachnąca mydłem tak jak

personel szpitala, matka syna A-dama. Patrząc w sufit ponad łóżkiem, czuła, jak jej palce przemieniają się w kocie łapy. Ta kobieta nie uczyni A-dama szczęśliwym. Nie będzie się o niego troszczyć. Wyjechała bez niego i zostawiła go samego w domu, który w oczach Brid był nieładny, bezbarwny i nieprzytulny.

Czasami z ciekawości sięgała pamięcią do lat, kiedy A-dam był z Lizą. Szukała jej, miała do niej żal; musiała się dowiedzieć; czy ta kobieta nadal stanowi dla niej zagrożenie. Ale Liza była silna. O wiele silniejsza niż A-dam. I niemal przez cały czas chroniła ją oślepiająca siła, która odpierała, osłabiała i Brid musiała się wycofywać. Nie warto było tracić na nią energii, należałoby przebić tarczę. Pewnego dnia, obiecywała to sobie, zajmie się Lizą, kobietą, która odebrała jej A-dama. Ale jeszcze nie teraz. Teraz wołała się koncentrować na samym A-damie albo, kiedy Liza zapomni o swojej tarczy, będzie się jej przyglądać bacznie w ciemności, grozić w milczeniu, i obiecywać, i szpiegować dziecko Adama i tę dziewczynkę, której był teraz kochankiem.

Na końcu sypialni otworzyły się drzwi i zobaczyła światło latarki błyskające w ciemnym przejściu między łóżkami. Powoli wsunęła się pod koce i zamknęła oczy. Jeśli przyjdą i zobaczą, że nie śpisz, przyniosą igłę i wkłują ci ją w ramię, i wtedy zaśniesz na bardzo, bardzo długo, i obudzisz się półprzytomna, z wyschniętymi ustami, bo spałaś snem bez marzeń sennych, nic nie pamiętasz i nie jesteś nawet wypoczęta. I dni będą się przemieniać w tygodnie, tygodnie w miesiące i lata, a ty nie będziesz sobie zdawała sprawy, ile czasu minęło. Nauczyła się już dawno udawać, że jest spokojna i śpi w tym dziwnym świecie, w którym ją zamknęto.

Kroki zbliżały się coraz bardziej. Słyszała pobrzękiwanie kluczy wiszących u paska tej kobiety, a kiedy się zbliżyła, poczuła jakiś dziwny zapach, dziwny, zgniły zapach jej oddechu. Przeszył ją dreszcz, zacisnęła mocniej powieki. Pielęgniarki w tym dziwnym miejscu bały się jej. I nie lubiły. I ona ich też nie lubiła. Ale Debory Wilkins nie lubiła szczególnie. Ta kobieta wyczuwała inność Brid, jej ducha, który nigdy nie pozwolił się całkowicie ujarzmić, i jej niechęć przekształciła się w sady-styczną manię prześladowczą.

Kroki zwolniły przy jej łóżku i kobieta podeszła do niej. Brid wstrzymała oddech. Przez chwilę panowała całkowita cisza, a potem siostra Wilkins odwróciła się i podjęła swój codzienny obchód szeregów łóżek.

Następny dzień był jednym z tych, kiedy Brid chodziła do gabinetu doktora Furnessa i siedziała u niego, rozmawiając przy kawie. Lubiła tego lekarza, który, jak jej się wydawało, miał pod swoją opieką to miejsce. Ufała mu. Był mądry i miły, i nie przywiązywała wagi do tego, że notował wszystko, o czym z nim rozmawiała. Stopniowo, kiedy jej zaufanie do niego wzrosło i kiedy odczuwała coraz większą samotność wśród innych pacjentek, zaczęła mu się zwierzać jeszcze częściej.

- No i co, Brid, kochanie? Znowu podróżowałaś ubiegłej nocy? - Furness uśmiechnął się do niej, otwierając nowy pękaty zeszyt, zawierający uwagi dotyczące jej choroby, z jej imieniem na pierwszej stronie. Uważał, że jej stan psychiczny poprawił się w wyniku zastosowanych leków, i był zadowolony. Oto miał pacjentkę, która reagowała znakomicie na zabiegi psychoterapeutyczne. Potaknęła nieśmiało.

- Poszłam zobaczyć się z A-damem w jego domu.

- To znaczy, z doktorem Craigiem? - Zerknął na kilka wcześniejszych kartek wypełnionych jego starannym pismem.

Znów kiwnęła głową.

- Ta kobieta jeszcze nie wróciła, więc poszłam do niego. Do jego łóżka. Ucieszył się na mój widok. Ale wtedy... - Potrząsnęła ponuro głową. Przez chwilę w milczeniu sączyła herbatę, a potem sięgnęła po kawałek czekoladowego ciasta, które lekarz dla niej przyniósł. Uśmiechnął się pobłaźliwie, kiedy zagłębiła w nim zęby. Upłynęło kilka długich minut, zanim zdecydował się ją ponaglić.

- I co się stało?

- Ta jego kobieta, Jane, wróciła. Było jeszcze ciemno i oboje spaliśmy. Ona cicho weszła po schodach, więc mnie zaskoczyła.

- Rozumiem. - Zmarszczył brwi. - I co powiedziała, kiedy cię zastała w łóżku ze swoim mężem?

- Nie była tym zachwycona. Wrzasnęła.

- I co ty wtedy zrobiłaś?
- Uciekłam z tamtego pokoju i wróciłam tutaj, do mojego łóżka.
- Jak myślisz, długo cię nie było?

Ugryzła jeszcze kawałek ciasta, po czym wzruszyła ramionami.

- Czas nie jest taki sam tutaj i tam. Kiedy się obudziłam, weszła ta pielęgniarka o końskiej twarzy. Weszła, spojrzała na mnie, zaświeciła latarką elektryczną, ale udałam, że śpię. - Przez chwilę przeżuwała ciasto. - Czy zapytał ją pan, żeby się upewnić, czy byłam na sali?

Uśmiechnął się.

- Martwię się o ciebie, moja droga. Czasami myślę, że podczas tych swoich podróży możesz sobie napytać biedy.

- Jak się pojawia jakiś kłopot, natychmiast wracam do łóżka. Mój srebrny sznur jest bardzo silny.

Skinął głową.

- Zdecydowaliśmy, że to jest twój astralny sznur, tak? - Zanotował coś. - Bardzo bym chciał cię widzieć, kiedy tak sobie podróżujesz. Nie spotkałem jeszcze nikogo, kto robi to tak jak ty i kto potrafi o tym mówić.

- Czemu nie? - Zmarszczyła czoło. - To bardzo łatwe, zwłaszcza gdy nie jest miło tam, gdzie przebywasz. Możesz odejść. Ja nie lubię tego miejsca. - Obrzuciła go spojrzeniem wyrażającym tak skrajne cierpienie, że przez chwilę był naprawdę wstrząśnięty. - Chcę iść do domu A-dama i mieszkać z nim. On chce, żebym przyszła. Wiem o tym.

Doktor Furness zachował dla siebie przypuszczenie, że doktor Craig, jeśli w ogóle istnieje, z pewnością nie chce, żeby ta piękna, dzika i obłąkana młoda kobieta go odwiedzała.

- Powiedz mi coś więcej o domu doktora Craiga, moja droga. To interesujące, chciałbym usłyszeć. - Znowu wziął do ręki pióro. W jego notatkach był adres jakiegoś doktora Craiga, który gdzieś znalazł. Byłoby interesujące pójść tam i zobaczyć się z tym człowiekiem. Zobaczyć dom, który, jak twierdzi ta dziwna młoda kobieta, odwiedza w snach, i zapytać go, czy znał kiedyś ciemnowłosą

zmysłową piękność, która po przeszło dziesięciu latach pobytu w londyńskim szpitalu dla umysłowo chorych ciągle wygląda na dwadzieścia jeden lat i ani dnia więcej.

Zapytał ją kiedyś, dlaczego nie chce wracać do domu. Długo siedziała w milczeniu, a w końcu potrząsnęła głową.

- Jeśli wrócę, zabiją mnie.

- Zabiją cię? Dlaczego?

- Bo ich opuściłam. Bo przyszłam tutaj, do waszego świata. Z powodu Adama.

- Czy ci twoi ludzie to Cyganie?

Pytał ją już o to przedtem, ale zdawała się nie znać tego słowa. I tym razem potrząsnęła głową.

- Mówiłam już panu. Pochodzę z ludu północnego wiatru.

Zapisał to po raz drugi i obwiodł tę nazwę piórem. Brzmiało to dziko i romantycznie. Było dziwne. Tak jak ona. Wspomniał o jej słowach w domu i ku jego zdziwieniu syn, student filologii klasycznej, zareagował natychmiast.

- Właśnie tak Herodot nazywał Celtów.

Lekarz sięgnął do szuflady biurka i wyciągnął atlas, pożyczony tym razem od siostry.

- Rozpoznajesz miejsca na mapie? - zapytał zdawkowo. Brid wzruszyła ramionami.

Otworzył atlas na mapie Wielkiej Brytanii i przesunął go ku niej.

- Widzisz? Anglia, Szkocja i Walia. Powiedziałaś mi, że byłaś w Edynburgu.
- Puknął palcem w mapę. - Tutaj. Widzisz?

Popatrzyła obojętnie i potrząsnęła głową.

- Catriona pokazywała mi jedną taką mapę. Nie było na niej Phadraig. Widziałam Abernethy, dokąd czasem jeździł mój wuj, i miasteczko, w którym mieszkał Adam.

- A więc mieszkałaś w Szkocji? Przez całe życie? Od czasu gdy byłaś małą dziewczynką?

Niepewnie kiwała głową.

- Mówiłaś, że wędrowałaś po górach. Znowu kiwnęła głową.
- I byłaś w szkole.
- Tak. Jak A-dam. Pokręcił głową.
- Ale gdzie są twoi rodzice, Brid? Twój brat? Twój wuj? Dlaczego nie starają się ciebie odnaleźć?

- Nie chcę, żeby mnie odnaleźli. Broichan mnie zabije. - Widywała go czasami, słyszała, jak krzyczy. Ciągłe próbował do niej dotrzeć, walił w tę dziwną zasłone, która ich rozdzielała jak szyby w szpitalnych oknach, wołał, żeby do niego przyszła. Zniszczyła święty *geas*, który pozwalał przekraczać te dwa światy, za co groziła kara śmierci. Oparła się na biurku i zamknęła atlas. - Dlaczego nie chce mi pan pozwolić pójść do A-dama? Dlaczego muszę tu przebywać? Nie lubię tego miejsca.

- Wiem, Brid. Jest bardzo nieprzyjemne. - Wszystko to było w jej karcie choroby. Została powierzona ich opiece, kiedy ją znaleziono blakającą się po Londynie. W dokumentach było kilka notatek o jej życiu w Edynburgu, o przyjęciu do Royal Infirmary i jedna wzmianka o pobycie w szpitalu psychiatrycznym w Morningside. A o tym, co się z nią działo wcześniej - nic.

Lekarz zamknął notes.

- Muszę iść, Brid, moja droga. Porozmawiamy sobie kiedyś znowu. Chcę, żebyś była grzeczna. Krzyk i grożenie pielęgniarce nic nie pomogą, wiesz przecież. Jeśli chcesz stąd wyjść, musisz nam udowodnić, że potrafisz się dobrze zachowywać i troszczyć o siebie.

Potem wyszła do ogrodu. Tam się czuła bezpieczna. Inni zdawali się nie lubić drzew i kwiatów. Może powinna opowiedzieć doktorowi Furnessowi o drzewach i kwiatach w ogrodzie A-dama? Były piękne.

Ivor Furness nie zdawał sobie sprawy, dopóki nie dojechał prawie na miejsce, że jego podróż do Harpeden na ślub kuzyna w czasie tego weekendu wiedzie przez St Albans i będzie niemal przejeżdżał ulicą, na której mieszka doktor Adam Craig. Adres, który znalazł w spisie lekarzy, miał wryty w sercu - podmiejski dom na spokojnej ulicy, z kwitnącą wiśnią przed wejściem i witrażowymi szybami w

drzwiach frontowych, co z taką czułością opisywała Brid.

- Zboczmy trochę. Tylko na chwilę - oświadczył zdziwionej rodzinie, skręcając w bok z głównej drogi.

Wszystko tu było. Wiśnia, z której kwiaty już opadły, ale liście były zielone i soczyste w pełni lata. Drzwi z szybkami z witrażowego szkła z wzorami sztuki nowoczesnej - z białych lili, właśnie takich, jakie opisywała. Oczywiście to nie stanowiło żadnego dowodu. Mogła być tutaj przedtem, jako dziecko albo jako młoda kobieta. Mogła widzieć fotografie. Zostawił rodzinę w samochodzie, przeszedł ścieżką do drzwi i nacisnął dzwonek.

Jakiś mężczyzna z sąsiedniego domu powiedział mu, że państwo Craig są w Szkocji.

- Powiedziałem ci, żebyś nie przyjeżdżał. - Thomas Craig otworzył frontowe drzwi i stał w nich, tarasując drogę do ciemnego holu. Dom za nim pachniał lekko TCP.

- Musiałem zobaczyć, jak się czujesz, ojcze. - Adamowi udało się zwalczyć nagły impuls, żeby odwrócić się i uciec. - Jane i mnie zaniepokoił twój list.

- Nie było powodu do niepokoju. - Staruszek wysunął lekko podbródek do przodu i popatrzył spode łba. Ale potem nieoczekiwanie złagodniał i zrobił krok do tyłu.

- No, cóż, skoro tu jesteście, to chyba lepiej będzie, jak wejdziecie. Dom był nienagannie czysty i uporządkowany, a jego gabinet wyglądał nawet na nie tak dawno używany.

- Myślałam, że znowu nas odeśle - szepnęła Jane, kiedy stali w zimnej kuchni, rozglądając się dookoła. - I niemal żałuję, że tego nie zrobił. Hotel byłby lepszy niż ta kostnica.

- To tutaj umarła Jeannie. - Adam spuścił wzrok, jak gdyby się spodziewał, że zobaczy jeszcze plamy krwi na podłodze. Głos mu się załamał i Jane położyła mu delikatnie rękę na ramieniu.

- Nie ma sensu wracać do tego. - Westchnęła i rozejrzała się dookoła, szukając wzrokiem czajnika. - To jest kuchnia, prawda? A jest tu jakaś maszynka

elektryczna albo kuchenka gazowa, albo coś w tym rodzaju? Nie mogę wprost myśleć, jak twój ojciec mógł tu pozostać sam po tym, co się stało.

- Tam w spiżarni jest kuchenka gazowa. - Thomas zjawiał się za nimi. W promieniach słońca wpadających przez okna Adam zobaczył po raz pierwszy, jak szara i mizerna jest twarz ojca. - Nigdy nie palę pod kuchnią. - Podeszedł do drzwi kuchennych i otworzył je, żeby wpuścić do środka więcej światła. - Zostałem tutaj, młoda kobieto, bo to mój dom i moja parafia. Dokąd miałem pójść? Moje odejście nie przywróciłoby życia pani Barron.

Obserwował, jak Jane niesie czajnik i stawia go na płytce, którą spostrzegła obok lodówki. Tj Jak długo zostanieecie? Jane uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Tylko tak długo, jak będziesz chciał nas tu mieć. Chcieliśmy się po prostu upewnić, czy się dobrze czujesz.

- Czuję się doskonale. - Zmarszczył czoło. - Jak widzisz. - Odwrócił się ku drzwiom. - Kiedy zrobicie herbatę, przynieście ją do mojego gabinetu, to trochę sobie porozmawiamy, zanim oboje wyruszyście w drogę.

Jane zachichotała.

- Myślę, że można to uznać za sukces, nie uważasz?

Adam wziął tacę i ruszył za Jane korytarzem do gabinetu ojca.

- Myślałem, że może moglibyśmy tu zostać na noc? - powiedział, stawiając tacę na biurku Thomasa. - Znajdzie się chyba miejsce w tym dużym domu? Nie sprawimy ci żadnego kłopotu. Zabierzemy cię dziś wieczorem do hotelu, żeby coś zjeść. Co o tym myślisz?

Ojciec ulokował ich w pokoju, który kiedyś należał do obojga rodziców. Był zimny, bezosobowy, w szafach było pusto, na toaletce nic nie stało. Thomas spał teraz w dawnym pokoju Adama. Nie udało im się namówić starszka, żeby poszedł z nimi do hotelu, siedzieli więc sami wieczorem w restauracji i zamówili zimnego łososa z młodymi kartoflami i zielonym groszkiem, a do tego wypili butelkę całkiem niezłego i bardzo drogiego wina.

- Dziwnie się człowiek musi czuć, kiedy wraca po tak długim czasie. - Jane obserwowała bacznie twarz męża, który patrzył przez okno na wolno płynącą rzekę.

- Słucham? - Z trudem oderwał się od zaprzatających go myśli i kiwnął głową. - Tak. Powinniśmy wziąć ze sobą Caluma.

Ona także o tym pomyślała, ale za późno.

- Zabierzesz mnie ze sobą tam, na górę, żeby zobaczyć ten twój słynny kamień Piktów z dziwnymi, tajemniczymi rzeźbami? Mam nadzieję. Strasznie bym go chciała zobaczyć. - Sięgnęła po butelkę i napełniła oba kieliszki. - Pokażesz mi go, Adamie, prawda? Pokręcił głową.

- Nie wiem. To nie lada wspinaczka. Byłem młody i sprawny, kiedy tam chodziłem.

- Urządzimy sobie piknik. Nie wierzę, że twój ojciec będzie za nami tęsknił, jeżeli znikniemy na kilka godzin. Naprawdę zrzedliwy z niego facet. Jak długo to już trwa? Powiedział ci?

Adam potrząsnął głową.

- Myślę, że niedługo. Ma w biurku szufladę pełną środków przeciwbólowych, a druga taka porcja jest w łazience, i to silnych. Za nic nie chciałem, żeby go coś takiego spotkało.

Opuścili parafię późnym rankiem, pozostawiając Thomasa, który wybierał się do kościoła. Adam niósł na ramieniu torbę z jedzeniem i butelką białego wina, którą kupili poprzedniego dnia wieczorem w barze hotelowym. Przeszli przez rzekę, a potem ruszyli pod górę stromą ścieżką pod zwisającymi gałęziami drzew i krzewów. Już po paru minutach zabrakło im tchu.

- Jestem pewien, że ta ścieżka nie była dawniej taka stroma - zauważył zasapany Adam.

Jane roześmiała się.

- Nie żałujesz, że nie chodziłeś ze mną do klubu gry w squasha? - Przebiegła tanecznym krokiem kawałek ścieżki przed nim i znowu zwolniła tempo. - Tak tu pięknie, Adamie. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś, kto tu mieszka cały czas, nie był szczęśliwy.

- Wtedy nie czułem się tu chyba szczęśliwy. Byłem bardzo przygnębiony po odejściu mamy.

Zatrzymali się i stali, spoglądając na głęboki wąwóz, do którego rzeka spływała rwącym nurtem, tworząc zimny, tęczyowy pył załamujący się w promieniach słońca na gałęziach drzew. Łoskot kaskady wody był ogłuszający.

- Chodź. Tędy. - Adam biegł, chwytając powietrze, z trudem odnajdując ścieżkę w miejscach, gdzie porastał ją jasnozielony mech, który zwisał z drzew, tworząc strzępiaste festony. Kiedy się znaleźli na otwartej przestrzeni na wzgórzu, Adam się zatrzymał.

- Tam, wysoko. Widzisz?

Jane powiodła wzrokiem za jego dłonią i dostrzegła na tle nieba zarys kamienia na wierzchołku góry.

- To naprawdę imponujące. Oboje byli zdyszani, kiedy dotarli na szczyt. Adam zrzucił na ziemię torbę, pochylił się i dotknął z jękiem palców u nóg.

- Boże, obtarłem sobie nogę, nie będę mógł iść. No i co o tym myślisz?

- Dziwne. - Jane podeszła do kamienia i przesuwała czubkiem palca po wyrzeźbionym wzorze. - I mówisz, że on ma setki lat?

- Ponad tysiąc. - Uśmiechnął się. - Piktowie byli znani jako czarownicy i druidzi. Naprawdę działali na moją wyobraźnię. To jest miejsce nawiedzane przez duchy. Kiedy byłem młody, mgła zawsze snuła się wokół wierzchołka tego szczytu. Byłem wrażliwym chłopcem, samodzielny, gotowym uwierzyć we wszystko. I wtedy właśnie spotkałem Brid... - Umilkł, wpatrując się we wzgórze i ciągnącą się u jego stóp dolinę.

- I? - ponagliła go Jane.

- I wraz z nią przenosiłem się do jakiegoś innego świata. To przypominało dziwną, cudowną podróż, której byłem bohaterem. - Usiadł na skalnym występie, oddalony kilka stóp od Jane, i ciągnął, wpatrując się w przestrzeń: - Czuję się bardzo źle, kiedy ją zostawiłem i wyjechałem do Edynburga. - Przerwał. Bardzo się starał wymazać obraz Brid ze swej pamięci. Był to kuszący erotyczny obraz, obraz związany z jego snami i łączący się w jakiś dziwny sposób z pięknym rozpustnym kotem, z którym się zaprzyjaźnił. I był to jednocześnie obraz, który napełniał go przerażeniem.

Zapadła długa cisza; oboje obserwowali krążącego w górze jastrzębia. Ptak nagle złożył skrzydła i rzucił się na zdobycz niewidoczną gdzieś w dolinie wśród gór, a oni trwali, dziwnie podnieceni. Z tyłu za nimi wierzchołek góry był jaskrawą plamą wrzosu.

- No to powiedz mi teraz, co to znaczy. - Jane znów stanęła z ręką opartą na kamieniu.

- Nie dotykaj. Zostaw to.

Przez chwilę myślał, że powiedział to głośno, ale Jane się nie poruszyła. Jej dłonie ciągle przesuwały się po głęboko wyrytych symbolach: przecie wygiętym w kształt litery Z, półksiężycu, wężu i lustrze.

- To jest przesłanie dla tych, którzy przyjdą później.

- I co oznacza?

- Oznacza, że to jest niezwykle miejsce.

Za nimi, w dolinie, mgła gęstniała coraz bardziej.

Liza stała w mroku, oparta o furtkę w płocie okalającym sad, i obserwowała nietoperze krążące nad jabłoniemi. Westchnęła z zadowoleniem. Z tego miejsca widziała światło palące się w stodole Philipa. Przyszedł do domu, żeby zjeść kolację z nią i z dziećmi, i niemal natychmiast, jeszcze zanim skończyli jeść, znów wyszedł z tym szczególnym wyrazem intensywnego zaabsorbowania, które oznaczało, że jest z nimi obecny przy stole jedynie ciałem, a duch jego nadal tkwi przed wielkim płótnem przedstawiającym abstrakcyjny pejzaż, nad którym pracował w stodole.

Wymknął się tam z powrotem bez słowa, prawie niezauważony, i spędzi całą noc, a może wśliznie się do łóżka, gdy zacznie świtać. A może będzie malował do następnego ranka, a wtedy ona mu przyniesie do stodoły filiżankę kawy. Malował z takim zapalem, że czasem ją to przerażało. Kiedy łagodnie zaproponowała, żeby trochę zwolnił tempo, że nie na tym kończy się świat, potrząsnął głową.

- Nie mogę. Zmarnowałem zbyt wiele czasu. Wszystkie te lata, kiedy uczyłem i kierowałem wydziałem, a powinienem był malować. Nie mogę zwolnić tempa, Lizo, zbyt wiele muszę jeszcze zrobić, a zostało mi tak mało czasu.

Wykonany przez Lizę najnowszy portret został starannie opakowany i

wysłany do Paryża przeszło sześć miesięcy temu i w jej pracowni nie było prac rozpoczętych. Uzmysłowała to sobie, kiedy tak stała w mroku. Podłoga była zamieciona, a farby i czyste płótna schludnie ułożone w jednym miejscu. Odszukała w kieszeni bawełnianego sweterka paczkę papierosów i zapaliła, wdychając w chłodnym wieczornym powietrzu aromatyczny zapach tytoniu. To był najmiłszy czas, ten, kiedy nosiła pod sercem nowy obraz, oczekiwała. Oczywiście przez cały czas coś szkicowała i malowała jakieś drobne akwarele, ale portrety dużego formatu, w których usiłowała obnażyć duszę, odsłonić prawdę o jakimś mężczyźnie lub kobiecie, to było coś, co wymagało przemyślenia i opracowania, trwającego czasem kilka miesięcy. Miała szczęście. Mogła szukać i wybierać wśród ludzi, którzy chcieli, żeby ich malowała. Mogła sobie o nich poczytać i porozmawiać z nimi, i dopiero kiedy czuła, że jest gotowa, rozpoczynała wstępne szkice.

Zerwał się lekki wietrzyk, szepcząc między jabłoniemi, i zaczął wiać nie wiadomo skąd, poruszając liśćmi, rozsiewając nasiona traw. Było prawie ciemno, ale Liza dostrzegła jeszcze zarysy niskich wzgórz za odległym krańcem doliny, gdzie przesuwane się od czasu do czasu promienie słońca ukazywały samochód jadący krętą drogą wzdłuż rzeki Wye albo skręcający ku sieci wąskich dróg, które przecinały pogrążone w mroku okoliczne wsie. Nagle przeszył ją dreszcz. Wyrzuciła papierosa i wdeptała go obcasem w ziemię. Dzieci po kolacji poszły na spacer przez pola za domem. Odwróciła się plecami do omszałej furtki i próbowała coś dojrzeć na zboczu za domem. Wsłuchiwała się, czy nie usłyszy ich głosów. Gdzieś daleko pohukiwała sowa.

Zamyślona ruszyła w kierunku domu, ale w połowie drogi zatrzymała się nagle. Przedtem pójdzie do swojej pracowni i rozejrzy się trochę.

To tutaj poczuła nagłą potrzebę, by powrócić do malowania. Właściwie już prawie wybrała kobietę, którą Julietta opisała jako nadającą się na ofiarę jej pędzla; była nią niemłoda już francuska poetka, kobieta ogromnej wiedzy i mądrości, o pooranej zmarszczkami, a jednak pełnej życia twarzy ze śladami oszłamiającej niegdyś urody, i niezwykłych, przenikliwych, prześlicznych oczach, jakich Liza od bardzo dawna u nikogo nie widziała. Odwróciła się, ruszyła zdecydowanym krokiem

w kierunku stodoły i dotknęła drzwi. Ze zdziwieniem stwierdziła, że są otwarte. Zawałała się chwilę. Czyżby pozostawiła je niezamknięte? Wątpliwe. Zwykle zamykała je na klucz, ale teraz, kiedy przestała malować, może w roztargnieniu zapomniała zamknąć? A może Philip przyszedł tutaj, żeby coś pożyczyć, co często mu się zdarzało, i bezwstydnie zabierał bez pytania najdroższe farby albo cenny szkicownik, kiedy trawiła go pasja twórcza.

Pchnęła niezamknięte drzwi i zajrzała w przepastną ciemność. Część dachu nad stodołą usunięto i zastąpiono szybą, żeby Liza miała potrzebne do malowania północne światło. Dlatego mimo ciemności wewnątrz budynku było dosyć jasno. Rozejrzała się dookoła i kiedy wyciągnęła rękę do kontaktu, usłyszała stłumiony chichot. Zdrętwiała, wyczuliła wszystkie swoje zmysły. Przez chwilę panowała cisza, a potem Liza usłyszała szept, dochodzący z odległego kąta, gdzie pod ścianą stała stara sofa, przykryta połyskującym kolorowym kilimem. Nagle zrozumiała, co się dzieje. Trzasnęła dłonią w rząd wyłączników i całą stodołę zalało jaskrawe światło.

Calum i Julietta leżeli nadzy na sofie. Koło nich, na podłodze stała do połowy opróżniona butelka białego wina. Obok niej zaś druga, pusta, wskazywała na to, że konsumpcja alkoholu nastąpiła w stosunkowo krótkim czasie, jaki upłynął od kolacji, i musiała przebiegać szybko. Przez chwilę żadne z nich się nie ruszało, a potem oboje zeskoczyli z sofy. Julietta chwyciła kilim i zasłoniła się nim z miną wyzywającą i naburmuszoną, podczas gdy Calum po nerwowych poszukiwaniach chwycił spodnie i odwróciwszy się tyłem do Lizy, wciągnął je i zasunął zamek błyskawiczny. Odwrócił się z purpurową twarzą.

- Ciociu Lizo, ja mogę wytłumaczyć.
- Nie sądzę, żeby cokolwiek wymagało tu wytłumaczenia. Dziękuję, Calum.

Pierwszą oślepiającą wściekłość Lizy, że w jakiś sposób zbeczęścili jej miejsce pracy, zastąpił szybko ból, że te dzieciaki pokazały wyraźnie, iż nie są już dziećmi, i współczucie z powodu ich zażenowania, które było bardziej wymowne niż jakiegokolwiek słowa i świadczyło o tym, że są już dojrzałymi ludźmi, i przerażenie, co powie na to Philip, i paniczny lęk, że będzie musiała wyjaśnić, co się

stało, Adamowi i Jane, i na koniec okropna chęć wyśmiania ich patetycznych, a jednocześnie przezabawnych min przerażonych królików.

- Nie powiesz ojcu? - Błagalna prośba Caluma, kiedy sięgał po koszulę, sprawiła, że myśli rozpoczęły nagły galop w jej głowie.

- Proszę. On mnie zabije. Potrząsnęła głową.

- Nie zrobi tego, Calumie. - Nabrała głęboko powietrza i znów sięgnęła po papierosa. - Myślę, że lepiej będzie, jak dasz mi się napić trochę tego wina, a ja się zastanowię, jak powinnam zareagować. - Jej umysł pracował na pełnych obrotach.

Ja też byłam młoda.

Niech to diabli! Ja się przecież kochałam na tej samej sofie z jego ojcem!

No tak, ale to są jeszcze dzieci.

A jeśli ona zajdzie w ciążę?

Jakoś sobie poradzimy.

Zawsze sobie jakoś radzimy.

Julietcie udało się jakoś z pewną godnością wciągnąć majtki i włożyć wielką męską koszulę, którą zwykle nosiła. Nalała matce szklaneczkę wina, a potem drugą dla siebie. Pominąwszy jej błyszczące oczy i lekko zaczerwienione policzki, co, jak Liza podejrzewała, było raczej efektem przeżytego interludium z Calumem niż zbyt dużej ilości wina, była całkiem spokojna.

- Przepraszam. Nie powinniśmy korzystać z twojej pracowni. - Julietta skupiła się bezbłędnie na tej najważniejszej, a jednocześnie najmniej ważnej rzeczy.

- Nie martw się. Byliśmy ostrożni. A poza tym my się mamy zamiar pobrać. -

Uśmiechnęła się, uszczęśliwiona. - Nie wolno ci nic mówić tatusiowi ani rodzicom Caluma, bo oni nie rozumieją. Ale ty rozumiesz, prawda?

Zręcznie wybrnęła, pomyślała Liza. Sączyła wino, a w jej umyśle panowała rozkoszna obojętność. - Będę musiała podjąć jakąś decyzję, co z tym zrobić - powiedziała w końcu. - Będę musiała się zastanowić.

Twarz Julietty rozjaśnił olśniewający uśmiech. Matka zawsze mówiła, że kiedy tylko groziła jej jakaś wpadka, potrafiła z tego wybrnąć, zachować twarz. Pocałowała Lizę w głowę.

- Jesteś kochana. Wiedziałam, że zrozumiesz. Ciocia Jane to taka wapniaczka, że pewnie dostałaby kota. - Chwyła Caluma za rękę i przyciągnęła do siebie. - Wujek Adam też by zrozumiał, wiem. Ty i on byliście kochankami, prawda? - Jej oczy błyszczały teraz jeszcze bardziej.

- Julie, to jest oburzająca sugestia. - Liza zastanawiała się, czy ma zaczerwienioną twarz. Nagle pożałowała, że zapaliła wszystkie lampy. Tak ostro i bezlitośnie oświetlały całą tę scenę.

- Calum i ja zawsze uważaliśmy, że tak było. Często o tym rozmawialiśmy, prawda, Cal? Uważaliśmy, że jesteśmy prawie jak brat i siostra, i to było miłe, kiedy byliśmy dziećmi. Ale teraz byłoby to kazirodztwem, prawda? - Julietta dołała sobie wina. Piła je zbyt szybko. - Więc zostaliśmy kochankami. I jest wspaniale. Koło się zamyka. Zwłaszcza jeśli Cal wyjedzie do Edynburga studiować medycynę, tak jak wujek Adam.

Nagle przez otwarte drzwi wpadł powiew zimnego powietrza i Liza poczuła, że cała lodowacieje.

- Julie...

- Nie, mamó. Nie bądź taka staroświecka. Wszystko układa się idealnie. - Dziewczyna upiła jeszcze jeden łyk ze szklaneczki i wykonała taneczny piruet; poły koszuli ledwo zakrywały jej długie, smukłe nogi.

Teraz nie było w stodole ciemnych miejsc. Każdy kąt, każda wielka dębowa belka w dachu były dobrze widoczne. Liza rozejrzała się dookoła. Czy sprawiło to wspomnienie Adama? A może zapach namiętności i wina, i gorąca letnia noc?...

Nagle zabrzmiały jej w uszach słowa Meryna:

To ty jesteś tą osobą, którą ona będzie atakować, Lizo. Ty jesteś jej celem i ona ciągle tu jest, krąży w ciemności. Obawiam się, że uważa, że to ty jej go odebrałaś, anie sądzę, by należała do kobiet, które przebaczą. Chroń się przed nią. Nie pozwól, żeby cię zaatakowała, kiedy nie będziesz się tego spodziewać. Choć minie wiele lat i wiele wody przepłynie pod tym mostem, nigdy nie odwracaj się tyłem do tych cieni. Pewnego dnia ona cię znów odnajdzie.

- Chodźmy do domu. - Liza odstawiła szklaneczkę. - Ubierz się, Julie,

zanim twój ojciec cię zobaczy. Szybko. Chcę zamknąć stodołę. Pomyśl o tych wszystkich miesiącach, które masz przed sobą.

Nie pozwól, żeby zobaczyli, że ogarnął cię lęk. Nie pozwól, żeby ona zobaczyła, że się boisz. Pamiętaj o ochronnym kręgu i zarzuć ten krąg na te dzieci, które tak bardzo kochasz. Ona nie wyrządzi im krzywdy, zwłaszcza synowi Adama, ale mimo wszystko chroń je.

Liza czuła teraz, że obserwują ich te oczy, może poprzez łąpek szpilki. Obróciła się szybko ku drzwiom i wypatrywała uważnie ciemnych włosów, dzikich szarych oczu i *niegodziwej dłoni z lśniącem ostrzem*. Nie było nikogo. Usłyszała znowu pohukiwanie sowy, ale noc była spokojna. Dopiero kiedy wychodzili ze stodoły i Liza się odwróciła, żeby pogasić światła, poczuła na swych gołych nogach chłodne muśnięcie jedwabistego futerka.

Rozdział jedenasty

Thomas Craig zmarł osiem miesięcy po wizycie Adama i Jane w Pittenross. Do końca od nikogo niezależny i silny, doglądał stadka swoich owieczek i odprawiał nabożeństwa do ostatnich dni przed śmiercią. Zmarł, siedząc samotnie w zakrystii kościoła, i znalazł go zupełnie obcy mężczyzna, który wszedł tam z przewodnikiem w rękę, szukając średniowiecznych obrazów, które wisiały na ścianie w pobliżu drzwi. Ciało pastora było już zimne.

Adam, Jane i Calum pojechali na północ, żeby zorganizować pogrzeb i zdecydować, co zrobić z rzeczami zmarłego. Kościół już postanowił, że plebania zostanie sprzedana; była zbyt duża, zbyt stara i za dużo kosztowało jej utrzymywanie.

W przeddzień powrotu do Anglii Adam stanął nad grobem ojca na tak dobrze sobie znanym przykościelnym cmentarzu. Serce przepełniał mu ogromny smutek i

żał. To wszystko było takim marnotrawstwem. Tyle tu się wydarzyło nieszczęść. To ciągle borykanie się z trudami życia. Tyle było w życiu jego ojca gniewu i goryczy. I po co? Czy znalazł spokój i nagrodę, których tak zawzięcie szukał? Czy istnieje jakieś życie po życiu, czy czeka go rekompensata i nagroda, czy też jego niespokojny, pełen złości duch będzie nadal krążył po tym miasteczku i po tym budynku, który nazywał domem?

Na myśl o tym Adama przeniknął dreszcz.

Jane dotknęła ręki męża.

- Dobrze się czujesz? Wzruszył ramionami.

- To wszystko wydaje się zupełnie bez sensu, prawda? Co za życie! - Robił to, co uważał za słuszne. Wszyscy tak postępujemy.

- I umarł jako bardzo samotny człowiek.

- Miał swojego Boga, Adamie.

- Okrutnego Boga, który nie przebacza i nie jest dobry. Niewyrażone słowami myśli krążyły między nimi przez chwilę, po czym Adam wzruszył ramionami i odwrócił się od grobu.

- Chodź. Wracajmy do hotelu i napijmy się czegoś. - Wzdrygnął się. - Dzięki Bogu nigdy nie będę musiał wracać do tego nieszczęsnego miejsca.

Jeśli pomyślał przez chwilę o wspomnieniach z własnego dzieciństwa albo o Brid, to nie dał tego po sobie poznać.

Po powrocie do St Albans oddali się zwykłymi swoim zajęciom. Ale coś się zmieniło. Adam był bardziej zamknięty w sobie, bardziej nietolerancyjny i kiedy zostawali sami nocą w sypialni, ku przykrości Jane był zawsze zbyt zmęczony, żeby się kochać. Jego wyrozumiałość dla Caluma także osłabła, toteż kiedy syn zawiadomił zdziwionych rodziców, że zamierza ożenić się z Juliettą, Adam zareagował natychmiast bardzo gwałtownie.

- W całym swoim życiu nie słyszałem czegoś równie głupiego! - Patrzył na syna, nie wierząc własnym uszom. - Nie, nie obchodzi mnie, co mówisz. Nie ożenisz się z nią! - krzyczał z pobladłą twarzą. - Na litość boską, chłopaku, czekają cię egzaminy! Chodzisz jeszcze do szkoły! Co najmniej przez dziesięć lat

nie możesz myśleć o małżeństwie! Powiedz mu, Jane! - zawołał do żony, która stała przy oknie w jego gabinecie, odwrócona do nich plecami, spoglądając na ogród w zimowej szacie.

- Powiedziałem ci, tato, zaczekamy do przyszłego lata. Do tego czasu oboje ukończymy szkołę.

- Wtedy pójdziesz na uniwersytet. Calum nabrał głęboko powietrza.

- Mam zamiar zrobić sobie roczną przerwę, tato. Trochę popodróżować, zobaczyć kawałek świata. To mam na myśli. Julia jest tego samego zdania. Cały czas byliśmy w szkole. Przez jakiś czas chcemy odpocząć od pracy. Liza nie ma nic przeciwko temu.

- Dla ciebie ciocia Liza, młody człowieku.

- Ona nie jest moją ciocią - odparował Calum. - I nienawidzi, jak ją tak nazywam. Mówi, że czuje się wtedy staro. Ja zwracam się do nich Lizo i Philu. A gdybyś ty nie był taki przedpotopowy, pozwoliłbyś także, żeby Julia zwracała się do ciebie po imieniu. To głupota upierać się przy cioci i wujku, jakbyście byli starymi wapniakami, a my sześciolatkami. - Policzki mu płonęły. - Zresztą nie wiem, czemu o tym mówimy. To nie będzie trwało wieki. I nie martw się o te moje głupie egzaminy. Nie mam zamiaru ich oblać.

Wypadł z pokoju, trzaskając drzwiami, a Adam i Jane pozostali, wsłuchując się w odgłos dudniących w biegu stóp, a potem trzaśnięcie drzwi jego sypialni.

Adam potarł ręką czoło.

- Gdzie popełniliśmy błąd?

Jane powstrzymała smutny uśmiech.

- Nie popełniliśmy błędu, Adamie. - Podeszła i objęła go za ramiona. - Nie przejmuj się. On nie pozwoli, by cokolwiek mu przeszkodziło w zdaniu egzaminów. To tylko nerwy. Całe to gadanie to tylko starannie opracowany kamuflaż, żebyśmy nie widzieli, jak bardzo się martwi. Nie denerwuj się tym, Adamie. Znamy Juliette i naszego syna wieki całe. Byli skazani na to, żeby się w sobie zakochać. To rozsądne dzieciaki. Nie zrobią nic głupiego.

- Czy on naprawdę chce iść na medycynę? - Adam uchylił się przed

dotknięciem żony.

- Oczywiście, że tak. - Wyprostowała się, udając, że nie zauważyła tego gestu, i musnęła szybko lekkim pocałunkiem czubek głowy męża. Jego włosy, niesforne i kędzierzawe jak zawsze, nadal pozostały gęste, ale widać było gdzieś tam pojedyncze srebrne nitki. - Chciałabym, żeby już się pokazały jakieś zwiastuny wiosny. - Jane podeszła do okna, drżąc z zimna. - Widziałam przebiśniegi, ale ten wiatr nie ustaje: - Kiedy to powiedziała, nowy gwałtowny podmuch wiatru uderzył w okno, aż zastukały ramy. - Tam jest jakiś kot. Biedactwo. Musi mu być zimno.

- Kot? - Adam usiadł prosto i obrócił się w krześle. - Gdzie? Uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Nie, to nie jest ten twój złośliwy przyjaciel. Ten jest czarny. Popatrz. - Odwróciła się i zmarszczyła czoło. - Adamie, co się dzieje? - Zobaczyła, że drżą mu ręce, bawiące się wiecznym piórem.

- Nic.

- Nie bądź niemądry. Musi cię coś martwić. Chodzi ci o Caluma? Och, na litość boską, nie pozwól, żeby cię tak wyprowadzał z równowagi.

Adam zamknął oczy. Twój złośliwy przyjaciel, powiedziała. Gdybyż tylko wiedziała. Zagryzł wargę, rozpaczliwie starając się uspokoić. Myślał o tym, jak ostatni raz spotkał się z tym kotem, kiedy Jane kilka tygodni temu pojechała na parę dni do matki, do Godalming. Tego ranka był w domu, robił jakieś notatki i kiedy nadeszła pora lunchu, wstał w końcu od biurka, przeciągnął się i wyszedł do ogrodu, żeby odetchnąć głęboko świeżym powietrzem, aby mu się rozjaśniło w głowie.

Jakby na jakiś sygnał, jakby wiedział, że Adam jest sam, kot zeskoczył z niskiej, pokrytej śniegiem gałęzi jabłoni i podbiegł do niego mrużąc. Adam wziął go na ręce i wniósł do domu. W kuchni pod stołem postawił mu miseczkę mleka. Ale kot całkiem zignorował mleko. Pobiegł do drzwi i pomknął po schodach na górę, prosto do sypialni.

- Kiciuniu? - Adam stał przez chwilę w kuchni, podświadomie czując, dokąd kot pobiegł. Wolno przeszedł za kotem do holu i zatrzymał u podnóża

schodów, spoglądając ku górze. - Kiciuniu? - zawołał tonem, który nawet jemu samemu wydał się płaczliwy w tym pustym domu. - Kiciuniu, gdzie jesteś?

Cisza. Pozostał tam, gdzie stał, u podnóża schodów, z ręką opartą na pomalowanym na biało słupku poręczy, spoglądając ku górze. Podświadomie czuł, że to jest chwila prawdy. Nie potrafił stawić czoła temu, co się naprawdę działo, nawet nie próbował tego pojąć. Wiedział jedynie, że jeżeli wejdzie teraz na górę, to powróci do dziwnego świata swoich snów i będzie zgubiony. Pamiętał, że spojrzał na zegarek. Dziesięć po pierwszej. O wpół do czwartej miał zaplanowaną operację.

Wchodząc powoli po schodach, czuł dziwne bolesne podniecenie, dające o sobie znać gdzieś w żołądku. Prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zaczął rozluźniać krawat. Na podeście zatrzymał się na chwilę nasłuchując, potem przeszedł po grubym szarym dywanie ku drzwiom sypialni, którą przez tyle lat dzielił z Jane. Były szeroko otwarte, żeby wpuścić zimowy blask słońca, padający przez okno po drugiej stronie podestu. Adam wszedł powoli do sypialni i zamknął za sobą drzwi.

Siedziała na jego łóżku. Za nią, na dywanie, leżało rozbite na kawałki drzewko - talizman.

- Ty mała wiedźmo! - Powiedział to bez złośliwości prawie jak automat, i zaczął się rozbierać. Wśliznął się do łóżka i poczuł na swym nagim, rozpalonym ciele chłód prześcieradeł. Zamknął oczy i czekał, kiedy ona znajdzie się obok niego. Otworzył je dopiero o wiele, wiele później. Kiedy w końcu usiadł i sięgnął po koszulę, światło zaczynało już niknąć na niebie. W pokoju nie było nikogo.

Ivor Furness stał nad jej łóżkiem i patrzył na nią. Jedną ręką pocierał brodę, w drugiej zaś trzymał plik notatek. Poszła się położyć po lunchu, twierdząc, że czuje się zmęczona, tak mówiła pielęgniarka. A kiedy przyszli o wpół do trzeciej i próbowali ją obudzić, spóźniła się bowiem na rehabilitacyjne zajęcia plastyczne, nie udało im się to. Krzyczeli, potrząsali nią i prosili o pomoc, i w końcu ktoś z personelu poszedł po Ivora Furnessa, który siedział w swoim gabinecie przy starej maszynie do pisania.

- Dlaczego nie przyszliście po mnie od razu?

- Nie zdoła jej pan dobudzić. - Debora Wilkins, pielęgniarka pełniąca dyżur, prychnęła ze złością i utkwiała pełen wściekłości wzrok w jego plecach, kiedy sunął przed nią korytarzem szpitalnym. - Choćby się waliło, paliło.

Zignorował jej słowa, przecisnął się przez ciężkie drzwi do długiej sypialni i podszedł do łóżka Brid.

- A więc to tak, moje droga. Jesteś daleko, na końcu swego srebrnego sznura, prawda? - Stał i patrzył na nią, spodziewając się niemal, że ujrzy ów sznur. Leżała na wznak, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, niby alabastrowa rzeźba na katedralnym grobowcu. Alabastrowa - to było odpowiednie określenie. Dotknął lekko wierzchem dłoni jej policzka. Był lodowato zimny. Za Iworem stała siostra Wilkins, patrząc na dziewczynę z zatroskaniem widocznym na topornej twarzy. Lekarz czuł niechęć i dezaprobatę tej kobiety niby unoszącą się wokół namacalną chmurę. Odwrócił się.

- Dziękuję, sestro Wilkins. Teraz ja się nią zajmę. Proszę wrócić do swoich obowiązków.

Kobieta obrzuciła go spojrzeniem pełnym intensywnej wrogości, którego zupełnie nie dostrzegł. Pochylony nad Brid, szukał palcami uderzeń pulsu na przegubie jej dłoni. Przez chwilę wydawało mu się, że nic nie czuje, i przeszył go nagły lęk, po chwili jednak wyczuł lekkie pulsowanie, tak słabiotkie jak trzepot skrzydeł motyla. Sięgnął po stetoskop i zaczął rozpinać niebieską sukienkę dziewczyny.

- Wszystkie funkcje organizmu prawie w zaniku - szepnął do siebie. Schował stetoskop do kieszeni i cofnął się, obserwując ją bacznie. Wymówił łagodnie jej imię, wyobrażał sobie bowiem, że siostra Wilkins, próbując ją dobudzić, nie była wcale subtelna.

- Więc gdzież ty byłaś, Brid? Czy u tego swojego przystojnego doktora Craiga?

Wrócił myślami do swojej wizyty na spokojnej podmiejskiej uliczce ze ślicznym domkiem z ogrodem, gdzie doktor Craig, jakiś doktor Craig, mieszkał ze swoją rodziną. Czy on kiedykolwiek widział tę piękną, czarującą kobietę - wiedźmę

w swoich snach? Czy choć przypuszczał, jaką dziwną, niezwykłą władzę ma nad jej wyobraźnią? Pewnego dnia on i ten doktor Craig będą musieli się spotkać.

Nagle drgnął i zdał sobie sprawę, że ona bacznie mu się przygląda.

- Doktor Furness?

- Cześć, Brid. - Uśmiechnął się do niej. - No, moja droga, gdzie byłaś? -

Niemal automatycznie sięgnął po dłoń dziewczyny, ale nie potrzebował badać jej pulsu, żeby wiedzieć, że jest przyspieszony. Widział, jak jej policzki zalewa znów rumieniec, wyczuł drżenie emocji, dostrzegł pełne satysfakcji wygięcie ust.

Zmieszany, poczuł nagle pożądanie, a, co gorsze, ona to zauważyła. Uśmiechnęła się do niego sennie i odwróciła dłoń, żeby go wziąć za rękę.

- Byłam zobaczyć się z Adamem.

- I ucieszył się? - Bardzo się starał wziąć się w garść.

- O, tak, ucieszył się. Jego żony, tej wiemy, nie było w domu. - Oparła się na łokciu, tak że jej długie włosy opadły na jedno ramię. Jak, u diabła, jej się to udaje, że w tej szpitalnej sukience wygląda tak kusząco? Zdał sobie nagle sprawę, że nie zapiął guziczków po osłuchaniu jej serca, i stwierdził, że się wpatruje w ciemniejsze zagłębienie między jej piersiami.

- Kochaliśmy się. - Jej głos stał się głębszy. - Było bardzo przyjemnie. Na pewno. Niemal powiedział to głośno, ale w porę się powstrzymał.

- Brid, kochanie, jesteś już spóźniona na zajęcia. Lepiej wstań, wyszczotkuj włosy i zejdź na dół do pokoju wypoczynkowego. - Trzymał przed sobą notatki niby jakąś tarczę. - Muszę załatwić kilka telefonów.

Nie przyszła żadna odpowiedź z prywatnego domu Adama Craiga, więc zadzwonił na chirurgię. Surowy głos na drugim końcu kabla powiedział, że doktor Craig jest u pacjenta i nie można mu przeszkadzać. Ivor się uśmiechnął. Jeśli kiedykolwiek stąd odejdzie i rozpocznie prywatną praktykę, będzie miał też taką megierę w swym gabinecie, żeby spławiała wszystkich przeszkadzających mu kolegów. Pozostawiwszy sekretarce swoje nazwisko i numer telefonu, odłożył słuchawkę, otworzył szufladę szafki z dokumentami szpitalnymi i włożył do niej notatki dotyczące choroby Brid.

Adam siedział w swoim gabinecie i wpatrywał się w filiżankę ze stygnącą herbatą. W pokoju obok Jane oglądała telewizję. Na jego biurku piętrzył się stos papierkowej roboty, którą przyniósł do domu, i czuł, jak ten stos spogląda na niego z wymówką. Na razie udawało mu się to ignorować, ale gdy się pochylił, żeby zapalić lampę na biurku, zauważył karteczkę od Emmy Souls, nowej recepcjonistki, przypiętą do listy zapisanych pacjentów. „Proszę jak najszybciej zadzwonić do doktora Furnessa. Pilne”. Pod spodem był numer londyńskiego telefonu. Adam zmarszczył czoło. Ta głupia kobieta powinna była mu powiedzieć, skoro to pilne. Powinna była mu to pokazać, gdy zakończył przyjęcia, a nie tak zostawiać, żeby się na to natknął dopiero, kiedy następnym razem zajrzy do agendy. Furness. Nie znał tego nazwiska. Odpiął karteczkę, raz jeszcze przeczytał ją uważnie, a potem przysunął sobie telefon i zaczął nakręcać numer.

- Doktor Furness? - Obrócił krzesło tak, żeby móc patrzeć na ogród.

- Przykro mi. Doktor Furness już poszedł do domu. - Głos był znudzony, bez wyrazu.

Adam zmarszczył brwi.

- Rozumiem. Mówi doktor Adam Craig. Otrzymałem wiadomość, żeby do niego zadzwonić w bardzo pilnej sprawie. Czy jest jakiś inny numer, pod którym mógłbym się z nim porozumieć?

Na chwilę zapadła cisza, w czasie której głos po drugiej stronie kabla naradzał się z osobą o piskliwym głosie, znajdującą się gdzieś dalej. Po czym rozmówczyni wróciła.

- Przykro mi, doktorze Craig. Doktor Furness nie zostawił numeru, pod którym można się z nim skontaktować podczas tego weekendu. Czy mógłby pan zadzwonić do niego w poniedziałek?

Adam wzruszył ramionami i odłożył słuchawkę. W świetle padającym z okna widział, jak deszcz ze śniegiem zmienia się w śnieg. Trawnik był już biały. Miał nadzieję, że kot ukrył się gdzieś, jest mu ciepło i nic mu nie grozi.

Jane wyłączyła telewizor, jak tylko Adam wyszedł z pokoju. Dziesięć minut później siedziała nadal wpatrzona w pusty ekran. Kolacja okazała się całkowitą

kłeską. Wszyscy troje siedzieli, dziobiąc jedzenie, a gdy tylko skończyli, Calum pognał po schodach na górę, jak zwykle, z trzaskiem zamykając drzwi. Jane westchnęła przygnębiona. Życie z dwoma przewrażliwionymi mężczyznami nie było ideałem, o jakim marzyła. Wstała z westchnieniem, podeszła do drzwi i otworzyła je. W domu panowała kompletna cisza. Brakowało nawet dudnienia mu - zyki beatowej, dochodzącego zwykle z pokoju Caluma. Powędrowała do kuchni i z niesmakiem obrzuciła spojrzeniem stos brudnych naczyń w zlewie. Od poniedziałku do piątku przychodziła kobieta do sprzątanego, ale podczas weekendu i w piątek wieczorem wszystko w domu Jane robiła sama, łącznie ze zmywaniem, chyba że udało jej się zatrzymać Caluma albo Adama wystarczająco długo, żeby ich nakłonić do pomocy. Jedną z rad, jakie jej matka wbiła do głowy, była ta, żeby nigdy nie zostawiała do rana w zlewie brudnych naczyń. „Dzięki temu nigdy nie będziesz musiała stawiać czoła zarzutom o niechlujnej kuchni, kiedy nie będziesz miała już nic na swoją obronę”.

Przez całe trzydzieści sekund Jane stała wpatrzona w brudne rondle i talerze, a potem odwróciła się i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Wolno weszła po schodach na górę do swojej sypialni. Zaciągnęła zasłony, zapaliła lampki na toaletce i rozejrzała się dookoła. Różowe abażurki dodawały temu ślicznemu pokojowi ciepła i Jane poczuła się tu bardziej zadomowiona i odprężona. Obok łóżka, na małej szafce, leżał stos nowych powieści. Usiadła na łóżku i przysunęła je do siebie. Iris Murdoch i Margaret Drabble, i, ponieważ Jane lubiła romantyczne opowieści, ostatnia książka Mary Stewart. Pozwalała sobie na ten mały luksus: to były pisarki, z którymi mogła przetrwać skulona cały weekend, kiedy Adam wychodził, wzywany do pacjentów, albo grał w golfa z Hardingami, do czego nie potrafiła się zmusić. Zrzuciła z nóg pantofle i wyciągnęła się wygodnie na poduszkach i małych koronkowych jasieczkach, które stanowiły ozdobę jasnoróżowej narzuty. Łóżko Adama, identyczne jak jej, nienaruszone, było oddalone przepisowo o dwie stopy od jej łóżka. Między łóżkami umieszczono mały nocny stolik, na którym stała lampa Adama i leżały książki. W jego przypadku jakaś książka przyrodnicza i dreszczowiec Raymonda Chandlera. Zerknęła na nie,

układając się wygodniej, i nagle zdrewniała. Srebrnego drzewka - - talizmanu nie było na zwykłym miejscu. Rozejrzała się po pokoju. Sprawdziła na swojej toalecie, wysokiej komodzie Adama, na regałach, na parapecie. Nigdzie indziej nie mogło stać. Kiedy je widziała po raz ostatni? Głowiła się nad tym ze zmarszczonym czołem. Pani Freeling sprzątała sypialnię we środę. Jeśli przypadkiem coś stłukła (zdarzyło się to tylko dwa razy w ciągu całego okresu, jaki przepracowała u Craigów), od razu ze łzami się do tego przyznawała. Więc to nie wchodziło w rachubę. Może przestawiła na inne miejsce? Albo Adam przestawił? Jane potarła dłonią czoło. Była taka zmęczona wczoraj wieczorem i przedwczoraj, że prawdopodobnie nie zauważyłaby, gdyby brakowało całego łóżka. Więc kiedy ten talizman zniknął? Przez chwilę się zastanawiała, czy nie wstać, nie zejść na dół i nie zapytać Adama, czy nie wie, gdzie on się podział, ale się rozmyśliła. Była zmęczona, a książki zapraszały do czytania. Zapyta później, gdy Adam przyjdzie się położyć.

Czytała blisko godzinę, po czym znów podniosła wzrok, bo rozproszyło jej uwagę mrowienie w stopie. Odłożyła książkę, przeciągnęła się, ziewnęła i spojrzała na zegarek. Było po dziewiątej, a w domu panowała kompletna cisza. Żadnej muzyki pop, żadnych telefonów, żadnych kroków na schodach. Wstała, podeszła do drzwi, otworzyła je i zaczęła nasłuchiwać. W pokoju Caluma panowała kompletna cisza. Jane w samych pończochach podeszła przez podest do drzwi sypialni syna i nasłuchiwała. Po chwili podniosła rękę i zapukała.

- Calum? Calum, kochanie, czy mogę wejść?

Nie było odpowiedzi. Zmarszczyła brwi. Pewnie śpi. Ostrożnie przekręciła gałkę u drzwi i otworzyła je. W pokoju było ciemno. Jeszcze zanim zapaliła światło, wiedziała, że go nie ma. Z przerażeniem rozejrzała się dokładnie dookoła. Na biurku leżały książki, tak jak je zostawił, zeszyt z notatkami z chemii leżał otwarty na łóżku. Na biurku było też do połowy zjedzone jabłko, zbrązowiałe już i obrzydliwe, oraz pusta szklanka z osadem po piwie imbirowym na dnie. Jane rozejrzała się jeszcze raz dookoła i serce w niej zamarło. Nie było jego plecaka, który zawsze leżał na szafce, a także skafandra wiszącego zawsze z tyłu na drzwiach.

- Pojechał do Walii. - Jane stanęła w drzwiach gabinetu Adama. - Musiał to zrobić ukradkiem.

- Nie bądź niemądra. Nie musiał. - Adam wstał.

- Musiał. Pojechał zobaczyć się z Juliettą. - Zagryzła wargę, żeby powstrzymać łzy. - Nic mu się nie stanie, prawda? To rozsądny chłopiec. - Bardzo się starała przekonać o tym samą siebie.

- Nie jestem pewny. - Adam na chwilę zamknął oczy, najwyraźniej zawiedziony. Nabrał głęboko powietrza. - I wcale nie jestem taki pewny, że właśnie tam pojechał. Dobry Boże! W poniedziałek zaczyna się szkoła. Nie może sobie ot, tak po prostu wybyć i pojechać na weekend do Walii. Prawdopodobnie pojechał spotkać się z którymś z przyjaciół. Jeśli podzwonisz do różnych osób, trafisz na jego ślad, zobaczysz.

- Znienawidziłby mnie, gdybym to zrobiła. - Zmartwiona podeszła do fotela przy elektrycznym kominku i usiadła. - Bardzo źle to rozegraliśmy, Adamie. - Chcesz powiedzieć, że ja to źle rozegrałem.

- Nie. My. Oboje. Powinniśmy wykazać więcej zrozumienia. Oni są tacy młodzi. My też byliśmy kiedyś młodzi, Adamie.

Uśmiechnął się ponuro.

- Nie ryzykowaliśmy obłania egzaminów.

- On też tego nie robi. Nie jest niemądry. Jemu też przysługuje „domniemanie niewinności”. Ofiarujmy mu je.

- Lepiej zadzwoń do Lizy i ostrzeż ją, na wypadek gdyby tam pojechał. - Adam nachmurzył się. - A gdyby tak było, lepiej niech go odwiezie prosto na stację i wsadzi do pociągu, żeby wracał do domu. Głupi chłopak. Powinnaś była lepiej obserwować to, co się dzieje na dole.

- Ja powinnam? - Uniosła brew, starając się nie zwracać uwagi na wybuch gniewu, który nieodmiennie uderzał w nią, kiedy Adam oskarżał ją o coś, co, jak sądziła, było jego winą. - Nie przypominam sobie, żebyś myślał, iż może się tam dziać coś złego.

- Jak można było pozostawić wrażliwego młodego człowieka w domu z tymi

kobietami należącymi do artystycznej cyganerii? - Popatrzył na nią spode łba.

- W tym domu są tylko dwie kobiety, Adamie, i zdaje się, że Philip dobrze sobie z nimi radzi.

- Philip jest taki stary, że nie widzi nic dalej niż czubek własnego nosa - odpalił Adam zirytowany. - Powinnaś była przewidzieć, co się może wydarzyć.

Moja wina. Zagryzła wargę, żeby stłumić wewnętrzny płacz. Moja wina. To ja jestem zawsze wszystkiemu winna. Wstała, zmęczona.

- No to pójde zadzwonić do Lizy.

Dlaczego on nie zadzwoni? Kiedy weszła, siedział tutaj z telefonem przed sobą, jak gdyby właśnie skończył rozmowę. Nie zareagował na jej słowa, więc wolno podeszła do drzwi.

- Adam? Podniósł głowę.

- Co się stało z drzewkiem - talizmanem?

- Nic. Bo co?

Odwrócił wzrok i ze zdziwieniem dostrzegła zakłopotanie w całej jego postaci: w pochyleniu ramion, w sposobie, w jaki uciekał wzrokiem przed jej spojrzeniem, a nawet w lekkim rumieńcu, który wypłynął mu na twarz i szyję.

- Adam, co się, u licha, z nim stało?

- Stłukłem je.

- Ty je stłukłeś?

Potaknął. To Brid je stłukła. Ale jak mogła to zrobić, skoro była tylko snem? Nie, to on musiał strącić ten bibelot i zgnieść nogami we śnie. Kiedy się obudził, pozbierał drobne kawałki srebra i kryształu, zawinął w chusteczkę i schował na dnie szuflady w swojej wysokiej komodzie. Nie przyszło mu do głowy, żeby wspomnieć o tym Jane albo zanieść drzewko do jubilera i zapytać, czy to się da posklejać. I gdy tak siedział i patrzył na poważną minę żony, ten zatroskany wyraz twarzy, na jej krótkie gęste włosy z kilkoma pasmami siwizny na skroniach, wiedział, dlaczego. Nie chciał już dłużej chronić się przed Brid. Chciał o niej śnić. Chciał się zamykać na górze w pustym domu, kiedy Jane nie ma w domu, i marzyć o młodym, prężnym ciele Brid, jedwabistych włosach i ciepłych ustach.

Z trudem przełknął ślinę i przesunął dłonią po twarzy.

- Jestem niemądry. Całkiem zapomniałem. Musiałem stracić to drzewko, kiedy się w pośpiechu ubierałem, i przez nieuwagę zgmiotłem je nogą. Zabiorę je jutro, jak będę szedł do pracy, i oddam do naprawy.

Jane uśmiechnęła się, uspokojona.

- Dobrze. Brakuje mi go tam, na nocnym stoliku. - Przyglądała się uważnie twarzy męża. - Zawsze się czułam przy nim bezpieczna.

A on wiedział, był tego w głębi duszy pewien, że kiedy poprzednim razem się stłukło, straciło prawie całą swą ochronną moc. To dlatego Brid ich odnalazła. To właśnie dlatego udało jej się pokonać wszystkie jego opory. Teraz, kiedy zostało zniszczone po raz drugi, było już bezużyteczne. Jak tylko znajdzie chwilę czasu, zanieś je do jubilera, jeśli to ma uszczęśliwić Jane, ale ten talizman nie będzie już miał znaczenia. Już nie jest dość silny, by działać jako zabezpieczenie przed czymkolwiek. Nie teraz, kiedy Brid uzyskała prawo wstępu do ich domu.

Calum stał przed budką telefoniczną w Hay. Drżał z zimna. Broad Street była wyludniona. Widział sklep rzeźnika po drugiej stronie drogi i zamknięte, pogrążone w ciemności biuro doradców prawnych, a w oddali na tle zimnego, błyskającego nieba kontury niskiego wzgórza. Zerknął z nadzieją w głąb ulicy, na wieżę z zegarem. Upłynęło dwadzieścia minut od chwili, gdy zadzwonił do Lizy i przyznał się, gdzie jest, a ona obiecała, że przyjedzie i go zabierze. Z tomi jej głosu wywnioskował, że oczekiwała tego telefonu. Objął się ramionami i przytupywał, żeby przywrócić normalne krążenie w zmarzniętych nogach. Było jeszcze ciemno i w mieście panował zupełny spokój. Dostrzegł kilka świateł zapalających się w oknach na piętrach i kiedy je obserwował, przez ulicę przetoczyła się platforma z mlekiem i zniknęła gdzieś za rogiem w oddali. Czuł w powietrzu przyjemny zapach dymu palącego się drewna, a z oddali docierał aromatyczny powiew Black Mountains.

Kiedy w końcu stary land - rover zawarczał na ulicy i zatrzymał się koło niego, Calum był ledwo żywy z zimna i wyczerpania. Lizie wystarczyło jedno spojrzenie, by dostrzec jego stan. Zjechała ze wzgórza i zaparkowała samochód w wąskiej, wybrukowanej kocimi łbami uliczce przed małą kafejką. Lokal był

zamknięty, ale za storami w oknach widać było światło. Kiedy zapukali, drzwi otworzyła im tęga kobieta o czerwonej twarzy.

- Dwoje samotnych, umierających z głodu podróżnych, Eleri. Czy możemy wejść i dostać filiżankę herbaty?

Razem z podmuchem ciepła z wnętrza dolatywał oszalamiający zapach świeżo upieczonego chleba.

- Pewno, że tak, kochaneńka. - Kobieta cofnęła się i wprowadziła ich do kawiarenki. Było tu ciemno, na ladzie nic nie stało. Światło i zapach płynęły przez drzwi z zaplecza, gdzie już się krzątano przy ciepłej kuchni. Kobieta sięgnęła do kontaktu i zapaliła światło.

- I tak niedługo otwieram dla chłopaków z miasta. Siadajcie tutaj, koło kaloryfera. Zaraz wam przyniosę śniadanie.

- Dzięki, Lizo. - Calum uśmiechnął się smutnie. - Przepraszam, że sprawiłem ci taki kłopot. - Pochylił się i położył ręce na kaloryferze, próbując je rozgrzać. - Musiałem cztery razy zmieniać środek transportu na łebka, żeby się tu dostać.

- To całkiem niezłe - skomentowała Liza zgryźliwie - zważywszy, że wyjechałeś z domu po dziewiątej i że jechałeś przez kraj nocą, i że lada dzień czekają cię egzaminy.

W jego uśmiechu pojawiło się zakłopotanie.

- A więc mamusia rozmawiała z tobą?

- Oczywiście. Szalała z niepokoju. - . Wiedziała, że nic mi się nie stanie.

- Ona nic nie wie o takich sprawach, Calum. Wiesz przecież, że istnieją takie rzeczy jak listy. A może nie uczą cię pisać w tej drogiej szkole, do której posyła cię ojciec?

- Wiem. Przepraszam. - Wyglądał w tej chwili jak sześciolatek. - Eleri, jesteś święta. - Liza patrzyła, jak wielki gliniany dzbanek ląduje zamasyście na stole, a wraz z nim filiżanki, spodki, mleko i wielka miska cukru.

- Wszyscy to mówią. - Kobieta uśmiechnęła się zadowolona. - A co byście powiedzieli na jajka na bekonie ze wszystkimi dodatkami?

Liza zerknęła na Caluma.

- O, tak, prosimy. Ten młody człowiek zaraz umrze z głodu.

- Właśnie widzę. - Eleri poklepała serdecznie Caluma po ramieniu. - To nie potrwa długo.

- Miła jest. - Calum patrzył, jak kobieta znika w kuchni.

- O, tak. Bardzo. - Liza sięgnęła po imbryk z herbatą. - Czy powiesz mi wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi?

Wzruszył ramionami,

- O tatę.

- Cóż on takiego znów zrobił?

- Nie chce słyszeć o tym, żebyśmy się z Julią pobrali. Liza powstrzymała westchnienie.

- Dlaczego, u licha, ten problem w ogóle wypłynął, Calum? Powiedziałam ci, że nie ma mowy o waszym małżeństwie, dopóki nie będziecie starsi.

- I nie pobierzemy się. Mamy zamiar zaczekać, aż zdamy egzaminy. Julie zgadza się ze mną...

- Julie się zgadza? - Liza pochyliła się do przodu i utkwiała w nim wzrok. - Calumie Craig, ty i moja córka nie pobierzecie się jeszcze przez wiele lat, słyszysz? Jesteście teraz na to zbyt młodzi. Macie całe życie przed sobą. Nie pozwolę, byście to swoje życie zmarnowali, pakując się w coś tak poważnego jak małżeństwo, w chwili kiedy jeszcze nie podjęliście decyzji, co chcecie robić w życiu.

- Oboje wiemy, co chcemy robić. - Calum wysunął dumnie szczękę. - Ja będę lekarzem, jak tata, a Julie chce malować.

- I oba te zawody wymagają wielu lat praktyki. Kiedy się jest studentem, Calumie, wiele lat trzeba żyć właściwie z niczego. To całe lata ciężkiej harówki. - Nabrała głęboko powietrza i policzyła w myśli do dziesięciu. - Wierz mi, Calumie, mówimy to dla waszego dobra. W końcu ktoś powinien wiedzieć lepiej niż Adam i ja, jak to jest ciężko. On jest lekarzem, a ja malarką i oboje musieliśmy studiować i pracować wiele lat, by stać się tym, czym jesteśmy obecnie.

Calum sięgnął po swoją herbatę i przełknął kilka łyków, parząc sobie gardło.

- Ale wy byliście razem. Mieliście siebie nawzajem. Byliście kochankami, zanim on w ogóle spotkał mamusię.

- Może byliśmy, a może nie. - Liza znów wbiła weń oczy. - To nie ma znaczenia. Ważne jest to, że masz dopiero siedemnaście lat, a Julia tylko szesnaście, i jesteście jeszcze dziećmi! - Sięgnęła do kieszeni płaszcza i wyjęła paczkę papierosów. Postukała papierosem o stół, potem zapaliła go zapalką i zaciągnęła się mocno. - Proszę cię, Calum. Ja nie. próbuję was rozdzielać. Wiem, jak bardzo się kochacie. Tylko, uwierz mi, byłaby to klęska, gdybyście się pobrali zbyt wcześnie.

Jedzenie zjawilo się na stole, więc Liza zgasila papierosa. Patrząc, jak Calum pałaszuje jajka na bekonie z grzankami, poczuła przypływ czułości do tego chłopaka. Zsunęła swój bekon i grzanki na jego talerz i obserwowała, jak pochłania wszystko. Dopiero gdy skończył i ostatnim kawałkiem chleba wytarł tłuszcz z talerza, odezwała się znowu:

- Możesz na kilka godzin pojechać na farmę. Ale potem musisz wrócić do domu. Phil jedzie dziś po południu do Cardiff. Powiem mu, żeby cię podrzucił na pociąg pospieszny do Paddington, a stamtąd już bez trudu dostaniesz się do domu. Zgoda?

Podniósł wzrok i potaknął niechętnie.

- Zgoda.

- Cieszę się, że to słyszę. - Poszukała pieniędzy w kieszeniach, ale nie znalazła nic. Odwróciła się do jasno oświetlonych drzwi, prowadzących do kuchni.

- Eleri, czy mogę uregulować w przyszłym tygodniu? - zawołała.

- Pewno, że tak, kochaneńka. - Głos dobiegający z czeluści kuchennych był przyjemnie rzeczowy.

- Dobrze. A więc w drogę. - Liza ścisnęła dłoń Caluma, kiedy wstał. - Ja wiem, że to wszystko wydaje się pełnym piekłem, kochany. Po prostu wytrzymaj. W końcu wyjdzie to na dobre, obiecuję.

Julie czekała na nich w kuchni. Rzuciła się do Caluma i zawisła mu na szyi.

- Kocham cię, ty idioto! Liza pokręciła głową.

- Macie czas do drugiej - powiedziała groźnie. - I do tego czasu za-

chowujcie się przyzwoicie.

Odwróciła się i wyszła z pokoju, żeby powiedzieć Philipowi, pracującemu w swojej stodole, że będzie miał pasażera podczas jazdy do Cardiff. Wracając do domu zatrzymała się, dygocąc z zimna w cienkim żakiecie, żeby popatrzeć na grę światła przenikającego przez chmury i padającego w dolinę. Ten widok nigdy jej nie nużył. Cienie przesuwają się przez zielone, brązowe i szare połacie ziemi, a promienie słońca wydobywały i podkreślały urok różnych fragmentów miasteczka: wieżę kościoła na odległym krańcu doliny, a od czasu do czasu migotanie krętej rzeki Wye. Chmura przesłoniła słońce i trawa wokół niej natychmiast pociemniała.

Liza...

Potrząsnęła głową i wepchnęła ręce głęboko do kieszeni. Ta jęzda zaczęła ją teraz nazywać po imieniu. Znowu śledzi, szuka, ale po co? Adam tak rzadko tu przyjeżdża. Z pewnością do tej pory już się dowiedziała, gdzie on jest, a może myśli, że ona, Liza, naprowadzi ją na jego ślad. Nagle Liza uniosła głowę i nabrała głęboko powietrza. Oczywiście. Ona śledzi Caluma. Chodzi za Calumem. Ale dlaczego? Czemu interesuje ją syn Adama?

Odwróciła się i weszła do domu.

- Julie? Calum? - zawołała. Rozejrzała się po kuchni. Nie było tu nikogo. - Julie? - Podbiegła do stóp schodów i spojrzała ku górze. Z sypialni nie dochodził żaden dźwięk, ale mimo to wbiegła na górę i otworzyła drzwi pokoju Julietty. Był pusty, łóżko nieposłane do snu, na podłodze istny śmietnik. Uśmiechnęła się ze smutkiem. Gdyby Julie się spodziewała, że ukochany przyjdzie, zrobiłaby tu porządek.

- Julie? Calum? - Zeszła z powrotem do kuchni i wyjrzała przez okno. Mogli być wszędzie, ale najprawdopodobniej poszli na spacer przez zamarzniete pola. Będzie musiała poczekać, aż wrócą, a tymczasem zadzwoni do Meryna.

Czekał na nią w drzwiach swej chaty. Na widok Lizy uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- Zawsze się cieszę, gdy cię widzę, Lizo, oby tylko nie w związku z jakąś krytyczną sytuacją. Co się stało?

Weszła za nim do chaty i usiadła na sofie przy płonącym ogniu, wyciągając z wdzięcznością dłonie ku płynącemu od niego ciepłu.

- Ta sama stara sprawa. Ona znów wciska się do mojej głowy.

- Kłopot polega na tym, że ona także poszła po rozum do głowy. -

Przykucnął naprzeciwko ognia i przyciągnął mały stołek, żeby na nim usiąść. Na stole za nim piętrzył się stos gazet i książek. - Równie szybko jak my uczymy się chronić przed nią, ona się uczy, jak obchodzić i unikać tej ochrony. - Przez chwilę przyglądał się bacznie Lizie. - Talizman już nie działa.

- Skąd wiesz?

- Wiem. - Przez chwilę patrzył na nią poważnie. - Czasami, tylko czasami, mogę dotrzeć do głowy twojej tajemniczej Brid. Wiele się dzieje wokół niej dziwnych rzeczy. Przez długie okresy nie ma jej tam. Nie ma jej nigdzie. - Umilkł zafrasowany. - Tak jak gdyby była pogrążona we śnie albo zapadała w jakiś letarg. Potem się ocyka. Jej energia wzrasta i mogę ją znów wyczuć.

- Jak? - Liza wpatrywała się w niego. Na rękach poczuła gęsią skórę. Przeniknął ją dreszcz.

Meryn się uśmiechnął.

- Mam swoje własne sposoby, dzięki którym mogę ją śledzić, dowiedzieć się, dokąd się udaje, i kim jest ten ktoś, kto za nią przemierza obszary ciemności, gdzie ona czasami się ukrywa.

- A czy nie możesz jej powstrzymać? - Udręka w głosie Lizy wywołała uśmiech na jego twarzy.

- Ja się także uczę, Lizo. Wiele jest rzeczy, których nie rozumiem. Ale się nie załamuję. Jestem równie silny jak ona. Na swój sposób. A więc niepokoisz się o syna Adama. - W myślach Lizy łatwiej było czytać niż w myślach Brid. W zamyśleniu pokręcił głową. - Bardzo możliwe, że teraz skoncentrowała się na nim. Jest zazdrosna, zaborcza. Być może właśnie on stoi jej na drodze. Wszystko, co mogę ci zaproponować, to żebyś nauczyła tego chłopca chronić się tak, jak ty to robisz. Ona nie zdoła cię skrzywdzić i nie dostanie się do twojej głowy, jeżeli jej na to nie pozwolisz. Powiedz mu to samo.

Skinęła głową.

- Powiem mu. Na pewno.

Meryn pochylił się i oparł łokcie na kolanach.

- Jak się miewa jego żona? Jej grozi o wiele większe niebezpieczeństwo niż któremukolwiek z was czy doktorowi, czy nawet jej synowi. Jeżeli Brid postanowi usunąć przeszkody, to ona się stanie pierwszym jej celem.

Liza wzruszyła ramionami, a potem wolno potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Nie sędzę, żeby Jane naprawdę wierzyła w to wszystko.

Liczyłam na chroniącą ją moc talizmanu, ale jak mówisz, to już nie działa, więc ona potrzebuje pomocy. To dziwne. Są długie okresy, kiedy nic się nie dzieje. Tak jak powiedziałeś, zupełnie jakby Brid odeszła. Jakby straciła zainteresowanie. Czuję się bezpieczna i zapominam o niej, a potem pojawia się znów w mojej głowie, równie podstępna jak zawsze. Długo milczeli, a Meryn zamyślony wpatrywał się w ogień.

- Wiesz, być może tam, gdzie ona jest, czas nie istnieje. Rok czy minuta znaczą dla niej to samo. A co z Adamem? Czy on doświadczał tego samego, obcując z nią?

Milczała przez chwilę.

- Nie wiem. Wiele czasu minęło od dnia, kiedy rozmawialiśmy na ten temat.

Pamiętała tę ostatnią rozmowę wiele miesięcy temu, kiedy powiedział jej szorstko, żeby o tym zapomniała, że Brid jest kimś z jego przeszłości, wspomnieniem, niczym więcej, i do tego nie bardzo przyjemnym. Pomysł, że jest czy też była kiedykolwiek niebezpieczna, jest niedorzeczny. Odwieszając z niedowierzaniem słuchawkę po tej rozmowie, Liza przez kilka minut siedziała bez ruchu, zamyślona, a potem powróciła do swojej pracowni i przez następne pół godziny stała przed właśnie malowanym obrazem. Adam się zmienił. Poznała to po jego głosie. Był zły, a jednocześnie czuł się winny.

Jego głos nie przypominał zupełnie dawnego Adama.

Kiedy Liza wyszła, Meryn długo siedział wpatrzony w popiół ogniska.

Odprężył się, wzrok mu złagodniał. Penetrował delikatnie swoje myśli. Ale to nie Brid poszukiwał, tylko tej drugiej osoby, tej, która ją tropiła, którą cechowała moc,

inteligencja i ogromna wiedza. Kilka razy zbliżył się bardziej do tej postaci, poczuł na sobie świdrujące spojrzenie, poczuł energię, zrodzoną z gniewu tego człowieka. To był mężczyzna, tego Meryn był pewien. Musi zmobilizować całą siłę woli, żeby nie zmienić swej decyzji. Miał przeczucie, że się nie myli, że wie, kim jest mężczyzna, z którym będzie miał do czynienia, i ta świadomość przerażała go, a jednocześnie podniecała.

Jasny, pomarańczowy płomyk wystrzelił nagle z popiołu w kominku; Meryn napiął uwagę, a jednocześnie się rozluźnił.

- No, mój przyjacielu, pozwól, niech cię zobaczę. Musimy porozmawiać.

Nie był pewien, czy powiedział to głośno. To nie miało znaczenia. Otwierała się ścieżka łącząca różne płaszczyzny istnienia i tam, w ciemności, czekał na niego Broichan.

Ivor Furness stał przy oknie swego gabinetu, zatopiony w myślach, opierając z przyjemnością uda o ciepły kaloryfer. Zastanawiał się nad następnym rozdziałem swojej książki o szpitalnej opiece nad chorymi umysłowo, kiedy spostrzegł Brid poza terenem szpitala. Przesunął się nieco, żeby nie stracić jej z oczu. Sylwetka dziewczyny była dobrze widoczna na tle cienkiej, białej warstwy śniegu, który spadł dopiero tego ranka i nie zamierzał stopnieć. Na niebieskiej szpitalnej sukience miała brzydką, brązową, wełnianą kamizelkę, a na nogach zwyczajne szpitalne sandały, ale nie wyglądała na zmarzniętą. Przeciwnie, wydawało się, że to przejmujące zimno sprawia jej przyjemność. Furness widział nawet z daleka, że jej policzki są rozpalone, a włosy powiewające wokół głowy w lekkim złośliwym wietrze zdają się żyć własnym życiem. Stąpała pewnie, z ramionami wyprostowanymi, wcale nie skulona w tej swojej kamizelce, i widać było, że zmierza do jakiegoś określonego celu, a nie po prostu na spacer, jak można by się spodziewać po kimś, kto w przerwie między zajęciami terapeutycznymi zimą, w ogrodzie skutym lodem i otoczonym wysokim murem, nie ma dokąd pójść.

Oddalała się coraz bardziej, ale nadal była widoczna; kierowała się ku pozbawionym liści drzewom przy ogradzającym teren szpitala murze. Nagle Ivor zmarszczył czoło. Zobaczył ją w wyobraźni wdrapującą się na mur, zeskakującą z

niego na drogę po drugiej stronie i znikającą mu z oczu. Ściągnął marynarkę z wieszaka przy drzwiach i wybiegł na korytarz, kierując się ku schodom. Na zewnątrz rozejrzał się dookoła. Okna jego gabinetu wychodziły na zachodnią część ogrodu i stamtąd powinien zobaczyć, dokąd Brid poszła. Wielkimi krokami pobiegł przez trawę, świadom, że jego buty pozostawiają wyraźne ślady na cienkiej warstwie śniegu. Przy wysokim murze z czerwonej cegły zatrzymał się i znów rozejrzał dookoła. Nie dostrzegł nigdzie Brid, nie widać było także nigdzie śladów jej stóp. Spenetrował najbliższe otoczenie i przeszedł kilka metrów dalej. W pobliżu muru, na pozbawionej liści gałęzi czereśni, siedział rudzik i śpiewał tak głośno, że wydymały się piórka na jego piersi. Doktor Furness obserwował ptaszka przez chwilę i nagle przypomniał sobie, że słyszał jego trele, biegnąc po trawie. Gdyby ktoś tędy szedł, wdrapywał się na mur, rudzik by odleciał. I rzeczywiście uciekł, gdy doktor zbliżył się do niego o kilka kroków. Furness znów się zatrzymał i rozejrzał dookoła. Nagle zrobiło mu się głupio, chociaż jego umysł po spacerze na świeżym powietrzu pracował nieporównanie lepiej. Gdzież, u diabła, ona się podziała? I nagle ją zobaczył. Stała zaledwie o kilka kroków od niego, ukryta za wysokim ostrokrzewem.

- Doktorze Furness! Śledził mnie pan. - Przechyliła lekko głowę na bok, trochę tak jak ten rudzik, pomyślał nagle.

- Nie da się ukryć. - Uśmiechnął się do niej. - Martwiłem się, że zmarzniesz bez płaszcza.

- Nie jest mi zimno. Lubię śnieg. Kiedy pada, czuję się wolna. Dlaczego zawsze jej się udaje obudzić w nim poczucie winy, podczas gdy innym pacjentom nigdy?

- Nie zaprzyjaźniłaś się z żadną z pacjentek, prawda?

Nie raczyła odpowiedzieć. Zamiast tego odwróciła się w kierunku budynku z czerwonej cegły z tyłu za nimi, przyglądając się jego edwardiańskim wieżyczkom..

- Nie można się czuć szczęśliwym w tym domu. Chciałabym mieszkać gdzie indziej.

- Wiem, Brid, i pewnego dnia, już wkrótce, będziesz mieszkała, obiecuję.

Odwróciła się do niego, a on poczuł, jak jej srebrnozielone oczy przyciągają jego wzrok.

- Kiedy?
- Jak tylko poczujesz się dobrze.
- Nie jestem chora.
- No nie.
- Więc dlaczego mnie tutaj trzymacie? To przypomina więzienie.

Mylił się, jeśli chodzi o jej stosunki z innymi kobietami. Niektóre z nich naprawdę lubiła, niektóre z nią rozmawiały. Wszystkie były zgodne co do tego, że to miejsce przypomina więzienie, i kiedy się dopytywała, jak to jest w takim więzieniu, były szczęśliwe, że mogą jej o tym opowiedzieć.

- Brid, chodzi o to, że trudno by ci było radzić sobie w świecie zewnętrznym.
- Nie. Uważam, że nie będzie to trudne. Czuję się zupełnie dobrze. To, że jestem senna, nie świadczy o tym, że źle się czuję. Każdy sypia. A to, że podejmuję te swoje podróże, żeby zobaczyć A-dama, nie znaczy wcale, że coś mi jest. W moim kraju wszyscy ludzie, którzy uczyli się tego, co ja, potrafią to robić.

- Wierzę ci, Brid. I pomogę ci. - Wyciągnął do niej rękę. - Ale jest zimno. Wracajmy do budynku.

- Mnie nie jest zimno. - Czuł stalową siłę kryjącą się pod jej urokiem. To było coś, co zazwyczaj starała się ukryć przed nim, chociaż w obecności pielęgniarek, którymi, jak podejrzewał, gardziła, wychodziło to na jaw o wiele częściej, niż sama prawdopodobnie zdawała sobie sprawę.

- Ale ja zmarłem. - Ruszył wolno w kierunku szpitala. - Zostań tu, jeśli chcesz, ja wracam do budynku.

Brid patrzyła, jak odchodzi, po czym wróciła na swoją ścieżkę. Idąc po trawie, znowu się uśmiechała.

Szopa stała przy wysokim murze. Jej drzwi zwisały na wyłamanej zawiasie. Dawno temu robotnicy szpitalni przechowywali tu kosiarki do trawy i narzędzia ogrodnicze, ale teraz, od dłuższego czasu szopa stała pusta i zapomniana, ukryta za kępą laurowych krzewów. Wewnątrz było ciemno, ale zaciszenie, nie wpadał do

środka śnieg, ściany, chociaż pełne szpar, chroniły od zimna, a przede wszystkim dawały odosobnienie. Brid znalazła stare worki i różne stare narzędzia ogrodnicze, między innymi zardzewiałe nożyce. Te ostatnie ukryła za drzwiami, na wypadek gdyby znalazła dla nich zastosowanie. Worki poskładała i ułożyła z nich stos, tak że mogła siedzieć na nich wygodnie, dosyć daleko od drzwi. Szopa stała pod takim kątem, że budynek szpitalny był całkiem niewidoczny i Brid widziała stąd jedynie duży trawnik, kilka pozbawionych liści drzew i parę jakichś żalosnych krzewów. Ale wszystko to było cudowne w porównaniu ze sterylnym koszmarem sal szpitalnych i pokoiów wypoczynkowych. A przede wszystkim było tu cicho, słyszała tylko lekki szum wiatru w gałęziach pobliskich drzew i krzewów. Brid uklękła i przyciągnęła jakąś deskę do ściany. Za nią był jeszcze jeden kawałek drewna, na którym zardzewiałymi nożycami wyryła kilka symboli: półksiężyc, złamany miecz, lustro i grzebień. One stanowiły mapę i jej klucz. Przysunęła tę mapę do siebie, usiadła na stosie worków i zamknęła oczy. To dziwne, że tutaj właśnie, w tej małej chatce, a nie w dużym kompleksie budynków szpitalnych, wyczuwała moc. Tutaj, głęboko pod powierzchnią ziemi, znajdowała się woda. Nie leniwie płynąca żelaznymi rurami, którą Brid czuła wszędzie wokół siebie w tym dziwnym świecie, ale żywa woda z głębi ziemi, przenikająca ku górze przez piasek, glinę i żwir i wytryskująca do jakiejś podziemnej groty. Po kilku głębokich oddechach Brid zamknęła oczy i wyobraziła sobie tę wodę. Była chłodna i perlista jak woda górskich strumieni w jej rodzinnych stronach. I nagle Brid poczuła energię płynącą we krwi.

Kiedy wczesnym rankiem w poniedziałek Calum dotarł w końcu do domu, był wyczerpany i zakłopotany; dopiero wieczorem, ponieważ Adam był cały dzień zajęty w pracy, Jane zapytała syna, co się stało.

Wymijająco wzruszył ramionami. - Liza nie robiła z tego problemu. Ona nie jest taka drobiazgowa jak ty i tata.

- Może nie jest. Ale to nie znaczy, że nie jest zaniepokojona, i na pewno chce, żeby Julietta postępowała rozsądnie, wiesz o tym dobrze.

- Nie zamierzam jej w tym przeszkadzać.

- Tak, dopóki oboje będziecie ostrożni. - Jane spuściła wzrok i patrzyła na

swoje dłonie. Jest żoną lekarza, a taką trudność sprawia jej rozmowa z synem o antykoncepcji.

- Mamusiu... - Nabrał głęboko powietrza i urwał.

- Słucham.

- Liza rozmawiała ze mną o czymś. To wszystko było trochę dziwne. -

Odwrócił wzrok, najwyraźniej zakłopotany, a ona odetchnęła z ulgą. A więc Liza rozmawiała z nimi. To dobrze.

- Powiedziała, że to ma coś wspólnego z nią i z tatą w czasach studenckich.

Jane zmarszczyła brwi. - O co chodzi?

- Chodzi o kogoś, kto nazywa się Brid.

- Brid? - powtórzyła jak echo, zdziwiona.

- To naprawdę zabrzmiało tak, jakby chodziło o coś więcej, mamusiu.

Powiedziała, że ta kobieta ją prześladowała, a teraz chyba próbuje dotrzeć do tatusia przeze mnie i że muszę się nauczyć chronić wszelkimi sposobami/używając metod parapsychologicznych. Mówię ci,, to było naprawdę dziwne.

Stłuczone drzewko - talizman wciąż leżało w szufladzie biurka Adama. Jane widziała je tam właśnie wczoraj, kiedy szukała dla niego numeru telefonu na patologię u św. Tomasza. Widocznie o nim zapomniał.

- Wiesz coś o tym? - Głos Caluma stał się ostrzejszy. - Kim ona była? Jane pokręciła głową. Nagle owładnęło ją uczucie, że dopuszcza się zdrady.

- To była młoda Cyganka, którą twój ojciec znał, kiedy był młody. -

Umilkła. Przypomniała sobie czarne włosy rozrzucone na jego poduszce. - Twój ojciec i Liza ubzdurali sobie, że ona rzuciła na nich cygańskie przekleństwo. Lata całe mijają i nic o niej nie słyszymy, i nagle coś się przypomina twojemu ojcu i Lizie, stają się przesądni i zaczynają robić w całym domu jakieś znaki, mające ich chronić przed złym okiem tej dziewczyny. Nie zważaj na to, Calumie.

Calum obserwował matkę zmrużonymi oczami, bez trudu odczytując, co ona naprawdę czuje. - Ona w tobie także budzi niepokój.

- Ależ nie. Nikt naprawdę nie wierzy w takie głupstwa. To przesąd.

Kompletny nonsens,

- Na pewno. Na litość boską, mamusiu, nie myślisz chyba poważnie, że tata w to wierzy? Mogę sobie wyobrazić Lizę, ją bardzo wciągają takie rzeczy, a nawet Juliette; ona wierzy w tego rodzaju dziwne głupstwa. Ale nie tata. On jest lekarzem.

- I nauka zna to wszystko - uśmiechnęła się lekko Jane.

- Oczywiście. Jesteśmy cywilizowanymi ludźmi. Czasami myślę, że Julie jest trochę pomyłona. - Szczery uśmiech Caluma przeczył tym słowom. - Ale jej to przejdzie.

- Nie wolno ci próbować ją zmieniać, Calum. To byłby katastrofalny początek waszego związku. Tak samo jak jej nie wolno próbować zmieniać ciebie. Wiem, że się kochacie, ale możecie być jak ogień i woda.

Calum się roześmiał.

- Brednie! - Objął matkę i zawirował z nią dookoła, aż jej zabrakło tchu. - Niemądra staruszko! Zaczekaj, a zobaczysz. Będziemy najszczęśliwszym małżeństwem na świecie.

Jane siedziała właśnie w gabinecie Adama ze swoim szyciem, kiedy ten wreszcie zdecydował się zadzwonić do doktora Furnessa.

- Nie mam pojęcia, do czego jestem temu człowiekowi tak pilnie potrzebny. - Usiadł ze słuchawką przy uchu. - Spróbuję jeszcze raz, a potem wracam do pracy.

Jane oparła się wygodnie i obcięła nitkę. Poklepała robótkę i wyciągnęła na odległość ramienia, żeby ją obejrzeć, zanim sięgnie do koszyczka po następny motek bawełny.

- Chcesz, żebym wyszła? Czy to poufne?

Wzruszył ramionami, słuchając sygnału po drugiej stronie linii.

- Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że chodzi o jakiegoś pacjenta. - Umilkł, ponieważ ktoś po drugiej stronie podniósł słuchawkę. - Doktor Furness? Mówi Adam Craig. Zdaje się, że pan próbował się do mnie dodzwonić.

Chwilę trwała cisza. Adam nie mógł wiedzieć, że Ivor Furness wstał, obszedł dookoła biurko, ostrożnie ciągnąc kabel telefonu ponad stosami książek i skoroszytów, żeby wyjrzeć przez okno. Był to odruch: chciał się upewnić, czy Brid

jest na zewnątrz. Nie było jej. Nie wiedział, gdzie jest, ale zawsze prześladowało go dziwne uczucie, że ona wie, co on robi, i co gorsza, wie przez cały czas, o czym on myśli.

- Chciałem porozmawiać z panem o jednej z naszych pacjentek, doktorze Craig. Nazywa się Brid.

Adam wstał i chwilę milczał oszołomiony, potem usiadł powoli i oparł łokieć na biurku, instynktownie odwracając się nieco od żony, ponieważ zauważył, że zerka na niego.

- Mamy tutaj tę kobietę i ona utrzymuje, że pana zna. A przynajmniej twierdzi, że zna jakiegoś doktora Adama Craiga. Nie znam jej nazwiska, ale jest młoda, ocenilibym jej wiek na niewiele ponad dwadzieścia lat. Atrakcyjna. Długie czarne włosy.

- Niewiele ponad dwadzieścia lat, mówi pan? - Adam poczuł nagłą ulgę. Nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymuje oddech. - Znałem kiedyś kogoś o takim imieniu albo podobnym. Ale wiek nie pasuje. Ona byłaby teraz po czterdziestce.

Atrakcyjna. Długie ciemne włosy. Brid. Adam powoli pokręcił głową.

- Niestety, nie.

- Czego on się chciał dowiedzieć? - zapytała Jane, kiedy mąż odłożył słuchawkę.

Mimo wyraźnie odczuwanej ulgi twarz Adama poszarzała. Wzruszył ramionami.

- Och, chodzi mu o jakąś pacjentkę, którą starają się zidentyfikować. Z jakiegoś powodu zna moje imię i nazwisko.

- I nie wiesz, kto to jest?

- Nie. Nigdy się z nią nie zetknąłem.

- Może istnieje jakiś inny doktor Craig? Skinął głową.

- Może.

Usiadł i popatrzył na żonę. Droga, łagodna, spokojna Jane, która zawsze była przy nim, zawsze go wspierała, zawsze pogodna, choćby była nie wiadomo jak zmęczona czy zirytowana. Kochał ją bardzo, a jednak... Zagryzł wargę,

zastanawiając się, ile czasu upłynęło od dnia, kiedy po raz ostatni się kochali. Na tym polega kłopot z oddzielnymi łózkami: nie można wpaść w ramiona partnera nawet przez przypadek. Nie szukacie się nawzajem. Nie pragniecie się znaleźć w swych ramionach dla przyjemności, dla ciepła, dla poczucia bezpieczeństwa. A nawet po prostu dlatego, że z powodu wgniecenia materaca na środku znaleźliście się bardzo blisko siebie i to przypomniało wam jakieś wcześniejsze, bardziej namiętne spotkanie. Kładziecie się do łóżka czasem tak zmęczeni, że lecicie z nóg, ciesząc się, że dzień się skończył, zmordowani tak, że nie myślicie wcale o tej drugiej istocie ludzkiej na łóżku obok.

Myśl o łóżku przypomniała mu o czymś. Spojrzał na szufladę biurka. Musi naprawdę oddać ten talizman do naprawy. Wyrzucił z myśli wspomnienie ciemnych włosów Brid, jej namiętnych ust. Podniósł głowę, skupił wzrok na ścianie przed sobą i zaczął się zastanawiać.

Dziewczyna po dwudziestce. Wystarczająco młoda, żeby być córką Brid. Ale nie jego. Na pewno nie.

Zerknął jeszcze raz na Jane, a potem wstał powoli, wyrwał z notesu stronę z numerem telefonu doktora Furnessa i schował ją do kieszeni. Podeszedł do żony i pocałował ją w czubek głowy.

- Wychodzę, kochanie. Mam dziś wieczorem dyżur, więc nie czekaj z kolacją. Zjem sobie kanapkę, jak wrócę.

Przez kilka minut po wyjściu męża Jane siedziała bez ruchu. Potem odłożyła szycie i wstała, podeszła do biurka i spojrzała na notes. Jakiś instynkt krzyczał w niej, że coś tu jest nie tak. Dostrzegła, jak Adam zeszywniał nagle, rozmawiając z doktorem Furnessem, jak zbiegły mu kostki dłoni, w której ścisnął słuchawkę, i jak się od niej odwrócił, najwyraźniej chcąc coś przed nią ukryć. To nie był bezosobowy telefon dotyczący jakiegoś pacjenta. To było coś, co go głęboko poruszyło.

Dwadzieścia pięć lat. Gdyby Brid urodziła ich dziecko, miałyby teraz dwadzieścia pięć lat. Adam siedział w swoim gabinecie, wpatrując się w kartę choroby pierwszego pacjenta. Poczekalnia była pełna ludzi, dochodził stamtąd nieustający, szarpiący kaszel. Córka? Córka Brid? Pamięć nieustannie podsuwała

mu wspomnienie łóżka w domu, jego marzeń i fantazji, chwil, kiedy Brid przyszła do niego, zadreńczając go swoją urodą i namiętnością. Sięgnął po telefon. Zadzwoń do doktora Furnessa, może nawet pójdzie się zobaczyć z tą młodą kobietą. Ale odsunął aparat z powrotem na skraj biurka. To byłoby szaleństwo.

Szaleństwo.

Dlaczego w ogóle ta dziewczyna znalazła się w szpitalu dla umysłowo chorych?

Czy dlatego, że jest dzieckiem z innego świata, spoza czasu i miejsca? Ale dlaczego nazywa się Brid? Pokręcił wolno głową i zaczął wyjmować z koperty notatki dotyczące pierwszego pacjenta. Nie czas teraz myśleć o niej.

- Myślę, że Julie obleje swoje egzaminy, mamusiu. - Calum zjadał prosto z półmiska ostatnią porcję zapiekanki z ziemniaków i mięsa, podczas gdy Jane sprzątała ze stołu.

- Calumie, to było dla ojca.

- On by tego nie zjadł. Wiesz dobrze, że by nie zjadł. Zawsze jest zbyt zmęczony, kiedy wraca do domu. Naprawdę, mammo. Julie twierdzi, że nie trzeba mieć zdanych egzaminów, żeby być artystką.

Jane westchnęła. Wróciła na swoje miejsce i usiadła naprzeciw syna.

- Czy Liza o tym wie? Calum wzruszył ramionami.

- Nie sądzę. Julie na tym nie zależy. Będzie podróżować po świecie. Będzie malować, pływać i zwiedzać przez parę lat, zanim się ustakuje.

- Rozumiem. - Jane wiedziała, co nadchodzi.

- Myślę, że to jest znakomity pomysł. W końcu zawsze można zacząć studia trochę później. Mnóstwo ludzi robi sobie roczną przerwę, zanim zaczną się uczyć dalej.

- Pod warunkiem, że mają znakomite wyniki egzaminów.

- No, tak. Oczywiście. - Znow wzruszył ramionami. - To się rozumie samo przez się.

- Naprawdę, Calumie? - Utkwiła w nim spojrzenie tak przenikliwe, że odwrócił wzrok.

- Nie pozwól, żeby się rozmięła na drobne, Calumie. Ona jest trochę narwana, kochanie. Wiem, że ją kochasz, i jestem pewna, że potraficie wieść razem ustabilizowane życie, ale ona jest szalona. Nie rozumie, co to znaczy mieć do czegoś powołanie, tak jak ty.

- A ja mam?

- Tak, Calumie. Masz. - Gdzież jest ten Adam, kiedy go tak potrzebuję? - Tylko zdaj te swoje egzaminy, a będziesz mógł troszkę popodróżować. To tylko trzy miesiące. - Boże, pozwól mu przez nie przebrnąć.

Umyła i wytarła naczynia. Uznała, że to jest jej wkład do jego wysiłku egzaminacyjnego. To pozwoliło mu w tym czasie zniknąć na górę i włączyć radio albo nastawić jakąś płytę na cały regulator i dokonać własnej oceny sytuacji. W niektóre wieczory przychodził jakiś kolega i pracowali (tak to w każdym razie nazywali) razem. W inne wieczory to on szedł do Rogera, Marka albo Paula. Co wieczór dzwoniła Julie i rozmawiali szeptem, co, jak się wydawało Jane, trwało całymi godzinami. W związku z tym nauczyła się przesuwać kolację na późniejszą godzinę, bo przerywanie potoku zwierzeń, snucia planów i niekończącej się wymiany czułości działało na jej syna deprymująco.

Jane ściągnęła z rąk gumowe rękawiczki, powiesiła je na ściance zlewu i westchnęła. Jeszcze kilka miesięcy i Calum wyjedzie. Będzie podróżował, wstąpi na uniwersytet i zacznie nowe, dorosłe życie. Co ona będzie wtedy robiła? Myślała o bardzo wielu rzeczach. Będzie gotowała i prowadziła dom Adamowi. Ale czy to jest jej przeznaczone na resztę życia? Od czasu do czasu wypije kawę z Sarą Harding, której wścibiania nosa, może zresztą w najlepszej intencji, czasami już nie mogła znieść, chociaż stanowiło jedyne urozmaicenie monotonii jej życia. To było przygnębiające. Równie przygnębiające jak to, że kiedy usiadła przed toaletką i patrzyła na swoje odbicie w lustrze, dostrzegła nowe zmarszczki, obwisły podbródek, a także ślady wyczerpania i życiowej porażki. Pamiętała wyraz twarzy swojej matki, kiedy ta przeglądała się w lustrze i to, co w nim widziała, nie podobało jej się. Matka była przystojną kobietą o silnym charakterze, pracowitą i apodyktyczną. Jane wróciła myślą do czasu, kiedy była dzieckiem, a jej ojciec coraz

częściej i częściej uciekał z domu na pole golfowe. Teraz robił to Adam. Czy to dlatego, że przeznaczeniem Jane i matki było kroczyć podobnymi ścieżkami obowiązku i poświęcenia, a w przypadku Jane jeszcze śmiertelnej nudy?

Zgasiała światło i ruszyła po schodach na górę. Hałas dochodzący z pokoju Caluma był mniej głośny niż zazwyczaj. Rozróżniała ponure dźwięki ballady Boba Dylana, niosące się echem ku dolnemu podestowi. Otworzyła drzwi sypialni i weszła do środka.

Podeszła do toaletki, wzięła do ręki szczotkę do włosów i zerknęła na odbicie łóżka w lustrze. Siedziała na nim jakaś kobieta i obserwowała ją. Młoda kobieta w niebieskiej workowatej sukience, o pięknych, długich, ciemnych włosach i srebrnoszarych oczach.

Jane krzyknęła i odwróciła się.

- Skąd się pani tu wzięła? Kim, u diabła, pani jest? - Serce waliło jej w piersi i musiała siłą powstrzymywać krzyk, który wydierał się z jej gardła.

Młoda kobieta nie poruszyła się.

- Przyszłam się zobaczyć z A-damem. - Miała obcy akcent, a jego imię wymawiała tak, jakby to było słowo w jakimś obcym? egzotycznym języku. - Przyszła pani się zobaczyć z moim mężem? - Jane zaakcentowała to słowo, aby podkreślić, że Adam stanowi jej własność.

- I czeka pani na niego, siedząc na jego łóżku?

- Oczywiście. - Szare oczy zwęziły się prowokacyjnie. - Pani jest niepotrzebna A-damowi. On kocha mnie. Zawsze mnie kochał.

Brid! Ty jesteś Brid.

Nie była pewna, czy wypowiedziała te słowa głośno. To sen. To musi być sen. Jak policzy do dziesięciu, obudzi się. Przełknęła ślinę, zaciskając dłoń na szczotce.

- Posłuchaj, młoda damo. Nie wiem, dlaczego chcesz się zobaczyć z Adamem, ale możesz przyjść w dzień, kiedy on jest w domu. A teraz chcę, żebyś sobie poszła.

Młoda kobieta uśmiechnęła się.

- Często odwiedzałam A-dama. Przychodziłam do jego łóżka i kochaliśmy

się. Krzyczał z rozkoszy. - Sugestywnie przesunęła dłonią po swym udzie.

- On pani już nie kocha. - Oblizwała wargi. - Dlaczego odebrała go pani Lizie? A-dam ją kochał.

- Kochał mnie! - Jane usłyszała swój krzyk pełen oburzenia.

- Dosyć, ty zuchwała dziewczyno! Wynoś się! Słyszysz? Wynoś się! Nie wiem, kim jesteś i co tu robisz, ale masz wyjść. Natychmiast!

Młoda kobieta wstała powoli, przeciągnęła się z jakimś kocim wdziękiem, na widok którego Jane zeszytniała. To sen. Wiem, że to sen. Więc czemu nie mogę się obudzić?

- Wynoś się!

Brid pokręciła głową.

- Chyba nie wyjdę. Nie lubię cię. - Postąpiła kilka kroków w kierunku Jane, szukając czegoś w haftowanej torbie, którą miała przewieszoną przez ramię. Jane zobaczyła przerażona, że nieznajoma wyjmuje z niej mały srebrny nóż.

- O, nie! - Jane rzuciła szczotkę i chwyciła z toaletki pierwszą rzecz, jaka jej wpadła w rękę - metalowy pilnik do paznokci. Kątem oka widziała, że Brid zbliża się do niej z uniesionym do góry nożem. W panice rzuciła się na nią i ugodziła ostrzem pilnika w ramię. Brid zapiszczała dziwnie, sycząc z bólu przemknęła obok Jane i wypadła za drzwi.

- Mamo? - Calum gwałtownym ruchem otworzył drzwi swego pokoju i wypadł na podest. - Mamo, co się tu, u licha, dzieje? Skąd się tu wziął ten kot? Och, mamo, on cię podrapał! - Stał na progu z oczami szeroko otwartymi z przerażenia. Zmieniając płytę, kiedy muzyka umilkła na chwilę, usłyszał za drzwiami jakieś zamieszanie i krzyki. Jane ciężko opadła na stołek przed toaletką. Drżała jak liść. Krew kapiała z długiego, wąskiego zadrapania na jej przedramieniu.

- Przyniosę apteczkę. - Calum pobiegł do swojego pokoju i wrócił po kilku sekundach. - To niegroźne zadrapanie. - Przyłożył do ranki watkę z jakimś środkiem dezynfekującym. - No, już. Teraz poszukamy bandaża. - Jako przyszły lekarz trzymał wszystkie podręczne środki opatrunkowe porządnie posegregowane w szafie w swoim pokoju. Jane wątpiła, czy poza tym są w domu jakieś inne środki

pierwszej pomocy. Rodziny lekarzy nieczęsto są zaopatrzone w takie rzeczy. Jane starała się opanować. Spoglądała na łóżko. Nie pozostało na nim żadne wgniecenie w miejscu, gdzie siedziała ta kobieta. Jedyne dowód na to, że tu była, to paskudne zadrapanie na jej ręce.

- Widziałeś tego kota? - uśmiechnęła się niepewnie do Caluma.

- Oczywiście, że widziałem.

- Czy był prawdziwy?

- Mamo... - Profesjonalnym ruchem przyłożył rękę do jej czoła. - Myślę, że jesteś w szoku.

Uśmiechnęła się nieznacznie i potrząsnęła głową.

- Nie, tylko trochę oszołomiona, to wszystko. Nie widziałeś tutaj jakiejś kobiety?

- Kobiety?

Teraz pewnie Calum myśli, że ona zwariowała.

- Nie. Oczywiście, że nie. Przepraszam, kochanie. Widzisz, zasnęłam i coś mi się przyśniło. A potem przyszedł ten wstrętny kot i mnie nastraszył. - Z trudem wzięła się w garść.

Dopiero gdy Calum powrócił do swoich podręczników, Jane znów zeszła na dół. Przeszukała cały dom i sprawdziła, czy wszystkie drzwi i okna są zamknięte. Były zamknięte tak jak zwykle o tej porze, w nocy. Potem przeszła do gabinetu Adama i wysunęła dolną szufladę jego biurka. Wyjęła z niej drzewko - talizman, nadal owinięte w papier, i zaniósła te szczątki na górę. Połamane czy niepołamane, powróci na stolik między ich łózkami.

Był już wieczór, gdy siostra Wilkins zadzwoniła do doktora Furnessa z informacją, że Brid znów zapadła w tę swoją dziwną śpiączkę. A skoro tak, to pewnie podróżuje.

- Kiedy byłam u niej, widziałam, że śpi, doktorze, ale oczy miała otwarte i uśmiechała się. - Debora Wilkins podążyła za lekarzem, kiedy skierował kroki na oddział, i otworzyła przed nim drzwi.

- Jest teraz w łóżku i wygląda, jakby spała, ale nie mogę jej dobudzić. Brid

była rzeczywiście w łóżku. Widział wybrzuszone prześcieradło nad jej ramieniem i rozrzucone na poduszce włosy.

Zawahał się. A jeśli jeszcze nie powróciła do swego ciała? Pokręcił głową. Na litość boską, cóż z niego za łatwowierny idiota. Nie może pozwolić, by ta tajemnicza kobieta wodziła go za nos, nie wolno mu wierzyć w jej wyczyny i jej żarliwe wyjaśnienia.

- Brid! - Delikatnie potrząsnął ją za ramię. Stojąca za nim siostra Wilkins zacisnęła usta.

- Brid, obudź się. - Powiedział to niemal szeptem.

Przez chwilę myślał, że dziewczyna nie zareaguje, ale nagle otworzyła oczy i spojrzała na niego. Po kilku sekundach zorientował się, że go poznaje. Uśmiechnęła się.

- Doktor Furness?

- Cześć, Brid. - Odwrócił się. - Dziękuję, siostrze. Może pani odejść.

Siostra Wilkins spojrzała na niego i przez chwilę widział wrogość w jej oczach. Potem odwróciła się i z wściekłością odeszła. Większość pacjentów na sali już spała. Doktor Furness zaczekał, aż siostra Wilkins zamknie za sobą drzwi, i dopiero wtedy odwrócił się znów do Brid.

- Pamiętasz, powiedziałem ci, że porozmawiamy o twoich wizytach u doktora Craiga.

Skinęła głową. Dostrzegł szelmowskie iskierki w jej oczach. Zauważył także, że skrzywiła się z bólu.

- Co się stało, Brid? Czy coś ci dolega?

Przez chwilę myślał, że zaprzeczy, ale nagle ostrożnie poruszyła ramieniem.

- Boli mnie ramię.

- Mogę zobaczyć? - Umilkł, czekając, aż skinie głową, po czym ostrożnie odsunął prześcieradło. Leżała w ubraniu, a jej sukienka była poplamiona krwią.

- Brid, skaleczyłaś się. - Odchylił sukienkę przy szyi i zobaczył głęboką kłutą ranę, co wydało mu się czymś całkowicie nierealnym. - Trzeba będzie to oczyścić. Rana wygląda na dość głęboką. - Spojrzał na jej twarz. - Jak to się stało?

Spodziewał się wykrętów, lecz ku jego zdumieniu Brid oświadczyła bez wahania: - To zrobiła żona A-dama. Ugodziła mnie takim malutkim nożem, który leżał na stole. - Prychnęła drwiąco. - Idiotyczna malutka broń, zabaweczka dla dzieci. Ale powstrzymała mnie. Byłabym ją zabiła. Ona jest nieodpowiednia dla A-dama. Całkiem nieodpowiednia. To ja mu jestem potrzebna.

Ivor Furness nabrał głęboko powietrza. Ta kobieta była zamknięta w sali szpitalnej. Nigdzie nie wychodziła. Na pewno nie była w oddalonym o wiele mil St Albans.

Powierzył Brid niezbyt delikatnej opiece Debory Wilkins, żeby opatrzyła jej ranę i przygotowała do snu, po czym poszedł do swego gabinetu, zapalił światło, zamknął drzwi, usiadł przy biurku i sięgnął po telefon. Po rozmowie z Jane Craig długo siedział, wpatrzony w leżący przed nim pusty bibularz. Próbował się doszukać sensu w tym wszystkim, co przed chwilą usłyszał. Każda cząstka jego racjonalnego umysłu odrzucała dowody, które widział na własne oczy. To było niemożliwe. W żadnych okolicznościach i w żaden sposób nie było możliwe, żeby Jane Craig ugodziła Brid pilnikiem do paznokci. Ani żeby Brid mogła się zamienić w kota. „Karmisz piersią młodego Diabła pod postacią kota”. Gdzieś z głębin pamięci napłynęły mu do głowy te słowa z Congreve'a. Przeszył go dreszcz. Nie wypytał Jane o tego kota. Przez chwilę miał taki zamiar, ale w końcu zrezygnował.

Sala szpitalna pogrążona była w ciemnościach, ale Brid nie spała. Leżała z włosami rozrzuconymi wokół głowy, ze wzrokiem utkwionym w sufit.

- Jak twoje ramię?

- Lepiej. Ale siostra Wilkins nie jest dobrym uzdrowicielem. Jest zbyt szorstka.

Ivor skinął głową. Stłumił nagłą myśl, że nie chciałby być w skórze siostry Wilkins, gdyby zraził zbytnio do siebie Brid. Zaciągnął do połowy zasłonę wokół nich, a potem usiadł na krześle obok Brid.

- A więc chciałbym cię zapytać o więcej szczegółów dotyczących tego twojego podróżowania - powiedział łagodnie. - Jesteś zmęczona czy możemy chwilkę porozmawiać?

Było pokrzepiające, że zdawała się znajdować przyjemność w rozmowie z nim i bez zastrzeżeń dzieliła się swoimi myślami. W gruncie rzeczy była z nich dumna.

Uśmiechnęła się i oparła na łokciu.

- Dobrze. Nie jestem zmęczona. Kiedy wracam z tych podróży, jestem pełna życia. Jak to siostra Wilkins określa? Energii. - Uśmiechnęła się zagadkowo. - Chce pan wiedzieć, jak to robię? Roześmiał się spokojnie.

- Rzeczywiście. Chciałbym wiedzieć. Z mojego punktu widzenia dokonujesz cudu.

Jej pełne zadowolenia oczy były takie kocie, że niemal słyszał, jak Brid mruczy. Przeniknął go dreszcz, przypomniało mu to bowiem, o co przyszedł ją zapytać.

- Brid, czy ty kiedykolwiek udawałaś, że jesteś kotem? Oczy jej zabłyśły.

- Oczywiście. Ale to nie jest udawanie. Zamieniam się w kota, żeby się szybko poruszać. Koty są święte w mojej rodzinie. Korzystamy z ich mocy, z ich wiedzy. Była to pierwsza rzecz, jakiej się nauczyłam od Broichana, kiedy byłam jeszcze dzieckiem. Wierzy pan, że potrafię zmieniać postać?

Znów pojawił się ten błysk w jej oczach, jakiś kpiący błysk, który działał na niego otrzeźwiająco.

- Nie wiem, w co wierzyć, Brid. Pokiwała głową.

- Słuchałam wielu ludzi, od czasu gdy przebywam w waszym świecie - mówiła bardzo poważnie. - Wy już nie wiecie, jak się robi takie rzeczy. Nie wierzycie w coś takiego. Nazywamy to zmianą postaci. Wchodzeniem w ciało innego stworzenia. Zapożyczaniem jego mocy i jego wiedzy. Wykorzystywaniem jego wspomnień i jego siły. A wszystko to po to, aby móc się ukrywać, przemieszczać i obserwować. W moim kraju ludzie się spodziewają, iż ktoś, kogo nazywacie druidem, będzie to umiał. A ja byłam szkolona jako poetka i druidka.

- Druidka! - Teraz to do niego dotarło. - Więc ty jesteś druidka?

- Oczywiście. - Z westchnieniem opadła z powrotem na poduszkę. Hamując uśmiech, oparł się ogromnej pokusie, żeby wyciągnąć rękę

i odgarnąć włosy z jej twarzy.

- Brid, pozwolisz, że cię zapytam: ile ty masz lat? - Oczywiście pytał ją o to już wiele razy, ale nie uzyskał logicznej odpowiedzi.

Tak jak przedtem, wzruszyła ramionami.

- Nie pamiętam.

Odnosił wrażenie, że jej pamięć działa wybiórczo w sytuacjach ekstremalnych. Postanowił być brutalny.

- Doktor Craig sądzi, że musisz mieć około czterdziestu lat.

- Doktor Craig? - Oczy jej zabłyśły. - Rozmawiał pan z A-damem? Teraz przyszła jego kolej, by wzruszyć ramionami.

- Nie wiem, czy to był ten sam człowiek. Jak mówiłem, powiedział mi, że znał kiedyś jakąś Brid, ale ona miałaby teraz około czterdziestki. A ty przecież nie jesteś taka stara, prawda? - Spojrzał na nią. Ku jego zdziwieniu nie była wcale oburzona. Te słowa nie zrobiły na niej wrażenia. Natomiast nie przestawała wypytywać o Adama Craiga.

- To ten sam. On mnie znał. Przyjdzie po mnie teraz, kiedy wie, gdzie jestem. Przyjdzie na pewno.

Doktor Furness pokręcił głową.

- Nie wiem, Brid.

To wszystko wydawało się pozbawione sensu. Nie trzymało się kupy. Wstał z westchnieniem.

- Pewnego dnia, już niedługo, będziesz mi musiała pokazać, w jaki sposób podróżujesz, Brid. Ale nie teraz. Jesteś zmęczona. Musisz spać. Porozmawiamy jutro. - Umilkł, spodziewając się, że odmówi.

Ale ona tylko się uśmiechnęła i odwróciła na bok. Czekał chwilę, po czym wyszedł na palcach.

Tego samego dnia wieczorem zadzwonił Adam Craig: - Panowie rozmawiali przez dwadzieścia minut. W końcu odłożyli słuchawki, doszedłszy wspólnie do wniosku, że będą się musieli spotkać najszybciej, jak to będzie możliwe.

Tymczasem Ivor Furness nazajutrz pojedzie do Londynu, odwiedzi księgarnię

Foylesa i kupi wszystkie książki, jakie tam znajdzie, na temat magii i druidów.

I właśnie następnego dnia wieczorem, kiedy doktor Ivor Furness stał na dworcu z kilkoma książkami w teczce, czekając na pociąg, którym miał wrócić na północne przedmieście, spojrzał mimochodem na egzemplarz „Evenings News”. Nagłówek na drugiej stronie był zwięzły.

PIELĘGNIARKA ZAMORDOWANA W SZPITALU. POSZUKUJE SIĘ
UMYSŁOWO CHOREJ PACJENTKI.

Doktor Furness zamknął oczy.

- Boże, proszę, nie.

Rozdział dwunasty

Przykro mi, panie komisarzu, ale nie sądzę, żebym mógł panu jeszcze w czymś pomóc. - Adam siedział za biurkiem z zaciśniętymi pięściami. - Jak już panu powiedziałem, Brid, którą znałem przed wojną, była w moim wieku. - Umilkł, uświadamiając sobie, że policjant przygląda się jego siwiejącym włosom, zmęczonej, pooranej bruzdami twarzy i okularom do czytania leżącym przed nim na bibularzu. - To nie może być ta sama osoba.

- I jest pan pewien, że jej pan nie widział? - Inspektor Thomson wydawał się dość podejrzliwy. Powiązania z Adamem Craigiem były zbyt wyraźne. Rozmawiał już z panią Craig i wydawało mu się, że ona też coś ukrywa.

Adam pokręcił głową.

- Mogę jedynie przypuszczać, jak już powiedziałem doktorowi Furnessowi i panu, że ta Brid może być córką mojej Brid. Ale zapewniam pana, że tutaj nie przyszła. - Nie mógł patrzeć w oczy temu człowiekowi.

- Dlaczego, doktorze Craig, mam przeczucie, że nie mówi pan wszystkiego? - westchnął Thomas. - Jestem pewien, że nie chciałby pan chronić kogoś tak niebezpiecznego. Zamieściliśmy w prasie ostrzeżenie, żeby ludzie nie zbliżali się do

niej, jeśli ją spotkają.

- Powiadomię pana, jak ją zobaczę. - Adam wstał, nabierając głęboko powietrza. Miał nadzieję, że ten człowiek uzna to za znak, że przesłuchanie jest zakończone. Rozmawiali ponad godzinę.

Inspektor długą chwilę w milczeniu przyglądał się badawczo jego twarzy, po czym wstał z westchnieniem. - A więc dobrze, doktorze. Proszę mnie zawiadomić, gdyby przyszło panu jeszcze coś do głowy. Być może będę musiał jeszcze raz przyjść do pana i poprosić o rozmowę, ale chyba nie muszę powtarzać ostrzeżenia, aby pan był ostrożny. Doktor Furness jest zdaje się przekonany, że ona pojawi się właśnie tutaj.

Adam odczekał, aż niepozorny czarny samochód oddali się od bramy, po czym zadzwonił do doktora Furnessa.

- Czy, pan jej pokazywał swoje notatki? Mówię o tej historii z kotem.

- Dziwię się, że pan o to pyta. - Ivor Furness miał w tej chwili wszystkie swoje zapiski na temat Brid w teczce przed sobą. Jednego był pewien. Nie pozostawi ich w szafce w tym pokoju. To były poufne informacje o pacjencie. Poza tym nie będzie mógł chodzić z podniesioną głową, jeśli kiedykolwiek wyjdzie na jaw, że zaczął po części wierzyć w niektóre z opowiadań Brid o zmianie postaci i podróżach w czasie. - Posłuchaj, przyjacielu, wiem, że nie potrzebuję ci tego mówić, ale bądź ostrożny. Ona, jak się zdaje, zna drogi i sposoby. I jest niebezpieczna. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

- I na pewno - Adam patrzył przez okno na ogród, jakby się spodziewał w każdej chwili zobaczyć tani kota - nie wie pan, gdzie ona jest?

- Na pewno. - Ivor zatrzasnął teczkę. - Znikła jak kamfora.

Przez długi czas po zabiciu Debory Wilkins Brid nie posiadała się z radości. Triumf z unicestwienia tej kobiety z jej drobnymi okrucieństwami i miałym umysłem oraz przypływ energii, spowodowany widokiem płynącej krwi - wszystko to dało jej siłę, która pozwoliła opuścić szpital, roztoczyć wokół siebie zasłonę niewidzialności, wyjść przez bramę, kiedy ją otwarto, by wpuścić ciężarówki dostawcze, przejść kawałek drogi i skręciwszy za róg, zniknąć z widoku. Wzięła ze

sobą jedynie swoją torbę, zawierającą nadal nóż do papieru, grzebień, puderniczkę i jedną spinkę od mankietu Adama. Szła długo, świadoma tego, że kiedy ludzie zaczną ją dostrzegać, zostanie rozpoznana po brzydkiej szpitalnej sukience. Postanowiła zdobyć jakieś inne ubranie i przypadek sprawił, że stało się to łatwe. Przed jakimś domem zobaczyła cały komplet ; odzieży suszącej się na sznurze. Dom był pusty, ogródek śliczny i oddalony od drogi. Brid wybrała sobie sukienkę, spódniczkę, jakąś bieliznę ; i dwa wełniane swetry. Jeden włożyła na siebie, a drugi przewiesiła na sobie przez ramię. Zakopała niebieską szpitalną sukienkę w jakiejś kupie kompostu, odmówiła krótką modlitwę dziękczynną, pobłogosławiła właścicieli domku i wyszła przez furtkę na drogę. Nikt jej nie widział, a o kradzieży napisano dopiero następnego dnia. Wtedy Brid była już daleko.

Jej energię podsycala dotychczas złość i rozgoryczenie. Teraz, kiedy początkowa ulga i podniecenie minęły, zaczęła opadać z sił: Dwukrotnie się zatrzymała, żeby odpocząć, i za drugim razem poczuła w mózgu dziwne brzęczenie, jakby zapowiedź czegoś złego. Zerwała się na nogi. Musi sobie znaleźć jakąś bezpieczną kryjówkę, skąd będzie mogła wszystko obserwować i odpierać demony, które tłoczyły się, żeby ją zniszczyć. Z Broichanem na czele. I nie miała zamiaru pozwolić, żeby stało się to znów publicznie. Dostała w końcu nauczkę. Kiedy obcy ludzie znajdą cię w transie, zabierają cię do szpitala, a kiedy szpital nie potrafi określić twej choroby i nie mogą cię jakoś zakwalifikować, a nie znają twojego adresu, adresu rodziny ani nikogo, kto by się za tobą mógł wstawić, traktują cię jak umyślowo chorą. Ci koledzy A-dama są bardzo prymitywni, jeśli chodzi o podejście do spraw ludzkiego umysłu. Nie rozumieją, w jaki sposób dokonują się pewne rzeczy. Odrzucają dobrodziejstwo korzystania ze świętych sztuk, takich jak wyobraźnia, chociaż Brid podejrzewała, że Ivor Furness zaczyna je rozumieć.

Było jej smutno, że go pozostawiła. Lubiała tego człowieka za jego uprzejmość i chęć zrozumienia. Czowała się przy nim bezpieczna. Ale Debora Wilkins zepsuła wszystko tym swoim ciągłym brakiem życzliwości, a ostatniego dnia zagroziła, że ukłuje ją znów tą igłą, która przynosi czarny sen. Brid zmrużyła lekko oczy na to wspomnienie, lecz ono już blakło. Ta kobieta nie miała znaczenia, tak jak bardzo

dawno temu Jeannie Barron, i nie zasługiwała na to, by ją pamiętać.

Zmusiła się do ruszenia w dalszą drogę, skręciła za róg i ujrzała autobus stojący na końcowym przystanku. Przeszła na drugą stronę i wsiadła. Autobus był pusty, kierowca i konduktor oparci o mur spokojnie palili papierosy w łagodnym wiosennym słońcu, czekając na wyznaczony czas odjazdu. Brid weszła na górną platformę i usiadła na samym przedzie. Znów otuliła się nicością. Był to jeden z najprostszych trików, których uczono ich w Craig Phadraig. Kiedy autobus zapełnił się ludźmi, a szofer zajął miejsce przy kierownicy, była już pewna, że nikt jej nie zakłóci spokoju. Miejsca na przedzie, zazwyczaj najchętniej zajmowane, z jakiegoś powodu tym razem nie cieszyły się powodzeniem i Brid była tam sama. Zanim konduktor zaczął pobierać opłatę za przejazd, wstała, przeszła przez cały autobus, a potem na dół po schodkach, gotowa do wyjścia. Gdyby któregoś z pasażerów zapytano, czy ją widział, prawdopodobnie powiedziałby, że tak, niejasno pamięta jakąś kobietę siedzącą na przodzie, ale nie potrafiłby jej opisać i nie zauważył, kiedy opuściła autobus.

Zdecydowała się wysiąść, kiedy autobus skręcił z ruchliwych ulic i znalazł się na przedmieściu. Jej miejscem docelowym była mała wioska leżąca jakieś dziesięć mil na północ od Londynu. Kiedy Brid stanęła na pomoście, autobus zatrzymał się nagle na jakimś odludnym przystanku. Wyskoczyła, a po paru sekundach autobus ruszył w dalszą drogę. Kierowca dziwił się, dlaczego się zatrzymał, skoro nikt nie czekał, i nikt nie dał sygnału dzwonkiem.

Brid stała przez chwilę, rozglądając się dookoła, a potem ruszyła ku jakiejś furtce prowadzącej na łąki.

Świeża trawa lśniła przed nią w wieczornym świetle i Brid szła lekkim krokiem, szczęśliwa, że jest daleko od ulic przyprawiających ją o klaustrofobię. Białe - czarne krowy skubały na łące trawę, ale ignorowały ją zupełnie, kiedy przechodziła między nimi. Tylko kilka uniosło łby, żeby się przyjrzeć drobnej postaci.

Przecięła łąkę i wdrapała się na przełaz. Teraz znalazła się w niewielkim lasku. Robiło się coraz chłodniej; wkrótce całkiem się ściemni. Nie bała się zimna.

Jeżeli okaże się to konieczne, zwinie się w kłębek i przytuli do krów. One ją będą ogrzewały i rozumieją, dlaczego są jej potrzebne. Ale Brid potrzebowała czegoś więcej, nie tylko ciepła. Potrzebne jej było jakieś miejsce, gdzie mogłaby w samotności rozmyślać i oddawać się medytacjom, miejsce, w którym mogłaby się umacniać w zamiarze pozostania w tym wymiarze czasu i miejsca, gdzie pragnęła być i skąd mogła odpierać ścigającego ją Broichana.

Znalazła schronienie w małej budce, zbudowanej przez jakieś dzieci ubiegłego lata pod rozłożystymi gałęziami starego, liczącego sobie wieki całe dębu. Stała przez chwilę cicho, czując siłę tego drzewa, jego energię. Prosiła je, by udzieliło jej tej swojej siły i było jej przychylne, a potem zadowolona dała nura do budki. Dzieci nie pozostawiły tu nic poza wielkim stosem suchych liści, które, teraz już zbutwiałe, posłużyły za legowisko dla małych leśnych zwierzątek. Był tu jednak stary rondel, złamane krzesło i czajnik.

Brid przyniosła wodę z koryta dla zwierząt, po czym rozpała ogień, czerpiąc ogromną satysfakcję z użycia do tego celu prostych narzędzi: skrzesła iskrę za pomocą zardzewiałego gwoźdźca i kamienia. Połamała krzesło, by mieć drewno na opał, usypała stos z liści i zrobiła sobie posłanie na noc, a potem nazbierała kielków i korzonków na zupę. Tego wszystkiego, odizolowana w klaustrofobicznej atmosferze szpitala, gdzie wszystko za nią robiono, nie wykonywała od tak dawna. Czując ciepłą strawę w żołądku i otulającą ją jak koc ciemność wśród drzew, usiadła przy swym małym ognisku i zaczęła snuć plan powrotu do domu.

Broichana, tak jak przeczuwała, nie było tam. Nie przestawała się dziwić, dlaczego. Nie wyczuwała też obecności tego drugiego człowieka, mężczyzny z wymiaru czasu A-dama, który także poszukiwał jej wuja. Z zamkniętymi powiekami przeszukała ścieżki swego umysłu i uspokojona wykonała skok w głąb siebie, co przeniosło ją na stok góry w Szkocji, gdzie tyle lat temu zrezygnowała z tak dobrze sobie znanego życia dla miłości chłopca z dwudziestego wieku.

Chata była pusta. Ani śladu matki ani Gartnaita, żadnych nowych przekazów wyrzeźbionych w kamieniu. Długo stała obok wielkiej kamiennej płyty, wpatrując się w górskie zbocze. Czuła wiatr we włosach i wdychała głęboko zimne, wonne

powietrze pod starymi sosnami. Wzywała w myślach matkę - ostrożnie, żeby Broichan nie usłyszał, wierząc jednak, że wołanie dotrze do matki.

Ale nikt nie przyszedł. Dookoła, wśród rozbrzmiewających zawsze echem gór, panowała ogromna cisza.

Przestraszona, położyła dłonie na kamieniu, starając się poczuć jego moc. Ale energia zniknęła. Ziemia spała. I znów Brid znalazła się jak w potrzasku, w chacie pośród wzgórz Szkocji.

W niewielkim lasku w hrabstwie Hertford palił się mały ogień i w końcu zgasł. Czajnik zsunął się w popiół i niemal natychmiast wiatr przywiał na niego trochę liści, tak że stał się prawie niewidoczny. Jeżeli nawet ktoś zabłądził tu kiedyś, żeby obserwować borsuki wypełzające ze swych nor i biegające po polu, dawno już opuścił to miejsce i ten odludny las.

Jane patrzyła w skupieniu na stojącą przed nią miseczkę z muesli. Ciszę panującą przy stole zakłócał jedynie wpadający przez otwarte okno jadalni śpiew jakiegoś drozda siedzącego wysoko na drzewie w ogrodzie. Adam przewracał strony „Timesa”. Jane zerknęła na Caluma. Hardingowie przysłali kartkę z życzeniami powodzenia, którą, ze wzrokiem pełnym rozpacz, otworzył i rzucił obok talerza. Nic nie jadł, pił natomiast już drugą filiżankę kawy; otwarty podręcznik do matematyki leżał przed nim na stole. Przynajmniej raz Adam nic nie powiedział na temat czytania książek w czasie posiłków. Jane zaproponowała synowi jajko albo grzanek, albo ciastko z płatków owsianych z miodem, na próżno. Zaproponowany z kolei niewypieczony pasztecik zwiększył jeszcze jego gniew. Powiedział, że jak będą go zmuszać do jedzenia, to wymiotuje wszystko na talerz.

Adam przestał czytać i z westchnieniem złożył gazetę. Zerknął na syna i uśmiechnął się.

- Wszystko w porządku, stary? Jedziemy? - Obiecał Calumowi, że w czasie egzaminów będzie go odwoził do szkoły, żeby się nie martwił, że nie zdąży na autobus.

Calum przytaknął i wstał. Zawahał się chwilę i wypadł z pokoju.

- Biedny dzieciak. - Jego ojciec pokręcił głową. - Nigdy dotąd nie

widziałem go tak spiętego.

- Niepotrzebnie się martwi. Doktor Passmore powiedział, że na pewno zda. -
Jane także wstała i zaczęła zbierać talerze, kiedy zadzwonił telefon.

Adam poszedł do gabinetu, żeby go odebrać. Wrócił po dwóch minutach.

- To do Caluma. Julie. Pewnie chce mu życzyć powodzenia. Chciałbym,
żeby ta dziewczyna zostawiła go w spokoju na te kilka tygodni.

Poszedł po Caluma, który stał w ubikacji, zastanawiając się, czy zaraz nie
zwymiotuje. Patrząc, jak chłopak znika w gabinecie, Adam potrząsnął głową.
Mruczając coś pod nosem, wziął gazetę i złożył ją kilkakrotnie, by schować do teczki,
choć wiedział, że nie zajrzy do niej przez cały dzień i że Jane się złości, bo żeby
mocją przeczytać, musi czekać cały dzień, aż mąż wróci z pracy.

- Chodź, Calum! - zawołał przez ramię.

Cisza. Kiedy Calum się pojawił, wyglądał, jakby go coś śmiertelnie
przeraziło.

- Co ci jest? - spytała Jane, widząc jego twarz. - Co się stało?

- To Julie. - Calum rzucił się na krzesło i oparł głowę na dłoniach.

- Co się stało Julie? - Jane zerknęła na męża.

Calum pokręcił głową. Potem podniósł wzrok i zmusił się, by popatrzeć na
ojca.

- Jest w ciąży.

- Co? - Adam doznał prawdziwego szoku.

- Julie jest w ciąży. - Ręce chłopca drżały.

- I wybrała właśnie dzisiejszy dzień, żeby ci o tym powiedzieć? Pół godziny
przed najważniejszym egzaminem w twoim życiu? - Adam nie wierzył własnym
uszom.

- Zapomniała o moich egzaminach, tato. Nie przyszło jej to na myśl. -

Calum tarł rękami twarz. - Cholera jasna! Cholera! Cholera! Cholera! Był bliski
płaczu.

Jane spojrzała na Adama. Nabrała głęboko powietrza i objęła syna ramieniem.

- Słuszna uwaga. Cholera! - powiedziała stanowczo. Miała na końcu języka

słowo o wiele bardziej dosadne. - Ale nie ma sensu martwić się tym dzisiaj. Idź do szkoły, Calum, i skoncentruj się na egzaminach. To jest w tej chwili najważniejsze.

- Ścisnęła mocniej dłońmi jego ramiona, kiedy chciał zaprotestować. - Tak, naprawdę. Julie może poczekać. Czy Liza wie? Później z nią porozmawiam. Proszę, kochanie. Nie wolno ci z tego powodu odkładać egzaminów. Cokolwiek się stanie, bez względu na to, co z Julią postanowicie, musisz je zdać, mieć to za sobą, wiesz o tym dobrze. Na razie nie myśl o niej. Wiem, że to trudne. Piekielnie trudne. Ale coś wymyślimy, wiesz przecież. Cieszę się, że nam powiedziałaś. - Wiedziała, że nie miał takiego zamiaru. Wypaplał to bez zastanowienia; Jane z wdzięczności odmówiła krótką modlitwę. - Idź, kochanie. Weź swoje rzeczy. Adamie, czy samochód gotowy? - Siedzieli obaj jak ogłuszeni i musiała jakoś pobudzić ich do działania.

Kiedy Calum wstał i wyszedł z pokoju, chwyciła męża za ramię.

- Nie śmiej mu zatruwać życia po drodze do szkoły, słyszysz? Cokolwiek myślisz. Cokolwiek o tym myślisz. Nie powiększaj jego udręki!

Adam pokręcił głową.

- Nie jestem idiotą, Janie; - Nieoczekiwanie potarł ją za włosy i lekko szturchnął. - To bezczelna dziewczucha. Wiedziałem przez cały czas, że nie jest dla niego odpowiednia. Głupia, głupia dziewczucha. I żeby zadzwonić właśnie dzisiaj. Jak można być taką egoistką?

- Zadzwonię do Lizy. Coś wymyślimy. - Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. - Idź, odwieź go do szkoły. I pożegnaj tak, żeby się poczuł pogodzony ze sobą.

Kiedy wyszli, usiadła przy niesprzątniętym stole i sięgnęła po dzbanek z kawą. Wystarczyło na filiżankę. Sącząc kawę, wyjrzała przez okno na trawnik. Drozd przestał śpiewać i sfrunął ze swojej ulubionej gałęzi na kamień w pobliżu rabat z różami, gdzie zaczął dziobać jakiegoś ślimaka. Skrzywiła się, widząc, jak ptak metodycznie, uparcie, miażdżąc skorupkę, toruje sobie drogę do miękkiego ciała swej ofiary.

Oczywiście nie ma mowy o aborcji. Przecież te dzieciaki zadeklarowały

zamiar pobrania się w przyszłości. To w końcu nie jest jakaś straszna klęska. Dopóki Calum będzie studiował, Julie także będzie się uczyła wraz z nim. To nie było oczywiście idealne rozwiązanie, ale Adam i Philip mogli sobie pozwolić na utrzymywanie młodych. Upiła jeszcze jeden łyżeczek kawy. Nie rozumiała, dlaczego musi być z tym jakiś problem, naprawdę. Chyba tylko dla Adama.

Poczuła się zmęczona. Wstała i przeszła do gabinetu. Usiadła na obrotowym fotelu Adama, przysunęła sobie telefon i nakręciła numer farmy. Liza podniosła słuchawkę po trzecim dzwonku, co znaczyło, że jest w kuchni. Stevensonowie nigdy nie zadawali sobie trudu, żeby zaopatrzyć się w coś w nadmiarze.

- Powiedział ci? - wydawała się całkiem pogodna.
- Powiedział nam. Jak ona się czuje?
- Wymiotuje.
- Biedna Julie. - Jane nie potrafiła się wyzbyć chłodnego tonu w głosie.

Liza wyczuła ten chłód.

- Jane, ja wiem. My czujemy to samo. Ale przecież oni planowali się pobrać pewnego dnia. Och, wiem, że są trochę zbyt młodzi, ale jak \ się jest zbyt młodym, wszystko się może zdarzyć.

- Być może, Lizo.. - Jane nabrała głęboko powietrza, żeby się uspokoić. - Ale właśnie dziś Calum zdaje pierwszy egzamin, z matematyki. Julie zadzwoniła do niego pięć minut przed wyjściem. Chłopak pojechał do szkoły w strasznym szoku. Czy nie sądzisz, że mogła wybrać trochę lepszy moment, żeby mu przekazać tę wiadomość?

Na chwilę zapadła cisza.

- Boże, przykro mi, Jane, naprawdę. Posłuchaj, powiedz mu, żeby się nie martwił. Wszystko się ułoży. Jakoś. I pozwól, że porozmawiam dziś wieczorem z Adamem. - Na krótką chwilę znów zapadła cisza. - Założę się, że zrobił mu awanturę.

Jane nie potrzebowała odpowiadać na to pytanie.

- Tak myślałam. On uważa, że Julietta jest nie dość inteligentna dla jego genialnego syna, prawda? Porozmawiam z nim. I powiedz Calumowi, że jest mi

przykro, że tak wyszło z tymi egzaminami. Nie zdawałam sobie sprawy, że się już zaczęły. Życz mu szczęścia i powiedz, że trzymamy za niego kciuki.

Jane wróciła do jadalni, usiadła przy stole i podniosła do ust filiżankę z kawą. Machinalnie sięgnęła po gazetę, którą Adam tym razem jednak pozostawił koło swego talerza. Rozkładając ją, zerknęła na pierwszą stronę, a potem zajrzała do środka w poszukiwaniu ostatnich wiadomości. Notatka była tak krótka, że Adam musiał jej nie zauważyć, przerzucając szybko strony. Ona także omal jej nie przeoczyła.

„Poszukuje się zbiegłej umysłowo chorej pacjentki, znanej jako Brid, podejrzanej o zamordowanie pielęgniarki Wilkins” Poszukiwania ograniczono wczoraj do domów opieki w hrabstwach położonych najbliżej Londynu, tymczasem pewna kobieta twierdzi, że osobę odpowiadającą rysopisowi zaginionej pacjentki widziała w pobliżu St Albans.

Siostrę Deborę Wilkins znaleziono przed trzema miesiącami z przebitym sercem na terenie szpitala w południowym Londynie, gdzie Brid przebywała jako pacjentka przez kilka lat. Psychiatra doktor Ivor Furness powtórzył swoje ostrzeżenie, żeby w przypadku spotkania owej kobiety nie zbliżać się do niej.

Jane zdała sobie nagle sprawę, że wstrzymuje oddech. To musi być zbieg okoliczności. Może to wcale nie ona? Popatrzyła znów na ogród, jej wzrok automatycznie skierował się ku kamieniowi. Drozd odleciał; pozostawiając rozrzucone półprzezroczyste kawałki muszli, jako jedyny ślad, że ślimak kiedykolwiek istniał.

Kiedy Jane zadzwoniła, Adam nie poprosił jeszcze do gabinetu pierwszego pacjenta.

- Dojechał do szkoły w dobrym stanie? - Oparła się impulsowi, żeby zamknąć drzwi do ogrodu.

- Kiedy dojechaliliśmy, miał jeszcze mnóstwo czasu. Myślę, że lepiej się poczuł, kiedy się znalazł między kolegami.

Adam siedział przy biurku, patrząc przed siebie.

- I nie zatruwałeś mu życia?

- Oczywiście, że nie - odpowiedział z lekką irytacją w głosie.
- Rozmawiałam z Lizą.
- I co ona o tym myśli?
- To samo co my. Chociaż wydaje mi się, że w głębi duszy jest z tego w jakiś sposób zadowolona.

- Zadowolona? - W głosie Adama zabrzmiało całkowite niedowierzenie. - Na litość boską, co ta kobieta sobie myśli? Jest zadowolona?

- Powiedziała, że zadzwoni do ciebie wieczorem. - Tym razem Jane nawet się cieszyła z zapowiedzianej poufnej rozmowy, choć dotychczas takie pogawędki Adama z Lizą budziły w niej zazdrość i czuła się opuszczona. - Posłuchaj, Adamie.
- Zmieniła nagle temat. - Nie wiem, czy widziałeś dziś rano tę notatkę w gazecie, ale policja uważa, że Brid widziano tu gdzieś w pobliżu.

Długą chwilę panowała cisza, a potem padło tylko jedno słowo:

- Co?

- Przykro mi, Adamie, ale pomyślałam, że lepiej będzie, jak cię ostrzeżę. Dziwię się, że policja jeszcze się z tobą nie skontaktowała.

Przez ułamek sekundy wydawał jej się wystraszony.

- Bądź ostrożny, kochanie. - Jane tak kurczowo ścisnęła słuchawkę telefonu, jakby od tego zależało jej życie.

- Ty także. Lepiej zamknij okna, Jane.

Drzewko - talizman pogięte i połamane, ale ocalone przez Jane, stało znowu na stoliku między ich łózkami. Pani Freeling dwa razy je przesuwiała, a raz nawet zasugerowała, żeby je wyrzucić, ale Jane uparcie stawiała je na dawnym miejscu, i teraz kobieta, sprzątając, tylko je odkurzała, a stawiając na miejsce, starała się ukryć za lampą, jakby sama jego obecność raziła ją w tym pokoju.

Jane weszła na górę, zamknęła drzwi balkonowe i usiadła na łóżku. Wzięła do ręki talizman. Nie bardzo wiedziała, dlaczego drzewko wciąż ją uspokaja. To niemądry przesąd, myśleć, iż małe kawałki połamanego srebra i kryształu mogą ją ochronić przed Brid. Ale równą głupotą było wierzyć, że Brid może się dostać do jej domu w sposób, w jaki tego dokonała. Przez kilka minut Jane siedziała, wpatrując

się w dziwny przedmiot, który trzymała w dłoni, a potem ostrożnie odstawiała go na miejsce, tym razem ostentacyjnie na sam środek stolika.

- Jak ci poszedł egzamin?

Calum wrócił do domu autobusem i ruszył prosto do lodówki, skąd wziął sobie duży trójkątny kawał sera.

- Przypuszczam, że nieźle. Pokręciłem kilka rzeczy. Jakieś głupstwa. -
Sięgnął po butelkę soku pomarańczowego i nalał sobie do szklanki. - Chyba lepiej będzie, jak pójdę na górę i pouczę się do następnego egzaminu.

- Nie, Calumie. - Jane stanęła między nim i drzwiami. - Uważam, że powinniśmy porozmawiać o Julietcie.

- O czym tu rozmawiać? - wzruszył ramionami. - Przypuszczam, że będziemy musieli się pobrać.

- To nie zabrzmiało zbyt entuzjastycznie. - Jane starała się zachować neutralność w głosie. - Nie tak dawno jeszcze usiłowałeś nas przekonać, że powinniście się pobrać najszybciej, jak to jest możliwe. Calum popatrzył na nią spode łba.

- Wiem. I nadal pragnę ją poślubić Tylko że ja chciałem trochę się nacieszyć życiem, zanim się ustabilizujemy.

- I ona zaszła w ciążę po tym, jak jej to wszystko powiedziałaś?

- Nie, oczywiście, że nie. Nie zrobiłaby tego z premedytacją. To byłby szantaż. Julie nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego. Nie, to się stało w ten weekend, kiedy niby to uciekłem. Wiesz, wtedy po kłótni z tatą.

Westchnęła głęboko.

- Mam nadzieję, że nie twierdzisz, że stało się to z winy twego ojca?

- Nie. - Zaszurał nogami.

- A więc nie chcesz się ożenić? - Nadal się starała mówić obojętnie.

Wzruszył ramionami.

- Będę musiał. Nie mogę sprawić Julie zawodu.

- No nie. Nie myślę, że mógłbyś zrobić jej coś takiego.

- Nie będzie tak źle - powiedział nagle z nadzieją w głosie. - Julie to

wielka śmieszka. A ja ją naprawdę kocham. Znajdę sobie jakąś pracę...

- Nie. - Jane założyła ręce na piersiach. - Nie. To nie będzie konieczne. Musisz nadal studiować, Calumie. Postaramy się o pieniądze, żeby to jakoś rozwiązać. Znajdziemy ci jakieś mieszkanie w Edynburgu. Nie martw się.

Tygodnie mijały i nie było żadnej wiadomości o Brid. Jane znowu zaczęła zostawiać okna otwarte. Nie dyskutowała o Brid z Adamem. Poglądy męża na ten temat były jego całkowicie prywatną sprawą, tak jak i rozmowa z Lizą owego dnia - i Jane pragnęła wykreślić Brid ze swej pamięci tak dalece, jak to było możliwe. W każdym razie uwaga obojga skierowana była teraz na Juliette.

Calum zdał egzaminy i za nic nie chciał się zgodzić rozpocząć studiów uniwersyteckich na jesieni.

- Wiele osób bierze sobie roczny urlop, tato - powiedział po skromnym ślubie w kościele w Hay w lipcu.

Adam obserwował z niesmakiem barwny ślub syna z Julią, teraz już w całkiem widocznej ciąży, a zaraz po ceremonii umknął w najdalszy kąt kuchni na farmie, gdzie strzelił sobie jedną po drugiej dwie duże whisky.

- Nie w przypadku, gdy mają zamiar studiować medycynę, Calum - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Nie wtedy, kiedy ci zależy na karierze lekarza. Będziesz studiował co najmniej przez pięć lat, a może nawet dłużej, jeżeli zechcesz robić specjalizację. - Jeszcze jeden powód, żeby sobie zrobić przerwę i trochę się pobawić. - Julie chwyciła Adama za rękę i ścisnęła ją.

- Przestań być takim zrzędą, wujku Adamie.

Adam był coraz bardziej zły. To dziecko, to śliczne głupiotkie dziecko tak łatwo odciągnęło uwagę jego syna od nauki. Dlaczego Calum nie potrafi być taki silny, jak on w jego wieku? W końcu porzucił przecież Brid, żeby studiować.

Wspomnienie Brid jeszcze pogłębiło jego złość. Gdzie ona jest, ta kobieta - dziecko, tak podobna do Brid? Dlaczego nic o niej nie słyhać? Czy naprawdę zamordowała jakąś pielęgniarkę i uciekła, czy też robią z niej kozła ofiarnego? Po tej jedynej wzmiance w gazecie, o spotkaniu jej w pobliżu St Albans, nie pojawiła się żadna nowa informacja. Dziewczyna zniknęła tak jak ten kot. Adam nie widział

go od miesięcy i musiał przyznać, że bardzo mu go brakuje. Boże, jak on za nim tęskni.

- Daj pensa dla nich, na szczęście!

Nagle zdał sobie sprawę, że stoi przed nim Liza. Wyglądała prześlicznie w chabrowej sukience, a podczas ceremonii w kościele w ogromnym jak koło od wozu słomkowym kapeluszu, który po powrocie na farmę wylądował na wielkiej misie z owocami, stojącej na kredensie.

- Co mówiłaś?

- Daj pensa dla nich. Ale ja wiem, co ty sobie myślisz: Dlaczego ten wstrętny dzieciak uwiódł mojego Caluma i zmarnował mu karierę? Prawdą?

Uśmiechnął się niewyraźnie.

- Coś w tym rodzaju.

- Ona tego nie zrobiła, wiesz dobrze. Wina leży po obu stronach. Pół na pół. I ona nie ma zamiaru przeszkadzać mu w nauce. Jest z niego ogromnie dumna.

- Nawet mimo że nie otrzymał stopni, jakie mu były potrzebne?

- Och, Adam. - Była wściekła. - Wcale nie wiesz, czy dostałby najwyższą ocenę. Zdał bardzo dobrze i został przyjęty. Na litość boską, przestań być takim starym zrzędą. - Zachichotała. - No tak, już wiem. Starzejesz się!

- Czy to prawda? - Adam stał przed lustrem w sypialni na poddaszu. - Czy ja się starzeję?

- Oczywiście, że nie. - Jane leżała już w łóżku. Włożyła białą bawełnianą koszulę nocną, ozdobioną angielskim haftem, taką samą jak ta, którą miała na sobie ich pierwszej nocy. Nagle żona wydała się Adamowi nieziemsko piękna.

- O co chodzi? Czemu tak na mnie patrzysz? - Uśmiechnęła się do niego.

- Chryste, kobieto, podobasz mi się! - Wiele czasu upłynęło od dnia, kiedy się z nią kochał, wiele czasu, od kiedy w ogóle coś do niej czuł. I teraz, nagle, przepełniło go coś, co bardzo przypominało pożądanie. Podeszedł i usiadł koło niej. Rozwiązał wstążeczkę koszuli pod szyją. - Chyba musiałem za dużo wypić.

- Dlaczego tak myślisz? Czy dlatego, że nagle przypomniałeś sobie, że masz żonę? - Objęła go i przyciągnęła do siebie, by móc pocałować.

- Oni będą szczęśliwi, Adam. Wiem, że będą.

Pokręcił głową i przyłożył palec do ust.

- Nie rozmawiajmy już o nich. Wybrali swoją drogę i muszą nią iść.

- Boże, z każdym dniem robię się coraz bardziej podobny do mego ojca, pomyślał nagle. Nie było to przyjemne skojarzenie. Przyciągnął ją bliżej. - Nie tylko młodzi mogą być szczęśliwi - szepnął. Za pożądaniem pojawiło się nagle poczucie winy. - Teraz nadszedł czas dla nas, dla ciebie i dla mnie. Dlaczego gdzieś nie wyjedziemy? Sami, tylko we dwoje? - Zsunął jej koszulę z ramion, a potem niżej, do pasa. Piersi miała nadal jędrne, brzuch płaski. Pochylił się ku brodawce jej piersi i lekko ścisnął ją zębami. Jane westchnęła z rozkoszy. Szybko pchnął ją na poduszki, mocując się z zamkiem błyskawicznym u swych spodni. Czując jej dłonie na swojej twarzy, na włosach, na ramionach. Rozpiął guziczki jej koszuli, a potem swojej.

- Och, Adam. - Jej szept i przyspieszony oddech naglił go do pośpiechu. - Tak, tak, proszę.

Pomruk dochodzący od strony okna był bardzo cichy, ale oboje go usłyszeli i zamarli. Przez minutę żadne się nie poruszyło, a potem Adam bardzo wolno usiadł i odwrócił się w stronę, z której dochodził ten dźwięk. Przez chwilę nie widział nic. W pokoju było ciemno, jedynie na stoliku w kącie paliła się lampka ocieniona abażurem. Tu, na poddaszu, było tak gorąco, że pozostawili okna szeroko otwarte, chcąc wpuścić choćby najlżejszy aromatyczny nocny powiew. Dwie ćmy krążyły z zawrotną szybkością wokół lampy, poza tym w pokoju nic się nie poruszało. Wstrzymując oddech, Adam wpatrywał się w pełen cieni mrok, świadom, że za jego plecami Jane pospiesznie naciąga koszulę na piersi.

Adam bardzo wolno wstał, wciągnął spodnie, zasunął zamek błyskawiczny i odszedł o krok od łóżka. Pokój był pełen miodowego zapachu nocy. Ponad linią znaczącą wierzchołek góry i prawym narożnikiem dachu z jego ogromnymi, charakterystycznymi dla Walii łupkowymi dachówkami widział poświatę wstającego księżyca. Jane z powrotem opadła na poduszki, wyteżając wzrok, żeby zobaczyć, co się dzieje. Adam postąpił jeszcze jeden krok do przodu. W pokoju było

niesamowicie cicho. Wydawało się, że nawet zwykłe odgłosy nocy umilkły. Sowa przeleciała ponad wzgórzem do sąsiedniej doliny, a młodszy goście weselni, którzy pozostali na noc, zasnęli w końcu, ułożywszy rzędem śpiwory w wielkiej stodole Lizy.

- Adam? - Szept Jane był prawie bezdźwięczny.

Machnął do niej ręką za plecami i zrobił jeszcze jeden krok w kierunku drzwi. Sięgnął do kontaktu i wtedy znowu usłyszeli to gardłowe mruczenie gdzieś bardzo blisko, tu, w pokoju.

- O Boże! - Jane naciągnęła prześcieradła i koce aż pod szyję. - Co to jest?

Adam wykonał błyskawiczny ruch ręką, nacisnął kontakt i w pokoju zabłysło światło.

Odwrócił się szybko i zlustrował dokładnie cały pokój, teraz skąpany, w różowym świetle małej lampki wiszącej u belki. Łóżko. Jakaś szafka. Jedno krzesło z wyplatany siedzeniem i śliczna tkana mata na szerokim dębowym stole oraz mały stolik z wiktoriańskim lustrem, który służył jako toaletka. Oprócz tego w pokoju były ich dwie walizki. Obie stały otwarte na podłodze.

Jane zaimprovizowała ze swojej walizki komódkę, opierając jej wieko o ścianę. Wieko walizki Adama leżało na podłodze, a ubrania i buty były porozrzucane w nieładzie dookoła. Kot leżał pośrodku sterty ubrań i patrzył na Adama błyszczącymi, złocistymi oczami.

- Adam, to ona! - Zdławiony krzyk Jane przerwał pełen złości gest męża. . _

- Nie wiemy tego. Pomyśl - szepnął - czy on się mógł tu dostać, zeskakując z dachu? Albo przyjść tu wcześniej z domu? Może należy do Lizy?

Nagle zdał sobie sprawę, że drży jak liść na wietrze.

- Ależ on na pewno nie należy do Lizy. - Szept Jane przeszedł w histeryczny syk. - Nie poznajesz go? To ona!

- Jeśli to jest ona, to to nie jest realne. - Zmusił się, żeby podejść jeszcze o krok bliżej. Kot nadal trwał w bezruchu, tylko sam koniuszek ogona zaczął się poruszać prawie niedostrzegalnie w obie strony. - To jest projekcja wyobraźni. - Jej czy naszej? - Jane przesunęła się na koniec łóżka i tam uklękła, przyciskając

poduszkę do piersi. Kot nie zwracał na nią uwagi. Siedział z oczami utkwionymi w twarzy Adama. - Dla mnie ona wygląda cholernie realnie. - Głos jej drżał.

- Brid? - z wahaniem odezwał się Adam do zwierzęcia. - Brid, czy to ty?

Pokaż się, proszę, żebyśmy mogli porozmawiać.

Jane zdusiła poduszką atak histerycznego śmiechu.

- Teraz już wszystko wiem. Brid naśladowała jego głos. - Pokaż się, kochanie. Wolę cię z długimi czarnymi włosami.

Kot powoli odwrócił głowę i popatrzył na nią. Jane skuliła się za poduszką.

- Co ty, u diabła, próbujesz zrobić? - Adam odwrócił się do żony. - Na litość boską, Jane, nie bądź taka niemądra. Chodź, kiciuniu. - Ukucnął i wyciągnął do kota rękę. - Chodź. Chodź i porozmawiaj ze mną.

Kot podszedł do niego i mrucząc ocierał się łebkiem o jego dłoń.

- To tylko kot, Jane. Przybłąkał się tutaj z tej góry. - Adam odetchnął z ulgą i roześmiał się. - Tacy jesteśmy niemądrzy. Wiesz, naprawdę mnie przestraszył. Myślałem, że ona istotnie jest zdolna zamienić się w kota! Teraz moja kolej pośmiać się z tej farsy. - Podrapał kota za uszami, pochylił się i wziął go na rękę.

- Nie zbliżaj się z nim do mnie! - Jane ześliznęła się z łóżka i podeszła do okna. Wyjrzała w ciemność. - Przypuszczam, że zeskoczył stamtąd, z tamtych dachówek. Popatrz, to nie jest daleko. Wyrzuć go na dwór i pośpijmy trochę, dobrze? - powiedziała głosem napiętym i przestraszonym.

- Nie mogę go tam wyrzucić, Jane. To za wysoko. - Podszedł do niej, stanął obok i wyjrzał przez okno. Kot wiercił się niespokojnie, a potem nagle wyrwał się z jego ramion i skoczył na łóżko.

Adam roześmiał się.

- Wie, gdzie jest ciepło i wygodnie.

- Pewnie! - powiedziała Jane półszepem. - Adamie, proszę. Pozbądźmy się go. .

- Nie robi żadnej szkody...

- Jeśli tego nie zrobisz, pójdę spać gdzie indziej. Westchnął.

- No dobrze. Nie wychodź. Zniosę go na dół i wypuszczę kuchennymi

drzwiami. Pochylił się, żeby wziąć kota na ręce, ale ten był szybszy. Sycząc dał nura pod ramieniem Adama i skoczył do gardła Jane. Z krzykiem rzuciła się w tył i oparta o ścianę, rozpaczliwie próbowała się bronić. Adam chciał schwytać zwierzę, ale został mu tylko w ręku pęk sierści. Kot uciekł.

Nagle otworzyły się drzwi i stanęła w nich Liza, a za nią Philip.

- Co, u licha... - Umilkli wstrząśnięci. - Dobry Jezu, co tu się stało?

- Philip przebiegł obok żony i rozglądał się dookoła. Jane klęczała w kącie pokoju. Jej biała koszula nocna była poplamiona krwią. Łkała histerycznie.

- Jane? Jane, co się dzieje? Co się stało? Boże drogi, Adam, co się stało? - Liza ściągnęła narzutę z łóżka i okryła nią ramiona Jane. Jane drżała, nie mogła się opanować.

- Tu był jakiś kot. - Przez chwilę Adam wydawał się zbyt oszołomiony, żeby się poruszyć.

- Kot? - Philip odwrócił się i spojrzał na niego.

- Nie jakiś tam zwykły kot! - wrzasnęła Jane. - To była ta kurwa Brid!
Liza popatrzyła na Adama. Zbladła.

- Dokąd uciekł?

Adam wzruszył ramionami.

- Przypuszczam, że przez okno. Nie wiem.

- Zejdźcie na dół. Oboje. - Liza pomogła Jane wstać. - Phil, zamknij okno.
- Pociągnęła Jane za sobą do drzwi. - Już dobrze. Zaraz ci przemyję te zadrapania. Przywiozłeś swoją lekarską torbę? Wracaj do łóżka. - Nagle zdała sobie sprawę, że na podeście otworzyły się jeszcze dwie pary drzwi i wyglądają z nich przerażeni weselni goście. - Nie ma się czym niepokoić. To tylko jakiś kot przedostał się z farmy do domu. Już wszystko w porządku. Sytuacja została opanowana.

Pół godziny później Jane, umyta i wysmarowana jakimś środkiem antyseptycznym, ubrana w jedno z jasnych bawełnianych kimon Lizy, siedziała przy kuchennym stole, sącząc gorące mleko. Nadal była bardzo blada.

- To był prawdopodobnie jakiś zdziczały kot - orzekł w końcu Phil.

- Ja wiem, że wy wszyscy macie obsesję na punkcie tej kobiety, a drogi

stary Meryn jeszcze was podbechtuje. Ale to już skończone, prawda? Naprawdę skończone! Na litość boską! Rozmawiacie ciągle o czarownicach, demonach i tym podobnych rzeczach. Nie! Nie! Nie! Nie będę ? tego tolerował. Jest mi naprawdę przykro, że ten diabeł wskoczył do waszego pokoju, i rozejrzę się jutro wokół stodoły ze strzelbą. Nie możemy trzymać zwierzaka, który atakuje ludzi. Prawdę powiedziawszy, on mi wygląda raczej na żbika, a nie zdiczającego kota, chociaż nigdy nie słyszałem, żeby tu widywano żbiki. Nie sądzę, żeby pozostały jeszcze jakieś w tej części kraju.

- Nie pozostały. - Lizę przeniknął dreszcz. Tego już było dla niej za wiele.

- Byliśmy tu wszyscy razem, bawiliśmy się świetnie, więc ona także chciała być tutaj. Z Adamem.

- Wspaniale. Wygląda na to, że jestem trzecia na jej liście osób do zamordowania. - Jane obronnym gestem założyła ręce na piersiach. - Tak jak każdy, kto stanie między nią a Adamem.

- Biedna siostra Wilkins nie stanowiła takiego zagrożenia.

- Myślę, że stanowiła. Myślę, że próbowała udaremnić te jej ucieczki.

- Ja uważam, że Brid występuje w dwóch postaciach. - Liza wstała, żeby przynieść czajnik. Dolała sobie trochę gorącej wody do kubka. Wracając myślała do tego, co powiedział jej Meryn. - Myślę, że jest jedna prawdziwa Brid, ta, która może być zamknięta w szpitalu. I jest jeszcze ta druga, wytwór jej wyobraźni. Myślę, że wszyscy mamy zdolność życia w wyobraźni, tylko że ona ćwiczyła to tak długo, że potrafi to robić naprawdę. Potrafi sobie wyobrażać, że znajduje się całkiem gdzie indziej.

- I przemieniać się w kota? - Phil popatrzył na nią z politowaniem.

- Czemu nie?

- Ponieważ to jest idiotyczne, kobieto. Oto dlaczego. - Phil wstał i podszedł do kredensu. Pochylił się i wyjął butelkę brandy. - Czy ktoś życzy sobie kropelkę tego do mleka? Ja z pewnością tak. - Dolał odrobinę do kubka Adama, a potem do swojego. - Dobrze przynajmniej, że dzieciaki się nie pobudziły. To był dla nich wielki dzień i byłoby straszne, gdybyśmy go im zepsuli. Proponuję, żebyśmy wrócili

do łóżek i zapomnieli o wszystkim, co tu się stało. Jestem gotów się założyć o niezłą sumkę, że nie zobaczymy tu już nigdy więcej tego zwierzaka. A jeśli się pojawi, zastrzelę go.

- Ciociu Jane? - Późnym rankiem następnego dnia Julietta siedziała na beli siana na podwórzu przed domem na farmie. - Nauczysz mnie robić na drutach?

Jane popatrzyła na nią ze zdziwieniem, po czym wybuchnęła śmiechem.

- A ja myślałam, że wy, młodzi, uważacie robienie na drutach za coś staroświeckiego. - Chcę zrobić trochę rzeczy dla dziecka - uśmiechnęła się Julietta.

- Oczywiście. - Jane poczuła nagły przyływ uczuć do swojej nowej synowej. Mimo pokaźnej wypukłości, która była widoczna pod długim swetrem Julietty, dziewczyna wyglądała na tak kruchą teraz, w jaskrawym blasku słońca. Jane wyciągnęła rękę i uściśnięła dłoń dziewczyny.

- Oczywiście, że cię nauczę.

Czuła się lepiej tego ranka. Brzydkie zadrapania ukrywała miękka bawełniana bluzka i Jane pomyślała, że w jasnym świetle dziennym wręcz trudno uwierzyć w atak, który przeżyła poprzedniej nocy. Philip dotrzymał słowa i przeszukał wszystkie skrzydła budynku ze strzelbą na ramieniu, mimo sprzeciwów Lizy, ale nigdzie nie natknął się na choćby najmniejszy ślad kota, żbika czy jakiegoś innego zwierzaka i po godzinie zrezygnował.

- Kiedy wrócicie z podróży poślubnej, przyjadę na kilka dni i nauczę cię. Jednakże jestem pewna, że twoja mama też to potrafi.

Julietta pokręciła głową.

- Pytałam ją. Przysięga, że nie potrafi. Zresztą ona jest leworęczna i nigdy niczego nie potrafiła mnie nauczyć. Wszystko robi odwrotnie - roześmiała się Julietta. Potem znowu spojrzała na Jane. - Jesteś szczęśliwa, że się pobraliśmy, ciociu Jane? Martwiłabym się, gdybyś nie była szczęśliwa.

- Jestem bardzo szczęśliwa, kochanie.

- I nie masz nam za złe, że wyjeżdżamy, jak tylko dziecko się urodzi? Calum tylko wspomniał przed dwoma dniami o tej części ich planu.

Jak tylko dziecko szczęśliwie przyjdzie na świat, a on dostanie prawo jazdy,

kupią sobie starą krytą ciężarówkę i pojedą na przełaj przez całą Europę, kierując się na wschód.

„Nie mów tacie. Jeszcze nie teraz. Zrobię to sam w swoim czasie”.

Calum nie potrzebował powtarzać swojej nieśmiałej prośby. Jane nie miała odwagi powiedzieć Adamowi o tym planie i nigdy się nie odważy. Calum tym razem będzie musiał sam stawić czoło ojcu.

- Jeśli mam być szczerą, trochę się obawiam. - Jane znów uściśnęła rękę Julietty. - Mój pierwszy wnuk to dla mnie naprawdę coś szczególnego. Nie mogę się pogodzić z myślą, że nie będę widziała, jak on rośnie.

- Albo ona.

- Albo ona.

- Będziesz widziała. - Julietta pochyliła się i pocałowała ją w policzek. - Będziemy ci przysyłać fotografie ze wszystkich miejsc, w których się zatrzymamy. Zresztą nie zabawimy w tej podróży długo. Jak wrócimy, przez wiele, wiele lat nie trafi nam się okazja, żeby gdzieś wyjechać. Nie żałuj nam tej jednej przygody, ciociu Jane, proszę.

Jane uśmiechnęła się, mimo że serce ją bolało. Jak mogłaby się oburzać na nich za ten wyjazd? Będą wolni, wolni od odpowiedzialności, mimo dziecka nieskrępowani żadnymi przepisami. Wolni od wszystkich tych rzeczy, którymi ona i Adam starannie ich otaczali przez całe lata, a które przemieniły ich w wierne kopie rodziców. Calum został klonem swego ojca, a Julietta - matki, mimo że czynili największe wysiłki, żeby tego uniknąć. Jane wzdrygnęła się.

Julietta zamknęła oczy i wygrzewała się w ciepłych promieniach słońca jak malutkie, tłuściutkie zwierzątko, z czułością obejmując dłońmi swój duży brzusek. Ich podróż poślubna miała się rozpocząć dziś wieczorem. Najpierw jechali na wzgórze do chaty Meryna, który im ją wynajął na tydzień, żeby sobie w niej pomieszkali sami, tylko we dwoje. Jane nie była pewna, dokąd Meryn się przeniesie na ten czas. Liza zachowywała się tajemniczo, ale ona podejrzewała, że Meryn będzie w tym czasie wędrował po górach, żeby młodzi mogli spokojnie spędzić jakiś czas tylko we dwoje. Jane nie poznała Meryna, ale po rozmowie z Lizą na jego

temat wiele sobie wyobrażała. Widziała w nim zarówno zastępczego ojca, jak tajemniczego duchowego przewodnika.

Znowu przeniknął ją dreszcz i z niepokojem rozejrzała się dookoła. Podwórko było nagrzane i zaciszne. Żadnego powodu, żeby drzeć z zimna. Ale to nie było fizyczne doznanie chłodu. Nagle Jane odniosła wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Znowu się rozejrzała, tym razem uważniej. Dostała gęsiej skórki i ogarnął ją lęk, że może się stać coś złego. Ten kot? Phil przysięgał, że sprawdził wszędzie, ale kot może się ukryć bez trudu: w budynkach, w żywopłotach, w wysokiej trawie.

- Julie - powiedziała bardzo łagodnie.

Julie chyba nie usłyszała. Siedziała z głową odchylną do tyłu i z zamkniętymi oczami, rozkoszując się słońcem.

- Julie, wejdźmy do domu. - Dom był oddalony o jakieś sto jardów. Liza rozmawiała w środku z kilkoma zwlekającymi z wyjazdem gośćmi weselnymi. Phil i Adam pojechali na dół do miasteczka w jakiejś tajemniczej sprawie, jej syn zaś, jak się okazało, spał jeszcze, przytłoczony wrażeniami własnego ślubu.

- Julie! - powtórzyła Jane, teraz ostrzej. - Proszę. Musimy wejść do domu.

- Dlaczego? - Julietta otworzyła oczy. - Po co, u licha? Co się stało?

- Nie jestem pewna, kochanie, czy coś się stało. Po prostu chcę na chwilę wejść do domu. To wszystko. Proszę.

- Czy ty się dobrze czujesz, ciociu? - Julie usiadła prosto, ale nadal nie wykazywała ochoty, żeby wstać.

- Wytlumaczę ci wszystko, jak będziemy w środku. - Jane wstała bez pośpiechu. Z jakiegoś powodu nie chciała, żeby ktoś zobaczył, że biegnie. Nie chciała, żeby ona, on, widział, że się boi, a przede wszystkim nie chciała sprowokować pogoni. - Chodź. Szybko. - Zniecierpliwiona, chwyciła mocno Juliette za przegub i zmusiła do podniesienia się z miejsca.

Dziewczyna przestała się sprzeciwiać. Posłusznie szła przez podwórko za Jane, która posuwała się wolno, przygarbiona, jak gdyby się spodziewała, że lada chwila coś skoczy jej na plecy. Czuła, jak skóra cierpnie jej z lęku, a ręka zaciska się na palcach Julietty. Były już prawie w domu, kiedy usłyszały pełne niepokoju

gdakanie kur na pobliskim wybiegu dla drobiu.

- To pewnie lis, ciociu Jane. Pozwól, że pójde i sprawdzę.

- Nie! - Jane znowu chwyciła ją za rękę. - Nie, proszę. Wejdźmy do domu.

Powiem komuś innemu, żeby sprawdził, co się dzieje z kurami. Proszę, Julie.

Julie zerknęła na ciotkę z ukosa, ale usłuchała i po kilku sekundach były w kuchni. Jane zamknęła drzwi i oparła się o nie, uświadamiając sobie nagle, że drży jak liść.

Liza stała przy kuchennym zlewie, nalewając wody do czajnika.

- Wszyscy poszli na spacer w góry - powiedziała przez ramię. Odwróciła się. - Co się dzieje? Co się stało? - zapytała ostro.

- Ona tam jest. - Jane nabrała głęboko powietrza, podeszła do stołu i usiadła. - Na podwórku.

- Boże drogi! - Liza zbladła. - Jesteś pewna?

- O co chodzi? Co tam jest? - Julietta, nagle przestraszona, patrzyła to na jedną, to na drugą.

- To żbik, kochanie. - Liza zmarszczyła czoło, dając w ten sposób Jane do zrozumienia, żeby nie mówiła Julietcie prawdy, jakakolwiek ona jest. - Dostał się do domu ubiegłej nocy i zaatakował ciocię Jane. To było straszne. Biedactwo musiało przyjść tu z gór i zabłądziło.

- Żbik? Masz na myśli prawdziwego żbika, a nie jednego z miejscowych kotów, mieszkających w stodole?

- Mam na myśli prawdziwego żbika - powiedziała Liza oschle.

- Ciociu - Julietta odwróciła się do Jane ze współczuciem - czy to on cię podrapał? Jane przytaknęła.

- Ale już czuję się dobrze. Tylko po prostu nie chcę się z nim spotkać oko w oko po raz drugi, o ile oczywiście nie będę musiała, a już na pewno nie chciałabym, żeby podrapał ciebie.

- Jak tylko nasi panowie wrócą, każemy im się rozejrzeć. Myślę, że do tego czasu obie powinnyście zostać w domu. - Liza podeszła do okna i zamknęła je z trzaskiem.

- A co z tamtymi, którzy poszli na spacer? - zaniepokoiła się Julietta.

- Nic im się nie stanie. Jest ich czterech, więc nie sędzę, żeby ich zaatakował przy dziennym świetle na zboczu wzgórza. Myślę, że z jakiegoś powodu włóczy się koło domu.

- Jest prawdopodobnie głodny. Może byśmy mu gdzieś wyłożyli trochę kociego jedzenia? - Julietta już wstała i ruszyła w stronę kredensu.

- Nie! - zaprotestowały jednocześnie Jane i Liza. Julietta zauważyła, że obie traktują ten pomysł z wymuszonym rozbawieniem.

- Nie, kochanie. Nie będziemy go karmić. Przede wszystkim nie chcę go zachęcać, żeby tu przychodził - powiedziała w końcu Liza. - Po prostu pozostajmy tutaj i zaczekajmy. Nasi panowie niedługo wrócą.

Kiedy samochód wjechał na podwórze, Liza pierwsza wymknęła się z domu i pobiegła do nich.

- Jane się wydaje, że znów ją widziała. Na podwórku. Odwróciła się i badawczo powiodła wzrokiem dookoła, penetrując otwarte drzwi szopy, wysoką trawę w rogach podwórka, szczyty murów. Były setki miejsc, gdzie kot mógł się ukryć.

- Może powinienem wyjść i poszukać jej? - powiedział Adam wolno. - Mnie nie podrapię.

- Zaczekaj, wezmę strzelbę. - Philip zatrzasnął drzwiczki samochodu i ruszył w kierunku domu.

- Nie! - Adam potrząsnął głową. - Nie możesz jej zastrzelić. Zostaw to mnie. Wy wszyscy wejdźcie do domu.

Brid się obudziła, kiedy słońce wzeszło nad górami. Rozejrzała się dookoła i serce w niej zamarło. Miała nadzieję, że sen przywróci jej energię i znów poczuje się bezpieczna w świecie A-dama. Ale tak się nie stało. Powoli poddawała się z rezygnacją temu, co musiało nastąpić. Jadła i spała w starym letnim domku nad potokiem i po wielu godzinach wysiłków i codziennych medytacji zarówno w promieniach słońca, jak i pod gwiazdami, poczuła pewnego dnia, że wraca jej energia. Wiedziała jednak, że Broichan grasuje w pobliżu. Kiedy czuła jego

bliskość, udawała górskiego kota; stapała bezszelestnie na swych miękkich łapkach po wrzosie, kuliła się w wąwozach i na piargach, by nikt jej nie dostrzegł, bądź też wspinała się wysoko po rozkołysanych sosnach i siedząc na ich chropowatych, czerwonych gałęziach z kłującymi igłami, badała wzrokiem wszystko dokoła.

Czasami Broichan zjawiał się jako człowiek, czasami on także przybierał jakąś inną postać. Raz był jeleniem, dumnie noszącym głowę z królewskim porożem, raz orłem, szybującym nad skałami i przeszukującym teren wzrokiem, który potrafi wyłowić ukrywającą się mrówkę, a raz czy dwa razy, jakby odgadując, w jakiej ona występuje postaci, przychodził jako piękny król - kot o wspaniałej, lśniącej sierści i miauczał, pod drzewami tropiąc jej zapach.

Ale za każdym razem Brid przeczekiwała to w ukryciu i za każdym razem Broichan odchodził. Wreszcie któregoś dnia, w czasie zmiany fazy księżyca, odkryła moment, kiedy moc powróciła do wielkiego kamienia, tak jak to przepowiadały rzeźby jej brata. Wtedy położyła dłonie na rzeźbionych symbolach i poczuła, że energia zaczyna płynąć przez jej ciało.

I to dało Brid siłę, która pozwoliła jej iść, dokąd chciała, a pragnęła iść tam, gdzie jest A-dam.

I tak jeszcze raz znalazła się pod dębem i usiadła. Drzewo było pokryte liśćmi, ziemia pod nim porośnięta wysoką, obsypaną nasionami trawą. Przed nią zбочe pięło się w zachodzącym słońcu ku Wye Valley. Przez chwilę trwała w bezruchu, potem się przeciągnęła, podwinęła nogi i nagle spostrzegła, że stała się kotem. Uśmiechnęła się w duchu. To nie miało znaczenia. Łatwiej jej będzie jako kotu śledzić, wślizgiwać się do domów i do łóżek, łatwiej odszuka A-dama, który będzie musiał w końcu przyjść, by się zobaczyć ze swoją Lizą. Kiedy zeskoczyła z muru otaczającego podwórko na dach starego, niskiego, kamiennego domostwa i lekko biegła po porośniętych mchem dachówkach, już wiedziała, w którym pokoju śpi Adam. Nie spodziewała się tylko, że zastanie go tam z Jane.

Adam otworzył furtkę i wszedł do sadu. Wolno przemierzał stromo opadającą ścieżkę pod jabłoniemi. Było tu chłodniej, nie docierało słońce, a w powietrzu unosił się zapach dzikich róż. Adam słyszał wiatr szeleszczący w trawie, a gdzieś w oddali

gruchanie gołębiczy. Nie był pewien, czy spodziewa się spotkać kota, czy kobietę. Nie był już niczego pewien.

Nagle pomyślał o swej ostatniej rozmowie z Ivorem Furnessem. To, co lekarz opowiadał o Brid - jeśli to była Brid - zdziwiło go niepomiarownie. Mówił, że często wpadała w trans i że był przekonany, iż ten trans sama wywołuje. I że w czasie tego transu w jakiś sposób opuszcza swoje ciało i może przyjmować dowolne postacie, pod którymi ukazuje się ludziom. Furness wypytywał Adama szczegółowo o dom i porównywał jego wypowiedzi z notatkami, które robił, opierając się na opisach Brid.

Cały kłopot polegał na tym, że żaden z nich nie był pewien, czy w jakimś momencie w ciągu tych lat Brid nie odwiedziła jego domu, nie została doń wpuszczona przez Jane, Caluma albo panią Freeling, a nawet przez któregoś z recepcjonistów przychodni - możliwości było bez liku. Istniała możliwość, że stosowała telepatię, żeby myśleli, że widzą kota. Albo ją. Adam stwierdził, że nie potrafi przypomnieć sobie dziwnych, erotycznych snów, które miewał, gdy wpuszczał tego kota do domu i pozwalał mu spać w swoim łóżku pod nieobecność Jane. Nagle zapragnął być bardziej otwarty wobec Furnessa. Polubił go. Mimo wszystkich swych przedziwnych hipotez Furness był szczerym, inteligentnym, doświadczonym lekarzem, z którym Adam chętnie by częściej porozmawiał. Może kiedy wróca do St Albans, znów się z nim skontaktuje i go odwiedzi.

Zatrzymał się nagle, uświadomiwszy sobie, że gdzieś daleko pod drzewami coś się poruszyło. Zmrużył oczy. Zignorował irracjonalny lęk i zaczął się wolno posuwać w tym kierunku. Z początku nic nie widział, ale nagle z prawej strony jakiś kos wystrzelił w górę z podszycia lasu, ćwierkając na alarm. Słyszał też przenikliwy krzyk strzyżyka, któremu także zakłócono spokój. Skóra mu cierpła, kiedy się tak posuwał, teraz ostrożniej, w kierunku, skąd dochodził jakiś hałas.

A-dam...

Bardzo dawno nie słyszał tego płaczliwego głosu w swej głowie. Zacisnął pięści w kieszeniach i zmusił się, żeby iść dalej. Przedzierał się teraz przez wysoką trawę, ponieważ zboczył ze ścieżki.

A-dam...

Nie mógł jej dojrzeć, bo światło było blade pod starymi, sękatymi drzewami, obwieszonymi girlandami bluszczu i porostów. Mogła być wszędzie. Zdał sobie nagle sprawę, że już nie szuka kota, lecz przepatruje wzrokiem zaciemnione miejsca, szukając smukłej kobiety o czarnych włosach. Posunął się jeszcze o kilka kroków i zatrzymał nagle. Zobaczył ją. Jakiś cień, nic więcej, za drzewami.

- Brid? - Jego głos przypominał skrzeczenie żaby. - Brid? Czy to ty?

Z napięciem wpatrywał się w cień rzucany przez stare drzewo w odległym końcu sadu. Było potężniejsze od innych, a trawa pod nim z jakiegoś powodu niższa.

- Brid?

Teraz ją zobaczył. Ale tam, gdzie, jak mu się wydawało, widział sylwetkę kobiety, migotały teraz tylko cętkowane refleksy światła słonecznego, kiedy wiatr igrał z konarami jabłoni.

Z tyłu za nim zaskrzypiała furтка. Jane weszła do sadu i zatrzymała się na chwilę z ręką opartą na ciepłym, porośniętym mchem drzewie. Uważnie obserwowała męża. Zatrzymała się w Cętkowanym cieniu, uważnie rozglądając się dookoła. Podążyła wzrokiem za wzrokiem Adama i wolno ruszyła do przodu. Pod pachą miała strzelbę Philipa.

Szła ścieżką w swych sandałkach prawie niedosłyszalnie, jej spódniczka omiatała trawę tak cicho, jakby muskał ją wiatr. Adam nie słyszał żony. Przeszedł kilka kroków i znów się zatrzymał, ciągle czegoś wypatrując. Czuł, że tam coś jest, tylko niedostrzegalne. Ptaki przestały śpiewać i nagle znów usłyszał zatrwożony krzyk kosa. Czy ptak krzyczał na jego widok, czy też może dostrzegł coś jeszcze w cieniu żywopłotu? Adam posuwał się wolno dalej, a Jane była coraz bliżej niego. Widząc, że znów się zatrzymał, ona też stanęła. Podniosła dubeltówkę i oparła ją na ramieniu. Adam nie usłyszał trzasku, kiedy odwiodła kurek.

Teraz ją dostrzegł. Jakąś postać, jakąś kobietę stojącą pod starym drzewem.

- Brid?

Nie mogła go usłyszeć, jego głos zabrzmiał jak krakanie, ale się odwróciła. Tylko przez chwilę widział jej twarz, bo nagle z prawej strony rozległ się

ogłuszający huk.

Usłyszał krzyk. Przez chwilę nie wiedział, co się stało. Odwrócił się i tuż przy sobie spostrzegł żonę.

- Trafiłam go! - Śmiała się histerycznie. - Trafiłam go! To ścierwo!

Dobrze mu tak! - W jej dłoniach jeszcze dymiła lufa strzelby.

Adam stał przez chwilę jak sparaliżowany, po czym odwrócił się i pobiegł ku drzewom.

- Brid?

Dotarł do miejsca, gdzie widział jakąś postać, zatrzymał się i rozejrzał z wściekłością. - Brid?

Na mchu pod drzewem dostrzegł plamę krwi. Ukląkł i dotknął jej palcem.

Odwrócił się do Jane, która zbliżyła się, trzymając strzelbę tak, jakby była gotowa strzelić po raz drugi.

- Uważaj, on będzie niebezpieczny, jeżeli go tylko zraniłam! - zawołała. Zatrzymała się obok. - Gdzie on jest?

- On? - Nadal klęcząc, Adam podniósł wzrok ku górze. Drżał. - On? Strzeliłaś do kobiety, na litość boską.

- Do kobiety? - Jane znowu się roześmiała. - Nie bądź niemądry. To był kot. Jakiś złośliwy żbik, Adamie. Przykro mi. Nie chciałam go zranić, ale mnie zaatakował. Mógł mnie zabić. Był niebezpieczny, Adamie.

- To była kobieta. - Nadal na kolanach, patrzył błędnym wzrokiem przed siebie. - Widziałem ją.

Jane spojrzała na niego z góry z zawziętą twarzą.

- To nie była ona, Adamie. Widziałam dobrze. To był kot. Musiał uciec gdzieś do lasu. - Badała wzrokiem żywopłot. - Będziemy musieli uważać. Jest ranny. Będzie bardziej mściwy niż kiedykolwiek. - Opuściła strzelbę i położyła rękę na ramieniu męża. - Nie strzeliłabym do człowieka, Adamie, wiesz przecież. Musiałeś sobie jedynie wyobrazić, że ją widziałeś.

Podnosił się powoli z klęczek, nadal rozglądając się na wszystkie strony.

- Jesteś pewna? - napadł na nią ostro. - Jesteś pewna, że nie zastrzeliłabyś

jej? Jesteś o nią zazdrosna. Zawsze byłaś.

- Adamie! - Patrzyła na niego zdumiona. Ale on się odwrócił i ruszył w kierunku domu.

Rozdział trzynasty

Prawie nie rozmawiali po drodze do domu. Adam prowadził szybko, traktując samochód, jakby to był jego wróg. Twarz zastygła mu w twardym, nieustępliwym grymasie. Siedząca obok Jane od czasu do czasu spoglądała na męża, ale się nie odzywała. Wydawało jej się, że powiedzieli sobie wszystko, co mieli do powiedzenia, wtedy, w sypialni na poddaszu farmy, po tym, jak strzeliła do tego kota. Kiedy Adam spostrzegł krew na trawie, przez wiele godzin przeszukiwał sad, a potem całą okolicę. Wrócił do domu długo po zapadnięciu zmroku. Nazajutrz rano znów wyszedł, jak tylko się rozwidniło, ale przedtem zdążyli się pokłócić tak jak nigdy w ciągu ich długiego małżeństwa.

- Adamie, przykro mi! - krzyknęła w końcu. - Cóż jeszcze mogę powiedzieć? Bałam się. Nienawidzę jej. - To ostatnie zabrzmiało jak długi jęk. Potem Jane rzuciła się na łóżko i ukryła twarz w poduszkach. Oboje wiedzieli, że nie rozmawiają o kocie.

Adam spojrzał na żonę, na jej zawziętą twarz, po, czym nagle odwrócił się na pięcie i wyszedł z sypialni. Kiedy wrócił, Jane już spała.

Liza nie zakwestionowała ich decyzji o wcześniejszym powrocie do St Albans. Atmosfera między tą dwójką stała się nie do zniesienia, a zachowanie Adama wykraczało poza granice zdrowego rozsądku.

- Nie możesz jej potępiać - powiedziała Liza szeptem, kiedy stali przez chwilę przed kuchennymi drzwiami po kolacji. - Na litość boską, Adamie, ona została złośliwie zaatakowana.

- Jane mogła ją zabić! - Adam grzebał w pogniecionej paczce papierosów, szukając, czy jakiś nie pozostał. - Mogła ją poważnie zranić. - Wiemy, że tak się nie stało, Adamie. - Liza starała się nie podnosić głosu. - Znaleźlibyśmy coś. Jakiegoś kota. Jakąś kobietę. Gdyby została poważnie ranna. Uciekła gdzieś do lasu. Nic jej nie będzie. - Próbowwała pokryć swą złość uśmiechem. - Widzisz, jestem zła, kiedy mówisz o nim „ona”. Nie wiemy przecież, czy był „nią”. Mógł to być po prostu żbik. To wszystko. Albo dziki kot z farmy. Nie wiemy, czy to była Brid, Adamie. Skąd możemy wiedzieć? To wszystko jest całkowicie absurdalne i oboje o tym wiemy.

- Wiemy? - Odwrócił się do niej i utkwiał w niej pełen złości wzrok.

- Czy my w ogóle coś wiemy?

Nie powracali już do tej dyskusji następnego dnia. Craigowie spakowali swoje rzeczy, zostawili wiadomość dla Caluma i Julietty i opuścili farmę.

- Jedź ostrożnie. - Liza pochyliła się i pocałowała Adama w policzek. - Zobaczysz, wszystko obróci się na dobre.

- Tak myślisz? - Zrewanżował jej się lekkim muśnięciem w policzek.

- Chciałbym w to wierzyć.

Było już późno, kiedy skręcili w swoją uliczkę i podjechali pod dom; Adam wyłączył silnik i siedział przez chwilę, patrząc przez szybę samochodu. Potem wyciągnął rękę, żeby otworzyć drzwiczki. Był zesztywniały po długiej jeździe.

- Zaczekaj - powstrzymała go Jane ochrypłym głosem.

- O co chodzi? - Odwrócił się i spojrzał na nią.

- Nie bądźmy tacy, proszę. Ja powiedziałam, że mi przykro. Adamie, dom będzie pusty bez Caluma. Nie kłóćmy się, proszę.

- Nie mam zamiaru się kłócić. - Adam powoli wysiadł z auta. - Jeśli o mnie chodzi, sprawa jest zamknięta. - Obszedł samochód dookoła i otworzył bagażnik. - Pomóż mi zabrać walizki i wejdźmy do domu. Ta podróż wydaje mi się za każdym razem dłuższa. - Wyjął jedną walizkę i małą brezentową torbę podróżną, odwrócił się i ruszył ścieżką ku domowi. Jane szła za nim, niosąc jeszcze jedną walizkę. Nagle Adam się zatrzymał. Coś się poruszyło w oknie na piętrze.

- W domu ktoś jest.

- Co? - Jane błędnym wzrokiem wpatrywała się w budynek, szczególnie uważnie w okna na piętrze. Wszystko wydawało się w porządku. - Masz na myśli włamywaczy? - zniżyła głos do szeptu. Czowała, jak serce łomocze jej pod żebrami. Adam wzruszył ramionami. Postawił na ziemi walizki i szybko ruszył ku drzwiom, szukając w kieszeni kluczy.

- Bądź ostrożny, Adamie. - Jane biegła za nim. - Czy nie powinniśmy wezwać policji?

Pokręcił głową.

- Zostań z tyłu.

Drzwi frontowe były zamknięte, okna chyba też, tak jak je zostawili. Na zewnątrz nie było żadnych oznak, że coś się stało, ale Adam czuł dziwne mrowienie na karku i miał wrażenie, że ktoś ich obserwuje.

- Jane - obrócił się do żony. - Wracaj do samochodu. Zablokuj drzwi od środka.

- Dlaczego? - Rozglądała się dookoła przerażona. - Nie zostawię cię samego. Pójdę do sąsiadów i zadzwonię na policję.

- Wracaj do samochodu. - Chwycił ją za ramię i obrócił ku sobie. - Zrób to, co mówię.

Wtedy zrozumiała.

- Myślisz, że to ona tam jest. Myślisz, że to ta twoja przyjaciółka.

Przyjaciółka - kot. Dopadła nas w domu, co? - Nagle wpadła niemal w histerię. - Każ Jane wrócić do samochodu, niech siedzi tam na drodze przez całą noc, tak długo, jak to się Brid spodoba. Nie, dziękuję. - Wyrwała mu z ręki klucze i odepchnęła go. - Nie, Adamie. To już zaszło za daleko. Nie będę stała pod swoim własnym domem, podczas gdy ty będziesz się pieścił ze swoją Przyjaciółeczka w środku, bo chcesz, żeby twoja Brid nie czuła się skrupowana. - Łkając pobiegła ścieżką do drzwi. Drżącą ręką włożyła klucz do zamka.

Stos poczty piętrzył się w holu na stole. Sara musiała tu przychodzić, żeby podlewać rośliny, chociaż Jane jej powiedziała, żeby sobie tym nie zawracała głowy.

Jane zatrzymała się. W domu unosił się dziwny zapach, zwierzęcy zapach piżma, który ją przyprawił nagle o straszne mdłości. Odwróciła się do Adama. Jej złość ustąpiła teraz lękowi.

- Ona jest tutaj - szepnęła. Skinął głową.

- Chcę, żebyś pozostała w samochodzie, ponieważ tam będziesz bezpieczna - szepnął. - Proszę cię, Janie, wyjdź stąd. - Przeszedł koło niej, a potem szybko na palcach pobiegł przez hol do drzwi swego gabinetu. - Idź, proszę - syknął przez ramię. Lekko uchylił drzwi. W całym domu panowała cisza.

Jane stała bez ruchu. Śledziła męża wzrokiem, ze strachu zaschło jej w ustach. W gabinecie panował mrok, gdyż kotary były do połowy zasunięte, w powietrzu czuło się panujący na dworze upał. Słońce przez cały dzień świeciło prosto w okna i tylko wieczorem przesuwało się na drugą stronę domu, pozostawiając ten pokój zacieniony.

- Brid? - szepnął Adam. - Jesteś tam?

Nadal było zupełnie cicho, więc po chwili zrobił jeszcze jeden krok. Pchnął mocno drzwi, aż się oparły o ścianę.

- Boże drogi!

- Co się dzieje? - Jane przybiegła i stanęła tuż za nim w progu.

Kobieta leżąca na dywaniku przed kominkiem miała wciąż jeszcze zaciśniętą w dłoni małą mosiężną konewkę. W pobliżu pośród skorup potłuczonej doniczki leżał jasnorożowy cyklamen. Jego płatki już zwiędły.

- Sara? - załkała Jane. - O, nie! Czy ona...?

- Tak. - Adam nie potrzebował podchodzić bliżej, żeby stwierdzić, że kobieta nie żyje od kilku godzin. - Lepiej wezwij policję, Jane. - Ukłął na dywaniku, ale nie dotykał zmarłej. Dostrzegł paskudne rany cięte na twarzy i szyi, a pod ciałem brązowe plamy w miejscach, gdzie krew zdążyła już wsiąknąć w dywanik. - A potem któreś z nas będzie musiało zawiadomić Roberta.

W domu nie było nikogo. Ani śladu bytności jakiegoś nieproszonego gościa. Żadne okno, żadne drzwi nie zostały sforsowane, niczego nie ukradziono. Policja odnotowała, że Jane podczas swego pobytu w Walii została zaatakowana przez

jakiegoś kota, ale uznano to po prostu za zbieg okoliczności. Napisano, że może to mieć jakiś związek z niejaką Brid, która uciekła ze szpitala, z tą Brid, która prześladowała Adama, ale nie posunęło to dochodzenia ani o krok dalej. Ten ślad już dawno przestano uważać za znaczący. Dochodzenie w sprawie ustalenia przyczyny zgonu nie zostało zakończone, ale w dwa dni po ukazaniu się tej wiadomości w gazecie do Adama zadzwonił Ivor Furness.

- Czy mógłbym do pana przyjść? Są sprawy, o których powinniśmy porozmawiać. - Widział wzmiankę i nazwisko Adama przyciągnęło jego uwagę.

- To była ona, prawda? - spytał spokojnie, kiedy siedzieli wszyscy przed domem w wieczornym słońcu.

Adam skinął głową.

- Myślę, że tak.

- Obaj jesteście lekarzami. Ludźmi nauki. Rozsądnymi. I pani, pani Craig - Ivor uśmiechnął się ciepło do gospodyni - jest także osobą rozsądną, wykształconą. Kobieta dwudziestego wieku. Żadne z nas nie wierzy, że istota ludzka może się zamienić w kota, prawda? Wszyscy skinęli potakująco.

- Ani że ona, bo mówimy o istocie ludzkiej rodzaju żeńskiego, odwiedza różne miejsca w innej postaci, pozostawiając swoje ciało w łóżku czy też gdziekolwiek indziej. - Powoli nabił fajkę. - Nie wspominali państwo, jak sądzę, o żadnym z naszych podejrzeń policji.

Adam pokręcił głową.

- Nie wydawało nam się to konieczne. Oni naturalnie myśleli o tej Brid, która uciekła ze szpitala, ale nie było na to żadnych dowodów, nic. Nie znaleźli żadnych odcisków palców poza naszymi.

- Ja im powiedziałam o tym kocie - wtrąciła Jane ostrym tonem. - Powiedziałam, że zostałam zaatakowana.

- A oni pomyśleli, że to nie ma żadnego związku z omawianą sprawą, skoro wydarzyło się wiele mil stąd. Żadnego. - Ivor wolno pokiwał głową. - Obawiam się, że zawsze będziemy słyszeć taką odpowiedź. Ale państwo mimo to są pewni, że zabójstwo jest dziełem Brid?

Adam wolno skinął głową.

- Ja tego nie rozumiem. Dlaczego ją zabiła? Biedna Sara, co ona takiego zrobiła, co tak rozzłościło Brid? - Pokręcił głową zdezorientowany. Rozmawiali z Jane o wyprowadzeniu się z tego domu. Z początku wydawało im się to konieczne. Teraz nie byli tego tacy pewni. Po biednej Sarze nie pozostał nawet duch, a Brid będzie ich prześladowała, dokądkolwiek się przeniosą.

- Robert to zupełny strzęp człowieka. Sara była dla niego wszystkim. Nie mieli żadnej rodziny, mieli tylko siebie. - Jane nagle się rozplakała, zapominając o dawnej niechęci do Sary. Wyciągnęła rękę, by dotknąć dłoni Adama.

Ivor spochmurniał. Zapalił zapałkę i trzymał ją w dłoni, dopóki płomień nie przestał się chwiać.

- Tak strasznie mi żal zarówno was obojga, jak i tej biednej kobiety oraz jej męża. Co za koszmar! Jako główny obiekt zainteresowania Brid jesteście w sytuacji nie do pozazdroszczenia. - Zapałka się wypaliła, ale Ivor wpatrywał się w nią jeszcze przez chwilę, zanim wyrzucił ją za murek okalający taras, na grządkę z różami. - Brid jest pozbawiona hamulców, zasad, jakimi kieruje się normalny człowiek - ciągnął zamyślony, mówiąc jak gdyby do siebie. - To atrakcyjna kobieta i niewątpliwie ogromnie urocza, kiedy chce taką być, ale ma psychopatyczną osobowość. Postępuje tak, jak jej w danej chwili dyktuje uczucie, nie licząc się z tym, że może wyrządzić krzywdę innym, a jej przeszłość nauczyła ją niepohamowanej gwałtowności. Fascynujące. - Znowu pokręcił głową i wyjął następną zapałkę z pudełka. - Pytanie tylko, czy przyszła tutaj osobiście, naprawdę, czy też była to jedynie wizyta we śnie. - Spoglądał przez chwilę to na jedno z nich, to na drugie, po czym zapalił zapałkę i przytrzymał ją nad główką fajki. - A jeśli przyszła we śnie, to gdzie w takim razie była wtedy materialna, rzeczywista Brid? Skoro może mordować wówczas, gdy faktycznie znajduje się gdzie indziej, to jak wy dwoje możecie się przed nią chronić w przyszłości?

Zapadła długa cisza. Ivor patrzył na ogród, utkwiał wzrok w pięknych różach Adama.

- Żałuję, że nie miałem okazji dokładniej jej wy badać, kiedy była w szpitalu.

- Ja też żałuję, że pan tego nie zrobił. - Adam był bardzo przejęty. Pochylił się, żeby wziąć żonę za rękę, kiedy zobaczył, jakie wrażenie zrobiły na niej słowa Ivora.

Jane bardzo zbladła.

- Ona nigdy by nie zrobiła krzywdy Adamowi. Czy myśli pan, że gdy zobaczyła Sarę, pomyślała sobie, że to jestem ja? - Przygryzła wargę, starając się opanować panikę.

Ivor wzruszył ramionami.

- Myślę, że kobieta, która ma taką siłę, jaką zakładamy, posiada Brid, rozróżniłaby dwie zupełnie inne kobiety. Och, moja droga, tak mi przykro. - Nagle wstał i objął Jane ramieniem. - Wcale cię nie uspokoilem.

Ten nieoczekiwany dowód sympatii i serdeczność sprawiły, że Jane znowu poczuła łzy pod powiekami.

- Tak się boję.

- To zrozumiałe. - Ivor zerknął na Adama, zdziwiony, że nie dodaje otuchy żonie. Ale Adam był zatopiony w myślach. - Doktorze Craig - powiedział tonem ostrzejszym, niż zamierzał. - Rozmawiamy o Brid z czasów, kiedy była dzieckiem. Czy dostrzegł pan wtedy u niej jakieś oznaki rozkojarzenia? Czy wydawała się panu wtedy nieopanowana, zbyt żywiołowa?

- O, tak. Miała temperamencik! - Adam wyobraził sobie Brid stojącą nago koło wodospadu, jej nagie ciało na tle skały. - I pomyślałem sobie wtedy, choć byłem jeszcze naiwnym uczniakiem, że jest lekkomyślna w swym podejściu do życia.

- Ale nigdy pan nie podejrzewał, że przybyła z innego wymiaru czasu?

- Ma pan na myśli inną planetę? - Adam roześmiał się, choć wcale mu było nie do śmiechu.

- Inną epokę.

- Nie. - Adam gwałtownie pokręcił głową. - Nigdy mi to nie przyszło do głowy. Brid była wystarczająco realna, proszę mi wierzyć. W tej młodej damie nie było nic z ducha. - Westchnął głęboko. - Wprost nie mogę uwierzyć, że my dwaj,

pan i ja, prowadzimy taką rozmowę. Musi być jakieś racjonalne wyjaśnienie tego, co Brid zrobiła. Wydaje mi się, że mamy tu do czynienia z jakimś trikiem, jakąś jej sztuczką, dzięki której jesteśmy przekonani, że Brid jest jednocześnie w dwóch miejscach, i przez własną łatwowierność - nie zdając sobie z tego sprawy, przez chwilę patrzył na Jane - dajemy się na to nabrać. Uważamy, że to jest coś niezwykłego, i doszukujemy się czegoś tajemniczego w zjawiskach całkiem normalnych. Dziwi nas, że ona tak szybko przemierza okolicę. A może jest po prostu dobra w jeźdzeniu „na łebka”? Przyjmujemy, że leżała w szpitalnym łóżku w czasie, gdy jednocześnie była całkiem gdzie indziej. A może wysliznęła się ukradkiem, pozostawiając w łóżku poduszki czy coś innego, tak ułożone, żeby to wyglądało, że ona tam nadal leży? W końcu udało jej się bez trudu uciec po zamordowaniu siostry Wilkins. Zbiegiem okoliczności jakiś kot przybłąkał się do tego domu parę razy w tym właśnie momencie. Jakiś kot rzucił się kiedyś w Walii na moją żonę. W żadnym z tych wypadków nie zdobyliśmy dowodu, że to było coś innego niż prawdziwy kot. Że kot był fałszywy. - Przerwał na chwilę. -

Twierdzenie, że Brid i kot to to samo i że ona jest zdolna podróżować w czasie i zjawiać się jednocześnie w kilku różnych miejscach, jest dla mnie absurdalne. To po prostu niemożliwe. Jedyna wątpliwość, to czy ta osoba jest moją Brid, czy tylko do niej podobną. Może to jej córka albo może - nagle podniósł wzrok - są dwie osoby, matka i córka, które biorą udział w tym prześladowaniu.

- Mającym na celu zamordowanie mnie - powiedziała Jane cicho. Drżała, mimo że popołudnie było upalne.

Żaden z panów się nie odezwał.

- Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ona może być jednocześnie dwiema osobami - powiedział w końcu Ivor. - Matką i córką. To nawet wydaje się prawdopodobne. - Z wyraźną ulgą przyjął nowy pomysł, który pomógłby mu skorygować dotychczasowe wnioski.

- Matka Brid nie była do niej podobna - powiedział Adam, potrząsając głową. - To była miła kobieta. Dobra.

- A jej ojciec? - Już nie żył, kiedy ją poznałem. Jej wuj natomiast to zupełnie

szalony facet. To by tłumaczyło, skąd się wzięła w jej charakterze ta gwałtowność. - Wstał, wyszedł na trawę i w roztargnieniu zerwał uschniętą różę. - Czy ją złapią?

- Oczywiście. - Ivor wzruszył ramionami. - Ale do tego czasu musicie być bardzo czujni. - Popatrzył na Jane. - Oboje.

Leżała w chacie nad potokiem trawiona gorączką, ale nie poddawała się. Raz na dzień czołgała się do wody, by ugasić pragnienie i zmyć kwaśny pot z twarzy i karku. Opatrzyła rany po postrzale na piersiach ziołami i zapobiegła zakażeniu, obcinając nożem postrzępione kawałki skóry. Długo nie zdawała sobie sprawy, co się stało. Uciekła z sadu w Walii w głębokim szoku. Najpierw znalazła się na zboczu wzgórza, a kilka sekund później w domu Adama. Do chwili gdy wyciągnęła nóż, nie zdawała sobie sprawy, że jest znów w ludzkiej postaci, nie miała pojęcia, dlaczego pchnęła nożem tę kobietę, którą zastała w gabinecie Adama i która zapytała ją, czy może jej w czymś pomóc. Jediną rzeczą, jaką zapamiętała, była nagła oślepiająca wściekłość, że ktoś się ośmielił stanąć jej na drodze. Kilka sekund stała nad tracącą przytomność kobietą; przyglądała się jej, zaskoczona, kiedy ona umierała na dywaniku przed kominkiem. I nagle poczuła przyływ energii oraz podniecenie, które pojawiło się wraz z widokiem krwi. Bez chwili namysłu znalazła się na schodach i z pokoju na górze wyjrzała przez okno. Obserwowała, jak podjeżdża samochód Adama. Wtedy w jednej chwili powróciła znów do górskiej doliny. Wiatr chłodził jej rozpalone czoło i szarpał ubranie.

Po raz pierwszy od długiego czasu zapłakała. Była sama, przerażona, a ból pod obojczykiem stawał się coraz dotkliwszy. Czasami, kiedy majaczyła w gorączce, wzywała matkę albo Gartnaita, częściej jednak wzywała Adama. Ale on się nigdy nie zjawiał. Dzień upływał za dniem, a ona była coraz słabsza. Niemal całkiem opadła już z sił, kiedy leżąc nad potokiem, z którego chciała zaczerpnąć miękkiej, brązowej wody, zauważyła we wrzosie szczątki okrągłego gniazdka małego ptaszka, siewki. Leżały w nim dwa nakrapiane jajeczka, jeszcze ciepłe. Matka pewnie niedawno je wysiadywała. Wyjęła je z gniazdka i zmiażdżyła zębami. Czowała, jak pożywne żółtko spływa jej do gardła. Nadal leżała skulona, z głową ukrytą w ramionach. Czowała na plecach ciepło promieni słonecznych i dziękowała w

duchu samiczce tego ptaszka, której jajeczka przywróciły jej siły. Później ssła jeszcze cierpki sok z borówek i siedziała wpatrzona w iskrzącą się wodę. Kiedy o zmierzchu przyczołgała się do chaty, zasnęła bez gorączki i już wiedziała, że wkrótce wyzdrowieje. Śniła, że Adam odnalazł ją wreszcie, położył rękę na jej głowie i powiedział, że gorączka spadła. Uśmiechała się przez sen i ocierała twarz o jego dłoń.

Dwukrotnie przybyło i dwukrotnie ubyło księżycy, zanim poczuła się dość silna, żeby pójść do kamienia i poszukać furtki do czasu Adama. Jej energia była nadal niewielka, a koncentracja słaba, ale w miarę jak noce stawały się coraz dłuższe, a powietrze chłodniejsze i wilgotniejsze, zaczęła coraz bardziej tęsknić. Tak bardzo chciała znów być z nim. Nigdy do niej nie przyszedł z wyjątkiem tej pierwszej nocy, kiedy o nim śniła, ale wiedziała w głębi serca, że to był tylko sen.

Stała przez chwilę przy kamieniu, głaszcząc pieścizotliwie dłonią rzeźby, które jej brat wykonał z taką starannością. Kędzierzawy, jasnozielony mech zarósł kilka głębszych nacięć w granicie, więc zdrapała go paznokciem. To nie miało znaczenia. Nie zmniejszyło mocy płynącej od kamienia. Moc płynęła z głębi ziemi, wytryskując i opadając jak nurt wody wśród pradawnych skał pod stopami Brid. I teraz, kiedy wzeszedł nowy księżyc, wąski sierp zawieszony na niebie, Brid poczuła zbliżający się przypływ. Był tak silny, że mogła dopłynąć wraz z nim przez lata do czasu Adama.

Kiedy słońce kryło się za górami, obserwowała, jak jej cień się wydłuża, a potem zwróciła się ku wschodowi i wyciągnęła w górę ręce. Z zamkniętymi oczami szła i czuła, jak jej siła rośnie.

Adam siedział przy biurku w gabinecie. Przez chwilę nie czuł, że ona jest w pokoju, stoi przed nim, a Brid rozglądała się dookoła, zdyszana i triumfująca. Adam był sam. W pokoju nie było poza nim nikogo. Obserwowała go przez chwilę i jej miłość płynęła ku niemu. Wyciągnęła wolno ręce.

- A-dam!

Kiedy zaskoczony podniósł głowę, poczuła, że powietrze wokół niej dziwnie stężało i oddzieliło się od jej ciała. Nagle zrobiło się bardzo zimno.

- Brid? - Głos Adama powtórzyło echo za nią, ponieważ znalazła się znów na stoku wzgórza. Klęczała przy kamieniu, a łzy płynęły po jej twarzy.

Następnej nocy spróbowała jeszcze raz. Tym razem Adam był w ogrodzie. Obserwowała go ukryta za starą gruszą, jej serce krwawiło z tęsknoty, kiedy Adam grzebał w grządce z kwiatami, a potem ruszył w kierunku domu. - Adam! - Kobięcy głos dochodzący z okna gabinetu przeciął ciszę jak nożem i Brid zaczęła gwałtownie drżeć. Przez chwilę wsłuchiwała się w ten głos, wczepiona paznokciami w omszały pień drzewa, a potem znów odeszła, wróciła na stok, gdzie zapadła już ciemność, bo księżyc zasłaniały płynące szybko po niebie Chmury. Kiedy znalazła się znów w chacie, usiadła zrozpaczona, objęła rękami kolana i kiwała się w przód i w tył. Co się stało? Dlaczego nie może zostać z A-damem? Dlaczego nie może się skupić? Potrzebowała jego miłości, a ta miłość nie była dość silna, kiedy znajdowała się przy nim ta kobieta.

Brid wiedziała, że tak musi być, bo ona jest zbyt słaba. Zrobiła sobie nóż myśliwski oraz kilka par sideł i łapała króliki i ptaki, żeby mieć co włożyć do garnka. Suszyła zioła i zaparzała je w deszczówce w promieniach słońca, żeby zwiększyć swą moc, aż w końcu podjęła jeszcze jedną próbę.

Tym razem Adam był w Szkocji. Serce jej biło z podniecenia, kiedy rozpoznała znajome góry i poczuła, że A-dam jest bardzo blisko. Kiedy wreszcie go zobaczyła i stanął przed nią twarzą w twarz, spostrzegła przerażona, że Adam jest stary. Jego twarz była pobrużdżona, rysy mu pogrubiały, a włosy, nadal niesforne i kręjące się, były białe jak śnieg na szczytach gór. Wybrała nieodpowiedni czas.

- Nie!

Jej pełen bólu okrzyk, kiedy szła ku niemu, zaskoczył go widocznie. Wpatrywał się w nią i po jego oczach odgadła, że ją rozpoznał. Ale już zniknął, podmuch zimnego wiatru uderzył ją w twarz, znów, zrozpaczona, poczuła pod dłońmi kamień, a to znaczyło, że ponownie go straciła.

- Czas. Muszę studiować czas. Muszę go odnaleźć w czasie, kiedy był młody. - Ręce jej drżały, kiedy wracała do chaty, i potem, kiedy macała nimi po drzwiach, szukając krzesiwa, żeby rozpalić ogień, i kiedy stała przy stosie suchego

drewna na kominie. Wyciągnęła ręce do ognia, żeby je ogrzać, oddychała powoli i głęboko, starając się skupić. Pamiętała instrukcję: kiedy wracasz z podróży, jedz, żeby odzyskać siły i przywrócić mocną więź z ziemią. Sięgnęła po ciemku ponad głowę i znalazła wiszące u belki na suficie mięso głuszca. Oprawiła ubitego ptaka, cienkie plastry mięsa uwędziła w dymie nad kominem i teraz żuła ten pożywny pokarm, czując, jak jego zapach staje się coraz intensywniejszy. Zastanawiała się nad układem gwiazd i księżycy i przypominała sobie lekcje swego wuja Broichana.

Kiedy po raz kolejny zrobiła skok w czasie, Adam był ponownie młody, ale trzymał w ramionach żonę, i Brid patrząc na to rozumiała, że musi się uwolnić od tych ludzi, którzy trzymają się go kurczowo, odciągają od niej i nie pozwalają jej dotknąć, kiedy ona krąży wokół niego. Gdy stanęła tym razem przy kamieniu, miała swój nóż u pasa i amulet na szyi. Tym razem musi jej się udać.

Orientowała się po gwiazdach, że czas jest odpowiednia miejsce również, chociaż okna domu były świeżo pomalowane, a drzwi zamknięte. Postąpiła chwilę w ogrodzie, a potem zbliżyła do domu i zajrzała do gabinetu Adama z grządki kwiatowej pod oknem. W pierwszej chwili myślała, że pokój jest pusty, ale potem dostrzegła Adama stojącego przy drzwiach. Naprzeciw niego stał jego syn i jakaś kobieta. Brid zeszywniała na ten widok, zrobiło jej się słabo. Ta kobieta trzymała w ramionach dziecko.

- Nie możesz zabierać dziecka ze wsi. To byłoby kompletne szaleństwo. - Adam teraz już krzyczał. - Dobry, wszechmocny Boże, Cammie, nie masz ani odrobiny rozsądku. Pomyśl, proszę. Ona ma dopiero pięć miesięcy. Czy masz jakiegokolwiek pojęcie o tych wszystkich chorobach, z którymi zetkniecie się po drodze? Czy się orientujesz, ile dorosłych osób umiera w drodze? Czy ty wiesz, jakie mogą być następstwa żółtaczki? Tyfusu albo cholery? - Odwrócił się i podszedł do okna, uderzając pięścią w otwartą dłoń. Na jego twarzy walczyły ze sobą złość i smutek. - A co z twoją karierą? - Odwrócił się, ale nie patrzył na syna. - Nie interesują cię już zupełnie studia uniwersyteckie?

- Uspokój się, tato. - Calum położył opiekuńczym gestem dłoń na ramieniu Julietty. - Przestraszysz dziecko. Słuchaj, przecież wiedziałeś, że mieliśmy to w

planie. Pójdę oczywiście na uniwersytet. Jak wrócę. Po co się spieszyć? On mi przecież nie ucieknie. A jeśli chodzi o to, że Betty może złapać jakąś chorobę, to bzdura. Zaszczepiliśmy ją i nic jej się nie stanie. Mnóstwo dzieciaków wyjeżdża ze swoimi rodzicami. Mnóstwo się rodzi w czasie podróży. To normalne.

- Nic się jej nie stanie, wujku Adamie - powiedziała Julie bardzo spokojnie.

- Nie bądź takim zatwardziałym wapniakiem. Nie możesz nas zatrzymać.

- Nie! - Adam rzucił się na krzesło przed biurkiem. - Nie mogłem powstrzymać Caluma przed niczym, prawda? Od czasu kiedy ty się pojawiłaś w jego życiu. Czy masz pojęcie, jaką mu wyrządziłaś krzywdę? Jego egzaminy, jego ambicje, jego przyszłość... - Przeczesał palcami włosy. - A teraz zabierasz to niewinne dziecko... - Tato, dosyć! - krzyknął Calum, - Nie wolno ci mówić w ten sposób do Julie.

- Właśnie że wolno! - Adam zbladł ze złości. - Czy nie jest wystarczającym złem, że matka mojego wnuka pali jak...

- Nie tknęłam...

- Nie? Myślisz, że ja nie wiem, jak to świństwo pachnie?

- Julie, chyba powinniśmy już iść. - Calum sięgnął do klamki. - Przykro mi, tato, naprawdę. Myślałem, że pewnego dnia ty i ja będziemy mogli rozsądnie porozmawiać, ale wątpię, czy do tego kiedykolwiek dojdzie. Tak więc nie ma sensu kontynuować tej rozmowy ani żadnej innej. Powiedz mamie, że jest mi przykro, że jej nie zastaliśmy. Skontaktujemy się z nią, jak wrócimy z Nepalu.

- Calum...

- Nie, tato. Wystarczy. I myślę, że możemy zapomnieć o mojej karierze lekarza. Masz rację. Nie zdaję sobie sprawy, jak ona absorbuje. Nie jestem pewien, czy będę sobie zawracał głowę robieniem w ogóle czegośkolwiek. Dlaczego nie miałbym się zachowywać jak obibok, którym, najwyraźniej myślisz, że jestem. - Calum przepuścił Julie obok siebie do holu. - Nie trudź się odprowadzaniem nas. - Obrzucił ojca ostatnim, pełnym wściekłości spojrzeniem i zatrzasnął drzwi.

- Nie będę! - wrzasnął Adam za nim. - I nie wracajcie. Nie chcę tu j nigdy widzieć żadnego z was.

Usiadł i trwał tak bez ruchu. Drżał jak liść. Długo tak siedział, wpatrując się w bibularz leżący na biurku. Potem sięgnął p# chusteczkę i wydmuchał nos. Kiedy w końcu wstał i podszedł do okna, aby zgodnie z od dawna praktykowanym zwyczajem poszukać pocieszenia w widoku swoich róż, oczy miał pełne łez.

Za oknem Brid obserwowała go bacznie w milczeniu. Pragnęła wyciągnąć rękę i dotknąć go, ale przeszkadzała jej szyba. Zbliżyła się o kilka kroków i oparła dłonie na szybie, blisko jego twarzy, próbując go dosięgnąć, ale on jej nie widział. Przez chwilę stał w miejscu, a potem się odwrócił. Wolno podszedł do drzwi i znalazł się w holu.

Drzwi frontowe były otwarte. Na stopniach schodków, w grubej warstwie suchych liści, leżał mordką w dół mały miś. Adam pochylił się, podniósł misia, po czym spokojnie zamknął drzwi i wrócił do gabinetu.

Mała Beth wrzeszczała w samochodzie. Julie tuliła ją do siebie, pn> bując ukołysać do snu. - Uspokój się, uspokój się, proszę. Jedź powoli, Calumie, nie ma potrzeby tak pędzić. Calum, proszę.

- On jest taki głupi! - Calum zmienił bieg i skręcił na szosę. - I taki cholernie uparty i staroświecki. Żeby cię oskarżać o to, że palisz trawkę!

- Raz zapaliłam. - Julie zanurzyła twarz we włosach dziecka. - Raz zapaliłam, gdy byłam u was, a ty tak długo nie wracałeś. Czulałam się taka samotna i niepotrzebna, a twój ojciec z taką pogardą się do mnie odnosił. Poszłam więc do łazienki i się sztachnęłam.

- Co zrobiłaś? - Calum się odwrócił i wpatrywał w nią zszokowany. - Julie!

- Wiem. Żałuję. Calum, na litość boską, patrz na drogę. - Zamknęła oczy i odetchnęła z ulgą, kiedy wyprowadził samochód z powrotem na prostą, niemal ocierając się o białą ciężarówkę, która się wyłoniła z ogromną szybkością z ciemności, głośno trąbiąc klaksonem. Po obu stronach drogi rosły wysokie topole, które w ciemności wyglądały jak czarni wartownicy, kiedy Calum, migając reflektorami, zwiększał szybkość. Znowu zaczynało padać i wycieraczki rozmazywały na szybie krople deszczu.

- Jedź, Calum, zapomnij o ojcu. Mam go po dziurki w nosie. Zawsze taki był, zawsze mnie krytykował. Jedźmy. Po prostu jedźmy. Jutro możemy być we Francji. Jedźmy ku słońcu i nigdy nie wracajmy.

Calum odwrócił się do żony i uśmiechnął.

- Masz rację. Życie jest dla żywych. Jak wrócimy, zamienimy, co się da, z naszego dobytku, na forszę i powiemy Maxowi, że kupujemy tę ciężarówkę, którą nam proponował. Zdobędziemy argument nie do odparcia. - Sięgnął po rękę Julie i uściskał ją. - Beth, dziecinko, będziesz miała niewiarygodnie szczęśliwe dzieciństwo.

Stojąca w ogrodzie Brid patrzyła zrozpaczona na Adama, który siedział przy swoim biurku i płakał. Znów przycisnęła dłonie do okna, a potem przeszła do drzwi balkonowych i zapukała. Ale Adam nadal sprawiał wrażenie, że nic nie słyszy. Jej dłonie stukające w szybę nie wywoływały żadnego dźwięku, więc zaczęła walić mocniej.

- A-dam! A-dam!

Jej krzyk porwał wiatr, uniósł lotem strzały gdzieś daleko i Adam go nie usłyszał.

- A-dam, wpuść mnie! Co się stało? Dlaczego nie może go zmusić, żeby ją usłyszał? Szlochając odeszła zawiedziona od szklanych drzwi. To przez jego syna, jego syna i tę głupią, ckliwą, nudną dziewczuchę, którą jego syn nazywa żoną. To przez nich A-dam jest nieszczęśliwy. Przelał na próżno swą miłość i wszystkie uczucia na nich, podczas gdy mógł być z nią. Jej rozpacz i wściekłość skupiła się na nich, na tej parze młodych ludzi i ich dziecku w tym idiotycznym malutkim niebieskim samochodziku, którym odjechali, śmiejąc się, i zostawili A-dama samotnego i zapłakanego.

Kiedy znalazła się znów w strugach deszczu na drodze, przez chwilę nie pojmowała, co się stało. Jakiś samochód minął ją szybko z włączonym klaksonem, tak że uskoczyła mu z drogi. Wtedy uświadomiła sobie, gdzie się znajduje, i uśmiechnęła się. Mini jechał wolniej, a jednak kiedy wybiegła przed nim na drogę i podniosła do góry ręce, żeby przekląć tego mężczyznę i tę kobietę, których twarze

widziała tylko przez chwilę jako białe krzyczące plamy w ciemności, obrócił się cztery razy dookoła, wpadł w poślizg i wylądował w rowie. Leżał tam do góry nogami i jedynym dźwiękiem, jaki Brid usłyszała, był syk pary i ciche kwilenie dziecka.

CZEŚĆ TRZECIA

LIZA

1960 - 1980

Rozdział czternasty

Powinniście byli zmusić Adama, żeby z wami przyszedł - powiedziała Liza.

Liza i Jane, stojące w strumieniach deszczu, były ostatnimi osobami, które pozostały przy grobie. U ich stóp, w głębokim dole, stały obok siebie dwie trumny przykryte ogromnym stosem kwiatów: chryzantem, michałków oraz wytwornych lilii i róż.

- Później nigdy sobie nie wybaczy, że go tu nie było - dodała.

- Nie rozumiem go. - Jane nie mogła opanować płaczu. - Zachowuje się jak człowiek niespełna rozumu.

W swej udręce, wściekłości i bólu Adam przysiągł sobie, że nigdy nie będzie miał do czynienia z Lizą i Philem ani z tym maleństwem, ocalonym jakimś cudem; wyjęto je żywe z pogiętego wraka kompletnie zniszczonego samochodu, który pozbawił życia oboje jego rodziców. Wściekłość Adama na Julię przemieniła się w niepohamowany gniew na jej matkę.

Niedaleko, pod cisami, czekał na nich Phil, trzymając na ręku dziecko. Beth patrzyła szeroko otwartymi oczami na ogromny jaskrawy parasol w paski, przyglądała się kroplom deszczu wiszącym jak diamenty wokół jego brzegu, otulona kocykami i nieświadoma tragedii, która ją dotknęła. Obok Phila matka Jane, oparta ciężko na lasce, cała w czerni, stała pociągając nosem, z mokrą chusteczką przy twarzy. ,

Pozostali żałobnicy zgromadzili się przy bramie cmentarnej, pó czym wolno, ale przyspieszając kroku z powodu deszczu, powrócili do szeregu samochodów, zaparkowanych przy wąskiej drodze biegnącej koło starego kościoła w górach; kiedyś Julie, w chwili romantycznego przygnębienia, zainspirowana czytana właśnie poezją Keatsa, powiedziała matce, że chce być tu pochowana. Calum nigdy, o ile Jane się orientowała, nie myślał nawet przez chwilę o swojej śmierci. Wiedziała jedynie, że chciał być zawsze ze swoją Julie i najdalej, jak to tylko będzie możliwe, od swego ojca. Oba karawany już odjechały.

Adam nie chciał uczestniczyć w pogrzebie ani nawet o nim mówić. Kiedy policja przyniosła Beth do Jane, w ogóle nie spojrzał na małą, a nazajutrz rano

zakomunikował żonie, żeby się pozbyła dziecka, jak gdyby było niechcianym zwierzątkiem. Lizie przyjazd do nich z Walii zajął tylko cztery godziny. Ustalono, że zabierze Beth do siebie. Jane pojechała także z nią.

- Gdyby oni się nie pokłócili - szlochała Jane. - Gdybym wtedy wróciła wcześniej, zanim wyjechali.

- Nie wolno ci się obwiniać o to, co się stało. - Liza objęła ją ramieniem. Mówiła to już po raz szósty w ciągu ostatnich sześciu godzin. - Janie, wiesz przecież, że gdybyś nawet była wtedy w domu, nic by to nie zmieniło. Wiesz, jaki Adam jest uparty. A Calum był taki sam jak on.

- Przerwała i popatrzyła na trumny. Przez chwilę własna rozpacz nie pozwalała jej mówić. - Z jakiegoś powodu stało się to, co się miało stać.

- Łkając westchnęła głęboko i zamknęła oczy.

- Liza, kochanie, Jane - Phil podszedł do nich cicho. Jego białe - - czerwony parasol stanowił niestosownie barwną plamę na tle ponurych zieleni i brązów starego cmentarza u stóp zasłoniętych całunem mgły gór. - Chodźcie, małej Beth i Patrycji zaczyna być zimno. Wracajmy na farmę.

- Nie chcę go zostawić. - Łzy spływały Jane po twarzy. - Tak tu zimno i pusto.

- To piękny cmentarz, Janie. Będziesz się kiedyś cieszyła, że Calum leży w takim ślicznym miejscu. - Phil wcisnął jej dziecko w ramiona, podnosząc wyżej parasol, żeby osłonić je przed deszczem. - Trzymaj swoją małą wnuczkę. Ona chce być w domu, w ciepłe. To nie jest odpowiednie dla niej miejsce.

Spokojnie odprowadził wszystkie trzy kobiety od grobu. Szli wąską alejką w kierunku bramy, gdzie stał już tylko ich samochód. Grabarze, którzy zostali przy grobie, ruszyli się z miejsca i sięgnęli po łopaty.

W St Albans Adam siedział bez ruchu przy swoim biurku. Od wyjazdu Jane nie mył się ani nie golił. Jedynie od czasu do czasu wstawał, że - by sobie zrobić szklankę herbaty albo wejść na górę, położyć się na łóżku i patrzeć w sufit. Robert Harding zaglądał codziennie, unikając, jak zwykle, pokoju, w którym w tym przeklętym domu zginęła jego żona, a w dzień pogrzebu także przyszedł i zrobił

Adamowi coś na śniadanie. Adam nie tknął jedzenia i podziękował, nawet się nie siląc na uprzejmość. Dwa razy przychodziła policja. Za pierwszym razem, żeby zawiadomić, iż znaleziono świadka, który widział w ułamku sekundy przed wypadkiem, jak jakaś kobieta wyszła w ostatniej chwili przed auto jego syna, i po raz drugi, aby powiedzieć, że nie mogą trafić na ślad tej kobiety, ale nadal mają nadzieję, że być może sama się zgłosi. Sierżant, który rozmawiał z Adamem w jego gabinecie, trzymając kask na kolanach, uważał, że komunikaty o tym wypadku pomogą ją odnaleźć.

- Wygląda na to, że robił wszystko, żeby na nią nie wpaść. Ocalił jej życie - powiedział. - To dowód wielkiej odwagi.

- Głupio postąpił. - Adam wpatrywał się tępym wzrokiem w jakiś punkt nad głową sierżanta.

- Niemniej to dowód odwagi - powtórzył policjant stanowczo. Wstał. - Dam panu znać, doktorze Craig, jeżeli wyjdą na jaw jeszcze jakieś szczegóły.

Adam wypuścił sierżanta frontowymi drzwiami. Długo stał w holu, wpatrując się w przestrzeń, po czym odwrócił się i skierował do kuchni. Stamtąd wyszedł do ogrodu i zrobił kilka kroków po mokrej trawie;

- A-dam...

Czekała na niego przy różach.

- Brid?

Otępiały z braku snu i z powodu nieszczęścia, jakie go spotkało, pozwolił jej się zaprowadzić z powrotem do domu, a potem na górę, do sypialni, i po chwili znalazł się w łóżku. W głowie mu się kręciło z wyczerpania i w końcu zamknął oczy, ledwie sobie uświadamiając czyjaś obecność koło siebie. Czyjaś ręka delikatnie głaskała go po włosach, czyjeś usta przesuwały się po jego twarzy, a on zapadał coraz głębiej i głębiej w niebyt.

Kręcąc głową, Jane odłożyła słuchawkę.

- Nadal nie odpowiada.

- Daj mu spokój. - Liza obejmowała dłonią filiżankę z gorącą herbatą. - Wiesz równie dobrze jak ja, że Adam potrzebuje czasami trochę samotności. Nie

martw się. Nic mu nie będzie. W głębi duszy sama miała co do tego wątpliwości. Widok gniewu i rozpaczyny Adama bardzo nią wstrząsnął. Podobnie jak fakt, że odepchnął z taką wściekłością ją i dziecko, własną wnuczkę. Jane nie była świadkiem ich rozmowy. Jego gniew sączył się jak jad, twarz miał czerwoną, a żyły na szyi niebezpiecznie mu pulsowały. Oświadczył Lizie, że gdyby się nigdy nie spotkali, jej dziecko nigdy by nie zabiło jego syna. Było to irracjonalne i okrutne. Po raz pierwszy Liza dostrzegła w Adamie upór jego ojca i przypomniała sobie opowiadanie Adama o tym, jak zajadle walczył ten stary człowiek ze swoim surowym, nieprzebaczącym, bezlitosnym Bogiem i jak odwrócił się od kobiety, którą tak bardzo kochał.

Sprawdziwszy, że mała Beth mocno śpi, Liza narzuciła żakiet i wyszła z domu. Szła wolno w kierunku furtki prowadzącej do sadu. Robiło się już ciemno. Powietrze pachniało przyjemnie wilgotną trawą i liśćmi, docierał tu także delikatny zapach górskiej macierzanki. Patrycję odwieziono już do Surrey, wyjechali też ostatni goście i w domu było cicho. Jane leżała z zamkniętymi oczami w salonie na sofie przy kominku, Phil zaś wycofał się do kuchni. Ogarnęła go nagle ochota doprowadzenia tam wszystkiego do porządku. Liza wiedziała, co to znaczy. Był przytłoczony nieszczęściem, niezdolny zapanować nad bólem w inny sposób, jak tylko pracując przez całą noc, aż zmęczenie stępi nieznośny ból. Zacznie od zmywania, potem uporządkuje wszystko w całym domu, a kiedy już będzie mógł znieść samotność, pójdzie do swej pracowni i pozostanie tam przez wiele dni. Ona reagowała inaczej. Nie mogła znieść przebywania w domu. Znajdowała pocieszenie w naturze. Koił jej ból widok gór i bezmiar nieba; zaczynała patrzeć na własne problemy z innej perspektywy i odzyskiwała spokój.

Znów się rozpadało. Otwierając furtkę, Liza słyszała szmer kropeł deszczu w liściach. To dziwne, ale teraz czuła się bliższa Adamowi niż kiedykolwiek przez te wszystkie lata ich długiej znajomości. Tak pragnęła, żeby przyszedł na pogrzeb. Gdyby ona była jego żoną, nalegałaby. Wyciągnęłaby go siłą z tego straszego, zimnego, pustego domu na odludziu, gdzie zamordowano kobietę, i zmusiła, żeby przyszedł i uczestniczył w pogrzebie swego syna. Wówczas musiałby wziąć swoją

malutką wnuczkę w ramiona i może jej śliczny, wzruszający uśmiech stopiłby cały lód zalegający w jego sercu.

Przeniknął ją dreszcz. Wyobraziła sobie Adama siedzącego w swoim gabinecie, wpatrującego się tępym wzrokiem w biurko. I nagle poczuła jakieś napięcie. Wyobrażając sobie Adama, widziała jednocześnie Brid, tę Brid, którą pamiętała tak dobrze, młodą, piękną, z grzywą niesfornych włosów. Brid, która brała go w ramiona i wtulała twarz w zagłębienie jego szyi, Brid preżącą się nagle jak kot, który wyczuł gdzieś blisko nieprzyjaciela i rozgląda się dookoła. Lizie wydało się, że patrzy prosto w jej Oczy i przez sekundę widziała w nich jad i triumf. Potem obraz znikł i znów wpatrywała się tylko w padający deszcz.

Kilka minut stała tak nieruchomo, skamieniała na skutek szoku, a potem odwróciła się i szybkim krokiem wróciła do domu.

Zastała Jane w fotelu przy kominku.

- Mówiłaś, że ten wypadek spowodowała jakaś kobieta idąca przed nimi? - zapytała Liza niespodziewanie. Przykucnęła przed tłącymi się polanami i wyciągnęła przed siebie ręce, żeby je ogrzać w ciepłe płomieni.

Jane potaknęła.

- Nie zgłosiła się na policję - powiedziała, nie otwierając oczu. Liza nabrała głęboko powietrza i już miała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Nie ma sensu mówić Jane, że według niej to Brid zabiła ich dzieci, że zrobiła to świadomie, z całym cynizmem i okrucieństwem, aby zdobyć Adama dla siebie. To by brzmiało jak zupełna paranoja. Poza tym Brid nie zdołałaby zdobyć Adama dla siebie. Jane i ona nadal żyją. A także mała Beth.

- Zadzwoń jeszcze raz do Adama. - Liza usiadła na dywaniku przed kominkiem, obejmując rękami kolana. - Zobacz, może uda ci się go namówić, żeby przyjechał. Nie mogę znieść myśli, że on tam siedzi sam.

- Nie przyjedzie - potrząsnęła głową Jane. - Wiesz, że nie przyjedzie. Nie może sobie z tym poradzić. Czuje się lepiej, kiedy jest sam.

- Nikt nie czuje się lepiej, kiedy jest sam - szepnęła Liza. - Czyja mogę zadzwonić, skoro ty nie chcesz?

Jane otworzyła szeroko oczy.

- Myślisz, że potrafisz go namówić, kiedy ja nie mogę? Myślisz, że potrafisz go zmusić, prawda? - Uśmiechnęła się nieznacznie, ze smutkiem. - Może potrafisz. Może to właśnie ty powinnaś wyjść za niego? Nie wiem. To naprawdę nie ma teraz znaczenia. - Zerwała się z fotela. - Zadzwoń do niego, jeśli chcesz, nie mam nic przeciwko temu.

Bez słowa podeszła do drzwi i wyszła na korytarz. Liza, siedząca nadal bez ruchu przy ogniu, usłyszała odgłos jej ciężkich, powolnych kroków na schodach i trzaśnięcie drzwi sypialni.

Długo siedziała nieruchomo, w końcu sięgnęła do stolika po telefon i nakręciła numer. Telefon dzwonił i dzwonił, ale nikt nie podnosił słuchawki, jakby w domu nie było nikogo. W końcu Liza dała za wygraną. Zastanawiała się, czy obraz, który pojawił się nagle w jej wyobraźni: Adam leżący nago w łóżku i ciemnowłosa główka, przytulona do jego piersi - był realny, czy to tylko najkoszmarniejszy wytwór jej wyobraźni.

Dwa tygodnie później Liza odwiozła Jane do St Albans. Mała Beth podczas tej podróży siedziała w foteliku dzieciennym na tylnym siedzeniu.

Kiedy zajechały przed dom, Liza odwróciła się do Jane.

- Lepiej ty wejdź pierwsza. Upewnij się, czy wszystko w porządku i czy mogę wnieść Beth.

- Oczywiście, że wszystko jest w porządku. - Jane pchnęła drzwiczki samochodu. - Nigdy nie słyszałam takich bzdur. Poczuj się dobrze, jak ją zobaczy.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni udało im się porozmawiać z Adamem tylko dwa razy. Raz Jane złapała go w gabinecie, gdzie zadzwoniła w ostatecznej rozpacz, straciwszy nadzieję, że uda jej się w ogóle kiedykolwiek z nim skontaktować, a drugi raz złapała go Liza, kiedy zadzwoniła późnym wieczorem i Adam miał właśnie nocny dyżur. Obie ucieszyły się z tego, że przynajmniej wrócił do pracy. Obu też, choć z różnych powodów, nie podobał się jego tępy, obojętny głos i nalegania, żeby Jane nie wracała do domu.

Liza obserwowała przez szybę samochodu, jak Jane idzie ścieżką, szukając w

torbie kluczy. Był zimny, wietrzny dzień; wiatr zwiewał jej włosy na twarz i tworzył wokół głowy jasnoblonde aureole, którą Adam tak się kiedyś zachwycił.

Patrzyła, jak Jane wkłada klucz do zamka. Drzwi się nie otworzyły. Jane pchnęła mocniej i znów pokręciła klucz, potem go wyjęła, przyjrzała mu się i spróbowała jeszcze raz. Później wypróbowała drugi klucz z kółka i znów ten pierwszy. Wreszcie otworzyła skrzynkę na listy i zawołała Lizę.

Liza zerknęła na tylne siedzenie. Beth spała mocno, więc otworzyła drzwiczki auta, wysiadła i pobiegła ścieżką do drzwi.

- Co się stało?
- Myślę, że zaryglował drzwi.
- Możesz się dostać od tyłu?

Jane zmarszczyła czoło. Spojrzała na sąsiedni dom i skinęła głową. - Zaczekaj tutaj. Zobaczę, czy da się wejść przez kuchnię.

- Chcesz, żebym z tobą poszła?

Przez chwilę Jane się wahała, po czym potrząsnęła głową.

- Nie, zaczekaj tutaj. Jak się dostanę do środka, przyjdę tu i otworzę drzwi. - Spojrzała na samochód. - Nie możemy jej zostawić samej, Lizo.

Ścieżka wiodła między garażami należącymi do dwóch posesji, koło pojemników na śmieci i czarnego drewnianego płotu do małej furki, przez którą wchodziło się do ogrodu Craigów. Furka była otwarta i Jane weszła. Oszklone drzwi do gabinetu Adama były zamknięte, ale te kuchenne otwarte na oścież, więc ruszyła ku nim z żołądkiem ściśniętym z niepokoju.

W domu panowała cisza. Wstrzymując oddech, Jane weszła do środka i zatrzymała się. Żadnych śladów wskazujących na to, że ktoś tu ostatnio był. Żadnych brudnych talerzy, żadnego jedzenia, kuchnia zimna, stół pokryty grubą warstwą kurzu.

A jednak ktoś tu był. Czowała to. Ktoś, kogo nie powinno tu być. Jane stała bez ruchu, nasłuchując czujnie, po czym wolno podeszła do drzwi i wyjrzała na korytarz. Hol był pusty. Wiedziała, że powinna się odwrócić i uciec, powinna zawołać Lizę, wezwać policję, ale nie mogła się ruszyć. Skądś z oddali dochodziło tykanie zegara.

Przełknęła ślinę, przeszła na palcach przez hol i zdobyła się na odwagę, by pchnąć drzwi do gabinetu Adama. Był pusty. Na biurku stała nietknięta filiżanka kawy z zastygłą brązową warstwą na powierzchni. Jane ostrożnie zajrzała do wszystkich pokoi na dole, a potem odwróciła się i popatrzyła w górę schodów. Nic nie było słychać, a jednak odniosła wrażenie, że tam, na górze, ktoś jest i też się przysłuchuje.

- Adam? - powiedziała prawie szeptem. Wolno zaczęła wchodzić na schody.

Z ręką opartą na drzwiach zaczekała minutę, a potem pchnęła je lekko i ostrożnie. Zasłony były do połowy zaciągnięte i w pokoju panował półmrok. Czuło się jakiś lekki powiew w powietrzu, lekkie drzenie przy łóżku i Jane miała dziwne wrażenie, że jeszcze przed chwilą ktoś tu był, a teraz go nie ma. Zrobiła krok do środka.

Adam leżał na łóżku, pogrążony w głębokim śnie. Był nagi. Pogniecione prześcieradło zwisało z łóżka na podłogę.

- Adam? Adam! - Jane zbliżyła się do łóżka i potrząsnęła męża za ramię. - Adam! Obudź się!

Nie odpowiedział.

- Adam! - krzyknęła teraz już głośno, w panice. Na zewnątrz, przed domem, Lize przeniknął dreszcz. Zerknęła poza siebie, na pustą ulicę, a potem, tak jak to zrobiła Jane, pochyliła się i uniosła klapkę skrzynki na listy. Zajrzała. W holu było ciemno, ale dostrzegła listy rozrzucone na wycieraczce. W powietrzu unosił się zapach kurzu i stęchlizny. Panowała zupełna cisza. Opuściła klapkę skrzynki i wyprostowała się, głęboko wdychając czyste, zimne powietrze. W oddali dostrzegła małą, czerwoną pocztową ciężarówkę, która wyjeżdżała zza zakrętu. Jechała powoli i zatrzymała się jakieś cztery domy bliżej. Liza widziała, jak wysiadł z niej listonosz z niewielką paczką, podszedł do drzwi i zadzwonił. Porozmawiał wesoło z kimś, kto mu otworzył, i wsiadł z powrotem do swego samochodu. Po niecałej minucie zniknął z pola widzenia i na ulicy znów było pusto. Liza poczuła się niewiarygodnie samotna. Spojrzała na zegarek. Jane weszła tam zaledwie przed kilkoma minutami, a

jej się wydawało, że minęło już wiele godzin.

Nagle odniosła wrażenie, że słyszy kwilenie dziecka. Odwróciła się i pobiegła szybko do samochodu, ale kiedy zajrzała do środka, okazało się, że Beth śpi mocno. Żałowała, że nie może zamknąć auta, ale Jane zabrała ze sobą kluczyki. Nie miała odwagi wcisnąć wszystkich blokad, ale wcisnęła trzy, pozostawiając jedną, tę, której mogła dosięgnąć, gdyby zaszła taka potrzeba. Potem wróciła do drzwi wejściowych i znowu podniosła klapkę skrzynki na listy.

- Jane! - zawołała cicho. - Adam? Jesteście tam?

Jane chyba już zdążyła wejść do środka. Gdyby jej się to nie udało, z pewnością by wróciła. Liza znów zerknęła na zegarek i nagle podjęła decyzję: odwróciła się i pobiegła w stronę ogrodu sąsiadów, gdzie zniknęła Jane. Na rogu zatrzymała się, rzuciła po raz ostatni okiem na samochód, gdzie spało dziecko, i pobiegła szybko wąską, wilgotną ścieżką.

- Jane? Gdzie jesteś, Jane? - Wbiegła po schodkach prowadzących z mokrego trawnika na taras i pchnęła mocno drzwi kuchenne.

- Jane, gdzie jesteś?

W kuchni nie dostrzegła nikogo, wbiegła do holu. Drzwi frontowe były nadal zamknięte, więc podeszła do nich, odsunęła zasuwę i otworzyła, żeby wpuścić do środka świeże, wilgotne powietrze. Samochód stał tam, gdzie go zostawiła, widziała, że nikt się koło niego nie kręci. Zatrzymała się na chwilę w rozterce; iść i upewnić się, czy z Beth wszystko w porządku, czy dalej szukać Jane.

- Jane! - krzyknęła teraz na cały głos. - Jane, gdzie jesteś? Gabinet Adama był pusty, salon także. Rozglądając się dookoła, Liza wróciła do holu i ze ściśniętym gardłem, pełna najgorszych przeczuc wbiegła po dwa stopnie na górę.

- Jane!

Pchnęła drzwi sypialni. Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby zrozumiała, co się stało.

- Jane? Nic mu nie jest? Co się z nim dzieje? - Położyła ręce na ramionach Jane.

- Nie wiem - odpowiedziała Jane dziwnie apatycznym głosem, z twarzą

ziemisto bładą. - Nie mogę go dobudzić.

Liza popchnęła ją ku drzwiom.

- Idź i dzwoń po Roberta. Szybko. - Sama podeszła do łóżka i położyła rękę na czole Adama. - Adam? Adamie, słyszysz mnie? - Boże, żeby tylko nie wziął za dużo. Był ciepły i rozluźniony. Jego oczy, kiedy ostrożnie uniosła mu powiekę, wydawały się normalne. Na nocnym stoliku nie było żadnych pustych buteleczek po proszkach. Chwyliła jego dłoń i zaczęła rozcierać.

- Adam! Adamie, no, obudź się, Adamie. Spojrzała na Jane, która ukazała się w drzwiach.

- Dodzwoniłaś się? Jane skinęła głową.

- Kiedy przyjedzie?

- Niedługo. Prosto z gabinetu. Czy on... czy on coś zażył? - Jane drżała jak liść. - Ja nie mogę stracić ich obu, Lizo.

- Nie stracisz go. Myślę, że wszystko będzie dobrze. - Liza nadal rozcierała rękę Adama. Nakryła go narzutą i otuliła po samą szyję. Potem podeszła do okna i wyjrzała przerażona, bo całkiem zapomniała o dziecku.

- Idź, Jane, i przynieś tu Beth. Musiałam ją zostawić samą. Ja zostanę z Adamem. - Ku własnemu zaskoczeniu powiedziała to głosem dość silnym. - Proszę. Zrobiłam to wbrew samej sobie, ale nie miałam odwagi przynosić jej tutaj, dopóki się nie dowiem, co tu się dzieje.

Jane zawahała się, ale po chwili wyszła z pokoju. Po kilku sekundach pojawiła się na ścieżce. Podeszła do samochodu i otworzyła drzwiczki.

Liza odwróciła się znów do postaci leżącej na łóżku i położyła dłoń na czole Adama.

- Adam! - powiedziała ostro. - Adam, słyszysz mnie? Czy Brid była tutaj z tobą? Miała nadzieję, że Jane nie zauważyła czerwonych śladów na szyi Adama. Maleńkich wyraźnych śladów kobiecych zębów na jego ramieniu i zadrapań na jego piersi. Ale Robert niewątpliwie je zauważy.

Zjawił się kilka minut później i Liza zaczęła na dole, a Jane zaprowadziła go na górę, do sypialni. Kiedy wróciła, Liza nastawiła płytę z nokturnami Chopina i

z uwagą zaczęła się wpatrywać w ogień.

- Budzi się. - Jane opadła na krzesło. - Robert nie sądzi, żeby coś zażył. To po prostu wyczerpanie. Wydaje się bardzo zakłopotany. Robert właśnie mierzy mu ciśnienie, żeby się upewnić, że nic mu nie grozi.

Liza kucnęła, trzymając w ręku grudkę węgla.

- A ten talizman, który dałam ci przed laty? Gdzie on jest? Jane popatrzyła na nią nieprzytomnym wzrokiem.

- Chyba koło mojego łóżka. W szafce. Nie wiem. Bo co? Już nie działa. Powiedziałam ci. Czy on ma jakieś znaczenie? - Zamyślona podeszła do fotelika i spojrzała na Beth. Mała poruszyła się i otworzyła swoje wielkie niebieskie oczy, machając rączkami i gaworząc.

- Nie wiem, czy ma znaczenie, ale mogę go spróbować zanieść z powrotem do Meryna, żeby mu się przyjrzał, jak wróci.. Musimy coś zrobić, żebyście oboje byli bezpieczni.

- Więc myślisz, że Brid była tu także? - Jane pochyliła się i wyjęła Beth z kocyka. - Kim ona jest, Lizo? - jęknęła nagle. - Duchem? Jakimś diabłem? - Przytuliła dziecko do siebie. - Dlaczego nie chce nas zostawić w spokoju?

Czas mijał i było im coraz łatwiej. Zwracał się do niej, kiedy czuł się samotny, a zdarzało się to często. Obserwowała, jak odsyła Lizę z dzieckiem, obserwowała, jak pakuje swoje rzeczy i przenosi się z sypialni, którą zajmował z żoną i w której się znajdował ten idiotyczny powyginany talizman, niemający większej mocy niż dziecinna zabawka, do pokoju gościnnego. Dawny pokój syna był zawsze zamknięty. Ani Adam, ani Jane nigdy tam nie wchodzili.

Jane płakała co noc, osamotniona w swym łóżku. Schudła, była blada, stała się nerwowa. Kiedy Adam był w gabinecie, dzwoniła czasami na farmę w Walii, żeby, pełna poczucia winy, zamienić kilka słów z Lizą, a później, kiedy ich wnuczka zaczęła mówić, również z małą Beth, która wiedziała, że jej babcia mieszka w St Albans, ale nie pamiętała, czyją kiedykolwiek widziała. Brid nie obchodziło, co Jane robi. W tej chwili nie interesowała jej żona Adama. Nauczyła się go drażnić, nauczyła się ukrywać, kiedy przychodził na górę po zjedzonym w milczeniu

obiedzie z żoną, nauczyła się czekać, aż się przebierze, zrzuci ciemne ubranie i gustowny krawat w paski i włoży szlafrok albo, jeszcze lepiej, w ciepłej sypialni nie włoży na siebie nic. Wtedy wyciągała się na łóżku ze swymi czarnymi włosami rozrzuconymi na poduszce, czasami w długiej zielonej sukni, a czasem naga. Jej ramiona zapraszały go, by się oderwał od swych książek i przyszedł do niej, a wtedy go pieściła, lizała i całowała, aż z jękiem, po części w poczuciu winy, po części w ekstazie, przestawał być sobą i ulegał każdej jej podstępnej pokusie. Kilka razy zabrała go ze sobą do świata marzeń. Opuszczał swoje ciało i unosił się w powietrzu, biegał i gonił ją po wrzosach, próbując schwytać jej dłoń, aż padali spleceni ze sobą na trawę nad jeziorem, tam, gdzie się kochali po raz pierwszy.

Leżąc samotnie w ich dawnej wspólnej sypialni, Jane słyszała czasami, jak mąż krzyczy w nocy, i myślała początkowo, że to dlatego, że jest taki nieszczęśliwy, więc ona też płakała. Ale nagle uświadomiła sobie, że te odgłosy towarzyszą przeżywanej przez jej męża rozkoszy. Wtedy w rozpaczy wtulała twarz w poduszkę, w którą wsiąkały jej łzy.

Raz spróbowała go odzyskać.

Ugotowała coś, co bardzo lubił, włożyła sukienkę, która bardzo mu się podobała, i wtarła perfumy w nadgarstki i szyję za uszami. Gdy ją zobaczył, twarz mu się rozjaśniła.

- Wyglądasz na szczęśliwą, Janie. Cieszę się.

Zjadł, co mu przygotowała, jeśli nie z przyjemnością, to w każdym razie z większą ochotą niż zwykle, odpowiadał na jej pytania, dotyczące jego pracy i Roberta, i wysłuchał jej kuszącej propozycji, żeby rozważyli możliwość wspólnego wyjazdu na urlop w przyszłym roku. Słuchał, kiwał głową i uśmiechał się do niej tak, że przez chwilę czuła się szczęśliwa i pozwoliła sobie nawet na odrobinę nadziei. Starannie unikała tematu Lizy i Beth, wiedziała bowiem, że budzi to jego wściekłość i wywołuje wzajemne wyrzuty. Skupiła się na planach i projektach dotyczących wspólnych podróży. Mogliby wtedy patrzeć z ufnością w przyszłość i już nie wracać do przeszłości.

Kiedy zmywała naczynia, stanął przy niej i rozmawiali przez chwilę. A potem,

kiedy stawiała na kuchence czajnik z wodą na herbatę i wyjęła pudełko czekoladek, wziął jedną, uśmiechnął się i dotknął jej dłoni. Poczowała wzrastające podniecenie, więc ścisnęła mu ramię i przesunęła palcami po jego plecach. Zesztywniał na chwilę, ale zaraz się rozluźnił i znów uśmiechnął. Wziął ją za rękę. - Niewiele ci pomagałem przez tych kilka ostatnich lat, Janie. Przepraszam.

Odwzajemniła jego uśmiech.

- To nie ma znaczenia, dopóki jesteśmy sobie nawzajem potrzebni. Myślała, że ją pocałuje, i serce jej podskoczyło z podniecenia, ale tylko jeszcze raz uścisnęła jej rękę i oparł się wygodnie w fotelu,

- Co z tą herbatą?

- Już podaję. - Starając się ukryć rozczarowanie, odwróciła się i zajęła czajnikiem i puszką z herbatą. - Wyjdziemy gdzieś potem? - zapytała, nie patrząc na niego. - Taki śliczny wieczór. Moglibyśmy pójść do opactwa albo pospacerować po parku.

- Byłoby miło - powiedział wymijająco.

- Proszę. - Podała mu filiżankę i usiadła obok niego. - Albo możemy wyjść z jakimś drinkiem do ogrodu. Na co masz ochotę?

- Chcę po prostu posiedzieć tutaj przez chwilę, z przyjemnością popijając herbatę, - Jednakże zaczynał już być niespokojny, czuła to.

On sama także zaczynała się czuć nieswojo. Wiedziała, że nie wolno jej go ponaglać, ale tak bardzo pragnęła, żeby się do niej odwrócił, objął ją i kochał się z nią. Odstawiła swoją filiżankę i usiadła koło niego.

- Adam...

- Zaczekaj! Słyszałaś coś? - Adam wyprostował się nagle. - Posłuchaj.

- Nic nie słyhać. - Ale była przerażona. Kiedy się tak wsłuchiwała, czuła ucisk w piersiach. - Dlaczego miałyby tam coś być? Chodź, wyjdźmy. - Wstała i chwyciła go za rękę. - Proszę, Adamie.

On był tam, za otwartym oknem. Słyhać było drapanie, a potem nagle zaszeleścił bluszcz i rozległo się ciche, ale groźne mruczenie.

- Adam, proszę. Chodźmy. Nie czekajmy.

- To tylko kot.

- To nie jest tylko kot! - krzyknęła. - Wiesz dobrze, że to nie jest tylko kot! Adamie, posłuchaj mnie, proszę. Nie możesz zostać i pozwalać jej na to, co robi. Nie możesz.

Trzymała się go kurczowo, kiedy wstał i podchodził do okna.

Kot stał przez chwilę na parapecie z uszami położonymi płasko i błyszczącymi oczami w kolorze ogniście pomarańczowym, a potem lekko zeskoczył do pokoju. Machał ze złością ogonem.

- Adam! Nie pozwól, żeby mnie podrapał.

- Odejdź, Janie. Proszę, odejdź. - Położył pieszczotliwie rękę na głowie zwierzęcia, a kot natychmiast podniósł ku niemu mordkę i przytulił się do jego nóg. Jane cofnęła się, szlochając.

- Adamie! Proszę.

- Idź, Jane - powiedział chrapliwym głosem. Przez chwilę wahał się jeszcze, spoglądając na nią, a potem powoli się odwrócił i ruszył ku drzwiom, a kot majestatycznie, na sztywnych nogach, za nim. Wyszli i drzwi zamknęły się za nimi.

Jane opadła na krzesło. Po twarzy spływały jej łzy. Siedziała tak, aż zaczęło się ściemniać. W końcu sięgnęła po telefon i nakręciła numer.

Liza spojrzała na zegarek. Pociąg spóźniał się jak zwykle. Stała na peronie w Newport, wydawało jej się, że już od wielu godzin, opróżniła drugą filiżankę obrzydliwej kolejowej kawy i przeczytała gazetę od deski do deski. Telefon od Jane poprzedniej nocy był tak histeryczny i pełen rozpacz, że Liza niemal zaproponowała, że natychmiast wsiądzie do samochodu i pojedzie do St Albans. Ale zwyciężył zdrowy rozsądek. Mała Beth, teraz już trzyletnia i chodząca do przedszkola w Hay, była przeziębiona i miała gorączkę, więc Liza wolała mieć na nią oko. Tego ranka mała czuła się już lepiej i zgodziła się zostać z dziadziusem Philem, pod warunkiem, że będzie jej wolno malować w jego pracowni. Liza była całkowicie pewna, że dziadzio, który poza swoją wnuczką świata nie widział, na pewno się zgodzi. Miała zabrać Jane, która jechała pociągiem pospiesznym, z dworca Paddington, a potem po drodze na farmę wstąpić z nią gdzieś na lunch i

dowiedzieć się dokładnie, co się stało. Kiedy pociąg zatrzymał się wreszcie na stacji i Liza zobaczyła mizerną twarz Jane, która ciągnęła za sobą małą walizeczkę, jak gdyby ta ważyła dziesięć ton, serce w niej zamarło. Jane wyglądała na chorą i strasznie nieszczęśliwą. Liza wyjęła jej z ręki walizeczkę i poprowadziła przyjaciółkę do samochodu. Kiedy wydostały się w końcu poza Newport, gdzie na ulicach panował zwykły poranny tłok, i wyjechały na górską drogę, Liza zerknęła na siedzącą obok Jane i zapytała:

- Powiedz mi, co się stało. Jane wzruszyła ramionami.

- To Brid. Przychodzi co noc. On się przeniósł do oddzielnego pokoju, żeby być z nią.

Liza przygryzła wargę, starając się nie okazać, jak bardzo to ją wstrząsnęło.

- Jesteś pewna? - O, tak, jestem pewna - odpowiedziała z goryczą Jane. - Ona go z czarowała.

Liza przyhamowała, zmieniła bieg i skręciła w drogę do Abergavenny.

- Czy on wie, gdzie ty teraz jesteś?

- Nie. Zabronił mi w ogóle widywać ciebie albo Phila, a także małą Beth.

Nie wolno mi nawet rozmawiać z nim o was wszystkich. On nadal obwinia ciebie o śmierć Caluma. Jest zgorzkniały i opętany jedną myślą. Wydaje mi się, że traci zmysły. - Nagle znów wybuchnęła płaczem. - Lizo, wiesz, myślę, że też oszaleję. Nie wiem, co robić.

Liza wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Jane, złożonych razem na kolanach.

- Zatrzymamy się na chwilę i zamówię ci drinka. Kiedy sobie trochę podjemy, pojedziemy do domu. Zostaniesz u nas tak długo, jak będziesz chciała, poznasz swoją wnuczkę i zapomnisz o tym głupim człowieku. Nie oszalejesz. Znosi się na to, że raczej on oszaleje, ale i z tym się uporamy. - Ostrożnie skręciła w wąską bramę prowadzącą do pomalowanego na biało, murowanego pubu na skraju drogi. Wiedziała, że znajdą tu dyskretną właścicielkę, płonącego ognia i smaczne domowe jedzenie. Nie chciała, żeby mała Beth zobaczyła Jane, zanim obeschną jej łzy.

Kilka dni później Liza zajechała przed bramę domu Craigów w St Albans. Palily się światła i zobaczyła zaparkowanego na podjeździe rovera Adama. Była bardzo zmęczona. Jej początkowa wściekłość i oburzenie na nieczułość i egoizm tego człowieka osłabły trochę przez drogę, kiedy samochód pożerał przestrzenie Anglii, i zastąpiło je uczucie niepokoju.

Westchnęła głęboko, otworzyła drzwiczki samochodu i wysiadła. Kilka sekund trzymała palec na dzwonku, a gdy umilkło echo jego dźwięku, znowu zapadła cisza. Nikt się nie zjawił.

W ogrodzie przed domem zimowa trawa była niestrzyżona, a róże, z których Adam tak był dumny i tak się nimi cieszył, rozkrzewiły się bez umiaru i przemieniły w gąszcz rosnących bezładnie gałęzi i suchych kwiatów. Drzwi kuchenne były otwarte.

Liza weszła do środka, zatrzymała się i rozejrzała dookoła. W zlewicy stały niepozmywane talerze. Dotknęła boku czajnika; był lekko ciepły. Z nieopróżnionego wiadra na śmieci rozchodził się nieprzyjemny zapach. Przeszła na palcach przez kuchnię i otworzyła ostrożnie drzwi, nasłuchując. - Adam? - Jej pełen niepokoju głos zabrzmiał głucho. Stała u podnóża schodów i spoglądała do góry. Wstrzymała oddech. Cisza panująca w domu nagle zmieniła swój charakter. Teraz wydawała się czujna, jak gdyby ktoś albo coś również nasłuchiwało. Lizę przeniknął dreszcz. Żałowała, że nie miała okazji zobaczyć się przed wyjazdem z Merynem, ale go nie było, i to już bardzo, bardzo długo.

- Adam! - zawołała ponownie, tym razem głośniej. - Gdzie jesteś? To ja, Liza. Na litość boską! Przejechałam taki szmat drogi. Mogłeś przynajmniej otworzyć mi drzwi.

Znowu cisza. I nagle wydało się jej, że słyszy jakiś ruch na górze.

- Adam! - Nie tracąc czasu na zastanawianie się, postawiła nogę na stopniu schodów i spojrzała ku górze. - Adam, nic ci nie jest?

Weszła na górę i zatrzymała się. Drzwi do wspólnej sypialni Adama i Jane stały otworem. Było tu pusto, tak jak przypuszczała. Podwójne łóżko starannie zasłane, na toalecie ani jednego drobiazgu, zasłony do połowy zaciągnięte, chociaż

było jeszcze widno.

- Adam! - Wycofała się do holu i zdecydowanie ominęła wzrokiem zamknięte drzwi pokoju, kiedyś należącego do Caluma. Ruszyła do pokoju gościnnego.

- Adam! - Zapukała głośno.

Cisza za tymi drzwiami była niemal namacalna.

- Adamie, wiem, że tam jesteś. - Nacisnęła klamkę. Drzwi się otworzyły i zajrzała do środka.

Adam leżał na łóżku, jedną ręką zasłaniając oczy. Był całkiem ubrany, ale koszulę miał rozchyloną.

- Adam! - powtórzyła Liza ostro, choć w jej głosie pobrzmiwał lęk. - Adam, dobrze się czujesz? - Podbiegła do łóżka i spojrzała na niego. Jego koszulę rozchyłono jednym szarpnięciem; dwa oberwane guziki leżały na dywanie, a w miejscu, gdzie nie udało się odpiąć guzika, widoczna była malutka dziurka. Na piersi Adama widać było ślady pazurów.

- Adam! - Liza chwyciła go za nadgarstek, starając się wyczuć puls. Wydawało się, że oddycha normalnie, ale kiedy nim potrząsnęła, nie odezwał się. Oczy miał nadal zamknięte, a głowę na poduszce przechyloną w jedną stronę.

- Adam, co się stało? - Chwyciła go za ramiona i potrząsnęła. Potem poszła do łazienki i przyniosła szklanekę do mycia zębów pełną zimnej wody.

Kiedy spryskała mu nią twarz, otworzył oczy i zaczął się w nią wpatrywać, ale jej nie poznawał.

- Adam, dobrze się czujesz? To ja, Liza.

Przyglądał jej się oszołomiony kilka sekund, a potem powoli usiadł i spuścił nogi z łóżka. Siedząc tak, objął głowę dłońmi, a po chwili potarł twarz i w końcu popatrzył na nią uważnie.

- Adamie, na litość boską, co ci jest? - Wstała i popatrzyła na niego z góry.
- Pukałam i wołałam bez końca.

- Liza? - zapytał skrzeczącym głosem. - Czyja cię prosiłem, żebyś tu

przyszła? - Koniec tego zdania nie zabrzmiał całkowicie wrogo. Było w nim prawdziwe zakłopotanie.

- Nie, oczywiście, że mnie nie prosisz, ale musimy porozmawiać. Ten konflikt trwa już wystarczająco długo. To nie ma sensu.

Szybko dochodził do siebie.

- Nie przypominam sobie, żebym uważał, że to nie ma sensu. Twoja córka jest odpowiedzialna za śmierć Caluma...

- Nonsens, Adamie, i ty o tym dobrze wiesz! - Liza odwróciła się do niego.
- Czyś ty oszalał? Nie masz ani odrobiny oleju w głowie? Wiesz równie dobrze jak ja, że oni się kochali, byli szczęśliwi, mieli po co żyć. - Głos jej się załamał, ze złością otarta pięścią oczy. - Słuchaj, nie przyszłam rozmawiać tutaj o naszych dzieciach. Przyszłam porozmawiać o Jane. I o Brid.

Adam zbladł.

- Nie ma o czym rozmawiać. Moja żona uciekła, a co ja robię i co robią moi przyjaciele, to nie twój interes.

- Myślę, że mój. A więc Brid jest teraz twoją przyjaciółką, tak? Weszło ci w zwyczaj zaprzyjaźniać się z psychopatycznymi, morderczymi duchami, to są twoi przyjaciele?

Twarz Adama oblał ciemny rumieniec. Wstał.

- Wynoś się! - krzyknął, wskazując drzwi.

- Nie. Dopiero przyszłam. Możesz sobie terroryzować swoją żonę, ale nie uda ci się sterroryzować mnie, Adamie Craig. Jesteś szalony. Czy zdajesz sobie z tego sprawę? - Liza splotła ręce na piersi i agresywnie wysunęła do przodu podbródek. - No, gdzie ona jest? A może nadal wyobrażamy sobie, że nicjest prawdziwa?

- Och, jest wystarczająco prawdziwa - uśmiechnął się Adam.

- Z pewnością wystarczająco prawdziwa, żeby cię podrapać.

- Przycinałem róże.

- Nie sądzę. Bardziej prawdopodobne jest to, że miałeś gościa w swoim łóżku.

- Przestań, Lizo. Idź sobie. Przykro mi, że odbyłaś tę podróż na próżno, ale nic tu po tobie. Wracaj do domu.

- Nie. Nie wyjadę, dopóki nie porozmawiasz ze mną rozsądnie. Zejdziemy na dół i przedyskutujemy to.

- Nie ma o czym dyskutować.

- Myślę, że jest. Czy ci się to podoba, czy nie, mamy maleńką wnuczkę, która będzie rosła, zastanawiając się, dlaczego jej dziadkowie ze sobą nie rozmawiają. Czy masz zamiar pozwolić na to, żeby rosła w przeświadczeniu, że jej dziadek jest niespełna rozumu?

- Wynoś się - powiedział nagle głosem bardzo spokojnym.

- Nie. Dopóki nie powiem wszystkiego, co mam do powiedzenia. To już trwa wystarczająco długo.

- Lizo, nie ma o czym mówić. Proszę, opuść mój dom. - Odwrócił się, ściągnął podartą koszulę i sięgnął po sweter wiszący na oparciu krzesła. Liza zauważyła na jego plecach wiele lekkich zadrapań. Nagle poczuła, że robi jej się niedobrze.

- Adamie, proszę, zejdźmy na dół.

- Idź już. - Spostrzegła, że patrzy gdzieś ponad nią, na drzwi, i zimny dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Najpierw porozmawiamy.

- Chyba nie. Wyjdź, proszę.

Usłyszała za sobą jakiś hałas od strony podestu i serce przestało jej bić z przerażenia. Odwróciła się. W drzwiach stała Brid. Błyszczące włosy opadały jej na ramiona, oczy miała w kolorze starego srebra. Długa niebieska suknia sięgała niemal ziemi, a poniżej obrąbka widać było białe stopy.

- Adamie, powiedz jej, żeby sobie poszła.

Chociaż Brid nie mówiła na głos, Liza słyszała dokładnie w głowie wszystkie jej słowa.

- Proszę cię, Lizo, wyjdź, dla swego własnego dobra. Ale Brid stała w drzwiach.

Liza zacisnęła pięści. Bezpieczeństwo. Pamiętaj o psychicznym zabezpieczeniu - uczył ją Meryn.

- Przyszłam tu, żeby z tobą porozmawiać, Adamie. Poproś swoją przyjaciółkę, żeby odeszła, zaczekała, dopóki nie skończymy.

- Ty odejdziesz, Lizo.

- Nie przed zakończeniem naszej rozmowy. - Miała nadzieję, że wygląda na odważniejszą, niż była w istocie. Nabrała głęboko powietrza, podeszła do Adama i położyła mu rękę na ramieniu.

- Odpraw ją.

- Nie mogę. - Ależ możesz. - Uniosła dumnie podbródek. - Każ jej odejść.

Brid podeszła bliżej. Właściwie nie wyglądało to tak, jakby szła. Po

prostu w jednej chwili stała w progu, a w następnej była już tylko o pół metra od Lizy, która zobaczyła w jej zaciśniętej dłoni nóż.

- Adamie, masz zamiar pozwolić jej, żeby mnie nim przebiła? -

Rozpaczliwie starała się panować nad swoim głosem, odpierając coraz silniejsze fale paniki.

- Brid, proszę - powiedział Adam nagle bardziej stanowczo. - Chcę, żebyś odeszła. Tylko na pięć minut. Potem możesz wrócić. W przeciwnym razie Adam będzie się gniewał. - Po raz pierwszy popatrzył na dziewczynę i Liza spostrzegła, że Brid blednie i na chwilę staje się jakby mniej wyrazista, jak gdyby była jedynie cieniem. Zaraz jednak się odwróciła i wyszła z pokoju.

- Jesteś głupia, Lizo. Ja nie mam nad nią władzy. Mogła cię zabić.

- Ale nie zabiła. - Liza odetchnęła głęboko. - Więc co się tu dzieje, u diabła? Czy ona tu teraz mieszka?

- Lizo, posłuchaj. - Wyglądało na to, że odzyskał spokój. Ignorując jej pytanie, nabrał głęboko powietrza. - Wiele nas teraz dzieli. Nie chcę cię widzieć ani tu, ani nigdzie. A jeśli moja żona przyjechała z tobą, możesz ją, także zabrać. To wszystko, co mam do powiedzenia. A teraz proszę, idź już, zanim Brid wróci, bo w przeciwnym razie nie odpowiadam za to, co tu się stanie.

- Adamie...

- Mówię poważnie, Lizo.

- Postradałeś zmysły. - To była prawda, nagle to sobie uświadomiła. W wyrazie jego twarzy była jakaś pustka, jakaś dzikość. Zupełnie jakby kto inny mówił jego głosem. Nagle obleciał ją strach i odsunęła się krok. - Adamie... - spróbowała po raz ostatni. - Proszę. Chodź ze mną. Porozmawiajmy przynajmniej. Na zewnątrz, w ogrodzie. - Jeśli jej się uda go wyprowadzić z tego domu, może znów będzie sobą. - Posłuchaj mnie tylko przez pięć minut.

- Idź już. - Po raz ostatni obrzucił ją pełnym wrogości spojrzeniem, odwrócił się i podszedł do okna. Kiedy spojrziała na drzwi, ujrzała stojącą w nich Brid. Z nożem w ręku.

Brid uśmiechnęła się i ruszyła ku niemu, a kiedy przechodziła koło niej, Liza poczuła nagle chłód i przeniknął ją dreszcz. Brid z triumfalnym uśmiechem położyła dłoń na piersi Adama i przywarła do niego z głową wtuloną pod jego brodę. A on objął ją i spojrzał na Lizę ponad ciemną głową dziewczyny.

- Idę.

Liza poczuła, że robi jej się niedobrze. Nie patrząc już na nich, odwróciła się i zbiegła ze schodów. Wyszła frontowymi drzwiami, pobiegła ścieżką i wsiadła do samochodu. Siedziała z głową opartą na kierownicy i drżała jak liść. Kotary w pokoju na górze zasłonięto. Światło tam nie dotrze.

- Jane, musisz zostać. Nie możesz do niego wrócić; - Liza położyła dłonie na ramionach Jane. - Mówię poważnie. Nie będziesz tam bezpieczna. On oszalał.

- Muszę wrócić. To mój dom. On jest moim mężem. - Jane usiadła raptownie. Spała, kiedy Liza dojechała do domu wczesnym rankiem, ale odgłos samochodu skręcającego w bramę obudził ją z lekkiego, niespokojnego snu. Ani Phil, ani Beth chyba nic nie słyszeli.

Jane roznieciła ogień i zwinęła się w kłębek na sofie.

- Nie pozwolę, żeby ta... - Na chwilę zabrakło jej słów. - Ta jędza ukradła mi męża. Ona nie jest nawet prawdziwa.

- Jest wystarczająco prawdziwa. - Liza objęła dłońmi kubek z gorącą herbatą i opadła na poduszkę, grzejąc się w ciepłe płomieni. - I nie muszę ci

przypominać, jaka jest niebezpieczna.

- Więc uważasz, że nie powinnam nigdy wrócić do domu? Mam zostawić męża jej? Pozwolić, żeby ona miała wszystko?

Liza wpatrywała się w ogień i nie odpowiadała przez chwilę.

- Nie, nie to miałam na myśli. Po prostu uważam, że musimy coś wymyślić. I mieć pewność, że to poskutkuje. Ona jest groźna, Janie. Tu jesteś przynajmniej bezpieczna.

- Czyżby? - Jane przysunęła poduszkę do kolan i trzymała ją przed sobą obronnym gestem. - O ile sobie przypominam, żadna z nas nie była tutaj bezpieczna. To w tej sypialni, w której jestem teraz, ona mnie zaatakowała i podrapała. - Wskazała na swoje ramię.

Liza umilkła.

- Tak bym chciała, żeby Meryn był tutaj - powiedziała w końcu. - Przedtem nam pomógł.

- Gdzie on jest?

Liza wzruszyła ramionami.

- Mówią, że pojechał do Szkocji. Dom jest zamknięty. Robił to już przedtem. Zniknął na długo, a potem wracał i zachowywał się tak, jakby nigdy nie wyjeżdżał. Wtedy to nie miało znaczenia. Był, kiedy go potrzebowałam. - Łzy nabiegły jej do oczu. - On nawet nie wie, że Julie nie żyje.

- Lizo, tak mi przykro. Liza potrząsnęła głową.

- Nie zwracaj na mnie uwagi. Jestem wyczerpana.

- A ja jestem niewiarygodną egoistką, że każę ci tu siedzieć ze mną i rozmawiać, kiedy tkwiłaś przy kierownicy z dziesięć godzin bez przerwy, i to wszystko dla mojego dobra. - Jane wstała, zdecydowana. - Słuchaj, kładź się. Porozmawiamy jutro rano. - Przykucnęła i nagle objęła Lizę i przytuliła do siebie. - Jesteś prawdziwą przyjaciółką. Nie pozwól, żeby Adam nas rozdzielił.

- Nie rozdzieli. - Liza podniosła się, zmęczona. - Jakoś pokonamy tę Brid, Jane. Obiecuję ci. Odzyskamy Adama dla ciebie. Jakoś.

Rozdział piętnasty

Meryn stał ukryty za drzewami i spoglądał w kierunku kamienia. Decyzję, żeby tu przyjechać, podjął wysoko w Andach, gdzie powietrze było rozrzedzone, a granice między wymiarami czasu i przestrzeni były cienkie jak papier. Rozglądał się dookoła z satysfakcją i kiwał głową. Miał rację, decydując się właśnie teraz na powrót do Szkocji. Na szczytach gór w oddali leżała świeża warstwa śniegu, oślepiająco białego na tle intensywnego błękitu nieba, a powietrze napełniała mroźna energia. Meryn czekał zamyślony ze wzrokiem utkwionym w węża widocznego w błyszczącym szronie pośród innych wyrytych na kamieniu symboli. Broichan był blisko. Meryn czuł wzbierającą w nim energię, wyostrenie zmysłów, siłę niepoahowanego gniewu, jego zawiedzione nadzieje. I ogromne zagrożenie, jakie stanowił ten mężczyzna. Meryn czekał nieporuszony, otulony płaszczem ciemności, pozwalając, by cisza gór przeniknęła go do głębi. W pobliżu wiewiórka obłupywała łuski z sosnowej szyszki, nie zwracając uwagi na człowieka stojącego nieruchomo w cieniu drzew. Nagle usiadła wyprostowana na tylnych łapkach, a potem upuściła szyszkę i pomknęła zatrwożona na górne gałęzie sosny, z ostrym piskiem, który był wołaniem na alarm, pozostawiając mnóstwo maleńkich śladów i rozgrzebany puszysty śnieg w miejscach, gdzie zamiatała ogonem po ziemi. Meryn był spięty. Czuł tego mężczyznę coraz bliżej. Broichan także wiedział, że on tu jest. Wyczuwał podejrzliwość tego człowieka, jego niezwykłą czujność i siłę, wzbierającą wściekłość i niezadowolenie.

Przesunął spojrzenie ku rysunkowi lustra na kamieniu. Czy, to jest źródło zručności, z jaką Brid poczyna sobie z czasem? W oddali przetoczyło się dudnienie grzmotu, choć niebo było bezchmurne. Meryn zmarszczył czoło. Zrozumiał: Broichan wysyłał ostrzeżenie, bo coś rozproszyło jego uwagę. Meryn uśmiechnął się do siebie spokojnie i wyszedł spod drzew na skalisty płaskowyż, żeby być bliżej

kamienia.

- Punkt dla ciebie, mój przyjacielu - mruknął półszepem. - Muszę się nauczyć nie spuszczać cię z oka. Nie wolno ci ufać nawet przez minutę.

Meryn...

Zesztywniał. Głos doleciał z bardzo daleka, ale to nie był głos z przeszłości. To był głos z domu. Ktoś go potrzebował w Walii. Liza.

Leżąc w łóżku pod kocami i delektując się ciepłem, Liza przeciągnęła się i uśmiechnęła do siebie. Chwylił mróz, powietrze było świeże, zimne i zdrowe jak mleko. Za minutę wstanie, wykąpie się, ubierze, a potem zrobi śniadanie dla siebie i dla Jane. Sięgnęła po mały zegarek stojący przy łóżku. Minęła dziesiąta, ale po wczorajszej długiej podróży do St Albans i z powrotem oraz nieprawdopodobnie późnym pójściu spać była gotowa traktować siebie jak położnicę. Skuliła się znów pod kocami i obserwowała przez okno błękitne niebo ponad drzewami. Phil wstał bez wątpliwości wiele godzin temu i teraz ukrywa się pewnie w swojej stodole. Uważała, żeby go nie obudzić, kiedy w końcu kładła się do łóżka we wczesnych godzinach rannych, ale musiał sobie zdawać sprawę, jak późno wróciła.

Zanim zabrał się do pracy, zawiózł małą Beth do przedszkola. Potem przywiezie ją z powrotem i już pozostanie w swej pracowni w stodole do zmroku. Wtedy przyjdzie kolej na nie, by zająć się małą, i jednocześnie zastanowić się nad tym, jak postępować dalej. Liza zamknęła oczy, by móc się łatwiej skupić. Adam był niewątpliwie pod urokiem. Postępował jak człowiek, na którego rzucono jakiś zły czar. Postępował jak człowiek zaczarowany. Nie był sobą. Czy taki zły czar można zniszczyć?

Dziesięć minut później zdała sobie sprawę, że nie wytrzyma w łóżku ani chwili dłużej. Powróciło napięcie i niepokój. Wstała, wzięła kąpiel. Może woda zmyje choć trochę zmęczenia, które teraz, kiedy wstała z łóżka, wróciło z całą siłą.

Jeszcze zanim zbiegła na dół, do kuchni, i otworzyła drzwi wychodzące na tyły domu, zdała sobie sprawę, że jej samochód zniknął z podwórza. Wpatrywała się chwilę w miejsce, gdzie stał, po czym wróciła do domu i pobiegła na górę.

- Jane? - Zapukała do drzwi pokoju gościnnego, otworzyła drzwi jednym

pchnięciem. Rzeczy Jane, jej torba, buty, wszystko zniknęło.

Phil tkwił przed sztalugami zatopiony w myślach, kiedy Liza wpadła do pracowni. Koło niego na ławce stał nastawiony minutnik, który miał mu przypomnieć, kiedy ma wyjść, żeby pojechać po Beth.

- Phil, gdzie jest Jane?

Odwrócił się zamyślony i upłynęła chwila, zanim zdołał się skupić i dotarło do niego jej pytanie.

- Nie wiem. Dlaczego pytasz?

- Wyjechała. Zabrała mój samochód, swoje rzeczy, wszystko.

- A więc prawdopodobnie pojechała do domu.

- Ona nie może tego zrobić. Phil, ją widziałam ostatniej nocy, nie, to było dziś rano. Kilka godzin temu. Rozmawiałyśmy. Ona nie może wrócić do Adama.

Jeszcze nie teraz.

Phil podszedł i objął ją.

- Co się dzieje? Co się wczoraj stało? Pomyślałem sobie, że chyba nie może być dobrze, skoro obie przyjechałyście z powrotem.

Opowiedziała mu wszystko, a Phil słuchał, nie przerywając. Kiedy skończyła, zapytał:

- Czy powiedziałaś Jane to wszystko? Potaknęła.

Potrząsnął głową.

- Nie powinna była wracać do niego. Może nie wróciła? Jesteś pewna, że nie zostawiła żadnej kartki?

Nie sprawdzała. Kiedy ją znalazła, okazało się, że Jane napisała tylko: „Zostawię samochód na stacji. Przepraszam, Jane”. Dopiero o dziesiątej tego wieczora Jane się odezwała. Kiedy zadzwonił telefon, Liza leżała już w łóżku, więc chwyciwszy szlafrok, zbiegła na dół, do zimnej kuchni. Beth dawno już spała.

Nigdzie nie było widać Phila. Musiał wciąż jeszcze pracować w swym atelier w stodole.

- Przepraszam, że uciekłam. - Liza poznała po głosie, że Jane płacze. -
Leżałam wiele godzin i nie mogłam zasnąć. Myślałam o tym, co dla mnie zrobiłaś, i

nagle zdałam sobie sprawę, że nigdy nie zasnę. Więc wstałam i wyjechałam.

Chciałam z nim porozmawiać. - Jane długo milczała.

- O co chodzi? Co się stało?

- Pomyślałam, że jeśli go złapię w pracy, będę z nim mogła porozmawiać bez ryzyka, że ona tam będzie. Myślałam, że zdołam go przekonać, że zrozumie, że to nie ma sensu. Niestety. Nie chciał mnie słuchać. Zachowywał się wobec mnie w obecności recepcjonistki w sposób grubiański. Wyszedł i pojechał do domu, a kiedy ja tam dotarłam, był już na górze i drzwi były zamknięte. Żałuję, że tam pojechałam.

- Och, Janie. Tak mi przykro. - Liza zadrżała. Odeszła ze słuchawką w rękę na całą długość kabla od aparatu telefonicznego, co pozwoliło jej zapalić lampkę na komodzie. Na dworze padało. Słyszała bębnienie kropel deszczu o szyby.

- On tu jest. Na górze. Z nią. - Jane załkała. - Lizo, on mnie już nie chce.

- Wróć, Janie. Wróć do nas. My ciebie chcemy - powiedziała ciepło Liza. - Posłuchaj, nie zostawaj tam. - Już miała powiedzieć, że to nie jest bezpieczne, ale ugryzła się w język. Co za sens jeszcze bardziej straszyć Jane.

- Przyjadę rano. Może...

- Jane, musisz.

- Nie mogę teraz wyjechać. Muszę spróbować jeszcze raz. - Nagle jej głos zanikł na krótko, jak gdyby się odwróciła od słuchawki. - Nie rozłączaj się. Słyszę kroki. On chyba schodzi na dół. Zadzwoń jutro.

- Jane, nie odkładaj...

Ale już było za późno. Jane się rozłączyła.

Liza stała przez chwilę, patrząc na słuchawkę w swojej ręce, a potem wolno odłożyła ją na widełki. Próbowała sobie wyobrazić scenę, jaka się rozgrywa na drugim końcu linii.

- Adam! - Jane uśmiechnęła się z ulgą. - Dobrze się czujesz? Wpatrywał się w nią w milczeniu przez pełną minutę, a ona nagle

zdała sobie sprawę, że jego wzrok wcale nie jest skupiony na niej, ale przenika ją na wskroś, jakby jej wcale tam nie było.

- Adam? - powtórzyła tym razem bardziej nieśmiało. - Czy ty mnie

słyszysz?

Wyglądał tak, jakby spał.

- Adam? - Ostrożnie zbliżyła się do niego i położyła mu rękę na ramieniu. -
Adamie, kochany, czy ty mnie słyszysz?

Spojrzała poza niego, na drzwi. W domu było bardzo cicho. Słyszała tylko ryk wiatru w gałęziach gruszy pod oknem. - Adamie, chodźmy do kuchni. Tam jest cieplej. Posłusznie poszedł za nią, więc spokojnie zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku. Zamknęła oczy i nabrała głęboko powietrza.

- No dobrze. Może usiądziemy, nastawię wodę na herbatę.

Była zajęta przy zlewie nalewaniem wody do czajnika, ale obserwowała męża kątem oka. Wciąż patrzył w przestrzeń, zachowywał się jak lunatyk.

Kiedy już postawiła czajnik z wodą na kuchence, usiadła obok niego przy stole i wzięła go za rękę. Była lodowato zimna. Rozcierając ją delikatnie, uśmiechnęła się do niego.

- Może powinniśmy rozpaść ogień w sąsiednim pokoju? Jest tak zimno, że chyba zaraz zacznie sypać śnieg, wiesz. Wczoraj wieczorem na farmie pojawił się szron na szybach. - Przygryzła wargę. Nie powinna wspominać farmy. Ale może jeśli wspomni o wizycie Lizy, wywoła to u niego jakąś reakcję. - Adamie, Liza była bardzo zaniepokojona tym, co tu się wydarzyło wczorajszej nocy.

Nie zareagował. Wciąż błędził wzrokiem gdzieś daleko.

- To straszne, że kazałeś jej jechać od razu z powrotem do Walii. Była skonana.

Nagle zdała sobie sprawę, że on słucha. Jego oczy przestały błędzić bezmyślnie i zaczął jej słuchać uważniej. Odetchnęła z ulgą.

- Adamie, musimy porozmawiać o tym, co się wydarzyło. Nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam... - Przerwała, bo Adam wstał nagle, odsuwając krzesło tak raptownie, że upadło na podłogę.

- Brid? - Patrzył na drzwi.

Jane zbladła. Ona także spojrzała na drzwi. Klamka poruszała się powoli do góry i na dół.

- Adamie, nie wpuszczaj jej. Musisz ze mną porozmawiać. - Chwyła go za rękę, ale ją odepchnął.

- Brid? To ty? - Przeszedł szybko przez kuchnię, przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi na oścież. W sieni nie było nikogo.

Jane wycofała się za stół.

- Czy to ona?

Adam spojrzał w górę schodów.

- Nie idź tam, Adamie. - Bała się. - Nie idź tam.

- Muszę, Jane. Jak ci się to nie podoba, to idź sobie.

- Ale to jest mój dom, Adamie. - Jej lęk przemienił się w końcu w złość. - I nie mam zamiaru go opuszczać. Ja także cierpiałam. Ja także straciłam syna. Nie jesteś w swym bólu sam. Ale ja staram się stawić temu czoło. Walczę z czymś rzeczywistym, nie błędę w pajęczynie fantazji i perwersji. Jeśli ktoś ma odejść, to powinien to zrobić ty. Jesteś szalony! No, dalej, wynoś się! - Ochrypla od krzyku.

Odwrócił się od niej i wyszedł do holu.

- Rób, co ci się podoba - powiedział cicho. Jego głos stracił nagle całą swą siłę. Adam zaczął wolno wstępować na schody.

Jane spędziła tę noc zamknięta w kuchni. Nazajutrz rano zaczęła, czy nie usłyszy jakiegoś poruszania się Adama na górze, a potem wstała, podeszła do drzwi i czekała za nimi z kluczem w ręce. Będzie musiał zejść na śniadanie. Kiedy przyjdzie, wpuści go, zatrzaśnie za nim drzwi i zamknie je na klucz.

Ale nie przyszedł. Usłyszała jego kroki na schodach. Przeszedł przez hol do drzwi frontowych, otworzył je (poczuła na stopach prąd powietrza pod kuchennymi drzwiami), a potem zatrzasnął głośno. Kilka chwil później usłyszała odległy warkot silnika jego samochodu na podjeździe.

Stała nieporuszona w miejscu, wstrzymując oddech, nasłuchując. W domu panowała całkowita cisza.

Dopiero po upływie półgodziny zebrała się na odwagę, by wyrzeć do holu. Było tam ciemno. W ten pochmurny, wilgotny ranek niewiele światła sączyło się

przez małe okienko koło drzwi frontowych, a drzwi do salonu i gabinetu Adama były zamknięte. Serce jej waliło jak młotem, kiedy na palcach podchodziła do podnóża schodów. Spojrzała ku górze. Nagły wybuch gniewu poprzedniej nocy miał krótki żywot. Teraz przyszyły rozżalenie, lęk i obraza. Jane krzątała się przy stole w zimnej kuchni; włączyła piekarnik kuchenki elektrycznej i otworzyła go, by trochę nagrzać pomieszczenie. Myślała ze złośliwą satysfakcją, jaki Adam byłby wściekły, gdyby się dowiedział o tak rażącym marnotrawstwie ciepła i pieniędzy.

Otwierała jedne po drugich drzwi na parterze i zaglądała do wszystkich pokoi. Wszędzie było pusto. Wtedy zebrała się na odwagę, żeby wejść na górę.

Po raz pierwszy od wielu tygodni znalazła się w pokoju Caluma. Raz na miesiąc wchodziła tam, żeby wszystko odkurzyć, posiedzieć na łóżku syna, trochę popłakać, dotknąć jego rzeczy i spróbować podjąć jakąś decyzję, co z tym wszystkim zrobić, żeby nie przekształcić tego miejsca w jakieś sanktuarium. Po jakimś czasie wstawiała, wycierała nos i wychodziła, zamykając drzwi. Dziękowała Bogu, że powiodły jej się próby zapomnienia o tym jeszcze na trochę. Teraz stała przez chwilę, rozglądając się dookoła. Nikt tu nie wchodził, tego była pewna. Nikt nie mógł wchodzić do tego pokoju poza Adamem. Pani Freeling odeszła po morderstwie, zbyt przerażona, jak mówiła, żeby przebywać w tym domu, a oni nie mieli serca zastąpić jej kim innym. A teraz nie było już takiej potrzeby. Kiedy zostali tylko we dwoje, Jane niewiele miała roboty z utrzymaniem porządku w domu i mogła sobie z tym poradzić sama, zabierało jej to naprawdę niewiele czasu. Potem przeszła do ich sypialni, pokoju, w którym teraz sypiała sama. Był pusty, łóżka porządnie zasłane. Jane automatycznie powiodła wzrokiem do nocnego stolika i nagle zdrętwiała. Zniszczony talizman, który z takimi oporami postawiła na dawnym miejscu, znikł.

Wiedziała, że drzewko już nie ma mocy, że nie ma sensu go trzymać, ale to było wszystko, czym mogła się ratować. Podbiegła jak szalona do nocnego stolika, zajrzała między łóżka. Uklękła, zajrzała pod koce, pod poduszki, a potem przeszukała cały pokój. Ani śladu. Nigdzie.

- O Boże, proszę, niech on tu gdzieś będzie! - Szukała dalej, wysuwała

szuflady, otwierała szafy, potem rozszerzyła poszukiwania na łazienkę i pokój Caluma; do szafek w pokoju syna nie zaglądała od miesięcy. W panice zapomniała o swym smutku. Przetraszała wszystkie zakamarki. Wyrzucała na dywan buty do piłki nożnej i kije do krykieta. Na próżno. W końcu zdobyła się na odwagę, żeby pójść do pokoju gościnnego. Przyłożyła ucho do drzwi i nasłuchiwała. Wewnątrz było zupełnie cicho. Nabrała głęboko powietrza, położyła dłoń na gałce u drzwi i przekręciła ją.

W pokoju był straszny bałagan i pachniało stęchlizną. Łóżko było nieposłane, prześcieradła porozrzucane po całej podłodze, stos brudnej bielizny Adama zwiślał z oparcia krzesła. Na poduszce dostrzegła smugi zakrzepłej krwi.

Zrobiło jej się niedobrze. W powietrzu unosił się zapach dzikiego zwierzęcia. Jane poczuła, jak jej się jeżą włoski na karku. Ale ani śladu Brid ani żadnego kota.

I nagle spostrzegła talizman. Leżał na podłodze, do połowy nakryty rozciągniętym prześcieradłem. Pochyliła się, podniosła go z westchnieniem ulgi i nagle zatkało ją z przerażenia. Talizman był nie do poznania, popękany i pogięty, reszta gałązek połamana, kolorowa emalia zmiądzzona, jakby ją ktoś potłukł młotkiem. Kryształ górski zniknął. Ostrożnie pozbierała wszystkie kawałki i przyglądała im się przez mgiełkę łez. Do czego jej się to teraz przyda? Odwróciła się i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Zaniósła szczątki drzewka do swojej sypialni, usiadła i ułożyła je na czystej narzucie. Każdy pogięty kawałek świadczył jasno o tym, z jaką furią niszczone ten talizman.

- Och, Adamie! - zawołała głośno, przez łzy. - Co ona z tobą zrobiła? Dlaczego jej na to pozwoliłeś?

Wiele czasu upłynęło, zanim przyszła do siebie i wstała. Pół godziny później zjawiała się w gabinecie męża w poczekalni.

- Przykro mi, pani Craig. - Na twarzy Doreen Chambers, nowej recepcjonistki, malował się niepokój i zakłopotanie. - Doktor Craig mówi, że jest zbyt zajęty, żeby się z panią zobaczyć.

Obie powiodły wzrokiem po pustym pokoju. Ostatni pacjent wyszedł kilka minut temu.

- Rozumiem. - Jane wyprostowała ramiona. - Doreen, bądź tak uprzejma i wyjdź na chwilę do biura na tyłach domu. Nie chciałabym, żebyś miała kłopoty. - Uśmiechnęła się. Było to jedynie lekkie uniesienie kącików ust. Ten uśmiech sprawił, że Doreen stała się jeszcze bardziej nerwowa.

- Nie powinnam, pani Craig...

- Myślę, że powinnaś, jeśli cenisz sobie swoją pracę. - Jane była zdumiona, że znalazła siłę, żeby się przeciwstawić tej kobiecie. Dawniej personel pomocniczy męża budził w niej przerażenie.

Przez chwilę Doreen jeszcze się wahała, ale zaraz wzruszywszy ramionami wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Jane podeszła do drzwi gabinetu Adama i ceremonialnie je otworzyła.

- Chcę z tobą pomówić.

Stał za biurkiem, wsuwając papiery do teczki. Zaskoczony spojrzał na nią i na chwilę Jane pożałowała swej decyzji. Twarz Adama, o dzikim, nieprzytomnym spojrzeniu, była twarzą człowieka chorego.

- Nie zgadzam się na to, żeby robiono ze mnie idiotkę w moim własnym domu. - Jane zamknęła za sobą drzwi, zdając sobie sprawę, że Doreen już wróciła z biura, stoi przy biurku i słucha. - Jeżeli chcesz żyć z inną kobietą, proponuję, żebyś sobie znalazł prawdziwą. - Jej głos przeszedł w złośliwy syk. - Albo jedź do Szkocji i tam sobie żyj ze swoją Brid w jakiejś lepiance albo jakimś kamiennym legowisku czy gdziekolwiek indziej, gdzie ona mieszka, kiedy wraca do domu, ale nigdy... - Przerwała, by zaczerpnąć głęboko powietrza - już nigdy więcej nie przyprawiaj jej do naszego domu.

- Ja jej nie przyprawiam, Janie - powiedział bardzo zmęczonym głosem. Upuścił teczkę na biurko, opadł na krzesło i wyczerpany zamknął oczy. - Nigdy jej nie zapraszałem. Ona sama przychodzi.

- Więc każ jej odejść.

- Myślisz, że nie próbowałem?

- Kiedyś jej się pozbyłem.

- Uciekłem. Chcesz, żebym znów to zrobił? Nie mogę od niej uciec, Jane.

Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Jakoś zawsze udaje jej się mnie odnaleźć.

Przyjechała za mną do Walii, pamiętasz? Odnalazła nas w St Albans. Wszędzie mnie znajdzie.

- Tutaj nie przyszła.

- Bo wie, że ja tu pracuję. Szanuje fakt, że jestem lekarzem. Wie, że byłbym zły, gdyby wkroczyła między mnie i moją pracę.

- Ale nie jesteś zły, kiedy staje między tobą i twoją żoną?

- To co innego.

- Czemu? Powiedz, proszę. - Jej głos stał się lodowaty. Podniósł wzrok i dojrzała rozpacz w jego oczach.

- To z powodu Caluma. To Calum staje między nami, Jane. Nie wiem dlaczego. Nie chciałem, żeby tak się stało, ale się stało. To my nie powinniśmy żyć. Ty i ja. Stoisz tu przede mną i przypominasz mi go. - Zakrył twarz dłońmi i Jane przerażona zobaczyła łzy spływające między jego palcami.

Przez chwilę w milczeniu wpatrywała się w niego, po czym wolno zaczęła się wycofywać w kierunku drzwi.

- Czy nie przyszło ci nigdy do głowy, że mnie także serce się kraje i czuję się samotna?

Wzruszył ramionami.

- Wydaje mi się, że ty potrafisz sobie z tym radzić.

- Wydaje ci się, Adamie. Zapominasz, że ja straciłam was obu. Calum nie żyje z powodu wypadku. Nie wybrał sobie śmierci. Ty sam dokonałeś wyboru. I co więcej - zawahała się, niemal bojąc się wypowiedzieć te słowa - chyba sprawia ci przyjemność związek z kobietą, która zabiła twojego syna.

Zapadło długie milczenie. Teraz z kolei Adam popatrzył na nią zszokowany, nie wierząc własnym uszom.

- Nie mów tak - wykrztusił w końcu. - Nie mów takich rzeczy. Jak nisko upadłaś! Jak możesz, Jane!

- Mogę, bo to prawda. Czy nigdy się nie zastanawiałeś, kim była owa tajemnicza kobieta, która wbiegła pod ich samochód? Ta kobieta, która zniknęła i

nie natrafiono na jej ślad?

- To nie była Brid! - krzyknął głosem ochrypłym z gniewu.

- Nie? - Jane walczyła z napływającymi łzami. - No cóż, nie ma sensu pytać ją o to, prawda? Niewątpliwie oprócz wszystkich innych talentów ma talent do kłamania. Adam, jak możesz jej bronić? Wiesz, że jest morderczynią!

- Nie wiem! - Teraz już płakał otwarcie. - Dla mnie jest miła, kochająca i słodka. Wie, jak sprawić przyjemność mężczyźnie. Potrafi uśmierzyć ból, sprawić, że ból głowy ustępuje. Odprężam się. I słucha tego, co mówię.

- A ja nie robię żadnej z tych rzeczy? - Ból w głosie Jane był niemal namacalny. - Adamie, to ja, Jane. Pamiętasz? - Wpatrywała się w niego przez długą chwilę. - Najwyraźniej nie pamiętasz. Oczywiście lata, które ci poświęciłam, były kompletną stratą czasu, skoro wolałbyś, żeby mnie nie było.

- Nie, Jane, nie mów tak, proszę. - Nagle skupił na niej wzrok. - Ja cię kocham, Janie, naprawdę.

- Ale najwyraźniej niewystarczająco. - W jej głosie brzmiał głęboki żal. - Proszę cię tylko o jedno, Adamie. Proszę, nie rób tego w naszym domu. Poproś, żeby uwodziła cię gdzie indziej, nie w moim domu.

Wyszła na oślep z gabinetu. Nie zauważyła nawet Doreen. Dopiero kiedy znalazła się na zewnątrz i dotarła do samochodu, jej opanowanie prysło. Wiele czasu upłynęło, zanim włożyła kluczyk do stacyjki i wyjechała z parkingu.

Z okna gabinetu Adam obserwował, jak odjeżdża.

- Zostaw go, Jane. - Liza stała w kuchni ze słuchawką w ręku i patrzyła przez okno na padający deszcz. - Zostaw go, proszę. Przyjedź tutaj. -

Rozmawiając, obgryzała paznokcie; czuła w całym ciele napięcie wywołane niepokojem o przyjaciółkę. - Słuchaj, to nie musi być na zawsze, tylko na czas, kiedy on jest pod urokiem tej kobiety. Przyjedź dla swego własnego dobra, Jane.

Ale na próżno prosiła. Wiedziała, że to niemożliwe. Wyobraziła sobie Jane samotną w czterech ścianach swego domu, w którym nie ma żywej duszy, zamykając się. nocą w swojej sypialni, podczas gdy mąż zabawia się... Z kim? Z szatanem w postaci kobiety? Z duchem? Czarownicą?

- No nie! To znowu Jane? - Phil wrócił właśnie ze swej pracowni i strząsał krople deszczu z ramion jak pies po wyjściu z wody. - Sprawiała już wystarczająco duży kłopot, zostawiając twój samochód w Newport! Nie wiem, czemu wciąż do niej dzwonisz. To dorosła kobieta. Sama musi o sobie decydować. Może jest masochistką? Może lubi być poniżana przez tego drania. - Odkręcił kran i umył ręce. - Gdzie Beth? - Bawi się w pokoju obok. - Liza wzruszyła ramionami. - Jestem pewna, że Jane nie jest tam bezpieczna, Phil. Brid jest groźna. Może zabić.

Otworzyły się drzwi i ukazała się w nich Beth. Pchała wózek dla lalki, w którym ulokowała małego króliczka. Liza pochyliła się, wzięła małą na ręce i mocno ucałowała.

- Myślę, że Jane zechce tu przyjechać. Żeby zobaczyć Beth.

- Lizo. - Phil usiadł przy stole i przysunął do siebie stos nieotwartej korespondencji. Mały pocztowy samochód wspinający się krętą drogą na wzgórze docierał na farmę dopiero w porze lunchu. - Lizo, czy pomyślałaś kiedyś o tym, że nie powinniśmy ściągać na siebie uwagi? Przypomnij sobie, że ten kot przyszedł tutaj za nimi. Nigdy już potem, kiedy oni wrócili do St Albans, go nie widziano ani o nim nie słyszano. Nie powinniśmy narażać siebie ani - położył na chwilę delikatnie rękę na plecach wnuczki - małej Beth na ryzyko.

- Nie myślisz chyba, że ona zrobiłaby krzywdę Beth! Wzruszył ramionami.

- Daj spokój z tymi telefonami, kochanie. Jane wie, gdzie jesteśmy. Wie, że czeka tu na nią łóżko, jeśli zechce przyjechać, i zna numer naszego telefonu, więc może zadzwonić, jak będzie miała kłopoty. Zostaw to tak, jak jest, dobrze? - Objął obie, żonę i wnuczkę, niedźwiedzim uściskiem.

Beth zapiszczała z zachwytu.

Dwa dni później Liza, wracając z zakupów w Hay, zdecydowała się pojechać dłuższą drogą. Kiedy już załadowała samochód przeróżnymi artykułami, zajrzała do jednej z księgarni, żeby zobaczyć, co nowego się pojawiło w jej ulubionym kąciку, i kupiła dwie książki, którym nie potrafiła się oprzeć. Ukryła je pod zakupami, wiedząc, że Phil, gdyby je zobaczył, dokuczałby jej, bo zapowiedział, że dom się zawali, jeżeli ona kupi choćby jeszcze jedną książkę. Kupiła kilka butelek wina i

wsadziwszy Beth do samochodu, opuściła Hay. Droga biegła z początku przez lasy i pola, a po kilku milach zaczęła piąć się pod górę, gdzie niebo wisiało nisko nad łagodną zielenią trawy i szarością skał, a wszędzie pełno było szczypiących trawę kucyków i owiec. Przy końcu wąskiej drogi, która prowadziła do chaty Meryna, Liza zatrzymała samochód i zamyśliła się na chwilę.

- Jedź do domu. - Beth położyła swą małą rączkę na ramieniu Lizy. - Jedź do domu, babciu Lizo.

Liza uśmiechnęła się do wnuczki.

- Za chwilę. Chcę tylko zobaczyć, czy Meryn wrócił do domu. Owładnęła ją dziwna myśl, że powinna skrócić z drogi. Nie było ani śladu dymu z komina niewidocznego za sosnami, żadnych świeżych śladów opon na trawie, ale nagle Liza poczuła przemożną potrzebę, żeby sprawdzić. Wysiadła z samochodu, pchnęła starą, ciężką bramę, wsiadła z powrotem i skręciła na podjazd.

Drzwi były otwarte, a w jednym z okien dostrzegła duży dzban pelargonii. Meryn pisał coś przy starym sosnowym stole, stojącym na środku pokoju, kiedy razem z Beth wsunęły głowy przez drzwi.

- A więc to jest ta twoja wnuczka! - Pocałował Lizę, a potem przykucnął, żeby zamknąć małą rączkę Beth w swojej ogromnej dłoni.

- Wiesz, co się stało z Julie i Calumem? - Liza nagle poczuła łzy pod powiekami.

Podniósł się, sięgnął do talerza z owocami, wziął duże czerwone jabłko i podał dziewczynce. Potem poprowadził Lizę do foteli przy ogniu.

- Gdzie byłeś? - Liza popatrzyła na niego. Jego brązowa twarz była jeszcze ciemniejsza niż dawniej, a błyszczące niebieskie oczy błyszczały bardziej niż kiedykolwiek. Zaczęła się zastanawiać, a robiła to za każdym razem, gdy się z nim spotykała, ile też Meryn może mieć lat. I dochodziła do wniosku, że może być w każdym wieku między pięćdziesiątką a setką.

Usiadł na stołku przed kominkiem i dorzucił kilka polan do ognia. Beth, gryząc jabłko, podeszła i stanęła tuż za nim. Nie odwrócił się, traktując ją jak małe zwierzątko, które musi przezwyciężyć nieśmiałość, zanim przyjaźń i zaufanie

połączy je z nowo spotkaną istotą.

Zignorował drugie pytanie Lizy, koncentrując się na pierwszym.

- Istnieje powód, dla którego to się stało, Lizo. - Wpatrywał się w ogień. -

Może trudno to znieść, jeszcze trudniej zrozumieć, ale nie możesz na zawsze pozostać smutna. Spotkasz się kiedyś znów z nimi. Wiesz o tym.

Liza potaknęła, pociągając nosem.

- Tak przypuszczam.

Odwrócił się do niej i utkwiał w niej swe intensywne spojrzenie.

- Przypuszczasz?

- To trudne. Ciągle tak bardzo za nią tęsknię.

- Bądź silna, Lizo. - Zabrzmiało to bardzo surowo. - No, a teraz powiedz mi, co zrobiliście, jeśli chodzi o tę kobietę, Brid.

- A więc myślisz, że ona jest kobietą? - O tak, ona jest kobietą - uśmiechnął się z powagą.

- Zniszczyła talizman albo zrobił to Adam. Jane ma go w kawałkach, ale nie sądzi, żeby działał w dalszym ciągu.

- A więc nie działa. Talizman ma tylko tyle mocy, ile zostanie mu nadane.

Musisz jej zrobić jeszcze jeden.

- Ja? Przytaknął.

- Jane nie pojmuję, z czym tu mamy do czynienia, tak jak ty. Brid jest potężną, wysoce wykształconą specjalistką od czarnej magii. Te sztuki nie były czarne, kiedy poznawała ich arkana, ale jej postrzeżenie zostało stępione i zmieniło się pod wpływem żądy i lęku przed człowiekiem, który ją ściga; straciła zdrowy rozsądek i uczciwość. Musisz z nią walczyć jej własną bronią, bo w przeciwnym razie ona zwycięży.

- Co mam robić? Phil się boi, że ona zwróci się teraz przeciwko nam, tutaj. - Skinęła głową ku dziewczynce, która nadal stała za Merynem ze wzrokiem utkwionym w jego twarzy.

Meryn wyciągnął rękę do małej. Beth podeszła bliżej, na odległość ramienia, i oparła się o niego z zaufaniem, ssąc kciuk. Meryn zamyślony kiwał głową.

- Słusznie się niepokoi, ale myślę, że w tej chwili nie ma powodu do obaw o Beth. Adam odrzucił to dziecko, powiadasz? A więc nie stanowi ono zagrożenia dla Brid. Nie rozprasza jego uwagi ani nie rywalizuje o jego uczucia. Musisz mieć kontrolę nad sytuacją, ale mam wrażenie, że w tej chwili nie ma się czego obawiać.

- Popatrzył z uśmiechem na Beth, a ona odwzajemniła ten uśmiech, obdarzyła Meryna pełnym ufności całusem i pozwoliła mu ugryźć jabłko.

- No dobrze. Czy więc powinnam zrobić dla Jane nowy amulet? - Liza koncentrowała uwagę na tym, co mówił Meryn, starając się nie myśleć o tym, że Julie i Calum spędzili w tym domu swój miesiąc miodowy - dwa tygodnie ich tak krótkiego wspólnego życia. - Jak mam to zrobić?

Pokiwał głową. ,

- Weź dwie gałązki jarzębiny, zwiąż czerwona nitką tak żeby utworzyły krzyż, i nasyc go mocą i zdolnością odpierania niebezpieczeństwa.

- W jaki sposób mam go nasycić mocą? - Liza kręciła głową. Meryn głośno się roześmiał.

- Zastanawiasz się trochę, czy staruszek w końcu nie zdziecinniał, nie goni w piętę. Czy my rozmawiamy o magii i złych urokach? Czy on jest czarodziejem, złym czarownikiem czy lunatykiem? - Wiesz dobrze, że tak nie myślę. - Liza była oburzona. - Gdybym tak myślała, nie przyszedłabym do ciebie prosić o pomoc. Po prostu się zastanawiam, czy potrafię to zrobić. Nie mam wprawy w tych rzeczach. Wyobrażam sobie, że Brid nauczyła się tego wszystkiego od jakiegoś wielkiego okultysty, takiego jak Dennis Wheatley, ten łotr. Ona potrafi się zamienić w kota, Meryn!

Znowu utkwiał w niej wzrok, wcale niezaskoczony.

- Ale naprawdę nie ma powodu do obaw. Potrzeba nam tylko spokoju, siły i wiary w opiekuńczą moc. Jeśli Jane jest chrześcijanką, to będzie ją chronił Chrystus. A ty dopomożesz. Powiem ci, co masz robić.

Liza zaczęła, aż Phil zaśnie i zacznie chrapać, zajrzała do Beth, a potem zeszła cicho po schodach i włożyła kalosze, które stały koło kuchennych drzwi. Jakaś częśćka jej umysłu była zakłopotana i sceptyczna, inna - pełna lęku. Jeszcze

inna - niezwykle podniecona i świadoma ważności tego, co miała zrobić.

Jeszcze za dnia udało się Lizie znaleźć jarzębinę. Rosła trochę oddalona od innych drzew, za sadem, w polu, na skraju uskoku skalnego, który ciągnął się przez kotlinę ku dalekim łąkom, nad rzeką Wye. Liza słyszała w ciszy szum wodospadu, spływającego w wilgotne, omszałe, zacienione miejsce pod drzewami. Wysoko, nad otwartą przestrzenią, świecił księżyc i widno było jak w dzień. Biały szron osiadł już na trawie.

Wsunęła głęboko ręce do kieszeni, starając się wymacać nóż. Był to jeden ze srebrnych nożyków do owoców jej babki, mały, wyczyszczony do połysku, ostry i spiczasty. Idealne narzędzie do wykonania magicznego cięcia/Spokojnie pchnęła furtkę, weszła do sadu i znalazła się pod ogromnymi, starymi jabłoniemi. Nerwowo przypatrywała się cieniom w świetle księżyca. Nie przyszło jej przedtem do głowy, że Brid może wyczuć, co ona chce zrobić, ale teraz, w ciemności, w ciszy nocy, czuła gdzieś w sobie niewielki, ale nieustający lęk. Obejrzała się za siebie, spojrzała na dom. Był pograżony w ciemności. Phil malował tego dnia do późna; gdy wrócił, otworzył sobie puszkę zupy pomidorowej, podgrzał, wypił z garnuszka i położył się spać. Wszystko to zajęło mu nie więcej niż dziesięć minut. Nie przeszkadzało jej to. Wiedziała, jak to jest, kiedy poniesie człowieka wena twórcza. Ona też nie znosiła, by przerywano jej pracę choćby na chwilę, kiedy malowała, a zwykle stała przy sztalugach całymi godzinami, nawet gdy była tak zmęczona, że pędzel niemal wypadał jej z dłoni. Teraz na jej twarzy odmalowało się niezadowolenie. Wiele czasu upłynęło od dnia, kiedy coś namalowała. Nie stała przy sztalugach, od kiedy przyniosła do domu swą maleńką wnuczkę. Odwróciła się znów tyłem do domu i uważnie przyjrzała drzewom. Noc była tak cicha, że usłyszałyby, jak spada liść. Nawet głosy natury jak gdyby zamarły. Ani tchnienia wiatru, ani trzasku łamanych gałęzi w dolinie, kiedy małe zwierzątka przedzierają się przez leśne ścieżki, nie słysząc było nawet odległego pohukiwania polującej sowy. Liza cicho zamknęła za sobą furtkę i ruszyła przez sad. Wszystkie jej zmysły były w pogotowiu. Słyszała, jak mróz ścina mech na północnej stronie konarów drzew, czuła zapach porostów pokrytych kryształkami lodu i cichy chrzęst zmarzniętej trawy pod swoimi stopami.

Sześć hrabstw dalej, w Hertfordshire, Brid spała z głową wtuloną w zgięcie ramienia Adama. Nagle poruszyła się, czując światło księżyca za oknem.

Spychając lęk gdzieś w zakamarki swego umysłu, Liza szła spokojnie. Przeszukiwała wzrokiem wszystkie cienie, była czujna na każdy dźwięk, ale nic nie zakłócało ciszy. Dotarła do furtki w odległym końcu sadu. Była zamknięta, więc wspięła się na nią, czując, jak podeszwy kaloszy ślizgają się po oblodzonych deskach. Zeskoczyła, przystanąła, wstrzymała oddech. Łąki przed nią jak okiem sięgnąć były puste, owce zapędzono już do szałasów na niżej położonych pastwiskach, gdzie nie docierały górskie wichury. Teraz zobaczyła jarzębinę. Stała samotnie: niewielkie, pełne wdzięku drzewko w świetle księżyca. Jej cienkie gałęzie rzucały siatkę wiotkich jak pajęczyna cieni na jasną, pokrytą śniegiem ziemię.

Poproś o pozwolenie - powiedział Meryn. - Wytłumacz, dlaczego potrzebujesz jej pomocy. Uczyń z obcinania jej gałęzek święty akt.

Z trudem przełykając ślinę, Liza szła po trawie. Czuła się bardzo widoczna bez osłony sadu. Tutaj, na tym zbocz, można ją było dostrzec z odległości pięćdziesięciu mil, nawet z drugiej strony doliny: maleńki ciemny punkcik w zielonym żakiecie na białym, oszronionym stoku. Za nią szlak ciemnych śladów znaczył jej przejście. Przed nią iskrzyła się nietknięta szronem ziemia. Spojrzała w górę, na księżyc. Wisiał nisko nad ziemią. Zdawało się, że każde księżycowe wzgórze, każdą księżycową dolinę na jego powierzchni można dostrzec gołym okiem. Liza czuła tę księżycową moc.

Parę metrów od drzewa zatrzymała się. Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła nóż. Jego ostrze błysnęło w świetle księżyca i Lizie wydało się, że drzewo się cofa.

Wytłumacz - powiedział Meryn. - Wytłumacz, dlaczego potrzebna ci jest jego siła i ochrona, i poproś. Jeśli zetniesz dużą gałąź lub choćby cienką witkę w złych zamiarach albo bez potrzeby, drzewo przeżyje szok. Jarzębina cofnie swoją moc, swoje soki, więc musisz jej wszystko wytłumaczyć i poprosić ją o pozwolenie. A potem podziękować.

Liza stała i patrzyła na drzewo. Przygryzła wargę, ignorując nagły, sceptyczny szept dwudziestowiecznej logiki, zapytujący, cóż ona robi poza domem o północy,

przy pełni księżyca, dlaczego rozmawia z drzewem.

- Proszę. - Odsunęła wątpliwości i przybliżyła się jeszcze o kilka kroków. - Proszę, potrzebne mi są dwie twoje małe gałązki, żeby zrobić z nich krzyż. Mają one chronić moją przyjaciółkę. Nie chcę cię okaleczyć. Potrzebne mi są twoje siły żywotne i twoja moc. - Jej głos brzmiał bardzo piskliwie w ciszy nocy. Przerwała, zastanawiając się, skąd będzie wiedziała, czy drzewo się zgadza. - Proszę, czy mogę sobie wziąć te dwie gałązki? - Podeszła jeszcze bliżej, w zasięgu jej ręki było teraz kilka gałązek.

Nie usłyszała odpowiedzi.

Ściskając kurczowo w dłoni nóż, wyraźnie uświadomiła sobie, że ostrze błyszczą w świetle księżyca jak skalpel chirurga.

- To nie będzie bolało. Nożyk jest bardzo ostry. Proszę, możesz mi dać jakiś znak? - Meryn nie kazał jej tego mówić, jednak uznała to za właściwe.

Czekała, wpatrując się w gałęzie jarzębiny.

Na skraju lasu wyleciał spośród drzew jakiś upiorny kształt i pomknął ku niej nad łąką jak pikujący samolot. Obserwowała go, wstrzymując oddech. Część jej umysłu była świadoma, że to sowa płomykówka, ale w głębi, w jego zakamarkach, gdzie pozostała część zapomnianych mitycznych przekazów o duszy, sięgających poza racjonalne poznanie, zrodziła się pewność, że to jest znak. Sowa usiadła na jarzębinie i patrzyła na Lizę z góry. Nie sprawiała wrażenia przestraszonej. Przez chwilę Liza nie miała odwagi się poruszyć, żeby jej nie spłoszyć. Potem powoli uniosła nóż, ujęła zmarzniętymi palcami koniec dużej gałęzi i odcięła z niej dwie małe gałązki. Wsunęła nóż z powrotem do kieszeni i po omacku szukała w niej czerwonej nitki, już wcześniej odciętej ze starego motka jedwabiu do haftowania, który odziedziczyła, tak jak i nóż, po swojej babce. Trudno było zawiązać węzeł na jedwabiu, Liza miała palce zdrętwiałe z zimna i nie widziała dokładnie nitek mimo blasku księżycowego światła, ale w końcu jej się to udało i uniosła do góry mały krzyż. Widziała, że sowa wciąż siedzi na jarzębinie, obserwując ją z zainteresowaniem i zupełnie bez lęku.

- Dziękuję - powiedziała głośno.. - To ma chronić i błogosławić moją

przyjaciółkę Jane. Obdarzać ją swoją siłą, swoją miłością i dbać o jej bezpieczeństwo. - Wyciągnęła rękę z krzyżem w kierunku ptaka, ale sowa się nie poruszyła.

Liza nie bardzo wiedziała, co ma dalej robić, więc dotknęła dłonią drzewa.

- Jestem ci wdzięczna - powiedziała łagodnie. - Czy mogę tu przyjść jutro i porozmawiać z tobą?

Nie słysząc odpowiedzi, odwróciła się wolno.

- Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam. - Te sceptyczne słowa wymknęły jej się mimo woli. Za nią sowa cicho rozpostarła skrzydła i przeleciała nad łąką, a potem dalej ku dolinie. Kiedy Liza, już na skraju sadu, obejrzała się w stronę jarzębiny, po ptaku nie było już śladu.

Wsunęła krzyż do kieszeni i ruszyła ku furtce. Znów znalazła się w cieniu jabłoni, które teraz wydawały się ciemne po iskrzącej się szronem łące. I nagle Liza znów poczuła się pewnie.

Brid usiadła. Zaslony były tylko do połowy zaciągnięte, więc widziała księżyc nad ciemnym dachem po drugiej stronie drogi. Zmarszczyła czoło. Coś ją obudziło. W powietrzu wisiało przecucie niebezpieczeństwa, lekkie drzenie na powierzchni nocy. Spojrzała na Adama. Jęknął, odwrócił się, czując światło księżyca za zamkniętymi powiekami, i wtulił twarz w poduszkę. Brid wysliznęła się z łóżka, przeszła przez sypialnię do okna i wyjrzała do ogrodu. Jej długie ciemne włosy przylgnęły do jej nagich ramion.

Nasłuchiwała.

Z krzyżykiem w ręku Liza szła przez sad pod pogrążonymi we śnie jabłoniemi. Słyszała, jak szron chrzęści pod jej stopami, Nie zważała na to teraz, myślała o domu i o ciepłe kuchni, które na nią czekało. Nie zauważyła kocich oczu, które wpatrywały się w nią z cienia, nie słyszała ukradkowych stąpaniec kocich łap.

- Brid, wracaj do łóżka.

Głos zaspanego Adama dotarł do niej, kiedy prężyła łapy. Spojrzała przez ramię zmieszana, już czuła bowiem świeżą moc, na razie nieukierunkowaną, płynącą z kieszeni tej kobiety. Czerwony duch jarzębiny jest pełen życia. Normalnie Brid

uważała go za swego sprzymierzeńca. Teraz próbowała z nim walczyć, ale nie mogła się skoncentrować, coś ją ciągnęło w przeciwnych kierunkach, rozpraszało. W jednej chwili uciekła z oświetlonego blaskiem księżyca sadu do sypialni na spokojnej miejskiej wysadzonej drzewami ulicy. Wokół niej światło księżyca śpiewało w ciemności. Adam obudził się i oparł na łokciu.

- Brid, wracaj do łóżka. Przeziębisz się. Dlaczego otworzyłaś okno? -

Mówił głosem gderliwym, głosem starego człowieka. Przez chwilę spoglądała przez ramię na lśniący od szronu sad, a potem wsunęła się do łóżka, słysząc, jak Adamowi dech zapiera z rozkoszy, kiedy przytuliła się zmarznięta do jego ciepłego ciała.

Przy furtce Liza zatrzymała się i rozejrzała dookoła. Przez ułamek sekundy dostrzegła jakiś ruch w cieniu, czuła oddech dzikiego polującego kota. Zaciśnęła mocniej dłoń na krzyżu, a potem podniosła go do piersi.

- Odejdź, Brid - szepnęła. - Nie ma tutaj dla ciebie miejsca. Idź tam, skąd przyszedłaś.

Nikt jej nie odpowiedział. Brid, leżąc w łóżku z Adamem, paznokciami przesunęła po jego piersi, a on się skrzywił, kiedy cienka strużka krwi wytrysnęła z ranki nad sercem.

- Ty jędzo! - Chwycił ją za rękę.

Brid zaśmiała się spokojnym, gardłowym śmiechem. Później rozprawi się z tą kobietą.

Rozdział szesnasty

Liza włożyła krzyżyk starannie owinięty miękką tkaniną do pudełeczka i cichutko wysunawszy górną szufladę toaletki, wetknęła go głęboko pod nieużywane pończochy. Phil spał. Naciągnął na siebie prześcieradła i koce i owinał nimi jak kokonem. Liza uśmiechnęła się, włożyła koszulę nocną i podeszła do łóżka.

- Phil? - Chciała go obudzić tylko na tyle, by móc wyciągnąć spod niego jakiś koc. - Posuń się. Żebym się mogła położyć.

Mruknął coś i odwrócił się na drugi bok. Razem z kocami.

- Phil! - Chwyciła za brzeg koca i pociągnęła. Otworzył jedno oko.

- Co się stało? - wybełkotał sennie, prawie niezrozumiale.

- Chcę się położyć.

Przez chwilę myślała, że Phil z powrotem zaśnie, ale mruknął coś jeszcze, odwrócił się i zrobił jej miejsce.

- Mój Boże, kobieto, ależ ty jesteś zimna! - Teraz już się obudził na dobre. - Gdzieś ty, u licha, była?

- Tańczyłam w świetle księżyca. - Przytuliła się do niego, wdzięczna za bijące od niego ciepło.

- O rany! - Objął ją. - Tylko dlaczego włożyłaś na siebie ten obrzydliwy flanelowy łach? No, dalej! Ściągaj to.

- Nie! - zachichotała i odsunęła się od niego. - Phil, jest późno i jesteśmy oboje zmęczeni.

- Jest późno i jesteśmy całkowicie rozbudzeni. - Wtulił twarz w jej pierś. - Tak pachniesz świeżością i mrozem jak dzikie zwierzę. Jak będziesz szła następnym razem tańczyć w świetle księżyca, zawołaj mnie, zatańczymy razem. Liza długo leżała, nie mogąc zasnąć, choć Phil dawno już spał. Leżała obok niego naga, rozgrzana i zaspokojona. Od czasu do czasu jej wzrok błędził w ciemności ku czarnemu zarysowi toaletki, skąd, mogłaby przysiąc, z górnej szuflady rozchodziła się czerwona poświata. Uśmiechając się na myśl o swojej głupocie, pozwoliła myślom powędrować do Adama i zastanawiała się, gdzie on teraz jest: z Jane czy z Brid? Była niemal pewna, że z tą ostatnią, i zmarszczyła z niezadowoleniem czoło. Gdyby to jej męża uwodziła ta diaboliczna, poszłaby tam i stoczyła z nią walkę.

Następnego dnia, jak tylko Phil zniknął w pracowni, zadzwoniła do Jane. Obok niej Beth bawiła się małym króliczkiem, próbując wcisnąć jego grube łapki w rękawki maleńkiego lalczynego sweterka. Za pół godziny Liza zawiezie małą do przedszkola, a potem pojedzie do Hay na pocztę.

Telefon dzwonił i dzwonił. Liza była bardzo niespokojna. Odwiesiła słuchawkę i wróciła do stołu dopić kawę. Było zbyt wcześnie, żeby oboje mogli gdzieś wyjść. Ostatnio Adam wychodził z domu tuż przed dziewiątą, droga do gabinetu zajmowała mu bowiem tylko pięć minut, a Jane wychodziła o wiele później po zakupy, jeśli w ogóle wychodziła. Liza wiedziała, że przyjaciółka coraz częściej pozostaje cały dzień w domu.

Dopiła kawę i znów podniosła słuchawkę. Tym razem czekała całe pięć minut, ale znów nikt nie odbierał telefonu. Zerknęła na zegarek na rękę i uświadomiła sobie, że już powinna wyjechać z Beth. Mimo to poszukała książki telefonicznej i odnalazła numer gabinetu Adama. Telefon odebrano natychmiast.

- Czy mogłabym mówić z doktorem Craigiem? Mówi Liza Stevenson.

- Niestety, ma w tej chwili pacjenta. - Głos był szorstki i kompetentny. -

Czy chce pani porozmawiać z doktorem Hardingiem?

Liza już chciała powiedzieć: nie, ale zmieniła zdanie. Po kilku sekundach połączono ją z Robertem.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale od kilku dni nie mogę się ,
dodzwonić do Jane. W domu nikt nie odpowiada na telefony. Jestem trochę
niespokojna. Wiesz może, czy tam u nich wszystko jest w porządku?

Nastąpiła krótka pauza. :

- Nie rozmawiałaś z Adamem?

- Jest zajęty. - Powiedziała to tonem bardziej szorstkim, niż zamierzała.

- Rozumiem. - Zawahał się. - Zdaje się, że Jane wstąpiła tutaj kilka dni temu i o ile wiem, wszystko było wtedy z pewnością w porządku. Adam sprawia wrażenie bardzo zmęczonego. Prawdę powiedziawszy, myślę, że żyje w ogromnym napięciu. - Przez wszystkie te lata znali się wystarczająco dobrze, żeby Robert miał do Lizy zaufanie, a po śmierci Caluma był ostoją dla obu rodzin. Mimo to wolał być

ostrożny.

Liza nie miała takich obiekcji.

- Dzieje się coś złego, Robercie. Okropnie złego. Zrobisz coś dla mnie?

Skontaktuj się czasem z Jane. Nawet jeśli to będzie tylko rozmowa przez telefon. Ja naprawdę się o nią martwię. - Zawahała się. - I nie mów, proszę, Adamowi o tym moim telefonie.

Jane zadzwoniła w porze lunchu.

- Dzwonił Robert Harding; - Sprawiała wrażenie przygnębionej. Jej głos, zazwyczaj łagodny, był suchy i poważny. - Mówił, że się o mnie martwisz.

- Nie mogłam się do ciebie dodzwonić.

- Wzięłam proszek nasenny. Ostatnio nie mogę spać. Robert mi je zapisał.

- Nie mówił mi o tym.

- Oczywiście, że nie. Jestem jego pacjentką. - Jane roześmiała się cicho, z ironią. - Ponieważ przyczyną moich kłopotów jest mąż, Robert pomyślał prawdopodobnie, że lepiej będzie, jak dochowa tajemnicy lekarskiej. - Westchnęła.

- Nie martw się o mnie, Lizo.

- Wiesz dobrze, że się martwię. - Liza przerwała na chwilę. - Czy jest tam ktoś z tobą?

- Nie. Kto miałby być? - Na chwilę zapadła cisza. - Och, myślisz o tej kobiecie - kocie? Nie, ona nigdy nie przychodzi, kiedy Adam jest w pracy. Sądzę, że wraca na bagna, z których wypęła, kiedy zajdzie słońce.

- Och, Jane. - Liza nachmurzyła się. - Posłuchaj. Wysłałam ci coś. Nowy amulet. Zrobiłam go specjalnie dla ciebie. Byłam u Meryna. Już wrócił i wie, co się ostatnio wydarzyło. Powiedział, że jeśli ja sama go zrobię, będzie działać i ona nie odważy się ciebie tknąć. Musisz mieć ten amulet stale przy sobie. Przez cały czas, Jane. Musisz się bronić. Pamiętasz, jak cię chronił przedtem?

- Ale przestał działać, prawda? Co za sens ma taka ochrona, skoro ona może mi zabierać męża?

- Potem zajmujemy się Adamem. - Liza westchnęła rozdrażniona. No, Jane. Musisz mi pomóc. Wspólnym wysiłkiem pozbedziemy się jej. Jestem pewna, że

nam się uda. Posłuchaj, przyjedziesz tu do nas niedługo. Beth chce zobaczyć swoją babcię Jane. Po drugiej stronie rozległo się szlochanie.

- Chciałabym, Lizo. Ale nie mogę go zostawić. Ona podkopuje jego zdrowie, wysysa z niego siły żywotne. On usycha na moich oczach i nie chce mnie słuchać. Ja już nie potrafię z nim rozmawiać.

- Więc nie próbuj.

- Może cię posłucha, Lizo? Zawsze cię szanował. Zapadła długa cisza.

- Wiesz przecież, że on nie chce mnie widzieć, Jane. Powiedział to całkiem wyraźnie, kiedy ostatni raz byłam u was.

- Myślę, że zechce się z tobą zobaczyć. Bez Beth. Cierpi, kiedy myśli o Beth. Przypomina sobie Caluma jako małego chłopca i nie może się pogodzić z myślą, że on też był ojcem. Lizo, proszę. Przyjedziesz?

Liza przygryzła wargę.

- Porozmawiam o tym z Philem. Jest w *tej* chwili bardzo zajęty i może nie będzie chciał zostać z Beth. - Skóra jej cierpła na myśl o przyjeździe do tego zimnego, nieprzyjaznego domu, z pozamykanymi drzwiami oraz czającym się wszędzie smutkiem i o utarczkach z Brid.

- Dwa dni. To wszystko, co mogę wygospodarować. - Phil kręcił głową. - I to, jeśli kategorycznie nalegasz. Nie podoba mi się ani trochę myśl o twoim pobycie w tym obłąkanym domu.

- Mnie także, ale cóż innego mogę zrobić, muszę im pomóc. - Liza pakowała swetry do podręcznej torby. - Jesteś pewien, że dasz sobie radę beze mnie?

Uśmiechnął się nagle.

- Oczywiście, że damy sobie radę, szefowo. Beth będzie mnie pilnować. Jak nas zasypie śnieg, będziemy się nawzajem szukać i zjeżdżać codziennie na tacy nakrytej do podwieczorku. Potrafię znieść jeszcze więcej, Lizo. - Nagle spoważniał, przyciągnął ją do siebie i pocałował. - Muszę się zabrać teraz do pracy, żeby moja sławna, bogata żona zdecydowała się wziąć urlop od swoich równie sławnych klientów i zamiast tego nałożyć fartuch. Moje obrazy nie przynoszą takich

zysków jak twoje, kochanie.

Przytuliła się do niego na chwilę.

- Może i nie, ale są milion razy lepsze. Okropne przy malowaniu portretów jest to, że człowiek się zawsze zastanawia, ile malowany obiekt płaci za swoją próżność, a ile za umiejętności tego, który maluje. - Najważniejsza jest skromność. Czegoż więcej człowiek może żądać? - Musnął jeszcze jednym pocałunkiem jej głowę. - Bądź ostrożna kochanie, dobrze? - Nie potrafił ukryć niepokoju w głosie.

- Oczywiście, że będę. Obiecuję.

Wracała do tej obietnicy myślami bez przerwy w czasie jazdy na wschód. Zajrzała do chaty Meryna, po drodze z Hay, ale go nie zastała. Starannie przebadala wzrokiem całe zbocze za ogrodem, ale nigdzie nie dostrzegła żadnego śladu Meryna. Jego nieobecność wprawiała ją w panikę. Potrzebowała jego rady i jego błogosławieństwa. Bez nich czuła się zupełnie bezbronna.

Tym razem przed domem w St Albans nie było samochodu. Ogródek był zadbany, wszystko wydawało się normalne. Zasłony w oknach były rozsunięte, w szybach odbijały się kapryśne zimowe promienie słońca. Liza zadzwoniła do drzwi i czekała, kuląc się pod powiewami silnego wschodniego wiatru.

Nikt nie otwierał. Zadzwoniła jeszcze raz i spojrzała na zegarek. Jane wiedziała o jej przyjeździe, a ona przyjechała punktualnie. Ktoś, właśnie Jane, powinien wyjść jej na spotkanie. Zadzwoniła po raz trzeci i już chciała obejść dom dookoła, ale odeszła kilka kroków i spojrzała do góry. W jednym z okien na piętrze ujrzała czyjaś twarz.

- Jane! - Pomachała ręką. - Wpuść mnie.

Twarz w oknie wpatrywała się w nią bacznie przez chwilę, po czym nagle zniknęła. Liza wróciła do drzwi.

- Przepraszam, spałam. - Jane była jeszcze w szlafroku, włosy miała potargane i nieumyte, twarz zmiętą.

Liza nachmurzyła się.

- Dobrze przynajmniej, że mnie w końcu usłyszałaś. - Mówiła ostrzej, niż zamierzała, ale widok malującej się na twarzy Jane rozpaczy budził w niej odrazę. -

No, idź na górę, ubierz się, a potem możesz mi zrobić filiżankę kawy. -
Podejrzewała, że Jane bardziej potrzebuje tej kawy niż ona, i chciała ją jakoś
rozruszać.

Pół godziny później siedziały w gabinecie. Oszklone drzwi były otwarte na
niewielki taras, dzięki czemu świeży powiew wiatru poruszał firankami i wypędzał z
pokoju zatechny zapach tytoniowego dymu.

- Przepraszam, straszny tu bałagan. - Jane sprawiała wrażenie, jakby jeszcze
spała mimo ogromnego kubka czarnej kawy, który trzymała w ręce. Pod swetrem
miała zawieszony jarzębinowy krzyż na pięknym złotym łańcuchu. - Nie masz
sprzątaczkę? - Liza rozglądała się dookoła. Nawet na biurku Adama widoczna była
gruba warstwa kurzu.

Jane wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

- Nie pomyślałam o tym po odejściu pani Freeling. Żadna sprzątaczką nie
chciała tu zostać po tym morderstwie, a teraz Calum nie żyje... - Mówiła coraz
ciszej, mniej pewnie.

- Zdecydowałam się zostać w tym domu, Jane. - Liza starała się dodać jej
odwagi. - A skoro już podjęłam taką decyzję, z pewnością postanowiłam wywiązać
się z tego jak najlepiej. Nie możesz powiedzieć: Nie będę sprzątać z powodu tego,
co się stało.

- Wiem. - Jane grzała sobie ręce na kubku, ramiona jej jakoś dziwnie
opadły. - To wszystko moja wina. Ale uporządkowałam ogródek.

- To wcale nie jest twoja wina - zaproponowała z oburzeniem Liza. - Na
litość boską! Nic, co się tu wydarzyło, nie wydarzyło się z twojej winy.

- Adam twierdzi, że tak. Gdybym nie psuła tak bardzo Caluma...

- No nie! Nie zniosę tego! Co za drań! Gdzie jest Adam?

- W pracy.

- Jak mu się udaje pracować w tym stanie? Przecież nie może pomóc swoim
pacjentom.

- Cokolwiek robi, pacjenci go uwielbiają. - Wzruszyła ramionami.

- Nie będą go uwielbiać, jeżeli kogoś wykończy. - Liza szybko traciła

cierpliwość. - No, Jane, otrząśnij się z tego. Spróbuj. Wysprzątaj dom i ugotuj coś dla Adama. Jak wróci i zje, to wtedy z nim porozmawiam. - Przerwała. - Jak rozumiem, tej damy nie ma tutaj w ciągu dnia.

Jane pokręciła głową.

- Znika, kiedy on wychodzi.

- Znika?

- Nie widziałam nigdy, żeby wychodziła drzwiami. - Jane roześmiała się niepewnym, gorzkim śmiechem. - Przypuszczam, że ona się dematerializuje albo wylatuje przez komin na miotle. Ale pojawi się, kiedy Adam wróci. Będzie na niego czekała na górze, w sypialni. - Wzdrygnęła się.

Liza przyglądała się jej twarzy. Irytacja ustępowała miejsca współczuciu. Nie mogła sobie wyobrazić, jak człowiek się czuje, kiedy się znajdzie w takiej sytuacji jak Jane: stracić męża, którego zabiera inna kobieta, to zwykła rzecz - ale stracić męża, gdy odbiera go duch, to zupełnie co innego. Jeżeli Brid była duchem. Liza potrząsnęła głową zrozpaczona, odstawiła kubek i wstała. - Chodźmy. Zabierzmy się do roboty i doprowadźmy ten dom do porządku.

- W ciągu dwóch godzin? - Jane ani drgnęła.

- W ciągu dwóch godzin możemy zdziałać mnóstwo.

Kiedy Adam wkładał klucz do zamka frontowych drzwi, salon był odkurzony i uporządkowany, na stole stały świeże kwiaty, a w garnku w kuchni dusiła się na ogniu wołowina. Liza nastawiła nawet płytę z jednym z ulubionych utworów Adama: koncertem skrzypcowym Elgara. Jane wyglądała zupełnie inaczej. Umyła i wyszczotkowała włosy, umalowała się.

Obie siedziały w salonie, kiedy usłyszały, że otwierają się drzwi frontowe. Liza uśmiechnęła się zachęcająco do Jane i skinęła głową.

- Adamie - zawołała Jane zupełnie spokojnie. - Chodź tutaj. Napij się sherry. Mamy gościa.

Adam ukazał się na progu. W rękę wciąż trzymał czarną skórzaną lekarską torbę. Na widok Lizy mina mu zrzędła.

- Nie przypominam sobie, że bym cię zapraszał. - Odstawił torbę z głuchym

łoskotem.

- Nie. - Liza weszła do salonu, zanim Jane zdążyła cokolwiek powiedzieć. Przeszła przez pokój i pocałowała Adama w policzek, wstrząśnięta widokiem jego wymizerowanej, zmęczonej twarzy. - Sama się wprosiłam, przejeżdżając tędy. Chciałam zobaczyć was oboje.

- I nie przyszło ci do głowy, że może nie chcemy cię widzieć? - Opadł na sofę i wziął do ręki kieliszek sherry, który mu podała Jane.

- Nie, nie przyszło. Nie przyszło mi też do głowy, że mogłeś się stać gburowaty, nieuprzejmy i niegościnnie! - odparowała ostro. - Nie szkodzi, twoja żona rekompensuje twoje wady.

- Liza ugotowała nam kolację - wtrąciła Jane w obronie Lizy. - To naprawdę miłe z jej strony, po tak długiej podróży.

- Musiała coś ugotować, skoro jest głodna. Nie przypominam sobie, żebyś ty ostatnio coś gotowała. - Jednym dużym łykiem opróżnił kieliszek. Wstał, podszedł do szafki, wziął karafkę i nalał sobie jeszcze jedną porcję.

- Nie mam dla kogo gotować - odgryzła się Jane. - Jesteś zbyt zajęty na górze, żeby zejść na dół i coś zjeść.

- Nie kłóćmy się - wtrąciła Liza. - Dlaczego nie możemy zjeść w spokoju i miłej atmosferze? - Zerknęła na Jane, widząc, że ta się czemuś przysłuchuje. Uniosła głowę i przechylała ją to w jedną, to w drugą stronę, jak gdyby słyszała coś na górze. Zaciskając mocniej dłoń na swym kieliszku sherry, Liza uśmiechnęła się do Adama. - - No, chodźcie do kuchni. Gulasz musi być już gotowy.

- Pójdę na górę się umyć. - Adam odstawił szklaneczkę.

- Nie! - krzyknęła Jane głosem pełnym niepokoju. - Nie chodź na górę. - Przenosiła wzrok z Adama na Lizę i z powrotem. - Popsujesz atmosferę tego posiłku - zakończyła nieprzekonująco. - A to byłaby taka szkoda - dodała.

Nastąpił moment elektryzującej ciszy, po czym Adam wzruszył ramionami.

- No dobrze. Zjedzmy szybko. - Wyszedł z pokoju sztywnym krokiem przed nimi, minął hol, nawet nie zerknąwszy na schody. Jane, która szła za nim, spojrzała w górę, Liza też. Czy coś się tam poruszyło? Nie wiedziała, ale patrząc w

kierunku ciemnego podestu na górze, poczuła nieprzyjemny dreszcz na plecach.

Usiedli przy stole i Jane uniosła pokrywkę garnka, uwalniając smugę smakowitej pary.

- Pachnie cudownie! - uśmiechnęła się do Lizy z wdzięcznością. - Prawda, Adamie?

Adam skinął głową. Oparł łokcie na stole, a głowę na dłoniach. Był najwyraźniej bardzo wyczerpany.

Jane nałożyła na talerz porcję mięsa z marchewką, grzybami i tłustym sosem, dodała tłuczonych ziemniaków i postawiła to wszystko przed nim.

- Po tym powinieneś poczuć się lepiej - powiedziała spokojnie. - Staniesz się nowym człowiekiem.

- Coś z tego twojego pobożnego życzenia na pewno się spełni. - Adam odchylił się na oparcie krzesła.

- Ona nie to miała na myśli, wiesz o tym dobrze! - powiedziała Liza stanowczo. - No, jedzcie oboje. Niech moje wysiłki, żeby wam przygotować coś dobrego, nie pójdą na marne. - Wzięła do ust dużą porcję gulaszu i przeżuwała go z namaszczeniem, wpatrzona w talerz. Przez chwilę wydawało się jej, że Adam zaraz wstanie i wyjdzie, nie skosztowawszy nawet jedzenia, ale w końcu wziął do ręki sztućce. Przez kilka minut dziobał widelcem ziemniaki i wołowinę, ale w końcu zaczął jeść. Chyba mu smakowało. Liza odetchnęła z ulgą.

Nagle na górze rozległ się jakiś łomot i wszyscy spojrzeli na sufit.

- Nie idź tam! - Widelec Jane brzęknął o talerz. - Adamie, proszę, nie idź tam.

Zmarszczył czoło, wpatrując się w sufit.

- Coś musiało spaść. - Nie szkodzi, Adamie. Jedz. - Liza uśmiechnęła się do niego najbardziej przekonująco, jak umiała. Miała nadzieję, że żadne z nich nie dostrzeże, jak skóra jej cierpnie ze strachu. Jakoś zmusiła się do wzięcia do ust następnej porcji.

- W starych domach zawsze się słyszy jakieś dziwne hałasy - powiedziała.

- To nie jest stary dom. - Głos Jane znów stał się dziwnie głuchy. Odłożyła

nóż i widelec. Liza zauważyła, jak jej drżą ręce.

- A-dam!

Ten odległy krzyk usłyszeli wszyscy troje. Jane zasłoniła uszy dłońmi.

- Nie idź tam. Proszę, nie idź. . - Jej prośba była rozdzierającym szlochem, ale Adam już odsuwał swoje krzesło.

- Adamie! - Liza wstała i pochyliła się nad nim. - Nie myśl nawet o tym, żeby tam pójść. Jeśli to zrobisz, jesteś głupcem!

- Zejdź mi z drogi, Lizo. - Odepchnął ją na bok i wstał.

- Adam, zastanów się nad tym, co robisz! - Chwyciła go za ramię. - Broń się, walcz, pamiętaj, czym ona jest!

- A czymże ona jest? - Odwrócił się ku niej raptownie, a ona cofnęła się o krok, zdziwiona jego nagłą zjadliwością. - Powiem ci, czym ona jest. Piękną, pełną ciepła,, kochającą osobą, która się bardzo o mnie troszczy, która mi współczuje, bo straciłem jedyne dziecko, która rozumie, co przeszedłem, podczas gdy inni myślą tylko o sobie! Oto czym ona jest.

- Adamie, to niesprawiedliwe! - krzyknęła Jane. - Wiesz przecież.

- I co więcej, to nieprawda - wtrąciła Liza. - Ona nie jest nawet istotą realną.

- Nie? - Adam uśmiechnął się dziwnie. - Ona czuje naprawdę, wiercie mi, działa naprawdę, i to, co mówi, jest prawdą.

- No więc skoro jest realna, to dlaczego nie zejdzie tu do nas i nie zje z nami kolacji jak cywilizowany człowiek? - Liza starała się nie podnosić głosu. Odsunęła się od Adama. - Idź, zawołaj ją. Powiedz, żeby zeszła tu i zjadła z nami.

- Nie bądź głupia.

- Dlaczego to jest głupie? Nie widzę żadnego powodu, dla którego nie miałyby tego zrobić. - Liza stała między nim i drzwiami. - Idź, zawołaj ją. - Uniosła wyzywająco do góry podbródek. - W końcu wszyscy ją znamy, prawda?

Odszedł kilka kroków od stołu.

- Zejdź mi z drogi, Lizo, proszę.

- Adam! - Jane podbiegła do niego i chwyciła go za ramię. Strząsnął jej

rękę.

- Wierzcie mi, wy wcale nie chcecie, żeby ona tu zeszła.

- Ależ chcemy, Adamie. - Liza znów zastąpiła mu drogę. - Chcemy ją zobaczyć. Chcemy z nią porozmawiać. Zapytać, co ona tu robi. Rozbija rodzinny dom! Chcemy ją zapytać - zmrużyła oczy - co robiła na środku drogi podczas deszczu przed samochodem, którym jechali moja córka i twój syn.

- Nie! - krzyknął. - Nie, to nieprawda. Ty głupia, głupia kobieto, ty ignorantko! To nie była Brid.

- Nie? - Liza nie ustępowała. - Więc zapytaj ją.

- Nie potrzebuję pytać. Ona nigdy nie zrobiłaby czegoś, co mogłoby mnie zranić. Jest dobra, piękna i miła.

- Bzdury. To harpia. Nie, Adamie, zostań tu. - Liza czepiła się jego ramienia, kiedy chciał wyjść. - Pomyśl! Na litość boską! Ocknij się!

Odepchnął ją.

- Wracaj do domu, Lizo. Nie jesteś tu mile widziana. - Podeszedł do drzwi i otworzył je. - Mieszasz się do spraw, których nie rozumiesz. - Wyszedł do holu i zatrzasnął za sobą drzwi. Usłyszały, jak wbiega po schodach na górę.

Jane opadła z powrotem na fotel i wybuchnęła płaczem.

- Widzisz? Co ja mam robić? Ona go opętała.

- Idę za nim.

- Nie! - Jane teraz już krzyczała. - Nie możesz tego zrobić. Ona jest niebezpieczna. Ona zabija ludzi!

- Mnie nie zabije. - Gniew Lizy szybko zbliżał się do punktu wrzenia. - Ty zostań tutaj.

Otworzyła drzwi, nie dając sobie nawet czasu na zastanowienie, i pognąła za Adamem po schodach i przez podest do pokoju gościnnego. Spodziewała się, że Adam zamknie się w nim, ale gdy pociągnęła za gałkę, drzwi z łatwością się otworzyły. Adam stał przy łóżku, zdejmując koszulę, a Brid całkiem rozebrana obejmowała go za szyję. Oboje się obejrżeli, kiedy Liza stanęła w progu. Brid się uśmiechnęła. Nie zrobiła nic, żeby się okryć, ani nie odsunęła się od Adama.

- Wyjdz! - krzyknął Adam. Położył dłonie na pośladkach Brid. Odwrócił się od Lizy. - Idź sobie! Wynoś się! A może stałaś się podglądaczką na stare lata? - Celowo użył tak okrutnych słów. Ukrył twarz we włosach Brid, tuląc ją do siebie.

- Ty głupcze! Ty idioto! - Liza nie wierzyła własnym oczom. - Nie wstyd ci? Rozum ci odebrało? - Ani trochę. - Z uśmiechem wpatrywał się w oczy Brid; Liza mogłaby przysiąc, że dziewczyna mruczy jak zadowolony kot.

- Biedna Jane - warknęła Liza z nieopisanym wstrętem. Wprost nie posiadała się z oburzenia.

- Tak, biedna Jane. Zostaw ją w spokoju, Lizo. - Mówiąc to, Adam nawet na nią nie patrzył, twarz miał nadal wtuloną w długie, lśniące włosy Brid.

Nagle Liza poczuła, że nie zniesie tego dłużej. Odwróciła się i wybiegła z pokoju, trzaskając z całej siły drzwiami. Przebiegła przez podest i wpadła do łazienki. Ledwie zdążyła. Zaczęła gwałtownie wymiotować.

Po chwili odkręciła kran z zimną wodą i spryskała nią twarz i ręce. Trzęsła się jak liść na wietrze.

- Lizo? - usłyszała głos Jane nieśmiało wzywający ją z dołu, z podnóża schodów. - Lizo, dobrze się czujesz?

- Tak - zmusiła się jakoś do odpowiedzi. - Już idę. - Wydmuchała nos w kawałek papieru toaletowego, nabrała głęboko powietrza i otworzyła drzwi. W pokoju gościnnym było cicho. Zbiegła po schodach, minęła Jane w holu i weszła do kuchni. - Czy możesz mi zrobić kawy? Proszę. - Opadła na krzesło.

- Co się stało? - Jane miała bladą twarz, ale ręce jej się nie trzęsły, kiedy sięgała po czajnik i napełniała go wodą pod kranem.

- Ona jest tam z nim.

- Wiedziałyśmy przecież. - Jane mówiła głosem całkiem apatycznym.

- Ale z nim. Dosłownie z nim.

Liza spojrzała do góry i odgarnęła włosy z czoła.

- Przykro mi, Jane. Nie zdawałam sobie sprawy. Myślałam... - Przerwała i potrząsnęła głową. - Sama nie wiem, co myślałam.

- Uprawiają seks - powiedziała Jane obojętnie. - Słyszę ich co noc. Jak

myślisz, dlaczego biore proszki nasenne? On nie potrafi trzymać rąk z dala od niej. Jest zupełnie opętany. Nie je. Niewiele śpi. Nie powinnam o tym myśleć. -
Roześmiała się z goryczą. - On po prostu przychodzi, idzie na górę i pieprzy się.
Robert Harding pyta, co się stało. Ze mną.

- Chodźmy. Zaraz. Jedźmy do Peny - Ffordd. Możesz tam mieszkać.

- Muszę mieszkać tutaj. To jest mój dom. Tutaj, a nie gdzie indziej. Odkąd mamusia przeniosła się do domu opieki, nawet nie mogę do niej pojechać.

- Przecież nie chciałabyś z nią mieszkać. Ale tutaj to nie jest dom, to więzienie. Wiesz, że zawsze będziesz miała dom u nas. Zawsze. Zostaw go. Na litość boską, jak możesz pozwalać, żeby on cię tak upokarzał. - Liza wstała. - Idź, spakuj trochę rzeczy. Zaraz wyjeżdżamy. Pójdę na górę po swoją torbę.

Jane potrząsnęła głową.

- Nie mam dość siły, żeby z tym walczyć, Lizo.

- Wiem. Aleja mam. Nie wyjadę bez ciebie. - Jane czuła wprost namacalnie jej wściekłość i upokorzenie. Liza odwróciła się i pobiegła do holu, a potem na górę, przeskakując po dwa schodki naraz.

Jane ulokowała ją w dawnej sypialni Caluma, ponieważ pokój gościnny był zajęty, i teraz, otwierając drzwi, Liza poczuła ten sam żal i smutek, co wówczas, kiedy weszła tu po raz pierwszy. Jego rzeczy nadal tak bardzo go jej przypominały. Jane nic tu nie ruszyła. Walizka Lizy leżała na łóżku. Nie zdążyła jej rozpakować. Zabrała płaszcz i odwróciła się do drzwi. Na progu stał Adam w szlafroku. Włosy miał rozczochrane, a na jego twarzy malowała się wściekłość.

- Co ty tu robisz?

- Zabieram swoje rzeczy. Wyjeżdżam.

- Nie masz nic do roboty w tym pokoju.

- Jak widzisz, nie zatrzymałam się tutaj.

- Zabiłaś mojego syna.

- Gówno prawda! Jeśli ktoś go zabił, zrobiła to Brid. Idź, zapytaj ją, co zrobiła.

- Nie opowiadaj takich rzeczy. - Twarz miał wykrzywioną wściekłością. -

Wynoś się z mojego domu, Lizo, i nigdy tu nie wracaj. Żebyś mi się nie ważyła nigdy więcej postawić stopy w pokoju mojego syna. To wy go zamordowałyście, ty i twoja córka. Gdyby nie wy, nadal by żył!

- Wiesz, że to nieprawda, Adamie! - krzyknęła. - Calum kochał Julie. Ja także straciłam dziecko, wiesz o tym. Beth straciła rodziców! Czy ty nie potrafisz zrozumieć, co się stało? Nikt nie ponosi za to winy oprócz kobiety, która wyszła im przed maskę na tej mokrej drodze. To była jej sprawka, a ty jeszcze pozwalasz jej tu przychodzić i się uwodzić! Pozbądź się jej, Adamie. Odeślij ją. Ona jest uosobieniem zła. To potwór.

Jakiś cień poruszył się za Adamem na podeście. Liza się cofnęła.

- Nie pozwól jej zbliżyć się do mnie, bo nie odpowiadam za siebie. - Na drzwiach pokoju wisiał zakrzywiony nóż Caluma, ukochane trofeum przywiezione z pełnej przygód wycieczki szkolnej do Indii. Zrobiła dwa kroki i chwyciła go. Odwróciła się, wymachując ostrym jak brzytwa kindżalem przed majaczącym z tyłu cieniem. - Wyrzuć ją stąd, Adam. Zwierzęcy pomruk dochodzący z tyłu był pełen nienawiści. Adam się uśmiechnął.

- Nie bądź głupia, Lizo. Nie możesz jej zabić. Jane próbowała i nie udało jej się.

- Mnie się uda. - Liza wymachiwała nożem przed majaczącym cieniem kobiety. - Każ jej się stąd wynieść, Adamie.

Nie widziała jej, ale czuła w powietrzu zwierzęcy zapach lęku i chuci i nagle usłyszała znowu niski pomruk od strony drzwi, za Adamem.

- Odejdź, Lizo.

Odniosła wrażenie, że Adam nie reaguje w sposób normalny. Przez chwilę się zastanawiała, czy nie jest lunatykiem albo czy nie znajduje się w jakimś hipnotycznym transie.

- Nie chcemy cię tutaj.

- Adam! - powiedziała ostro. - To ja, Liza. Do mnie mówisz.

- Wiem, do kogo mówię. - Znowu się tak dziwnie uśmiechnął. - Do intruza. Nie chcemy cię tutaj. Czy nie możesz tego zrozumieć? - Skinął na Brid;

dziewczyna wysunęła się na przód, wysoka, smukła, piękna, z ciemnymi włosami opadającymi na ramiona. Owinięta była białym prześcieradłem. Jej poważne szare oczy spotkały wzrok Lizy. Patrzyła na nią wyzywająco.

- Dlaczego chcesz mi go odebrać? - przemówiła niskim, melodyjnym głosem. - Masz przecież teraz innego mężczyznę. - Oparła na chwilę głowę na ramieniu Adama. - To przecież mnie on zawsze kochał.

- Nie, Brid. - Liza z trudem zdobywała się na spokój. - On cię wcale nie kocha. Kocha swoją żonę. Kochał swojego syna. Coś ty zrobiła jego synowi?

- Lizo! - przerwał jej z wściekłością Adam.

- Nie. Pozwól jej odpowiedzieć. Co zrobiłaś jego synowi?

- Adam nie ma syna. Nie kocha nikogo oprócz mnie.

- Ale miał. Nie pamiętasz? Syna i synową, i małą wnuczkę, w samochodzie...

- Nie pamiętam. To nieważne. - Brid zbliżyła wargi do ust Adama, tuląc się do niego kusząco. Musnęła dłonią jego twarz. - Każ jej odejść, A-dam.

- Lizo, proszę - powiedział bardzo spokojnie.

- Jeśli nie odejdziesz i nie zostawisz nas w spokoju, zabiorę ci twojego mężczyznę. - Oczy Brid zwięzły się jak ślepią kota, kiedy patrzyła na Adama, bezpieczna w jego ramionach. Czowała działanie jarzębinowego krzyżyka od chwili, kiedy Jane zawiesiła go sobie na szyi. Otaczał żonę Adama ognistym kręgiem i dzięki temu była bezpieczna. Ta druga kobieta miała także siłę otaczającego ją światła. Ale można ją było zranić w inny sposób. - Spróbuj mi odebrać A-dama, a odbiorę ci twojego Phila. Lize przeniknął chłód. Jej ochronny krąg rozluźnił się.

- Nie groź mi. Skąd wiesz, jak najmie mojemu mężowi?

- Wiem wszystko. - Brid nieubłaganie przyciągała do siebie wzrok Lizy. - Odejdź.

- Nie odejdę bez Adama. Chcę, żeby poszedł ze mną.

- A więc jesteś głupia. - Brid mierzyła ją pogardliwie wzrokiem z góry na dół. - I rzucę na ciebie klątwę. Sprawię, że będziesz cierpiała. Nie pozwolę ci zabrać mojego A-dama.

- Lizo, ostrzegałem cię. - Adam objął mocniej Brid. - Nie sprzeciwiaj jej się dłużej.

- No to, na litość boską, Oprzytomnij! Brid potrząsnęła głową,

- Ona nie chce cię słuchać, mój A-damie. - Uniosła rękę, wskazując palcem Lizę. - Przeklinam cię. Stracisz mężczyznę, którego kochasz, ponieważ ty przeklełaś mnie i pragniesz, żebym ja. utraciła swojego.

Liza się cofnęła. Nagle poczuła wokół siebie zimny, trujący powiew, wirujący poza jej dostrzegalną w wyobraźni osłoną.

- Dobrze. Odejdę. Ale nie wyjdę stąd, dopóki ty nie wyjdiesz. - Z przerażeniem stwierdziła, że drży jak liść. Obrzuciła stojącego wciąż na progu Adama spojrzeniem pełnym wściekłości. - No, dalej, zabierz ją do swojego pokoju, wtedy odejdę. - Rozpaczliwie próbowała wyprostować ramiona. Niech nie widzi, jak się boję. Ona nie może się zorientować, jaka jestem przerażona.

Brid uśmiechała się. Leniwie, długo, wyniośle. Niedostrzegalnym ruchem uwolniła się z objęć Adama i przeszła przez hol. A jednocześnie wydawało się, że się wcale nie poruszyła.

- Chodź, A-dam.

Adam ruszył za nią ku drzwiom gościnnego pokoju. Tam jeszcze się odwrócił.

- Nigdy tu nie wracaj.

- Nie wrócę. Może więc zdjąć swoją klątwę. - Liza czuła suchość w ustach.

Brid uśmiechnęła się przez ramię.

- Za późno. Klątwa nadal pozostaje w mocy.

- Adam!... - Ale wołanie Lizy nie dotarło do uszu Adama. Wyszedł już.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, Liza stała przez chwilę zlodowaciała dosłownie do szpiku kości, niezdolna się poruszyć.

- Niech Bóg ma cię w swej opiece, Adamie. I nas wszystkich.

- Nie mogę go zostawić - Jane potrząsnęła uparcie głową. - Jeśli odejdę, stanie się coś strasznego.

- Stanie się coś strasznego, jeżeli zostaniesz. - Liza miała już na ramieniu swoją torbę. - Zaczekam na ciebie w samochodzie. - Podeszła do drzwi. - Mówię

poważnie, Jane. Nie zostanę w tym domu ani chwili dłużej. Daję ci dziesięć minut.

Na dworze było już ciemno. Liza doszła do końca krótkiego podjazdu, minęła wóz Adama i wyszła przez bramę. Na spokojnej uliczce otworzyła drzwiczki swego triumpha, wrzuciła torbę na tylne siedzenie i wsiadła. Ciągle jeszcze się trzęsła.

Zerknęła na zegarek, żeby zobaczyć, która godzina.

Zasłony w oknie na górze były niezupełnie zaciągnięte, przez wąską szparę w jasnoniebieskim perkalu widziała palące się światło. Nie dostrzegła tam żadnego ruchu.

Znowu spojrzała na zegarek. Minęły dopiero dwie minuty. Chciała już jechać. Pragnęła być już w domu, z Philem i Beth, daleko od tego straszego domu i jego nieszczęsnego mieszkańca. Jeszcze jedna minuta. O Boże, chroń ich! Nie pozwól, żeby coś się stało Philowi albo Beth.

- Wyjdź, Jane. Wyjdź.

Zamknęła oczy i zaczęła w myśli liczyć. Gdy doliczyła do dwudziestu pięciu, przerwała i znowu otworzyła oczy. Zerknęła na okno z niebieskimi zasłonami. Było ciemne.

- Jane! Gdzie jesteś?

Przygryzła wargę. Czy powinna wysiąść, wrócić tam i próbować jeszcze raz ją namówić? Ale przecież próbowała. Naprawdę próbowała.

Minęło następne pięć minut. Pozostały tylko dwie. Liza położyła rękę na kluczyku w stacyjce i patrząc na zegarek, liczyła każdą sekundę na oświetlonej tarczy.

Frontowe drzwi pozostały zamknięte. Jane nie przyjdzie. Z westchnieniem Liza uruchomiła silnik.

Zrobi sobie tylko dwie przerwy na kawę w kawiarence dla kierowców mieszczącej się w przyczepie i uda jej się dotrzeć na miejsce w niecałe dwie godziny. Skręcając w wąską drogę za Talgarth, zwolniła, wrzuciła pierwszy bieg i wolno ruszyła ku farmie.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że w domu palą się wszystkie światła. Z niemiłym uczuciem, że czeka ją coś złego, wjechała na podwórko. Wyłączyła silnik

i przez jakąś minutę siedziała spokojnie, słuchając, jak tyka cicho, stygnąc w zimnym powietrzu. Potem wysiadła zeszywniała i wyczerpana, i ruszyła do domu.

Drzwi kuchenne otworzyły się i ukazała się w nich jakaś kobieta. Jej zaniepokojoną twarz jasno oświetlała lampa z podwórka.

- Jenny? Co ty tu robisz? - Na widok sąsiadki Liza poczuła zimny ucisk gdzieś głęboko w żołądku. - Gdzie jest Phil?

Jenny wzruszyła ramionami.

- Miałam nadzieję, że to on. Wyjechał kilka godzin temu. Harry Evans dzwonił z Bryn Glas. Powiedział, że kilkoro dzieci zaginęło na górze. Zorganizowali ekipę poszukiwawczą. Phil zadzwonił do mnie i prosił, żebym przysłała i posiedziała z Beth. I pojechał. - Wzruszyła ramionami. - Dzwoniłam do Eleri przed godziną, żeby się dowiedzieć, czy są od nich jakieś wiadomości, ale powiedziała mi, że nie wie o żadnych dzieciach, a Harry śpi w swoim łóżku. Och, Lizo, kochanie, nie wiem, co o tym myśleć. Nie wiem, czy to był jakiś żart, czy co? Nie wiedziałam, co robić. Nie mogłam zostawić Beth. Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić na policję.

Liza stała jak skamieniała. Całe ciało miała kompletnie zdrtwiałe. Wpatrywała się w ciemność za stodołami, w wielkie czarne zbocze góry, uśpione pod gwiazdami.

Brid.

- Mam zadzwonić na policję?

Zdała sobie nagle sprawę, że Jenny ciągle mówi.

- Nie wiem. Tak, myślę, że tak. - Paniczny lęk zalewał ją falami. - Wejść i sama zamienię kilka słów z Eleri. Kiedy Phil miał ten telefon?

Trzęsła się tak bardzo, że ledwo mogła utrzymać słuchawkę. Tym razem telefon - odebrał Harry.

- Dziwny żart, Lizo. Zastanawiam się, czy on się nie przesłyszał. Może spał czy co? - Tubalny głos Harry'ego działał uspokajająco. - Słuchaj, jak Phil się tu pokaże, zadzwonię do ciebie. Chyba lepiej będzie, jak sama zamienisz słówko z policją, może Phil miał jakiś wypadek. Tam jest ślisko. Nie martw się, wkrótce się zjawi,

Policjanci byli uprzejmi, uspokajali Lizę, ale nie mieli zamiaru podjąć na razie żadnej akcji. Liza z trzaskiem odłożyła słuchawkę. - Nie mają zamiaru nic robić. Nie obchodzi ich to. Najwidoczniej jeszcze za krótko jest nieobecny. Jak długo tu jesteś, Jenny? - odwróciła się ku drzwiom. - Proszę, zostań jeszcze trochę. Sama tam pojedę.

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł? Chcesz, żebym zawołała Kena?

- Nie. - Liza potrząsnęła głową, wkładając kalosze i sięgając po kurtkę i szalik. - Znajdę go. Pewnie pojechał tą górską drogą. Mógł wstąpić do Meryna albo pojechać przez przełęcz do Hay. Albo wpadł w poślizg i zjechał do rowu na jakimś zakręcie; niektóre są źle wyprofilowane.

Samochód był jeszcze ciepły i przytulny. Liza zatrzasnęła drzwiczki, zapaliła, wykręciła, sprostowała koła, znów wykręciła i ruszyła w kierunku wzgórza.

Chata Meryna świeciła pustką. Liza stanęła w ogrodzie przed wejściem i wpatrywała się z przerażeniem w pustą przybudówkę, gdzie Meryn trzymał samochód. Komin był zimny, a salon, do którego zajrzała przez okno, bo firanki nie były zasłonięte, wyglądał na opuszczony i niezamieszkaany.

- Och, Meryn! - Stojąc przed chatą, wybuchnęła płaczem jak rozczarowane dziecko. Nagle sobie uświadomiła, jak bardzo liczyła na to, że Meryn ją pocieszy, doradzi, co ma zrobić, doda sił.

- Phil! - Jej krzyk odbił się echem w bezmiarze przestrzeni pod gwiazdami i zaginał po drugiej stronie góry. Nikt, nie odpowiedział.

Jechała wolno. Światło reflektorów wyławiało z ciemności zakręty drogi, lód iskrzył się na zwirowej nawierzchni i Liza zdała sobie nagle sprawę, że w miejscach, gdzie warstwa smoły jest świeża, a lód szklisty i gładki, widać ślady innego samochodu, który jechał tędy przed nią.

- Phil? - Zwolniła trochę, czując, że koła ślizgają się na zakręcie. Reflektory wyłoniły z mroku stłoczone kształty stada kucyków stojących tyłem do wiatru. Ich długa, kudłata sierść pokryta była błotem; koniki obserwowały ją obojętnym wzrokiem, kiedy przejeżdżała obok.

Silnik pracował, ale Liza z przerażeniem zerknęła na wskaźnik paliwa.

Stwierdziła, że ma jeszcze ćwierć baku. Zbliżała się do szczytu przełęczy. Kiedy tam dotrze, będzie mogła zjechać na szeroką boczną koleją i ogarnąć wzrokiem całą okolicę w świetle księżyca.

Stojąc koło samochodu, widziała przed sobą srebrną wstęgę drogi, biegnącą, jak okiem sięgnąć, to w górę, to w dół po tej stronie wzgórza, tylko gdzieś znikającą w załamaniu terenu albo za urwiskiem. Starając się zachować spokój, przepatrywała powoli i dokładnie każdy skrawek rozległej przestrzeni. Przeklinała samą siebie, że nie zabrała lornetki wiszącej na kołku na drzwiach kuchennych. Tam, gdzie stała, było jasno niemal jak w dzień, ale za nią, w dolinie za zakrętem, gdzie drzewa rosły gęsto po obu stronach strumienia, panowała zupełna ciemność. Gdzieś w dole pohukiwała sowa, a w oddali od czasu do czasu beczały owce. Zapędzono je teraz na niżej położone pastwiska należące do farmy, u stóp góry, ale głos niósł się wysoko, tam gdzie letnie wypasy ciągnęły się aż do podnóża wysokich, czarnych urwisk skalnych, gdzie gnieździły się myszołowy i kanie.

Cichy pomruk dobiegł z cienia rzucanego przez skały na skraj bocznic kolejowej; Liza odwróciła się. Zrozpaczona penetrowała wzrokiem ciemność, czując, jak serce bije jej głośno pod żebrami. Obróciła się znów dookoła, próbując określić miejsce, z którego dochodziło mruczenie, ale teraz już nic nie słyszała w bezmiarze ciszy. Ostrożnie przesunęła się w kierunku otwartych drzwiczek samochodu i wtedy nagle go zobaczyła. Kot stał przed nią - ogromny, bury, z uszami położonymi płasko nad szerokim czołem, oczy lśniły mu niemal czerwono w świetle księżyca. Uniósł wargi, pokazując zęby. Liza odwróciła się, wskoczyła do samochodu i zatrasnęła drzwi. Oddychając ciężko, spojrzała w lusterko, a potem wyciągając szyję rozejrzała się dookoła, chcąc zobaczyć, gdzie kot się podział. Nie było go już, ale przez sekundę miała wrażenie, że dostrzega postać kobiety stojącej w cieniu skały.

- Ty suko!

Włączyła silnik i drżącymi dłońmi obracała kierownicą, dopóki reflektory nie oświetliły miejsca, gdzie przed chwilą widziała tę postać. Ale nie było tam już nic poza małym karłowatym ciernistym krzewem z obwisłymi i powyginanymi przez

wiatr gałęziami.

Ruszyła wolno drogą o wąskim poboczu, miejscami błotnistym, gdzieniegdzie zaś porośniętym trawą i kępami janowca. Potem zjechała ostrożnie serpentyną ku linii drzew. Tam, tuż koło bramki dla bydła zamykającej pastwisko, ujrzała ślad poślizgu, prowadzący z drogi do małego wąwozu. Zatrzymała samochód. Pomodliła się bezgłośnie, po czym zmusiła się do otwarcia drzwiczek. Wysiadła.

Na stoku góry panowała cisza.

Ślizgając się i potykając, Liza przebiegła po obludzonej drodze na trawiaste pobocze i zaczęła się wspinać stromym stokiem do miejsca, gdzie mały potok płynął w kierunku lasu.

Stary land - rover Philipa tkwił zaryty maską w górskim potoku. W pierwszej chwili Liza nie rozpoznała go, stanowił tylko ciemniejszą plamę w głębokim cieniu małej dolinki. Potem dojrzała zarysy samochodu, przechylnego pod dziwnym kątem.

- Phil? - Jej głos zabrzmiał niezwykle słabo w rezonującej echem ciszy gór.
- Phil, nic ci nie jest?

Wiedziała, co się stało. Wiedziała to od pierwszej chwili, gdy pół godziny temu wyruszała z domu. Ale wtedy jeszcze miała nadzieję. Z trudem otworzyła drzwiczki samochodu i ujęła rękę Phila. Jeszcze próbowała wyczuć puls w lodowato zimnym nadgarstku i wyprostować pochyloną głowę z siną, potłuczoną twarzą. Jeszcze wyciągnęła koc i otuliła go nim tak czule, jakby był śpiącym smacznie dzieckiem. Dopiero wtedy usiadła na zamarzniętej trawie obok land - rovera i wybuchnęła płaczem.

Dostrzegł ją dwie godziny później jakiś farmer jadący w kierunku Capely - fin po spotkaniu przy kieliszku z przyjacielem w Glasbury. Skłonił go do zatrzymania się samochód Lizy, stojący na środku drogi z otwartymi drzwiczkami i reflektorami świecącymi już bardzo słabo.

Ledwo sobie uświadamiała, że we śnie wyśliznęła się z ciepłego łóżka Adama i wyszła na chwilę na zimną, pokrytą lodem górę. Teraz przytuliła się zmarznięta do jego ciepłego ciała i słysząc przyspieszony oddech Adama, uznała, że mu to

sprawiło przyjemność. Szczęśliwa, zamknęła oczy, przywarła do niego mocno i chłonęła zapach jego skóry, badając jej słony smak koniuszkiem języka. Adam westchnął przez sen, nagle się odwrócił, sięgnął po poduszkę i przyciągnął ją sobie pod głowę. Brid usiadła, niezadowolona, zła, że ją odepchnął, i oczy zwięzły jej się w ciemności. Karmiła się jego siłą; jeżeli jej nie otrzyma, nie będzie mogła z nim zostać. A bez niego będzie zgubiona. Rozejrzała się dookoła w ciemności i od razu wyczuła obecność czyhających na nią cieni. Były tak blisko. Broichan nie rezygnował. Czekał na nią na obrzeżach czasu.

Ani Jane, ani Adam nie przyszli na pogrzeb. Kiedy Liza zadzwoniła, Jane wyraziła współczucie, ale z dużą rezerwą. Adam w ogóle się do niej nie odezwał.

Rozdział siedemnasty

Ból po stracie nie przeminął, ale w miarę upływu czasu stawał się bardziej znośny. Nikt nie próbował sprawdzać, czy Phil potrafił jeździć po oblodzonych drogach; Liza nie miała też żadnego dowodu, że piękna młoda kobieta z odległej epoki ukazała się wtedy na drodze przed samochodem, którym jechali Julie i Calum. Niegodziwa zbrodnia opętanego i wściekłego ducha odchodziła w zapomnienie.

Pierwsze lata po śmierci Phila były niewiarygodnie pracowite. Niemal natychmiast Liza musiała wziąć się do roboty, żadne z nich bowiem nie było zbyt oszczędne, nie leżało to w ich naturze. Phil zarabiał pieniądze, a Liza zajmowała się wychowywaniem Beth: Podjęli taką decyzję za obopólnym porozumieniem i Liza dziwiła się samej sobie, że z taką łatwością zawiesiła na kołku swoją karierę artystyczną. Teraz, co również ją zaskoczyło, była zadowolona, że może znów malować. Praca odwracała jej uwagę od myśli o stracie Phila. O dziwo, znów szybko zaczęły napływać zamówienia. Trudno było sprostać potrzebom pełnego życia małego dziecka i jednocześnie zapewnić sobie spokój i przestrzeń niezbędne

do pracy, ale Liza jakoś sobie radziła dzięki pomocy miłych sąsiadów i wyrozumiałych klientów.

Dopomogła jej także uroda ślicznej Beth i pogodne usposobienie dziewczynki, a także łatwość, z jaką mała potrafiła się dostosować do nowego trybu. Nauczyła się cenić zarówno niezwykle spokojny i cichy walijskiej wsi, jak i fascynujące podróże po całej Europie, częste teraz dzięki znakomitej renomie Lizy jako portrecistki.

Ale Liza była bardzo samotna. Z początku nie wiedziała, czy potrafi żyć bez Phila. Każdy kąt w domu wydawał się bez niego pusty, każde działanie bezsensowne. Gdyby nie ta mała dziewczuszka, którą musiała się zajmować, straciłaby chęć do życia. Ale Beth była przy niej przez cały czas, małe rączki obejmowały jej szyję, pocałunki koły ból. Liza pamiętała pierwsze wypowiedziane dziecięcym szczebiotem słowa: „Nie płacz, babciu Lizo”, i małe paluszki, które otarły z jej oczu łzy.

Meryn nie opuścił jej także. Po raz pierwszy w życiu zszedł ze wzgórza i pewnego dnia Liza zastała go siedzącego w kuchni. Jego filozofia była prosta. Phil nigdzie nie odszedł. Był wciąż tutaj, z nimi, strzegł ich, oczekiwał od nich, że mu pokażą, iż potrafią sobie radzić. Meryn nauczył Lizę rozmawiać z Philem, pytać go o radę i słuchać w głębi duszy jego odpowiedzi. Przekonał ją, że Phil nie chciałby, żeby marnowała życie, zalewając się łzami i pozwalając, by dzieciństwo Beth było pełne smutnych wspomnień. I na koniec powiedział jej, że musi pozwolić Philowi odejść w spokoju, uwolnić się od niego, żeby wspomnienia o nim nie wypełniały dłużej bez reszty tego domu. Kazał jej odwiedzać grób Phila, znajdujący się obok mogiły Julietty i Caluma, w ciepłe, słoneczne dni, z radością, a nie ze smutkiem, nie co tydzień, tylko od czasu do czasu, kiedy będzie chciała podzielić się z mężem czymś bardzo ważnym. Nauczył ją także otaczać się barierą chroniącą ją przed Brid. Nie będzie już nigdy odwiedzin zbików na farmie ani zemsty zazdrosnych duchów. A kiedy poczuł, że Liza jest już znów dość silna, że da sobie radę, zaczął przychodzić na farmę coraz rzadziej i rzadziej, aż pewnego dnia, kiedy skręciła z drogi ku jego chacie, stwierdziła, że go nie ma. Komin był zimny. I zdała sobie sprawę, że jeszcze raz zostawił ją, żeby sobie radziła sama.

Pojawiali się nawet w jej życiu w ciągu tych lat inni mężczyźni. Niewielu, i nie były to poważne związki. Z jednym wyjątkiem. Nigdy nie zapomni pewnego włoskiego hrabiego, pisarza, który mieszkał w starym, na pół zrujnowanym zamku na wzgórzach za Fiesole i którego portret namalowała pewnego wspaniałego lata. Niewiele brakowało, żeby za niego wyszła, ale i tym razem coś ją powstrzymało. I nie chodziło o to, że jej uczucia nie były dość silne. Czuła się przy nim dobrze i spędziłaby pewnie szczęśliwą resztę życia u jego boku, ale coś ją powstrzymało. Nie chciała teraz należeć do kogoś, a Michele pragnął, żeby należała tylko do niego. Liza była niezależna, tak jak jej sztuka, i zanadto to sobie ceniła. On by tego nie zrozumiał. Wiele czasu upłynęło od jej ostatniej wizyty w pięknym zameczku wśród drzew oliwnych.

Od samego początku Beth towarzyszyła jej w tych artystycznych podróżach. Zatrzymywały się w pokojach hotelowych i Beth kąpała się w basenach, podczas gdy Liza stała przed sztalugami ze swoim kolejnym modelem. Jeśli zatrzymywały się w domu modela, tak jak w przypadku Michelego, było o wiele zabawniej; dziecko miało więcej swobody i mogło sobie chodzić, gdzie chciało. Dziewczynka od dzieciństwa zawsze zabierała ze sobą blok rysunkowy i kredki. Później zaczęła używać farb, ale nigdy nie malowała portretów. To była specjalność Lizy. Ona koncentrowała się na pejzażach. Interesowały ją różnice między krajami, których odwiedzały: południe Francji, Włochy, Szwajcaria. W miarę upływu lat przybywało coraz więcej tych szkiców. Blok po bloku Beth gromadziła je, staranne, drobiazgowo, z zachowaniem wszystkich szczegółów, w swoim pokoju na farmie. Skończyła średnią szkołę plastyczną i zaczęła studiować u św. Martina. Raz albo dwa razy do roku spotykały się z Jane, która sprawiała wrażenie dwa razy starszej niż Liza, ale też była babcią Beth i dziewczyna też tak ją nazywała, chociaż czasami w tajemnicy, w swych najskrytszych marzeniach myślała o niej jak o matce.

Wiedziała, że ma dziadka, który jest lekarzem w St Albans, ale żadna z babć nigdy o nim nie wspominała, a kiedy raz Beth zapytała o niego Lizę, ta wzruszyła tylko ramionami i popatrzyła na nią z takim smutkiem, że zniechęciło ją to do dalszych pytań. Obiło się jej o uszy, że jest w jego życiu jakaś inna kobieta.

Brzmiało to po wiktoriańsku i romantycznie, i było bardzo smutne. Tłumaczyło siwe włosy babci Jane, jej pomarszczoną twarz i zapadnięte policzki, ale Liza nigdy o tej kobiecie nie wspominała, co było dziwne, ponieważ we wszystkich innych sprawach była bardzo nowoczesna i tolerancyjna i można z nią było rozmawiać o wszystkim. Tak więc w życiu Beth było wiele białych plam: jej rodzice, dziadek Phil, którego właściwie wcale nie pamiętała, pozostały jej tylko w pamięci jego silne, obejmujące ją ramiona. Nigdy nie myślała, że można znieść stratę tak wspaniałego dziadka. Była zaintrygowana.

Po raz ostatni trzy kobiety spotkały się w święta Bożego Narodzenia, kiedy Liza odwoziła swój obraz do jakiegoś mieszkania w Eaton Terrace. Wraz z Beth postanowiły się spotkać z Jane w restauracji Harveya Nicholasa; zasiadły całą trójką przy stoliku pod oknem. Liza przyglądała się przez chwilę przyjaciółce, nie mogąc ukryć zdziwienia, tak bardzo Jane się postarzała. Nic jednak nie mówiła, dopóki Beth nie wyszła do toalety. Wtedy wyciągnęła rękę ponad stołem i dotknęła dłoni Jane.

- Dlaczego zostajesz z nim mimo wszystko?

Jane wzruszyła ramionami. - Ktoś musi się nim opiekować. Wiesz, on pije. Liza przerażona wlepiała w nią wzrok.

- Adam?

- A któż inny? Ona wysssała z niego wszystkie soki. Nic nie pozostało. Adam chodzi do pracy tylko raz w tygodniu, i to tylko dlatego, że Robert nie wymyślił jeszcze jakiegoś powodu, żeby się go pozbyć. Popełni kolejny błąd i wyleci. Mają już innego wspólnika, więc nie będzie im go brakowało.

- Och, Jane. Co za koszmar. - Liza miała oczy pełne łez. - Kiedy tak patrzę wstecz, myślę sobie: to był taki obiecujący facet. Tyle w nim było entuzjazmu.

Jane pokiwała głową.

- Odnoszę zwycięstwo, wiesz? Po prostu dlatego, że tam jestem. -

Uśmiechnęła się dziwnie. - Ona nie znosi mojej obecności w domu. Ale ja wciąż mam ten jarzębinowy krzyżyk i prawdopodobnie dlatego jeszcze żyję. Ona nie może zrozumieć, dlaczego wciąż tam jestem. Któregoś dnia znów próbowała mnie zabić.

Liza przerażona wlepiła w nią wzrok.

- Co się stało? - szepnęła.

Jane niemal lekceważąco wzruszyła ramionami.

- Zawsze bardzo uważam. Wiem, jaka ona jest. Nie odwracam się do niej plecami. Zazwyczaj, kiedy Adam wychodzi, ona też znika. Tego dnia, kiedy on idzie do pracy, ja mogę pójść na górę. Sprzątam ich pokój. Wygląda żałośnie. To pokój starca. Kiedyś schodziłam na dół z odkurzaczem i ona mnie popchnęła. Dostrzegłam ją kątem oka. Wiesz, ona się nie zmieniła. Wciąż ma te długie włosy, na widok których on głupieje z zachwytu. Nie pojmuję, co ona w nim widzi. Adam wygląda jak pomalowany ochrą starzec. - W głosie Jane pojawił się ton najwyższego obrzydzenia. - Gdyby mnie tam nie było, nie jadłby, nie spał, nie zmieniał ubrań. Nie miałby kto wyrzucać jego butelek po wódce. On wie, że nie pozwolę mu pójść do pracy, kiedy jest pijany. Raz poszedł i to był prawie koniec. Zdarzyło się to wtedy, kiedy Robert powiedział, że muszą przyjąć nowego współnika. Wiesz przecież, że nikt nie pozostaje w tym samym miejscu przez czterdzieści lat. Wszyscy lekarze zmieniają miejsca pracy. Jak Robert odejdzie, Adam będzie musiał odejść także. - Jane sięgnęła po dzin z tonikiem, który zamówiła, gdy tylko usiadły przy stoliku. - Beth wygląda ślicznie - dodała nieoczekiwanie.

- Masz rację - Liza potaknęła, rada ze zmiany tematu. Obserwowała rozdygotaną rękę Jane, trzymającą szklaneczkę z dzinem. - Nie mównic przy niej. Ona pielęgnuje ten swój romantyczny wizerunek Adama. Nie mam pojęcia, skąd się to u niej bierze.

- To dzięki tobie. - Jane utkwiała w Lizie pełne niepokoju, poważne spojrzenie. - Zawsze byłaś nim oczarowana do nieprzytomności, ale na tyle rozsądna, żeby się odsunąć, kiedy zrozumiałaś, że z nim nie wygrasz. - Przez chwilę obie milczały, myśląc o Philu. Jane ocknęła się z marzeń na widok Beth zbliżającej się wolno między stolikami. Rzeczywiście urosła i wyglądała teraz ślicznie z ciemnymi włosami swego ojca i delikatnymi rysami odziedziczonymi po matce. Może była trochę zbyt pulchna, ale i tak zawracała chłopakom w głowach swym urokiem i temperamentem.

Przez resztę lunchu Liza i Beth raczyły Jane opowieścią o swej ostatniej podróży do Nowego Jorku, gdzie Liza malowała portret żony pewnego potentata z Wall Street, a potem bawiła się znakomicie, zgodziwszy się namalować portret jego ulubionego psa.

- A teraz Beth ma zilustrować książkę o naszych górach. Więc kiedy ja w przyszłym miesiącu wyjadę do Włoch, ona pozostanie na farmie i rozpocznie swoją pierwszą poważną pracę. Słyszałaś o Gilesie Campbellu, tym podróżującym pisarzu?

Jane uśmiechnęła się i potrząsnęła przecząco głową.

- Moje drogie, ja nie słyszę o nikim. Opowiedzcie mi. - Spojrzała wyczekująco na Beth.

Liza zauważyła, że Jane prawie nie tknęła jedzenia. Zmarszczyła z niezadowoleniem czoło, ale nic nie powiedziała. Odwróciła się do Beth.

- No, mów. Lepiej się przyznaj. Beth splonęła rumieńcem.

- Dobrze. On mi się okropnie podoba. No to co, że jest żonaty. Wszyscy wiedzą, że jego żona to okropna flirciarą, że miała kilkanaście romansów. Biedny Giles! Nie wiem, dlaczego on to wszystko znosi. Nie słuchaj, co mówi Liza, babciu Jane. Dokuczają mi na jego temat bez przerwy, a to nie fair. Przecież to ona nas sobie przedstawiła. Właściwie rzuciła mnie w jego ramiona.

- Bzdury! - uśmiechnęła się Liza. - Kiedy Hibberds wydawał książkę o moim malarstwie, czasami jeździłam do Londynu do redakcji. Bob Cassie przedstawił mi Gilesa na jakimś przyjęciu i wtedy sobie porozmawialiśmy, ponieważ on pisał książkę o Black Mountains. Cóż mogło być bardziej naturalnego niż zaprosić go, żeby nas odwiedził?

- Ona sama była nim zafascynowana - stwierdziła Beth zuchwale.

- Nie byłam! - roześmiała się Liza. - Przynajmniej nie na poważnie. Jest o trzydzieści lat młodszy ode mnie... - Co czyni go idealnym partnerem dla mnie! A gdy kota nie ma, myszy harczą. Przy odrobinie szczęścia.

- Bądź ostrożna, kochanie. - Jane uśmiechnęła się łagodnie. - Nie chcesz chyba, żeby cię skrzywdził.

- Nie chcę.

Kiedy w końcu wstały od stolika, żeby wyjść, Liza objęła szczupłe ramiona Jane.

- Przyjedź kiedyś do nas na farmę. Proszę. Adam na pewno zwolni cię na kilka dni.

- Nie zauważyłby, gdybym zniknęła stamtąd w ogóle! - Jane spokojnie wytrzymała jej wzrok. - Chyba jednak nie przyjadę, Lizo. Ty i Beth jesteście szczęśliwe. I bezpieczne. Zostawmy to tak, jak jest.

- Co babcia miała na myśli, mówiąc „bezpieczne”? - zapytała Beth, gdy już pożegnały Jane i machały jej, kiedy odjeżdżała taksówką na dworzec w St Pancras.

Liza wzruszyła ramionami.

- Chyba nie chce, żebyśmy wiedziały, jakim złym człowiekiem jest Adam. To straszne, jak ktoś pije.

- I on nie chce do nas przyjechać. Nienawidzi mnie.

- To nieprawda, kochanie.. - Liza była niezadowolona, że tak się potoczyła ta rozmowa. - Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy. To bardzo nieszczęśliwy człowiek. To wszystko. Przypominasz mu Caluma.

- I moją matkę.

- I twoją matkę - skinęła głową Liza z nieznacznym, smutnym uśmiechem.

- A więc... - Beth zaczerpnęła dużo powietrza. - Nie jest brutalny, prawda? Nie bije babci Jane ani nic takiego?

- Nie, kochanie, nie robi nic takiego. - Liza westchnęła. Nigdy nie wspominała Beth o Brid i nie miała zamiaru robić tego teraz. W końcu o czym można było teraz mówić? O jakiejś obsesji starego człowieka? Snuć opowieść o duchu, sięgającą pięćdziesiąt lat wstecz? Nie pozwoli sobie na wracanie myślą do pewnego morderstwa, popełnionego na górskiej drodze w mroźną zimową noc.

Kiedy Adam pił, jeszcze bardziej tracił siły, i tak wysysane do cna przez nienasyconą Brid. Stawał się coraz słabszy, a wraz z nim i ona słabła coraz bardziej.

- Ostrzegałem go, naprawdę. - Robert stał w salonie odwrócony tyłem do kominka, spoglądając na Jane, która siedziała na sofie.

Adam jeszcze nie wrócił i o ile Jane wiedziała, mieli cały dom do swojej

dyspozycji. Był to jeden z tych dni, kiedy mogła pójść na górę do pokoju gościnnego, żeby zmienić pościel, postawić kwiaty na małej toaletce, otworzyć szeroko okno, żeby wpuścić zimne, wilgotne powietrze, i nakreślić znak krzyża nad łóżkiem, na przekór temu, co się dzieje.

- Nie był właściwie pijany, ale z odległości dwóch metrów czułem w jego oddechu zapach alkoholu. Bóg jeden wie, co sobie myśleli jego pacjenci. Jane, to się odbija na naszej praktyce.

Pokiwała głową, zmęczona.

- Porozmawiam z nim, Robercie.

- Musisz, ponieważ nie będzie jeszcze jednej takiej okazji. Jeśli to się powtórzy, będziemy musieli go prosić, żeby zrezygnował z pracy u nas. - Rozejrzał się po pokoju i ściszył głos. - Jak sobie dajesz radę, moja droga?

Jane uśmiechnęła się.

- Coraz lepiej, ponieważ wiem, że mam ciebie, Robercie. Nie wiem, czy radziłabym sobie sama. - Nie była pewna, ile on wie, ile wie ktokolwiek, oprócz Lizy. W końcu nikt nigdy nie widział Brid poza domem. Patrząc z zewnątrz, można by ich uznać po prostu za zwykłą znudzoną parę, która dowiedziała się o sobie już zbyt wiele i jest znużona swym wspólnym życiem. Nikt nie wiedział, że sypiają osobno. Jane podejrzewała, że bardzo mało osób wie, iż Adam pije.

Siedziała sama, oglądając w telewizji popołudniowy serwis informacyjny, kiedy Adam wrócił wreszcie do domu. Usłyszała trzaśnięcie drzwi, czekała, aż wbiegnie po schodach na górę. Tym razem tego nie zrobił. Wszedł wolno do salonu i zatrzymał się, patrząc na nią. Twarz miał szarą ze zmęczenia.

- Był u ciebie Robert? Skinęła głową.

- Powiedział ci, co się stało?

- Z grubsza. Co cię opętało, żeby iść do pracy w takim stanie? Jesteś niemądry, Adamie - powiedziała Jane bez jakiegoś szczególnego rozgoryczenia. Było to jedynie stwierdzenie faktu.

- Czy ty masz pojęcie, w jakim ja żyję napięciu? - Usiadł nagle na brzegu krzesła i zakrył twarz dłońmi, pocierając ze znużeniem zarost na nieogolonym

podbródka. - Nie wiem, co robić.

Wpatrywała się w niego. - Jeśli jesteś zmęczony, może moglibyśmy gdzieś wyjechać na urlop? Od lat nie wyjeżdżaliśmy nigdzie na wypoczynek. Wiem, że Robert zwolniłby cię na jakiś czas. - Podejrzewała, że aż nazbyt chętnie. Nie spodziewała się, że Adam się zgodzi. Dawniej nigdy się nie zgadzał.

- Byłoby miło. - Westchnął ciężko. - Nie wiem, jak się jej pozbyć, Janie. - Głos mu się załamał. - Jestem taki zmęczony. Chcę tylko, żeby ona odeszła.

Jane wpatrywała się w niego zdumiona.

- Od jak dawna tak się czujesz? - szepnęła w końcu. Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Miesiące. Lata. Kiedy ona jest tutaj, nie mogę myśleć. Nie mogę jeść. Nie mogę nic robić. Wiem, jak bardzo cię skrzywdziłem. Wydaje mi się, że ja po prostu nie potrafię już funkcjonować jak normalna istota ludzka. Wiem, że zmarnowałem swoją karierę. Cóż mi pozostało? Moja reputacja, mój dom, ty. Tak bardzo cię skrzywdziłem. - Miał łzy w oczach. - Pomóż mi, Janie.

Jane wstała.

- Mówisz poważnie? - Nagle poczuła się znowu silna. Podeszła do niego, pochyliła się nad nim i położyła mu ręce na ramionach. Pocałowała go w czubek głowy i uśmiechnęła się. - Zostaw to mnie,

- Jane! - Kiedy szła śmiało w kierunku drzwi, nagle wpadł w panikę i krzyknął: - Bądź ostrożna! Co chcesz zrobić?

- Mam tylko słówko do tej pani tam na górze. Ty zaczekaj tutaj. A potem, kochanie, pójdziemy gdzieś coś zjeść. - Wbiegła na górę po dwa stopnie naraz. Serce jej śpiewało z radości i ulgi. Wreszcie. Tak długo czekała na tę chwilę. Nie mogła uwierzyć, że oprzytomniał, że wrócił do niej. Nie czuła lęku. Potrzebna jej była tylko miłość Adama. Pamiętała ostrzeżenia Lizy, jak ma się chronić, których wysłuchiwała przez te wszystkie lata, a na szyi nosiła mały krzyżyk, który Liza dla niej zrobiła. Nie była pewna, czemu go trzymała przez te wszystkie lata, razem ze szczątkami potłuczonego drzewka - talizmanu; nie wierzyła, że ma jakąś telefoniczną linię specjalną do połączeń z aniołem stróżem gdzieś tam w niebie, ale pomyślała, że trzymane w kieszeni pogięte kawałki drzewka dadzą jej właśnie tę

odrobinę siły, której potrzebowała, by wejść do gościnnego pokoju, otworzyć szeroko drzwi, tak by się oparły o ścianę, i stanąć twarzą w twarz z Brid.

Pokój był pusty.

Rozejrzała się dookoła i poczuła się oszukana. Nie było jej. Pokój wyglądał tak, jak ona sama zostawiła go wcześniej tego popołudnia: łóżko nadal było zasłane, okno lekko uchylone na wilgotny, zimny mrok, zasłony rozsunięte na boki, do samej ściany. Było pusto i... przyzwoicie.

Zawahała się chwilę w progu, nie całkiem wierząc własnym oczom, po czym odwróciła się, wyszła, zamknęła za sobą drzwi i zbiegła na dół po schodach.

- Nie ma jej tam.

- Nie ma.

- Wiedziałeś? - Nagle wpadła we wściekłość. - Chcesz powiedzieć, że odeszła? I dlatego zdecydowałeś się powrócić do rzeczywistości?

- Nie. Ale ona nie przyjdzie, dopóki ja jestem tutaj. Bo jakież by to miało sens? Zanim dojdę na górę, ona już tam będzie.

Jane wlepiała w niego wzrok.

- No więc dobrze. Chodź. Chodź ze mną. Zawołaj ją i powiedz, że to koniec.

- Nie mogę.

- Owszem, możesz. Masz. To da ci siłę. - Podała mu mały drewniany krzyżyk na czerwonej nitce. Wziął go od niej, przyjrzał mu się i wybuchnął śmiechem. - Dlaczego mi się wydaje, że wiem, kto ci go dał?

- Tak, dostałam go od Lizy. Dzięki niemu będziesz bezpieczny.

- Tak myślisz? - Rzucił amulet w kierunku kominka, ale krzyżyk był zbyt lekki i upadł u jego stóp. - Nic nie może mi zapewnić bezpieczeństwa, Jane. Nic. Brid jest silniejsza od nas wszystkich. Nie można jej pokonać.

- Bzdury. - Jane chwyciła go za rękę. - Chodź. Chodźmy na górę i skończmy z tym.

- Nie, Jane. Wyjdźmy tylko na ten wieczór. - Przyciągnął ją do siebie. - Proszę cię, kochanie. Chcę wyjść z tego domu.

- Ja także, ale nie chcę się bać wracać, Adamie. - Chwyciła go za rękę i

ciągnęła ku drzwiom. - Chodź, to nam zajmie tylko minutę. I będziesz wolny.

Zatrzymała się, puściła na chwilę jego rękę i wróciła po krzyżyk. Cienki złoty łańcuszek splątał się i kiedy pociągnęła lekko, chcąc z tej płataniny wydostać zameczek, kruchy ze starości krzyżyk pękł i rozleciał jej się w rękę. Patrzyła na niego wstrząśnięta.

- Mój krzyżyk! - Maleńkie kawałki czerwonych jedwabnych nitek przywarły jej do palców. - Adam! Mój krzyżyk!

Popatrzył na krzyżyk i potrząsnął głową. - Chyba nie myślisz naprawdę, że on cię przed nią zabezpieczy, Jane. Gdyby chciała wyrządzić ci krzywdę, zrobiłaby to już dawno. - Westchnął.

Jane popatrzyła na małe kawałki gałązek w dłoni, po czym z bólem serca rzuciła je na dywan i otrzepała ręce z kurzu.

- No to chodźmy. Wejźdźmy na górę.

Wolno ruszył za nią po schodach. Zatrzymała się na podeście. Zostawiła drzwi pokoju gościnnego otwarte, była tego pewna. Otwarte, żeby zimne, wilgotne powietrze przepłynęło przez dom. Teraz były zamknięte i czuła ten ostry, zwierzęcy zapach, który zawsze snuł się za Brid, ilekroć się pojawiała. Widząc, że Adam się waha, chwyciła go za ramię i ścisnęła.

- Możesz to zrobić. Tylko jej powiedz, że to koniec. Powiedz jej, żeby odeszła.

- Ona nie odejdzie, Janie.

- Odejdzie, jeżeli się okażesz dość silny. - Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. - Możemy to zrobić wspólnie. A potem pójdziemy gdzieś, żeby to uczcić.

Popatrzył na nią z powątpiewaniem. Puściła jego ramię, ale jeszcze przez chwilę czuł dotyk jej zimnych palców.

- Idziemy. - Bez krzyżyka czuła się naga. Stanowczo odsunęła od siebie to uczucie. Wszystko, co musiała zrobić, to pójść tam z Adamem. Będzie musiał się uporać z Brid.

Niechętnie postąpił krok do przodu i położył rękę na gałce u drzwi.

- Jesteś pewna, że postępujemy słusznie? - zapytał przez ramię.

- Tak. - Pchnęła go lekko. - Idź.

Powoli przekreślił gałkę i otworzył drzwi. Brid stała w pokoju. Miała na sobie długą zieloną suknię, a włosy spięte filigranową klamrą w kształcie skaczącego łososia. Patrzyła prosto na niego, a mimo to miał wrażenie, że go wcale nie widzi.

- A-dam...

Wydawało mu się, że słowo to dotarło do niego z ogromnej odległości.

- A-dam, dlaczego jesteś na mnie zły?

- Czas, żebyś odeszła. - Głos Jane wydał mu się nagle bardzo głośny. -

Adam nie chce cię już dłużej. Chcemy, żebyś opuściła nasz dom.

Brid nadal patrzyła w kierunku Adama, a on miał wrażenie, że nie usłyszała słów Jane. Zrobiła krok do przodu, a Jane mimo woli się cofnęła. - A-dam, Kocham cię. Gdzie jesteś, A-dam?

Podeszła bliżej, a Jane po raz drugi się cofnęła. Znalazła się znów na podeście. Powinna była zachować fragmenty tego krzyżyka. Gdyby miała je w kieszeni, czerpałaby z nich siłę.

- Odejdź, Brid! - Głos Jane nadal był silny. - Adamie, powiedz coś! Każ jej odejść.

- Przykro mi, Brid. - Adam odwrócił się, żeby spojrzeć na żonę.

Uśmiechnął się i znów patrzył na Brid. - Musisz odejść. Jestem zmęczony.

Brid spojrzała w jego stronę i wydało mu się, że po raz pierwszy skupiła na nim spojrzenie.

- Zmęczony? - Mówiła do niego, a Jane nagle zdała sobie sprawę, że te słowa wcale nie płyną z jej ust, tylko dolatują skądś z daleka. - Biedny A-dam. Brid sprawi, że poczujesz się lepiej. - Z wyciągniętymi rękami zbliżyła się do niego.

- Nie! - krzyknęła Jane. - Nie dotykaj go! Idź sobie!

Brid odwróciła się do niej szybko, jakby ją zobaczyła po raz pierwszy, zrobiła niezadowoloną minę i powiedziała niemal łagodnie:

- Nie jesteś dobra dla niego. To ty musisz odejść, nie ja. - Nagle otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, widząc, że Jane nie ma krzyżyka. Mały krzyżyk

pulsujący ochronnym światłem nie wisiał już na szyi Jane.

Brid minęła Adama i wyszła na podest.

- Adam! - krzyknęła Jane głosem piskliwym z przerażenia. - Powiedz jej!
- Odejdź. Adam cię nie chce.

Brid wyciągnęła rękę; wydawało się, że ledwo się poruszyła, ale Jane poczuła gwałtowne pchnięcie w pierś. Zrobiła krok do tyłu i runęła ze schodów.

Rozległ się przejmujący, choć niezbyt głośny krzyk, kiedy jej ciało upadło z głuchym łoskotem, a potem zapadła kompletna cisza.

- Jane! - krzyknął Adam. - Jane! Nic ci się nie stało?
- Ona nie żyje. - Brid uśmiechnęła się do niego. - Chodź, mój najdroższy.
- Wyciągnęła dłoń, chcąc go wziąć za rękę.

Adam odepchnął ją i wybiegł na schody.

- Jane? Jane! O mój Boże! Jane, nic ci nie jest? - Zbiegł na dół, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Nie dotykając jej wiedział, że nie żyje. Szyję miała wykręconą, głowę opartą pod dziwnym kątem o ścianę. - Jane? - szepnął. Ukłękł obok niej i dotknął szyi za uchem, ale już wiedział, że to koniec. Nie żyje. Jane nie żyje.

Przez chwilę klęczał nieruchomo, wpatrując się w nią z niedowierzaniem, i nagle poczuł delikatne dotknięcie na ramieniu. Brid zeszła za nim na dół.

- A-dam, chodź na górę. Kocham cię, A-dam.

Podniósł się z klęczek. Drżał gwałtownie. Odwrócił się i wpatrywał przez kilka sekund w Brid, niezdolny wydobyć głosu.

- Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłaś? - powiedział w końcu zdławionym szeptem. - Ty głupia, nikczemna, niegodziwa krowo?

Brid spojrzała na leżącą Jane i wzruszyła ramionami.

- Chodź do łóżka, A-dam - powiedziała obojętnie. - Nie przejmuj się nią. Ona nie była dobra dla ciebie. Ty mnie kochasz.

- Już nie - powiedział nagle bardzo spokojnie. - Wynoś się z mojego domu.

- A-dam, ja cię kocham. Chcę się z tobą kochać. - Podeszła i oparła mu

głowę na ramieniu. Czują wstępującą w nią nową siłę, jakąś energię płynącą od umierającej kobiety. Było jej dobrze. - Proszę, A-dam. Teraz będzie lepiej. Już jej nie ma. Będziemy mieli cały ten dom dla siebie.

Adam odepchnął ją od siebie z całej siły.

- Wynoś się! - syknął. - Wynoś się! Wynoś się! Wynoś się! - Jego głos przeszedł w krzyk. - Ty suko! Morderczyni! Dziwko! Jezabel! Ty wiedźmo! Wynocha! Nie chcę cię tu nigdy więcej widzieć.

- A-dam... - Odsunęła się od niego, zdziwiona. - A-dam, dlaczego jesteś zły?

- Ponieważ zabiłaś jedną z osób, które naprawdę kochałem. - I nagle złość mu przeszła. Łzy zaczęły spływać po twarzy. Znow padł na kolana i przytulił głowę Jane do piersi. Maleńka strużka krwi wypłynęła z jej ust i kiedy odwrócił twarz żony ku sobie, poplamiała mu koszulę. - Jane! - szlochając głośno wymówił jej imię. - Jane, kochana moja, tak strasznie mi przykro. O, mój Boże, jak ja będę z tym żył?

Brid odeszła od niego kilka kroków zakłopotana, ze spuszczonego wzrokiem.

- Wrócę tu jeszcze - powiedziała cicho, urażona. - A-dam jest zły na Brid.

Nie zwracał na nią uwagi. Ujął rękę Jane i rozcierał ją z rozpaczą, jakby chciał ją choć trochę rozgrzać. *A-dam, kocham cię.* Słowa te zamajaczyły jedynie niewyraźnie w jego głowie. Nie podniósł wzroku.

Beth zastała Lizę siedzącą po ciemku przy telefonie.

- Co się dzieje? Co się stało? - Zapaliła światło. - Lizo, co się stało? Tu jest przeraźliwie zimno.

- Co? - Liza podniosła głowę i spojrzała na nią.

- Lizo? - Beth pochyliła się i objęła ramiona babki. - No, powiedz.

Płakałaś. Co się stało?

- Chodzi o twoją babcię Jane. - Liza sięgnęła do kieszeni dzinsów po chusteczkę i wytarła oczy. - Nie żyje.

Beth odsunęła się, wstrząśnięta.

- Babcia Jane? Przecież ona nie jest stara! - Był to krzyk protestu. - Co się stało?

Liza wzruszyła ramionami.

- Dzwonił Robert Harding, wspólnik twojego dziadka. Wygląda na to, że Jane spadła ze schodów i złamała sobie kręgosłup. - Liza znów wybuchnęła płaczem.

- A co z dziadkiem? - Beth była oszołomiona. Liza znów wzruszyła ramionami.

- Niedobrze. Pije. - Przytłoczona nieszczęściem, potrząsała głową. - Robert nie wie, co robić. Zawiadomił policję, zrobił wszystko, co trzeba, ale chce, żebym przyjechała. Adam nie ma nikogo poza mną.

- Nie możesz jechać. - Beth chwyciła ją za rękę. - Lizo, jesteś mi potrzebna tutaj. - Nie była pewna dlaczego, ale nagle ogarnęło ją przerażenie.

Liza wzruszyła ramionami.

- Nie mam wyboru, Beth. Adam nie ma już teraz nikogo. Z wyjątkiem Brid, Nie powiedziała tego głośno, ale słowa te zdawały się wisieć nad nią w powietrzu.

Tak jak to robiła często przez te wszystkie lata, Liza siedziała przez chwilę w samochodzie przed domem i patrzyła w okna na piętrze, zanim zdecydowała się wysiąść. Wstrząsały nią dreszcze. Dom wydawał się dziwnie pusty, jak gdyby wyrwano mu serce. Ogródek był zapuszczony. Ktoś wrzucił przez żywopłot puszkę po coca - coli i nikt nie zadał sobie trudu, żeby ją sprzątnąć. Leżała na trawie, dobrze widoczna ze ścieżki, i zaczynała już rdzewieć. Liza westchnęła, podeszła do drzwi frontowych i zadzwoniła. Nikt nie otworzył.

Kiedy w końcu obeszła dom dookoła i od tyłu zajrzała przez okno, zobaczyła Adama siedzącego przy biurku. Głowę miał ukrytą w ramionach i wydawało się, że śpi.

Zastukała w okno.

- Adam!

Nie poruszył się.

- Adamie! Wpuść mnie.

Drzwi kuchenne nie były zamknięte na klucz, więc weszła. Zatrzymała się

tylko na chwilę, żeby się rozejrzeć, i ruszyła prosto do gabinetu.

- Adam! Chrapał.

- Adamie, na litość boską, obudź się. - Potrząsnęła mocno jego ramieniem.

Jęknął, odtrącił jej rękę i znowu zasnął.

Podczas gdy spał, pozbierała puste butelki. Musiał się przenieść z powrotem do sypialni, którą dzielił z Jane, i spał poprzedniej nocy na jej łóżku. Krzywiąc z niesmakiem nos, Liza wyciągnęła spod poduszki małą, płaską butelkę po whisky, rzuciła w kąt, gdzie leżały już inne, i ściągnęła prześcieradła. Przynajmniej kiedy się obudzi, zastanie pokój czysty i doprowadzony do porządku, a resztę domu odkurzoną i schludną, tak jak Jane go utrzymywała. Pokój gościnny, ten, który Adam dzielił z Brid, Liza zostawiła sobie na koniec. Wziąwszy głęboki oddech, otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Pokój był kompletnie zdemolowany. Pościel i firanki podarto na strzępy, pozdzierana tapeta zwisała ze ścian, jedna szyba w oknie była wybita. Rozglądając się dookoła, Liza potrząsała z rozpaczą głową.

- No i co o tym myślisz? - Adam w końcu się obudził i przyszedł na górę. Stał za nią i przyglądał się temu wszystkiemu przez ramię. Był nieumyty i śmierdział zastarzałym potem.

- Nie wiem, co myśleć. - Odwróciła się i spojrzała na niego. - Poza tym, że potrzebna ci jest kąpiel, zmiana ubrania, a potem solidny posiłek. Takie zapijanie się nic nie pomoże, wiesz o tym dobrze.

- Nie wiesz, co się stało? - Oczy miał czerwone i zapuchnięte.

- Może zechcesz mi powiedzieć.

Przeszedł koło niej i stanął w progu, rozglądając się dookoła.

- Powiedziałem jej, żeby odeszła.

- Brid?

- A komuż by innemu?

- I usłuchała?

Wzruszył ramionami.

- Przypuszczam, że tak.

- Ale przedtem zdemolowała ten pokój.

- Jak widzisz. - Podeszedł do łóżka i usiadł na nim z jękiem. - Ona ją zabiła.
- Łzy spływały mu po twarzy. Nie próbował ich powstrzymać.

Liza przeszła przez pokój i usiadła obok niego.

- Brid zabiła Jane? Skinął głową.

- Chciałem z tym skończyć. Chciałem dać wreszcie Jane trochę szczęścia.

Zasłużyła na to. Ona mnie wciąż bardzo kochała, Lizo, po tym wszystkim, co jej zrobiłem. Nadal mnie kochała. Nie opuściła mnie. - Umilkł.

Liza czekała, aż zacznie znów mówić. Przez chwilę szukał odpowiednich słów, po czym westchnął głęboko i ciągnął dalej:

- Nie chciała słuchać. Ona... ona... Właściwie to jakby zepchnęła Janie z tych schodów. - Wytarł nos o rękaw swetra. - Jane upadła tak niefortunnie. Widziałem, że nie żyje, ale mówiłem do niej. Prosiłem, żeby ze mną została. Błagałem... - Przyciągnął podartą poduszkę, objął ją i osuszył nią łzy. - Ten krzyżyk. Ten mały krzyżyk, który jej dałaś. Dzięki niemu była bezpieczna. Dała go mnie, a ja go rzuciłem na podłogę. Upadł i rozleciał się w kawałki. Dała mi go, żebym był bezpieczny, a ja go zniszczyłem.

Liza ścisnęła jego ramię. Pociągnął nosem.

- Powiedziałem Brid, żeby wróciła do tego piekła, z którego przyszła. Ona jest bez serca. To jakiś szatan.

- Co powiedziałaś policji?

- Cóż mogłem powiedzieć? Że sypiałem z kobietą, która uciekła z zakładu dla umysłowo chorych i która wszędzie zabija ludzi, i której ja pozwoliłem zabić własną żonę? - Nagle cisnął poduszką przez pokój. - Cóż mogłem powiedzieć? Że byłem równie obłąkany jak ona? Że mnie tak oczarowała, że nie potrafiłem się od niej uwolnić? Że wciąż wygląda, jakby miała osiemnaście lat, chociaż znam ją przez większość mego życia? Że ilekroć na nią spojrzę, za każdym razem jej pragnę? - Odwrócił się i popatrzył na Lizę mętłym wzrokiem. - Jane stała przy mnie przez cały czas. Kiedy pomyślę, jak bardzo ją skrzywdziłem... Kiedy pomyślę, co jej zrobiłem... Nie mogę z tym żyć, Lizo. Nie mogę! - Musisz, Adamie - powiedziała Liza bardzo łagodnie. - To, obawiam się, będzie twoim piekłem. - Westchnęła, po

czym spytała jeszcze raz:

- Co powiedziałaś policji?
- Że spadła. To prawda. Robert to wszystko potwierdził.
- I Brid odeszła na dobre? Wzruszył ramionami.

Liza zamyślona przygryzła wargę.

- No, Adamie. Proszę, idź, wykąp się. Od razu poczujesz się lepiej. Ja pójdę przygotować coś na kolację. Potem, jak zjesz, zdecydujemy, co robić dalej. - Znów położyła rękę na jego ramieniu. - Co z pogrzebem? - zapytała łagodnie.

Wzruszył ramionami.

- Muszą ustalić przyczynę zgonu. Robert wszystkim się zajmuje.
- Robert?
- Nie mam poza nim nikogo, Lizo. - Odwrócił się i ruszył ku drzwiom. -

Nie mam rodziny. Nie mam przyjaciół. A teraz nie mam też żony.

Adam wykapał się, włożył czyste ubranie, a ona tymczasem podgrzała zupę z lodówki. Kiedy zszedł na dół, do kuchni, zrobił sobie kawy, a ona tymczasem kroїła chleb. Popatrzył na nią zakłopotany.

- Nie zasługuję na twoją dobroć, Lizo.
- Oczywiście, że zasługujesz. Jesteśmy starymi przyjaciółmi, zapomniałeś? -

Postawiła talerz na stole, podeszła do Adama i objęła go serdecznie. Pachniał teraz o wiele lepiej. - Jak zjesz trochę zupy, od razu poczujesz się silniejszy. Potem zdecydujemy, co robić dalej. Uważam, że po pogrzebie powinieneś przyjechać na jakiś czas do Walii. Masz tam rodzinę, Adamie. Beth i ja jesteśmy twoją rodziną.

Jadąc tutaj, zatrzymała się i w małej kwiaciarni na rogu kupiła bukiet frezji. Wzięła je teraz z blatu kuchennego, podeszła do zlewu, nalała wody do szklanki, wstawiła do niej kwiaty i postawiła na stole. Ich zapach wypełnił cały pokój.

- Uporasz się z tym wszystkim, Adamie - powiedziała wolno, mieszając zupę. - Będzie to wymagało odwagi, ale tej ci nie brakuje.
- Tak uważasz? - Usiadł, ściskając w dłoniach kubek z kawą.
- Oboje wiemy, że tak.
- Nie chcę jechać do Walii. - Popatrzył na nią nagle. - Nie chcę poznać

Beth. Beze mnie będzie jej lepiej w życiu. I tobie także.

- Nie bądź głupi, Adamie.

- Myślałem o tym, Lizo, w chwilach przytomności. - Uśmiechnął się, trochę zakłopotany. - Chciałbym bardzo, żebyś została na pogrzebie, ale potem wracaj do Walii i zapomnij o moim istnieniu. Brid to niegodziwy, okrutny, niemoralny pasożyt. Ona nie odeszła, ona czeka na odpowiednią chwilę. Mam przeczucie, że będzie mnie ścigać, dokądkolwiek pójde, przez resztę moich dni. Będę z nią walczył w miarę moich sił, ale nie chcę nawet myśleć o tym, że mógłbym ją przywlec za sobą, żeby prześladowała ciebie i to dziecko. Pozwól, że zrobię coś dla ciebie, Lizo, po raz ostatni. Dbaj o bezpieczeństwo Beth. Zapomnij o mnie.

- Nigdy o tobie nie zapomnę, Adamie. Uśmiechnął się ze smutkiem.

- Może nie zapomnisz, ale możesz stłumić wspomnienia. - Znów na nią spojrział. - Czy to Brid zabiła Phila? - Po raz pierwszy zapytał o ten wypadek.

Zawahała się.

- Nigdy się tego nie dowiem z całą pewnością. Phil wpadł w poślizg i runął z górskiej drogi.

Nastąpiła długa cisza.

- Nie wystawiaj Beth na niebezpieczeństwo, Lizo. Widziałas, co ta wiedźma potrafi.

Liza westchnęła.

- Zobaczymy. Może już nigdy nie wróci.

- Może. - Adam wypił trochę zupy i zjadł kawałek chleba. Potem wrócił do swego gabinetu. Kiedy Liza zajrzała tam później, siedział wpatrując się w ścianę.

Położyła się spać w łóżku Jane, ale dwukrotnie w ciągu nocy zaglądała do niego. Wydawał się dosyć spokojny, a jednak zastanawiała się, czy w swych snach nie błąka się gdzieś daleko po górach Szkocji.

Liza prosiła Adama, żeby pozwolił pochować Jane w Walii, obok Caluma, Julietty i Phila, ale był nieugięty. Nie będzie żadnego takiego pogrzebu. Żadnego grobu na wiejskim cmentarzu. I Beth ma nie przyjeżdżać. Pogrzeb był żałosny. Chociaż całkiem sporo ludzi było na mszy żałobnej, to z trumną do krematorium

udali się jedynie Robert Harding, Adam i Liza. Patrycja przebywająca w domu starców w Surrey, gdzie spędzała ostatni rok, była zbyt słaba i wszystko zanadto jej się mieszało w głowie, żeby mogła pojąć, co się stało. Przesłała kwiaty, a już kilka dni później zadzwoniła i chciała mówić z Jane.

Kiedy trumna zniknęła za zasłoną w kaplicy krematorium, Adam odwrócił się i wyszedł zdecydowanym krokiem. Stał przez chwilę na deszczu, patrząc w niebo z twarzą zastygłą w gniewie, a potem ruszył na parking. Przyjechał z Robertem Hardingiem jego volvem i teraz zatrzymał się koło samochodu, nie rozglądając się na prawo i lewo, podobnie jak Liza i Robert, którzy wymieniając między sobą spojrzenia, pospieszyli za nim.

- Mam nadzieję, że wpadniesz do mnie na herbatę - powiedział Robert stanowczo. - Wiem, powiedziałeś, że nie będzie żadnego oficjalnego spotkania, i wszyscy to uszanowali, i już poszli, ale nie możesz wrócić sam do pustego domu. Chcę, żebyś z Lizą wstąpił do mnie przynajmniej na chwilę.

Adam nie odpowiedział. Wydawało się, że zamknął się w sobie; w milczeniu wsiadł do samochodu i zajął miejsce obok Roberta. Kołnierz miał postawiony, zimny deszcz kapał mu z włosów.

- Dziękujemy - odpowiedziała Liza w jego imieniu. - Bardzo byśmy chcieli. - Popatrzyła z boku na Adama i zaniepokoił ją wyraz jego twarzy. Była niedostępna, ponura i zacięta.

Tej nocy Adam wypił całą butelkę whisky i zasnął otumaniony na sofie przed pustym ekranem telewizyjnym. Liza przykryła go pledem, wyrzuciła pustą butelkę po whisky, która wypadła mu z ręki na dywan, i zgasła światło. Powoli, z ciężkim sercem weszła na górę.

Wydawało jej się, że powinna zostać przynajmniej jeszcze kilka dni.

Przed kolacją zadzwoniła do Beth. Rozmowa z nią była jak powiew świeżego powietrza. Wyobraziła ją sobie w domu, w kuchni, gdzie panuje rozgardiasz, pachnie świeżo upieczony chleb - ostatnie szaleństwo jej wnuczki - i unosi się aromatyczny dym płonących na kominku w salonie polan. Jeszcze jedna stara jabłoń złamała się podczas jesiennych wiatrów i paliły ją powoli, gałąź po gałęzi,

delektując się cudownym, bogatym zapachem, który snuł się wśród kamieni starego kominka.

- Nie czujesz się samotna, kochanie? - zapytała Liza.

- Oczywiście, że nie. Pracuję nad szkicami. - Beth kipiała podnieceniem.

Przejęła studio Phila, kiedy dostała zlecenie na zilustrowanie książki Gilesa.

Taktownie i jak najdelikatniej zmieniła je tak bardzo, że Liza nigdy by go nie poznała. Teraz było nowoczesne i tętniło życiem. Liza nie czuła potrzeby utrzymywania pracowni malarskiej Phila jak mauzoleum, by zachować w sercu pamięć o mężu. I tak zawsze o nim pamiętała.

- Jak ci idzie?

- Dobrze. - Na drugim końcu linii dało się wyczuć lekkie wahanie. -

Wiesz, Giles przyjeżdża tu na kilka dni. Pomyśleliśmy, że będzie dobrze obejrzyć te miejsca razem i tutaj wszystko przedyskutować.

- Rozumiem. - Liza nabrała głęboko powietrza. - Czy jego żona także przyjeżdża?

- Nie. Wiesz doskonale, że to typowa mieszczka. Według Gilesa jest zbyt pochłonięta swoimi sprawami. - Po drugiej stronie linii dał się słyszeć powstrzymywany chichot. - Poza tym ona nienawidzi gór. Mówi, że umarłaby, gdyby się przeniosła dalej niż kilkaset metrów od Chelsea.

- I nie przeszkadza jej to, że jej mąż spędza czas w górach z tak atrakcyjną młodą damą jak ty?

Znów rozległ się chichot.

- Właściwie była o wiele bardziej zaniepokojona, że będzie tam moja atrakcyjna seksowna babcia. Odetchnęła z ulgą, kiedy usłyszała, że wyjechałaś. Nie, to nieprawda. Ja myślę, że oni nie żyją ze sobą dobrze. Serio. Och, Lizo. -

Nastąpiła krótka, pełna przerażenia pauza. - Jakie to okropne, że tak się śmieję i w ogóle. Jak było? Ponuro? Jak biedny dziadek sobie radzi?

- Dobrze. - Liza nie wdawała się w szczegóły. - Pomyślałam jednak, że powinnam zostać trochę dłużej po prostu, żeby być tutaj, dopóki się nie otrząśnie. Dasz sobie radę sama? Mogę ci zaufać, jeśli chodzi o tego pięknego Gilesa?

Beth prychnęła.

- Nas łączą jedynie sprawy zawodowe, nic poza tym. I nie zrobię nic, żeby to narazić na szwank, wierz mi.

Później, w sypialni, która kiedyś należała do Caluma, Liza z westchnieniem zdjęła spódnicę. Przez chwilę przeglądała się w lustrze. Atrakcyjna, seksowna babcia. No, no. Musiała przyznać, że nawet jej się podoba to określenie. Wygładziła halkę na płaskim brzuchu i kształtnych, smukłych biodrach i uśmiechnęła się z satysfakcją.

Odgłos, który rozległ się za nią, był tak cichy, że ledwie go usłyszała. Spięta, odwróciła się w stronę zamkniętych drzwi. Odgłos się powtórzył. Było to spokojne drapanie po drewnie. Liza zmarszczyła czoło. Przypominało skrobanie myszy. Sięgnęła po szlafrok, włożyła go i zawiązała pasek w talii, gotowa się bronić. Potem podeszła na palcach do drzwi, otworzyła je i wyjrzała.

Nie dostrzegła nikogo. Na podeście było ciemno, a w domu panowała cisza. Nasłuchiwała przez chwilę, po czym zamknęła drzwi. Przez chwilę stała jeszcze, zaniepokojona, wreszcie zaczęła się rozbierać. Kiedy nazajutrz rano zeszła na dół, zastała sofę pustą. Drzwi na taras były otwarte i w całym pokoju pachniało wilgotnym ogrodem. Liza podeszła do drzwi i zatrzymała się. Wyjrzała. Adam stał na deszczu na środku trawnika, przemoknięty do suchej nitki. Dostrzegł ją i podniósł rękę w geście powitania. Twarz miał bladą i mizerną. Wygląda, jakby miał sto lat, pomyślała z nagłym współczuciem.

- Pomyślałem, że deszcz wyleczy mojego kaca. - Podeszedł do niej i Liza zdała sobie sprawę, że Adam jest bosy i woda chlupie mu pod nogami w mokrej trawie.

Uśmiechnęła się.

- I wyleczył?

- Pomogło. Pójdę się wykapać i ogolić, wtedy poczuję się lepiej. Żałuję, że sięgnąłem po tę whisky. - Wyglądał jak zakłopotany chłopiec.

- Ja także. - Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

- Idź, ubierz się, a ja zrobię nam kawy.

Podczas swoich wędrówek po St Albans Liza odkryła cudowny sklep z kawą w samym centrum miasta i kazała sobie zemleć trochę wyjątkowo dobrej. Teraz jej zapach wypełnił dom i miała nadzieję, że uczyni go bardziej przyjaznym. Ta kawa i kwiaty na stole to było naprawdę wszystko, co mogła zrobić. Pustka, jaką Jane po sobie zostawiła, była zbyt wielka i zbyt świeża.

- Lizo! - Adam stał na progu. Twarz miał szarą jak popiół i trzymał w ręku jakiś mały przedmiot. - Czy ty położyłaś to na moim łóżku?

Czuła, jak serce w niej zamiera, jeszcze zanim się zbliżyła, żeby zobaczyć, co takiego Adam trzyma w dłoni.

- Nie, Adamie. Nie położyłam niczego na twoim łóżku - powiedziała łagodnie, biorąc od niego to, co trzymał w ręce.

Była to mała ślicznie wyrzeźbiona figurka nagiej kobiety.

- Czy to jest kość słoniowa? - Obracała ją w dłoniach. Była lodowato zimna.

Skinął głową.

- Chyba tak. - Podeszedł do okna i zapatrzył się w ogród. Rudzik stał na ceglany parapecie, otaczającym taras.

- Wiem, co ja bym z tym zrobiła - powiedziała Liza cicho.

- Spalę to - powiedział Adam stanowczo. - Czy ty też o tym właśnie myślałaś?

- Chciałam ci powiedzieć, żebyś to zakopał - powiedziała Liza.

Uśmiechnęła się. - Może to byłoby mniej ostateczne. Ale masz rację. Spal to. W ten sposób ona zrozumie. Ich oczy spotkały się.

- Ty zawsze uważałaś, że ona jest czarownicą, prawda? - Adam wziął od niej figurkę i ruszył do kuchennych drzwi.

Liza szła za nim.

- Czymś w tym rodzaju.

Obserwowała, jak Adam bierze kilka gałązek i trochę liści, które wiatr przywiał do garażu, gdzie nie zamokły. Udało mu się zapalić je zapalniczką. Przez chwilę patrzyli, jak ogień migocze i iskrzy, a potem, kiedy rozpałił się na dobre,

Adam wrzucił figurkę w płomień. Przez chwilę wydawało się, że nie spłonie, ale w końcu szerniała i zniknęła.

Liza spojrzwała na ściągniętą bólem twarz Adama.

- Zastanawiałam się, czy nie zaczniesz krzyczeć. Pokiwał głową.
- Nie sądzę, żeby to była ostatnia wiadomość, jaką od niej otrzymałem.
- Jak myślisz, gdzie ona teraz jest? Wzruszył ramionami.
- Kto wie. I nic mnie to nie obchodzi, dopóki nie zbliży się do tego domu.

Rozdział osiemnasty

Łóżko było twarde, zimne i bardzo niewygodne. Brid wierciła się i po omacku szukała poduszki. Wyczuła ręką szorstkie płótno i suche łodyżki wrzosu, które kłuły ją w twarz.

- No, obudziłaś się - usłyszała znajomy śpiewny głos. - Moja mała podróżniczka wróciła. No i gdzie byłaś, koteczku?

Skuliła się, chcąc zasnąć. W tym dziwnym głosie wyczuła groźbę, pochodził z innego czasu, innego miejsca. Broichan... Otworzyła oczy i usiadła, zamroczona snem.

- A-dam...

Gdzie on jest? Dlaczego jej już nie chce? Co takiego zrobiła, że tak się rozłościł?

Rozszedł się słodko - gorzki zapach ognia i gotującego się na nim mięsa, i nagle Brid poczuła napływającą do ust ślinę. Jak długo spała? A może podróżowała w czasie, tak jak ją Broichan nauczył? Gdziekolwiek była, teraz czuła głód. Cała zeszywniała, spróbowała spuścić nogi z łóżka, ale nagle znieruchomiała. Lęk ścisnął ją za gardło. Na kostkach nóg miała łańcuchy. Rozejrzała się po ciemnej izbie i dostrzegła go. Siedział przy drzwiach. Uśmiechnął się do niej. Jego oczy

lśniły jak żywe srebro w pokrytej zmarszczkami twarzy.

- Nie! - potrząsnęła głową zrozpaczona.

- Niewłaściwie wykorzystowałaś swoje siły, Brid. Nie dochowałaś przysięgi, która mówi: niech niebiosy runą, a fale zaleją mi głowę, jeśli zawiodę zaufanie, którym mnie obdarzono. - Podniósł się wolno. - Nakładam na ciebie klątwę, *geas*, i teraz musisz słono zapłacić za swoją zdradę. Przerazona, krzyknęła cicho, opadła na łóżko i przykryła twarz zgrzebną poduszką. Próbowwała rozpostrzeć zasłonę mocy, ale ta była bardzo cienka; wszędzie, gdziekolwiek Brid spojrzała. Kiedy Broichan stanął nad nią, przyglądając się leżącej na łóżku dziewczynie, zdażyła odejść daleko; jej ciało znajdowało się w stanie śpiączki, oczy były nieprzytomne, źrenice rozszerzone i nieruchome. Uśmiechnął się. Będzie nadal utrzymywał ją przy życiu, będzie ją odżywiać, wlewać po kropli do gardła mleko, wino oraz sok ze zmiężdżonego mięsa, obmywać gąbką twarz i ręce, obracać całe ciało, żeby skóra była zdrowa, i pewnego dnia, jeszcze zanim jej dusza powróci, będzie mógł ją zabić i oddać w całości bogom. Wtedy podąży za nią do tego innego świata, w którym żył A-dam, i dowie się, co takiego zawładnęło jej duszą.

Liza westchnęła. Podniosła jeszcze jedną butelkę, była to już trzecia, jeszcze pełna, i ubolewając w duchu nad takim marnotrawstwem, wylała resztę whisky do zlewu. Adam się nie poruszał. Czasami jego sen był zbyt głęboki, żeby coś śnił, zbyt głęboki nawet, żeby chrapał. Leżał jak martwy i niewiele mogła dla niego uczynić, najwyżej wsunąć mu poduszkę pod głowę i okryć go kocem.

Wiedziała, że nadszedł czas, by wrócić do domu. Po cóż miała tu zostawać? Kiedy Adam był trzeźwy, był sobą, czarujący, z subtelnym poczuciem humoru. Potrafił wznieść się ponad swój smutek, starał się ją rozerwać, okazywał sympatię w uprzejmy, nieco staroświecki sposób, co zawsze jej się w nim podobało. Wtedy myślała, że potrafi go jakoś zmienić, myślała, że może byłaby dla nich możliwa jakaś wspólna przyszłość, gdyby udało jej się zabrać go z powrotem do Walii, karmić go, przypocholebiać mu się i odzwyczaić od picia. Spacerowałyby razem po parku albo po Fishpool Street, wybrałyby się czasem do Abbey, żeby posłuchać prób chóru i muzyki organowej, płynącej ku górze i rozbrzmiewającej najmocniejszymi

dźwiękami pod starożytnym sklepieniem. Potem wracaliby do domu, gawędząc, a ona przygotowywałyby coś do jedzenia. Śmialiby się i wspominali czasem dawne dni w Edynburgu.

Odwlekała jak najdłużej otwarcie butelki wina. Ale on zaczynał się irytować, jeśli zwlekała z tym zbyt długo, i stawał coraz bardziej drażliwy. Czasami wystarczyło wino. Innym razem to był dopiero początek.

Wiedziała, w którym momencie Brid powróciła. Udało jej się kiedyś zaprowadzić go na górę, zanim stracił przytomność. Wciągnęła go na łóżko, zdjęła mu buty, przykryła go kocem. I kiedy się odwróciła, zamarła. Poczowała czyjaś obecność w pokoju. Coś się zmieniło. Zapach, atmosfera? Była to zmiana zbyt mała, by można ją było określić, ale szósty zmysł Lizy dał jej o tym znać, zadzwonił jakiś dzwoneczek gdzieś w głębi mózgu i poczuła, jak małe włoski na ramionach jeżą jej się ostrzegawczo.

Rozejrzała się dookoła. W pokoju panował spokój. Adam leżał skulony na łóżku, z głową na poduszce i z ustami lekko rozchyłonymi. Mamrotał coś przez sen, mlaszcząc odwrócił się na bok i machnął ręką, przewracając lampę na nocnym stoliku. Lampa upadła z trzaskiem, strzeliła pękająca żarówka i pokój pograżył się w ciemności.

Liza wstrzymała oddech. Wyteżała wzrok, stopniowo przyzwyczajając się do słabego światła przenikającego z podestu przez szpary w drzwiach. Ostrożnie, nie odwracając się, wycofała się ku drzwiom, zdając sobie sprawę, że tuż obok ktoś także wstrzymuje oddech.

Dotarłszy do drzwi, otworzyła je z ulgą i wyszła. Zerknęła jeszcze za siebie. Czy to jakiś cień stoi koło łóżka? Nie była pewna.

- Uważaj, Adamie - szepnęła. - Niech cię Bóg błogosławi. - I wolno, spokojnie zamknęła drzwi.

Zeszła na dół, włączyła w kuchni telewizor i postawiła na kuchence czajnik, ale chociaż starała się robić jak najwięcej hałasu wyjmując filiżanki i spodeczki i potem, przy zmywaniu, zdawała sobie sprawę, że bez przerwy wsłuchuje się w ciszę na górze.

Tej nocy spała na sofie w salonie i nie zgasiła światła. O świcie wstała i wyszła na godzinny spacer ulicami zmytymi deszczem. Potem wróciła do pogrążonego w ciszy domu.

I znowu wyszła, i wróciła dopiero w porze lunchu. Zajrzała na górę. Adam nadal spał i mogła śmiało powiedzieć, że tak, jak go zostawiła. Nie było na poduszce wgłębienia świadczącego o tym, że spoczywała tam jeszcze jedna głowa, ani nie pozostał zapach kobiety na prześcieradłach, ale Liza zastanawiała się, kto pozbiarał rozsypane stokrotki pod stłuczoną lampą i włożył je z powrotem do malutkiego wazonika. Może sam Adam?

W porze podwieczorku zadzwoniła do Beth.

- No i jak się mają sprawy na Dzikim Zachodzie?

- Świetnie. - W głosie Beth wyraźnie brzmiało rozbawienie. - Giles jest tutaj i dzisiaj jeździliśmy po okolicy i robiliśmy zdjęcia. On chce, żebym zrobiła trochę szkiców piórkiem. Będzie też około sześćdziesięciu większych akwarel plus jedna na obwolutę. - Słysząc było, że Bethnie posiada się ze szczęścia. - Myślimy o tym, żeby pojechać do Brecon na kolację. Jutro moglibyśmy się wybrać do środkowej Walii i poszukać naprawdę dzikich krajobrazów.

Do uszu Lizy dotarł śmiech i jakieś komentarze wygłaszane na stronie. Uśmiechnęła się i zamyśliła.

- Jesteś rozsądna, Beth. Pamiętaj, cokolwiek on mówi na ten temat, jest żonaty - powiedziała surowo. - Nie chcę, żeby cię skrzywdzono, kochanie.

- Oczywiście! Będę pamiętać. Giles nigdy mnie nie skrzywdzi. Jak dziadek?
- Głos Beth się zmienił. Stał się bardziej oficjalny, rzeczowy.

- Niestety, niezbyt dobrze.

- Och, Lizo! - W głosie Beth zabrzmiał szczerzy smutek. - Co zrobisz?

- Nie wiem. Nie mogę zostać tu na zawsze, choćbyś ty tego nie wiem jak pragnęła. - Liza roześmiała się, usłyszawszy niezbyt przekonujące zaprzeczenie z drugiej strony. - Och, zostanę jeszcze kilka dni, ale nie sędzę, żeby to miało sens. On chyba nie ma ochoty walczyć z piciem, nie chce wrócić ze mną, chyba nie zależy mu na powrocie do pracy. Jeśli chodzi o Roberta, to wolałby, żeby Adam w ogóle

nie wracał. Spójrzmy prawdzie w oczy. Adam zbliża się do wieku emerytalnego. Zupełnie nie wiem, co robić. Nie mogę tu zostać, żeby go niańczyć.

- Ja także bym tego nie chciał.

Słyszając te słowa wypowiedziane na progu, Liza poczuła się winna.

- Muszę kończyć, Beth. Dbaj o siebie, kochanie. - Odłożyła słuchawkę i odwróciła się. - A więc w końcu wstałeś.

Wyglądał okropnie.

- Tak mi przykro, Lizo. - Znużony pocierał twarz. - To już ostatni raz, obiecuję. - Nie wspomniał o Brid.

Kłopot w tym, że, jak zawsze, mu uwierzyła.

Jeszcze przez następne trzy dni spacerowali, rozmawiali, Adam jadł to, co mu przygotowała, i zaczynał lepiej wyglądać. Raz kochali się na sofie w salonie. Był to powolny, senny, wspomagany wspomnieniami powrót do dawnej bliskości, która, o dziwo, doprowadziła ich prawie do łez.

- Adamie, ja naprawdę chcę, żebyś ze mną wrócił. - Liza leżała w jego objęciach, delikatnie głaszcząc go po piersi, z głową przytuloną do jego ramienia. - Kochanie, moglibyśmy być w Walii tacy szczęśliwi.

- Nie moglibyśmy. Nic by z tego nie wyszło. Gdybyśmy uważali, że to się uda, pobralibyśmy się wiele lat temu. - Uśmiechnął się ze smutkiem. - Kocham cię. Myślę, że zawsze cię kochałem. Lecz ty i ja jesteśmy jak ogień i woda. A gdybym do ciebie przyjechał, Brid podążyłaby za nami i Beth także znalazłaby się w niebezpieczeństwie. Nie możemy ryzykować. Zostawmy to tak, jak jest, moja kochana. Marzenia i wspomnienia. To nam obojgu musi wystarczyć.

Tej nocy Adam znów pił bez umiaru, ze złości, i Brid znów się pojawiła. Liza nigdy nie była pewna, co się stawało najpierw.

Siedziała przed małą prowizoryczną toaletką, którą sobie skleciła w sypialni z biurka Caluma i jakiegoś lustra znalezionego na strychu. Bardzo dawno się z nikim nie kochała i teraz, patrząc w swoje odbicie, zastanawiała się, czy to ciepło i pełnia szczęścia, które czuła gdzieś w sobie, są widoczne na zewnątrz. Nie czuła się nielojalna wobec Phila. Spośród wszystkich ludzi na świecie on jeden by ją

zrozumiał.

Krzyk Adama poderwał ją nagle na nogi, szczotka do włosów z łoskotem upadła na blat stolika.

- Ty suko! Morderczyni! Ty niegodziwa wieźmo! Wynoś się z mojego domu! Słyszysz? Wynoś się! - Rozległ się głośny łoskot i brzęk tłuczonej szyby.

- Adam? - Liza pognęła na górę po schodach. - Adamie, gdzie jesteś? - Ze ściśniętym gardłem zbiegła na dół i wpadła do jego gabinetu.

- Adamie, co się stało?

Brid stała przy Adamie, wyciągając ku niemu dłonie. Z jednej ręki ciekła krew.

- A-dam, kocham cię.

Wyglądała bardzo pięknie. Długie, lśniące, wyszczotkowane włosy spływały jej na ramiona, suknia z miękkiego materiału w kratę zielono - fioletowo - brązowo - złotą opadała pięknymi fałdami do stóp, na szyi miała srebrny naszyjnik.

- A-dam, co się stało? - Patrzyła mu w oczy, nie widząc Lizy stojącej w drzwiach.

- Wynoś się! - Adam chwiał się lekko. Podniósł ciężką, marmurową popielniczkę. - Jeśli stąd nie wyjdiesz, zabiję cię raz na zawsze, ty krwiożercza suko!

- On nie żartuje - odezwała się Liza od progu. - Musisz odejść. Nie rozumiesz? Twoja władza nad nim się skończyła. - Weszła do pokoju, serce jej waliło z przerażenia. - Zrób to, co mówi. Zostaw go w spokoju.

Brid odwróciła się. Zdawało się, że dopiero teraz dostrzegła Lizę. Oczy jej się zwęziły.

- Ty! - wypowiedziała to jedno słowo tak jadowicie, że Liza się cofnęła. - Ja ci pokażę, co się stanie, jeśli się zbliżysz do mojego A-dama. Twój mąż nie żyje. Lizie zrobiło się zimno.

- Ciebie też zabiję. - Te oczy hipnotyzowały. Liza poczuła, że nie może oderwać od nich wzroku. - Zabiję cię i dziecko dziecka A - da - ma. Wtedy A-dam będzie tylko mój!

Stojący za nią Adam zamachnął się popielniczką.

- Suka! - Wydawało się, że jest zdolny wypowiadać tylko to jedno słowo. Cisnął ciężki kawał marmuru; Brid uchyliła się i popielniczka uderzyła ją w skroń. Zatoczyła się do tyłu, splunęła na niego i skoczyła mu do gardła.

- Adam! - krzyk Lizy zamarł nagle; Adam chwycił butelkę po whisky, którą pozostawił na podłodze koło biurka, i rzucił nią w Brid, ale napotkała ona jedynie pustą przestrzeń i rozbiła się na tysiące kawałków na gzymsie kominka. Szkło posypało się do pustego paleniska.

Liza szlochała. Wstrząśnięta i przerażona rozglądała się po pokoju.

- Gdzie ona jest?

- Czy ja ją zabiłem? - Adam zatoczył się kilka kroków do tyłu i oparł na biurku. Dyszał ciężko.

- Nie wiem. Chyba nie. - Nogi odmówiły Lizie posłuszeństwa. Usiadła na sofie przy oknie. - Dobry Boże, skąd ona się wzięła?

- Diabli wiedzą!

- I dokąd poszła? - Liza z przerażeniem, badawczo wodziła wzrokiem po pokoju.

- Tam, skąd przyszła. - Adam zaczął się śmiać. - Czyż nie jest piękna? Widziałaś ją? Z tymi ślicznymi włosami, wielkimi oczami, z tymi swoimi sztuczkami i z tym kuszeniem! - Nagle zaczął płakać. Wyciągnął ramiona do Lizy.

Podniosła się chwiejnie, podeszła do niego i przytuliła jego głowę do piersi.

- Przyznała, że zabiła Phila - powiedziała bezbarwnym głosem.

- Słyszałem.

- I Caluma. I Julie. - Tak.

- I groziła, że zabije mnie i dziecko twojego dziecka. Ona nie żartowała, Adamie.

Zapadła długa cisza.

- Adamie, ja muszę jechać. Wiesz o tym, prawda? - Liza delikatnie trzymała go za rękę. - Nie ma żadnego sensu, żebym pozostawała tu dłużej.

Skinął głową. - Masz rację. Musisz jechać. Ja też tego chcę. Nic mi się nie

stanie.

- Jesteś pewien? Potaknął z zapalem.

- I co więcej, nie chcę, Lizo, żebyś tu przyjeżdżała kiedykolwiek. Ten dom przestanie istnieć. Sprzedam go. Zresztą nie ma tu już nic, na czym by mi zależało. Uważasz, że nie wiem, co Robert Harding o mnie myśli? Naprawdę ucieszyłby się, gdybym przestał być jego współnikiem.

- Dokąd pojedziesz? Nie miało sensu zaprzeczanie czemukolwiek z tego, co powiedział.

- Nie wiem. Może trochę popodróżuję. Zwiedzę kawałek świata. Siedziała przez chwilę bez ruchu, patrząc na tego nieszczęśliwego człowieka. Po raz ostatni wzruszył ramionami i popadł w głęboką zadumę tak pełną smutku, że Lizę serce bolało, kiedy na niego patrzyła.

- Adamie... - Nie wiedziała, co powiedzieć. Zmusił się do uśmiechu.

- Wszystko będzie dobrze. W końcu. Wyjdę z tego. Wyszedłem już kiedyś z ciężkiej opresji. Pamiętasz, Lizo?

- Pamiętam. Słuchaj, muszę wracać do Beth. Ale będę do ciebie przyjeżdżać. Często.

- To nie ma sensu. Nie będzie mnie tutaj.

- Może cię zastanę. Będziesz musiał gdzieś być. Przyjadę do ciebie, dokądkolwiek wyjedziesz. Im bardziej egzotyczne będzie to miejsce, tym lepiej. Znasz mnie, wiesz, że uwielbiam podróże. Jeśli się osiedlisz na Tahiti, w Tybecie albo Tijuanie, tym lepiej, przyjadę i tam.

Udało mu się uśmiechnąć.

- Jesteś w niebezpieczeństwie, a twoje słowa brzmią jak z bardzo kiepskiej popularnej piosenki. - Odwzajemniła jego uśmiech.

Po godzinie, uściskawszy go mocno, wyjechała zrozpaczona.

Brid była już kiedyś w tym sadzie i wtedy ktoś do niej strzelił. Potrząsnęła głową, kiedy krew pociekła jej do oczu. Ta kobieta, Jane, nie żyje. Teraz usunie pozostałe. Dwie kobiety były wszechobecne w życiu A-dama i trzymały go z dala od niej. A teraz pojawiła się trzecia, Dziecko dziecka A-dama.

Wolno szła przez sad, nie bardzo zdając sobie sprawę, jak niepewnie trzyma się na nogach. Było ciemno, trawa wilgotna. Szła kryjąc się w cieniu drzew, potem wdrapała się na furtkę, zeskoczyła lekko i cichymi krokami przemknęła przez zwirowany podjazd. W narożniku stało duże, lśniące auto zaparkowane obok starego land - rovera, którym jeździła Beth. Brid przyjrzała mu się i ruszyła dalej. Musi znaleźć to dziecko i zabić je.

Beth klęczała w salonie przed kominkiem z widelcem do tostów w rękę. Obok niej na talerzu leżał już stos przyrumienionych grzanek - z chleba własnego wypieku - które Giles smarował topiącym się na nich żółtym masłem. Zaśmiewali się oboje.

- Jestem pewna, że już dosyć. Oboje jesteśmy wystarczająco grubi. - Beth odgarnęła przedramieniem swe długie, opadające na oczy włosy. Twarz miała rozgrzaną od ognia, a między piersiami spłynęła jej strużka potu.

Giles nie odrywał oczu od głębokiego wycięcia jej bluzki, ukazującego wgłębienie między piersiami.

- Masz rację, jeśli zjemy to wszystko, nie pozostanie w nas ani trochę energii - zgodził się. Odłożył nóż. Był atrakcyjnym mocno zbudowanym mężczyzną średniego wzrostu, o kwadratowej twarzy okolonej miękkimi złocistoblond włosami. Bujne, złocistoblond brwi i rzęsy stanowiły oprawę czysto błękitnych oczu.

- Energii do czego? - Tę próbę wykazania się dowcipną kokieterią udaremniła spora bryłka masła, która wylądowała na czubku nosa Beth.

- Do oglądania zdjęć - odpowiedział stanowczo. Pochylił się i wyjął jej widelec z ręki. - Dosyć, kochanie. - Przysunął się bliżej i oblizał jej nos. - Wyborne.

- Giles, co z twoją żoną? - spytała bezradnie, jak gdyby wiedziała, że to pytanie nie ma sensu. Te słowa były jak mantra, którą się powtarza i powtarza bez końca, żeby się pozbyć obsesyjnych myśli, ale już nie działały. Beth była całkowicie, bez reszty pochłonięta Gilesem.

Uśmiechnął się.

- Już ci mówiłem. Idina i ja jesteśmy tolerancyjnym małżeństwem. Jej nic nie

przeszkadza, kochanie, dopóki pozostawiam ją w spokoju i pozwalam jej się zajmować własnymi sprawami w Londynie. - Zahaczył palcem o jej sweter i przyciągnął ją ku sobie, żeby pocałować jej błyszczące od masła usta. - Smakują wspaniale.

- I tłusto.

- Nie jesteś tłusta, Beth. Masz zaokrąglone kształty. I to jest cudowne. Nigdy nie mogłem zrozumieć, co mężczyźni widzą w Twiggy. Mnie się podobają kobiety, u których jest co wziąć w rękę. - Popchnął ją na dywanik przed kominkiem i znowu pocałował.

Nagle spod drzwi napłynął lodowaty powiew i sprawił, że płomienie wystrzeliły w komin i zamieszały popiół w palenisku.

- Co to, u licha? - Beth odwróciła głowę i spojrzała na ogień. - Czy gdzieś jest otwarte okno?

- Nawet jeśli, to i tak nie pójde sprawdzic. - Giles delikatnie odgarnął jej włosy z twarzy i ucałował kolejno obie powieki. - Zbiera się na burzę. Tym bardziej przytulnie wydaje się tutaj. Zjesz tę grzanke? - sięgnął do talerza i podsunął tost do jej ust.

Pochyliła się i odgryzła mały kawałek.

- Rozkoszna.

- Tuczę cię dla własnej przyjemności. - Ugryzł grzanke z drugiej strony.

- To brzmi obrzydliwie po dekadencu. Nie mów Lizie. Ona jest nowoczesną kobietą.

- I wspaniała. Wiesz, jak to jest w rodzinie. Możesz być feministką, jeśli ci się podoba, moja kochana, dopóty, dopóki nie zacznie się to wiązać z odchudzaniem albo noszeniem drelichów. - Ugryzł jeszcze kawałek grzanki, większy, jak na mężczyznę przystało. - Niebo w gębie!

Beth zmarszczyła brwi. Jej uwagę nagle znów przyciągnął ogień.

- Strasznie tu wieje, nie wiadomo skąd. Lepiej pójde sprawdzic, czy okno się nie otworzyło. Nie chcę, żeby wiatr wyrwał je z zawiasów. Posłuchaj, jak szumią drzewa. - Poderwała się lekko na nogi i uśmiechnęła. - Nie zjedz wszystkich

grzaniek, jak mnie nie będzie.

Wyrzwała do holu. Było tam bardzo zimno. Zamknęła za sobą drzwi, żeby ciepło z salonu nie uciekało, i ruszyła dalej po ciemku. Była w samych skarpetkach.

W kuchni panował lodowaty ziąb. Drzwi na podwórko były otwarte i kołysały się, uderzając z trzaskiem w ścianę. Mocowała się z nimi przez chwilę, zanim udało jej się je zamknąć i zaryglować. Stopy i włosy przemokły jej, ale cisza, jaka zapanowała w kuchni, była niemal wstrząsem po nawałnicy na dworze.

- Beth, nic ci nie jest? - Giles przyszedł za nią do holu. - Co się stało?

Odwróciła się i w tej samej chwili z kredensu skoczył na nią kot.

Upadła z krzykiem, próbując osłonić twarz przed młócającymi jak cepy łapami.

- Giles! - Jej pełen przerażenia krzyk przeszedł w szloch. Giles chciał kopnąć kota, ale nie trafił, więc chwycił pierwszą rzecz, jaka mu się nawinęła pod rękę, i z rozmachem walnął zwierzę patelnią. Kot zamiauczał głośno i znikł w ciemnym holu.

- Beth! Beth, kochanie, nic ci się nie stało? - Giles ukląkł obok i odjął jej dłoń od twarzy. - Dobry Boże, czy oczy są w porządku? Widzisz?

Patrzyła na niego w milczeniu, sparaliżowana przeżyтым szokiem; po chwili spróbowała usiąść.

- Chyba tak. Nic mi nie jest. Moja twarz... - Popatrzyła na ręce, które były całe we krwi.

- Myślę, że to tylko zadrapania. Jakimś cudem odwróciłaś twarz, kiedy skoczył. Chciał skoczyć na twarz, ale mu się nie udało. W dużej mierze. - Odsunął jej delikatnie włosy identycznym gestem, jak robił to przedtem, i odsłonił długą, jaskrawoczerwoną szramę biegnącą od skroni przez policzek aż do szczęki. - Możesz usiąść na krześle, żebym to mógł obejrzeć dokładnie? Jest tutaj apteczka pierwszej pomocy? Może będę cię musiał zawieźć do szpitala.

Już usadowiona wygodnie przy kominku, z opatrzonymi zadrapaniami, ssąc tabletki arniki na uspokojenie, Beth oświadczyła Gilesowi, że tego wieczoru dostała od życia chyba wszystkie szturchańce, jakie jej przeznaczył los. Mą dość.

Giles wyruszył na poszukiwanie kota, nie natknął się na żaden ślad.

- Nie rozumiem tego. Przeszukałem każdy kąt, zajrzałem do każdej szpary. -
Usiadł obok Beth na sofie i nabrał głęboko powietrza, żeby się uspokoić. Szok
zaczynał mijać. - Jak samopoczucie?

- W porządku - uśmiechnęła się niepewnie. - Mam nadzieję, że to nie
zniszczy mojej urody. - Uśmiechnęła się z ironią. - Nie rozumiem. Koty na ogół
mnie lubią.

- To nie był zwyczajny kot. Widziałem go wyraźnie. Był dużo większy. To
był żbik. Ten gatunek występuje jeszcze w Szkocji. Nie sądzę, żeby był w Walii. -
Ujął jej dłonie. - A jeśli chodzi o twoją urodę, nic jej nie może zaszkodzić. -
Pochylił się, pocałował ją w nos i przyjrzał jej się z bliska. - Myślę, że twój
homeopatyczny balsam zadziałał jak jakieś czary - mary. Ranka już się goi. Jeszcze
kilka dni i nie będzie po niej śladu. Szkoda naprawdę - uśmiechnął się figlarnie. -
Wyglądasz właściwie jak elegancka rozpustnica.

Uśmiechnęła się blado i przeniknął ją dreszcz.

- Gdzie on jest, Giles? Przeraza mnie. Musiał się ukryć gdzieś w domu.
- Szukałem wszędzie, Beth. Musiał uciec przez drzwi.
- Nie mógł. Zaatakował mnie, jak już zamknęłam drzwi. - Skuliła się w
kącie sofy. Drżała. - Przez całe życie czułam się tu bezpieczna, a teraz... - Nadal
możesz się czuć bezpieczna. Posłuchaj, cokolwiek to było, zniknęło. - Pomyślał
chwilę. - Coś ci powiem. A może poprosimy twoich sąsiadów w Bryn Glas, żeby
przyprawdzili do nas kilka tych swoich złych psów, owczarków szkockich, i
pozwolili im pobuszować po domu? Znajdą tego kocura na pewno, jeśli jeszcze jest
tutaj.

Usiadła. Zapaliła się do tej propozycji.

- To genialny pomysł. Zaraz zadzwonię do Jenny.. - Przy drzwiach
zatrzymała się nagle. - Pójdiesz ze mną?

Poszedł.

Jenny przyjechała po dwudziestu minutach starą ciężarówką z dwoma psami
rasy collie i należącym do rodziny psem myśliwskim.

- Tim, Dai i Bertie znajdą go, jeśli nadal tu jest - powiedziała wesoło. Psy

łasily jej się do nóg. - Co tu się, u licha, stało?

Kiedy jej wyjaśnili, spoważniała.

- Wiesz, to zadziwiające. Pamiętam, jak biedna pani Craig też została zaatakowana tutaj przez żbika. O, to było wiele lat temu. Paskudnie ją podrapał. Wszedł przez okno w sypialni. Zapytaj swoją babcię. To było przerażające. Podobno pani Craig go zastrzeliła. Zaimponowało mi to. Ale doktor Craig był wściekły na żonę. Ciekawa jestem, czy nie ukrywa się tu kilka tych dużych kotów, o których mówiono, że skądś uciekły. Chcecie, żebym zostawiła te psy u was w domu? - Jenny chyba miała co do tego wątpliwości,

- Proszę. Będą go szukać?

- Bertie na pewno, a pozostałe pójdą w ślad za nią. Bertie, szukaj! - rozkazała Jenny. Pies popatrzył na jej rękę wskazującą kierunek, zawarczał i ruszył podniecony penetrować dom. Jenny westchnęła. - Jest taki niecierpliwy. Nigdy nie czeka, żeby się dowiedzieć, czego ma szukać.

Beth się roześmiała.

- Chodź, Jenny. Napijemy się herbaty albo czegoś innego, dla zabicia czasu.

- Myślę, że powinniśmy pójść za nimi. Twoja wiara w ich dobre wychowanie jest wzruszająco naiwna. - Jenny roześmiała się wesoło. - Potem z przyjemnością napijemy się herbaty.

Psy nie znalazły nic. Biegały po całym domu, dotarły nawet na strych, ale nic nie wzbudziło ich zainteresowania, chyba tylko towarzysząca im gonitwie chmura kurzu. Nagle Bertie zatrzymała się przed sypialnią Beth i sierść jej się zjeżyła na grzbiecie. Pozostałe psy stanęły za nią i spoglądały wyczekująco. - O Boże! - Beth popatrzyła na Gilesa, który przyniósł ze sobą pogrzebacz. Pochylił się i pchnął drzwi.

Psy się zawahały.

- Szukaj! - powiedziała spokojnie Jenny. Bertie odwróciła głowę, popatrzyła na nią z wyrzutem i usiadła.

- Zostańcie z tyłu. - Giles zacisnął mocno w dłoni pogrzebacz i na palcach zbliżył się do progu. - Nic nie widzę - szepnął, Zrobił jeszcze jeden krok.

- Moje łóżko! - krzyknęła nagle Beth. - Spójrzcie na moje łóżko!

Jakby jej głos uwolnił je od jakiegoś czaru, wszystkie trzy psy wpadły do pokoju. Obchodziły łóżko w pewnej odległości, obwąchując z daleka, ale żaden nie podszedł blisko. Jenny zauważyła, że wszystkie podkuliły ogony. Poczowała ukłucie lęku. Jej psy nie bały się przecież żadnego zwierzęcia. Ostrożnie weszli wszyscy do pokoju i stanęli wokół łóżka. Piękna patchworkowa kołdra była podarta na strzępy.

- Popatrz! - Beth uniosła do góry resztki kołdry. Prześcieradła i koce były w podobnym stanie. - Dlaczego? - szepnęła.

- Myślę, że wszedł przez to okno. - Giles zauważył nagle, że zawias przy jednym skrzydle się obłuzował i okno zamknęło się pod uderzeniem wiatru. - Widzicie, musiał przewrócić kwiaty, jak wskakiwał. - Potarł dłonią klamkę i popatrzył na nią. - Krew i kilka ciemnych włosów.

Zamknął szczelnie okno i zabezpieczył, żeby się nie otworzyło.

- No cóż, przynajmniej wiemy, że naprawdę uciekł - uśmiechnął się do Jenny. - Myślę, że pozwolisz, żeby cała ta nieustraszona trójka dostała coś na ząb. - Spojrzał na Beth. - Schodzisz na dół?

Ale dziewczyna nadal wpatrywała się w łóżko.

- Przez cały czas myślę, że on mógł to zrobić z moją twarzą.

- Lepiej idź na chirurgię, żeby tam obejrzel te twoje zadrapania, kochanie. - Jenny odgarnęła do tyłu włosy Beth. - Miałaś wiele, wiele szczęścia.

- Byliśmy tacy szczęśliwi. Tak miło spędzaliśmy ten wieczór i nagle to się stało... - Beth zadrżała - - Zupełnie jakby jakiś zły duch wyłonił się z ciemności.

W kuchni Jenny pstryknęła palcami na swoje psy i wszystkie trzy posłusznie położyły się pod stołem.

- Słuchajcie. Czy mogę coś zaproponować? Ja na waszym miejscu nie niepokoilibym babci tym, co się tu wydarzyło. Czuję, że to by ją zdenerwowało. Mogłaby dojść do wniosku, że nie może wyjeżdżać i zostawiać was samych. - Uśmiechnęła się do Gilesa. - Śmiem twierdzić, że pan także by tego nie chciał.

Beth szturchnęła ją lekko w ramię. Udało jej się uśmiechnąć.

- Chyba niczego nie insynuujesz, cioteczko, co?

- Nie. Tylko pomyślałam sobie, że twoja babcia nie potrzebuje więcej zmartwień, prawda? I tak ma ich dosyć.

- O, tak. - Beth zamyśliła się na chwilę. - Masz rację.

- A więc słowo? Beth skinęła głową.

- Słowo. - Wstrząsnęła się znów mimo woli, kiedy spojrzała w kierunku okna. Tam, na zewnątrz, w ciemności, kryje się jakieś niebezpieczne zwierzę. Pomyślała o poszarpanej kołdrze na swoim łóżku. Dlaczego ten kot to zrobił? Dlaczego wybrał właśnie jej pokój spośród wszystkich w tym domu? I dlaczego postanowił zniszczyć jej łóżko?

Kiedy Jenny z psami wyszła, Beth i Giles powrócili do salonu. Stos grzanek leżał nietknięty, po ogniu na kominku pozostała kupka popiołu. Beth spojrzała na Gilesa.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że to się stało. Potrząsnął głową.

- Ja także. - Pochylił się, żeby dorzucić kilka polan do ognia, i objął ją ramieniem.

- Moje biedactwo. Naprawdę chciałbym, żebyś poszła do lekarza.

- Powiedziałam ci już: nie chcę. Nie potrzebuję lekarza. - Oparła się o niego. - Jak długo możesz zostać, Giles?

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Powinienem wrócić. Muszę popracować nad tym rękopisem.

- Zostań do powrotu Lizy. Proszę. Dotknął delikatnie jej policzka.

- Zostałbym na zawsze, gdybym mógł.

Szedł właśnie do kuchni po butelkę wina i dwa kieliszki, kiedy zadzwonił telefon. Beth wstała.

- Może to Liza. - Podniosła słuchawkę i odwróciła się obserwując, jak Giles wyjmuje korek.

- Chcę mówić z Gilesem. - Kobięcy głos po drugiej stronie był bezosobowy i lodowaty. Beth w milczeniu oddała mu słuchawkę. Giles zerknął na nią i wziął słuchawkę do ręki. Podczas rozmowy stawał się coraz bardziej zdenerwowany. Siedząca przy kuchennym stole Beth obserwowała go z zamierającym sercem.

- Jak rozumiem, to była Idina - powiedziała, kiedy Giles w końcu odłożył słuchawkę. Głos miała ochryply z lęku. Zrozumiała sens tej rozmowy.

- Beth... - Twarz miał zupełnie popielatą.

- Nie pojedziesz! - Czuła łyzy nabiegające do oczu, jak przyływ. - Jeszcze nie teraz. Dopiero jak Liza wróci do domu. Obiecałeś.

- Beth, kochanie. Muszę. Ona grozi, że zażyje śmiertelną dawkę.

- Nie możesz. Nie możesz zostawić mnie samej. Nie pozwolę ci. Ona nie mówiła poważnie.

- Beth! Nie pojechałbym, gdyby to nie było ważne, wiesz przecież.

- Ja jestem ważna.

- Tak, jesteś. Jesteś najważniejszą rzeczą w moim życiu. Ale Idina mnie potrzebuje. - Zaczerpnął głęboko powietrza. - Ona to już raz zrobiła, Beth.

- Ale mnie też jesteś potrzebny, Giles! A jeśli on wróci? I znowu mnie zaatakuje? - Wpatrywała się w niego, naprawdę przerażona. - Nie wyjedziesz teraz? - Kiedy się odwróciła i zobaczyła, że Giles zbiera swoje porzucane rzeczy, wpadła w panikę.

Giles podszedł do niej z udręczoną twarzą. To była najtrudniejsza decyzja, jaką kiedykolwiek musiał podjąć.

- Beth, kochanie, proszę, nie utrudniaj mi tego jeszcze bardziej. Nie mam wyboru. Zostawiam cię z ogromną przykrością, ale będziesz bezpieczna. Poproszę, żeby Jenny tu przyszła ze swoimi psami. Wróca, jak ją o to poproszę. Trzymaj wszystkie drzwi i okna zamknięte do rana. Zadzwoń do ciebie, jak tylko dojadę na miejsce, obiecuję. Rzecz w tym, że nie mogę zostawić Idiny samej, kiedy jest w takim stanie. Jak jest zajęta innym mężczyzną, nie zależy jej na mnie. Ale on ją rzucił. - Potrząsnął głową, zaniepokojony. - Wiem, że to jest emocjonalny szantaż, ale jestem jej mężem, Beth. Czuję się za nią odpowiedzialny. Nadal jestem do niej bardzo przywiązany.. - Wzruszył ramionami i objął dłońmi jej poranioną twarz. - Jesteś silna, Beth. Przetrawiasz to. Dlatego cię kocham. I masz swoją sztukę. Idina nie ma nic. Obiecuję, że wrócę. Jakoś uładzę sprawę z nią i wrócę.

- Kochasz mnie, ale nadal jesteś do niej bardzo przywiązany - odparowała

Beth. - Wygląda mi na to, że, jak mówi francuskie przysłowie, chcesz zachować swoje ciastko i jednocześnie je zjeść. Siedząc bez ruchu przy kuchennym stole, obserwowała, jak Giles powoli, metodycznie zbiera swoje rzeczy i zanosz je do samochodu.

- Giles, proszę! - W końcu wyszła za nim przed dom. Stojąc tak i patrząc bezradnie na jego samochód, zaczęła znowu płakać.

- Nie, Beth. - Wstawił ostatnią walizkę i zamknął bagażnik. Jego cierpliwość się wyczerpywała. - Pojadę i powiem Jenny...

- Nie trudź się! - Beth wbiegła do domu. Jej rozczarowanie i lęk przemieniły się we wściekłość. - Nie zabrałaś wszystkiego. Zabierz i to! - Biegała na oślep i zbierała wszystkie starannie opracowane notatki, zdjęcia i szkice, spisy rozdziałów, propozycje tytułów, pakując to wszystko razem, półprzytomna ze złości i nieszczęśliwa. Wreszcie cisnęła tym wszystkim w niego przez błotniste podwórze.

Patrzył na to oszołomiony, a potem obrzucił ją obojętnym wzrokiem.

- Jesteś samolubna i dziecinna, Beth! - krzyknął. Po chwili odetchnął i dodał. - Może to i dobrze, że przekonałem się o tym teraz, kiedy nie jest jeszcze za późno. - Wściekły wsiadł do samochodu, zawrócił, przejechał po jednym z najcenniejszych szkiców i wyprysnął z podwórza.

Patrzyła za nim, nie wierząc własnym oczom, nie pamiętając zupełnie o kocie; warkot samochodu powoli zamierał w oddali. Dlaczego Giles jest taki nierozsądny? Wiedziała o Idinie. Znała prawdę, zanim zaprosiła Gilesa tutaj. Ale jeśli ona była nierozsądna, to on także.

Dopiero kiedy deszcz zaczął znowu padać, jego wielkie krople otrzeźwiły ją i instynkt samozachowawczy dał o sobie znać. Znalazła gąbkę i obeszyła całe podwórze, zbierając wszystkie porzucane papiery. Ułożyła z nich mokry stos na kuchennym stole, po czym zatrzasnęła drzwi i zamknęła na łańcuch. Dopiero wtedy wróciła do salonu i rzuciła się na sofę, żeby się wyplakać.

Było już ciemno, kiedy Liza dojechała wreszcie na miejsce i zatrzymała samochód na podwórku. Zauważyła ze zdziwieniem, że stoi tam tylko samochód Beth. Czyżby gdzieś wyjechali? Ale w kuchni pali się światło. Kiedy jednak pchnęła

drzwi, okazało się, że są zaryglowane.

- Beth? Giles?

Beth sama otworzyła drzwi. Rzuciła się Lizie na szyję.

- On wyjechał. - Tak bardzo płakała, że twarz miała zapuchniętą, a oczy zaczerwienione.

- Co się stało? Chyba się nie pokłóciliście? - Coś w tym rodzaju. - Beth pociągnęła nosem. - Było tak przyjemnie. Pracowaliśmy nad książką. Fotografowaliśmy. Ja robiłam szkice. Planowaliśmy wielki sukces. On miał zostać do przyszłego tygodnia. I wtedy zadzwoniła jego żona. - Łzy znowu popłynęły, więc sięgnęła do kieszeni po chusteczkę.

Liza westchnęła. Wzięła Beth za rękę i zaprowadziła do salonu. Było już niemal zupełnie ciemno, tylko w kącie paliła się lampa. Beth usiadła na podłodze, na poduszce przed kominkiem. Liza zapaliła jeszcze kilka lamp i wrzuciła polano do kominka.

- A nie mówiłam, żebyś nie zapomniała, że on jest żonaty?

- Powiedział mi, że zawarł pewien układ.

- Och, proszę! - Liza wzniosła oczy ku niebu. - Kochanie, nigdy nie wierz mężczyźnie, kiedy mówi, że ma pewien układ z żoną, a także nie wierz, kiedy mówi, że ona go nie rozumie. To prawdopodobnie znaczy, że rozumie go aż nadto dobrze. Więc co się stało? Jak rozumiem, wezwała go do powrotu.

Beth skinęła głową.

- Zagroziła, że się zabije, jeśli on nie wróci.

- Rozumiem.

- Więc cisnęłam w niego wszystkimi moimi szkicami. - Beth znowu zalała się łzami.

- Och, Beth! - Liza opadła na poduszki. Zamknęła oczy. - I co ja mam z tobą zrobić?

- Przepraszam. - Beth siedziała na poduszce, obejmując rękami kolana, ze łzami spływającymi po twarzy, i wyglądała tak młodo, tak bezradnie, że Liza miała ochotę płakać razem z nią.

- Zadzwoń do niego rano.

- Nie.

- Beth, to będzie rozmowa dotycząca interesów. Zainwestowano w to mnóstwo pieniędzy, zawarto umowę. Nie możesz tylko krzyczeć i rzucać w niego swoimi szkicami. Musisz się zachowywać jak osoba dorosła, on tak samo. - Zmuszała się, żeby mówić surowszym tonem niż powinna w tej sytuacji. - Jeżeli ja do niego nie zadzwonię, ty będziesz musiała to zrobić. W tej pracy nie ma miejsca dla primadonny, a także dla takiego uwodziciela, takiego drania jak on. Oboje musicie się nauczyć, jak należy się zachowywać w sprawach zawodowych. A dla dobra przyszłych wzajemnych stosunków powinnaś przyjąć zasadę, że nie należy sypiać ze swoimi współpracownikami.

- Tak jak ty nie sypiałaś z Michelelem?

- To było co innego.

- Jak to?

- Naprawdę. Wierz mi, Beth. Po pierwsze, on nie był żonaty. A po drugie, nie stanowił jedyne źródła moich dochodów, nie zawdzięczałam mu mojej pierwszej i najważniejszej pracy, moich kontaktów i rekomendacji, a przy odrobinie szczęścia wielu przyszłych zleceń.

Zmarszczyła nagle czoło, kiedy Beth podniosła głowę i spojrzała w ogień.

- Coś ty, u licha, zrobiła ze swoją twarzą?

- Nic. - Beth pośpiesznie opuściła głowę i schowała w ramionach.

- Pokaż mi to. - Liza zsunęła się z sofy i uklękła przy wnuczce. - Mój Boże, Beth, co się stało? On tego nie...

- Nie, on tego nie zrobił. Jak mogłaś nawet o tym pomyśleć?

- Więc co się stało? - Nagłe ukłucie panicznego lęku znalazło odbicie w ostrym brzmieniu jej głosu. - Powiedz mi, Beth.

- To przez jakiegoś kota - powiedziała dziewczyna stłumionym głosem, z twarzą schowaną na kolanach.

- Och, nie! - Liza potrząsnęła głową. - Och, nie! Boże, proszę, nie! - W milczeniu opadła na sofę.

A więc to, że pozostawiła Adama samego, nie wystarczyło jej. Brid zjawiała się w Walii. Może to było tylko ostrzeżenie, a może jej mściwość sięga dalej. Julie, Calum, Phil, Jane. Pozostały jeszcze tylko dwie osoby w życiu Adama. Ona i Beth, dziecko jego dziecka.

Lizę przeszył dreszcz.

Sprawdziła tej nocy, czy wszystkie drzwi i okna są zamknięte, przeszukała cały dom, a kiedy Beth w końcu położyła się spać i zanim ona sama się położyła, otworzyła szafkę, w której Phil trzymał strzelbę, wyjęła ją i postawiła w kącie w sypialni. Pod poduszkę wsunęła nóż kuchenny i postanowiła spać przy zapalonym świetle.

O wpół do dziesiątej zadzwonił Robert Cassie.

- Lizo, co się dzieje? Giles mówi, że nie może pracować z twoją wnuczką.
- Oczywiście, że może, a raczej mógłby, gdyby potrafił się powstrzymać od zdejmowania majtek - odparła Liza szorstko. Miała za sobą niespokojną noc i czuła się paskudnie. - Powiedz mu, żeby był bardziej profesjonalny. Beth jest wytrącona z równowagi. Nie wolno mu było z nią tak postępować. To haniebne. Powiedz mu, żeby się trzymał z daleka. Zresztą do tej pory wykonali wszystko, co trzeba. - Liza obejrzała notatki i ilustracje i była pod wrażeniem profesjonalizmu, który było widać na pierwszy rzut oka, mimo plam z błota i gdzieś rozdarć.

- Chciałbym podzielać twój optymizm.

- Zaufaj mi - uśmiechnęła się Liza.

W nocy wpadła na pewien pomysł, który ją ogromnie podniecił. Znów podniosła słuchawkę i nakręciła numer. Upłynęło dużo czasu, zanim ktoś się odezwał.

- *Pronto.*

- Michele? To ja, Liza. - Wstrzymała oddech. - Czy możemy, Beth i ja, do ciebie przyjechać?

Terrazza była taka, jaką ją zapamiętała. Kruszący się biały kamień, przyprószony słodko pachnącym tymiankiem i oregano, zdawał się zlewać ze stokiem góry, jak gdyby ten stary zamek wyrastał z samego jej środka. Liza

westchnęła głęboko, z zadowoleniem. Napotkała wzrok Michelego.

- Jesteś bardzo miłym człowiekiem.

- Zawsze próbowałem cię o tym przekonać - uśmiechnął się. - Kiedy masz zamiar powiedzieć mi prawdę?

- Prawdę? - Pochyliła się do przodu w niskim krześle i wzięła do ręki kieliszek z winem.

- Prawdę.

Michele był wysokim mężczyzną. Włosy miał równie gęste, jak Liza pamiętała z dawnych lat, tylko że teraz stały się zupełnie białe. Opalona twarz była może tylko trochę bardziej pomarszczona, oczy jaśniejsze

- poza tym nie zmienił się wcale. Nadal budził w niej ogromną tęsknotę, sprawiającą niemal fizyczny ból za każdym razem, kiedy spoczął na nim jej wzrok. To śmieszne, powtarzała sobie bez przerwy, w jej wieku pożądać mężczyzny. To świadczy o braku godności, braku stylu. Ale nadal miała ochotę pogładzić jedwabiste włosy na jego opalonej ręce, kiedy oparł ją na stoliku obok niej. Uśmiechnął się, zamyślony.

- Tak, wiem, przyjechałaś, żeby odciągnąć Beth od pewnego nieodpowiedniego mężczyzny, żeby odpoczęła i doprowadziła do ładu zawikłane sprawy, uciszyła swoje namiętności i - jakich to słów użyłaś?

- Zachichotał. - Ale myślę, że tak naprawdę przyjechałaś wcale nie dlatego. Pamiętam moją Lizę. To do niej niepodobne, żeby się bać, moja Liza nie bałaby się natarczywego autora. W końcu przecież mnie się nie boi! Liza się roześmiała.

- Spostrzegawczy jak zawsze!

- Tak. To prawda.

- Michele, powiedziałabym ci prawdę, gdybym uważała, że jest chociaż minimalna szansa, że w to uwierzysz. Ale tak, jak się sprawy mają, nie sędzę, żebyś uwierzył. - Widziała Beth wędrującą po ogrodach poniżej miejsca, gdzie siedzieli. Jasny słomkowy kapelusz, który miała na głowie, podskakiwał to w górę, to w dół między drzewami i nagle się zatrzymał, mignęło coś białego, kiedy Beth otworzyła szkicownik. Liza wiedziała, że wnuczka przysiadła gdzieś na chwilę.

- Wypróbuj mnie - powiedział Michele surowo.
- Dobrze. Powiem ci. Boję się o Beth i o siebie.

Słuchał nie przerywając. Raz tylko pochylił się do przodu, żeby wyjąć butelkę z winem z kubelka z lodem i napełnić kieliszek Lizy. Potem usiadł wygodnie w krześle, pozornie rozluźniony. Ale oczy za ciemnymi okularami były zagadką.

Kiedy Liza skończyła, przez chwilę nic nie mówił. Potem usiadł prosto i pochylił się do przodu, opierając łokcie na drewnianym stole.

- Zwracałaś się kiedyś po radę do księdza? Pokręciła przecząco głową.
- To nie jest w zwyczaju Adama. I moim.
- A twojego przyjaciela Meryna?

- Nie wiem, gdzie on jest. - Zawahała się. - Wierzysz mi?

- Czemu miałbym nie wierzyć? Jestem taki stary, że widziałem wiele dziwnych rzeczy w swoim życiu. W końcu - twarz rozjaśnił mu uśmiech - moja piękna Liza do mnie wróciła.

- Pochlebca.

Skwitował tę uwagę lekkim skinieniem głowy. Potem znów pochylił się do przodu.

- Jestem zaintrygowany. Pod pewnymi względami to śliczna historia. Młoda dziewczyna owładnięta miłością lata całe goni śladem mężczyzny. To wskazuje na głębokie oddanie, którego możemy pozazdrościć.

- To wskazuje na obłąd, Michele. Jednokierunkowy, obsesyjny obłąd. - Liza mówiła ostrym tonem. - Czy wiesz, ile osób ona zabiła?

Wzruszył ramionami.

- Ach, nie twierdzę, że nie jest niebezpieczna. - Przerwał i zamyślił się. - Skąd wiesz, czy nie przyjedzie za tobą do Włoch?

- Nie wiem. Mam nadzieję, że nie przyjedzie. - I wciąż jeszcze nie powiedziałaś Beth, dlaczego ten kot ją zaatakował?

- Nie. Nie chcę jej straszyć. Miałam osiemnaście lat, kiedy Brid po raz pierwszy mnie zaatakowała. Nie mogę w to uwierzyć. Ona poluje na mnie przez blisko pół wieku.

- Ale cię nie zabiła. Z jakiegoś powodu pozwala ci żyć; albo jesteś chroniona i nie może cię skrzywdzić. Z jakiego powodu? - Zdjął okulary i utkwiał w Lizie przenikliwy wzrok. - Musimy się tego dowiedzieć. To ważne. Czy ty nadal kochasz Adama? - Spytał, starając się mówić obojętnym tonem.

- W pewnym sensie zawsze będę go kochała. Tak.

- Ale nie na tyle, żeby z nim żyć.

- Nie. Bardzo się różnimy. Nie mogliśmy nigdy żyć razem.

- Dziwię się, skoro tak jest. Ona wie, że nie stanowisz zagrożenia. Z drugiej jednak strony uważasz, że zabiła zarówno twojego męża, jak twoją córkę. Po to, żeby cię ukarać? Nie mogło być żadnego innego powodu?

- Nie. - Odwróciła głowę, żeby nie widział jej łez.

- Lizo. - Delikatnie przykrył ręką jej dłoń.

- Wiem. Przepraszam. - Pociągnęła nosem. - Dasz mi jeszcze trochę wina?

- Drżącą ręką wyciągnęła ku niemu pusty kieliszek. - A więc naprawdę mi wierzysz!?

- Przecież ci powiedziałem.

- I jesteśmy tutaj bezpieczne? Odpowiedział po chwili milczenia.

- Wierzę, że tak. W końcu czemu miałyby cię ścigać, kiedy ma swojego Adama tylko dla siebie? Z pewnością jest to wszystko, czego pragnęła. Lizo, myślę, że nadszedł czas, żebyśmy się pobrali.

Przez chwilę była spięta, ale zaczęła się powoli odprężyć. Podniosła wzrok i zapytała ze łzami w oczach:

- Mówisz poważnie? Objął ją bardzo mocno.

- Poważnie, *Carissima*. Nigdy w życiu nie mówiłem poważniej. Westchnęła.

- Czuję się tutaj bezpieczna?

- Będiesz bezpieczna. - Odsunął się na odległość ramienia i uśmiechnął. -

Nie będę tłumił twoich pragnień. Nie zabronię ci malować. Wszystko, co mogę ci ofiarować, to moje uwielbienie. Pomyśl o tym przynajmniej, dobrze?

- A-dam.

Jej głos był coraz słabszy.

- A-dam.

Bez końca przeszukiwała pokoje, ale były puste. Meble zniknęły, jedynie kurz pozostał na podłogach. Cicho weszła po schodach na górę i jeszcze raz wędrowała z pokoju do pokoju. Pokój, który dzieliła z Adamem, pokój, który on dzielił ze swoją żoną. Pokój tego chłopca - nawet ten był pusty, ściany ogołococono z plakatów, obrazów i książek.

- A-dam? Potrzebuję cię.

Siła, niepodsykana dzięki Adamowi, opuszczała ją. Wkrótce będzie musiała powrócić w góry, gdzie leży jej pograżone we śnie ciało, uwięzione w innym wymiarze czasu. Nie miała teraz żadnych tropów, nie wiedziała, jak go odszukać. Brakowało jej energii, żeby robić cokolwiek poza włączeniem się bez końca po pustym domu w St Albans, gdzie nowe róże zwisały nieprzycięte i niezadbane na wybujałych nadmiernie krzakach. Wkrótce wprowadzą się nowi właściciele. Zaplanowali kapitalny remont. Mają przebijać ściany, wymieniać ramy okienne, garaż przekształcić w salę gier, a także zaadaptować strych na powierzchnie mieszkalne. Mają sprowadzić do ogrodu buldożer, żeby wykopał miejsce pod basen, a także usunął starą gruszę i róże. Nie przejmowali się tym, że w tym domu zmarły dwie kobiety. Nie byli przesądni, nie przyszło im do głowy, że ten dom może być nawiedzany przez duchy.

Brid obserwowała z okna, jak spacerują po ogrodzie i dyskutują głośno, co zrobić z ukochanymi klombami Adama. Gdy zobaczyli kota czającego się w krzakach, nie zaniepokoiło ich to. Wystarczy posypać mielonego pieprzu i kot się wyniesie.

A więc obudziłaś się, Brid?

Głos Broichana dotarł do niej z oddali, jakby z ust zakneblowanych morską mgłą.

Nadeszła pora, byś powróciła do nas, Brid. Czas twoich podróży się skończył. Zobacz, brat czeka na ciebie.

- Gartnait? - Otworzyła oczy. - Gartnait, ty także tu jesteś? Gdzie ona jest? Chodnik jest mokry i zimny. Ktoś nad nią stoi.

To jeden z tych hipisów. Może narkoman? Nie zdziwiłaby się. Przeszła koło niej, pociągając nosem, jakaś kobieta w plastikowym płaszczu od deszczu, z wózekciem na zakupy. Następna osoba rzuciła Brid kilka pensów, które zabrzczały na bruku i leżały rozrzucone półkolem wokół niej. Płakała.

- Gartnait? - Co ona mówi? To cudzoziemka? Nie dziwiłbym się. Lepiej wezwać policję.

Podchodzili, odchodzili. Nikt nie zareagował. Robiło się coraz zimniej i coraz ciemniej, więc Brid skuliła się w cieniu, modląc się, żeby powrócić do kociej postaci,, schować, zapolować, a potem zwinąć się w kłębek gdzieś w ukryciu.

Brid, wróć. Nie ma sensu dłużej się ukrywać.

Czuła, jak ją ciągnie. Łańcuch wokół kostki na nodze wrzynał jej się w ciało, jęczała. Bała się bardzo. Adam by ją ocalił, gdyby wiedział. Gdzie on jest? Dlaczego opuścił dom? Dlaczego wszystko pozmieniał?

Brid, byłaś nieposłuszna, pogwałciłaś reguły kapłaństwa. Nie słuchałaś bogów. Są na ciebie źli, Brid. Byłaś za sprytna. Używałaś ich darów, żeby zaspokoić swoje pożądanie. Musisz stanąć przed nimi i odkupić swoje winy.

Wstań. Idź. Uciekaj od tych ludzi. Widziałaś, co robią ludzie, którym przeszkadzasz. Umieszczą cię w szpitalu dla umysłowo chorych. Zamkną i każą nosić te idiotyczne ubrania i jeść okropne potrawy. Zamkną tam, skąd nie będziesz mogła oglądać słońca i księżyca, gdzie nie będziesz mogła się porządnie umyć w miękkiej brązowej wodzie górskiego strumyka ani wziąć gorącej, parującej kąpieli w domu Adama. Będą cię trzymali jak niewolnicę. Czuła wokół kostki ten łańcuch, łańcuch założony przez Broichana. Trzymał ją, nie pozwalał uciec. Jeśli wróci teraz do swego łóżka w domostwie Broichana, zginie z jego ręki jako ofiara złożona bogom, których obraziła swoim zachowaniem. Nie ma nikogo, kto by się o nią troszczył. Musi wstać. Musi wyruszyć w drogę.

Nie zdawała sobie sprawy, jak dotarła do sadu. W jednej chwili była na skąpanej w deszczu ulicy w St Albans, a już w następnej opierała się o starą, omszałą furtkę, palcami Zesztywniałymi z zimna trzymając się górnej deski. Dom na farmie był pogrążony w ciemnościach. Zmarszczyła z niezadowoleniem czoło. Jej

cienka zielona suknia była przemoczona. Brid trzęsła się z zimna. Zamknęła na chwilę oczy i starała się wyobrazić siebie w ciepłym, lśniącym futerku kota, patrzącą kocimi, zmrużonymi oczami, słuchającą czujnymi, spiczastymi uszami. Podkurczała palce na furtce, pragnąc, by stały się kocimi pazurami. Ale nic takiego się nie stało. Drzazga ze starego drzewa utkwiała jej pod paznokciem i Brid, przestraszona bólem, patrzyła na plamkę krwi na jasnym poroście. Wyrwała garstkę mchu i owinęła nim palec, a potem wolno ruszyła w kierunku domu. Ostrożnie obeszła go dookoła, zaglądając w okna. Wiedziała już, że nie ma tam nikogo. W garażu stały dwa samochody, ale był zamknięty na kłódkę. Nie czuła w pobliżu ich obecności. Z pewnością A-dama nie ma tutaj. I nie było od dawna.

Skulona wśliznęła się do jednej ze starych stodół i nie zdejmując torby z ramienia, usiadła i słuchała, jak deszcz bębni po dachu. Broichan nie znajdzie jej tutaj. Ani natrętni ludzie z St Albans, którzy chcieli ją dokądś zabrać i nakarmić zupą. Tu może odpocząć do rana, a potem znów zacznie szukać. Jakoś odnajdzie swego A-dama, choćby jej to zajęło całą wieczność.

CZEŚĆ CZWARTA

BETH

Wczesne lata dziewięćdziesiąte

Rozdział dziewiętnasty

Robert Cassie usiadł wygodnie i rozglądał się po „Spichlerzu” z ogromną satysfakcją. Właśnie dopił trzecią filiżankę kawy, skończył drugi kawałek wyśmienitego ciasta z marchwi i był całkowicie pewien, że zwyciężył. Z uśmiechem znów zwrócił się do Beth.

- Wiesz, że nie dla każdego ilustratora jechałbym sto pięćdziesiąt mil, żeby się z nim spotkać.

- Wiem - odwzajemniła uśmiech. - Ale nie każdemu ilustratorowi ośmieliliby się pan przedłożyć taką propozycję. Pan wie, że Giles i ja nie zgadzamy się na proponowane warunki.

- Ale jesteście zespołem zwycięskim.

Ich książka „Czar Black Mountains” rozeszła się w trzydziestu tysiącach egzemplarzy w twardej oprawie i miała trzy dodruki w ciągu pierwszych trzech miesięcy. Doprowadzenie do jej ukończenia było triumfem talentów dyplomatycznych Roberta, które nigdy przedtem ani potem nie zostały poddane tak trudnej próbie.

- Posłuchaj, Robercie, powiedziałam, że się nad tym zastanowię, i zrobię to. Proponujesz mi masę pieniędzy. - Beth pozwoliła, żeby wzrok jej powędrował na chwilę do stosu papierów na stoliku przykrytym ceratą w czerwony wzorek. Roboczy tytuł: „Moje góry: Piękno i tajemnice gór szkockich”, wydrukowany czarną kursywą przez całą okładkę, sprawiał, że wszystko wydawało się już *fait accompli*, pracą, za którą dostała najwyższą ocenę.

Otworzyły się drzwi i weszło trzech turystów z twarzami zaczerwienionymi od wiatru, ich buty zazgrzytały na kamiennych płytach. Stanęli przed tablicą z jadłospisem, zacierając ręce i chuchając na nie, zadowoleni, że jest im ciepło i czują zapach przygotowywanych potraw.

- Czy Giles wie, że prosiłeś mnie o wykonanie tych ilustracji? - Beth popatrzyła kpiąco na Roberta.

- Oczywiście. On wie, że jesteś bardzo zasadnicza. Bez twoich obrazków książka się nie ukáže. Giles potrzebuje tych pieniędzy, Beth. Jest zrozpaczony, że musi to robić. - Robert popatrzył na nią spod swych krzaczastych brwi i skrzywił się. - Nie powinienem ci tego mówić, ale myślę, że musisz wziąć to pod uwagę, zanim mu odmówisz bez zastanowienia. - Był pewien, że Beth tego nie zrobi, ale nie mógł liczyć z całą pewnością na jej zgodę, dopóki czegoś nie podpisze. Być może nadeszła pora, żeby zmienić temat. - Powiedz, jak się miewa wspaniała

hrabina.

Beth zachichotała.

- Nie lubi, jak się ją tak nazywa. Ta moja babka jest bardzo lewicowa.
- Musi tęsknić za Walią.

- Oczywiście, że tęskni. Bardzo jej było ciężko sprzedać farmę. Właściwie pewnie by tego nie zrobiła, gdyby nie mogła kupić dla mnie chaty Meryna. Wie, że może tu przyjechać, kiedy zechce. I przyjeżdżają latem, kiedy jest jej tam zbyt gorąco i zaczyna tęsknić za odrobiną walijskiej mgły i tutejszego deszczu.

- Za tobą też musi tęsknić.

Beth zamyślona lekko wzruszyła ramionami.

- Oczywiście. Ale ja ich odwiedzam. A poza tym obie jesteśmy kobietami pracującymi. Ona nadal jeździ po całym świecie, ja także mam swoje dobre momenty.

- Takie jak ten, kiedy pewien londyński wydawca przychodzi, czołga się u twoich stóp i nie szczędząc wysiłków, zaprasza na kawę i ciastka.

- Byłbyś oburzony, gdybym nie przyjechała do Londynu?

- Oburzony, ale nie zdziwiony. Masz problemy osobiste. - Uśmiechnął się szerzej. - Wiem, że wam się z Gilesem niezbyt układa. I wiem także, że nienawidzisz przyjeżdżać do Londynu. Jesteś w głębi duszy wiejską dziewczyną, prawda?

- Tak, jestem walijską dziewczyną, Robercie. Nie wiem nic o szkockich górach.

- Możesz się nauczyć. Chociaż wychowałaś się w Walii, jeden z twoich dziadków był Szkotem. Prawda? Nie chciałabyś się czegoś dowiedzieć o swoich przodkach ze strony tego dziadka? Pokochałabyś te góry. Zapewniam cię, że nie potrafiłabyś się oprzeć ich urokowi. - Już wierzysz w skuteczność własnej reklamy.

- Beth poklepała go po dłoni. Usiadła wygodnie, pochyliła się do tyłu i zamknęła na chwilę oczy. Kręciło jej się w głowie. Nie widziała Gilesa trzy lata.

Próbowali być tylko przyjaciółmi, ale nie wyszło. Seks stanął na przeszkodzie. I Idina. I miłość. Miłość Beth. Potem zaczęły się zaciekle kłótnie. Mimo to

wykonała swoje zadanie. Jej szkice i obrazy były genialne. Ale za każdym razem, kiedy mieli się spotkać, żeby omówić, jakieś sprawy związane z książką, nalegała, żeby to spotkanie odbyło się w Londynie, na neutralnym gruncie w redakcji Hibberda na West Endzie. Tam starali się zachowywać wobec siebie z ostentacyjną uprzejmością. Kilka razy Giles skrytykował jej rysunki i wtedy wypadła wściekła z pokoju. Dwa razy ona powiedziała Gilesowi, że jego podpisy pod ilustracjami są denne, i potem Robert musiał go wyciągać siłą z pubu po drugiej stronie ulicy, ale w końcu udało im się ukończyć książkę i chociaż Beth przysięgła sobie, że nigdy więcej nie przyjedzie do Londynu, zostali sfotografowani razem, uśmiechnięci, na przyjęciu na łodzi w Hay i potem jeszcze na szczycie Hay Bluff. To właśnie tam Beth powiedziała Gilesowi z zaciśniętymi zębami, udając, że się uśmiecha na widok oszałamiającego piękna, żeby skoczył z rozbiegu ponad stromą krawędzią wzgórza. Żadne z nich nigdy nie wspominało sielankowych kilku dni spędzonych na farmie ani ataku żbika, po którym Beth pozostała lekka szrama z boku policzka, poniżej linii długich, wijących się włosów, ani niewiarygodnego bólu, jaki czuła, kiedy Giles ją wtedy opuścił.

Oparła się wygodnie na krześle i patrzyła na polano płonące w kominku. Lokal zapełniał się gośćmi i musiała mówić trochę głośniejszym głosem, żeby Robert ją słyszał.

- Dlaczego Giles nie ma pieniędzy? Zarobił kupę forsy na tej książce.

- Myślę, że to nie nasza sprawa, Beth. - Robert, zerknąwszy na sąsiedni stolik, powiedział, siląc się na obojętny ton: - Chodzi o to, że jestem pewien, że wy oboje możecie znów razem pracować. Będzie to nowy projekt na nowym miejscu pracy. On będzie się zachowywał przyzwoicie.

- Tak powiedział?

Robert skinął głową, po czym wstał.

- Idę po piwo. Przynieść ci coś?

Potrząsnęła głową i obserwowała, jak przepycha się przez zatłoczoną salkę w kierunku kolejki przy barze. Z jednej strony Beth kusila oferta tego zlecenia, ale instynkt samozachowawczy i poczucie własnej godności mówiły: Nie. Nie rób tego. Nie angażuj się. Gdyby jej nie zależało, nie miałyby to znaczenia. Ale jej nadal

zależało i w tym był cały kłopot.

Po Gilesie nie było w jej życiu nikogo. To znaczy nikogo na serio. I podejrzewała, że nigdy nie będzie. Giles był pierwszym mężczyzną, w którym się zakochała, i chociaż wydawało się to głupie, wyglądało na to, że chyba będzie ostatnim.

Patrzyła, jak Robert wraca do niej, ostrożnie torując sobie drogę między ciasno ustawionymi stolikami. Proponując mu przez telefon, żeby się spotkali tutaj, uważała, że to dobry pomysł. Chociaż lokal szybko się teraz zappełniał, wcześniej w ciągu dnia było tu spokojnie, ciepło i wygodnie - idealne miejsce na tego rodzaju spotkanie przy kawie. Ale teraz uświadomiła sobie, że Robert jechał sto pięćdziesiąt mil, żeby wypić z nią tę kawę. Na pewno nie wypada odesłać go z powrotem bez lunchu. Może powinna mu zaproponować nawet nocleg?

W końcu zaproponowała długi spacer brzegiem rzeki Wye, a potem zawiozła go do Radnor Arms na późny lunch. Kiedy ich rozmowy dobiegły końca i nie osiągnęli żadnego porozumienia, podrzuciła go do miejsca, gdzie zostawił swój samochód, żeby mógł wyruszyć z powrotem do Londynu. Zauważyła lekkie wahanie, kiedy zaproponowała, że go zawiezie do chaty, ale w końcu odmówił. Powiedział ze smutkiem, że rano ma kilka spotkań, których nie może opuścić. Nie zapytała, czy jedno z nich miało być z Gilesem.

Zatrzymała się koło kamienia, jak to często robiła jadąc do domu, i stała kilka minut, patrząc ponad stromo opadającym stokiem na dolinę rzeki Wye i ciągnący się za nią las Radnor. Było to spokojne miejsce, kiedy nie parkowały tu inne samochody, takie miejsce, myślała sobie czasami, w którym powolnym, łagodnym, uspokajającym rytmem bije serce gór. Chmury odpłynęły trochę dalej i nisko na zachodzie ukazało się wodniste słońce, rzucając blade cienie na wzgórza. Powietrze było chłodne, świeże, rozkoszne. Wiele czasu upłynęło od tych chwil, kiedy pozwalała sobie na to, by wracać myślami do Gilesa. Do diabła z Robertem. Przez niego znalazła się w tym kłopotliwym położeniu. Postawił ją przed dylematem, którego nie chciała rozstrzygać.

Zrobiło jej się zimno, więc wróciła do samochodu i wsiadła. Znajdowała się

niedaleko wąskiej, krętej drogi, która łączyła się z traktem prowadzącym do Ty Mawr. W niezwykle sposób stała się właścicielką tej chaty. Liza właśnie powiedziała, że w końcu zgodziła się poślubić Michelego, i że zostawia jej dom na farmie. Dla Beth jednak dom był za duży, zbudowany bez jednolitego planu, zbyt drogi do utrzymania i wywoływał zbyt wiele wspomnień. Wtedy wszedł Meryn, usiadł przy kuchennym stole i oznajmił, że ma zamiar odstąpić im swoją chatę.

- Tak rzadko tu bywam. Napęlnia mnie to smutkiem, ale nie widzę innego wyjścia.

Do tej pory nie wiedzą, dokąd się udał. Przez swych doradców prawnych z Cardiff zażądał śmiesznie niskiej sumy i przekazał Beth swoje błogosławieństwo, a Lizie powiedział prywatnie ze spokojem, że Beth będzie tam bezpieczna.

Stary samochód Beth podskakiwał na wyboistym trakcie. Będzie musiała wkrótce coś zrobić zarówno z samochodem, jak z tym traktem. W końcu zatrzymała się przed chatą. Stał tam już zaparkowany mały niebieski peugeot. Przyglądała mu się przez chwilę z nagłym nielogicznym przyływem podniecenia. Czy to Giles przyjechał, żeby ją nakłonić osobiście do współpracy?

Wysiadła ze swego samochodu i zaciekawiona, przyjrzała się uważnie peugeotowi, po czym rozejrzała się dookoła. Dom był zamknięty i dookoła nie widać było żywej duszy.

- Halo?

Obeszła chatę dookoła i znalazła się w małym herbarium Meryna. Było dawniej zapuszczone na skutek jego długich nieobecności, a i teraz wyglądało nie lepiej, pielęgnowane przez nową właścicielkę, która wolała rysować rośliny niż je hodować. Stał tam z rękami w kieszeniach starszy pan i spoglądał ku osnutemu chmurami wierzchołkowi wzgórza za chatą.

- Halo? - Zatrzymała się, zaskoczona. - Czy mogę w czymś pomóc? Odwrócił się. Był wysoki, siwowłosy, pewnie po siedemdziesiątce, uderzająco przystojny. Rozpoznała go natychmiast. Portret dziadka jako młodego człowieka wisiał u Lizy w pracowni. Miała wielu chętnych, którzy chcieli go kupić, ale zawsze stanowczo odrzucała wszystkie oferty. Nie chciała go sprzedać. Niemal

okrutny w swym brutalnym naturalizmie, fascynował i przerażał Beth, od kiedy sięgała pamięcią.

- Beth? - zapytał mężczyzna silnym głosem, ale coś w jego sposobie bycia zaniepokoiło ją. - Jestem Adam Craig.

Uśmiechnęła się niepewnie, zaskoczona takim oficjalnym wstępem, po czym podeszła do niego.

- Witaj, dziadku. - Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

Przyjechałem się zobaczyć z twoją babką. Byłem w domu na farmie.

- Sprzedała go. - Beth zawahała się. - Wiedziałeś, że powtórnie wyszła za mąż? Szybko skinął głową.

- Ludzie na farmie mi powiedzieli. Od nich także się dowiedziałem, że mieszkasz tu sama.

- Lubię być sama. - Nie chciała, żeby zabrzmiało to tak defensywnie. - Mam swoją pracę. - Czuła się nieswojo i nie była pewna, jak się ma zachowywać. To w końcu był ten człowiek, który nie chciał jej widzieć niemal przez całe życie, który obwinił ją, a w każdym razie tak podejrzewała, chociaż nigdy nie mogła się domyślić, dlaczego, o śmierć swego syna, a jej ojca.

- Może wejdiesz? Zrobię kawy albo herbaty.

Był alkoholikiem, tyle zapamiętała. Wkrótce po ostatniej wizycie Lizy u niego w St Albans przed kilku laty sprzedał dom i zniknął. Pamiętała, jaka Liza poczuła się dotknięta.

Westchnął.

- Dziękuję ci. Z przyjemnością. - Teraz dostrzegła u niego szkocki akcent. Nieznacznym, a jednak dość charakterystycznym.

Wszedł za nią do środka i stanął, rozglądając się dookoła. Przywiozła tu z domu na farmie kilka swoich ulubionych rzeczy: małą walijską serwantkę z czarnego dębu, dwa rzeźbione krzesła z kuchni, swoje łóżko, kilka antycznych stolików i komodę. Reszta rzeczy została sprzedana albo Liza zabrała je ze sobą do Włoch. Beth urządziła sobie pracownię w starej oborze za chatą; najwidoczniej całej rodzinie było przeznaczone malować w zabudowaniach gospodarskich.

- Usiądź, proszę. - Nalała wody do czajnika i postawiła go na kuchence. - Byłam w Hay. Wydawca książki, którą ilustrowałam, przyjechał dzisiaj z Londynu, aby omówić ze mną następną, którą chce mi powierzyć.

- A więc jesteś także malarką, tak jak twoja babka? - Wydawał się tym zdziwiony.

Zniknęła za drzwiami i przyniosła narecze polan ze stosu pod ścianą stodoły. Wrzuciła je do kominka, a potem uklękła, żeby ułożyć je w piramidkę na palenisku.

- Ja chyba nawet nie wiem, gdzie teraz mieszkasz - powiedziała tonem tak obojętnym, jak tylko potrafiła. Dziadek nadal stał na środku pokoju, rozglądając się dookoła.

- Wróciłem do Szkocji, tam gdzie się urodziłem i wychowałem.

- Naprawdę? - Obróciła się na piętach i spojrzała mu prosto w oczy. - Jak długo tam byłeś?

Wzruszył ramionami. - Kilka lat. Kiedy sprzedałem dom w St Albans, wyjechałem do Ameryki. Bardzo wiele podróżowałem. Potem pojechałem do Szkocji, do Pittenross. - Przerwał i zamyślił się. - Tam odwiedziłem pastora, który mi powiedział o pewnej chacie na sprzedaż, wysoko na wzgórzu, i w końcu ją kupiłem.

- Nigdy nie byłam w Szkocji. - Czajnik zaczął gwizdać. Beth sięgnęła po imbryk, ogrzewający się z tyłu na piecu, i nasypała do niego łyżeczką trochę herbaty. - Ale co za zbieg okoliczności. Tego ranka zapytano mnie, czybym tam nie pojechała i nie zrobiła paru zdjęć.

- Tam jest bardzo pięknie. - Usiadł w końcu. - Czy Liza jest szczęśliwa? - Zaskoczyła ją oschłość, z jaką zadał to pytanie.

- Tak. - Spojrzała na niego.. - Jest bardzo szczęśliwa.

- I nadal maluje te swoje portrety?

- Oczywiście. Nie potrafiłaby z tego zrezygnować.

- Przyjeżdża tutaj czasem? Beth skinęła głową.

- Jak przyjeżdżają, zatrzymują się za każdym razem na trzy, cztery tygodnie w hotelu w starym dworze w sąsiednim miasteczku.

- I mówisz, że nie czujesz się tutaj samotna? Gwałtownie pokręciła głową.
- Lubię własne towarzystwo.
- Żadnego chłopaka? - Nagle utkwił w niej swe świdrujące spojrzenie.
- Od czasu do czasu. - Przerwała nagle, czując, że coś ją ściska w gardle. -

Nic poważnego. Nic poważnego w tej chwili. - Pomyślała, że nie może mieć mu za złe tych pytań. Może dziadek ma prawo je zadawać?

- A ten facet, który tu mieszkał? Ten Meryn. Co się z nim stało? Beth podniosła głowę znad imbryka. Nastąpiła subtelna zmiana

w tonie, kiedy dziadek zadawał to pytanie. Wydawało jej się, że wszystkie były zdawkowe, ale to jedno ma dla niego znaczenie. Potrząsnęła głową.

- Przykro mi. Nie wiem. Zazwyczaj przyjeżdżał i odjeżdżał. Nie widziałam go od czasu, gdy się tu wprowadziłam.

- Ale masz jego adres? Znowu potrząsnęła głową.

- Nie mam. Znam tylko adres jego doradcy prawnego w Cardiff. - Po chwili wahania zapytała: - Czy to ważne?

Wzruszył ramionami, znowu wstał i zaczął chodzić niespokojnie tam i z powrotem. - Twoja babka Liza spędzała sporo czasu z tym facetem. Podobno on był bardzo mądry.

- Był uroczy. Wiesz, moi rodzice spędzili w tej chacie swój miesiąc miodowy. Podoba mi się to. Wydaje mi się, że to ich jakoś do siebie zbliżyło. - Podsunęła dziadkowi filiżankę z herbatą i cukierniczkę. - Kiedy byłam malutka, mówiłam do niego po prostu Meryn. Myślałam, że jest czarodziejem.

Adam popatrzył na nią surowo. - A był?

- Nie wiem. To był tajemniczy człowiek. Nie mam pojęcia, z czego się utrzymywał. Czy w ogóle coś robił. Obniżył cenę tej chaty o połowę, kiedy usłyszał, że to ja chcę ją kupić. Dał mi ją niemal w prezencie. Odniosłam wrażenie, że może osiedlił się za granicą. Zastanawiałam się czasami, czy nie był zakochany w babci Lizie, ale nigdy się tego nie dowiedziałam.

- Możesz mi podać nazwiska i adresy jego doradców prawnych? - Adam odstawił nietkniętą filiżankę i podszedł do okna. - Może w ten sposób do niego

dotrę.

- Dlaczego chcesz z nim porozmawiać? - Beth nagle posmutniała. Dziadek wcale nie przyjechał po to, żeby się z nią zobaczyć.

Pokręcił głową.

- Pomyślałem, że może mógłby mi w czymś pomóc, to wszystko. Nieważne.

- Nie patrzył jej w oczy. - Chciałbym, żebyś mi także podała numer telefonu twojej babki, jeśli uważasz, że nie miałyby nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie. Była okropnie smutna, kiedy wyjechałeś z St Albans, nie mówiąc jej, dokąd jedziesz.

- Miałem swoje powody. Ona wiedziała, jakie. - Znowu usiadł i zaczął sączyć herbatę. Bezmyślnie wpatrywał się w ogień i chyba nawet nie zauważył, kiedy Beth usiadła naprzeciwko niego, ale po chwili powiedział: - Jesteś podobna do Lizy. Była bardzo piękna w młodości.

- Nadal jest. - Beth była największą fanką Lizy. Uśmiechnęła się do dziadka. - Przyjmuję to jako największy komplement. Dziękuję.

Prawie się uśmiechnął.

- Dobrze się czuje?

- Doskonale. - Beth umilkła na chwilę. - Dlaczego do niej nie zadzwonisz? Ucieszyłaby się ogromnie, gdybyś się do niej odezwał.

- Nie! - Wstał, wyraźnie poruszony. - Nie. Nie chcę dzwonić. Nie stąd. - Dlaczego? Dziadku, co się stało?

Jego zachowanie nagle uległo zmianie i kiedy odstawiał filiżankę, ręka drżała mu tak, że filiżanka zadzwoniła o spodeczek. - Muszę iść.

- Dziadku. Proszę, zostań. Możesz się tu zatrzymać. Mam wolny pokój.

- Nie! Muszę iść. - Rozejrzał się dookoła z roztargnieniem. - Powiedz swojej babce, żeby była ostrożna.

- Dobrze. Dziadku, co się stało? Czy to ma coś wspólnego z Lizą? Proszę, pozwól mi do niej zadzwonić.

- Nie. - Potrząsnął głową. - Nie powinienem był tu przychodzić - powtórzył. - Zapomnij o tym, że mnie widziałaś. Nie mów jej, że tu byłem.

- Ale ja muszę.
- Nie, nie. Nie mów nic.

Ruszył nagle ku drzwiom, otworzył je i wyszedł na dwór. Słyszała, jak mamrocze pod nosem:

- Przepraszam. Nie powinienem był przychodzić. Przepraszam. To był błąd.
- Więc podaj mi przynajmniej swój adres. Numer telefonu...
- Nie. - Szukał w kieszeni kluczyków. - To było głupie. Egoistyczne!

Idiotyczne. Nie. Nie pozwól jej, żeby mnie szukała. Po prostu zapomnij, że tu byłem.

Wsiadł do samochodu i zatrzaskał mocno drzwiczki, a Beth stała, przyglądając się bezradnie, jak dziadek zapala motor, cofa, wykręca i wyjeżdża na trakt. Przez chwilę myślała, że odjedzie bez słowa, ale opuścił jeszcze szybę i zwolnił.

- Niech cię Bóg błogosławi, Beth, kochana moja. Żałuję, że cię odnalazłem. Byłem upartym, głupim starcem, ale miałem swoje powody, żeby się trzymać z daleka, wierz mi. Po prostu zapomnij, że mnie widziałaś.

I odjechał. Samochód pomknął traktem dużo szybciej, niż nakazywałby rozsądek. Beth skrzywiła się, widząc, jak auto pnie się na szczyt wzgórza, a potem znika z pola widzenia.

Wolno wróciła do domu i zamknęła za sobą drzwi. Po tej wizycie czuła się jakoś dziwnie. Beth zmarszczyła czoło, a potem zrobiła coś, czego nie robiła nigdy przedtem. Odwróciła się i zarygłowała drzwi. Wtedy dopiero sięgnęła po telefon.

- Michele? *Come sta?* - Czy mogę mówić z Lizą?

Jego odpowiedź była długa, wylewna, szczegółowa i... negatywna.

Roześmiała się, zawiedziona. - Często tak wyjeżdża sama, nie zostawiając numeru telefonu ani niczego? Najwidoczniej maluje portrety jakiejś rodziny plantatorów winorośli gdzieś w Abruzji.

- To stanowiło część naszego porozumienia, *Carissima*, że nie będzie się czuła skrepowana i jej mąż, straszny męski szowinista, nie będzie jej uważał za swoją własność. - Westchnął, tylko częściowo z humorem.

- Ale ja jej potrzebuję. - Beth nie chciała, żeby to zabrzmiało tak dramatycznie.

- Ja także. - Nagle porzucił żartobliwy ton. - Co się stało? Czy coś takiego, w czym mogę pomóc? Chcesz, żebym do ciebie przyjechał?

Uśmiechnęła się, a w oczach wezbrały jej łzy.

- Nie. Niech cię Bóg błogosławi, Michele, ale nie. Nic się nie stało. Ot, takie tam głupie babskie sprawy.

Takie jak przeczucie. I samotność. I lęk.

Dopiero później, kiedy ugotowała sobie jajko, zrobiła grzanekę i usiadła z kubkiem gorącej czekolady, żeby obejrzeć w telewizji adaptację którejś z powieści Jane Austen, przypomniała sobie, że Liza jej mówiła, że Pittenross leży w górach.

„Moje góry...”

Szepnęła te słowa do siebie z oczami wlepionymi w salon w pięknym georgiańskim domu w Hampshire, salon pełen eleganckich gości, prowadzących błyskotliwe rozmowy. Była to odskocznia dla kłębiących się w jej głowie myśli. Adam Craig zaintrygował ją, zaniepokoił i - troszeczkę przeraził. Nie potrafiła przestać o nim myśleć. Co takiego chciał jej naprawdę powiedzieć i po co do niej przyjechał? A raczej do Meryna, bo wcale mu nie zależało na spotkaniu z nią. To było jasne. I czego on się bał?

Przez cały wieczór łamała sobie głowę, to nad tym, to nad ofertą Roberta Cassiego. Potem te dwie sprawy połączyły się nagle w jedną.

Nie może podjąć decyzji w sprawie oferty Roberta, dopóki sama nie pojedzie do Szkocji i nie sprawdzi, czy jest tam pole dla jej talentu. W końcu żeby to zrobić, nie potrzebuje spotykać się z Gilesem. Nie potrzebuje mu nawet mówić, że tam jedzie. A jak już tam dotrze, z pewnością odnajdzie chatę Adama Craiga i dowie się, dlaczego on tak się boi nawiązać kontakt z rodziną. Przez wszystkie te minione lata był w jej życiu jakąś enigmatyczną, obcą osobą. Dziadkiem, który nie chciał jej znać. Mężczyzną, który, jak Liza przyznała, był kiedyś jej kochankiem. Lekarz. Zdolny fachowiec. Inteligentny człowiek, który stał się alkoholikiem i nagle zniknął z powierzchni ziemi. A teraz, kiedy już przebył tę długą drogę do Walii, żeby

odnaleźć Meryna, znowu uciekł. Nie ma na to innego określenia: uciekł.

I Beth chciała się dowiedzieć, dlaczego.

Hotel był w szkockim, magnackim stylu, z elementami architektury Tadž Mahal; leżał między St Pancras Station i Inveraray Castle. Beth gapiała się z otwartymi ustami, kiedy taksówka brała zakręt na podjeździe. Potem się uśmiechnęła. Był to najbardziej zdumiewający, cudownie skandaliczny przykład budownictwa, jaki kiedykolwiek widziała. Taksówka zatrzymała się na żwirze w pobliżu drzwi frontowych, a kiedy Beth wysiadła, obskoczyły ją, merdając ogonami, cztery psy.

Za psami pojawił się niski, pulchny mężczyzna o włosach piaskowego koloru.

- Beth? - wyciągnął ręce w powitalnym geście. - Giles mówił, żebym cię oczekiwał mniej więcej o tej porze. Witaj w Loch Dubh. To moja żona, Patti.

Równie pulchna kobieta ukazała się za nim w drzwiach. Miała na sobie niebieskie džinsy i gruby szetlandzki sweter, długie blond, prawie białe włosy zaplotła w gruby warkocz. Ucisnęła Beth mocno, jakby ją znała od lat.

- Giles przyjedzie później, kiedy powiesz, że może. Jest nikczemny, ale pełen skruchy i przysięga, że będzie grzeczny. Czy właśnie to kazał powiedzieć? - zapytała przez ramię męża.

Małżonek parsknął rubasznym śmiechem.

- Jeśli w to wierzysz, uwierzysz we wszystko! - Rzucił się do walizek Beth. - Kazał ci dać najlepszy pokój, najlepsze jedzenie, wszystko, czego tylko zapragniesz. Twoje życzenie ma być dla nas rozkazem. Dostyc tu pusto w tej chwili, więc powiem uczciwie: będziemy czekać i spełniać każdy twój kaprys tak długo, aż będziesz nas miała dostyc i zatęsknisz do odrobiny samotności. - Bez przerwy mrugał oczami. - Możesz także wypożyczyć nasz samochód. Giles powiedział, żebym ci jakiś wynajął i że on zapłaci, ale uwolnię tego starego zbrojeńca przynajmniej od tego wydatku. Nie są nam potrzebne dwa samochody jednocześnie, więc jeden będzie do twojej dyspozycji, kiedy tylko zechcesz. Chodź, pokażę ci, gdzie co jest.

Beth wciąż nie mogła wyjść ze zdumienia, że tak szybko udało jej się dotrzeć

do Szkocji. Wystarczył jeden telefon do Roberta Cassiego, nudne przestrogi na temat środków ostrożności podczas rozmowy z Gilesem, który, jak się okazało, wiedział o jej wyprawie, i wszystko zostało ustalone. Beth odkryła, że Giles zna Dave'a i Patti Andrews jeszcze z czasów, kiedy mieszkali w Londynie. Będą się nią opiekować. To oni, uzmysłowiła sobie bardzo szybko, byli jednym z powodów, dla których Giles zdecydował się umieścić akcję tej książki właśnie tutaj.

Sypialnia była ogromna. Łóżko z czarnego dębu, stojące na czterech postumentach, mogło pomieścić ze cztery osoby, a z okna rozciągał się widok na tonące w zieleni ogrody i porośnięte wrzosami zbocze wzgórza, ciągnące się do małego jeziora, od którego hotel wziął swą nazwę, i dalej ku góróm.

- A łazienka jest tutaj. - Dave otworzył następne drzwi i oczom Beth ukazało się pomieszczenie równie duże jak sypialnia, na środku którego stała ogromna wanna na czterech nogach w kształcie łap z pazurami. - Niech cię nie przeraża kolor wody. To od torfu, nie od rdzy - powiedział Dave wesoło. - Bar zostanie otwarty, jak tylko będziesz miała ochotę zejść na dół, i możesz się w nim czuć jak w domu. - Wycofał się z szerokim uśmiechem, pozostawiając ją, żeby mogła się rozpakować i trochę odsapnąć.

Nie spodziewała się, że kiedy zejdzie na dół, zastanie tam Gilesa. Na widok jej miny uniósł ręce do góry w geście kapitulacji.

- Nie strzelaj, proszę - powiedział żartobliwie.

Stracił na wadze, od czasu gdy go widziała po raz ostatni, i wydał jej się jeszcze przystojniejszy, niż zapamiętała. Była taka podniecona i stęskniona, że ruszyła ku niemu mimo woli i zaskoczona tak bardzo, że nie potrafiła okazać swego niezadowolenia.

- Nie myślałam, że tu przyjedziesz.

- Nie miałem zamiaru. Ale muszę z tobą porozmawiać. Proszę. Właśnie o książce. Musimy to zrobić. Czy Robert ci mówił, jak wysoką zaliczkę chcą nam wypłacić?

- Mówił. - Starła się w miarę możliwości nie podnosić głosu. - Gdzie jest Idina?

- W Londynie. - Zrobił niezadowoloną minę. - Proszę, Beth. Czy możemy porozmawiać jak przyjaciele i koledzy? Bez napięć.

Jakoś jej się to udało.

Powściągnęła emocje i skupiła się na notatkach, które rozłożył przed nią Giles, kiedy usiedli w przytulnym saloniku, podczas gdy Patti i Dave przygotowywali kolację. Nie byli sami. W saloniku znajdowali się inni goście: na sofie dwie panie w średnim wieku chichocząc oglądały jakieś zdjęcia, a starszy pan, który wcześniej wędrował po wrzosowiskach ze strzelbą, drzemał nad kuflem słodowego piwa.

- Widzisz? Dzieje tej krainy są cudowne. Wydamy tę książkę w takim samym formacie jak „Black Mountains”. Trochę historii, trochę legend. Tutejsze ptaki i zwierzęta. Zaczniemy od geologii. Jest tu kilka fantastycznych zamków - zarówno dziewiętnastowieczne siedziby magnackie, jak i autentyczne, zabytkowe, ale w opłakanym stanie. Wręcz ruiny! - Jego entuzjazm był jak zawsze zaraźliwy i Beth poczuła, jak rośnie jej zapał. - Możesz przyjeżdżać i zatrzymywać się tutaj, kiedy tylko zechcesz i na tak długo, jak zapragniesz. Powiedział ci to Dave? Zawsze ma wolne pokoje, nawet w szczycie sezonu, a od przyjaciela nie będzie brał pieniędzy.

- Przy takiej życiowej filozofii nigdy się nie wzbogaci. - Beth kartkowała notatki Gilesa.

- Był już, kiedyś bogaty. I nie podobało mu się to. - Giles uśmiechnął się do niej. - Nie opowiedzieli ci swojej historii? Przyjechali tutaj, o tym marzyli.

- I marzenie się spełniło? - Na chwilę spotkały się ich spojrzenia i Beth poczuła przeskakującą między nimi iskrę. Szybko odwróciła wzrok.

- Czy marzenia się kiedykolwiek spełniają? - odpowiedział spokojnie. - Myślę, że są tutaj bardzo szczęśliwi. Może to wystarczy za odpowiedź.

Zignorowała aluzję.

- Z pewnością sprawiają takie wrażenie - powiedziała z ożywieniem. - To dziwne, chociaż nie znam wcale Szkocji, mój dziadek urodził się i wychował niedaleko stąd, o niecałą godzinę jazdy samochodem. - Zdawała sobie sprawę, że

paple zbyt szybko, że opowiadając o dzieciństwie Adama - tyle, ile wiedziała - i o jego życiu, nie tając niczego, musi coś wspomnieć i o własnym. Odczuła coś w rodzaju ulgi, kiedy podniosła wzrok i zobaczyła wychodzącą z kuchni Patti z twarzą błyszczącą od potu. Gospodyni zakomunikowała, że kolacja jest gotowa.

Goście wstawali od stolików.

- Musisz poznać mojego dziadka - powiedziała spokojnie Beth, kiedy weszli do jadalni w ślad za dwiema starszymi paniami. I nagle pomyślała, że Giles będzie doskonałym pretekstem, żeby odwiedzić Adama. Dziadek musi mnóstwo wiedzieć o historii tej krainy, a poza tym ona będzie się mniej bała, jeśli Giles pojedzie tam z nią. Czego się boi, nie bardzo wiedziała. Staruszek był szorstki, nawet trochę dziwny, ale na pewno nie chciał jej przestraszyć, a jednak było coś takiego w otaczającej go aurze, że cierpła jej skóra.

Długo rozmawiali i kiedy w końcu Beth wstała, Giles jeszcze dopijał swoją kawę.

- Idę na górę - powiedziała stanowczo. Była to chwila, której podświadomie się lękała. - Zobaczymy się rano.

Podniósł głowę i obdarzył ją krzywym, pełnym skruchy uśmiechem.

- Jesteś absolutnie pewna, że chcesz spać sama?

Powiedział to półzartem i tak cicho, żeby nikt w pokoju nie mógł usłyszeć, a mimo to Beth obejrzała się, zakłopotana.

- Giles, obiecałeś.

- Przepraszam. - Znów uniósł ręce.

Obrzuciła go spojrzeniem pełnym wściekłości i odwróciła się.

- Zobaczymy się rano - powtórzyła stanowczo. - I może zadzwonimy do dziadka i pojedziemy do niego.

Na górze, w swoim pokoju, próbowała się dodzwonić do Lizy. Michele nadal nie miał od niej wiadomości, więc zmartwiona odwiesiła słuchawkę. Naprawdę bardzo chciała porozmawiać z Lizą.

Następnego dnia Giles i Beth pożyczili obiecany samochód, który okazał się starym czerwonym porsche.

- To wszystko, co pozostało z mojej kariery w City. - Dave przeniósł wzrok z Gilesa na Beth i jej podał kluczyki. - Jeśli chcecie się dowiedzieć, jak stracić dziesięcioletni dorobek i większość włosów, kupcie hotel Highland wielkości dworca kolejowego i odkryjcie, jak już go kupicie, że zsuwa się ze stoku kilkanaście cali rocznie. Uważajcie na tę moją maszynę, bo ostrzegam, staruszka potrafi jeszcze jechać całkiem szybko.

Potrafiła rzeczywiście, jak tylko Beth zdobyła się na odwagę, by włączyć drugi bieg. Jechali krętymi drogami przez całą krainę na wschód w blasku słońca, podziwiając zapierające dech w piersiach widoki gór i dolin, i intensywnie błękitnych górskich jezior, aż w końcu skręcili z głównej drogi i zaczęli się wspinać węższą w kierunku Pittenross.

Pierwsza osoba, którą Beth zapytała o drogę na wąskiej uliczce, przesyconej zapachem dymu palącego się drewna i mokrych sosnowych igieł, skierowała ich na nową plebanię, do małego betonowego bungalowu stojącego wśród świeżo wybudowanych domków na skraju miasteczka. Beth zostawiła Gilesa w samochodzie z nosem w jakiejś mapie, a sama zapukała do drzwi plebanii. Po kilku minutach otworzyła jej śliczna kobieta w sportowym stroju. Jak się okazało, pastora nie było w domu, ale kiedy Beth wyjaśniła, jaki jest cel jej wizyty, twarz kobiety się rozpozodziła.

- Pani jest wnuczką doktora Craiga? Mój Boże, tak się cieszę, że panią widzę. - Kobieta promieniowała ciepłem i uprzejmością. - Wydaje mi się taki samotny, nie odpowiada na telefony, co nas bardzo niepokoi. Jestem Moira Maclaren, żona pastora.

Jeśli nawet pomyślała, że to dziwne, iż Beth zgubiła adres swego dziadka, nie skomentowała tego faktu.

Jej informacje były szczegółowe i rozwlekłe. Beth zrozumiała, dlaczego, kiedy się znalazła w swoim porsche przed siecią stromych dróg i traktów prowadzących do chaty dziadka, zwanej Shieling House. Kiedy podjechali pod domek i wysiedli z samochodu, Beth poczuła zapach palącej się gумы.

Miała serce w gardle, kiedy podeszli do frontowych drzwi i nacisnęli

dzwonek. Usłyszała jego dźwięk gdzieś w głębi domu, ale nikt nie odpowiedział, a przed wejściem nie było samochodu. Chata wydawała się opuszczona. I nagle Beth poczuła ulgę. Może teraz, kiedy w końcu tu dotarła, będzie podczas spotkania z dziadkiem bardziej opanowana.

Powoli obeszli dookoła dom. Był zbudowany z szarego, zwietrzałego kamienia, ramy okien pomalowano nieudolnie, z pęcherzami, na biało. Był zupełnie mały, niewiele większy od chaty, tak mówił Adam. Za domem, ogrodzony niskim kamiennym murkiem, znajdował się niewielki ogródek. Widać było, że ktoś się nim zajmuje. Beth zauważyła ślady świadczące o tym, że niedawno wykopano jakieś warzywa, rosło tu kilka starannie przyciętych krzaków róż. Beth uśmiechnęła się. Przypomniała sobie, jak Liza mówiła, że Adam ponad wszystko na świecie uwielbia róże.

Ku ich zdziwieniu tylne drzwi były uchylone, więc Beth pchnęła je na próbę.

- Dziadku? Jesteś tam?

Nie usłyszeli odpowiedzi. Beth rozejrzała się ostrożnie.

- Nie wiem, czy powinniśmy wejść - szepnęła niepewnie.

- Myślę, że powinniśmy, - Giles natychmiast stanął tuż za nią. Zbyt blisko.

Czuła na szyi jego oddech i rozpaczliwie zapragnęła się odwrócić i go dotknąć. - Musisz sprawdzić, czy się nie rozchorował albo czy mu się coś nie stało - ciągnął Giles. Jakby wyczuwając jej pragnienie, dotknął lekko jej ramienia. - Zresztą, jako jego najbliższa krewna, jeśli nie jedyna, sądząc z tego, co mówiłaś, masz prawo wejść.

Zerknęła na niego i potaknęła. Zebrała się na odwagę i weszła pierwsza do kuchni. Giles za nią.

Kuchnia była duża, niemal tak duża jak salon, co Beth stwierdziła, zaglądając przez następne drzwi. Były to jedyne pokoje na parterze. Oba były wygodnie urządzone solidnymi meblami. Na środku salonu stał duży stół, a na nim, wśród stosów papierów i książek, maszyna do pisania. Książki były wszędzie, zapełniały szczelnie regały, półki na ścianie na końcu pokoju, piętrzyły się na meblach, na podłodze, były rozrzucone po całej kuchni, a na stole leżały przemieszane z

chlebem, kartonami mleka i zjeżdżałym masłem oraz do połowy opróżnionymi kubkami z kawą i herbatą.

- Dziadku? - Beth stanęła u podnóża krótkiej kondygnacji schodów i spojrzała w górę. Dom był pusty, a mimo to z lekkim drzeniem weszła po nowych schodach na niewielki podest. Z niego wchodziło się do dwóch sypialni i do łazienki. Tutaj także nie było nikogo. Tylko w jednej sypialni stało łóżko, w drugiej trzymano jakieś kartonowe pudła i meble, które, złożone na stos, sięgały sufitu. W sypialni dziadka panował bałagan. Podwójne łóżko było rozgrzebane, a stosy książek piętrzyły się wszędzie, podobnie jak na dole. Beth, zaintrygowana, wzięła kilka z nich do ręki. „Pogańska celtycka Brytania”, „W poszukiwaniu Piktów”.

Zeszła na dół i zastała Gilesa pochłoniętego przeglądaniem książek leżących na stole. Tematy były te same. Piktowie i Celtowie w Szkocji. Druidzi i wczesna historia Szkocji, a także książki o wszystkich formach okultyzmu i magii. Zdziwiona i trochę zszokowana, Beth zajrzała do paru tomów. Czy dziadek pisze książkę? Robił wiele notatek, zarówno swym drobnym, starannym, ale ledwo czytelnym pismem, jak i na maszynie. Oprócz tego Beth znalazła staranny wykaz źródeł i dat oraz coś, co wyglądało na recepty napojów magicznych. Teraz przynajmniej się domyślała, dlaczego dziadek chciał się widzieć z Merynem.

- Mój Boże, Beth, popatrz na to! - Giles przysunął jeszcze jeden stos książek. Tym razem były to wydawnictwa w języku niemieckim. Ilustracje przedstawiały diabły i szatany w sytuacjach niepozostawiających żadnych wątpliwości co do ich charakteru. - Czy twój dziadek pisze książkę o niemieckim erotyzmie? - Roześmiał się z niedowierzaniem.

- To niemożliwe! - Beth odsunęła te książki i przysunęła następny stos. Diona Fortune'a „Samoobrona psychiczna” i rozprawy o wyższej magii oraz dwa tomy o kotach w mitologii. Zastanowiła się. O kotach? Gość zamajaczyło niewyraźnie w jej podświadomości: obie, ona i babcia Jane, zostały zaatakowane przez koty. Przeniknął ją dreszcz i zaniepokojona odsunęła się od stołu, rozglądając się dookoła.

- O Boże, Giles. Nie powinniśmy tu przychodzić.

- Oczywiście, że powinniśmy. To jest fascynujące, Beth. - Giles przyciągnął do stołu krzesło, bez reszty pochłonięty książkami. - Zgromadził tu zadziwiającą bibliotekę. Wiesz, to musi być warte fortunę.

- Ma też kryształową kulę! - Beth znalazła ją owiniętą w czarny aksamit na półce w kącie. - A spójrz na to. Runy. Karty do tarota. Kamienie i ptasie pióra. O, jest i czaszka!

- Ludzka? - Giles wreszcie podniósł wzrok znad książek.

- Nie, ty idioto! Jakiegoś ptaka z dużym dziobem.

- Kruka. - Giles podszedł natychmiast i stanął za nią. - Twój dziadek ma naprawdę interesujące materiały, Beth. Wszystkie te symbole Piktów, kamienie na przykład. Będziesz musiała namalować kilka z nich do naszej książki. - Pochylił się blisko nad Beth, wskazując otwarty opasły tom, leżący na stole. Beth poczuła zapach jego wody po goleniu. - Wszyscy wiedzą o celtyckich krzyżach, pojawiających się na przemian z innymi rysunkami, które Celtowie z takim mistrzostwem rzeźbili. Będziesz musiała namalować jeden z nich także, oczywiście. Ale Piktowie wykonywali te niewiarygodnie wyraziste rysunki także w kamieniu. „Rzeźba” nie wydaje się tu właściwym określeniem. Jest w nich tyle siły. Trochę o nich czytałem. Istnieje mnóstwo teorii, czym właściwie były: pismem, klanowymi totemami, drogowskazami, a może kamieniami nagrobnymi. Masz tu zwierzęta i ptaki. Symbole. Tutaj jest jeden z nich. - Giles wskazał rysunek, jego ramię otarło się o ramię Beth, ale ona się nie cofnęła. - Fotografował je pod wieloma kątami i skopiował na nim te symbole, widzisz? Jest tu wąż. I różdżka w kształcie litery Z. I lustro. I sierp księżycy w tym czymś w kształcie znaku V. A z tyłu celtycki krzyż, ale nieskończony, narysowany tylko do połowy, co jest interesujące, ponieważ wskazuje na to, że najpierw pojawiły się symbole celtyckie, a dopiero potem, po zastanowieniu, krzyż... - Przerwał. - Beth, ktoś jedzie!

Oboje usłyszeli warkot silnika. Spojrzeli na siebie zażenowani. Było za późno, żeby się ukryć albo wyjść na zewnątrz. Ktokolwiek to był, i tak zobaczył ich samochód przed domem.

Kiedy drzwi się otworzyły, stali obok siebie przy stole. Niski mężczyzna w

średnim wieku, o piaskowobłond włosach, w grubym swetrze i marynarce wszedł dużymi krokami do środka i wyciągnął ku nim rękę.

- Jestem Ken Maclaren, pastor w Pittenross. Wiem od żony, że jesteście państwem krewnymi Adama Craiga.

Beth wysunęła się do przodu.

- Jestem jego wnuczką. Na imię mi Beth. Szukaliśmy go. Maclaren wzruszył ramionami.

- Czasami gdzieś wyrusza samotnie. Przychodziłem codziennie, żeby mieć na niego oko, i muszę powiedzieć, że oboje z żoną trochę się o niego niepokojimy. - Popatrzył z niepokojem na stół. - Widzę, że znaleźliście jego książki.

- Oczywiście. - Giles wpatrywał się pilnie w twarz mężczyzny. - Jak rozumiem, jego ojciec był jednym z pańskich poprzedników.

Maclaren skinął głową.

- Wspaniały człowiek, Thomas Craig. Bardzo szanowany w okolicy. Ogromnie lubię Adama Craiga. Byliśmy przyjaciółmi od czasu, gdy zjawił się w tej okolicy, ale muszę powiedzieć, że się o niego martwię. - Przez kilka sekund wpatrywał się intensywnie w Beth. - Moja droga, on mi nie mówił, że ma jakichś krewnych. Byłem pewien, że jest sam na świecie.

Beth wzruszyła ramionami.

- Spotkałam się z nim dopiero niedawno. Nie widziałam go od czasu, gdy byłam małym dzieckiem. Wiem, że był bardzo nieszczęśliwy, gdy moja babka umarła, i wyjechał. Nikt nie wiedział, gdzie przebywa.

Maclaren skinął głową.

- Istotnie sprawia wrażenie bardzo samotnego człowieka. Wychodzi codziennie o świcie, czasem jeszcze wcześniej, i wędruje po górach. Kiedy jest tutaj, studiuje te swoje książki. - Przerwał i westchnął. - I wcale mi się nie podoba to, co tutaj robi. Może nie powinienem mówić tego komuś obcemu, ale wy jesteście krewnymi, a to, co się tu dzieje, jest okropne. On się zajmuje pewnymi bardzo niebezpiecznymi eksperymentami. - Znow zaczął przenosić wzrok z Beth na Gilesa i z powrotem. - Nie bardzo wiem, co próbuje zrobić. Od czasu do czasu rozmawia

ze mną o pewnych sprawach, które go interesują. Tych, w których, jak sądzi, mogę mu doradzić, na przykład w kwestii jego doświadczeń spirytystycznych. Ale ja myślę, że niektóre eksperymenty są niebezpieczne nie tylko dla jego nieśmiertelnej duszy, ale stanowią bezpośrednie zagrożenie dla życia.

Beth wlepiła w niego wzrok.

- Co on takiego, u licha, robi?

- To jest magia, prawda? - wtrącił Giles. Popatrzył na książki leżące na stole. - Tak, myślę, że Adam próbuje wywoływać duchy. Sądzę, że para się także czarnoksięstwem. A na domiar złego nie wiem, gdzie teraz jest. Ten dom nie zawsze jest taki... zapuszczony. Adam zapomina o sprzątaniu, ale nie pozwala, żeby jedzenie się psuło, tak jak teraz. Myślę, że nie było go w tym domu kilka dni.

Beth i Giles znowu wymienili spojrzenia, a Giles ścisnął uspokajająco jej ramię.

- Może gdzieś wyjechał? W końcu nie ma tu jego samochodu. Gdyby poszedł pieszo na wzgórze i miał wypadek albo coś w tym rodzaju, samochód z pewnością byłby tutaj.

- Ale drzwi pozostawił niezamknięte - powiedziała spokojnie Beth. - Nie zrobiłby tego, gdyby się wybierał gdzieś na kilka dni.

- Och, mógł to zrobić - wtrącił Maclaren. - To dla niego, niestety, typowe. Mówi, że nikt nie jest tutaj przyzwyczajony do zamykania drzwi, i nie mogę go przekonać, że zbrodnia dotarła także w doliny górskie, choć może nie w takim stopniu, jak w inne rejony tego kraju. - Zawahał się. - Uważam, że on celowo pozostawia te drzwi otwarte, myślę, że ma nadzieję, że ktoś może przyjdzie.

- Ma pan na myśli kogoś szczególnego? - zapytał Giles. Otwierał kolejno jeden po drugim notesy Adama i kartkował je.

Pastor kiwnął głową.

- Kiedy ostatnim razem rozmawiałem z nim o tym pozostawianiu otwartych drzwi, tak właśnie powiedział: „ona” może to poczytać za znak, że on pragnie, żeby do niego wróciła. Jak rozumiem, nie miał na myśli pani. - Pastor spojrzał na Beth z wymuszonym uśmiechem.

Pokręciła przecząco głową. Polubiła tego mężczyznę o jasnoniebieskich oczach za okularami o grubych soczewkach. Był życzliwy i pełen troski, czuła w nim jakąś siłę, która ją uspokajała.

- Wątpię. Uczciwie mówiąc, nie podał mi nawet swojego adresu. Odniosłam wrażenie, że nie chce, żeby tu ktokolwiek przychodził. Kiedy się zjawił u mnie, chciał się zobaczyć z moją babką, tą drugą, matką mojej matki, nie ze mną. Ale ona mieszka teraz za granicą, więc odszedł. Chciał się zobaczyć z kimś jeszcze. Z Merynem. Merynem czarownikiem.

- Mieszkamy w hotelu Loch Dubh - wtrącił Giles. - Pracujemy wspólnie nad pewną książką. - Obrzucił Beth kpiącym spojrzeniem, prowokując ją, by temu zaprzeczyła. - I Beth zasugerowała, że doktor Craig mógłby mi pomóc w moich badaniach dziejów Szkocji. Pomyśleliśmy, że będzie to dobry pretekst, żeby tu przyjechać i się z nim zobaczyć. - Przerwał na chwilę. - Wydaje mi się, że szczególnie interesują go kamienne symbole, i chciałbym, żeby Beth je dla mnie narysowała. Maclaren kiwnął głową.

- Ten tutaj - wskazał na kamień, który Adam sfotografował - pochodzi z miejsca znajdującego się bardzo blisko stąd. Musicie wejść na wzgórze i przejść po wierzchołku za tym domem. To wygląda trochę na jakąś obsesję, macie rację. Zastanawiałem się, czy te zainteresowania Adama mają coś wspólnego z jego ojcem. W starych notatkach staruszka, pisanych ręcznie, które trafiły do mnie razem z różnymi papierami z parafii, mnóstwo informacji dotyczyło tego kamienia. W jego czasach uważano go za symbol wierzeń pogańskich i w pewnym sensie świętokradztwo. Thomas Craig wyznawał bardzo fundamentalistyczną wiarę i bardzo okrutną. Chciał ten kamień zniszczyć.

- Ależ to śmieszne. Przecież to jest zabytek z dawnych czasów - za- protestował Giles. Pastor skinął głową.

- W różnych epokach różnie patrzono na pewne rzeczy. Teraz prowadzi do niego drogowskaz opatrzony informacją. - Przerwał i zamyślił się. - Ciekaw jestem, czy Adam oczekuje pani babki.

- On się nie starzeje, prawda? - wtrącił nagle Giles.

- Nie - potwierdził pastor.
- Nie! - zawołali jednocześnie Beth i Giles.
- Nie - ciągnął dalej pastor. - Myślę, że to jest człowiek, który czegoś szuka. Chciałbym tylko, żeby stosował inne metody poszukiwań, ponieważ na drodze, którą podąża, igra z ogniem piekielnym, i chociaż daleko mu do starości, jego zdrowie psychiczne jest zagrożone.

W połowie drogi powrotnej do hotelu zatrzymali się, żeby zatankować, i obserwowali burzliwy zachód słońca. Giles kupił pudełko herbatników i teraz poczęstował nimi Beth, szukając w schowku na rękawiczki swoich notatek.

- Niedaleko stąd jest cudowny wodospad, jeśli dobrze pamiętam. Nie jestem pewien, czy zdążymy tam dojść, zanim zrobi się zbyt ciemno. - Spojrzał na nią. - Niepokoisz się bardzo o niego, prawda?

- Nie widzę w tym wszystkim żadnego sensu.

- Będziesz musiała spróbować dodzwonić się do Lizy i porozmawiać z nią. Z pewnością jest jakiś sposób, żeby jej mąż dotarł do niej w nagłym wypadku. Wzruszyła ramionami.

- Pan Maclaren przestraszył mnie. Był naprawdę niespokojny. - Nagle sięgnęła do klamki drzwiczek. - Muszę się przejść. Spróbujmy znaleźć ten twój wodospad. W końcu musi być jakieś urozmaicenie w tych moich rysunkach. Może ten narysuję w świetle księżyca?

Szlak trudno było dostrzec w mroku, ale posuwali się nim ostrożnie, korzystając z małej kieszonkowej latarki. Biegł między omszałymi drzewami, ponad stromymi skałami, wznosząc się niemal pionowo w górę po stoku.

Beth zatrzymała się, żeby sobie rozetrzeć stopę, wykręconą na ruchomych kamieniach osypiska, i Giles czekał na nią.

- Nic ci się nie stało? - Pomachał ręką w kierunku zamglonej dali. - Już słyszę wodospad. Posłuchaj.

Zatrzymali się; słuchając szumu wiatru w modrzewiach. Na zachodzie niebo było wciąż jasne, opromienione zachodzącym słońcem, ale przed nimi stok był już ciemny. Beth się wstrząsnęła. Rozpaczliwie pragnęła, żeby Giles objął ją ramieniem.

- Daleko jeszcze? Bardzo szybko robi się ciemno.
- Zgodnie z mapą niedaleko. To miejscowość turystyczna. Jest tutaj kilka wodospadów. Musimy być już dość blisko. Patrz. Wschodzi księżyc.

Srebrne światło przeniknęło między drzewami i oboje dostrzegli jego migotliwe odbicie w miejscu, gdzie woda kaskadami spływała ze stoku. Gramoląc się pod górę stromym szlakiem, nagle znaleźli się na pewnego rodzaju naturalnej platformie i spojrzeli w głąb ciemnego, przepastnego jeziora poniżej wodospadu.

Beth zadrżała.

- To wygląda bardzo groźnie tam w dole.
- Spójrz w górę - szepnął Giles. - Tam jest pięknie.

Strumienie czystego srebra zdawały się spływać po czarnej powierzchni skały, przetykane gdzieniegdzie zwisającymi gałęziami drzew, które trzymały się kurczowo szczelin w urwisku. Hałas był ogłuszający. Giles popatrzył na Beth i w końcu objął ją ramieniem. Szepnął coś do niej, ale go nie usłyszała. Przysunęła się, żeby lepiej słyszeć, a on źle zrozumiał ten jej gest. Jego ciepłe usta znalazły się na jej ustach. Jego ramiona były takie uspokajające. Wiedziała, że powinna się odsunąć, uwolnić. Ale w jednej chwili całkiem się zatraciła. Przywarli do siebie, objęci, a księżyc żeglował wysoko nad górami, wysyłając swój blask w głąbiny jeziora pod nimi i zmieniając go w płynny ogień. Długo trwało, zanim Beth przypomniała sobie swoje postanowienie i trochę niepewnie odsunęła się od Gilesa.

- Nie powinniśmy tego robić.
- Przeciwnie. - Uśmiechnął się. - Cieszę się, że to zrobiliśmy.
- Ale co z Idiną, Giles? Westchnął.
- Beth, nasze małżeństwo jest skończone. Próbowaliśmy. Bóg wie, że próbowałem, ale nas już nic nie łączy. I ona w końcu też zdała sobie z tego sprawę. Jest dziewczyną z miasta, a ja ze wsi. To całkiem proste. Nie. Wiesz, jest coś jeszcze. Jaja nudzę. I dawno przestałem ją kochać. Jeszcze zanim poznałem ciebie, Beth. Próbowalem ci to powiedzieć, ale nie mogę chyba mieć ci za złe, że mi nie wierzyłaś. - Zawahał się. - A te groźby, że się zabije... - Znów przerwał i wzruszył ramionami. - Odkryłem, że nic nie znaczą. Były dramatyczne i bardzo

skutecznie rzuciły mnie przed nią na kolana. Ale to ona jest tą, która zdradzała. Ja byłem wierny. - Umilkł na chwilę. - Tobie. Proszę, uwierz mi, nie krzywdzimy jej.

- Giles, chcę ci wierzyć... - Umilkła nagle. - Co to było? - Wszystkie zmysły miała wyczulone.

- Co? - Giles rozglądał się po drzewach i skałach.

- Jestem pewna, że coś widziałam... tam, w cieniu. - Beth poczuła nagły przypływ prawdziwej trwogi. - Giles, chodźmy stąd. Wracajmy do samochodu.

Popatrzył na nią zdziwiony.

- Ale tu jest tak ślicznie, Beth. Nie ma nikogo. A nawet jeśli ktoś jest, to nie ma znaczenia. Nikt się nami nie interesuje.

Odeszła od niego kilka kroków, ale Giles podążył za nią.

- Chcę cię jeszcze pocałować. I muszę zrobić kilka zdjęć. - Miał przewieszony przez ramię aparat.

Beth znów rozejrzała się dookoła, próbując dojrzeć coś w ciemności.

- Nie. Tam coś jest. Patrzy na nas.

- Coś? - Znów ją objął, tym razem opiekuńczym gestem. - Gdzie?

- Nie wiem. Ale czuję to. Proszę, chodźmy stąd. Chwyliła go za rękę i pociągnęła w kierunku szlaku.

- Nie, Beth. Zaczekaj. Cała ta rozmowa o twoim dziadku i czarnej magii przestraszyła cię. Tylko kilka zdjęć. - Uwolnił rękę, za którą go trzymała, i sięgnął po aparat. Nastawiając starannie ostrość, cofnął się do krawędzi skalnej platformy i skierował obiektyw w stronę lśniącej wody. - Tak. Ślicznie. Jeszcze jedno. To piękne. Nie chcesz zrobić żadnych szkiców, żadnych notatek? Potrząsnęła głową.

- Przyjdziemy tu jeszcze raz za dnia. Proszę, Giles. Chcę już iść. - Skóra na karku jej ścierpła. Srebrzyste piękno lasu i wody nagle stało się bardzo groźne. To jest panika - pomyślała nagle. Panika w prawdziwym sensie tego słowa. Lęk przed Panem, bogiem pięknych i dzikich miejsc. Przygryzła wargę. A może Giles ma rację? Może to książki Adama napęłniły ją takim strachem, a nie niezwykle, dzikie piękno oświetlonego księżycowym blaskiem strumyka?

Nie dostrzegła wąskich oczu, obserwujących ją z kryjówki pod zwisającą

skąłą, nie słyszała drapania pazurów, które zagłuszył huk spadającej wody.

. Broichan ciągle jeszcze czekał, ale ona teraz już zmądrzała. Nie wróciła do łóżka, nad którym stał, obserwując jej uśpione ciało. Krążyła w pobliżu, niewidziana przez niego, i powoli wracała jej siła. Stała w pobliżu kamienia, wodząc palcami po jego rzeźbach, widziała mech i stary porost przyschnięty od wieków do rysunków, które były dziełem jej brata. Uśmiechnęła się do siebie. Nikt oprócz niej nie potrafi odczytać kodu. Nikt nie potrafi zrozumieć tajemnic, które zawiera. Lustro na kamieniu było porysowane. Kiedy chciała spojrzeć w odbicie czasu, wpatrywała się w maleńkie lustro w puderniczce z masy perłowej, którą miała w swojej tkanej torbie.

Wędrowała po wzgórzach, czasami wracała do Hertfordshire i błędziła po domu, w którym kiedyś mieszkał A-dam. Teraz byli tam obcy ludzie. Nie podobali jej się. Ale ich nie ruszała. Byli niczym. Niewarci jej uwagi bardziej niż rodzina, zamieszkała w starym domu Lizy na walijskich wzgórzach.

A-dam znów o niej myślał. Czująca go. Czująca jego energię, wiedziała, że jej poszukuje, ale nadal nie mogła go zobaczyć.

Kiedy dziecko dziecka A-dama przybyło do Szkocji, poczuła to od razu w swojej krwi. Ta więź była tam. Ta dziewczyna była bardzo blisko. Brid stawała się coraz silniejsza.

Broichan także to czuł. Opuścił chatę, w której spała Brid, i wrócił do swojej. Tam mógł wróżyć ze szklanej kuli w kłębach dymu i w wodzie, obserwując tę dziewczynę, Beth, z chmurą ciemnych włosów. Wiedział, że ona zaprowadzi go w końcu do A-dama, mężczyzny, który złamał święte prawa, i do Brid. Broichan ostrzył noże i wpatrywał się ze swojej chaty w księżyc, i wiedział, że inni ludzie w innych czasach też wpatrywali się w ten sam księżyc, na myśl o tym dreszcz przebiegał mu po plecach.

Wyczuwał znów obecność tego drugiego człowieka, mężczyzny z epoki Adama, który śledził go tak długo. Ten Walijszyk stawał się coraz silniejszy i mądrzejszy, Broichan przyznawał to z posepną miną. Będzie musiał mieć się na baczności. Ten człowiek miał szczególną moc, jego własna zaś nie była już tak

wielka jak kiedyś. Ale potrafi jeszcze ją odnowić. Kiedy ścieżki prowadzące przez inne światy, które Brid przetarła, co pozwoliło temu mężczyźnie nimi kroczyć, zostaną zamknięte, a dzikie, szalone podróże dziewczyny przez paralelne światy uda się powstrzymać, on, Broichan, odzyska dawną siłę swego rodu. Wtedy zapewni bezpieczeństwo swemu światu przez ofiarę krwi.

Rozdział dwudziesty

Chata w Walii była pusta. Meryn stał na smagany wiatrem zboczu i zakłopotany rozglądał się dookoła. Był potrzebny. Słyszał głosy, wzywały go. Broichan, wściekły, polował w ciemnościach na swą zdobycz. Jego groźby docierały do najdalszych zakątków tej planety. Beth groziło niebezpieczeństwo. Meryn był tego pewien. Ale gdzie ona jest? Stał przez chwilę, patrząc w dolinę, obserwując, jak smuga słonecznego światła opromienia krajobraz, słyszał dobiegający z daleka krzyk myszołowa, krążącego gdzieś w blasku słońca. W oddali, za podmokłymi łąkami i za rzeką Wye, góra wznosiła się stromo ku popołudniowemu niebu. Wszystko było osnute mgłą. Od północy zbliżał się deszcz. A także coś jeszcze. Jakiś głos z ciemności. Ta kraina wzywała go.

Wsiadł z powrotem do samochodu i siedział w nim przez chwilę. Na fotelu obok niego piętrzył się stos starych książek, wybranych w magazynie, gdzie pozostawił całą swoją bibliotekę. Zawierały informacje, których potrzebował. Zwłaszcza jedna. Stary wiktoriański przewodnik leżał przed nim otwarty. Zerknął na niego i zasepił się. Już wiedział, co musi zrobić. Ruszył szybko, kierując się ku węższej drodze, a za zakrętem, w dole, wjechał w następną, biegnącą między wysokimi żywopłotami. Niektóre łączyły się ze sobą w górze ponad drogą, przemieniając ją w wąski tunel. Długie, silne palce Meryna mocno trzymały kierownicę, kiedy samochodem zarzucało i ślizgał się na sypkim żwirze, a drobiny

łupku obsypywały się ze stromych nasypów. Jechał w stronę rzeki i mostu Glasbury.

Kościół był otwarty i Meryn wszedł do ciemnej, zimnej nawy. Miał w ręku stary przewodnik. Trzymał palec na stronie, gdzie znajdował się opis krzyża świętego Meiliga na Brynyr - Hydd Common, w miejscu, gdzie podobno wróżki tańczą w noc świętojańską. Zatrzymał się i patrzył na drzeworyt przedstawiający ten krzyż. Nie było na nim oczywiście piktyjskich symboli, a datowany był na mniej więcej rok 650 n.e., w sto lat po świętym Columbie, ale święty Meiling urodził się w Clydeside jako syn Cawa z Pictlandu. A więc ten walijski opat, którego krzyż stał kiedyś na błoniach, wysoko ponad Llowes, był Piktem. Czy odziedziczył trochę wiedzy Piktów? Czy znał w swym ustronnym walijskim opactwie sekretne miejsca, gdzie struktura czasu była cienka, a człowiek mógł się bardziej zbliżyć do swego Boga?

Krzyż znajdował się na krańcu zachodniej nawy. Wielki, szary, ciężki, ale jakoś pozbawiony tego majestatu, który by się czuło, gdyby stał pod gołym niebem. Teraz, podobnie jak w przypadku wielu innych starożytnych kamieni, jego piękno i historyczne znaczenie uczyniły go celem pielgrzymek, a także źródłem dochodów. Chroniono go więc przed skutkami złej pogody i przed wandalami, a nawet niszczącym działaniem samego czasu, i dlatego przeniesiono go do wnętrza budynku, przez co został w efekcie jak gdyby wykastrowany; zmniejszył się zasięg jego działania i krzyż przeistoczył się w zwykły eksponat, taki okaz dla ciekawskich turystów - ot, żeby mogli się pogapić, minąć go i zapomnieć.

Meryn podszedł do krzyża, myśląc o kamieniu Broichana na wzgórzach Szkocji. Tamten krzyż był nadal dziką, żywą częścią krajobrazu, podlegającą obrotom ziemi. Miał zarówno swoją własną moc, jak i tę, którą nadawały mu wyrzeźbione na nim symbole. Meryn podniósł ręce do góry, a potem na minutę oparł płasko dłonie na wielkim kamieniu, żeby poczuć, czy coś z jego mocy jeszcze w nim pozostało. Krzyż był zimny i grubo ciosany, wyglądał dziwnie banalnie w ciszy i spokoju kościelnego wnętrza. Meryn z zadowoleniem pokiwał głową. Cisza panująca w kościele stała się nagle męcząca. Nie dochodziły tu żadne odgłosy toczącego się na zewnątrz życia miasteczka ani hałas z głównej drogi, przebiegającej

tuż za żywopłotem, ruchliwej, gdyż łączyła Hereford z Brecon. Samochody mknęły szybko szeroką doliną rzeki Wye. Meryn przesunął lekko palcami po kamiennej powierzchni krzyża. Tak, teraz znów to czuł. Obudził ten kamień z jego snu.

Uśmiechnął się i usunął z myśli wszystko oprócz tego sensacyjnego odkrycia. Przez parę sekund wydawało mu się, że to pulsowanie staje się coraz silniejsze, i wtedy nagle usłyszał za sobą zgrzyt klamki w drzwiach. Cofnął się ze złością, kiedy drzwi się otworzyły, a hałas, światło i ruch wtargnęły do kościoła. Dziwna, niesamowita cisza została zakłócona.

Czekał cierpliwie, z założonymi rękami, i patrzył, jak zwiedzający łążą wokoło, szukają informacji w przewodnikach, patrzą na sklepienie i okna, głośno rozmawiają. Potem zatrzymali się obok niego, w pobliżu kamienia i szczegółowo badali stary, na zielono pomalowany pług, który z jakiegoś powodu stał między ławkami. Nastrój się zmienił. Tak niewiele brakowało, żeby Meryn nawiązał jakiś kontakt z kamieniem albo tymi, którzy go stworzyli, a teraz już było na to za późno. Z niewyraźnym, uprzejmym uśmiechem odwrócił się i opuścił kościół.

Na zewnątrz zatrzymał się na chwilę i odetchnął kilkakrotnie zimnym powietrzem.

Czekał jeszcze dziesięć minut, żeby zobaczyć, czy zwiedzający nie opuszczą kościoła i nie odejdą, ale nie pokazali się. Za to po chwili podjechał następny samochód i wysiadły z niego trzy staruszki. Meryn zaklął cicho i wrócił do swojego samochodu. W czasie kiedy był w kościele, mgła opadła. W powietrzu czuło się przejmującą wilgoć i zapadał już zmrok. Nagle zrobiło się zimno, ale musiał dotrzeć do źródła mocy. Zatrzymał się, żeby zerknąć na mapę i przypomnieć sobie, którą przebiega ścieżka, i wyjechał na drogę. Parkując koło starej stodoły, widział drogowskaz skierowany na pobliski przełaz i w górę traktu. Przyjrzał się polom, ciągnącym się poniżej, ale rozplywały się we mgle. Tylko gdzieś tam cień jakiegoś drzewa majaczył w oddali. Miejsce było całkiem opustoszałe. Robiło się coraz chłodniej i coraz bardziej wilgotno. Deszcz ściekał mu za kołnierz i Meryn drżał z zimna, wspinając się na przełaz. Zastanawiał się, czy to ma sens. Nie był w końcu taki młody, a to, czego miał zamiar się podjąć, było w największym stopniu

niebezpieczne. Zatrzymał się, rozejrzał dookoła i wsłuchał uważnie, starając się z tej ciszy wyczuć odległość. Miał rację. Niedaleko stąd znajdowała się droga w przeszłość.

Śmiało, choć z trudem posuwał się naprzód, z rękami głęboko w kieszeniach i ze wzrokiem utkwionym w błotnistą ścieżkę przed sobą. Z tyłu za nim mgła zasłaniała widok, potem odpływała i znów go odsłaniała. Meryn nie słyszał żadnych odgłosów z drogi biegnącej w oddali. Jedynie szum wiatru i cisza docierały do jego świadomości. Był już bardzo blisko. Czuł przyciąganie ziemi. Zatrzymał się, żeby wyczuć wyraźne pulsowanie pod stopami. Krzyż stał tutaj, na wierzchołku niewielkiego wzgórza, jego trzon wtopiony był w sieć żył, które niosły z sobą od wieków życiodajne siły. Stąd będzie mógł odnaleźć Broichana i Beth, i Lizę, i Adama Craiga, a jeśli okaże się to konieczne, przenieść się w samo serce Szkocji.

Beth i Giles pałaszowali kolację w jadalni hotelu Loch Dubh, kiedy w drzwiach pojawił się Dave.

- Beth? Przepraszam, że wam przerywam.

Na stoliku, między nożami i widelcami oraz talerzami z jasnoróżowym łośosiem, leżały notatki i szkice.

- Niestety, telefon do ciebie. Chyba Maclaren. Beth wstała.

- To ten pastor. O Boże! Ciekawa jestem, co się stało. Dave skinął na nią, żeby weszła do biura.

- Odbierz tutaj, nie będziesz potrzebowała wchodzić na górę. Giles poszedł za nią i stanął przy drzwiach, kiedy podniosła słuchawkę.

- Panna Craig? Pomyślałem, że powinna pani wiedzieć. Pani dziadek wrócił do domu. Widziałem go dziś po południu, tuż po waszym wyjeździe. - Ken zawahał się. - Wydaje się bardzo podniecony. Zdenerwowany i zły. Wiem, że mówię niejasno, ale myślę, że byłoby dobrze, gdyby pani mogła przyjechać.

- Teraz? Wieczorem? - Beth poczuła nagły przypływ adrenaliny. Spojrzała poblądła na Gilesa, który obserwował ją zaniepokojony. - Nie wiem, co mogłabym zrobić. Prawie mnie nie zna i nie sędzę, że bym potrafiła w jakiś sposób pomóc.

- Proszę, Beth. Naprawdę uważam, że ktoś musi z nim porozmawiać, a mnie

nie będzie chciał słuchać.

Wzięła do ręki ołówek i rysowała nim małe kółeczka i różne esy - floresy na czystym bibularzu Dave'a,

- Jest pan pewien?

- Jestem pewien. Przyjedź i tylko porozmawiaj z nim. Zapewnij go, że jest ktoś, kto o nim myśli. Ostrzeż go, że to, co robi, jest niebezpieczne. Proszę. - Głos po drugiej stronie kabła był spokojny i silny. Tak mówi ktoś, kto przywykł osiągać to, co chce.

- Co mogłam mu powiedzieć? - Odłożyła słuchawkę i, nieszczęśliwa, odwróciła się do Gilesa.

- Mogłaś powiedzieć: nie. - Popatrzył na nią zaniepokojony. - Jeśli chcesz tam jechać, jadę z tobą. - To głupie, ale jestem przerażona.

- Nie musisz tego robić, Beth. - Giles położył dłonie na jej ramionach. - Zadzwoń po prostu do Maclarena i powiedz, że nie możesz przyjechać. Albo ja zadzwonię. On stosuje emocjonalny szantaż, a to nie jest w porządku.

- Ale ma rację. Dziadek jest całkiem sam. Może on także jest przerażony. Nigdy by nie przyjechał do Walii, gdyby nie potrzebował jakiejś pomocy.

Giles westchnął.

- To zadzwoń jeszcze raz do Lizy. Może już jest w domu. To ona powinna z nim porozmawiać, nie ty.

Beth zawahała się. To był dobry pomysł. Dodający otuchy. Ale potrząsnęła głową.

- Nie. Ona jest daleko, wiele mil stąd. Cóż mogłaby zrobić? Jeżeli ktokolwiek ma tam pojechać, lepiej, że będę to ja. Nie wiemy przecież, czy tam w ogóle stało się coś złego. Może dziadek po prostu ma jakiś kłopot. Albo jest chory.

Albo wywołuje tam, w górach, w tym swoim domu na odludziu, jakiegoś diabła.

Wyjechali dwadzieścia minut później. Dave zaopatrzył ich w termos z kawą i paczkę kanapek z wołowiną i musztardą.

- To zamiast kolacji. Nie mogę pozwolić, żeby moi goście umarli z głodu.

Zaszкодziłoby to mojej reputacji. - Popatrzyl na oboje z troska, podajac Beth kluczyki do samochodu. - Ile whisky wypiliście dziś wieczorem przed kolacją?

Uśmiechnęła się uspokajająco.

- Za mało, żeby warto było o tym mówić. Wzruszył ramionami.

- Mam nadzieję. Nie chciałbym stracić ostatniego źródła mojego dodatkowego dochodu.

- Nie stracisz.

Jechała szybko, ale ostrożnie, krętymi, pogrążonymi w ciemnościach drogami, świadoma tego, że siedzący obok niej Giles jest niezwykle milczący. Reflektory samochodu przy każdym zakręcie omiatały wąskim, bezlitosnym snopem światła pokosy trawy, wrzosowiska, paprocie, skały i wodę. Jechali mila za milą, nie mijając po drodze żadnego samochodu, i wreszcie skręcili w drogę A9.

- Jesteśmy prawie na miejscu. - Odważyła się spojrzeć na towarzysza.

- Jedź wolniej. Nie ma się co śpieszyć. - Im szybciej tam dotrzemy, tym szybciej wrócimy. - Tak mocno zaciskała ręce na kierownicy, że zbieleły jej kostki. Zjechała z głównej drogi, kierując się na wschód. Krople deszczu stukały o szybę, rozpryskując się na niej, i Beth zdała sobie sprawę, że księżyc skrył się za czarną deszczową chmurą.

- Która godzina?

- Po dziewiątej. Czy Maclaren będzie tam na nas czekał?

Skinęła głową z oczami wlepionymi w pełną zakrętów szosę. Modrzewie i sosny czepiały się kurczowo stromych nasypów po obu stronach wysypanej tłuczniem, smołowanej nawierzchni, a reflektory skierowały się ku niebu, kiedy samochód zaczął się wspinać po stromej, niemal pionowo biegnącej drodze.

Kiedy w końcu dotarli na miejsce, nie dostrzegli ani śladu samochodu pastora. Beth zaparkowała obok niebieskiego peugeota Adama i wyłączyła silnik. W domu nie paliły się żadne światła.

Giles zajrzał przez porysowaną szybę okienną.

- Jesteś pewna, że dobrze go zrozumiałaś? Może powinniśmy pojechać prosto na plebanie?

Pokręciła przecząco głową. Żołądek wywracał jej się z lęku. Otworzyła drzwiczki i wysiadła. Przez chwilę stała spokojnie, wdychając pełną piersią świeże, zimne powietrze.

- Nie. Powiedział, że tutaj. W Shieling House.

Zawahała się. Giles podszedł, objął ją ramieniem i pocałował w czubek głowy.

- Wszystko będzie dobrze. Maclaren przyjedzie. Pewnie nie myślał, że dotrzemy tu tak szybko. - Ścisnął mocno jej rękę i poprowadził ją dookoła domu.

Z kuchennych okien płynęło światło i niemal natychmiast ujrzeli Adama stojącego przy stole. Patrzył na coś, co tam leżało. Beth spojrzała na Gilesa.

- Mam zapukać? Giles skinął głową.

Adam, słysząc pukanie, zaskoczony podniósł wzrok, a potem podszedł do drzwi i otworzył je.

- Jesteś, młoda kobieto. Ken powiedział, że tu przyjedziesz. - Nie uśmiechał się. - Lepiej wejdźcie do środka. Ty i ten młody człowiek. - Przyjrzał się uważnie Gilesowi. - Jesteście niemądry. Oboje.

- Chcieliśmy się upewnić, czy ci się nic nie stało - powiedziała spokojnie Beth, kiedy Adam zamknął za nimi drzwi. Rozejrzała się nerwowo po kuchni. Było tu właściwie tak samo jak wtedy, kiedy opuszczali wcześniej to miejsce. Ale teraz na kominku stał czajnik, a między swoimi książkami Adam postawił kubek i słoik rozpuszczalnej kawy.

- Nic mi nie jest. - Nadal stał, patrząc na nich.

- Przyjechaliśmy tu wczoraj, bo się zaniepokoiiliśmy. Drzwi były niezamknięte i wyglądało na to, że nie ma cię tu od jakiegoś czasu. - Nagle Beth zdała sobie sprawę, że talerz z zapleśniałym jedzeniem zniknął z suszarki.

Podejrzewała, że to Ken go wyrzucił, zanim pojechał do domu.

- I musieliście się wtrącić - powiedział Adam łagodnie. - Beth, moja droga. Nie chciałem, żebyście tu przyjeżdżali z bardzo prostego powodu. Nie jestem taki stary i zgrzybiały, żebym nie mógł sam się zatroszczyć o siebie. Jestem w pełni władz umysłowych. Próbowałem was chronić. - Westchnął głęboko. - Ale teraz,

skoro już tu przyjechaliście, lepiej będzie, jak opowiem wam całą tę historię. -
Wziął dzbanek z kawą i zdjął z haczyków nad kredensem jeszcze dwie filiżanki. -
Odesłałem Kena do domu. Ostrzegł mnie, że do was zadzwoni. To dosyć miły
człowiek, ale kompletny ignorant, jeśli chodzi o to, co tutaj robię. Nic nie rozumie.
Więc lepiej, żeby się nie wtrącał.

- A co pan robi, doktorze? - odezwał się w końcu Giles.

Adam uniósł brew. Błysk rozbawienia zaiskrzył w jego piwnych oczach,
kiedy nalewał gorącą wodę do filiżanek z kawą.

- Doktor Jekyll czy doktor Frankenstein? Widzę, jak pracuje pański umysł,
młody człowieku. Jak pan mówił? Jak się pan nazywa? Nie. Ja nie wywołuję
potworów. - Przerwał. Kawa z łyżeczki kapnęła na stół. Przez chwilę Adam
wpatrywał się w przestrzeń. - A może wywołuję? Kto wie?

Odwrócił się i poprowadził ich do swego saloniku. Opadł na sofę. Beth
zerknęła na Gilesa i ruszyła za dziadkiem. Giles również, zabierając ze sobą dwa
pozostałe kubki.

Siedzieli parę minut w milczeniu przy łagodnym świetle jedynej lampy
stojącej na biurku w kącie pokoju. Na zewnątrz wiatr się wzmógł i słyszeli bębnienie
kropel deszczu o szyby.

Adam podniósł się z sofy i popatrzył na Beth.

- Nie przypuszczam, żeby Liza wiele ci o mnie powiedziała - zaczął powoli.
- Czemu miałaby to zrobić? Nigdy nie byłem dla ciebie dziadkiem.

Beth wzruszyła ramionami.

- Trochę mi opowiedziała. Adam wolno pokiwał głową. - Czy wspominała
ci kiedyś o Brid? Beth zerknęła na Gilesa.

- Chyba nie - odpowiedziała ostrożnie.

Adam westchnął. Długo milczał i wreszcie zaczął mówić. W pokoju panowała
całkowita cisza, tylko wiatr szeleścił nad okapem starą łupkową dachówką, i słychać
było spokojny, niemal monotony głos opowiadającego.

- Kiedy moja Jane umarła, przekląłem Brid. Odesłałem ją do tego jakiegoś
piekła, z którego przyszła. To ona zabiła twojego ojca, mojego Caluma... - Głos mu

się załamał, Adam odwrócił wzrok i zakrył oczy dłonią. Po chwili odetchnął głęboko i podjął: - To ona zabiła Phila Stevensona i twoją matkę.

Zapadło długie milczenie. Beth, oniemiała z przerażenia, utkwiała wzrok w twarzy dziadka. W całym ciele czuła chłód.

Adam wstał, podszedł do okna i zapatrzył się w ciemność.

- Odwróciłem się od niej. Nie chciałem słuchać jej usprawiedliwień. Przeklinałem ją bez końca. - Znów przerwał i zapatrzył się przed siebie. - Wyjechałem do Ameryki. Dużo podróżowałem. Mnóstwo piłem.

Beth wpatrywała się niewidzącymi oczami w stojącą na rogu biurka opróżnioną do połowy butelkę Laphroaig.

- Potem pojechałem na południe, do Brazylii, do Peru, do Boliwii. Myślałem, że potrafię o niej zapomnieć, ale ona jeździła ze mną, w mojej głowie.

Dokądkolwiek poszedłem, wszędzie słyszałem jej wołanie: A-dam - naśladował głos Brid. - Błagała mnie. Jeśli nie pozwolę jej powrócić do mojego życia, Broichan ją zabije. - Znów urwał.

Beth i Giles obserwowali go w milczeniu.

- Pewnego dnia napadnięto mnie na ulicy w La Paz. Do dzisiejszego dnia tfie wiem, co tam robiłem. Pobito mnie i obrabowano, ale przeżyłem. Zaopiekował się mną jakiś szkocki ksiądz. - Roześmiał się. - Katolicki ksiądz. Mój ojciec z tym całym swoim prezbiteriańskim obskurantyzmem bez wątpienia przewracał się w grobie, ale ten człowiek był prawdziwym chrześcijaninem. To on mnie nauczył, jakie powinno być chrześcijaństwo: pełne litości, przebaczenia i miłości. Kiedy doszedłem do siebie, przez kilka lat pracowałem z nim w jego misji. Pod pewnymi względami nadal zaledwie wiedziałem, kim jestem. Wiedziałem, jak się nazywam. Miałem swój paszport. Okazało się, że ponieważ nosiłem go w specjalnym pasie bezpośrednio na ciele, rabusie go nie znaleźli. Ale to było mniej więcej wszystko, co wiedziałem. Ambasada starała się odnaleźć moją rodzinę i adres, ale ja przecież sprzedałem domi nie pozostawiłem żadnej rodziny - ciągnął dalej ze wzrokiem utkwionym w jakiś odległy punkt w swojej pamięci. - Potem Brid wróciła. Zacząłem znów słyszeć jej głos, coraz wyraźniejszy, coraz silniejszy. Broichan był tak

blisko. Przerazał ją. Wiedziałem, że muszę wrócić. Ojciec John pożyczył mi pieniędzy, żebym wrócił samolotem do Wielkiej Brytanii. - Znów przerwał. - Kiedy już dotarłem do Anglii, pamięć zaczęła mi po trochu wracać. Odnalazłem kilku przyjaciół. Między innymi Roberta Hardinga, mojego dawnego współnika. Odnalazłem mego doradcę prawnego. I mój bank. I okazało się w końcu, że mam mnóstwo pieniędzy. Odesłałem ojcu Johnowi to, co mi pożyczył na podróż powrotną, i dodatkowo, wiele więcej, w darze dla jego misji. Kręciłem się tu i tam bez celu, nie wiedząc, dokąd się udać. Nie mogłem sobie wybić Brid z głowy. Wciąż słyszałem jej głos, wołała mnie, błagała. Więc wróciłem do Szkocji. - Znów przerwał i milczał długą chwilę. Wreszcie zaczął znów mówić. - Tak wiele zapomniałem. Miałem pustkę w głowie. - Wzruszył ramionami. - Ale powoli wszystko sobie przypomniałem. Zgony. Morderstwa. Zacząłem jednak rozumieć, że cokolwiek Brid robiła, robiła to z miłości do mnie, chociaż byłem na nią zły. Przybyła ze świata, w którym ludzie myśleli inaczej. Nie zdawała sobie sprawy, jaka jest zła i niegodziwa. - Umilkł na chwilę, jak gdyby rozważał to wszystko. Potem potrząsnął głową. - Muszę jej wybaczyć. To jest chrześcijański obowiązek. Muszę jej darować winy. Ocalić ją przed Broichanem. Ale teraz nie mogę jej odnaleźć. - Powrócił do swego krzesła przy piecu, w którym paliły się polana, i usiadł na nim ciężko.

- Kiedy jako mały chłopiec po raz pierwszy spotkałem Brid, była najbardziej zachwycającym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widziałem. Piękna. O egzotycznej urodzie. Myślałem, że jest z grupy wędrownych druciarzy. Tak nazywamy w Szkocji Cyganów. Ale oczywiście nie była Cyganką.

Zamknął oczy, złożył głowę na oparciu krzesła i przez jakiś czas trwał nieruchomo. Beth przyglądała mu się uważnie. Przystojny. Twarz o ostrych, wyrazistych rysach, smagła cera, która ładnie kontrastowała z czupryną niesfornych siwych włosów. By wysoki i żyłasty, a jego dłonie zaciśnięte na poręczach fotela przypominały raczej silne ręce robotnika niż lekarza.

- Nadal jej pragnę, Beth! - krzyknął udręczony. - Mimo tego wszystkiego, co zrobiła, ciągle mi się wydaje, że mnie opętała. Myśl o niej nie daje mi spokoju.

Próbuję ją przywołać, żeby do mnie wróciła, ale odpowiada mi tylko cisza. - Kim ona jest? - spytała Beth ledwie słyszalnym szeptem. Wzruszył ramionami.

- Broichan był przywódcą druidów i wychowawcą króla Brude'a. Był tym człowiekiem, który przeciwstawił się świętemu Columbie, kiedy ten przybył z Ioną z misją nawracania Piktów. Z tego, co ludzie mówią, wynika, że był bardzo potężnym czarodziejem.

Beth zerknęła na Gilesa, który siedział nachmurzony.

- Mówi pan, że ten... ten Broichan jest jakimś duchem? Że prześladowuje Brid, tak jak ona prześladowuje pana? - zapytał w końcu.

- A kim jest Brid? - wtrąciła Beth.

- Brid jest córką siostry Broichana. - Adam nie otworzył oczu.

- A więc... - Giles zawahał się, starannie dobierając słowa - mówi pan, że Brid jest także duchem?

- Nie! - Adam usiadł prosto. Jego oczy miotaly gniewne błyskawice. - Nie, ona nie jest duchem! Jak może być duchem? Patrzyli na siebie nawzajem.

- A więc kim jest? - nalegał Giles.

- Piktyjską księżniczką; była szkolona, żeby zostać wieszczką i druidką.

Uczyła się w czymś takim, co było odpowiednikiem college'u. Nauka trwała w nim dziewiętnaście lat, ale ona ją przerwała. - Umilkł na chwilę, zagubiony w myślach.

- Złamała świętą przysięgę. Uciekła, żeby być ze mną, i Broichan ją przeklął. -

Mówiąc to, Adam wpatrywał się ze skupieniem w przestrzeń, jakby odczytywał to wszystko z jakiejś listy, którą miał w głowie. - Studiowałem te książki i pracowa-

łem nad tym zagadnieniem. Jej stroje były takie niezwykle, jej mowa taka dziwna.

Kiedy byłem dzieckiem, myślałem, że ona pochodzi z cygańskiego rodu, i później długo też tak uważałem. Dzika, czarująca Cyganka. Ale ona była kimś więcej. Miała moc i wiedzę. Niebezpieczną moc i wiedzę.

Giles zerknął na Beth i skrzywił się. Pokręcił palcem przy skroni. Beth zmarszczyła brwi. Jej także przyszło to do głowy i zaczęła się zastanawiać, czy jej dziadek jest zdrowy na umyśle. Odchrząknęła.

- Mówisz, że ci ludzie i ten college nadal istnieją?

- Wszystko nadal istnieje, Beth. Równie realnie jak w naszym wymiarze. Pamiętasz „Cztery kwartety” Eliota? I ten cudowny fragment o czasie? Powinnaś go odszukać.

Przygryzła wargę i wzruszyła ramionami.

- I Brid potrafi podróżować między tymi wymiarami? Adam skinął głową, nadal wpatrując się w przestrzeń. - Myślę, że Brid była przeznaczona na wieszczkę. Miała fenomenalną pamięć. Ale posiadała także dar jasnowidzenia i uczyła się przepowiadać przyszłość. Furness dostrzegł to. I nie mógł w to uwierzyć.

- Furness? - Giles podniósł wreszcie do ust kubek z kawą. Zerknął na Beth.

- Furness to był psychiatra, który się nią zajmował, kiedy była chora. - Adam nagle odwrócił się i spojrzał Gilesowi prosto w oczy. - Pan myśli, że jestem szalony, prawda? Nie potępiam pana za to. Dlaczego miałby mi pan wierzyć? To jest niewiarygodne. Ona potrafi zamienić się w kota. - Wstał i przez chwilę chodził tam i z powrotem po pokoju.

- To wszystko jest tam, w tych książkach. - Wskazał stół. - Obserwuje pan jakieś zwierzę i zgłębia jego psychikę, a potem, w transie, opuszcza swoje ciało i przeistacza w to zwierzę. Może się pan stać, czym pan zechce: orłem, koniem, łososiem, wężem. O co chodzi, moje dziecko? - Zauważył nagle kredowobiała twarz swojej wnuczki, usłyszał, jak chwyta z trudem powietrze.

Beth przygryzła wargę.

- Ja zostałam zaatakowana przez jakiegoś kota. W domu. W Peny - Ffordd. Sąsiadka powiedziała mi, że babcię Jane też raz zaatakował...

- mówiła coraz ciszej.

Adam milczał. Potem podniósł głowę.

- Dlaczego nie mogę jej znaleźć? - zapytał zaniepokojony.

- Czy pan naprawdę myśli, że to była ona? - Giles nie wierzył własnym uszom.

Beth zmarszczyła brwi. Jakaś jej część była przerażona, inna, tak jak Giles, sceptyczna.

- Mówisz tak, jakbyś sam studiował tę zmianę postaci. - Mówiła spokojnie,

zdając sobie sprawę, że niewiele brakuje, żeby wpadła w histerię. - Próbowaleś tego sam, dziadku?

Pokręcił głową.

- Nie nauczyłem się jeszcze koncentrować na jednym zagadnieniu. Moja technika jest słaba. Ale muszę się nauczyć. Muszę ją odnaleźć. Muszę się przekonać, że nic z tego nie było jej winą. Nakłonił ją do tego ten szatan Broichan. I że Brid nie jest już niebezpieczna ani dla Lizy, ani dla ciebie, Beth. Muszę to wiedzieć, ponieważ jej potrzebuję.

- A co będzie, jeśli Broichan czeka na ciebie? - Beth nie wiedziała, gdzie podziąć oczy. Nie mogła wprost uwierzyć, że prowadzi tę rozmowę.

Adam popatrzył na nią, na jej smutną twarz. - Myślisz, że to jakiś wielki żart, prawda, Beth? Zapytaj swoją babkę. Ona ci powie. Wysł swój mały przyziemny mózdzek i puść wodze fantazji. Dziwi mnie, że ty, wychowanka Lizy, nie masz więcej wyobraźni.

Beth odwróciła wzrok. Czuła się dotknięta jego pogardą.

- Jestem tolerancyjna - powiedziała na swoją obronę. - Tylko nigdy nie brałam pod uwagę tego, że cokolwiek z tych rewelacji może być prawdziwe.

- Słyszałaś o Einsteinie?

- Tak, oczywiście... Ja...

- A o fizyce kwantowej?

- Nie rozumiem...

- Nie rozumiesz. Ale to nie znaczy, że ona nie istnieje. Jednym z błędów ery nowoczesności jest racjonalne podejście do rzeczywistości. W moim zawodzie oczywiście jest się na to szczególnie podatnym, i słusznie. Medycyna to wiedza empiryczna. - Opadł znów na krzesło. - Ale popełniliśmy błąd, ignorując wszystko to, czego nie potrafimy racjonalnie wytłumaczyć, oraz negując zjawiska, które nie poddają się tak zwanym eksperymentom naukowym. To arogancja. - Pochylił się do przodu i uderzył pięścią w stół. - Cieszę się, że mogę powiedzieć, iż to się powoli zmienia. - Uderzył jeszcze raz, tym razem w książki i magazyny rozrzucone na stole. - Jeśli zajrzysz do nich, zobaczysz, że jest w nich cudowna

mieszanina wiedzy i szarlatanerii. New Age, nadzieja, wyobraźnia, takie nonsensy, ale także prawdziwa, podniecająca, eksperymentalna wiedza, połączona z filozofią i oparta na obserwacji rzeczy, których nie można w sposób racjonalny wytłumaczyć.

- Przez chwilę milczał, po czym podjął powoli, jak gdyby mówił do niezbyt inteligentnego dziecka. - Widziałem kobietę, która żyła w czasach świętego Columby, to znaczy w szóstym wieku, spacerującą sobie i tak naturalną i realną jak ty czy on. - Skinął na Gilesa, który bardzo się starał ukryć rozbawienie i sceptycyzm. - Rozmawiałem z nią, dotykałem jej i, tak, spałem z nią. Nie jestem szalony. Nie jestem obłąkany. Nie jestem oszustem, chociaż ty, młody człowieku, nadal tak myślisz. Nie jestem także, jak sądzi nasz przyjaciel Maclaren, w spółce z diabłem. - Znowu wstał raptownie. - Dzisiaj byłem w Edynburgu na konsultacji w bibliotece uniwersyteckiej i jestem bardzo zmęczony. Więc jeśli oboje mi wybaczyć, chciałbym, żebyście już sobie poszli. Nie widzę żadnego powodu, żebyście mieli tu znów przychodzić. Nie lubię, jak się ze mnie kpi.

Gdy tylko znaleźli się w samochodzie, Giles gwizdnął głośno i trzasnął ręką w tablicę rozdzielczą. - Głupi jak but!

Beth uśmiechnęła się nieznacznie. Częściowo zgadzała się z nim, a jednocześnie intrygowało ją to wszystko.

- Chciałabym być pewna.

- Chyba mu nie wierzysz? Wzruszyła ramionami.

- Giles, proszę, nie teraz. - Zamknęła oczy, a potem zatrzasnęła drzwi. -

Słuchaj, jestem wykończona. Poprowadzisz?

- Oczywiście. - Czule dotknął jej policzka. Przez chwilę patrzyli na siebie w ciemności; Giles, przepełniony miłością i opiekuńczymi uczuciami, pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta. - Przykro mi, Beth. To naprawdę nie jest śmieszne. Ten starzec jest prawdopodobnie niebezpieczny dla samego siebie. Chodź. Pojedziemy do hotelu. - Wysiadł i obszedł samochód dookoła.

Beth przez moment się nie poruszała. Pocałunek Gilesa przytłumił na chwilę jej niepokój o Adama. Zamknęła oczy i objęła się ramionami. W ciemnym wnętrzu samochodu było spokojnie i ciepło. Po chwili niechętnie sięgnęła do klamki,

otworzyła drzwiczki i wysiadła. Wiał zimny wiatr, światła w chacie za nimi już zgasły. Noc była bardzo cicha.

Przeniknął ją dreszcz.

- Biedny dziadek.

Mruczenie, które rozległo się za nią, od strony żywopłotu, było tak ciche, że w pierwszej chwili wzięła je za wytwór wyobraźni. Zatrzymała się z ręką opartą o drzwiczki samochodu, ale włosy na karku zjeżyły jej się ostrzegawczo.

- Giles!

Natychmiast znalazł się tuż przy niej.

- Co się dzieje?

Czuła jego ciepło, wiedziała, że może liczyć na jego pomoc.

- Posłuchaj! - Wstrzymała oddech. - O mój Boże! Posłuchaj!

- Beth, nie wolno ci pozwolić, żeby to cię tak przerażało. - Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. - To wiatr. Chodź, wsiadaj. Wróćmy do hotelu, zanim znów zacznie padać.

Tym razem pomruk był głośniejszy. On go usłyszał także. Zdrętwieli.

- O Boże, Giles. To ona!

Przełknął z trudem ślinę. Gorączkowo przeszukał wzrokiem ciemność.

- Wsiadaj szybko - szepnął. Pchnął ją z powrotem na miejsce kierowcy. - I zamknij drzwiczki.

- A ty?

- Obejdę naokoło i wsiadę z drugiej strony. Już dobrze. To po prostu jakieś zwierzę, prawdopodobnie borsuk albo jeż, albo jeszcze coś innego. - Delikatnie zatrzaskała za nią drzwiczki i odwrócił się twarzą w kierunku krzaków. Nie mógł nic dojrzeć. Wiatr się wzmógł i Giles słyszał, jak jego podmuchy uderzają w drzewa, pochylają wrzosa i trawę, smagają grube liście rododendronów.

Odwrócony plecami do samochodu, Giles zaczął się przesuwając znów w kierunku drzwiczek od strony pasażera.

Beth pochyliła się nad fotelem i otworzyła drzwi z lewej strony.

- Wsiadaj.

Giles badawczo wpatrywał się w ciemność. Przesuwając się wolno kota bagażnika samochodu, czuł się śmiesznie wystawiony na atak. Coś tam było. Miał wrażenie, że obserwują go oczy tego czegoś. Ale czymkolwiek było to coś, co wydawało taki głos, z pewnością było o wiele większe niż jeź. Pot wystąpił Gilesowi na czoło, kiedy tylne światła samochodu otarły mu się o nogi.

Rzucił się do drzwi w tej samej chwili, gdy to stworzenie skoczyło na niego. Zobaczył oczy, zęby, poczuł cuchnący oddech i dał nura głową naprzód do samochodu. Przeleciał przez swój fotel i wylądował na kolanach Beth.

- Zamknij drzwi! Na litość boską, zamknij drzwi! - Szlochając, podciągnął nogi. Dopadło go. Ramię piekło go jak ogień.

Beth przechyliła się nad nim i próbowała przyciągnąć drzwiczki za klamkę.

- Przeszkadza mi twoja noga. Wciągnij ją do środka, bo nie mogę zamknąć.

Giles dostrzegł przez szybę, zaledwie kilka cali od twarzy Beth, błysk oczu zwierzęcia i poczuł jego nienawiść jak fizyczny cios. I już po chwili zniknęło.

- Och, Giles! - Drżała jak liść, podczas gdy on próbował się jakoś wyprostować. - Nic ci się nie stało?

Wygramolił się spomiędzy fotela i kolumny kierownicy i usiadł wreszcie prosto, trzymając się za łokieć. Palce miał lepkie od krwi.

- Jedź! Szybko, Beth, jedź! - Trząśł się. - To był kot. Widziałem go. Wynośmy się stąd.

Ruszyła. Włączyła bieg i zwolniła sprzęgło. Ale silnik się zablokował i samochód stanął.

- O Chryste! - Uspokój się. Nie może nas tu dopaść. Jedź wolno.

Wydostańmy się stąd.

- Co z dziadkiem?

- Jak to co? On sam może się o siebie zatroszczyć. Czyż nie powiedział, że nawet spał z tym stworzeniem? - Giles syknął, kiedy samochód znowu szarpnął. - Jedź. Wywieź nas stąd, kochanie. Proszę.

W zaciszu swojej surowej sypialni Adam spoglądał przez okno w ciemność. Jak tylko jego nieproszeni goście zniknęli, zgasił światła i poszedł na górę. W ciągu

kilku minut o nich zapomniał. Otworzył okno i wychylił się, opierając łokcie na zimnym kamiennym parapecie. Wdychał łagodne nocne powietrze, pachnące wrzosem, górskim tymiankiem i wilgotną torfową ziemią. Okno sypialni wychodziło na tyły domu i widać było z niego mały ogródek ze świeżo posadzonymi krzakami róż, a dalej strome zbocze, które wydawało się czarne na tle postrzępionych wiatrem chmur, zasłaniających gwiazdy. To była góra, gdzie stał kamień Gartnaita z zagadkowymi symbolami.

Adam z westchnieniem odwrócił się w stronę pokoju, przyciągnął sobie krzesło i usiadł na nim, wpatrując się w noc. Był zbyt zmęczony, by oddawać się rytualnym czynnościom. Dziś wieczorem będzie po prostu marzył, słuchał wiatru, a jeśli mu szczęście dopisze, zmorzy go sen i zatrze wspomnienia o śmierci i lęku, pozostawiając go jedynie z marzeniem o pięknych srebrnoszarych oczach, rozchylonych w uśmiechu czerwonych ustach i lśniących w ciemności jedwabistych włosach.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Wcześniej tego dnia Idina Campbell była u Petera Jonesa. Cztery torby podróżne z charakterystycznymi białymi i zielonymi paskami leżały w salonie na eleganckiej sofie w stylu regencji. Postawiła je tam zaraz po wejściu do mieszkania, straciwszy zainteresowanie sprawunkami w tej samej chwili, kiedy je zrobiła. Nerwowo weszła do gabinetu Gilesa i rozejrzała się dookoła. Podłoga jak zwykle była zarzucona książkami i mapami, biurko tonęło w papierach, wszędzie stały do połowy opróżnione kubki z kawą i przepełnione popielniczki. Notatki porobione dla pamięci poprzyklepane były do telefonu, do ściany, do szafki, do komputera - czasami Idina zastanawiała się, jak Giles może w tej sytuacji w ogóle coś widzieć na

ekranie monitora. Byłaby zdziwiona, gdyby wiedziała, że każdy centymetr tego chaosu to dla Gilesa ważny materiał. Wystarczyło, że dotknął jakiegoś papieru albo listu i w ciągu kilku sekund - no, zazwyczaj - wiedział, gdzie mniej więcej w tej obszernej bibliotece znajduje się jakaś książka. Oczywiście, dopóki Idina niczego tu nie ruszała. ,

Wzdrygnęła się. Pokój jej męża tak bardzo się różnił od reszty pomieszczeń w tym domu. Tak się różnił od tego wszystkiego, co lubiła i do czego dążyła, że zastanawiała się czasami, jak zdoła przeżyć z Gilesem choćby jeszcze minutę. Odczuwała ogromną ulgę, kiedy go nie było. Przez chwilę myślała o Damienie Fitzgeraldzie, swym ostatnim protegowanym. Miał wszystkie te zalety, których brakowało Gilesowi. Nadworny fotograf wytwornej socjety, przyjmowany we wszystkich domach, które się liczyły, starannie dawkował i organizował swoją twórczość i swój talent. Dopiero poprzedniego dnia zobaczyła po raz pierwszy jego studio i ciemnię. To właśnie tam Damien, doskonale wybrawszy porę, odwrócił się do niej, łagodnie, z wystudiowaną powolnością, położył swoje wymanikiowane dłonie na jej ramionach przyobleczonych w kostium z szantungu, przyciągnął ją do siebie i pocałował. Ten pocałunek przesłał natychmiast sygnał do całego systemu nerwowego Idiny, czego drogiemu staremu Gilesowi z jego partackim spełnieniem małżeńskiej powinności nie udało się osiągnąć od lat.

Zamyślona rozejrzała się dookoła. Na biurku Gilesa leżało kilka szkiców celtyckiego krzyża i jeszcze inne przedstawiające jakiś zamek. Westchnęła. Giles i ta jego ostatnia obsesja. Ta książka. Ta książka, którą miał wydać wspólnie z Beth Craig. Usiadła na krześle przy biurku. Najpierw zgarnęła plik czasopism i gazet i zrzuciła je na podłogę. Nie było tu oczywiście nic, co mogłoby stanowić jakiś dowód zdrady z jego strony. Wszystkie marzenia i fantazje na temat Beth znajdowały się tam, gdzie Idina nigdy by ich nie znalazła - w głowie Gilesa. Ta mała jędza zarzuciła na niego sieci już od pierwszej chwili, jak tylko go poznała. Dreszcz przeniknął Idinę, kiedy wyobraziła sobie długie, ciemne, niesforne, kędzierzawe włosy Beth, jej niedbałe stroje, typowe dla artystycznej cyganerii, farbę pod paznokciami, a także tę jej równie koszmarną babkę, tę hrabinę. No cóż, bez

trudu da sieje odprawić, tak jak przedtem. Jeśli to jest to, czego ona, Idina, naprawdę chce. Uśmiechnęła się do siebie i powróciła do rozmyślań nad rozkosznymi perspektywami romansu z Damienem. Czy powinna mieć z nim romans? Damien czy Giles?

Jeśli polecą do Szkocji teraz, dzisiaj, doznają wstrząsu oboje: Giles i ta jego lafiryndą. Popsuje im zabawę. I jeszcze zdąży wrócić na przyjęcie u Damiena. Idina wstała, zdecydowana. W końcu taką zabawą było całe jej życie.

Nagły wypadek. Pogotowie. Czternaście szwów. Środki przeciwbólowe. Policja.

Zaczynało już świtać, gdy Beth zmęczona zatrzymała auto przed wejściem do hotelu i wysiadła. Stała przez chwilę, oddychając czystym, zimnym powietrzem, i dopiero potem obeszła samochód, żeby pomóc wysiąść Gilesowi. Był bardzo blady, podartą, poplamioną krwią marynarkę miał zarzuconą na ramiona, a lewe grubo obandażowane ramię trzymał na temblaku.

Patti wyszła na schodki.

- O mój Boże! Co się stało? - Była już w dzinsach i grubym swetrze, włosy miała ściągnięte do tyłu i zawiązane w młodzieżowy zawadiacki węzeł. Śniadanie dla jej tryskających energią, wędrujących po górach gości podawano bardzo wcześnie.

- Nie rozbiliście samochodu Dave'a? Gilesowi udało się uśmiechnąć.

- Nic ważnego nie zostało uszkodzone. Tylko ja.

- Och, Giles! - Chwyliła go za zdrowe ramię i ścisnęła. - Wiesz, że nie mówiłam tego poważnie! Co się stało? Mielicie wypadek?

- Gilesa zaatakował jakiś żbik. Koło domu mojego dziadka - wyjaśniła Beth. - Prawie całą noc spędziliśmy w szpitalu. I na policji. - Próbowwała, sama nie była całkiem pewna dlaczego, zapobiec zorganizowaniu polowania z bronią na to zwierzę.

Wchodziła już frontowymi drzwiami do hotelu, kiedy Patti położyła jej rękę na ramieniu.

- Posłuchajcie oboje. - Zniżyła głos. - Idina przyjechała wczoraj w nocy,

po waszym wyjeździe. Pomyślałam, że powinniście o tym wiedzieć. Nalegała, żebym ją umieściła w twoim pokoju, Giles, i oczywiście chciała wiedzieć, gdzie jesteś. - Patrzyła to na Gilesa, to na Beth, i dostrzegła zaskoczenie na ich twarzach. - Powiedzieliśmy jej, że Beth została wezwana do chorego dziadka, a ty, Giles, pojechałeś z nią, żeby jej pomóc prowadzić. Nie wiem, czy zrobiliśmy dobrze, ale nie wiedzieliśmy, że nie będzie was całą noc! Idina czekała na was do północy. Była okropnie zła.

Było to, nawet według kryteriów Patti, bardzo łagodne określenie.

- O, cholera! - Giles zamknął oczy i kołysał się na stopach. - Tylko to było mi potrzebne.

Beth cofnęła rękę, którą opierała na jego ramieniu.

- Lepiej idź na górę i wszystko jej wytłumacz - powiedziała z ponurą miną.

- Beth...

- Nie, Giles, nie ma sensu o tym mówić. Po prostu idź. Ruszyła za Patti do kuchni i wyczerpana usiadła przy stole.

- Nie mogę w to uwierzyć. Po tym wszystkim, co przeszliśmy ostatniej nocy. Dlaczego przyjechała? - Była bliska łez. Przysięgła sobie, że się w nim po raz drugi nie zakocha. Postanowiła, że będzie silna. I udało jej się. Prawie.

Patti dyplomatycznie wzruszyła ramionami.

- Wygląda na to, że przydałoby ci się trochę dobrej, mocnej kawy i obfite gorące śniadanie. Co o tym sądzisz?

Beth zawahała się, automatycznie zakładając, że nie zdoła nic przełknąć, ale potem uświadomiła sobie, że umiera z głodu, a czując cudowny zapach dochodzący z dwóch talerzy, które wniesiono do jadalni, stwierdziła, że zaschło jej w ustach.

- Mogę dostać coś takiego tutaj, przy tobie?

- Jeśli ci nie przeszkadza, że ruszam się jak ta głupia pchła. Wiesz, ona nie zrezygnuje z niego tak łatwo. - Patti przerwała, patrząc na Beth.

A Beth dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że ona mówi o Idinie, i osunęła się na krzesło. Nie miała siły walczyć z wyczerpaniem i narastającą depresją.

- Przykro mi, kochanie. - Patti postawiła przed nią kawę. - Aleja znam

Idinę od lat. Lubię ją, ale nie ma co ukrywać - to bardzo zaborcza kobieta. Dave i ja zawsze się zastanawialiśmy, czy ona naprawdę tak bardzo kocha Gilesa.

Podejrzewam, że wcale nie. Ale on jest jedną z rzeczy, które stanowią jej własność.

Będzie walczyła na śmierć, i życie, żeby go zatrzymać.

- To dlatego tu przyjechała? Z mojego powodu?

- A pewnie! Nic innego nie wyciągnęłoby jej z Chelsea. Zwłaszcza do Szkocji. Dotychczas ani jej w głowie postać, żeby tu przyjechać. - Patti wbijała jajka do miski. - No to opowiedz mi teraz o tym kocie. To musiało być przerażające. A jak twój dziadek?

- Dziwny. - Beth miała ogromną ochotę opowiedzieć Patti o wszystkim, co się wydarzyło, ale coś ją powstrzymywało. Nie chciała już bardziej ośmieszyć Adama i potrzebowała czasu, żeby to wszystko przemyśleć. Atak kota przeraził ich oboje. Był zbyt gwałtowny i zbyt niespodziewany. I zbyt wyraźnie ukierunkowany, żeby to mógł być zbieg okoliczności.

Gdy wychodziła po śniadaniu z łazienki, wykapana, z umyтыми włosami owiniętymi ręcznikiem, przeskakując nieustannie myślami od Idiny i Gilesa do dziadka i z powrotem, zadzwonił telefon.

- Beth, jestem na Heathrow. Michele mówił, że próbowałaś mnie złapać. Co się stało? - mówiła Liza ostrym głosem. - Co się wydarzyło, prawda? Co ty robisz w Szkocji? Czy mam wsiąść w pociąg i przyjechać?

Jak Beth mogła zapomnieć o intuicji swej babki?

- Kochanie, słyszysz mnie? Nic ci nie jest? - ciągnęła Liza, a Beth słyszała ją tak dobrze, jakby babka była w sąsiednim pokoju.

Odrzuciła ręcznik na łóżko i usiadła ze słuchawką w dłoni.

- Och, dzięki Bogu! Lizo, nie uwierzysz, co się działo.

Przez cały czas, gdy Beth opowiadała, co się wydarzyło, Liza nie odezwała się ani słowem. Dopiero kiedy dziewczyna w końcu przerwała, żeby złapać oddech, Liza powiedziała: - Nieważne są te wszystkie „jeśli” i „ponieważ”, Beth. - W poczekalni terminalu przylotów Liza okropnie zmarzła. - Jeśli Adam chce przywrócić Brid do życia, błagać ją, żeby wróciła czy coś w tym rodzaju, to ja

traktuję to naprawdę poważnie. Atak tego kota to nie był zbieg okoliczności. Nie zbliżaj się do swego dziadka, rozumiesz? Jeśli ona wróciła, nie pozwoli nikomu zbliżyć się do niego. Nie zawaha się znów zabić. A ty jesteś prawdopodobnie głównym celem, jako jedyna jego krewna pozostała przy życiu. Łapię pierwszy samolot i przylatuję. Nie żartuję, Beth. Nie zbliżaj się do niego, dopóki nie przylecę.

Beth odłożyła słuchawkę i przez kilka minut siedziała nieruchomo, starając się zrozumieć to, co usłyszała, po czym położyła się na łóżku. Mimo wyczerpania jej umysł pracował na pełnych obrotach. Adam i Brid. Giles i Idina. Ten szczerzący zęby, mruczający groźnie kot z ostrymi pazurami. Zamknęła oczy i poczuła, jak ciepłe łzy zaczynają jej spływać po policzkach. Wtuliła twarz w poduszkę.

Obudziła się z niespokojnej drzemki, kiedy Giles wszedł cicho do pokoju z palcem na ustach. Wziął już prysznic i zdjął poplamione krwią ubranie, ale nadal był bardzo blady i spięty.

- Idina poszła na spacer, żeby ochłonąć. - Usiadł na łóżku. - O Chryste, Beth, co my zrobimy?

Patrzyła, jak Giles wysuwa z temblaka chorą rękę.

- Czego ona chce? Skrzywił się.
- Myśli, że mam z tobą romans.

Beth milczała. Nie wiedziała, co powiedzieć.

Kocham cię tak bardzo, że to aż boli.

Chciałabym mieć z tobą romans.

Co dobrego by z tego wynikło? Jedyna noc, jaką z nią spędził, to ta w szpitalu, na oddziale nagłych wypadków.

Niezbyt to romantyczne.

Idina jest jego żoną i on musi nadal ją kochać. Gdyby nie kochał, to by się już do tej pory rozwiódł.

Dźwignęła się trochę i oparła na łokciu.

- Co jej powiedziałaś? - spytała ochryplym głosem. Wzruszył ramionami.
- Chciała się dowiedzieć czegoś o moich obrażeniach. Ale właściwie nie rozmawialiśmy. Była zbyt zła.

Beth westchnęła i odgarnęła włosy z oczu. - Liza dzwoniła przed chwilą z Heathrow. Przyleciała z Florencji. Powiedziałam jej, co się stało. Przyjedzie prosto tutaj.

Nie zbliżaj się do swego dziadka... Ona nie zawaha się znów zabić.

Rozbrzmiały echem w jej głowie słowa Lizy.

- Powiedziała, że wszystko, co mówił o Brid, to prawda. Nastąpiła chwila pełnej napięcia ciszy. Giles znużony potrząsnął głową.

- Chyba żartujesz?

- Nie. - Beth zamknęła oczy. - Nie, Giles, nie żartuję. Chciałabym, żeby to był żart. - Spojrzała na niego i nagle zaczęły jej drżeć ręce. - Liza powiedziała, że Brid nie zawaha się mnie zabić.

- Nie mogła mówić tego poważnie. - Giles zadrżał. - Kochanie, nie pozwolę, żeby ci się stało coś złego.

- Jak możesz temu zapobiec, skoro Idina jest tutaj? - Beth usiadła i objęła kolana rękami. - Lepiej idź już i pozwól mi się ubrać - dodała surowo. - Liza zjawi się tu niedługo. Wtedy będziemy mogły obie zastanowić się nad tym, co zrobić z Adamem.

- Beth. - Zabrzmiało to bardzo surowo. - Jestem tutaj dla ciebie. - Nagle się pochylił i pocałował ją.

Zamknęła oczy. Powinna się odsunąć. Powinna zeskoczyć z łóżka i uciec. Nie powinna pozwolić, żeby to trwało ani chwili dłużej. Pocałunek trwał długo. Potem Giles wolno się odsunął.

- Kocham cię. Potrząsnęła głową.

- Nie możesz kochać dwóch kobiet naraz, Giles. Nie możesz, jeżeli mają być szczęśliwe. Musisz wybrać jedną z nas. - Ześliznęła się z łóżka i pozbierała swoje ubranie. - Zobaczymy się na dole.

Zawahał się, po czym wstał.

- Idina i ja nie będziemy już razem.

- Nie mów tego mnie. Powiedz to jej. Idź na dół, Giles. - Powiedziała to bardzo spokojnie, ale w środku krzyczała: Powiedz jej, powiedz jej, że mnie

kochasz! Uwolnij się od niej, jeżeli jesteś z nią nieszczęśliwy! Zmusiła się do uśmiechu. - Idź, proszę.

Dopiero gdy zamknął za sobą drzwi, rozplakała się.

Meryn był pogrążony w medytacji. Minę miał nietęgą. Wątki, które starał się jakoś powiązać, stawały się coraz bardziej splątane. Rozpacz, lęk i krew zaciemniały obrazy i jego chwyt stawał się coraz mniej pewny. Meryn czuł, że jest komuś potrzebny. Nadszedł czas, żeby zaniechał poszukiwań ścieżek czasu. Ta jedna, której szukał, czekała w ciemności, czekała, aż otworzy się przejście, które umożliwi mu swobodne podróżowanie przez wieki. Musiał się zatrzymać. Pierwszeństwo miały sprawy, którymi trzeba pokierować teraz, w tym istnieniu, nie w ciemnych, zamglonych rejonach walijskich wzgórz, ale na tej samotnej szkockiej górze, gdzie cała historia się zaczęła i gdzie owe siły się spotkały przed bitwą, która może się zakończyć jedynie śmiercią.

Kiedy Beth weszła do biblioteki, gdzie zaproszono gości na drinka przed posiłkiem, Giles już tam był. Wstał i skinał na nią; trzymał dla niej miejsce na sofie przy kominku. Był spięty. Nikogo jeszcze nie było i mieli pokój tylko dla siebie.

Dotknął jej dłoni.

- Beth, kocham cię. Poproszę Idinę o rozwód. Właśnie teraz. Kiedy tu jest. - Chodził tam i z powrotem po wytartym perskim dywanie. - Ona się bawi naszym kosztem. Jeśli chce przedstawienia, to będzie je miała.

- Giles...

- Potrzebuję cię. Zawsze cię kochałem, od chwili gdy cię spotkałem po raz pierwszy.

- Aleja nie wierzę, że mówisz poważnie, Giles. - Beth mówiła bardzo spokojnie. - Rozmawialiśmy już o tym przedtem, pamiętasz? W Walii. Ty nie możesz żyć bez Idiny. Oboje wiemy, że w doskonałym świecie mógłbyś mieć nas obie i obie byłybyśmy szczęśliwe, ale zdajemy sobie sprawę, że to nie jest doskonały świat. Wszyscy bylibyśmy w końcu nieszczęśliwi.

- Nie kocham Idiny. To bez ciebie nie mogę żyć.

- Możesz. - Przygryzła wargę. - - I nie sędzę, żebyśmy mogli razem

pracować. Przykro mi.

- Beth! O co chodzi? - Podniósł ze złością wzrok, bo Dave wsunął głowę przez uchylone drzwi, żeby powiedzieć Beth, że jest do niej telefon.

Znowu dzwonił Maclaren.

- Przepraszam, że zawracam pani głowę - powiedział, kiedy Beth podniosła słuchawkę. - Ale pan Craig poszedł gdzieś na wzgórze, a pogoda się psuje. Nie wiem, czy nie powinienem zadzwonić na policję... Co pani o tym myśli? Wyjrzała przez okno. Rozwodnione słońce, które świeciło rano, skryło się za chmurami; teraz mocno padało. Beth nie mogła dojrzeć odległych gór, a chmura mgły snuła się po trawniku przed domem.

- Dlaczego pan uważa, że ma kłopoty?

- Drzwi były szeroko otwarte. Woda w czajniku wygotowała się do sucha.

Poczta leżała na biurku tylko w połowie otwarta. Nie wziął płaszcza ani laski.

Beth nabrała głęboko powietrza.

- Proszę posłuchać. Czekam na moją babkę, która ma przyjechać.

Nie zbliżaj się do swojego dziadka...

- Już jedzie. Proszę zrobić to, co pan uważa za najszuszniesze, a kiedy ona tu dotrze, pojedziemy tam...

Kiedy Beth wróciła do biblioteki, była tam Idina. Stała obok Gilesa, trzymając zaborczo rękę na jego ramieniu. Miała na sobie szokująco jaskrawą wełnianą sukienkę i czarne rajstopy. Była szczupła jak ołówek, włosy miała nienagannie ułożone i perfekcyjny, delikatny makijaż.

Powitała Beth sztywnym uśmiechem i dwoma pocałunkami w powietrze, dobre dziesięć centymetrów od jej policzka.

- Mmm, jak się masz, kochanie? Słyszę, że macie zamiar robić z Gilesem następną książkę.

Beth przez chwilę była boleśnie świadoma bynajmniej niewysmukłych kształtów, odzianych w zwykłe niebieskie džinsy, gruby kremowy sweter i jedwabny szalik zamotany na szyi. Ale natychmiast przestała myśleć o swoim wyglądzie, gdyż było to zbyt deprymujące.

- Jeszcze nie wiem, Idino. To zależy od wielu rzeczy. - Spojrzała na Gilesa, który wpatrywał się w swojego drinka. Kostki ręki, w której trzymał kieliszek, były białe. - Jaka pogoda w Londynie?

- Lepsza niż tu. - Idina popatrzyła w okno i wzdrygnęła się.

- Nie wiem doprawdy, po co tu przyjechałaś. - Beth nie mogła się powstrzymać od tego pytania.

- Zapewniam cię, kochanie, że nie będziemy tu długo. - Idina posłała jej lodowaty uśmiech. - Jak tylko Giles zakończy tu swoje sprawy, jedziemy odwiedzić kilku przyjaciół w Edynburgu.

- Powiedziałem ci, Idino, że zostaję - odparł Giles ochryplym głosem. - Pracujemy z Beth nad książką. - Spojrzał na Beth. - Czego chciał Maclaren? Wszystko w porządku?

- Dziadek znów poszedł nie wiadomo dokąd. Powiedziałam mu, że przyjedziemy tam, jak tylko Liza tu dotrze. - Beth podeszła do baru, żeby sobie wziąć od George'a whisky. Ze szklanką w ręce śmiało podeszła do Idiny, starając się z całej siły opanować ból i złość, które czuła na widok eleganckiej sylwetki tej kobiety. - On mieszka w pobliżu Dunkeld.

- Rozumiem. - Idina uniosła jedną brew. - Natomiast nie rozumiem, dlaczego Giles musi jechać z tobą.

- Nie musi. - Beth uśmiechnęła się. Nie potrafiła się powstrzymać od dodania: - Ale może wybierać.

Kiedy Liza zjawiła się w końcu późnym popołudniem, wyglądała na kompletnie wyczerpaną. Beth, która dostrzegła ją przez okno biblioteki, zbiegła po schodkach i uścisnęła ją mocno.

- To było straszne, mówię ci. O Boże, tak się cieszę, że tu jesteś. - Odsunęła Lizę od siebie, żeby jej się dobrze przyjrzeć, i poczuła wyrzuty sumienia. - Wyglądasz na zmęczoną. Przepraszam. Może nie powinnam była ci o tym mówić.

- Nie bądź głupia! - zawołała Liza szorstko. - Wszystko, czego mi trzeba, to filiżanka herbaty. I muszę wiedzieć dokładnie, co się dzieje. - Była smukła i wyglądała młodo, jak zawsze. W jej modnie ostrzyżonych kasztanowatych włosach

widać było tylko kilka siwych nitek.

Wystarczyła jej godzina, żeby oczarować Dave'a i Patti, rozgościć się w swoim pokoju, przebrać się, wypić filiżankę herbaty i już była gotowa jechać do domu Adama.

Kiedy Beth poszła do biura po kluczyki do samochodu Dave'a, Gilesa i Idiny nie było nigdzie widać.

- Powie mu pan, dokąd pojechałam? Mrugnął do niej.

- Nie martw się. Jeśli to cię choć trochę pocieszy, to niezbyt miło spędzają czas. Aż na korytarzu słychać krzyki. Poza wszystkim innym Idina nie lubi szkockiego deszczu. Na pewno się obawia, że skurczy jej się sukienka. - Parsknął śmiechem.

- Dave! - skarciła go Beth z udawanym oburzeniem. - Zadzwoń do ciebie, kiedy będę wiedziała, co dalej, ale nie niepokój się, jeśli nie odezwę się dziś wieczorem. Adam nie ma telefonu, a podejrzewam, że tam zostaniemy. Będziemy improwizować.

- Czy prawidłowo rozumiuję, że wasz związek stał się znów aktualny? - Liza usiadła wygodnie w głębokim, krytym skórą fotelu porsche i zamknęła oczy. Kiedy Beth skręciła z podjazdu, było już ciemno.

- Nie bardzo. Kiedy Idina jest tutaj...,

- Chciałabyś? - Nie ma sensu o tym myśleć. On jest nadal bardzo związany z żoną, jeśli tego nie dostrzegłaś. To ta w różowej sukience.

- Głupia kobieta! - westchnęła Liza. - Biedactwo. Życie i miłość nigdy nie są łatwe.

Beth zerknęła na jej profil oświetlony żaróweczką przy tablicy rozdzielczej.

- A między tobą i Michelelem wszystko dobrze?

- Tak, kochanie. Z Michelelem wszystko układa się bardzo dobrze. - Liza miała wciąż zamknięte oczy. Po krótkiej jeździe w ulewnym deszczu w końcu zatrzymały się przed bungalowem Maclarenów i pobiegły ścieżką do wejścia, gdzie Maclaren czekał na nie w otwartych drzwiach.

- Wejdźcie panie na chwilkę, ogrzejcie się i wysuszcie, a potem pojedę z

wami na wzgórze - powiedział, kiedy już dokonano wzajemnej prezentacji.

- Rozmawiał pan z policją? - zapytała Beth z niepokojem. Skinął głową.

- Byli w Shieling House. Powiedzieli, że nie ma tam tego zwierzęcia, które zaatakowało pani przyjaciela, nie ma tam też żadnych jego śladów, ale tak strasznie padało, że mój samochód albo ich, albo pocztowy, mógł je zatrzeć. Nie było też śladu po doktorze Craigu. - Potrząsnął głową. - Jestem niespokojny. Ja wiem, on uważa, że dobrze zna te wzgórza, ale minęło wiele czasu, odkąd tu mieszkał, i nie jest już młody. A pogoda jest przerażająca.

Wsiedli do starego samochodu pastora i Beth, siedząc obok kierowcy, patrzyła na promienie światła oświetlające dwa strumyczki błota spływające szosą i dziękowała Bogu, że nie musi sama prowadzić w tych ciemnościach.

Kiedy wreszcie dojechali na miejsce, rozejrzała się nerwowo dookoła. Rozpaczliwie pragnęła, żeby Giles był z nimi. Ken Maclaren zapalił dużą latarkę i wodząc nią dookoła, oświetlał jasnym snopem blasku ociekające deszczem krzaki i spłaszczoną trawę. Beth wstrzymała oddech nasłuchując, ale nie słyszała nic poza szumem wiatru i szelestem deszczu.

Obiegli dookoła dom i Ken otworzył tylne drzwi własnym kluczem. Kiedy weszli, zatrzasnął je i zaczął po omacku szukać kontaktu na ścianie.

- Wcale nie możemy być pewni, że ten paskudny kot nie przyczał się gdzieś tutaj - powiedział poważnie.

Beth i Liza wymieniły spojrzenia.

- Nie wygląda na to, żeby tu wrócił - powiedziała wolno Beth. - Nic się tu nie zmieniło od ostatniego wieczora. Przeszli do salonu. Beth podeszła do okna i zaciągnęła zasłony. Przeniknął ją dreszcz.

- Nie mogę przestać myśleć o tym, że może jest tu ktoś lub coś i obserwuje nas teraz - powiedziała spokojnie.

Liza skrzywiła się.

- Chyba mogę się nawet założyć, że jest. Idź, sprawdź na górze, kochanie.

Upewnij się, czy ten stary rozpustnik nie śpi w swoim łóżku.

Beth nabrała głęboko powietrza i ruszyła ku schodom. Nawet przy zapalonych

światłach czuła, że powraca lęk; każdy jej nerw drgał, kiedy wstępowała na kolejne stopnie schodów, a oczy gorączkowo przeszukiwały wszystko dookoła, kiedy weszła na podest i zobaczyła otwarte drzwi do pokoju Adama. Było bardzo cicho. Nagle przestała słyszeć przytłumione głosy z dołu, gdzie Liza i Ken oglądali przy stole książki Adama.

Czując lodowate macki panicznego strachu na jej skórze, Beth zrobiła pierwszy, a potem drugi krok w kierunku ciemnych cieni przed sobą.

Unieszczęśliwiłaś mojego A-dama.

Nagle ten głos pojawił się w niej, w jej własnej głowie. Beth zacisnęła dłonie na poręczy. Zaszło jej w ustach.

Nie lubię ludzi, przez których mój A-dam jest nieszczęśliwy...

- O Boże! - szept Beth zabrzmiał głośno w ciszy domu. Odwróciła się i zbiegła szybko ze schodów.

- Beth, co ci jest? - Liza spojrzała ponad okularami na jej bladą twarz.

- Nic. Tylko poczułam...

- Co poczułaś? Widziałaś coś? Nie ma go tam, prawda? Beth pokręciła przecząco głową.

- Przepraszam. Nie patrzyłam. - Usiadła przy stole i zakryła twarz dłońmi.

Ken patrzył to na jedną, to na drugą.

- Ja pójdę - powiedział. Wbiegł na górę po dwa stopnie naraz. Usłyszały jego kroki na podeście, a potem pstryknięcie przekręcanego kontaktu.

- Słyszałam jakiś głos. W mojej głowie. Czy to była Brid? - Beth zrozpaczona patrzyła na Lizę.

Usłyszały, że Ken wraca, sprawdzając jeszcze łazienkę i drugi pokój. Wreszcie pojawił się znów na schodach.

- Nie ma go tam. Ani śladu. - Uśmiechnął się do Beth. - Moja droga, nie dziwi mnie, że się niepokoisz. Ten kot mógł się dostać do domu, kiedy drzwi były otwarte, ale prawdę mówiąc, wątpię w to. To bardzo płochliwe zwierzęta. O ile wiem, rzadko się zdarza i chyba nigdy o tym nie słyszano, żeby kręciły się koło siedzib ludzkich. Policja była bardzo zakłopotana. Doszli do wniosku, że musiały

go jakoś rozdrażnić i poczuł się zagrożony. Wątpię, czy go jeszcze kiedyś zobaczymy.

Liza popatrzyła na Beth ostrzegawczo. Znaczenie tego wyrazu twarzy było jasne: Nie przy pastorze! Skoro nawet Giles uznawał od początku historię Adama za niewiarygodną, czegoż można się spodziewać po człowieku w sutannie?

- Co zrobimy? Dziadek nie może zostać w taką pogodę sam na wzgórzach. - Beth bardzo się starała wziąć w garść.

Ken pokręcił głową.

- Myślę, że lepiej będzie, jak zadzwonimy jeszcze raz na policję. Porozmawiamy z nimi o tym. Nie wiem, czy powinniśmy zaproponować, żeby grupa osób przeczesala cały teren. Niepokoi mnie bardzo to, że jego samochód jest tutaj. Ale z drugiej strony nie wiemy, czy ktoś nie przyjechał i nie zabrał go.

- On nigdy by nie zostawił otwartych drzwi - wtrąciła Liza. - Jest stary, ale nic złego się nie dzieje z jego pamięcią, prawda? - zwróciła się do Beth.

Beth potrząsnęła głową.

- Wydaje mi się całkiem bystry - westchnęła. - Ale skąd ci przeczesujący teren będą wiedzieli, gdzie go szukać? Może być wszędzie, jeśli poszedł na wzgórze.

- Nie poszedł. Nie bez płaszcza. To rozsądny człowiek - dodała Liza. Beth uniosła brew.

- Dlaczego on tu nie ma telefonu? Z pewnością stać go na to.

- Pytałem go o to - westchnął Ken. - To był, niestety, zwykły upór. Adam bardzo opryskliwie powiedział, że nikt nie zamierza do niego dzwonić i że on doskonale sobie sam radzi. Zapytałem, co będzie, jak ulegnie wypadkowi albo mu się coś stanie. Odpowiedział, że jeśli ulegnie wypadkowi, to tylko przez własną głupotę, i poniesie tego konsekwencje.

Liza uśmiechnęła się.

- To cały Adam.

- Niewiele to jednak pomoże w tych okolicznościach.

- Nie. - Liza zawahała się. - Panie Maclaren, mam pytanie: czy były jakieś oznaki, że Adam dużo pije? - Ona także zauważyła butelkę whisky w kącie. Ale

poziom alkoholu w niej, jak Beth zdążyła ocenić, nie uległ zmianie. Ken pokręcił przecząco głową.

- Mówił mi, że był alkoholikiem, ale udało mu się to zwalczyć. Ja z pewnością nigdy nie widziałem go pijanego.

- Liza! - Beth zerknęła na książki leżące na stole i nagle zdała sobie sprawę, że od czasu gdy była tu po raz ostatni, zostały poprzekładane. Kilka otwarto, w innych tkwiły zakładki, a jedna, leżąca na wierzchu, była oznaczona czerwonym atramentem. - Patrz! - Książka miała tytuł: „Samoobrona psychiczna”. Beth pchnęła ją po stole ku Lizie.

Liza przysunęła ją ku sobie, zsunęła na nos okulary, które miała na czole, i czytała uważnie przez kilka minut. Ken zmarszczył czoło.

- Martwi mnie zawartość większości tych książek.

- Dotyczą głównie historii - odparowała Liza. - I filozofii. Zawierają ogromną porcję wiedzy. - Nadal czytała.

- Zawierają zło. Czarną magię. Czarnoksięstwo.

- Bzdury. - Liza z powrotem odsunęła okulary na czoło. - Posłuchaj, młody człowieku, może byś nam zrobił kawy, a ja tymczasem przejrzę niektóre z tych dzieł? Być może podpowiedzą mi, gdzie jest Adam. - Powiedziała to z tak nienaturalnym ożywieniem, że Beth zrozumiała, jak bardzo ją Ken irytuje.

Odprowadziła go wzrokiem, gdy Ken wychodził z pokoju.

- Co to jest? Co tam zobaczyłaś?

- Spójrz! - Liza pchnęła ku niej jakąś książkę. - Ty to dostrzegłaś. Czytaj.

Beth usiadła. Wolno przerzucała kartki i czytała podkreślone na czerwono fragmenty.

Jest to dobrze znany fakt, że jeśli jakiegoś okultystę działającego poza własnym ciałem spotyka jakaś przygoda na płaszczyźnie astralnej albo jeśli jego ciało astralne zostanie dostrzeżone i zranione lub postrzelone z broni palnej, to na jego ciele rzeczywistym pozostają widoczne ślady.

I dalej, u dołu tej samej strony:

Kształt przybrany powstaje z wytworzenia w wyobraźni postaci stworzenia, w

które zamierzamy się przeistoczyć, i połączenia jej z odpowiednim aspektem własnej istoty. Tej metody można używać w dobrych i złych celach...

Czyżby Liza sugerowała, że właśnie w ten sposób Brid stwarzała tego kota? Albo sama się w niego zmieniała, albo wcielała się w postać jakiegoś prawdziwego kota? Beth patrzyła na Lizę.

- Wierzysz w to, prawda?

- Tak, Beth, wierzę. Spójrz na to. I na to. I na to. Wszystkie książki o magii celtyckiej zostały poznaczone na czerwono, i to wszystko dotyczy zmiany postaci. Adam eksperymentował. Albo zamierzał to wypróbować. A to wszystko wiąże się z tym kamieniem. - Rzuciła na stół przed Beth szkic kamienia. - Pracował nad wyjaśnieniem tych symboli. Chciał wytłumaczyć, co one znaczą.

- Giles to wie?

- Wątpię. - Liza zmarszczyła czoło. - Może wydaje mu się, że wie, ale ja myślę, że Adam wypracował jakiś całkiem odmienny system. Widzisz, ile jego uwag jest w tej książce?

Rzeźbienie lustra. Zakreślił to.

Znak Brid. Znak druidki albo czarodziejki, która potrafi dokonywać rzeczy, przekraczających zdolność pojmowania ludzkiego rozumu. Te kamienie są drogowskazami, one wskazują drogę przez paralelne światy nie tylko do miejsc w naszym własnym.

Jeśli się na szkło patrzy, Wzrok swój zatrzymać trzeba. Lecz ten, co więcej chce zobaczyć, Sięgnie nim aż do nieba.

Beth z niedowierzaniem wpatrywała się w drobne, niewyraźne pismo. *W przeszłość albo w przyszłość. Tam, gdzie zasłona jest cienka.* Spojrzała na Lizę.

- Zasłona?

- Między tymi wymiarami - uśmiechnęła się Liza. - I znów mamy materiał ezoteryczny. Adam zakłada, że to jest właśnie miejsce, z którego Brid przybywa i do którego odchodzi, między naszym czasem i jej.

- Przykro mi, ale to wszystko nie mieści mi się w głowie. Nie chcę niczego utrudniać. Nie jestem niedowiarkiem, ale to wszystko jest dla mnie jak nie z tego

świata.

- Często za fantazją kryje się prawda, Beth - uśmiechnęła się Liza. - Czytaj swego Junga. Nie martw się tym na razie. Pozwól nam tylko przyjąć, że to jest coś, w co wierzy Adam. Czy on poszedł do tego drogowskazu? - Do tego czegoś, co tam stoi. To coś z kamienia. Maclaren mówił, że to niedaleko. Trzeba się wspiąć do grzbietu wzgórza za domem. Mówił, że dziadek jest opętany myślą o tym kamieniu.

- Przerwała. - Myślisz, że tam poszedł? Po ciemku?

- Może nie było ciemno, kiedy wychodził? Popatrzyły na siebie.

- Beth, kochanie. Nie wiem, czy pomyślałaś o tym, ale dziś jest wigilia Wszystkich Świętych, To jedna z tych nocy, kiedy zasłona, jeśli pozwolisz, że użyję znów tego określenia, jest cienka. Tradycyjnie już się przypuszcza, że w taką noc jak ta łatwiej jest duchom przechodzić z ich świata do naszego. Przypuśćmy, że Adam wybrał tę noc, żeby spróbować odszukać Brid.

- Ale dlaczego miałby jej szukać, skoro ona nadal go ściga? Skoro tu była w postaci kota? Skoro ją słyszałam dopiero co?

Liza przygryzła wargę. Pokręciła głową i wzruszyła ramionami. Potem znów usiadła i oparła głowę na rękach.

- Nie wiem, co o tym myśleć. Po prostu nie mogę się uwolnić od obrazu Adama tam, na zboczu, w ulewnym deszczu, może chorego, może zbyt zmęczonego, by wrócić do domu; a może jest ranny albo zabłądził.

- Uważasz, że powinniśmy pójść i odszukać go, prawda?

- Tak.

Obie podniosły wzrok, bo Ken zjawił się z kubkami kawy na tacy. Zsunął je na stół, między książki, i westchnął. Usłyszał ostatnie zdanie.

- Ja także uważam, że powinniśmy go odszukać. Wypijcie kawę, a ja tymczasem zadzwonię do Moiry. Wpadniemy na plebanie, zabierzemy latarki i trochę mojego sprzętu kempingowego oraz trochę żywności, tak na wszelki wypadek.

Beth niepewnie zerknęła na Lizę. Perspektywa wyjścia w tych ciemnościach przerażała ją.

- Myślę, że powinnaś poczekać tutaj...

- Nie. - Liza popatrzyła na nią z wściekłością. Była oburzona. - Jestem prawdopodobnie sprawniejsza niż ty, ten młody człowiek, a także jego żona. W Toskanii chodziłam codziennie wiele mil, w górach mieszkałam przez całe życie. Jeśli myślisz, że trochę wiatru i deszczu wyeliminuje mnie z tej waszej wyprawy, to bardzo się mylisz.

Ale mnie wyklucza, pomyślała Beth przygnębiona. Nie odstępowała jej myśl, że tam gdzieś jest złośliwa czarodziejka, licząca sobie tysiąc czterysta lat i rwąca się do walki, albo żbik czający się, żeby jej skoczyć do gardła. A w dodatku jest to wigilia Wszystkich Świętych. - Mamy mocne buty i ciepłe płaszcze - ciągnęła Liza. - Beth, wiem, o czym myślisz, ale przypuszczam, że jej tam nie będzie. - Spojrzała znów na Kena, starając się go sprowokować, żeby zapytał, o kim rozmawiają.

- Jeśli Adam przekroczył granicę i znalazł się w jej wymiarze czasu, to ona tam będzie z nim. Jeśli jest chory albo ranny, to ona będzie chciała, żebyśmy go znaleźli. Wierz mi, cokolwiek ona robi - kocha go.

Beth na szczęście nie widziała, jak Liza, mówiąc to, ukradkiem krzyżuje palce pod stołem.

- Jeżeli pojedziesz za nią, rozwiodę się z tobą! - krzyczała Idina, kiedy Giles wsiadł do samochodu. Siedział przez chwilę i patrzył na żonę, która stała w drzwiach hotelu, kryjąc się przed strumieniami deszczu. Reflektory oświetliły na ułamek sekundy front budynku, a potem znów wszystko pograżyło się w ciemności.

Dookoła smukłej postaci Idiny jaśniał tylko mały kwadracik światła padającego z holu.

Giles potrząsnął głową.

- Dopiero co spędziłem trzy godziny, tłumacząc ci, że to jest to, czego pragnę. - Westchnął. - Przepraszam, muszę jechać. - Przerwał tylko na chwilę. - Czyż nie mówiłaś, Idino, że Damien czeka na ciebie, żeby cię zabrać na jakieś przyjęcie? - Obrzucił ją spojrzeniem pełnym pogardy. - Powiedziałbym, że to jest o wiele ważniejsze niż oczekiwanie na wiadomość, czy jakiś stary człowiek umarł

podczas burzy, prawda? - Nie patrząc już na nią, cofnął w pożyczony (tym razem od jednej z kelnerek) samochód i skręcił w kierunku podjazdu, krzywiąc się z powodu ostrego bólu w łokciu. Zobaczył w lusterku, że Idina nadal stoi na deszczu i patrzy za nim.

Dotarł do Shieling House, kiedy Liza i Beth wsiadały do samochodu pastora.

- Giles? - Beth spojrzała na niego, z nagłym ożywieniem i nadzieją.

- Gdzie jest Idina? Co się stało?

- Idina Wraca do Londynu - wyjaśnił lakonicznie. - Na dobre. Ja zostaję.

Gdziekolwiek będę ci potrzebny, kochanie. - Szybko ją przytulił.

Beth spojrzała na niego i uśmiechnęła się z niedowierzaniem. A potem wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. - O, Giles...

- Chodźcie już oboje. - Ken odgarnął wilgotne włosy z czoła i uśmiechnął się do nich. - Jeśli przewidujecie jakąś uroczystość, proponuję odłożyć to na później. Zatrzymali się na plebanii. Moira przygotowała im termosy z gorącą zupą i dwa plecaki, jeden duży, drugi mały, i wszystkie latarki, jakie udało jej się znaleźć. Była już ubrana w mocne sportowe buty, grubą pikowaną kurtkę i szalik. Ken popatrzył na nią zaniepokojony.

- Jesteś pewna, że chcesz z nami jechać?

- Jakżebym mogła nie jechać? - Stała na palcach, żeby go pocałować. - Bardzo lubię starego doktora Craiga. I nie martw się. Zadzwońłam na policję i przedstawiłam im sytuację. Jeśli będziemy mieli jakieś kłopoty, przyjadą albo wezwą na pomoc górskie pogotowie ratownicze.

Zaparkowali samochód na boczniczy kolejowej u stóp biegnącej po stoku ścieżki. Trochę skrzywiony drogowskaz stojący między jeżynami wskazywał kierunek w górę po stoku i informował, że ścieżka prowadzi do kamienia - symbolu i jeszcze pół mili dalej. Gdzieś poza zasięgiem wzroku, z prawej strony, Beth słyszała szum strumyka, który spływał kaskadami z urwiska. Drzewa czepiające się stromej ścieżki oplecione były girlandami ociekającego wodą porostu. Stopy ślizgały się na mokrej skale, a wycie wiatru zagłuszało wszystkie dźwięki oprócz szumu wody. Ścieżka prowadziła tuż przy korycie strumienia, nad wąwozem,

między drzewami i wiła się dookoła skalnych odłamów; biegła coraz bardziej stromo i w końcu musieli szukać między splątanymi korzeniami drzew występów skalnych, stanowiących oparcie dla stóp. Huk wody był ogłuszający, gdyż potok wezbrany przez ulewę tworzył na skałach wodospady i katarakty. Kiedy idący na czele Ken zgasił na chwilę swoją latarkę, nadal widzieli świecąca białą plamę spienionej wody i czuli drżenie ziemi pod stopami. Błyskawica zamigotała między drzewami i Beth się wstrząsnęła. Spojrzała na plecy Kena, błyszczący) przeciwdeszczowy skafander i plecak. Pastor kierował latarkę na ścieżkę, aż promień światła gubił się między gęsto rosnącymi drzewami. Zanim wyruszyli, Ken rozdał wszystkim latarki i zapasowe baterie, a także ciepłe wełniane szaliki. Bezskutecznie próbował namówić Lizę, żeby została w samochodzie.

Beth posuwała się z trudem. Była czujna, wszystkie nerwy miała napięte, od czasu do czasu oglądała się za siebie, żeby sprawdzić, czy Liza nadal idzie obok Moiry, ale wiedziała, że jej babka, mimo prawie siedemdziesięciu lat, nie żartowała mówiąc, że jest sprawniejsza od nich wszystkich.

Giles, potykając się na piargach, dogonił Beth i wziął ją za rękę. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się z wdzięcznością; przy nim czuła się bezpieczniejsza. Za nimi Moira ze swoim małym plecakiem wypchanym kawą i kanapkami też potykała się na stromej ścieżce. Zaczekali na nią i na Lizę, oświetlając stromy stok.

- Wszystko w porządku? - Słowa Gilesa zagłuszył ryk wodospadu. Moira uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego. Skinęła głową.

- W porządku.

Nagle zerwał się wiatr, silniejszy niż dotychczas, i Beth potknęła się na luźnych kamieniach osypiska. Wychodzili teraz spoza drzew i zrobiło się chłodniej. Ken zatrzymał się i czekał na nich.

- Wszyscy sobie jakoś radzą? Musimy przejść trochę dalej i tam jest trochę bardziej stromo. Zrobimy sobie przerwę, żeby odsapnąć? - Zgasił latarkę, chcąc oszczędzić baterię, i przez chwilę stali wszyscy razem.

- Co zrobimy, jeśli go tam zastaniemy? - spytała Liza, starając się przekrzyczeć wycie wiatru.

- Jeżeli będziemy potrzebowali pomocy, żeby go sprowadzić na dół, zadzwonimy na policję.

Potknęła się i zatoczyła na niego pod kolejnym gwałtownym podmuchem wiatru.

- Lepiej idźmy dalej! - krzyknął głośno Ken, starając się, żeby go usłyszeli.

- Nie podoba mi się ta pogoda. Nie chcemy się przecież przeziębnić... Idziemy!

Ruszyli dalej, teraz bardziej zwartą grupą; latarki oświetlały ledwie Widoczny szlak biegnący po skałach i wrzosach. Jasne kręgi światła wokół nich wyławiały z mroku tylko najbliższe fragmenty otoczenia, toteż kiedy Beth spojrzała w górę, gdzie porywisty wiatr był silniejszy i padał deszcz ze śniegiem, nie widziała kompletnie nic. Potknęła się i omal nie upadła.

Liza podtrzymała ją za ramię.

- Dobrze się czujesz?

Beth pokręciła przecząco głową. Coraz bardziej się bała. Tam, w ciemnościach, coś czekało, obserwowało ich; czuła to teraz bardzo wyraźnie. Pochwyciła wzrok Lizy i dostrzegła jej uspokajający uśmiech. Chciała krzyknąć, ale słowa zamierały jej na ustach. Ken już poszedł dalej, bez nich, i teraz pragnęła jedynie go dogonić.

- Są niedaleko - szepnęła Liza. - Chodźmy.

Beth otuliła się szczelniej płaszczem i zmusiła, by iść dalej. Giles szedł tuż koło niej. Cokolwiek to było, nie podchodziło bliżej. Tym razem to Liza się zatrzymała. Pochyliła się, łapiąc oddech.

- Przepraszam. Kolka. Idziemy odrobinę za szybko, nawet dla mnie. Ken czekał, wyważając wzrok w ciemność, poza niewielki krąg światła. Wtedy poczuła to Liza. Wyprostowała się i rozejrzała dookoła. - Ktoś tu jest.

- Co? - Ken rozglądał się także. - Gdzie?

Liza zgasiła latarkę i gestem dała znać, żeby inni zrobili to samo.

- Czuję, że ktoś nas obserwuje. - Adam?

Pokręciła głową.

- Krzyknę...

- Nie! - Zacisnęła rękę na jego ramieniu. - Nie rób tego. Nie wiemy, kto albo co to jest. - Obróciła się powoli dookoła, wpatrując się w ciemność. - Ktokolwiek to jest, nie chce, żebyśmy wiedzieli o jego obecności tutaj.

- Skąd pani wie? - zapytał Ken szeptem prosto do jej ucha. Wzruszyła ramionami.

- Kobieca intuicja. Instynkt. To nie jest Adam.

- Czy to Brid? - Beth przysunęła się do nich. Czowała lodowaty dreszcz przebiegający jej po plecach. Giles objął ją zdrowym ramieniem.

- Nie sądzę. Nie pytajcie mnie, skąd to wiem. Jak daleko jest do tego kamienia?

Ken rozglądał się dookoła.

- Łatwiej będzie się zorientować, gdzie jesteśmy, kiedy zgasimy latarki. Między tymi chmurami, na tle gwiazd, widzicie w oddali wysoki szczyt Ben Dearg. Myślę, że jesteśmy już blisko tego krzyża. Mamy szczęście. Teraz jest tu prowadząca do niego ścieżka. Nie tak dawno nikt tam w ogóle nie chodził.

- Z wyjątkiem Adama - wtrąciła Beth spokojnie. Liza skrzywiła się.

- Powiedział pan: krzyż. - Pociągnęła Kena za płaszcz. - Nie chodzi nam o krzyż! Szukamy symbolicznego kamienia Piktów.

Skinął głową.

- Słusznie. Z przodu jest celtycki krzyż, a z tyłu symbole piktyjskie. - Uśmiechnął się do niej wesoło. - Już niedługo. Obiecuję, że sama pani zobaczy. - Odwrócił się szybko, gdyż nagle błyskawica rozświetliła horyzont. - Mam nadzieję, że to nie ci pogańscy Piktowie wkraczają do akcji. Kiedy święty Columba przybył do Inverness, żeby nawrócić króla Brude'a, jego druid wywołał burzę, żeby wystraszyć świętego. A przynajmniej próbował. Sądzę, że to nie poskutkowało, ponieważ moc Chrystusa była o wiele większa.

- To był Broichan - powiedziała wolno Beth, ocierając krople deszczu z oczu. - Słusznie. Broichan. - Ken popatrzył na nią zdziwiony.

- Widzę, że studiowałaś książki swego dziadka. - Odwrócił się i ruszył przodem, popatrując na wszystkich w ciemności. Liza i Beth zapaliły latarki i

ruszyły za nim.

Gdy weszli wyżej, burza się nasiliła. Błyskawice oświetlały odległe szczyty gór dookoła i w końcu usłyszeli grzmot przetaczający się przez pobliskie wzgórza. Beth, próbując opanować lęk, zmuszała się, żeby iść dalej. Cokolwiek ich obserwowało, czekało tutaj nadal, była tego pewna, a kiedy spostrzegła, że idąca obok Liza szybko ogląda się przez ramię, wiedziała, że babka czuje to samo.

Liza dotknęła jej dłoni.

- Już niedaleko, kochanie. On tam będzie. Czuję to.

Idący przed nimi Ken znów się zatrzymał. Oświetlał latarką drogę przed sobą i dookoła.

- Ścieżka zniknęła. Nie widzę jej. Ten paskudny deszcz ze śniegiem zatarł wszystko.

Przed nimi, we wszystkich kierunkach, jak daleko sięgało światło latarki, była jedynie trawa i wrzosa. A dalej już tylko ciemność. Beth zadygotała.

- Znajdziemy go. Nie martw się. - odezwał się Ken pocieszająco.

- A jeśli nie znajdziemy, to co? - Rozglądała się dookoła, oświetlając własną latarką szerszy krąg wokół siebie. - A jeśli dziadek też nie mógł znaleźć drogi? Robi się coraz zimniej. Może zablądził? Może wszyscy zablądziliśmy?

- Nie zablądziliśmy, Beth - powiedziała Liza nadal pewnym głosem. - Nie martw się. To już blisko. Jestem o tym przekonana.

Ken zrobił jeszcze kilka kroków i znów się zatrzymał. Podniósł latarkę nieco wyżej i wydał okrzyk triumfu.

- Widzę go! Tam!

Ogromna kamienna płyta, czarna od deszczu, widniała przed nimi jak wielki wyszczerbiony ząb, oświetlona migoczącym światłem latarek, i nawet z miejsca, w którym stali, zobaczyli ód razu, że ktoś albo coś kuli się u jej stóp.

Sama, w ciemnościach, Brid rozglądała się dookoła. Nie wiedziała, gdzie się znajduje. Smagał ją wiatr, słyszała deszcz szumiący w liściach drzew. Czowała się zagubiona. Błyskawica oświetliła wszystko dokoła i Brid poczuła przypływ energii, ale w ciągu sekundy ta energia ją opuściła, i znów była

słaba w tę długą ciemną noc. A-dam był tu gdzieś w pobliżu. Słyszała, jak ją woła. Rozpaczliwie pragnęła dotrzeć do niego, ale nie mogła.

Czuła, że Broichan jest blisko. Szukał jej, jego umiejętności były o wiele większe niż jej, jego siła nie do pokonania. Kiedy ją dopadnie, zabije. Zabije także A-dama.

Był tu jeszcze ktoś: ten nieznajomy Walijczyk, który podążał za Broichanem przez przestrzenie czasu. Zbliżał się coraz bardziej.

Obróciła się wolno. Wiatr rozwiewał jej włosy, czuła tę ciemność. Jeśli burza się przybliży, ona stanie się silniejsza. Jej ciało, to ciało, które leżało na posłaniu, więzione przez Broichana, w dzień stawało się słabsze.

Dla Broichana zabicie jej ciała bez zabicia duszy nie miało żadnego znaczenia. Więc utrzymywał je przy życiu, zatrudniając najlepszych uzdrowicieli, którzy karmili Brid chlebem, mlekiem i winem, aż jej duch powracał z poszukiwań na przestrzeni wieków. Powrót na to posłanie będzie oznaczał śmierć z ręki Broichana.

Miała zamęt w głowie. Jej umysł nie działał normalnie. O wszystkim zapomniała, pamiętała tylko jedno, i to był rozkaz: Musi odnaleźć A-dama i połączyć z nim. Ale on znowu odszedł. Nie. było go w domu ani w samochodzie, ani w żadnym takim miejscu, w którym mogłaby do niego dotrzeć, a gdzie indziej poza tymi miejscami inni ludzie także go szukali. Szukali i zabiorą go jej właśnie teraz, kiedy się dowiedział, że musi do niej wrócić, kiedy muszą się spotkać przy tym kamieniu.

Czekała, kiedy znowu błyskawica oświetli wszystko dokoła, tchnie w nią energię, przywróci jej siłę. A-dam był blisko. Gdyby mogła do niego dotrzeć, zabrałaby go ze sobą w tę ciemność, i wtedy mogliby już być zawsze razem, pozbawieni krępujących ich ciał.

Istniało oczywiście jeszcze jedno źródło energii. To, które natychmiast i całkowicie ją ożywiało. Przelanie czyjejś krwi. To nie wymagało żadnego wtajemniczenia, żadnego szkolenia u druidów. Przekonała się o tym sama, że przechodzi w nią energia uwolniona przez śmierć. Tu blisko, koło tego kamienia,

czuła obecność ludzi, którzy chcieli jej odebrać A-dama. Wtedy nóż pojawił się w jej dłoni, a jej błądzący umysł zdał sobie sprawę, kim są ci ludzie, te dwie osoby, które stały pomiędzy nią i A-damem. Ta kobieta, Liza, i dziecko dziecka A-dama, Beth. Powinny umrzeć, żeby ona i A-dam mogli żyć.

- Czy on jeszcze żyje? - Pięć postaci pochyliło się nad Adamem i oświetliło go latarkami. Zobaczyli jego bladą twarz, przemoczone ubranie, zamknięte oczy. Skórę miał lodowato zimną. Ken dotknął jego szyi poniżej ucha, starając się wyczuć puls. Podniósł wzrok, strząsając deszcz z powiek.

- Wyczułem jedno uderzenie. Żyje. Ale ledwo.

Zaczął ściągać kurtkę, ale Liza położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie ma sensu, żebyś ty także umarł z zimna, Ken. Kurtka jest ci potrzebna. Popatrzył na nią i skinął głową. Postawił na ziemi plecak i otworzył go.

- Pomóż mi go owinąć. Masz, Beth - szukał czegoś nerwowo w kieszeni mokrymi palcami. - Weź telefon. Zadzwoń na policję. Będziemy potrzebowali pomocy, żeby go stąd znieść.

Beth wzięła od niego telefon. Ken, Moira i Giles krzątali się wokół Adama w świetle dwóch latarek, które Liza trzymała nad nimi. Ken wyjął z plecaka chemiczne ocieplacze i wetknął Adamowi pod koszulę, pod marynarkę, pod pachę i w pachwinę. Potem owinęli go w cienki jak opłatek koc. Palce im się ślizgały, kiedy mocowali go na nim; wreszcie Ken sięgnął po jasnopomarańczowy ochronny śpiwór.

Oni pośpiesznie próbowali rozgrzać Adama, a tymczasem Beth, odwrócona tyłem do wiatru, naciskała maleńkie guziczki telefonu. Palce jej się ślizgały, kiedy wybierała numer.

- Nie mam sygnału. - W panice spróbowała jeszcze raz, odsuwając się bardziej od całej grupy. - Ken, nie mogę się dodzwonić. - Powoli się odwróciła i odsunęła jeszcze dalej, zastanawiając się, czy kamień może powodować zakłócenia w odbiorze.

Ken, Giles, Liza i Moira, zajęci Adamem w niewielkim kręgu światła latarek, nie słyszeli jej. Wiatr próbował wyrwać im z rąk opatulonego Adama, który

wydawał się piekielnie ciężki. Głowa opadała mu w tył, oczy miał nadal zamknięte.

Ukryta wśród drzew Brid obserwowała to wszystko, mocno zaciskając nóż w rękę. Adam jest chory. Wyciągnęła rękę w ciemności.

A-dam, co się stało? A-dam, chodź do mnie.

Nie odpowiadał. Nie była wystarczająco silna.

- Halo? - Beth wybrała numer i starała się mimo ryku wiatru, dosłyszeć sygnał. - Halo? Prosimy o pomoc. Znaleźliśmy go przy krzyżu. Jest nieprzytomny. Bardzo ciężko chory. Halo? Czy ktoś mnie słyszy?

Kenowi i Gilesowi udało się w końcu wepchnąć stopy Adama do śpiwora. Powoli, z trudem, dźwignęli jego zimne ciało. Liza rozcierała mu rękę, by je rozgrzać. Posadzili go ostrożnie opartego plecami o kamień i ukłękli obok, żeby go osłonić przed wiatrem i zacinającym deszczem ze śniegiem. W końcu Giles podniósł głowę.

- Beth? Dodzwoniłaś się? - Wpatrywał się w strugi deszczu. - Beth, gdzie jesteś? - podniósł głos.

Ken spojrzał na niego.

- Co się stało?

- Gdzie ona jest? Nie widzę jej.

Ken wstał i skierował światło latarki w stronę drzew. Liza i Moira nadal podtrzymywały Adama.

- Zostań tu. Nie odchodź - polecił Gilesowi. Rozejrzał się dookoła, mrużąc oczy w deszczu. Trząsł się z zimna. Zatoczył światłem latarki ogromne koło, przeklinając, bo baterie już się wyczerpywały. Powinien pójść po nowe, które miał w plecaku, ale jak najdłużej nie chciał ich zmieniać. - Beth, gdzie jesteś?

Szkockie sosny rosły gęsto po tej stronie grzbietu. Ken zaniepokojony spoglądał na Gilesa. Dlaczego nie widzą światła latarki? Czy wyczerpała jej się bateria?

- Beth! - krzyknął Giles ze wszystkich sił, ale wiatr porwał to słowo z jego ust i poszarpał na strzępy, zanim ktokolwiek zdołał je usłyszeć. Giles obejrzał się na Lizę. Trzymała w ramionach Adama i kołysała go lekko, chcąc użyczyć swego

ciepła jego zimnemu, przemokniętemu ciału. Giles znowu powiódł wzrokiem dookoła i postąpił kilka kroków w kierunku drzew.

- Beth!

Ken szedł za nim. Teraz, kiedy wstał i wiatr uderzył weń całą siłą, nagle poczuł się bardzo zmęczony. Zatrzymał się. Nie powinien był pozwolić im wszystkim przychodzić tutaj. Powinien był pozostawić to profesjonalistom. Ale ilekroć bywał tutaj przedtem, pogoda była ładna, ścieżka wyraźna, pejzaż oszałamiający, doskonała widoczność we wszystkie strony. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo stroma jest ta ścieżka ani jak wyboisty jest ten teren. Beth mogła się potknąć i upaść. Albo zabłądzić wśród drzew. Mogła się pośliznąć i ugrzęznąć w bagnie albo spaść z jakiegoś urwiska, a było ich tu sporo - wszystkie niebezpieczne, poszarpane.

- Beth! - krzyczał Ken coraz głośniejszym głosem i czuł, jak chłód przenika jego ciało do kości.

I nagle ją zobaczył. Ledwo widoczny błysk latarki, słabiutki promień światła między drzewami. Trzymała rękę przy uchu, wciąż starała się dodzwonić, połączyć się z patrolem policji w tej szalejącej wichurze.

- Beth! - Ken skierował na nią promień światła. Jego latarka wreszcie oświetliła jasnozielony żakiet i bladą twarz dziewczyny, smaganą powiewającymi na wietrze włosami. Giles ruszył ku niej szybko. Już był bardzo blisko, gdy usłyszał ten pomruk pośród drzew.

Beth opuściła rękę z telefonem i zaczęła się wpatrywać w miejsce, skąd dochodził głos.

- Słyszałeś?

- Chodźmy stąd. Powoli. - Wyciągnął ku niej rękę, jednocześnie kierując promień światła latarki w gąszcz sosen. - To nie może być ten sam. To niemożliwe.

- Możliwe. To jest Brid. Przyszła po Adama. - Beth oddychała ciężko, mocno ściskając telefon. - O Boże, gdzie ona jest? Nie widzę.

Giles pochylił się ku niej i chwycił ją za łokieć.

- Tędy. Z dala od drzew. Nie biegnij.

Promień światła latarki był coraz słabszy. Giles obejrzał się. Ken stał i czekał na nich, oświetlając im drogę. Za nim, przy kamieniu, Liza i Moira nadal kołysały Adama, nie zdając sobie sprawy z tego, co się dzieje. Nie mieli niczego, co mogłoby im posłużyć do obrony, z wyjątkiem ciężkiej latarki.

- Ken! - zawołała Beth cicho. - Pomóż nam. - Kiedy oboje z Gilesem zbliżali się ostrożnie do pastora, rozległ się jeszcze jeden pomruk. Ken się obejrzał. A więc usłyszał go. - Ken! Uważaj! To nie jest zwyczajny kot. - Beth wpatrywała się bacznie w drzewa. - Jeśli znasz jakąś naprawdę skuteczną modlitwę, powinienes ją teraz odmawiać - powiedziała drżącym głosem.

- Co masz na myśli, mówiąc, że to nie jest zwyczajny kot? - Wiatr porywał słowa z jego ust.

Powoli, spokojnie Giles odciągał Beth od drzew.

- Miałam na myśli, że to jest kobieta, niegodziwa czarownica. Proszę, uwierz mi. Po prostu użyj swej mocy, jeśli jakkolwiek posiadasz jako kapłan, i odpędź ją.

- Beth podnosiła coraz bardziej głos i zaczynała wpadać w histerię. - Ona nas zaatakuję. Robiła to już przedtem. Chce mnie zabić.

Giles objął ją mocniej.

- Chodź. Wracajmy szybko do nich. Nie pozwolę, żeby cię tknęła. Mruczenie rozległo się znowu, bliżej, chociaż nie mógł nic dostrzec

w coraz słabszym świetle.

- Chodź. Szybko. - Zaczął biec, ciągnąc Beth za sobą, po nierównym gruncie, po wrzosach i po kępach trawy. Tuż za nim biegł Ken.

Za ich plecami kot zeskoczył z drzewa. Beth krzyknęła. Giles obrócił się i zasłonił ją sobą w chwili, gdy zwierzę się na nich rzuciło. Uwolnił rękę z temblaka i oburącz cisnął latarką w mordkę zwierzęcia. Usłyszał trzask kości, a po nim wycie bólu.

Kot zniknął.

Drżąc, z rękami śliskimi od deszczu i krwi, Giles rozglądał się dookoła w ciemności. Latarki nie było nigdzie widać. Czekał, oddychając ciężko, i nasłuchiwał w skupieniu. Gdzie on jest? Czyja go zabiłem?

Nagle z jego lewej strony rozblęsnęło jakieś światło.

- Giles? - Głos Beth był bardzo niepewny. - Nic ci nie jest? - Skierowała światło latarki na niego, a potem dalej, na drzewa. I nagle, na ułamek sekundy, zobaczyli postać kobiety. Trzymała ręce przy twarzy. Kiedy padło na nią światło, popatrzyła na nich i poruszyła palcami. Dostrzegli, że z czoła, spod długich, ciemnych włosów cieknie jej krew. Widzieli też przerażone, pełne udręki oczy i usta otwarte z bólu. Latarka Gilesa mignęła jeszcze raz i zgasła.

- Dobry Jezu! - Ken wpatrywał się w miejsce, gdzie widzieli kobietę. - O mój Boże! Co pan zrobił?

- Ocalił nam życie. Może. - Beth chwyciła rękę Gilesa i ścisnęła ją mocno.

- Chodźmy. Szybko. Nie czekajmy. Wracajmy do nich.

- Ale ta kobieta - Ken oglądał się przez ramię.

- Zostaw ją. - Beth znów była bliska hysterii. - Wracajmy do Lizy, proszę. Kiedy szli w kierunku kamienia, Ken nagle zachwiał się i zatrzymał.

- Co się stało? Dobrze się czujesz? - Giles czekał na niego zaniepokojony.

- Doskonale. To tylko kolka. - Ale nagle pot wystąpił mu na czoło. A jednocześnie poczuł straszny ból w piersiach i lewym ramieniu.

- Ken? - Beth natychmiast podeszła do niego i z twarzą przy jego twarzy spytała: - No, co się stało? Dasz radę dojść do kamienia? - Błyskawica na chwilę oświetliła bladą twarz Kena i Beth dostrzegła cierpienie w jego oczach.

- Wszystko w porządku. Tylko pozwólcie mi przez minutkę odpocząć. - Ale ból był coraz dotkliwszy. Ken nie mógł oddychać.

- Jesteśmy prawie na miejscu, stary. - Giles objął go ramieniem. - Jeszcze tylko kilka kroków. - Zerknął do tyłu w ciemność, ale nie dostrzegł tam żadnego ruchu.

Krok za krokiem prowadził Kena, a właściwie chwilami go niósł, chwilami popychał, przerażony, że chory zaraz upadnie. Beth szła tuż za nimi, oglądając się co kilka sekund przez ramię. Ken zamknął oczy.

- Przepraszam was. Nie wiem, co mi się stało. - Starał się uśmiechać. Nie uszło jego uwagi, że Liza, o ironio, jest od niego przynajmniej dwadzieścia pięć lat

starsza. Zaciskał zęby z bólu. Starając się to ukryć, zamknął na chwilę oczy.

- Byłeś fantastyczny. - Beth ścisnęła go za ramię. - Tylko oddychaj powoli i spokojnie. Zaraz poczujesz się lepiej. - Badała wzrokiem cienie między drzewami, które zostawili za sobą. - Najgorsze już za nami. Kiedy dotrzemy do kamienia, zdecydujemy, co robić dalej.

Wreszcie dotarli na miejsce, Giles posadził ostrożnie Kena obok Adama.

- Co się stało? - zapytała ostro Moira.

- Nic. - Ken zmusił się do uśmiechu. - Głupia kolka, to wszystko. Za chwilę poczuje się lepiej. Giles. W plecaku. Tam są nowe baterie do latarek.

Patrząc na Kena wzrokiem pełnym niepokoju, Giles ukląkł obok Lizy i drżącymi rękami zaczął grzebać w plecaku.

- Żbik nas zaatakował. - Przez chwilę wytrzymał jej spojrzenie, a potem zerknął na Adama. - Dzielnie się trzyma?

- Na razie. - Liza patrzyła na niego przerażona. - Nic wam się nie stało? - Oświetliła go latarką i zobaczyła krew. - O mój Boże! Zraniła cię.

- To tylko zadrapania, większość z nich to jej dzieło. Ale ja ją zraniłem paskudnie.

Giles drżącymi rękami włożył nowe baterie do swojej latarki i zapalił ją. Skierował światło na Adama i wsunął rękę do śpiwora, żeby zbadać mu puls.

- Jest bardzo słaby, Beth. A telefon... dodzwoniłaś się? Rozejrzała się dookoła.

- Gdzie on jest? O, nie! Musiałam go upuścić, kiedy ten kot nas zaatakował! O Boże! Tak mi przykro! Co my teraz zrobimy? - Rozglądała się dookoła.

Giles przygryzł wargę.

- To nie ma znaczenia, jeśli się nie dodzwoniłaś.

- Nie wiem. Nie wiem, czy się dodzwoniłam. Wydawało mi się, że nie słyszę sygnału, i coś trzeszczało, a wiatr i deszcz tak zagłuszały wszystko, że nie usłyszałam, czy ktoś się odezwał. Och, Giles, tak mi przykro. Pójdę i poszukam tego telefonu.

- Nie możesz. - Liza była nieugięta. - Nie możesz tam wrócić, dopóki to

stworzenie nadal czai się gdzieś tutaj, a telefon i tak jest na nic, skoro leżał na deszczu. Nie ma sensu go szukać. Giles wstał.

- Niestety, jest sens. To jedyna nadzieja dla Adama. - Spróbował przebić wzrokiem panujące dokoła ciemności. - Ja pójdę. A wy wszyscy zostańcie tutaj.

- Nie znajdziesz go. Wykluczone, Giles. W tym błocie i w tym mokrym wrzosie? - powiedziała Liza. - Nie bądź niemądry.

- Muszę spróbować. - Uśmiechnął się do niej. - Nie martw się. Będę miał oczy szeroko otwarte. Tym razem mam dobrą latarkę. Znajdę ten telefon.

Trzy kobiety patrzyły, jak Giles idzie tą samą drogą, którą one szły wcześniej, świecąc latarką na ziemię pod nogami, a potem na drzewa. A obok Ken leżał w ramionach Moiry, zaciskając zęby z bólu.

- Jestem taka głupia - Beth ukłękła obok Lizy. - O Boże, to straszne. - Zerknęła przez ramię. - Nie będziemy jej widziały, jeżeli podkradnie się w ciemności, prawda?

- Nie. - Liza kołysała Adama opartego na jej ramieniu. - Nie będziemy widziały.

- To moja wina. Gdybym nie upuściła tego telefonu...

- Beth, nie zrobiłaś tego celowo. Nikt cię nie obwinia. - Liza zgasła latarkę. Przeniknął ją dreszcz. - Lepiej oszczędzajmy baterie i przyzwyczajajmy oczy do ciemności. Dzięki temu będziemy miały większe szanse ją dostrzec. -

Przypomniała sobie Meryna, pomyślała o jego sile, o otaczającej ich wszystkich w wyobraźni barierze nieprzeniknionego światła.

Tuliły się do siebie i od czasu do czasu dostrzegały w oddali błysk latarki Gilesa, który systematycznie penetrował okolicę w pobliżu sosen. Od czasu do czasu kierował promień światła ku górze, omiatając nim szybko przestrzeń ponad sobą, jakby chciał sprawdzić, czy nikogo tam nie ma.

- Czy ona zaatakuje nas znowu? - Beth przysunęła się bliżej do Lizy. Liza potrząsnęła głową.

- Nie wiem. - Delikatnie położyła rękę na czole Adama. - Gdzie on jest, Beth? Jeśli odszedł w jej czas, dlaczego jej tam z nim nie ma? Dlaczego nadal jest

tutaj?

Beth wpatrywała się w twarz starego człowieka. Oczy miał zamknięte, skórę bladą i wilgotną od deszczu i śniegu. Wyraz twarzy pogodny, bez żadnych oznak wewnętrznej walki.

- Myślisz, że on się przeniósł w inny czas? - Beth mówiła cicho, tak żeby Ken i Moira nie mogli usłyszeć.

Liza skinęła głową.

- Myślę, że tak, ale może się pomylił. Może udał się w niewłaściwe miejsce albo trafił w niewłaściwy czas. Och, Beth, skąd my możemy wiedzieć? - Patrzyła w kierunku, gdzie migotała latarka Gilesa. - Być może Brid mogłaby mi to powiedzieć, gdyby nie była taka pochłonięta myślą o tym, by nas zabić.

- Nie widzę go. - Beth także szukała wzrokiem odległego światełka latarki Gilesa. W jej głosie był paniczny lęk. - Lizo, nie widzę go.

Liza w napięciu rozglądała się dookoła.

A-dam. Gdzie jest A-dam?

Usłyszała te słowa gdzieś z głębi czaszki.

- Nadal go nie widzę! - Beth ukłękła.

- Zaczekaj. - Liza położyła rękę na ramieniu Beth. - Posłuchaj.

- Co to?

- Usłyszałam głos. Jej głos.

- Głos Brid? - Beth wypowiedziała szeptem to imię. Obie kobiety nasłuchiwały, starając się wyłowić ten głos z wycia wiatru i szumu deszczu.

A-dam.

- Słysząc. - Liza znów chwyciła Beth za ramię. - Słyszałaś? Postać była ledwie widoczna. Liza potrząsnęła głową, strząsając krople deszczu z twarzy, i popatrzyła znowu. Tak, tam, na progu całkowitej ciemności majaczyła jakaś jeszcze ciemniejsza postać, niewiele wyraźniejsza niż cień. Długie włosy stanowiły jakby część samego deszczu. Liza przełknęła z trudem ślinę.

- Brid? - zawołała. Czowała, że Beth sztywnieje z przerażenia. - Brid, my

także zgubiłyśmy Adama. Pomóż nam go odnaleźć. - Wstrzymała oddech. Czyżby ten cień się zbliżał? - Proszę cię, Brid. On się zgubił. Wszyscy go kochamy. Pomóż nam go odnaleźć.

Teraz postać była zdecydowanie bliżej. Przerażone kobiety mogły już rozróżnić szczegóły jej płaszcza, dostrzegały srebrną, spinającą go broszę, widziały długie włosy, teraz osłonięte kapturem, bladą twarz o regularnych rysach, świeżą, jeszcze krwawiącą ranę nad nosem, oczy bez wyrazu i zacięte usta. Wydawało się, że Brid nie patrzy na nie ani na Adama, tylko gdzieś pomiędzy nimi w ziemię.

A-dam!...

Jej usta się nie poruszały.

A-dam! Kocham cię.

Stała w odległości około pięciu metrów od nich, oczy utkwiała teraz w Beth.

- Wszyscy go kochamy, Brid. - Liza starała się zachować spokój.

Wstrzymała oddech, kiedy postać podeszła bliżej. I nagle, bez ostrzeżenia, Brid rzuciła się na nie i obie w tej samej chwili zobaczyły w jej ręce śmiertelny nóż o długim ostrzu. Beth krzyknęła, zepchnęła Lizę ze ścieżki i jej oczy znalazły się zaledwie centymetry od pełnych furii oczu napastniczki. Beth uniosła ramię, próbując się osłonić przed ciosem. I wtedy usłyszała obok siebie głos:

- W imię Chrystusa, odejdz! - Ken usiadł i drżącą ręką kreślił w powietrzu znak krzyża.

Brid się zawahała. Nadal ścisnęła w ręce nóż, ale nie atakowała.

- W porządku. Jestem tutaj - Giles widział to wszystko. Przebiegł kilka ostatnich metrów ku nim i zdyszany wyciągnął ręce w kierunku Brid.

- Zostaw je w spokoju, ty więdźmo z piekła rodem! - Próbował odebrać jej nóż. Latarka zatoczyła łuk w powietrzu i upadła na ziemię żarówką do dołu, w mokry splątany wrzos. Giles bezładnie wymachiwał rękami.

A-dam!...

Ten żalostny krzyk wwiercał im się w mózgi.

A-dam, ocal mnie! Kocham cię.

Giles poczuł ukłucie ostrza, kiedy rozpaczliwie usiłował wyrwać nóż z ręki

Brid, ale był już wyczerpany. Nie mógł złapać tchu.

Beth podniosła się z ziemi. Sięgnęła po latarkę i pospiesznie oświetliła szerokim łukiem miejsce walki.

- W imię Chrystusa, odejdz! - Ken szlochał z bólu.

Giles i Brid walczyli, ich stopy ślizgały się po mokrej ziemi. W świetle latarki i od czasu do czasu w świetle błyskawic przecinających niebo Beth widziała błysk noża. Za nią Liza klęczała, trzymając nadal Adama w ramionach.

- Beth, nie!

- Muszę mu pomóc.

Przysunęła się bliżej walczących i uniosła ciężką latarkę, gotowa opuścić ją na głowę Brid, jeśli uda jej się podejść dostatecznie blisko. Słyszała szybki oddech Gilesa, wiedziała, że braknie mu tchu, widziała nóż tylko kilka cali od jego twarzy. Była już prawie przy nim, kiedy z ogłuszającym rykiem motoru, tworząc wokół siebie wir powietrza, w ciemnościach nad jakimś występem skalnym na wzgórzu zakołysał się helikopter i zawisł w powietrzu sześć metrów nad krzyżem, zalewając światłem cały teren.

Brid krzyknęła i upuściła nóż. Spojrzała w górę, jej włosy i płaszcz łopotały w wirze powietrza. Kiedy Beth i Giles się obejrzel, już jej nie było.

Rozdział dwudziesty drugi

Na zasadzie milczącego porozumienia ani Giles, ani Beth nie wspomnieli o ranach od noża, kiedy helikopter z lekarzem wylądował na ziemi. Było oczywiste, że nie będzie mógł zabrać ich wszystkich, i to że Liza i Ken powinni odlecieć z

Adamem. Nieugięty duch Lizy nie osłabł, ale jej blada twarz i niepewne ruchy, kiedy udało jej się w końcu wstać, bardzo zaniepokoiły Beth.

Kiedy obserwowali, jak maszyna wznosi się w powietrze i kieruje na południe, Giles objął Beth ramieniem.

- Jestem, pewien, że Brid uciekła - szepnął. - Nie boisz się? - uśmiechnął się do niej.

- Nie boję - przytaknęła. Ale wiedziała, że to nieprawda.

Bezzwłocznie wyruszyli w drogę, oddalając się od krzyża z jego tajemniczymi rzeźbami. Nerwy mieli napięte do ostateczności. Każde z nich czekało, chociaż udawali, że się nie boją, kiedy pośród drzew rozlegnie się jakiś pomruk albo nóż błysnie w ciemnościach. Przed nimi mozolnie, ale z uporem posuwała się Moira, starając się nie myśleć o niespokojnym spojrzeniu i bardzo bladej twarzy męża oraz o tym, jak lekarz wziął ją za rękę, kiedy Kena na noszach dźwigano z ziemi.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał Giles, a potem się zatrzymał i zaczął na Beth, która nie mogła złapać tchu. Rękę miał znów na temblaku. Czuł ostry ból pod żebrami i wydawało mu się, że lewe ramię jest bez czucia.

Beth otarła z twarzy krople deszczu.

- Czy możemy chwilę odpocząć? Jesteś pewien, że idziemy właściwą drogą? - spytała. Za nimi nie słychać było żadnego ruchu. Gdy dotrą do drzew, przynajmniej będą mieli coś za plecami, nie tylko wielkie połacie wrzosowisk, piargi i ciemność.

Wreszcie dotarli do pierwszych drzew, gdzie szlak opadał ku modrzewiom i świerkom, uczepionym zbocza w wąskim wąwozie. Tam udało im się znaleźć porośnięty mchem pień powalonego drzewa, na którym mogli usiąść, opierając się o jakiś solidny gałąz, i odetchnąć.

Moira uśmiechnęła się do nich niepewnie.

- Byłam tutaj wiele razy. Nie martwcie się. Łatwo trafić, nawet po ciemku. Czy mam iść pierwsza? - Włosy wysunęły jej się spod chustki i twarz Moiry okalała zmierzwiona masa lśniących od deszczu loków.

Giles zatoczył duży krąg światłem latarki halogenowej, który dał mu lekarz z

helikoptera, i pokiwał głową.

- Gdy dojdziemy do potoku, będziemy mogli iść brzegiem. Wtedy będzie łatwiej, prawda? - Uśmiechnął się do nich, spokojny i pewny siebie. - Głowy do góry!

Powoli szli po śladach, zatrzymując się często na odpoczynek. Raz Beth obejrzała się na Gilesa i dotknęła jego ramienia.

- Dobrze się czujesz?

- Oczywiście - kiwnął głową i spojrzał na niebo. Błyskawice nadal rozświetlały ciemność między chmurami, chociaż piorunów nie było słychać. Burza oddalała się na północ.

- Czuję się doskonale. - Ale modlił się w duchu: Daj nam siłę, byśmy wrócili. Nie dokonamy tego bez Twojej pomocy. I proszę, trzymaj tę czarownicę z dala od nas. Pomyślał, że teraz uda mu się odnaleźć ścieżkę wśród wrzosów: ciemniejszy pas błotnistej ziemi i skał. To tędy latem bez przerwy chodzili turyści od drogowskazu do kamienia na wzgórzu.

Nie był pewien, co sprawiło, że się obejrzał. Jakiś instynkt, o którym nie wiedział, dał o sobie znać z taką siłą, że Giles, jeszcze zanim się odwrócił, już podniósł latarkę. W ułamku sekundy ujrzał Brid tak blisko za nimi, że powinien był ją słyszeć. Usłyszałby na pewno, gdyby wydała jakiś dźwięk. Wytrącił jej nóż z ręki.

Brid zatrzymała się, Giles zobaczył, że się chwieje, i na jego oczach zaczęła znikać; po chwili już jej nie było.

- Giles! - krzyknęła Beth. - Nic ci nie jest?

- W imię Jezusa! - Moira szła, ślizgając się na pokrytych błotem skałach. - Tak powiedz, jeśli ona znów się pokaże. W imię Jezusa. - Zatoczyła koło promieniem światła swojej latarki. - Gdzie jest ta latarka? Co się z nią stało? - Jej głos brzmiał histerycznie. - Upuściłem ją. - Giles oddychał ciężko. - Pewno zgasła. - Ręce mu drżały. - O Boże, mam nadzieję, że się nie stłukła.

Brid pojawiła się wystarczająco blisko niego, by mógł dostrzec poszarpaną ranę na czole i dziwne, błędne spojrzenie oczu, utkwionych nie w nim, tylko w idącej za nim Beth. Zdjął z ramion plecak Kena i starając się opanować lęk,

gorączkowo przeszukiwał zmarzniętymi palcami szorstkie brezentowe wnętrze, szukając drugiej latarki. Przy okazji znalazł gdzieś na dnie stary szwajcarski nóż wojskowy. Wsunął go do kieszeni i nadal szukał latarki. Nagle jego palce natrafiły na jakiś ciężki, kanciasty przedmiot. Wyciągnął go i przyjrzał mu się. Rakietnica! Dlaczego, na Boga, Ken nie przypomniał sobie o niej, kiedy myśleli, że Beth nie udało się dodzwonić na policję?

- Giles!

Zdławiony krzyk Moiry poderwał go na nogi. Serce waliło mu z przerażenia.

Brid była tu znowu, oddalona od nich tylko o kilka stóp.

Beth krzyknęła, ale zagłuszył ją głos Moiry. Niezwykła była ufność i wiara tej kobiety!

- W imię Jezusa, odejź, kobieto. Zostaw nas w spokoju. Idź stąd. - Moira postąpiła kilka kroków i wyciągnęła rękę do Brid.

- Moira, uważaj!

Okrzyk Gilesa nie odniósł żadnego skutku. Moira szła dalej.

Brid całą uwagę skupiła teraz na niej. Zmrużyła oczy. Nie tknęła pastora. Rozporządzał mocą zapewne równie potężną jak moc Broichana, chociaż ona tego nie czuła. Ale tu była jego kobieta. Nic nie znaczyła, nie posiadała mocy. Ale stała jej na drodze. W ręku Brid znów znalazł się srebrny nóż. Z lekkim uśmiechem podniosła go do góry i uderzyła.

Rozdzierający krzyk Moiry ucichł nagle, gdy krew trysnęła jej z gardła.

Brid poczuła przyływ mocy; trzymając ociekający krwią nóż, znów skupiła uwagę na Beth.

Sparalizowany widokiem tego, co się stało, Giles stał między ciałem Moiry a Beth. Wciąż trzymał w ręku rakietnicę. Znów uwolnił ramię z temblaka. Ledwie poruszał palcami, ale złamał lufę i wsunął do niej nabój, ani na chwilę nie odrywając wzroku od twarzy Brid. A ona postąpiła jeszcze krok do przodu i Giles dostrzegł jej dzikie, triumfalne spojrzenie. Wymierzył w nią rakietnicę i zaczął odciągać kurek.

- Giles, pomóż mi! - Beth wzięła z ziemi płaski kamień i trzymała go przed sobą. Była śmiertelnie przerażona. Brid uśmiechnęła się, podniosła rękę i oboje

zobaczyli błysk ostrza jeszcze splamionego krwią Moiry. Zaczęła się zbliżać do Beth.

Sprężyna była zbyt twarda. Zrozpaczony Giles mocował się z kurkiem, ręce miał śliskie i słabe. Ale to była ich jedyna szansa. Wycelował raketnicę prosto w Brid, ostatnim wysiłkiem odciągnął kurek i strzelił.

Kula rozpalonego magnezu trafiła Brid prosto w pierś. Przez chwilę jeszcze ją widzieli: całe ubranie trawiły płomienie, twarz była maską bólu i przerażenia - a potem zniknęła.

Kiedy rakietka zgasła, zapanowała całkowita ciemność.

- Ona mnie chciała zabić. - Beth zamknęła oczy. Czowała się tak, jakby miała zaraz zwymiotować. - Ocaliłeś mi życie. O Boże, Moira!

Przerażona rozglądała się dookoła, ale nigdzie nie widziała Moiry. Zdjęta paniką, szukała po omacku dookoła siebie latarki, którą upuściła. Wreszcie ją znalazła i pobiegła kilka kroków do tyłu. Moira leżała skulona na ścieżce.

- Moira, nic ci nie jest? - W świetle latarki Beth zobaczyła krew sączącą się przez ubranie, płynącą po skale, wsiąkającą w trawę. Bez wątplenia Moira nie żyła.

- Giles! - Krzyk Beth był tylko szeptem. Rozpłakała się,

- Chryste! Co my teraz zrobimy? - Giles stanął nad Moira i patrzył na nią przez chwilę, a potem ukląkł obok i zrozpaczony ujął zimną rękę, starając się wyczuć puls, Nie czuł nic.

Popatrzył w górę, na gęsto padający deszcz.

- Biedna Moira - westchnął głęboko. Potem znów rozejrzał się dookoła.

- Lepiej pójde zobaczyć, co się stało z Brid. - Z trudem podniósł się z klęczek i zrobił jeden krok, potem następny. Nogi drżały mu tak bardzo, że ledwo się poruszał.

Z latarką Moiry w dłoni doszedł wolno dróżką aż do miejsca, w którym spalone gałęzie i trawa wskazywały miejsce, gdzie upadła rakietka. Szukał dokładnie wokoło, oświetlał grzbiety skał, zaglądał do wody i za omszałe świerki, między skały. Nie było śladu Brid,

- Nie ma jej tutaj. Nie pozostał żaden ślad. Odeszła. Odeszła tam, skąd

przyszła, gdziekolwiek to jest. Wrócił do Beth. - Dobrze się czujesz, kochanie?

Stała oparta o skałę. Kiedy oświetlił ją latarką, ujrzał bladą twarz i łzy spływające po policzkach. Powoli otworzyła oczy, z trudem odetchnęła głęboko.

- Jesteś pewien, że odeszła? - Trzęsła się. Skinął głową.

- Nie ma żadnych śladów, żadnych szczątków ubrania. Nic. Gdyby ją ta rakietą poparzyła, byłaby nieprzytomna albo jęczałaby z bólu. Wierz mi, ona odeszła. - Ujął ją za ramiona i uścisnął uspokajająco. - Przynajmniej na razie.

Adam omal nie popełnił znowu błędu.

Za każdym razem, kiedy czuł, że opuszcza swoje ciało, szok i zaskoczenie, że jego technika zadziałała, a potem jeszcze wynikające z tego podniecenie i poczucie triumfu były tak wielkie, że się odprężył, a wtedy powracał znów do swego ciała i leżał z sercem tłukącym o żebra, zastanawiając się, czy nie dostanie zawału.

Z początku traktował Brid jak ducha, zjawę, która może być przywołana ze świata umarłych, i stracił wiele cennych miesięcy, szukając wyjaśnień w starożytnych tekstach o nekromancji, czyli czarnej magii. Potem jego umysł odrzucił tę koncepcję. Brid była kapłanką. Adeptką wiedzy tajemnej jednego z najpotężniejszych kultów, jakie świat zachodni kiedykolwiek znał. Nie była zjawą. Nie była także martwa, nie była upiorem. Była podróżniczką w czasie, nadal pełną życia!

Udoskonalenie opracowanej techniki zajęło Adamowi wiele czasu. W różnych książkach znajdował różne wskazówki, ale żadne z nich nie były wystarczające. Przypuszczał, że wiele z nich, zwłaszcza te, które klasyfikował jako celtyckie, zostały napisane przez ludzi, którzy tych metod sami nigdy nie wypróbowali. Ale on wytrwale kontynuował badania. Jeśli Brid potrafiła to robić, on także potrafi. Kluczem do eksperymentów, jakie zamierzał przeprowadzić, była, używając nowoczesnej terminologii, autohipnoza, twórcze wyobrażenie, połączone z odrobiną magii. Ale studiował także przeniesienia Grimoiresa. I Johna Dee. I Crowleya. I Castenady. I w końcu udało się. Uniósł się w powietrze, pod sufit sypialni, i po raz pierwszy patrzył na swoje ciało na pozór śpiące w łóżku. Nauczył się ostrożnie poruszać, unosić naprawdę bezwładnie, a potem oglądać cały dom, pokój po pokoju.

A w końcu odważył się opuścić dom i unosić się ponad ogrodem. Jedna rzecz nadal go przerażała. W całej tej literaturze fantastycznej o domniemanych faktach była mowa o jakimś srebrnym sznurze, stanowiącym więź, jaka pozostała między ciałem i duszą, tej linie ratowniczej, dzięki której podróżujący mógł znaleźć drogę powrotną do swego ciała. Wyglądało na to, że on go nie ma, a jeśli ma, to nie dostrzega.

Wiele jeszcze musi się nauczyć. Musi umieć pokonywać duże odległości, a także podróżować w czasie. Nadal nie rozumiał, jak Brid może odbywać te swoje podróże we własnej powłoce cielesnej.

Podjeżdżał, że odgrywa tu rolę kamień ze znakiem - symbolem, lustrem. To była brama, przejście, miejsce, w którym łączyły się dwa równoległe światy. Może wszystkie stojące gdzieś kamienie oznaczały takie właśnie przejścia. Podania ludowe głoszą, że wiele jest takich świętych miejsc; potoki, brody na rzekach, rozstaje dróg, bardzo stare drzewa, niezwykle skały i wzgórza. Jest ich wiele i wszystkie są dobrze udokumentowane. Przypomniał sobie, że kiedyś, kiedy był studentem, Liza skusiła go, żeby poszli na Eildon Hills, gdzie Thomas z Ercildoune wkradł się do Krainy Elfów, zablądził tam i pozostał przez siedem lat. Robili, co mogli, żeby go odnaleźć, ale nie znaleźli.

Gdy po raz pierwszy podjął próbę oddzielenia się od swego ciała za pomocą symbolicznego kamienia, opanował go dawny lęk. Ale za drugim razem uniósł się triumfalnie obok szkockich sosen i wybrał się trochę dalej; płynął w powietrzu wzdłuż potoku, z biegiem wody, ale nie za blisko niej. Aby powrócić do swego ciała, musiał jedynie wypowiedzieć takie życzenie i już. Wydawało się to proste. Zbyt proste.

Wigilia Wszystkich Świętych to czas, kiedy zasłona jest cienka. Szkoda, że pogoda była taka paskudna, ale trudno. Nie mógł czekać do następnego roku. Poczył staranne przygotowania i powtarzając magiczne formuły, wyruszył do kamienia. Był tak bez reszty pochłonięty swą wyprawą, że zapomniał zamknąć dokładnie drzwi. Nie zauważył także kota, ciągle czekającego na podjeździe, natrętnego, zaślepionego w swej nienawiści i żądzy zemsty, uwięzionego w swoim

wymiarze czasu, podobnie jak ofiara, na którą czyhał. Kot również nie widział człowieka, za którym tęsknił i którego szukał tak pilnie.

Kiedy Adam dotarł do kamienia, wszystko go bolało i drżało, ale jednocześnie był ogromnie podniecony. Jakaś część jego umysłu (przecież ciągle jeszcze był lekarzem o wysokich kwalifikacjach i człowiekiem dwudziestego wieku) uważała, że zapewne umrze na skutek hipotermii, i że niewątpliwie postradał zmysły, ale pozostała część była zdecydowana nie rezygnować. Usiadł, opierając się plecami o kamień, i skupił myśli na czasach Brid. Na Gartnaicie, Gemmie i Broichanie. Ale przede wszystkim na Brid. Myślał o tym, jak ją poznał, młodą, beztroską i dziką. To powinno być łatwe. W końcu był tam już kiedyś.

- On jest w stanie śpiączki. - Liza podniosła wzrok, kiedy Beth i Giles weszli do pokoju na oddziale intensywnej terapii. Stali i patrzyli na nieruchome ciało Adama. W pokoju słychać było jedynie szmer elektronicznej aparatury podtrzymującej życie. Adam został przetransportowany do Edynburga we wczesnych godzinach rannych.

- Czy on wyzdrowieje? - zapytała Beth spokojnie. Podeszła bliżej i położyła rękę na szczupłych, białych palcach starego człowieka.

Liza wzruszyła ramionami.

- Nie wiadomo. Teraz, kiedy temperatura się ustabilizowała, nie mogą znaleźć żadnej przyczyny jego stanu. Po prostu nie ma go tutaj.

- A nie możecie im powiedzieć, gdzie jest? - Beth spojrzała ponuro na Gilesa.

Liza potrząsnęła głową.

- Chyba nie. Ale powiedziałam im, żeby spróbowali się skontaktować z Ivorem Furnessem. On się opiekował Brid wiele lat temu, kiedy przebywała w szpitalu psychiatrycznym gdzieś w Londynie. Pamiętam, że był jedynym człowiekiem, który przewidział, co się może stać. Obserwował Brid zapadającą w śpiączkę i opuszczającą swe ciało, i potem do niego powracającą. Brid zamordowała jedną z jego pielęgniarek.

Beth wzdrygnęła się.

- Zdaje się, że mordowanie ludzi przychodzi jej bardzo łatwo, prawda?

Beth i Giles spędzili wiele godzin na policji, kiedy w końcu zwlekli się z góry i skierowali ekipę ratowniczą tam, gdzie leżało ciało Moiry, przykryte marynarką Gilesa. Za obopólną milczącą zgodą pozwolili policji odnotować, że zostali zaatakowani przez kogoś, kto czekał na nich wśród drzew. Trudno tylko było policji zrozumieć, że Moirę zamordowała kobieta. Przypuszczali, że morderczyni uciekła po odpaleniu rakiety. Beth i Giles czekali, aż Ken poczuje się po ataku dusznicy bolesnej na tyle dobrze, by mogli mu powiedzieć o śmierci żony.

Liza wstała zmęczona i przeciągnęła się.

- Nie przypuszczam, żeby strzał z raketnicy ją zabił. Beth potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Po prostu zniknęła. Całkowicie. Bez śladu. Liza spojrzała na Adama. - Może do tej pory już go odnalazła. - Dotknęła delikatnie jego czoła. Drzwi za ich plecami nagle się otworzyły i zamknęły cicho. Żadne z nich się nie obejrzało. Wszyscy mieli oczy utkwione w twarzy Adama. Postać, która pojawiła się w pokoju, była zamglona, niemal przezroczysta. Płynęła w powietrzu w kierunku łóżka w ubraniu podartym i osmalonym od dymu, z nożem wsuniętym za pasek. Oczy miała utkwione w Adamie, który leżał bez ruchu na białej pościeli.

A-dam.

Liza skrzywiła się z niezadowoleniem. To był jedynie szept zarejestrowany gdzieś w tyle głowy. W pokoju było gorąco, lecz nagle Liza poczuła lekki chłodny powiew. Spojrzała w górę.

- Beth! - W jej głosie było tyle lęku, że Beth podskoczyła. - Ona jest tutaj.

- To niemożliwe. - Beth odwróciła się od łóżka i rozejrzała. Giles objął ją zdrowym ramieniem i przyciągnął ku sobie.

- Nie powinniśmy byli tu przychodzić. Przyciągnęliśmy ją tu za sobą.

- To niemożliwe. - Beth potrząsnęła głową. - O Boże, to obrzydliwe! -

Popatrzyła na niego bezradnie. - Wracajmy. Proszę.

- Ona cię nie słyszy, Beth. - Giles patrzył na miejsce kilka stóp od łóżka, koło Lizy. Czuł, jak włosy jeżą mu się na karku.

- Ona tu jest. Spójrz.

Liza i Beth spojrzały w miejsce, które wskazywał. I obie, najpierw jedna, potem druga, dostrzegły ją. Ale był to jedynie ledwo widoczny cień. Liza wstała i cofnęła się. Próbowwała wyczarować jakieś ochronne światło, wyobrazić sobie, że to światło je otacza, ale na próżno.

A-dam, wróć do Brid. Kocham cię, A-dam...

- On jej nie odnalazł - powiedziała Beth ze smutkiem.

Na dźwięk tych słów Brid się obejrzała. Na ich oczach cień stał się wyraźniejszy. Brid patrzyła prosto na Beth; jej ręką sięgnęła do paska i wysunęła sztylet ze skórzanej pochwy.

- Nie! - krzyknęła Beth, chwyciwszy kurczowo Gilesa za ramię.

- I tym razem ci się nie uda! - krzyknął Giles, zasłaniając Beth. - Dlaczego ta jedza nie zostawi cię w spokoju?

- Odejdź, Beth - powiedziała Liza spokojnie.

- Ale co z tobą?

- O mnie się nie martw. Po prostu odejdź. Zabierz ją stąd, Giles. Ja pójdę za wami. Ona nie zrobi krzywdy Adamowi. I nie wzywaj pielęgniarki. Ona nie lubi pielęgniarek.

Zostaw A-dama, dziecko dziecka A-dama!

Ten głos zabrzmiał jak echo w ich głowach, kiedy Brid przemknęła z nożem w dłoni przez mały pokoik.

Stojak, na którym był zawieszony pojemnik z kroplówką z plazmy, uderzył bokiem o zlew i przewrócił się. Jedno z krzeseł dla gości, pchnięte na stolik nocny, uruchomiło dzwonek alarmowy. Drzwi się otworzyły i ukazała się w nich pielęgniarka, a za nią jakiś lekarz. Kiedy wpadli przestraszeni do pokoju, rozległ się w nim pełen złości pomruk.

- Tu jest kot! - krzyknął lekarz zdziwiony, gdy zwierzę z przeraźliwym piskiem wściekłości przemknęło obok niego i wypadło za drzwi.

- Zostawcie go. Zajmijcie się pacjentem! - zawołał, kiedy rozległ się drugi dzwonek alarmowy, na korytarzu. Cały oddział zdawał się rozbrzmiewać tupotem

biegnących stóp.

Adam nadal spał w swoim łóżku, niepomny tego, co się dzieje. Tam, gdzie się teraz znajdował, było zimno i padał deszcz. Ale on czuł ciepło ognia płonącego na brzegu potoku przed chatą Gemmy.

Herbaciarnia była mała i pełna ludzi. Pachniało tu ciepłym chlebem i ciastem i było bardzo przytulnie. Liza, Beth i Giles siedzieli przy małym stoliku i przyglądali się innym gościom; większość stanowiły panie wracające z zakupów, które teraz, po pracowicie spędzonym dniu, syciły wzrok swymi skarbami - torbami pełnymi trofeów. Było tu też kilku panów, zmęczonych i zaaferowanych, ale w ciepłe herbaciarni wszystkim szybko poprawiał się humor. Od czasu do czasu drzwi się otwierały i wtedy mogli rzucić okiem na panujące na zewnątrz ciemności, na mokry chodnik, w którym odbijały się uliczne latarnie, i posłuchać pisku opon na jezdni.

Liza poniosła do ust filiżankę i z przyjemnością pociągnęła łyk herbaty.

- Nie mogłam wprost uwierzyć, że oskarżyli nas o przemycenie tego kota na oddział!

- A w jaki inny sposób, logicznie rozumując, mógł się tam dostać? - Giles nakładał śmietanę i dżem na gruby jęczmienny placuszek. Czuł się tak, jakby dopiero co przestał się trząść. Spoglądając na swe towarzyszki, widział, że one czują to samo.

Liza potarła twarz dłońmi. Przed chwilą znów próbowała się dodzwonić do domu. Pragnęła, żeby Michele był przy niej tu, w Edynburgu. Tylko że Michele nie przyjechał. Jej telefony do niego pozostawały bez odpowiedzi, a ich *donna delie pulizie* powiedziała, że nie wie, kiedy pan wróci z Rzymu. - Chciałabym wiedzieć, jak się można skontaktować z Merynem - westchnęła zawiedziona, kręcąc głową. - On by mi doradził, co zrobić. Słuchajcie, chcę, żebyście pojechali oboje do domu Adama. - Sięgnęła po imbryk i nałała sobie jeszcze jedną filiżankę herbaty. Zauważyła przy tym, że nadal drżą jej ręce. - Z dwóch powodów. Po pierwsze, chcę, żebyście tam byli, w razie gdyby... - Zawahała się. - W razie gdyby Adam był tam, na górze, przy tym kamieniu. Całkiem sam. - Popatrzyła na oboje. - Rozumiecie, prawda? Jeśli zdołał tego dokonać, jeśli opuścił swoje ciało, to może

wpadł w jakąś pułapkę. - Wzruszyła ramionami. - Nie mogę znieść myśli o tym, że będzie wtedy zupełnie sam. Nie wiem, który z nich jest prawdziwy, czy ten w szpitalnym łóżku, czy ten podróżujący gdzieś tam wśród gwiazd. A po drugie, jeśli Brid zacznie się kręcić koło Adama tutaj, w szpitalu, będziecie bezpieczniejsi tak daleko od niej. Poza jej zasięgiem.

Na zewnątrz, na ulicy, Brid przysunęła się bliżej do okna. Widziała ich przez grubą szybę. Pamiętała Edynburg, tę ulicę, może nawet tę kawiarnię z czasów, kiedy Adam, jeszcze taki młody, był studentem, a ona cieszyła się przyjaźnią pewnej starej kobiety imieniem Maggie.

Ludzie spieszący w strumieniach deszczu, by zdążyć na swój autobus i dotrzeć jak najszybciej do domu, zaledwie dostrzegali ciemną postać na skraju smugi światła padającego przez okno. Nie zdając sobie sprawy dlaczego, rozdzielali się i obchodzili ją dookoła, pozostawiając samą w kręgu nieruchomej ciemności, i ruszali dalej, włączając się w zgiełk wczesnowieczornego ruchu.

Ta kobieta, ta Beth, schroniła się w tej kawiarni, ale niedługo wyjdzie. Będzie musiała odejść sama i zostawić tego dużego mężczyznę, który najwyraźniej nie odstępował jej ani na krok. I wtedy ona ją zabije. Sprawdzi, że popłynie krew, krew dziecka dziecka A-dama - zdrowa i silna, i bogata w energię - doskonała krew, która ocali życie A-dama.

Wiatr hulał wokół Shieling House, aż trzeszczały okna. Czuło się go nawet na podłodze i Beth, skulona przed piecem, drżała. W domu było zimno, wilgotno. A w powietrzu czuło się dziwną aurę niepokoju i lęku.

- Ona tu była. - Beth rozglądała się po pokoju, kiedy w końcu udało im się rozpalić w piecu. - Czuję ją. To jest jak trucizna. Giles powiódł spojrzeniem za jej wzrokiem. Nie czuł nic poza zastarzałą wonią niezamieszkanego domu, który przez kilka dni był zamknięty i nieogrzewany.

- Nie sądzę - uśmiechnął się. - Nie zwracajmy sobie głowy Brid. Pewnie jest w Edynburgu z Adamem, jeśli jeszcze w ogóle gdziekolwiek jest.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem. Gdybyż tylko mogła mieć taką pewność jak on. Zmieniła temat.

- Kiedy wrócisz do Londynu, żeby załatwić sprawę z Idiną? - Nie patrzyła na niego. - Nie możesz po prostu udawać, że ona już nie istnieje.

- Dlaczego? Ona dość często udawała, że ja nie istnieję. - Siedząc przy stole, przerzucał kartki jednej z książek Adama. W kręgu światła pod lampą rysunki symboli były jakieś bez wyrazu. Giles podniósł głowę, bo gdzieś blisko rozległ się jakiś dźwięk, jak gdyby coś się ześliznęło i upadło. - Nic się nie stało, to tylko spadł kawałek dachówki - powiedział uspokajająco, widząc przerażenie na twarzy Beth.

Kiedy zadzwonił telefon, oboje patrzyli na niego przez chwilę, a potem Giles podniósł słuchawkę. Beth obserwowała go z niepokojem.

- Wiesz, kto dzwonił? - Giles odłożył słuchawkę, podszedł do Beth i położył jej rękę na ramieniu. - To był Ken. Jest już w domu i chce porozmawiać o Moirze.

Beth przygryzła wargę.

- Biedny człowiek. Giles, chyba nie jestem gotowa, żeby o tym rozmawiać. Zacznę płakać i jeszcze pogorszę sytuację.

Giles skinął głową.

- Słuchaj, myślę, że to ja powinienem się z nim zobaczyć. Nie masz nic przeciwko temu? Zgodzisz się pozostać tu sama przez parę godzin?

Chciała powiedzieć: nie zgodzę się. Chciała wykrzyknąć: nie zostawiaj mnie! Ale tylko wzruszyła ramionami i zmusiła się do uśmiechu.

- Oczywiście. Biedny Ken. To musi być dla niego straszne. Idź. Ale wróć, zanim się ściemni. Proszę.

Giles odwrócił się do drzwi i sięgnął po płaszcz.

- Zamknij za mną. Nie będę długo, obiecuję. I zostawię ci telefon.

Kiedy wyszedł, wpatrywała się przez chwilę w drzwi. Wiatr wydawał się silniejszy niż kiedykolwiek, gwizdał pod okapem, ryczał ponad wzgórzami jak przejeżdżający pociąg. Drżąc z zimna, dorzuciła kilka polan do pieca i stojąc przy stole patrzyła na książki, które Giles czytał. Ilustracje przedstawiały piękne stylizowane wizerunki celtyckich zwierząt oraz symboli. Beth zwróciła uwagę na

jedną z ilustracji, przedstawiającą grzebień i lustro. Adam obrysował dookoła lustro i napisał ołówkiem: „oznacza miejsce pochówku kobiety albo totem jakiegoś klanu”. Była jeszcze jedna informacja: „Lustro używane jest przy wróżeniu ze szklanej kuli w nekromancji, magii. Oznacza jeden świat i jego lustrzany obraz”. Pod tym Adam narysował pięć ozdobnych znaków zapytania.

Chciałabym coś wiedzieć na ten temat, pomyślała. Chciałabym pomóc dziadkowi. Odwróciła stronę. Nasłuchiwała. Czego? Nie była całkiem pewna. Wiatru? Jakichś głosów? Odgłosu upiornych uderzeń kopytem w ciemności? Brid?

Przeniknął ją dreszcz i nagle podjęła decyzję. Podeszła do kuchennych drzwi, otworzyła je jednym szarpnięciem i wyjrzała. Ostry, lodowaty wiatr, świeży i czysty, smagał ją po twarzy, co wskazywało na to, że zacznie sypać śnieg.

Tego popołudnia nic się nie działo. Nikogo przed domem nie było.

Była spięta. Za nią, w domu, zadzwonił telefon. To Giles. Odwróciła się i wbiegła do środka, zatraskując za sobą drzwi. Kiedy sięgała po słuchawkę, właśnie przestał dzwonić. Wzruszyła ramionami. I tak nie miała ochoty z nikim rozmawiać.

Brid czuła ból, jak gdyby we własnych piersiach. Mobilizując wszystkie siły, próbowała z nim walczyć. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje. Nie mogła się skupić. Miała rozproszoną uwagę. Jedna jej część była na wzgórzu, w pobliżu, tego domu, obserwowała dziecko dziecka A-dama stojące z rozwianymi na wietrze włosami w ogrodzie, a druga przy A-damie w szpitalu. Nie widzieli jej, bo wszyscy lekarze i pielęgniarki tłoczyli się przy jego łóżku.

Prosta linia pojawiła się na monitorze o trzeciej po południu. Jednocześnie z ostrym dźwiękiem dzwonka alarmowego. Gorączkowo zaczęto go reanimować. Brid płakała cicho w kącie. Zapomniała wtedy o Beth. Gdzie jest A-dam? Dlaczego opuścił swoje ciało? Z pewnością nie zaryzykowałby, żeby wrócić i szukać jej tam, gdzie Broichan czekał przy jej posłaniu.

- Nie żyje - rozległ się rzeczowy, spokojny głos.
- Spróbujmy jeszcze raz. - Lekarz wziął defibrylator. - Odsuńcie się wszyscy.

Kiedy ciało Adama na łóżku jeszcze raz wygięło się w łuk, a EKG wykazało

leciutkie bicie serca, on sam znajdował się na wierzchołku wzgórza pod drzewem, o które się oparł, kiedy zaczął słabnąć; położył rękę na piersi, zaskoczony rozdzierającym bólem, który przeszył jego ciało.

Zamknął oczy i starał się spokojnie oddychać. To nie była pora, żeby wskakiwać z powrotem we własne ciało. To, co się działo dookoła, stawało się zbyt ekscytujące. Widział, jak Gemma wchodzi do chaty i staje przy ogniu. Była starsza niż w czasach, które pamiętał; jej włosy były siwe, twarz pobrużdżona. Mówiła coś szybko do Gartnaita głosem pełnym przerażenia. Adam podpłynął w powietrzu bliżej. Wołał do nich, ale chyba go nie słyszeli. Gartnait ubrany był lepiej niż w czasach, z których Adam go pamiętał. Zniknęła zakurzona tunika i getry. Teraz miał na sobie haftowany płaszcz, spięty pod szyją srebrną broszą, skórzane rzemyki krzyżowały się na jego łydkach, a u pasa wisiał miecz, wyraźnie ostry. Rozmawiali w swoim własnym języku, ale Adam spostrzegł, że rozumie ich bez trudu.

- On zamierza poświęcić ją bogom. Jeśli jej nie ocalę i ona umrze, my prawdopodobnie też umrzemy. Nie rozumiesz, matko? Musimy działać.

Brid. Rozmawiają o Brid.

- Czeka przy niej dzień i noc i w chwili kiedy będzie wchodziła z powrotem w swoje ciało, pochwyti ją, i Brid umrze tutaj, przy moim kamieniu. Oznaczyłem go jej symbolem i w ten sposób zaplanowałem własną ręką jej śmierć.

Gemma potrząsnęła głową.

- Ona nie wróci. Nie jest taka głupia.

- Stała się słaba. Nie jest już rozsądna, matko. Przykro mi, ale nie otrzymała wyższego wykształcenia. Była głupia. Otumaniona i głupia. - Gartnait uderzył pięścią w drugą dłoń. - Gdybym tylko mógł dotrzeć do niej tam, w tej krainie marzeń, zanim będzie próbowała wrócić!

- Nie, Gartnait.

- Cóż innego mogę zrobić? Czy mam siedzieć i czekać, aż Broichan doprowadzi ją do zguby?

- Jeżeli udasz się do tego innego świata, możesz jej nie znaleźć. Możesz się także zgubić.

Odwrócił się i zapatrzył w ogień.

- Poradzę się wróżb. Będę obserwował ptaki i od nich się dowiem, czy mam lecieć z nimi za Brid ku zachodzącemu słońcu, czy odwrócić się od niej i lecieć w kierunku porannego brzasku.

- Gartnait! - Adam przysunął się i zatrzymał ponad nim. Gartnait się nie obejrzał.

- Gartnait, jestem tutaj, w twoim czasie. Przyszedłem, by odnaleźć Brid.

To Gemma odwróciła się i stanęła naprzeciw niego, czujnie jak pies, który zwietrzył królika.

- Ktoś tu jest!

- Gemma! Czy mnie widzisz? - Adam postąpił krok do przodu.

- Kto to? - Gartnait odwrócił się i spojrzał prosto na Adama, i poprzez niego. Zmarszczył czoło. - Czy to Broichan?

Gemma potrząsnęła głową.

- Chyba nie. Strzeż się, mój synu. Nie jesteśmy sami.

- Gemma! Gartnait! Proszę! To ja. - Adam zbliżył się i zatrzymał koło ognia. Płomienie chwiały się i buchały do góry, jakby ostrzegawcze. Zobaczył, że Gemma obserwuje je szeroko otwartymi oczami, jak gdyby słuchała, co jej chcą przekazać.

- Uważaj. Uważaj. - Położyła rękę na ramieniu Gartnaita. - Broichan jest blisko. On ma wszędzie szpiegów. Idź. Szybko.

Gartnait popatrzył na nią, jak gdyby próbował, odczytać w jej oczach to polecenie, po czym skinął głową.

- Idę, matko. Pozwól swoim bogom, by mi towarzyszyły. - Skoczył na skarpe, gdzie przed kilkoma sekundami zatrzymał się Adam, i pobiegł w kierunku kamienia.

- Gemma, widzisz mnie, prawda? - Adam zbliżył się jeszcze bardziej. - Proszę. - Był zrozpaczony.

Gemma przystanęła i już miała wejść do chaty, ale jeszcze raz rozejrzała się dookoła, potrząsając głową, jak gdyby starała się uwolnić od brzmącego w jej

uszech głosu. W końcu się zatrzymała.

- A-dam, czy to ty? Nie widzę cię, chłopcze, i nie mogę ci pomóc. Wracaj do swoich ludzi, A-dam. Brid jest zgubiona. Ona już nie należy do nas. Poszła za tobą w twój wymiar czasu i jest pod *geas* Broichana, pod jego klątwą. Stracona dla nas wszystkich. Stracona. - Gemma stała jeszcze chwilę, jak gdyby czekała na jego odpowiedź, po czym odwróciła się i weszła do chaty.

Adam popatrzył w ślad za nią, a potem na siebie, na swoje ciało. Zwróciła się do niego: chłopcze. A przecież wygląda tak, jak wyglądał siedząc u stóp kamienia w swoim wymiarze: stary człowiek w zniszczonej koszuli i wyświeconej marynarce, a pod nią w dwóch grubych swetrach szetlandzkich, stary człowiek o wymizerowanej twarzy pokrytej zmarszczkami, o żylastych rękach i zmierzwionych siwych włosach. Odwrócił się, wgramolił na skarpe i pospieszył za Gartnaitem. Musi dotrzeć do kamienia przed nim. Gartnait musi go zrozumieć. Musi popodróżować wraz z nim, wtedy będą mogli razem szukać Brid.

Kamień był spowity mgłą. Dysząc ciężko, Adam ześliznął się do wąwozu, a potem wspiał się na górę po jego drugiej stronie. Przed sobą dostrzegł jakąś postać biegnącą szybko w ciemność.

- Gartnait! - krzyknął. - Zaczekaj! - Postać nie zatrzymała się, biegła szybko dalej, okrążając bagniste kawałki gruntu, przeskakując niektóre skały. - Gartnait! - Adam czuł dziwny ucisk w klatce piersiowej. Zasapał się. Musiał się na chwilę zatrzymać, zgięty wpół, żeby odzyskać oddech. Kiedy się wyprostował, zaledwie dostrzegał tę postać przed sobą, w oddali. Spieszył się i kiedy dotarł na szczyt ostatniego piargu przed sosnowym lasem, znów się zatrzymał. Teraz widział Gartnaita, jego miecz, skupiający zabłąkane promienie światła, które wymykały się spoza wiszących nisko chmur. Wkrótce zapadnie zmierzch.

Adam zeszywniał. Coś się poruszało w pobliżu w szorstkim wrzosowisku, z prawej strony. Ktoś jeszcze szedł za Gartnaitem w kierunku kamienia. Adama przeniknął chłód. Ukląkł na jedno kolano, żeby być mniej widocznym, i wyciągnął szyję, starając się rozpoznać, co takiego się przed nim porusza. Może to jeleń albo lis? Nie, to człowiek. Teraz Adam widział go wyraźnie. Bez wątplenia szedł za

Gartnaitem, nisko pochylony, kryjąc się między kępami roślin, kiedy był już bliżej swej ofiary.

- Gartnait! - Ostrzeżenie Adama było tylko szeptem. Cóż mógł zrobić? Czołgając się teraz najciszej, jak tylko potrafił, mozolnie pokonywał przestrzeń dzielącą go od kamienia.

Gartnait dotarł do płaskowyzu i z czułością powiódł dłońmi po rzeźbach na kamieniu. Najwyraźniej pamiętał je wszystkie doskonale - owoc swej ciężkiej, wielomiesięcznej pracy. Pochylił się i położył rękę na rzeźbie przedstawiającej lustro, znak Brid, znak kapłanki, mającej zdolność podróżowania do innych wymiarów. Potem wstał i wznosił ręce nad głowę. Adam zdał sobie nagle sprawę, że Gartnait wpatruje się w stado ptaków, które leciały ponad wzgórzem ku zachodzącemu słońcu, że badawczo obserwuje ich lot. To był ten znak. Ptaki powie-
działy Gartnaitowi, że ma podążać za swoją siostrą ku światłu.

Przez chwilę rzeźbiarz stał przy kamieniu, a Adam obserwował go bacznie. Wydawał mu się zagubiony w myślach, oczy miał zamknięte, na jego twarzy malował się spokój. Nagle oparł dłonie płasko na kamieniu i zniknął. Adamowi zaparło dech. W miejscu, gdzie stał Gartnait, ujrzał teraz innego człowieka - wysokiego mężczyznę o zwichrzonych włosach, w długiej, czarnej szacie, którą wiatr owijał mu wokół nóg. To był Broichan. Po chwili on także zniknął, w ślad za Gartnaitem.

- O mój Boże! - Adam usiadł, zakrył usta dłonią. Rozejrzył się dookoła, sprawdzając, czy kogoś nie było z Broichanem. Nie dostrzegł nikogo, zбочe było puste. Obejrzał się za siebie. Gdyby tylko mógł porozmawiać z Gemmą, powiedzieć jej, co się stało. Niestety, ona go nie mogła usłyszeć. Było tylko jedno wyjście. Musi spróbować wrócić. Połączyć się ze swoim ciałem, położyć spokojnie przy kamieniu, ale w innym wymiarze czasu, i czekać tam na Gartnaita. Wstał ostrożnie i podszedł po trawie i kamieniach do wielkiego kamiennego palca skierowanego ku niebu.

Kładąc dłonie na jego powierzchni, tak jak to zrobił Gartnait, nie wiedział jednak, że jego ciało, przekaźnik jego marzeń i poszukiwań - zniknęło.

Rozdział dwudziesty trzeci

Jak długo to już trwa? - Ivor Furness stał w nogach łóżka Adama. Ivor bardzo się postarzał. Nadal był jednak dystyngowanie wyglądającym mężczyzną, teraz już łysiejącym, ale szczupłym i muskularnym. Podeszedł do Adama z boku i pochylił się nad nim. Badał reakcję źrenic, dotykał dłoni, starał się wyczuć puls.

- Wygląda tak samo jak Brid, kiedy była w stanie śpiączki. - Odwrócił się i wyjął z teczki bardzo zniszczony plik notatek - swoje prywatne archiwum; uznał, że ma prawo zabrać je ze szpitala, odchodząc na emeryturę. - Poprosiłem, żeby mi pokazano wynik EEG. Wykazał fascynującą nieprawidłowość odczytu, podobnie jak u Brid, co w owym czasie uważano za pewną anomalię, ale ja, prywatnie, sądziłem, że mogło to mieć związek z... - Wzruszył ramionami i przesłał Lizie czarujący uśmiech. - ...z jej niejasnym pochodzeniem. Nie podzielałem opinii moich kolegów, za co omal mnie nie zamknęli. Opracowałem pewną teorię, zakładającą, że wykres fal mózgowych wskazuje na czynność pewnej części mózgu, której dotychczas nie dostrzeżono i nie zdefiniowano.

- Doktorze Furness, nie rozumiem, jak to możliwe: skoro ciało Brid znajdowało się w łóżku i pan je widział, bo jak mogło jednocześnie być gdzie indziej? Jej obecność w łóżku Adama była całkowicie realna. Ludzi również atakowała postać rzeczywista.

- Istotnie, jak to możliwe? - Ivor Furness studiował kartę choroby Adama. - Zastanawiam się, gdzie jest w tej chwili dobry doktor Craig. - Stał nad Adamem, patrząc na niego i w zamyśleniu wsysając policzek. - I czy to ma jakieś znaczenie, że go przenieśliście? Liza patrzyła na niego osłupiała.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Tylko to, że często się zastanawiałem nad nieskończonością czasu i przestrzeni. Czy to ma znaczenie, gdzie pozostawił swoje ciało? To znaczy, jeśli ten ktoś ma zamiar do niego wrócić. A jeśli ciało umiera, to dokąd ten duch, ta dusza,

jakkolwiek nazwiemy owe siły życiowe, które go opuściły, dokąd się udaje? Czy jeszcze dalej, do innego wymiaru, czy też jest skazana na wieczne błądzenie w charakterze ducha pomiędzy światami i szukanie innego gościnnego ciała?

- To brzmi okropnie. - Lize przeniknął dreszcz grozy. Pochyliła się i wzięła Adama za rękę. Westchnęła. Biedaczek. Brid przemieniła jego życie w piekło na ziemi. A kiedy w końcu on ją zapragnął widzieć, nie było jej przy nim.

- Może odnalazł ją teraz? - Furness wpatrywał się zamyślony w twarz Adama. - Chciałbym znać jakiś sposób, który pozwoliłby nam się dowiedzieć tego na pewno.

Podnieśli głowy, kiedy do pokoju zajrzała pielęgniarka. Popatrzyła na Adama i cofnęła się, zamykając za sobą drzwi. Liza westchnęła.

- Zmartwił mnie pan teraz. Myślałam, że on się w jakiś sposób dowie, cośmy zrobili, ale co się stanie, jeśli wrócił do kamienia w poszukiwaniu swego ciała i nie zastał go tam? I nie wie, gdzie ono jest? Nie możemy go tam zostawić, bo umrze. - Wstała i wyjrzała przez okno. - Tak się zastanawiam: przecież niektórzy ludzie, którzy zgodnie z diagnozą współczesnej medycyny są w tej chwili w stanie śpiączki, znaleźli się w pułapce - nie mogą wrócić do swych ciał, ponieważ zostali przewiezieni do szpitala i ich duch nie potrafi ich odnaleźć. Będę musiała wrócić do kamienia.

Furness wzruszył ramionami.

- I co pani robi? Zostawi tam pani jakąś wiadomość?

- Nie wiem. - Liza była zła. - Ale nie mogę tego tak zostawić. Co się stanie, jeśli Adam zechce wrócić? Czy szpital pozwoli, żeby go zabrano w listopadzie w góry, ponieważ jest szansa, że jego dusza wskoczy z powrotem do ciała?

Ivor Furness ze smutkiem potrząsnął głową.

- Pani wie, że nie pozwolą.

- Więc co się stanie? Będzie skazany na wieczną wędrówkę?

- Byliście sobie z Adamem bardzo bliscy, prawda? - Furness podszedł do Lizy i lekko dotknął jej ramienia. - Może on wróci, może panią odnajdzie. Niestety,

nic innego nie można zrobić. Może pani tylko czekać. Chyba że... - Przerwał i popatrzył na Adama.

- Chyba że co?

- Chyba że będziemy mogli ściągnąć go tu osobiście.

Mgła stała się bardzo gęsta. Broichan posuwał się ostrożnie za bratem Brid między drzewami, a potem stromą dróżką wzdłuż strumyka. Powietrze było wilgotne i trudno nim było oddychać, a ścieżka wydawała się dziwnie nierówna pod jego sandałami o miękkich podszwach.

Gartnait szedł odważnie, dużymi krokami, z mieczem w dłoni, ślizgając się czasem po błocie, niewidoczny dla niewyraźnej postaci kroczącej za nim. Jego oczyma bacznie lustrowały mroczne przestrzenie między drzewami.

- Brid! - Głos Gartnaita zabrzmiał dziwnie matowo we mgle. Nie niósł się daleko i młody człowiek po raz pierwszy poczuł ukłucie lęku na łopatkach. Zatrzymał się, rozejrzał i zaczął nasłuchiwać. Ktoś był w pobliżu. Wydawało mu się, że szum wody dociera do niego z daleka, mimo że bardzo blisko dostrzegał lśnienie potoku płynącego po czarnych skałach. Rozglądając się bacznie, mocno zaciskał miecz w dłoni ostrzem do góry. Nie dostrzegł postaci w mroku.

Broichan już dawno przyswoił sobie sztukę stawania się niewidzialnym, ale Gartnait czuł jego obecność. Tolerował ją. Pewnego dnia będzie musiał zmierzyć się ze swym wujem, ale teraz miał tylko jeden cel: odnaleźć Brid, przyprowadzić ją do domu, a potem uwolnić ją całkowicie od tej Broichanowej klątwy, tego *geas*, i od niego samego.

U stóp wzgórza zatrzymał się. Nie miał pojęcia, dokąd iść. „Brid! - wołał w myślach. - Gdzie jesteś, siostrzyczko?”

Nie otrzymał odpowiedzi. Słyszał jedynie zawodzenie wiatru z tyłu za sobą.

Myśli Gartnaita dotarły do niej tylko na chwilę. Nagle poczuł jej lęk, złość i ból. Straciła swego Adama; nie wiedziała, gdzie on jest, i kogoś za to obwiniała. Znowu polowała z nożem w dłoni, żądna krwi, próbowała odzyskać swą miłość i odsunąć od Adama wszelki ból. I nagle Gartnait uświadomił sobie, na kogo poluje Brid. Polowała na dziecko dziecka Adama, jedyne dziecko jego rodziny, krew z

jego krwi, jedyną osobę, która mogła go zatrzymać w jego wymiarze czasu i stanąć między nią i Adamem. Mgła otuliła go szczelniej. Brid oddaliła się z jego myśli. - Brid! - Jego wołanie utonęło w bezkresnej przestrzeni.

Pierwszym sygnałem przybycia gościa było migoczące światło reflektora, padające na sufit w salonie, kiedy samochód jechał w kierunku domu i skręcił na podjazd. Obudziła się nagle i stwierdziła, że siedzi na krześle przy piecu. Serce jej waliło i w pierwszej chwili nie wiedziała, co ją obudziło. Usłyszała trzaśnięcie drzwiczek samochodu. Giles wrócił. Dzięki Bogu! Podeszła do okna i wyjrzała. Gęsta, biała mgła snuła się po ogrodzie. Nic nie mogła dojrzeć. I nagle usłyszała powolne kroki - ktoś zbliżał się do domu. To nie był Giles. Wstrzymała oddech, wpatrując się w wysoką, szczupłą, pochyloną postać idącą ścieżką.

Odsunęła się od okna i podeszła do drzwi. Czekwała, nasłuchiwała. Po dłuższej chwili rozległo się mocne pukanie i ktoś krzyknął:

- Beth? Beth, moja kochana, jesteś tam?

W pierwszej chwili nie rozpoznała tego głosu.

- Beth, to ja, Meryn.

- Meryn? - Wyszeptała to imię z całkowitym niedowierzaniem. - Meryn!

Zaczekaj, zaczekaj! Już idę!

Drżącymi rękami odciągnęła dwie zasuwki i otworzyła drzwi.

- Meryn! Skąd wiedziałeś? Och, tak się cieszę, że cię widzę! - Zarzuciła mu rękę na szyję. - Tak się bałam! Gdzie byłeś? Skąd wiedziałeś, że jestem tutaj?

Oczywiście zauważył, że zaryglowała z powrotem drzwi, ale nic nie powiedział, tylko podszedł do pieca i dorzucił kilka polan do ognia, jak gdyby to był jego własny dom. Potem odwrócił się do Beth. Wyglądał tak samo, był może tylko trochę bardziej opalony, trochę starszy. Jego oczy patrzyły tak samo wnikliwie, były tak samo wszystkowidzące jak wtedy, gdy była jeszcze dzieckiem.

- Przyszedłem, bo czułem, że mnie potrzebujesz, ale, Beth, musisz sobie zdawać sprawę, że jestem tylko człowiekiem - uśmiechnął się do niej łagodnie. - Nie Merlinem!

Zagryzła wargę, trochę zakłopotana.

- Bądź Merlinem. Tylko Merlin może nam pomóc. - Usiadła na skraju sofy i zaczęła opowiadać o wszystkim, co się wydarzyło, zastanawiając się od czasu do czasu, czy Meryn już o tym nie wie; ale mimo to była zdecydowana powiedzieć mu o wszystkim. - Tak się bałam. Ona jest tutaj, w górach, i nic jej stąd nie odciągnie. Nie wiem też, czy nie może się tutaj dostać.

Kiedy umilkła, Meryn także siedział przez chwilę w milczeniu, obserwując jej twarz. W końcu potrząsnął głową.

- Nie czuję nic poza jej lękiem. Podejrzewam, że ona tak samo boi się ciebie, jak ty jej. Nie ma sensu mówić jej prawdę, jeszcze nie teraz. - Oparł się na poduszkach. - Beth, będę musiał cię nauczyć tak jak nauczyłem twoją babkę, pewnych podstawowych rzeczy o życiu i śmierci. - Jego oczy zabłyśły na chwilę. - Jak również pewnych technik, jak należy postępować. Nie wolno ci się bać. Brid jest, albo była, zwyczajną istotą ludzką. Nie jawi się nam jako osoba bardzo miła, ale nie wiemy, co mogło się wydarzyć w jej życiu, co tak ukształtowało jej charakter i tak wypaczyło psychikę. Tak samo możemy nie wiedzieć, co wpłynęło na jakiegoś nieszczęsnego kryminalistę albo osobę niezrównoważoną psychicznie, których spotykamy w tak zwanym życiu codziennym. Nauczyła się technik, które umożliwiają jej podróżowanie w dość dla nas niepokojący sposób. Brid pochodzi, jeśli wierzyć twojemu dziadkowi, z kultury, w której w takie rzeczy nie tylko się wierzy, ale również praktykuje. Kultury nadzwyczaj wyrafinowanej, pod każdym względem, sądząc z tego, co ludzie o tym mówią, kultury, której my, przy naszej, przez nas samych proklamowanej mądrości, nie doceniamy i uważamy za barbarzyńską, choć barbarzyństwo, jakie cechuje wielu dzisiejszych ludzi, jest o wiele większe. A ponieważ nie potrafimy robić tych rzeczy, które potrafią oni, uważa się nas za osoby przesądne i naiwne. Ty i ja podchodzimy do tego inaczej. - Odwrócił się z powrotem ku otwartym drzwiczkom pieca i wziął do ręki pogrzebacz. Tłące się słabo polana buchnęły płomieniem. - Brid kształciła się wiele lat, żeby nauczyć się tego, co teraz umie. Nie ukończyła nauki, ale jest bardzo wykształcona, tego możesz być pewna. Ja nie jestem druidem - znów się uśmiechnął - cokolwiek mówi na ten temat twoja babka. Ale może jestem potomkiem druidów albo

przynajmniej wywodzę się ze szkoły uzdrowiaczy i mistyków, która istniała wiele wieków temu. Studiowałem na całym świecie, pisałem książki, siadywałem u stóp nauczycieli, obserwowałem i słuchałem - przede wszystkim słuchałem. - Usiadł na krześle naprzeciw Beth. - Wyglądasz na zdziwioną.

- Nie wiedziałyśmy. Liza nie wiedziała, że pisałeś książki.

- Twój przyjaciel Giles spędzi tę noc z Kenem Maclarenem. Nie pytaj mnie, skąd o tym wiem i skąd on wie, że ty będziesz bezpieczna. To jest częścią tego misterium. - Znow się uśmiechnął. - Ale my musimy spędzić ten czas razem, żeby zaplanować twoje szkolenie. Będziesz musiała spróbować się nauczyć w ciągu jednej nocy tego, co normalnie zabiera wiele miesięcy albo lat. Musisz się pozbyć tego małego, ograniczonego ziarenka nieufności, które, czuję to, kiełkuje w twoim umyśle. Wyłącz całkowicie racjonalny pierwiastek swego umysłu i naucz się słuchać intuicji. Musisz się nauczyć chronić przed Brid i jej towarzyszami, jeśli są takowi. Musisz się nauczyć z nią komunikować. I chronić przed kotem, który w niej jest. Musisz się nauczyć zabezpieczać swoją rodzinę, żeby Brid nikomu nie wyrządziła krzywdy, i spróbować przyprowadzić swego dziadka do domu. To bardzo dużo jak na - popatrzył na zegarek na ręku - może siedem godzin. Beth skrzywiła się.

- Dlaczego dajesz mi na to tak mało czasu?

- Ponieważ jutro muszę wyjechać. Wiem, że Liza myśli, że znikam wraz z podmuchem dymku tam na Penny a Beacon, aby się ukryć między tymi światami na wiele miesięcy albo lat. Niestety, powód jest o wiele bardziej przyziemny: mam zarezerwowany bilet na jumbo jęta lecącego z Londynu do Nowego Jorku. - Zachichotał krótko. - Poza tym uważam, że masz rację. Myślę, że Brid stworzyła więź między wami i jesteś w wielkim niebezpieczeństwie. Być może już wkrótce ona zdecyduje się na następny atak. Tak więc - usiadł prosto i zatarł dłonie - ponieważ nie masz, jak podejrzewam, wyszkolonej pamięci barda, który potrafi recytować z pamięci całymi dniami albo tygodniami, nie powtarzając się ani razu, proponuję, żebyś wzięła notatnik i ołówek i przygotowała tradycyjną towarzyszkę całonocnej nauki, czyli dużą filiżankę czarnej kawy, i zaraz zaczniemy.

Meryn nie powiedział, że zanim powróci do Nowego Jorku, on także musi

stoczyć bitwę. I to z samym Broichanem.

Świt wstawał powoli, mroczną bladość za oknami tłumiała mgła, która zgęstniała, kiedy zaczęło się rozwidniać, ale oni pracowali dalej, nie dostrzegając tego.

Meryn nie pozostawił Beth czasu na lęk, nie miała czasu powątpiewać w swoje zdolności. Za każdym razem, kiedy myślała, że się załamie, padnie z wyczerpania, Meryn przywoływał ją do porządku i nakazywał czujność. Wreszcie wstał i uśmiechnął się do niej.

- Jesteś gotowa, Beth.

Ona także wstała i popatrzyła w ogień. W głowie jej się kręciło i czuła się wyczerpana, ale jednocześnie dziwnie ożywiona.

- Jesteś pewien? Uśmiechnął się.

- A co ja powiedziałem? Zaufaj mi! Beth, kochanie, muszę zdążyć na samolot. Wszystko będzie dobrze. Masz potrzebny do tego naturalny instynkt, w przeciwnym razie nie mógłbym cię nauczyć tego wszystkiego tak szybko. Myślę, że to dzięki Lizie. Masz po niej intuicję. Sceptycyzm, który odziedziczyłaś po dziadku, hamował cię, ale teraz się nauczyłaś, że jest więcej rzeczy w niebie i na ziemi, niż kiedykolwiek ci się śniło, i że to jest bardzo realne. Ale możesz nad tym panować. Bądź dzielna, moja Beth. Duchem będę z tobą, pamiętaj, kiedy tylko będziesz mnie potrzebowała. - Pochylił się i pocałował ją w policzek. - Och, i jeszcze coś, Beth. To taka moja refleksja. Nie pozwól, żeby Giles osłabiał twoją energię. - Mrugnął do niej i dotknął palcem swego nosa. - Pamiętaj, koncentruj się na tym, co musi być dokonane.

Długo stała w drzwiach i patrzyła, jak jego samochód znika w oddali. Potem wróciła do domu i zamknęła drzwi. Jej notes z pośpiesznie nagryzmlonymi radami i informacjami leżał na sofie, na której przesiadziała prawie całą noc. Nagle poczuła się bardzo samotna, a pokój wydał jej się strasznie pusty.

Nie miała czasu przemyśleć tego, zaszło, i wcale nie była pewna, czy dotarło do niej wszystko, co Meryn starał się jej przekazać w ciągu tych kilku godzin intensywnej nauki. Dorzuciła do pieca i zaczęła wolno wchodzić po schodach.

Gorąca kąpiel i śniadanie pomogą jej się pozbyć bólu w kościach; potem położy się na kilka godzin i spróbuje zregenerować siły przed bitwą. Bitwą, która ją czeka, Meryn wydawał się tego pewien, a ona się z nim zgadzała. Czowała to w powietrzu jak zbliżający się sztorm - napięcie, tę wibrację w polu energii wokół jej ciała. Teraz umiała opisać to wzruszenie, które budzili Adam i Brid, krążąc wokół siebie, ale nie mogąc się spotkać.

Możesz czekać, aż Brid cię odnajdzie, albo sama pójść do niej.

Zalecenie Meryna było spokojne, rzeczowe:

Myślę, że jej dusza jest podzielona. Jedna jej część poluje na Adama, druga pragnie zniszczyć każdego, kto według niej staje jej na drodze. To znaczy ciebie. Do ciebie, Beth, należy uratowanie Adama i rozprawienie się z nią.

Nie potrafię tego zrobić! Leżąc w wannie, Beth zaczęła wpadać w panikę. Kiedy Meryn o tym mówił, wydawało się to takie łatwe, niemal banalnie proste. Wdrapać się w ciemności na górę, odnaleźć furtkę do innego wymiaru czasu, przejść przez nią, zabrać dziadka, uśmiercić jego upiorną, psychopatyczną kochankę, a potem wrócić i żyć długo i szczęśliwie! Żaden problem.

- Beth! - Głos szepczący jej pieszczotliwie do ucha to imię był taki miły. - Beth, moja kochana! - Te usta na jej ustach były takie ciepłe. Przeciągnęła się i otworzyła oczy. W pokoju panował półmrok. Światło dzienne na zewnątrz tłumiała mgła.

- Giles? - W swych snach była daleko, wspinała się na ciemny wierzchołek góry w pobliżu kamienia. W oddali widziała czekającego na nią dziadka. Dostrzegł ją i zrozpaczony wyciągał ku niej rękę.

- Wróciłem. Mój Boże, ależ zimno na dworze. Zaczyna padać śnieg. Ken nalegał, żebym został na noc. Próbowałem zadzwonić, ale telefon nie był podłączony. Przepraszam. Nie mogłem się od niego wydostać. Ale wyjechałem, jak tylko było to możliwe. Nie mogłem cię tu zostawiać dłużej samej.

Beth usiadła i sięgnęła do wyłącznika na nocnym stoliku. Spojrzała na budzik. Było już prawie południe.

- Jak on się czuje? - spytała niepewnie. Giles siedział na jej łóżku, w jego

włosach lśniły kryształki lodu.

- Jest oczywiście przygnębiony i bardzo samotny. Strata Moiry zachwiała jego wiarą.

- Biedny człowiek. - Beth zsunęła nogi z łóżka i sięgnęła po szlafrok. - Giles, tęskniłam za tobą. - Nagle zaczęła się zastanawiać, czy Meryn naprawdę ją odwiedził.

- Ja także za tobą tęskniłem. - Przytulił ją mocno. - Co jest, Beth? Co się stało? Miałaś jakieś wiadomości od Lizy?

Potrząsnęła głową.

- Żadnej. Czuję się trochę odrzucona.

Nic nie pamiętała. Słowa uciekły jej z pamięci. Nie pamiętała nic z tego, co...

Trzęsąc się z zimna, stanęła na nogi i sięgnęła po ranne pantofle.

- O Boże, chcę wrócić do domu. Do Walii.

- Więc dlaczego nie wracamy? Nie musimy tu siedzieć beczynnie. - Giles chwycił ją za rękę. - Wiesz przecież, prawda? Możemy wyjechać jeszcze dzisiaj. No dobrze, jutro. Dlaczego by nie? Dlaczego po prostu nie wyjedziemy? Twój dziadek jest w dobrych rękach. Czekanie tutaj nic nie daje.

Skoncentrujcie na tym, co musi być dokonane.

- Skarbie, kocham cię. Wierzysz mi teraz, prawda? - Giles patrzył na nią z powagą. - Dostanę rozwód. Naprawdę. I nie wrócę do Londynu.

- Mówisz poważnie?

- Poważnie. Posłuchaj. Idina nie będzie się sprzeciwiać. Znam ją. Jest mną znudzona i teraz, dzięki Bogu, trafił się jej ktoś, kim się zainteresowała. Damien jest bogaty i sławny. Ja chcę spędzić resztę życia z tobą, kochanie.

Nie pozwól mu osłabiać twojej energii...

Beth popatrzyła na Gilesa uważnie, po czym wolno wspięła się na palce i pocałowała go w usta.

- Wkrótce pojedziemy do domu. Ale muszę jeszcze tutaj coś zrobić. A najpierw coś zjemy.

Kiedy zjedli, Giles nalegał, żeby poszli na górę. Wiedziała, że nie powinna

tego robić. Powinna już wyruszyć w drogę, ale chyba półgodzinne opóźnienie nie zrobi żadnej różnicy.

Wszystko zależy od ciebie... Wróciły do niej nagle ostatnie słowa Meryna. *Nie pozwól mu osłabiać twojej energii... skoncentruj się na tym, co musi być dokonane...*

Kochał się z nią jak szalony. Jego pocałunki były czułe, dotyk dłoni najpierw delikatny, a potem niecierpliwy z pożądania. A potem, kiedy on już zasnął, leżała długo w jego ramionach. Czuła się bezpieczna i nie miała ochoty wstawać, nie miała ochoty znowu go zostawiać, aż w końcu i ją zmorzył sen.

Kiedy się obudziła, w pokoju było ciemno. Zaskoczona, ostrożnie wysunęła się z objęć Gilesa i ześliznęła z łóżka. Ubrała się szybko, włożyła dwa dodatkowe swetry, pochyliła się nad nim i pocałowała go po raz ostatni w czoło. Potem odwróciła się i wyszła z pokoju.

Na dole odważyła się zapalić światło i popatrzeć na zegar. Było po szóstej. Całe popołudnie stracone. Gorączkowo wciągnęła na siebie kurtkę, buty, chwyciła ze stołu kluczyki od samochodu. Przez chwilę się wahała, wpatrzona w ciepły czerwony żar w piecu. Reprezentował w tej chwili wszystko, co było bezpieczne i trwałe w jej życiu.

Musisz się nauczyć, jak chronić swoją rodzinę przed krzywdą... musisz postarać się sprowadzić swego dziadka do domu.

Nie ma wyjścia. Musi iść.

Skreśliła szybko kilka słów do Gilesa i wyszła z domu. Wiał lodowaty wiatr. Beth stała przez chwilę na ścieżce, po czym odwróciła się i cicho zamknęła za sobą drzwi. Samochód Gilesa stał przed frontowymi drzwiami. Zerknąwszy na zasłonięte okno sypialni, Beth otworzyła drzwiczki i wrzuciła na tylne siedzenie swój notes, mapę i podręczną torbę. Drżąc z zimna, otulała się szczelnie kurtką, kiedy usłyszała groźny pomruk.

Przerażona rozejrzała się dookoła, wskoczyła do samochodu i zatrasnęła drzwiczki. Za nią, w domu, Giles spał spokojnie.

Patrząc przez okno, wsunęła kluczyk do stacyjki. Nic się nie poruszyło w zasięgu jej wzroku. Droga była ciemniejszym pasem bieli pod ciemnymi drzewami,

a nad nią unosiła się jednolita ściana mgły. Czy to tylko jej się wydaje, czy samochód Gilesa jest naprawdę jeszcze trochę nagrzwany po jego podróży z Pittenross?

Gdzie jest A-dam?

Bardzo wyraźnie słyszała w swojej głowie ten głos. Ręka, która trzymała kluczyk, opadła jej na kolana.

Gdzie jest A-dam?

Przerażona, znowu rozejrzała się dookoła. Z pewnością Brid nie może być tutaj, w samochodzie. To tylko wybryk wyobraźni. Nabrała głęboko powietrza i starając się oddychać powoli i spokojnie, przekręciła kluczyk.

Silnik nie zapalił.

Spróbowała jeszcze raz. Czują, że pot występuje jej na czoło. Zerknęła na okno sypialni, modląc się, żeby Giles się nie obudził. Nie może go zabrać ze sobą. Musi to zrobić sama. Tym razem też silnik nawet nie drgnął. I milczał.

- Nie! Proszę! - Uderzyła dłońmi w kierownicę. - Proszę, jedź, ty cholerny, głupi samochodzie! - Spróbowała po raz trzeci.

Dlaczego skrzywdziłaś A-dama?

Wraz z głosem słychać było lekkie echo, jak gdyby dolatywał skądś z daleka, a mimo to Beth słyszała wszystko wyraźnie, jak gdyby słuchała dźwięków aparatury stereo na wyczerpanych bateriach.

Adam cię nienawidzi!

Nie dopuszczała do siebie myśli o Brid. Nawet najmniejsza myśl pozwoli przeciwnicze znaleźć oparcie w jej głowie. Nie może do tego dopuścić. Musi być bez przerwy skupiona, utrzymać swój pierścień ochronny silny i nietknięty. Jeśli się dostatecznie skoncentruje, nie może jej się nie udać. Od niej zależy jej własne życie i życie Adama.

- Zostaw mnie w spokoju!

To nie był odpowiedni czas ani miejsce. Musi dotrzeć do kamienia. Musi odnaleźć Adama. Spróbowała jeszcze raz. Włożyła kluczyk do stacyjki, przekręciła, naciskając pedał gazu do samej podłogi. Samochód był kompletnie niemy.

Gdzie jest A-dam? A-dam cię nienawidzi.

- Zostaw mnie w spokoju! Odejdź! Ja nie wiem, gdzie on jest! - Beth czuła, że ogarniają coraz większa panika. W samochodzie zaczynało brakować powietrza, ale nie miała odwagi opuścić szyby.

- Odejdź! - Czy ona sama przywołała Brid? Dlaczego samochód nie chce ruszyć? - Proszę, proszę Cię, Boże, niech on ruszy. - Spróbowała przekręcić kluczyk jeszcze raz i nagle uświadomiła sobie, że z silnika wydobywa się silny zapach benzyny.

Coś zaklekotało z tyłu za nią. Odwróciła się z przerażeniem i zobaczyła, że z dachu spadł kawałek dachówki. Roztrzaskał się niedaleko niej na ostrych kamieniach. Beth patrzyła na to z niedowierzaniem. Nie było wcale wiatru. Noc w oparach mgły była bardzo spokojna.

„Pomóż mi!” Czy powiedziała to głośno, czy tylko w myśli? Oparła głowę na kierownicy, nabrała znów głęboko powietrza i przekręciła kluczyk. Samochód ruszył. Beth zamknęła oczy i odmawiała szeptem modlitwę dziękczynną. Potem wyjechała tyłem z podjazdu i ruszyła, górską drogą.

Kot stał przez chwilę na drodze, machając z wściekłością ogonem. Potem odwrócił się i zniknął we mgle.

Beth zatrzymała się przy bocznicy kolejowej u stóp górskiego szlaku i siedziała przez chwilę w samochodzie, patrząc na oświetlone reflektorami drzewa. Nigdy w życiu nie była taka przerażona. Wyłączyła światła i z trudem przełknęła ślinę. Zaczekała chwilę, żeby oczy przyzwyczyły się do ciemności i żeby zebrać się na odwagę, a potem ostrożnie otworzyła drzwiczki i wysunęła nogi na zewnątrz. Było bardzo zimno. Nisko płynącą chmura rozwiała się nagle i Beth ujrzała gwiazdy tak blisko, że wydawało się, iż wystarczy sięgnąć ręką, żeby ich dotknąć. Szeroki łuk Drogi Mlecznej ciągnął się jak przezroczysty, utkany z mgły szal, a w oddali, między grzbietami dwóch wzgórz Beth dostrzegła wschodzącą nad horyzontem konstelację Oriona. Cicho zatrzasnęła drzwiczki i zamknęła je na klucz, po czym odwróciła się ku ścieżce. Kiedy ruszyła, zanurzając się w ciemność, widziała przed sobą tylko białą chmurkę własnego oddechu.

Gdzie jest A-dam?

Zatrzymała się przerażona. Las był bardzo spokojny. Myśl. Myśl o tym, czego nauczył cię Meryn. Zaciągnij wokół siebie ochronną zasłonę. Zmusiła się, żeby iść dalej.

- Co będzie, jeśli on umrze?

Liza siedziała z tyłu ambulansu, obserwując Adama; jechali na północ, do Pittenross.

- Ja ponoszę za to odpowiedzialność, nie pani. Ja podpisałem formularze. - Ivor uśmiechnął się zachęcająco. - Adam umrze, jeśli pozostanie w szpitalu. To jest jedyna szansa. Gdyby to było lato, powiedziałbym, że powinniśmy go zawieźć do tego kamienia, gdzie wszystko się zaczęło, ale w taką pogodę... Przynajmniej będzie niedaleko. Gdziekolwiek będzie, może przyjdzie mu do głowy myśl, żeby popatrzeć na dom. A my pozostawimy znak.

- Jaki?

Znowu się uśmiechnął.

- A to już jest pani resort. Mówiła pani, że była pani medium. Nadszedł czas, żeby to udowodnić.

Musieli bardzo długo przekonywać szpitalne autorytety, żeby pozwolono Adamowi na kilka dni powrócić do domu. Jedynie reputacja Ivora i nie całkiem zgodne z prawdą oświadczenie Lizy, że jest najbliższą krewną i może podpisać wszystkie potrzebne dokumenty, w końcu przekonały lekarza, pod którego opieką pozostawał Adam, że nie ma nic do stracenia, jeśli zgodzi się na ten eksperyment. Gdyby wiedział, że rozważali przez chwilę możliwość zabrania pacjenta na górę i pozostawienia go tam, u stóp symbolicznego piktyjskiego kamienia, w ogóle by się nie zgodził.

Tego dnia pogoda była taka koszmarna, że Liza nie była nawet pewna, czy powinni go zabierać z powrotem do Shieling House.

- Czy ona do niego przyjdzie? Liza wzruszyła ramionami.

- Ale to nie jest on, prawda?

Ivor położył dłoń na czole Adama, Potem ujął przegub jego ręki i zbadał puls.

- Bez zmian. Słaby, ale równy. - Wyprostował się. - Interesujące byłoby ponowne spotkanie z Brid. Zawsze uważałem, że ona mi ufa, ale nie mogę być tego pewny. No więc w jaki sposób zamierza pani przesłać wiadomość naszym podróżnikom? Liza znów wzruszyła ramionami.

- Chciałabym wiedzieć więcej na ten temat. Myślę, że jedyny sposób to telepatia. Może powinnam pójść pierwsza do tego kamienia?

- Nie boi się pani? - Popatrzył na nią przenikliwie. Uniosła jedną brew.

- Owszem, boję się. Jestem przerażona. Pragnę tylko jednego. Czmychnąć do Włoch, do mojego uroczego, rozsądnego męża i ukryć się za nim w jesiennym słońcu z butelką chianti. Ale nie mogę, prawda? - Pochyliła się i pocałowała Adama w czoło. Było bardzo zimne.

Mrużąc oczy w mroźnym powietrzu, Beth z trudem posuwała się na - , przód. Musiała się zmuszać do każdego kroku, bez przerwy myślała o Adamie. Musi go znaleźć. Nic poza tym nie ma znaczenia. Nie pozwalała sobie na myślenie o niczym innym. Ścieżka biegła coraz bardziej stromo i Beth oddychała ciężko, ale nie mogła pozwolić, by słabość ciała odciągnęła jej uwagę od celu, do którego dążyła. Zimno i lęk osłabiły ją, uczyniły podatną na ciosy. Musiała być silna.

Oświetlała latarką ścieżkę przed sobą, gardło miała ściśnięte z lęku. Bliska mdłości wsłuchiwała się w szum potoku płynącego po skałach z prawej strony i szmer deszczu ze śniegiem w gałęziach drzew.

Utrzymaj silny krąg bezpieczeństwa.

Rozglądała się nerwowo dookoła. Czy ten kot idzie za nią? Ale nie dostrzegła niczego, co by wskazywało na jego obecność, żadnego odgłosu. Nigdy nie czuła się bardziej samotna.

Zmuszała się do nieustannej wspinaczki. Tylko raz zatrzymała się, żeby odetchnąć, kiedy poczuła bolesne pulsowanie krwi w uszach. Trochę dalej, z prawej strony, widziała migotanie wody, tam gdzie potok natrafiał na skalne progi.

Nie słuchaj. Nie pozwól, by twoja uwaga została rozproszona. Pamiętaj to, co mówił Meryn, czuj jego obecność, to talizman w kręgu bezpieczeństwa.

Teren stał się teraz równiejszy i Beth czuła, że wzrasta siła wiatru. Jeszcze raz

chmury odpłynęły, pozostawiając niebo czyste i mroźne, pełne migoczących gwiazd.

Teraz ją czuła. Tę siłę płynącą z miejsca pod stopami, kiedy zbliżyła się do kamienia. Zatrzymała się, zaskoczona, i przyłapała się na tym, że się waha. Żadnych emocji, żadnego lęku ani złości. Musi być spokojna i rozsądna. Zboczyła z drogi, weszła w wyższą trawę i wyprostowała się. Nie ma się czego lękać, chyba tylko samego lęku. Kto to powiedział? Jakiś Amerykanin. Czy to był Roosevelt? Nieważne. Zapamiętaj to sobie jak mantrę. Żadnego lęku. Tylko spokój i siła. Teraz widziała już dokładnie kamień; stał na zboczu, osobno, wystawiony na wiatr. Ostrożnie podeszła bliżej. Czuła płynącą od niego falami siłę. Niósł ze sobą tę szczególną ziemską energię, płynącą gdzieś z głębi, spomiędzy skał, energię, która sprawiała, że struktura czasu stawała się cienka i nieszczelna, a ludzie mogli się prześlizgiwać tam i z powrotem. Poza tym miejscem czas i przestrzeń były nieruchome i bezkresne.

Zaschło jej w ustach. Oparła ręce na kamieniu. Czuła, jak wibrująca w nim siła wnika w jej ciało, czuła, jak płynie przez jej stopy, przez dłonie, aż do czubka głowy. Nie było ani śladu wiatru, ale chmury napływały z powrotem, przesuwały się nad szeroką doliną, zasłaniając widok odległych, oświetlonych blaskiem gwiazd gór, krążyły leniwie wokół krzaków, podpływały jeszcze bliżej. Beth nabrała głęboko powietrza. Meryn podał jej pewną formułę, kilka prostych słów w języku walijskim, które umożliwią jej przejście przez granicę. Skupiła myśli, nie była pewna, czy pamięta te słowa, po czym, nie zastanawiając się, zaczęła je recytować najpierw cicho, potem coraz głośniej. Słyszała, jak jej głos dzwoni w szumie wiatru. Wolno upadła na kolana w zamarznętym błocie i poczuła, jak zamyka się nad nią czas i pochłania ją.

Giles obudził się nagle i usiadł półprzytomny.

- Beth?

Miejsce obok niego było puste. W domu panowała cisza.

- Beth, gdzie jesteś? - Rozejrzył się po pokoju. Było ciemno. Zmartwiony zbliżył rękę do oczu i popatrzył na zegarek. Spał bardzo długo.

- Beth?

Zaniepokojony, przeszukał cały dom, potem otworzył frontowe drzwi i wyjrzał. Mgła chyba trochę się uniosła i teraz Giles widział całkiem wyraźnie drogę, a nawet pierwsze drzewo na wzniesieniu przy zakręcie. Jego samochód zniknął. Zaintrygowany wrócił do chaty i zamknął drzwi. Dopiero wtedy zauważył kartkę na kuchennym stole. Wziął ją do ręki i przeczytał.

*Pojechałam do kamienia szukać Adama. Nie martw się. Wiem, co robię.
Kochająca Beth.*

Giles jęknął.

- Głupia, głupia kobieta. O Boże, dlaczego ja zasnąłem? - Pobiegnął do saloniku. Mgła szybko rzedła. Przez okno, w świetle gwiazd, widać już było żywopłoty i mały ogródek, i powyginaną dziką jabłoń, i głóg. Było bardzo spokojnie. Giles zadrżał.

Musi za nią pojechać. Ale jak? Skąd wziąć samochód? Jakiś samochód, samochód Adama, był zamknięty w szopie za domem i stał tam od czasu, kiedy Adama zabrano do szpitala. Kluczyki! Gdzie są kluczyki? Giles zaczął ich gorączkowo szukać. Najpierw w biurku Adama, potem na stole w kuchni, potem na górze, na stoliku w sypialni Adama. Ani śladu.

- Chryste! - zaczynał wpadać we wściekłość. Jest sam, odcięty od świata, za oknem zaraz zacznie padać deszcz ze śniegiem, a on nic nie może zrobić.

Włożył płaszcz i buty, otworzył kuchenne drzwi i ruszył ścieżką. Miał zamiar wyprowadzić samochód po wyłamaniu drzwi szopy, ale okazało się, że drzwi nie są zamknięte. Otworzył je i wśliznął się w wąską przestrzeń między małym niebieskim samochodem i drewnianą ścianą. Chwycił za klamkę drzwiczek. Otworzyły się. Kluczyki tkwiły w stacyjce. Trzy razy próbował, zanim silnik zaskoczył. W końcu jednak Giles wyjechał tyłem z szopy, chociaż motor charczał i trzeszczał w chmurze wypluwanych przez rurę wydechową spalin. Giles włączył reflektory i spojrzał na wskaźnik zużycia paliwa. Stwierdził, że bak jest opróżniony tylko do połowy. Szepcząc szybko modlitwę dziękczynną za tę niewielką łaskę, wyjechał na wstecznym biegu przez wąską bramę, wykręcił i pomknął górską drogą. Nie pomyślał nawet o tym, żeby zamknąć drzwi domu.

Jego własny samochód stał tam, gdzie go Beth zostawiła, wsunięty w żywopłot na skraju boczniczy kolejowej, więc Giles zatrzymał się za nim i naciągając płaszcz ruszył biegiem w kierunku drogi. Mgła powracała i niemal natychmiast stracił orientację. Starał się nie odrywać wzroku od ledwo widocznej ścieżki pod nogami. Przeklinał własną głupotę, że nie zabrał ze sobą nawet latarki.

Złapała go kolka, oddychał ciężko, ale posuwał się z trudem pod górę stromą drogą. Zranione ramię nadal go bolało, kiedy nim poruszał, czuł też ukłucia igiełek deszczu ze śniegiem na twarzy. Zatrzymaj się, cofnij, bądź ostrożny. Zgubił ścieżkę, rozejrzał się gorączkowo dookoła, i wreszcie znów ją dostrzegł przed sobą nad potokiem, ledwie widoczną w tej ciemności.

- Nie ma nikogo. - Liza wróciła do ambulansu, obszedłszy dom dookoła. - Kuchenne drzwi nie są zamknięte i jest tam w miarę ciepło, ale ani śladu Gilesa czy Beth. Kłopot w tym, że się z nimi nie porozumiałam i oni mogą nas wcale nie oczekiwać. Nigdy się do Gilesa nie dodzwoniłam, chociaż sześć razy zostawiałam wiadomość na jego sekretarce.

- Możemy go wnieść do środka? - Ivor siedział z Adamem w tyle ambulansu. Wraz z nimi jechał kierowca i pielęgniarka, których zatrudnili na czas tej podróży.

Liza skinęła głową.

- Otworzyłam frontowe drzwi. Możecie go od razu zanieść na górę, do sypialni. Jestem pewna, że pozostała dwójka wkrótce wróci.

Jak tylko Adam został ulokowany we własnym łóżku, a ambulans odesłany z powrotem, Liza znalazła kartkę od Beth leżącą na kuchennym stole, gdzie Giles ją rzucił. Zbladła i popatrzyła na Ivora.

- Beth pojechała do kamienia. Ivor przeczytał kartkę i westchnął.

- Prawdopodobnie Giles pojechał za nią. Liza skinęła głową.

- Że też nie mogli poczekać, aż przyjedziemy.

- Myślę, że wiem, dlaczego nie zaczekali. - Na kuchennym stole, między listami i papierami, Ivor znalazł telefon Gilesa. Kiedy próbował go użyć, okazało się, że bateria jest wyczerpana. - Nie dotarły do nich wieści od pani.

- Dobry Boże! - Liza usiadła gwałtownie na kuchennym stołku. - Co myśmy najlepszego zrobili, przywożąc Adama tutaj.

- Przywieźliśmy go w miejsce, gdzie powinien być. - Ivor popatrzył na nią poważnie. - Jestem pewien, że postąpiliśmy słusznie. A teraz możemy tylko czekać, żeby zobaczyć, co zrobi Beth.

- Żeby zobaczyć, czy Beth przeżyje - odparowała Liza ostro. - Niech pan nie zapomina, że ona stanie tam twarzą w twarz z Brid.

- Nie zapomniałem. Ivor uspokajająco poklepał ją po ramieniu. - Myślę, że już czas, żebyśmy poszli do Adama. Zobaczmy, czy nas usłyszy.

Meryn stał w cieniu, obserwując sylwetkę widoczną w promieniach słońca, które zachodziło za góry. Broichan tam był, z dłońmi ukrytymi w rękawach ciemnej szaty. Był czujny, czekał w pogotowiu, gdyż nagle uświadomił sobie, że nie jest sam, że ten ktoś, kto go tropił wieki całe, jest blisko. Odwrócił się powoli, teraz stał odwrócony plecami do szkarłatnego nieba, obserwował las. Za nim, w chacie, postać Brid leżała nieruchomo, przykryta kosztownym futrem.

Meryn przysunął się cicho bliżej; otaczało go czyste, mroźne powietrze, niezwykła cisza tej chwili. Był teraz tak blisko.

Otulił się swym ochronnym płaszczem i poczuł, że staje się coraz silniejszy.

Beth nie mogła uwierzyć, że to takie łatwe. Zbocze było skąpane w słońcu, tonęło w zieleni i purpurze wrzosów, a szare góry wyglądały jak ogromna kotara na tle błękitu nieba. Rozejrzała się dookoła. Tuż koło siebie zobaczyła kamienną płytę. Była zawiedziona. Spodziewała się zobaczyć rzeźby, różdżkę wygiętą w kształt litery Z, węża, lustro - a zamiast tego ujrzała jedynie ogromny krzyż wyrzeźbiony w granicie, a pod nim miękką trawę.

Wybuchnęła głośnym płaczem. Nie udało się. Nie szukała przecież krzyża. Znajduje się w niewłaściwym miejscu.

Podeszła bliżej do kamienia i wtedy je dostrzegła, te starożytne symbole. Znajdowały się z tyłu: wyraźne, ostre, świeżo wyrzeźbione.

A więc dziecko dziecka A-dama jest tutaj.

Głos rozległ się tuż za nią. Beth obróciła się dookoła. Brid stała przy

kamieniu, trzymała w dłoni błyszczący, świeżo naostrzony nóż, srebrny nóż, dawno temu ukradziony Catrionie i zgubiony gdzieś w wysokiej trawie na dwudziestowiecznym stoku. Ubrana była w długą zieloną szatę ze skórzanym pasem. Przy nim wisiała pusta pochwa.

Dziecko dziecka A-dama.

Zabrzmiało to w głowie Beth jak mantra, ale usta Brid się nie poruszyły.

Beth nabrała głęboko powietrza, starając się uspokoić.

- Adam? Gdzie jest Adam? Powiedz mi, gdzie on jest. Przyszłam go odszukać.

Paniczny strach mącił jej rozum. A może to sen? Może w istocie po prostu śpi, nadal leży w łóżku, w domu, obok Gilesa, a mgła snuje się koło okien?

Pamiętaj, co powiedział Meryn. Wyobraź sobie swoje własne notatki, strona po stronie, utrwaj je sobie w pamięci. Otocz się światłem. Powtarzaj swoją własną mantrę, wezwij swoich bogów i anioły. Rozprostowała ramiona, starając się ukryć swój lęk, posuwała się do przodu zamiast się cofać, jak Meryn nalegał, by czyniła. - Brid, musisz mi powiedzieć, gdzie jest Adam. On nie należy tutaj... Ale nagle Brid przestała na nią patrzeć, jej wzrok powędrował ku drzewom, a oczy rozszerzyły się z przerażenia. Beth usłyszała łoskot grzmotu i trzask pioruna.

Odwróciła się i ujrzała wysokiego mężczyznę o pięknej, orlej twarzy i zmierzwionych siwych włosach. Na złocisto - szkarłatnej szacie miał czarny płaszcz, a w dłoni trzymał miecz. Beth zapomniała o Brid, wpatrywała się w niego przez całą sekundę, a potem odwróciła się i uciekła, ślizgając się po trawie. Nie mogła złapać tchu. Paraliżowało ją przerażenie.

Beth, nie ustępuj. Nie lękaj się. Jestem tutaj.

- To był głos Meryna w jej głowie.

Gdzie on jest? Gorączkowo rozglądała się dookoła.

- Meryn!

Beth, granice między płaszczyznami są otwarte. Przeprowadź teraz przez nie Adama, dopóki czas stoi w miejscu.

Słońce zaszło i znów otoczyła ją mgła. Była tak gęsta, że Beth nic nie widziała. Deszcz ze śniegiem siekł ją po twarzy. Czuła ukłucia ostrych jak igiełki kryształków lodu.

Meryn, pomóż mi! Gdzie jest Adam? Nie widzę go! -

Wydawało jej się, że słyszy w głowie własny głos. Była uwieczona w jakimś koszmarze, niezdolna się z niego uwolnić; biegła, ale stała w miejscu, z trudem chwytając powietrze, a jednocześnie się dusiła, bo jej płuca nie pracowały. Odwróciła się bez zastanowienia. Teraz obok niej były we mgle jeszcze inne postacie. *Meryn? Dziadek?* Nie widziała dokładnie. Znadto była przerażona. Ujrzała jeszcze jedną błyskawicę i usłyszała trzask pioruna. Śnieg z deszczem zaciął coraz bardziej. I wtedy ktoś dotknął jej dłoni.

Chodź. Szybko. Z powrotem do kamienia. Wracaj do swojego czasu.

- Meryn?

Brid była tam znowu. Stała przed swoim wujem z rozwianymi włosami i małym, ostrym nożem w ręce. Słabiutka to była broń w porównaniu z siłą Broichana.

Zdrajczyńni! Jędrza! Córka czarownicy! - Jego głos niesło echo w szalejącej burzy. - *Ty i Adam umrzecie razem tej nocy.*

- Dziadku! Meryn!

Beth zrozpaczona kręciła się w kółko. To sen. To jakiś koszmar. Na pewno. Za chwilę wszyscy przemienia się w talię kart i rozsypią wokół niej.

- Meryn, pomóż mi! - krzyczała w ciemność. - Jesteś mi potrzebny!... Teraz!

Zaczął sypać gęsty śnieg. Giles pochylił się jeszcze bardziej do przodu. Raz po raz powtarzał sobie: dlaczego nie zabrałem ze sobą latarki? Brakowało mu tchu, dyszał ciężko, mrużył oczy z zimna. Ścieżka znów stała się niewidoczna, więc pochylił się jeszcze bardziej, rozpaczliwie starając się ją odnaleźć.

- Beth! - krzyknął w ciemność. - Beth, gdzie jesteś? - Nie było odpowiedzi. Szedł dalej, ogarniała go rozpacz. Gorące łzy mieszały się na jego policzkach z lodem. - Beth!

Dotarł już na wierzchołek, teren się wyrównał. Stał przez chwilę spokojnie i próbował się rozejrzeć dookoła. Co to za postać, którą dostrzega w pobliżu?

- Beth! - Podniecenie wzmocniło jego głos. - Beth, idę do ciebie.

Biegł, potykając się. Postać prawie zniknęła we mgle. Ale to nie była Beth. To był mężczyzna, mężczyzna, który, jak się okazało, wymachiwał mieczem.

- Boże wszechmocny! - Giles pośliznął się i zatrzymał. Nie miał nic, czym mógłby się bronić, tylko gołe ręce, a Broichan szedł ku niemu z włosami rozwianymi wokół głowy w śnieżnej zamieci. W mgnieniu oka rzucił się na Gilesa, próbując go chwycić, ale ten uskakiwał na boki, unikając morderczych ciosów. W pewnej chwili, instynktownie próbując się obronić, skoczył pod ostrzem miecza i chwycił mężczyznę za przegub dłoni. Szamocąc się z nim, zaskoczony stwierdził, że przeciwnik, mimo swego groźnego wyglądu, nie jest wcale taki silny, jak można by się spodziewać.

- Rzuć to, draniu! - syknął Giles przez zaciśnięte zęby. Potrząsnął ramieniem mężczyzny jak królikiem.

Broichan!

Krzyk dobiegł skądś z daleka, ale wystarczyło, by przeciwnik Gilesa się zawahał. Giles wyrwał mu miecz z garści i odrzucił w powietrze, po czym pięścią trzasnął w podbródek Broichana. Cios był tak silny, że Broichan się zachwiał. Giles obejrzał się, szukając miecza. Znowu chwyciła go kolka i wydawało mu się, że krew zalewa mu oczy.

- Beth! - krzyknął w śnieżną zamieć. - Beth, gdzie jesteś? Adam? Ktoś zdążył ku niemu. Rozpoznał nagle szczupłą sylwetkę, rozwiane włosy, sposób chodzenia, długie spódnice, błyszczące oczy, nóż... - Jezu Chryste! Beth, popatrz! - Nie mógł się poruszać dość szybko. Był uwięziony w jakimś koszmarze. Nie widział dokładnie.

Zaskoczył go wrzask, który rozległ się za nim. Giles odwrócił się w samą porę, by zobaczyć wzniesiony do ciosu wielki błyszczący miecz. Uchylił się, opadł na jedno kolano i patrzył przerażony na stojącego nad nim mężczyznę. Nie mógł się mylić co do jego zamiarów, widząc jego oczy, które ten na chwilę w nim utkwiał.

I wtedy nagle jak spod ziemi wyrósł Meryn i Giles zobaczył, jak staje przed Broichanem z rękami wzniesionymi do góry. I ujrzał, jak Broichan się waha, cofa i opuszcza miecz. Ujrzał też Gartnaita, wyciągającego ręce do siostry. I na koniec pojawił się także Adam.

- Dziadek! Adam! - Krzyk Beth sprawił, że wszyscy znieruchomieli. - Adam!

Stał trochę dalej, patrząc na nich wszystkich. Był to o wiele młodszy Adam, jego twarz promieniała podnieceniem i miłością.

I nagle ujrzeli Brid.

A-dam!

Dostrzegła go. Wreszcie go zobaczyła. Z radosną twarzą biegła ku niemu po śniegu.

Beth zamknęła oczy. Meryn! Co Meryn kazał jej powiedzieć?

I nagle go zobaczyła. Stał przed nią ze swoją łagodną twarzą, silny, pewny siebie.

Możesz zwyciężyć, Beth. Możesz zatriumfować. Możesz ocalić Adama i Brid. I samą siebie. Ja nie jestem ci już potrzebny.

I w końcu przypomniała sobie to słowo. To słowo dające moc. Które może być wymawiane jedynie *in extremis*.

Zamknęła oczy, uniosła ramiona i wykrzyczała je w powietrze. Jej głos, niesiony echem, stawał się coraz silniejszy, bo wiatr ucichł i śnieg też ustawał.

- Obudź się! - dobiegł do niej z daleka głos Gilesa, spokojny i pełen ulgi.
- Obudź się.

Otworzyła oczy i rozejrzała się dokoła. Broichan, Brid i Gartnait zniknęli. Drzwi w przeszłość zostały zamknięte. Rzuciła się na szyję Gilesowi, drżąc z zimna i lęku.

- Odeszli! Mój kochany, myślałam, że umrzesz. - Przytuliła twarz do jego piersi. Otoczył ją ramionami.

- Powiedz, że mi się to śniło, Beth. Roześmiała się cicho, ze smutkiem.
- Ty chyba nie jesteś Giles, popatrz na siebie.

Strząsając śnieg z powiek, powiódł po sobie spojrzeniem. Ubranie miał nasiąknięte krwią. Podwinął rękaw i zobaczył paskudną ranę na przedramieniu poniżej łokcia.

- To od miecza Broichana - powiedziała Beth spokojnie.
- Tego łobuza druida! - jęknął cicho Giles. - Kto mi uwierzy?
- Nikt! - Ściągnęła z szyi szalik i zaczęła nim obwiązywać mocno jego ramię.
- Beth, gdzie jest twój dziadek?

Beth przerwała opatrywanie ramienia i rozejrzała się dookoła. We mgle, w zasięgu jej wzroku, nie było nikogo. Przetarła oczy i odwróciła się wolno do Gilesa.

- Ale on tu był! Nie widzę go. Och, Giles, nie myślisz chyba, że...
- Odszedł wraz z nimi.
- Nie! Och, Giles, nie! Meryn powiedział, że to się uda. Powiedział, że wszyscy wrócimy do naszego czasu! - Łzy spływały jej po twarzy.

Giles przytulił ją mocniej, przygryzając wargę z bólu pulsującego w ramieniu.

- Tak mi przykro, kochanie. Nie wiem, co powiedzieć.
- Nie udało się. - Po raz ostatni rozejrzała się z rozpaczą dookoła i potykając się ruszyła ku ścieżce.
- Wszystko na nic! Biedny dziadek! Uwięzili go wraz z tym złym człowiekiem, Broichanem. Zabiją go.

Liza długo stała przy kuchennych drzwiach, wpatrując się w ciemność. Widziała oczami pamięci nie przeraźliwie zimny ogród pokryty warstwą puszystego śniegu, ale kamień z jego starożytnymi symbolami. Już się nie bała. Czowała, że to się skończyło.

Westchnęła.

- Niech was Bóg błogosławi, gdziekolwiek jesteście - szepnęła, odwróciła się i weszła do domu.

Ivor siedział przy stole Adama, z okularami na czubku nosa, pochłonięty wertowaniem papierów.

- Jak on się czuje? - spytała Liza. Była zmęczona i bardzo zmarznięta. -

Zaglądam do niego co pół godziny. Bez zmian. - Wstał. - Idź, zerknij na niego, a ja ci zrobię coś gorącego do picia.

Liza zmęczona wstępowała na schody, ściągnając po drodze płaszcz. Przewiesiła go przez poręcz na górze i ruszyła do sypialni Adama. Otworzyła drzwi i weszła.

- Beth poszła do kamienia, żeby cię odszukać, ty stary rozpustniku - powiedziała spokojnie, podchodząc do łóżka. Popatrzyła na niego z czułością. - Chciałabym wiedzieć, gdzie byłeś.

- Jestem tutaj - szepnął tak cicho, że ledwo go słyszała. Wyciągnął do niej rękę tak słabą, że ledwo mógł nią poruszać. - Widziałem Beth. Wraca do domu. Widziałem też Brid. Jest bezpieczna. Odeszła do swego brata w swoim własnym czasie. On ją ocalił, uratował przed Broichanem i zaopiekuje się nią. Meryn był tam także.

Liza usiadła na skraju łóżka. Pochyliła się i pocałowała Adama w czoło.

- I jesteś pewien, że ona nie wróci?

- W każdym razie nie w tej chwili. - Potrząsnął głową. - Nie w tej chwili.

Uśmiechnął się.

Kiedy wziął Brid w ramiona, dotknął jej ciemnych, jedwabistych włosów i ucałował zimne wargi pod wirującym śniegiem, zanim się odwróciła od niego i zniknęła - złożyła ostatnią obietnicę.

Pewnego dnia, A-dam, znów cię odnajdę. Pewnego dnia ujrzę cię w zwierciadle mojej pamięci i powrócę. Wtedy już nikt nie stanie między nami. Nigdy.

Rozdział dwudziesty czwarty

Słońce zachodziło. Robiło się zimno. Adam jęknął, usiadł i przeciągnął się. Cień wielkiego celtyckiego krzyża leżał na nim jak bandaż. Przetarł oczy i rozejrzał

się dookoła. Burczało mu w brzuchu i nie musiał patrzeć na zegarek, by wiedzieć, że czas wracać do domu.

Podniósł się z trudem. Czuł się dziwnie zdezorientowany. Powoli przypominał sobie swój sen.

Czy to był sen?

Czy przyśniło mu się całe jego życie?

Spojrzał na wzgórze, próbując jakoś ogarnąć to, co się z nim działo, próbując sobie przypomnieć. Matka i ojciec znowu się pokłócili. Uciekł więc na wzgórze, do swego kamienia. I zasnął. Tak właśnie było. Na pewno.

Był małym chłopcem, nosił krótkie spodenki i tenisówki. Zawsze miał na szyi lornetkę i głowę pełną marzeń.

A może był starym człowiekiem, głupcem, który wrócił do tego kamienia, szukając Brid, pięknej nemezis ze swego snu? Starym człowiekiem, którego życie niemal dobiegło końca? Ostrożnie, drżąc, z lękiem patrzył na siebie i zastanawiał się.

Którą z tych osób był teraz? Starym człowiekiem czy chłopcem, który ma jeszcze całe życie przed sobą? Czy może wierzyć swoim oczom? A może czas znowu spletał mu figla?

Czy dowie się kiedykolwiek?

Od autorki

Spośród wszystkich postaci tej książki tylko historia Broichana oparta jest na faktach. Pojawia się on w książce Adamnana „Life of Columba”; jest druidem króla Brude'a, który przeciwstawił się temu świętemu, usiłującemu nawrócić kraj Piktów na chrześcijaństwo. Oczywiście w wersji Adamnana jego pogańskie moce zostały pokonane i Broichan znika z tej opowieści zwyciężony, chociaż historia zdaje się sugerować, że w rzeczywistości chrześcijaństwo szerzono w łagodniejszy, mniej

dramatyczny sposób, niż podaje ten autor. Jeśli użyłam imienia Broichana niepotrzebnie, a był on naprawdę miłym, łagodnym człowiekiem, mam nadzieję, że mi wybaczy. Nie chciałabym się narazić na jego gniew.

Żył kiedyś także naprawdę Meryn, uzdrowiciel i mistyk, a było to w czasach, kiedy byłam jeszcze dzieckiem. Mieszkał raczej w Kensington niż na swych rodzinnych walijskich wzgórzach, ale zaszczepił we mnie miłość do przyrody, do górskich kryształów i tajemnic otaczających różne zjawiska, i dlatego zawsze będę go wspominać z sympatią i wdzięcznością.

Kiedy się pisze książkę, korzysta się z opowiadań bardzo wielu osób, ale kilka z nich muszę wymienić ze względu na ich szczególny wkład. Dr John Waller miał niekończące się kłopoty z opisywaniem mi swoich wspomnień z czasów, kiedy studiował medycynę na uniwersytecie w Edynburgu podczas wojny; ogromnie mu dziękuję za tę jego pomoc. Wicemarszałek lotnictwa Sandy Johnstone przysłał mi informacje i opowiadał swoje przeżycia z czasów swej służby w RAF - ie w Szkocji i w czasie pierwszych miesięcy wojny oraz o Edynburgu z tego okresu, podobnie jak mój ojciec, którego dowódcą był Sandy w dywizjonie 602. Jestem ogromnie wdzięczna za ich wspomnienia. Mój syn Adrian dostarczył mi informacji na temat technik stosowanych w ratownictwie górskim, a Jo i Ian McDonalldowie udzielali mi rad i gościny podczas moich wędrówek do piktyjskich kamieni.

Szczególne podziękowania kieruję do Diany Currant, która wybrała się ze mną w tę podróż. Za jej towarzystwo, humor i moralne wsparcie w czasie wspinaczki w wilgotnych i zimnych górach, gdy zaglądałyśmy przez okna do zamkniętych muzeów, i za to, że czekała drżąc z zimna podczas lodowatego wiatru i ulewnego deszczu, kiedy ja fotografowałam, szkicowałam i robiłam notatki.

I na koniec dziękuję, jak zawsze, Carole Blake, Rachel Hore i Lucy Ferguson za ich wsparcie, inspirację i cierpliwość.